

A hand wearing a black, textured glove is shown from the wrist up, palm facing upwards. In the center of the palm, a bright, glowing green magical orb is held. The orb has a swirling, ethereal appearance with some darker green patterns inside. The background is a dark, smoky green with some faint, lighter green particles floating around. The overall lighting is dim, with the primary light source being the glowing orb.

Magia w naszej dłoni

Autorstwa Arcymaga Zjedoczonych Sektorów



Z kaistlanckiego tłumaczył Jędrzej Stefanowski

Spis Treści

- [Mapa Wysp Anteor](#)
- [Klucz do przyszłości](#)
- [Prolog](#)
- [Konflikt wartości](#)
- [Dwie strony magii](#)
- [Twój wybór, twoja droga](#)
- [Kwestia przeznaczenia](#)
- [Ku niezależności](#)
- [Wiedza to broń obosieczna](#)
- [Symfonia](#)
- [Światło serc naszych](#)
- [Cierpliwość cnotą maga](#)
- [Epilog](#)
- [Postowie](#)

Wyspy Anteor

Boskie Wyspy



Voimsis

Voimsis jest światem magii w boskim planie.

Położone w centrum Voimsisu Wyspy Anteor, nie są może największe, ale to na nich dzieje się główna część akcji.

*Światło jaśniejące na wschodzie,
Dające nadzieję, na radość nowego dnia.*

*Strzała mknąca na wietrze,
Dążąca nieprzerwanie do celu.*

*Ogień, który w nas płonie,
Drżąca siła naszych emocji.*

*Mrok, który za nami podąża,
Albowiem nikt z nas nie potrafi się go pozbyć.*

*Magia w naszej dłoni,
Nieskończona moc do zmieniania świata.*

*Razem okażą się kluczem,
Razem przełamią blokadę,
Razem otworzą drogę.*

Do przyszłości Natchnionych.

**Klucz do przyszłości
Autorstwa Arcymaga ZS**

Prolog

Tornhal. Zjednoczone Sektory. Rok 1883 od zesłania Pana.

Ciemność.

Wschodnie skrzydło Tornhalskiej Biblioteki kompletnie w niej tonęło. I choć na ciężkich drewnianych podporach spoczywały białe kryształy zazwyczaj rozjaśniające ów miejsce niemalże bez przerwy, z jakiegoś powodu teraz były one nieaktywne. Obecne w tych pomieszczeniach książki najwyraźniej nie cieszyły się zbyt wielkim zainteresowaniem. A może powodem braku czytelników była końcówka dziesięciodnia, w której większość pracujących miała wolne? Niezależnie od przyczyn, prócz mroku, w skrzydle panowała również głucha cisza.

A jednak...

Drobny szelest przewracanej strony zaburzył ów niezmącony spokój. Ktoś tam był...

Nagle dało się słyszeć ciche dudnienie szybkich kroków i w wejściu pojawiły się dwie drobne sylwetki. Wyglądały na młodzieńcze, a ich szaty wyraźnie wskazywały na uczniów akademii.

– Daj spokój... – Rozległ się drżący głos – Nikogo tutaj nie ma.

– Zostań. Sprawdzalam. – Dziewczyna powstrzymała rówieśnika od odruchowego wyjścia – Przychodzi co dziesięciodzień o tej samej porze. Zdziwiłabym się, gdyby nagle zmienił zwyczaje. – Podeszła bliżej, do jednej z podpór i rzekła głośno. – Światło.

Rozbłyśły naładowane mocą kryształy, odsłaniając setki drewnianych regałów wypełnionych książkami. Prócz nich jednak ukazały również niepozornego czarodzieja, siedzącego z otwartą książką w ręku na jednej z mniejszych ławek. Mężczyzna ten z wysoko uniesionymi brwiami obserwował nowo przybyłych.

Młodzi ludzie, których wiek dało się ocenić na jakieś szesnaście lat, spojrzeli po sobie determinacją, a następnie podeszli do czytającego.

– Arcymagu – rzekli obydwójce, wykonując drobny ukłon.

– Interesujące... – odparł tamten, zamykając sporej wielkości tom. – Wczesny wieczór, zajęcia zakończyły się już kilka godzin temu, a dwójka adeptów, zamiast spędzać czas na radosnej zabawie jak to zazwyczaj pod koniec dziesięciodnia, przychodzi do biblioteki. Normalnie zaczynam odzyskiwać wiarę w ludzkość.

– Nie chcielibyśmy przeszkadzać Arcymagowi, ale... – Dziewczyna spuściła wzrok onieśmielona. – Od jakiegoś czasu nurtuje nas pewne pytanie. Otrzymałszy zaś dziesiątki sprzecznych odpowiedzi, nie wiemy już co myśleć. Zdecydowaliśmy się więc przyjść do eksperta.

– Pytanie mówisz? – Czarodziej pogładził się po brodzie w zamyśleniu. – Jakież dokładnie?

- Jak to jest być magiem?
- Ciekawe... Dlaczego akurat owa sprawa was tak męczy?
- No bo... – zaczął młodzieniec nieco śmiejąc – ludzie mówią nam różne rzeczy

i...

- Jacy ludzie?
- Rodzice... – rzekła dziewczyna.
- Znajomi z innych miast... – dodał jej rówieśnik.
- Strażnicy pilnujący ulic...
- Wojownicy na usługach gildii...
- Kupcy ze straganów...
- Nawet żebracy błagający o drobne pieniądze mają na ten temat coś do

powiedzenia.

- Ten temat? – Brnął dalej czarodziej.
- Na temat pracy maga. Jedni twierdzą, że jest nudna.
- Inni, że niebezpieczna.
- Monotonna.
- Łatwa.
- Ważna.
- Skrajnie różnorodna.
- Niepotrzebna.
- Dochodowa.
- Trudna.
- Istotna.
- Ciekawa.

– I... I... I my już naprawdę nie wiemy, co jest prawdą, a co nie! Ilość sprzecznych informacji jest po prostu zbyt wielka! – Dziewczyna niemalże wybuchła, targana silnymi emocjami. – W akademii uczymy się od kilku czterdziestodni. Nauka jest trudna i wymaga ogromnego nakładu pracy. A nie potrafimy stwierdzić czy to, co czeka na jej końcu, nas satysfakcjonuje. Gubimy się bowiem wśród setek opinii najróżniejszych ludzi.

- Z tego powodu przyszliśmy.
- Arcymagu... Proszę, pomóż nam zrozumieć.

– Usiądźcie – oznajmił im czarodziej, samemu podnosząc się z miejsca. Odłożył na regał czytana wcześniej książkę, wyjął zupełnie inną i otworzył ją z zamyśleniem. – Czujecie się zagubieni, bo odpowiedź na wasze pytanie jest niezwykle skomplikowana. I jak sądzę, żadna z wcześniejszych osób, z którymi rozmawialiście, nie zdołała pokryć jej nawet w połowie. Trudne pytania bowiem rodzą trudne odpowiedzi.

– I dlatego postanowiliśmy przyjść do eksperta. – Młodzieniec spojrzał na dziewczynę. Natychmiast dało się zauważyć, iż byli bliźniakami. – Potrzebujemy PEŁNEJ odpowiedzi. Aby więcej nas nie dezorientowały sprzeczne informacje.

- Czy macie jednak czas? To nie jest sprawa, którą byłbym w stanie wyjaśnić w

kilku zdaniach. Szczerze mówiąc, jedyną sensowną metodą wydaje się wytłumaczenie na przykładach. A słońce niedługo zajdzie.

– Mieszkamy w akademiku, a i tak nie planowaliśmy nic na dzisiaj. Czasu nam więc nie brakuje.

– Dobrze zatem. Postaram się jakoś zaspokoić wasz głód wiedzy. – Arcymag zaczął krążyć dookoła nich powoli. – Odpowiedź na wasze pytanie okazuje się jednakże nie tylko skomplikowana, ale również niejednoznaczna. Sami magowie bowiem zmieniali się przez wieki. Ich wizerunek ewoluował z epoki na epokę, poczynając od Ery Ciemności aż po Erę Równowagi. W dodatku w dużej mierze zależał od typu samego czarodzieja. Od tego, czym się on zajmował. Praca nekromanty zawsze różniła się od rzemiosła zaklinacza. Nie da się również porównać spokojnych dni powszednich kapłana mądrości z burzliwymi zadaniami maga bitewnego. W dodatku... – Zawahał się na chwilę.

– Tak...?

– Czarodzieje zawsze borykali się z pewnymi sprawami – męczyzna przewracał powoli strony trzymanej w rękach książki – bez których poznania, nie zdołacie zrozumieć ich pracy. Idee płynące przez umysły naszych poprzedników w dużej mierze ukształtowały to, kim jesteśmy dzisiaj. Hm... Rzeczywiście trudne...

– Ale Arcymagu – Dziewczyna ponownie przerwała nagłą ciszę. – My naprawdę chcemy wiedzieć. Pozwól nam spróbować zrozumieć.

Rozmówca bębnił przez chwilę miarowo palcami o blat dzielącego ich stołu. Ostatecznie podjął decyzję i usiadł naprzeciwko nich.

– Dobrze więc. Powiedzcie mi, czy lubicie opowieści?

– Opowieści? Jakie opowieści? – zapytał młodzieniec, marszcząc brwi ze zdziwieniem.

– Opowieści o przeszłości. O wydarzeniach, których w większości nie znajdziecie na kartach historii, jednocześnie wciąż ważnych i wiele uczących...

– Chyba... tak.

– Rozsiądźcie się więc wygodnie, gdyż długi wieczór przed wami. – Rozłożył przed nimi książkę. Obecna w niej ilustracja przedstawiała czarodzieja rzucającego bliżej nieokreślone zaklęcie. – Obiecuję wam jednak, że otrzymacie całą wiedzę, której tak pragniecie. A teraz...

Machnął ręką, a natychmiast zapadła ciemność. Następnie nad stołem rozbłysł płomień, idealnie formując sylwetkę maga z obrazka.

– Opowiem wam historię...

Konflikt wartości

Połsan, Cesarstwo Anarchijskie. Rok 28 od zesłania Pana.

Lało.

Ciężkie ciemne chmury, które już od kilku godzin przesuwwały się po niebie, zwiastując zbliżającą się ulewę, w końcu nie chcąc dłużej trzymać śmiertelników w oczekiwaniu, wypuściły na miasto strumienie chłodnej czystej wody. Miasto pograżyło się w smętnej jesiennej wizji świata, z której cieszyli się chyba tylko bogacze, oglądający ją zza okien, siedząc przy rozpalonym kominku, z kieliszkiem najlepszego kaistlanckiego wina. Niektórzy jednak nie mieli tyle szczęścia i mimo obfitego zimnego deszczu, ciągle musieli pracować.

Połsan, stolica Cesarstwa Anarchijskiego mimo dość późnej pory i nieprzyjemnej pogody tętniła życiem. Uliczni straganiarze nadal próbowali opchnąć przechodnim swoje towary, posłańcy pędzili w te i wewte a kowale i inni specjalizujący się w metalu rzemieślnicy kuli rozgrzane żelazo, wiedząc doskonale, iż przyroda musiałaby się o wiele bardziej postarać, aby ugasić ich rozżarzone piece. Historia zresztą pokazywała, że niewiele było rzeczy na świecie zdolnych do zmiany zwyczajnej codziennej egzystencji owego miasta. A już z pewnością, nie od czasu, w którym stało się ono jedną z najważniejszych metropolii Wysp Anteor.

Tak przynajmniej sprawę widział Naweris, czarodziej przemieszczający się dość szybko jego zalanymi uliczkami. Klął pod nosem siarczyście, narzekając na fakt, iż został zmuszony do wyjścia z domu w tak okropną pogodę. Szczerze nie zazdrościł zresztą pracującym dookoła ludziom. On osobiście, gdyby nie nagłe okoliczności, w ogóle nie wystawiłby nosa z mieszkania. Niektórzy jednak nie mieli chyba większego wyboru.

Po chwili wkroczył do dzielnicy portowej, co niestety jeszcze pogorszyło sytuację. Rejon ten znajdował się bowiem nieco niżej niż reszta miasta i część deszczowej wody spływała właśnie w tym kierunku. Naweris zastanowił się chwilę czy nie przywołać wiatru i nie utworzyć jakiegoś rodzaju ochrony przed ulewą, ale ostatecznie uznał, że to gra niewarta świeczki. Odrobina wody jeszcze nikogo nie zabiła. Zresztą nie zostało mu wiele do przejścia. Musiał tylko podpytać po drodze kilku przechodniów o kierunek, bo rzadko bywał w tej okolicy i trochę się gubił.

Ostatecznie dotarł na miejsce. „*Pod Rozdartym Żaglem*” jak informował widniejący nad wejściem do tawerny szyld. Zdaniem czarodzieja, niezbyt pociągająca nazwa. Nie mając jednak specjalnego wyboru, otworzył drzwi i wszedł prędko do środka.

W sporej wielkości pomieszczeniu siedziało mnóstwo ludzi. Stoły zostały rozstawione po bokach, tak aby przejście do wydającego zamówienia barmana nie sprawiało większych trudności. Wystrój wyglądał dość ubogo, zahaczając o klasyczne

anarchijskie wnętrza. Naweris niespecjalnie rozumiał, czemu akurat tutaj jego przyjaciel postanowił zawitać. Nie omieszkał go jednak o to zapytać.

Rozejrzał się dokładnie i po chwili ruszył w stronę rogu pomieszczenia. Tam, przy niewielkim stoliku siedział mężczyzna ubrany podobnie do przybysza. Oboje mieli szaty sięgające mniej więcej do kolan, pełne dziwnych symboli w odpowiednich kolorach, oznaczających profesję maga bitewnego. Ubiór Nawerisa jednak, choć ciężko było to zauważyć z powodu deszczu, skupiał się bardziej na bieli, strój tego drugiego natomiast wyraźnie popadał w czerń.

– Jesteś wreszcie przyjacielu! – zawołał tamten z zachęcającym gestem – Zaczynałem się już bać, że nie przyjdiesz.

– Witaj Hasnasie – odparł Anarchijczyk, przysiadając się do stołu – Nie widzieliśmy się trochę czasu... Ile to już minęło? Trzy czterdziestodnie? Jak zwykle mnie jednak zaskakujesz. Z wszystkich ustronnych i bezpiecznych miejsc na rozmowę, ty wybrałeś zapełnioną ludźmi portową tawernę! Nie mogliśmy się spotkać po prostu u mnie w domu?

– Aj daj spokój – stwierdził rozmówca, machnąwszy ręką niedbale – Wbrew pozorom moi znajomi bardzo polecają ów zajazd. Zresztą... może się zdziwisz, lecz im więcej dookoła osób, tym mniejsza szansa, że ktoś będzie podsłuchiwał. A nawet jeżeli... Ci ludzie mają dość problemów, aby się jeszcze naszymi przejmować. Uwierz mi. No i przede wszystkim to jedyne miejsce w całym mieście, w którym podają moje ulubione piwo! – Tak rzekłszy, wskazał na stojące na stole dwa pełne kufle.

Hasnas nie czekając ani chwili dłużej, radośnie pociągnął tęgi łyk, a następnie zamknął oczy, najwyraźniej zachwycając się smakiem. Potem zachęcił rozmówcę do tego samego.

– Nie dzięki – odparł Naweris, odsuwając napitek od siebie – Nie piję przed pracą.

– Jakoś na studiach niespecjalnie ci to przeszkadzało.

– Na studiach nie miałem też kaca.

– Aj ty Anarchijczyku ze słabą głową. Nie tęskno ci za Tokirią?

– W taką pogodę? – Czarodziej zastanowił się chwilę – Nawet bardzo. Ale poza tym, raczej niespecjalnie. Już się przyzwyczaiłem. Tymczasem może w końcu wyjaśnisz mi, po co mnie tutaj sprowadziłeś?

– Tak od razu do interesów? – Hasnas zrobił zbolatą minę, mającą prawdopodobnie oznaczać rozczarowanie – Nie powspominamy ani przez chwilę starych dobrych czasów?

– Ciekawość mi nie pozwoli – wyjaśnił prędko rozmówca, gładząc się po brodzie – pierwszy raz przyjechałeś do Cesarstwa tak nagle, bez swojego zwyczajowego listownego uprzedzenia. A ja cię znam przyjacielu. Odkryłeś coś. Zwęszyłeś dobre pieniądze, na tyle duże, że postanowiłeś opuścić gorące piaski rodzinnej pustyni i przybyć na Nastilię w tej części roku, w której najbardziej jej nienawidzisz. Co więcej, zawiadomiłeś mnie prawie od razu, zatem niewątpliwie potrzebujesz mojej pomocy. Owa fortuna jak przewiduję, nie pochodzi do końca z

legalnego źródła. Czyżbyś planował okraść cesarski skarbiec?

– Nie kuś... – odparł Tokirian, uśmiechając się z błyskiem w oku – Preferuje wykonalne zadania. A słyszałem, że owo miejsce jest raczej dobrze strzeżone.

– Nie wiem. Nie sprawdzałem – odparował Anarchijczyk, również mrużąc oczy – Ale do konkretów. Co dla mnie masz?

Hasnas oparł łokcie o stół a brodę o splecione dłonie. Następnie spytał cicho:

– Co wiesz o Nekrokalindratorze?

– Legendarnej maszynie wysysającej podobno magię z żywych, aby tworzyć za jej pomocą nieumarłych? Nie widziałem jej nigdy.

– Nic dziwnego. Bo nie istnieje.

– Skąd więc pytanie?

– Tak jak w wielu przypadkach i w tej legendzie tkwi ziarno prawdy. Choć przyznam, że większość to totalne bzdury.

– Czyli?

– Nekrokalindrator nie jest maszyną a artefaktem.

– Przedmiotem stworzonym za pomocą wyższej magii przez Pradawnych? – Naweris natychmiast podał pełną definicję, a następnie dodał prześmiewczo – Interesująca teoria. Kto ci ją sprzedał?

– Nie kpij. Od jakiegoś czasu badam ów szlak i natrafiłem na wiele dowodów. Słuchaj uważnie. Nekrokalindrator został odnaleziony w ruinach na Pustyni Tokirskiej. Około stu lat temu...

– Dodaj jeszcze, że przez twoich przodków.

– Akurat nie. Lecz również przez bardzo bogatą i szanowaną rodzinę. Mniej więcej gdzieś pomiędzy miastem Arrak i Al–Enaxą. Sprawdziłem. Są tam pozostałości po Pradawnych.

– Jak wszędzie – dodał wciąż wątpiący Anarchijczyk. Nigdy specjalnie nie pociągały go owe relikty przeszłości.

– Tak. Niestety... przejrzałem kroniki tej rodziny. Artefakt przebywał w Tokirii tylko czterdzieści lat.

– Jak dla mnie, to nie takie znowu „tylko”.

– Wówczas wywęszyli go warderlońscy magowie. Znasz zasady Przymierza Ciemności. Wszystkie pozostałości po Pradawnych mają być przewiezione i zbadane na Akadarii.

– Czyli Mroczny Cesarz zwinął wam ów smaczny kąsek... Smutne.

– Nic zaskakującego – Tokirian wzruszył ramionami – Z tym że Nekrokalindratora nie ma już w Warderlonie.

– A gdzie jest? Podarowali go Eneriasowi Kaznerowi w prezencie za zniszczenie ich imperium?

– Naweris na Boga Ciemności! – Hasnas zirytowany aż zacisnął pięści – Zaczynj wreszcie brać sprawę na poważnie. Podążając tropem artefaktu, udałem się do Al–Gebenera, stolicy Warderlonu. Całe lato tam spędziłem, szukając wskazówek.

– I jak poszło?

– Ich magowie raczej nie chcą gadać o podobnych sprawach. Na szczęście... każde państwo ma jakąś akademię, a w niej studentów. Tamci zaś jeśli dobrze pamiętasz, bywają gadatliwi. Udało mi się znaleźć jednego, który coś wiedział. Niejaki Dowelin. Kenitri.

– Kenitri? – Anarchijczyk zamyślił się na chwilę – Interesujące. Nie kojarzę nazwiska.

– Nic dziwnego. Bardzo mały i biedny ród, jest takich sporo na Akadarii. W każdym razie Dowelin twierdził, że badania nad Nekrokalindratorem zlecono jego dziadkowi.

– Ten też był magiem?

– Owszem. Sprawdziłem. I upewniłem się również że w ten sposób działał Warderlon. Powierzał opiekę nad każdym z artefaktów jakiemuś niezbyt wpływowemu, ale zaufanemu czarodziejowi. Takiemu, który w dodatku nie planuje raczej opuścić wyspy. Zasadniczo dziadek Dowelina miał przeprowadzać swoje badania w tajemnicy. Lecz wiesz, jak trudno jest ukryć coś przed rodziną...

– Powiedział więc synowi. – Rozwahał na głos Naweris – Lub córce. Bez znaczenia. A ci później opowiedzieli o tym młodemu adeptowi magii, aby ten mógł być dumny z dziadka... Mówiłeś jednak, że artefakt opuścił Akadarię?

– Tak. W roku trzecim od zesłania Pana zabrano Nekrokalindrator od owego badacza. I wówczas jakimś sposobem wieść o nim całkowicie zaginęła.

– Dlaczego więc jesteś tutaj? W stolicy Cesarstwa Anarchijskiego?

– Dość długo próbowałem ów fakt przeanalizować. Czemu odebrano Kenitrim artefakt? Proste, aby go użyć. No ale do czego? Nawet sprzymierzeni z mrokiem Warderłończycy trochę obawiali się jego potęgi... Musieli być więc w wielkiej desperacji... Pamiętasz może, co się wydarzyło w tamtym roku?

– Wielka Rewolucja Krajów Światła? – Naweris rozłożył bezradnie ręce. Nic dokładniejszego nie przychodziło mu do głowy.

– Właśnie. Twoi bracia postanowili wyrwać się z okowów warderłońskiej władzy. Jak dla mnie dostateczny powód, aby dopuścić się użycia Nekrokalindratora. Zerknąłem więc do waszych kronik, aby dokładniej się dowiedzieć co i jak... Znaleźć pasujące wydarzenie...

– I?

– Co wiesz o oblężeniu Połsan, dwunastego dnia czterdziesiątego roku, trzeciego roku od zesłania Pana? Słynnej Bitwie Świtu?

Anarchijczyk wzruszył ramionami z czymś w rodzaju niemej obojętności.

– Naweris na bogów – Tokirian ukrył twarz w dłoniach – przecież rocznica owej bitwy to jedno z waszych najważniejszych świąt narodowych!

– Kto by się tym przejmował...

– Ech. – Rozmówca westchnął, ale zebrał się w sobie i kontynuował wypowiedź

– No więc tamtego dnia buntownicy, od jakiegoś czasu oblegający wciąż wierną Warderlonowi stolicę Trackiej Prowincji, wdarli się w końcu na mury i rozpoczęli walkę z obrońcami. Wasz cesarz też tam był, choć wówczas jeszcze jako najemnik.

Początkowo wszystko wyglądało normalnie. Jedna strona kontrolowała kilka dzielnic, druga resztę i mordowali się na ulicach. Nagle jednak, ku zaskoczeniu wszystkich, około południa zapadła noc... Sprowadzeni z Warderlonu magowie przysłoniли magią słońce, używając do tego, o ile dobrze zrozumiałem, dużej liczby kryształów mroku...

– Kosztowne przedsięwzięcie – wtrącił Anarchijczyk, gładząc się po brodzie – I budzący uznanie kunszt.

– Nie w porównaniu z tym, co stało się potem. Sztuczna noc miała być tylko zasłoną, środowiskiem dla dalszego planu. Bo chwilę później z zalanych krwią ulic powstałi umarli. Buntownicy, rojaliści, wszyscy, którzy zginęli w walce, powrócili z grobu i rzucili się na każdego żywego w okolicy, włącznie z trzymającymi się z dala od konfliktu mieszkańcami miasta. Widziałeś kiedyś zombie?

– Nie miałem okazji.

– Niezbyt przyjemny widok. Gdy zaś niebo przysłania magiczny mrok, przerażenie, które wzbudza, jest tylko potęgowane. Na całe Połsan padł strach... – Tokirian przerwał na chwilę, jakby próbując sobie wyobrazić tamten czas – Według większości analiz i opinii, Warderlon, uznając miasto za stracone, wolał je zniszczyć niż oddać buntownikom. I prawie mu się udało.

– Prawie...?

– Jak to mówią u was w Cesarstwie? – Hasnas zastanowił się szybko, wyraźnie usiłując sobie coś przypomnieć – „I wtedy pojawił się Enerias Kazner”. Wciąż pod najemniczym pseudonimem Srebrzystego Wojownika oczywiście. Wraz z kapłanami z waszej świątyni znalazł sposób na pokonanie ciemności i nieumarłych. I wówczas zakończyła się noc, a nastał świt. A przynajmniej tak twierdzi jeden z anarchijskich poematów, które czytałem. Sporo ich macie.

– Jak pewnie zauważyłeś większość mieszkańców Nastilii... lubi cesarza.

– Owszem. Ale nie zmieniamy tematu. Sprawdzałem w wardelrońskich kronikach, jak u licha wezwali umarłych. Oczywiście, mogli postać magów wojny. Po pierwsze jednak nie ma o tym wzmianki, po drugie ten typ czarodziei, jak wszyscy kapłani zresztą, bywa bardzo nieprzewidywalny. W końcu podążył za głosem swego boga. Istniało więc ryzyko, że w ostatniej chwili nie wykonają zadania. Odpowiedź nasuwa się sama. Tam musiał być Nekrokalindrator. I dlatego ja jestem tutaj.

– No ale co się z nim stało po bitwie? Warderłończycy przegrali, więc nie mógł wrócić na Akadarie. Jakież inne pomysły?

– Od tego miejsca prowadziły dwa tropy. Kapłani z waszej świątyni i Enerias Kazner. W końcu wspólnie znaleźli sposób na zwycięstwo. Uznając, iż wypytywanie Wielkiego Cesarza może okazać się problematyczne, wybrałem pierwszą opcję. Zobacz. – Tak rzekłszy, wyciągnął z torby dużą, wykwintnie ozdobioną książkę. Położył ją na stole. – Kronika świątynna. Z tamtego roku.

– A skąd ją niby masz? – zapytał słodkim głosem Naweris.

– Pożyczyłem od waszych kapłanów.

– „Pożyczyłeś”?

– Nie przejmuj się. Oddam, gdy dzisiaj pójdziemy do świątyni.

– Zaraz... – Powstrzymał go Anarchijczyk, próbując przełknąć to, co właśnie usłyszał – Czy chcesz mi powiedzieć, że Nekrokalindrator, artefakt, który wysysa magię z żywych i używa jej do tworzenia nieumarłych... znajduje się w świątyni Bezimiennego, boga światła i ładu?!

– Tak wyszło.

– Herzajjowi, ale jakim cudem?!

– Enerias Kazner, zgodnie z naturalną kolejną rzeczy, zdobył oczywiście nasz skarb, ale ani on, ani kapłani nie wiedzieli jak u licha go powstrzymać. Działał sam z siebie. W końcu jednak znaleźli rozwiązanie, choć bardzo niedopracowane moim zdaniem.

– Kontynuuj...

– Wiesz, co jest pod świątynią?

– Grobowiec – odparł Naweris, marszcząc brwi – Schowali go w grobowcu?

– Dwadzieścia pięć lat temu wiedza magiczna nie była dostępna dla wszystkich, więc nie umieli go dezaktywować. Ale nawet oni odrzucili pomysł pozostawienia czegoś, co wskrzesza umarłych w mauzoleum. Więc nie. Nie zostawili go na tam. Na dnie grobowca jednak... jest przepaść. Głęboka. Kazner zszedł na dół i cisnął Nekrokalindrator na dno owej otchłani. Po jakimś czasie artefakt stracił zasięg, znajdował się zbyt daleko od żywych, aby czerpać skądś moc. Dookoła przecież spali sami umarli. Więc się sam wyłączył.

– Czyli chcesz wkraść się do świątyni, zejść na dół grobowca, zlecieć na dno przepaści, wziąć zapomniany przez wszystkich artefakt i powrócić z nim na powierzchnię? – spytał Anarchijczyk z wątpliwą miną – Przynajmniej wiem, w którym miejscu tego planu potrzebujesz mojego wiatru. Muszę jednak przyznać, że przebiłeś wszystkie nasze akcje ze studiów.

– Narzekasz – odparował Hasnas, machnąwszy ręką – Rozmawiałem z rodziną w Tokirii, która znalazła Nekrokalindrator. Zapłacą za ich własność niebywałą sumę. I jeżeli ci to pomoże... wyjątkowo nic nie kradniemy. Wręcz przeciwnie, zwracamy prawowitemu właścicielowi.

– Wmawiaj sobie, wmawiaj – zalecił Naweris, kiwając głową złośliwie. Następnie dodał z zastanowieniem – Widzę tylko drobny problem w twoim planie, chociaż wiem, że jak zawsze niektóre szczegóły pozostawiłeś dla siebie. Kapłani są również magami. Szansa wykrycia jest niebezpiecznie wysoka...

– Dlatego właśnie nie wejdziemy do ich najświętszych miejsc. Zrobi to za nas ktoś inny. I z tego powodu potrzebujemy profesjonalisty. Akktos!

Stojący cztery metry dalej mężczyzna, który do tej pory dla Anarchijczyka stanowił jedynie element otoczenia, uniósł nagle głowę, podszedł bliżej i zajął miejsce obok przyjaciół.

– Nareszcie – odezwał się z wyraźnym tokiriańskim akcentem – Myślałem, że już nigdy nie przestaniecie gadać. A robota czeka.

– Nasz nowy współpracownik zdecydowanie profesjonalistą jest – powiedział Hasnas, dopijając piwo – Aczkolwiek nie sądzę, abyś o nim słyszał. Zazwyczaj nie

przyznaje się do swoich wyczynów.

– Rozumiem – oznajmił Naweris cicho – tylko...

– W czym problem?

– Dlaczego na bogów taki strój!? Chusta zakrywająca twarz? Kaptur i skórzana kurtka? Wyszyty symbol Tokirii? Przecież każdy strażnik w promieniu mili rozpozna w nim złodzieja i będzie obserwował niemal bez przerwy.

– Rzeczywiście – kiwnął głową Akktos, uśmiechając się chytrze – Jednak nie w przypadku gdy w ogóle mnie nie zobaczy. To jest niezła motywacja.

– W co ja się pakuję... – Westchnął przeciągle Anarchijczyk, ukrywając twarz w dłoniach.

– Nie przejmuj się. Trudniejsze rzeczy już robiliśmy. W dodatku nie na trzeźwo.

– Akurat ty starasz się wciąż trzymać ten poziom – rzekł Naweris, spoglądając na dwa puste kufle po piwie.

– Do roboty – zarządził Akktos, wstając od stołu.

– Jak to? Teraz? – spytał Anarchijczyk zupełnie zaskoczony. – Żadnych przygotowań?

– Wszystko już gotowe od jakiegoś czasu. Zająłem się tym jak zawsze.

– Ale przydałby mi się jakiś czas do namysłu!

– A nad czym się tutaj namyslać? Zresztą wiem dobrze, że brakuje ci dreszczyku emocji w nudnej codzienności.

– A niech cię. Mam nadzieję, iż tego nie pożałuje...

Przyjaciele również opuścili zajęte miejsca i zapłaciwszy za alkohol, udali się do wyjścia. Po chwili znaleźli się ponownie na zalanych deszczem ulicach Połsan.

Zasadniczo świątynia Bezimiennego była niegdyś miejscem kultu jego odwiecznego wroga – Boga Ciemności. Zbudowali ją zresztą Warderlończycy, co dało się rozpoznać po charakterystycznym wzniosłym stylu. Po Wielkiej Rewolucji Krajów Światła i Bitwie Świtu jednak nowi władcy Nastillii zmienili wiarę, a co za tym idzie, kompletnie przebudowali owo sanktuarium. Nawerisa zawsze bawiło to wydarzenie, zwłaszcza że o ile kapłani rzeczywiście odeszli, większość pracowników nadal służyła w świątyni, lecz już innemu bogu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Anarchijczyk, zatrzymując się przed wielką, na wpół otwartą bramą.

– Wiem. Rozpoznałem.

– Chyba mają teraz jakąś ceremonię. Dokładniej ci jednak nie powiem, bo się nie orientuję.

– Ceremonię mówisz? Tym lepiej! – Hasnas bez większych oporów przekroczył próg budynku – Zamieszanie działa na naszą korzyść.

Weszli. Główne pomieszczenie rzeczywiście wypełnione było wiernymi.

Magowie aż z trudem znaleźli ustronne miejsce, z którego mogliby całość w spokoju

obserwować. Ostatecznie jednak stanęli za filarem, po boku sali. Wszędzie jarzyły się światła, wskazujące faktycznie na bliżej nieokreśloną ceremonię ku czci Bezimiennego. Na środku zresztą stał sporej wielkości kamienny posąg, przedstawiający owego boga w pełnej okazałości. Aczkolwiek na przyzwyczajonych do przepychu tokiriańskich świątyni czarodziejach nie robił on zupełnie wrażenia.

– A gdzie Akktos? – spytał Anarchijczyk cicho, obserwując czujnie zebranych wiernych.

– Czyżbyś stracił go z zasięgu wzroku? – spytał sarkastycznie Hasnas – Niemożliwe!

– Nie kpij. Wolałbym nieco lepiej poznać plan.

– Zapewne wkradł się już głębiej do świątyni, wykonując za nas robotę.

Kazałem mu znaleźć jakiegoś samotnego kapłana.

– Kapłana? – Zdziwił się Naweris. Poczuł rosnący niepokój.

– Nie udało mi się poznać rozkładu wewnętrznego sanktuarium. Ani samego grobowca, bo jest zamknięty. Potrzebujemy przewodnika.

– No ale kapłana? Naprawdę? Bardzo zły pomysł. Przecież wiesz, że oni bywają strasznie nieprzewidywalni i skłonni do... poświęceń dla sprawy. Co, jeżeli uzna, iż powstrzymanie nas jest wolą bożą i odmówi współpracy? No i przede wszystkim poinformuje straż, co zrobiliśmy, kiedy już skończymy. A może zamierzasz go zostawić gdzieś na śmierć?

– Daj spokój, nie jestem mordercą – odparł Hasnas z wyraźnym obrzydzeniem

– Zwiążemy go i ukryjemy tak, aby został znaleziony w ciągu kilku godzin. A do tego czasu my już będziemy daleko, bo wykupiłem nam szybki rejs do Tokirii. Ugoszczę cię w Arrak.

– Miło mi. – Kiwnął głową Anarchijczyk. Natychmiast się jednak zreflektował – Ale zaraz, mam tak po prostu opuścić Połsan na dłużej?

– A trzyma cię coś tutaj?

– Niby nie, lecz... A w sumie... nawet lepiej. Trochę mnie to miejsce już irytuje. Ale wciąż nie rozwiązuje to problemów ze współpracą kapłana.

– Oj weź przestań. Większość z nich ceni własne życie. Chyba nasłuchałeś się za dużo opowieści.

– Obyś miał rację.

– Póki co, ciesz się z uroczystości.

– Bardzo zabawne...

Ceremonia trwała, czymkolwiek była. Przebrany na białą mężczyznę na przemian przywoływał światło i pytał wiernych o prośby do boga. W ten sposób minęło mniej więcej pół godziny, choć dokładny pomiar czasu w owej sytuacji wydawał się niemożliwy.

Nagle ni stąd, ni zowąd przyjaciele spostrzegli, że klęczący przed nimi człowiek, odpowiadający co chwile wraz z innymi zebranymi, to Akktos, próbujący wyraźnie zwrócić ich uwagę.

– Większość kapłanów przebywa w tym momencie w jednej z pobocznych

kapliczek – oznajmił cicho, nie odrywając wzroku od uroczystości – I o ile dobrze rozumiałem, nie ruszą się stamtąd przez cały wieczór. Pozostałe pomieszczenia są w większości puste. Akolici też przybyli na ceremonię. Udało mi się jednak znaleźć jednego kapłana, samotnego. Chociaż jest dziwny... Stoi sam pośrodku jednej z sal, opierając się na kosturze. Oczy ma zamknięte, jakby zasnął. Przez cały czas nie ruszał się z miejsca, więc pewnie nadal tam się znajduje. Może wy zrozumiecie czemu.

– Nie sądzę... – stwierdził Hasnas, drapiąc się po brodzie – Aczkolwiek szczęście wyraźnie nam sprzyja. Jeżeli ich kwatery rzeczywiście przez większość dnia będą puste, mamy znakomitą okazję. Ruszajmy. O ile dobrze rozumiałem, wyjście w trakcie uroczystości jest czymś raczej często spotykanym.

Z obojętnymi minami opuścili główną komnatę, z tym że zamiast wyjść na zewnątrz, skręcili w zupełnie inną stronę i po chwili znaleźli się w kwaterach kapłańskich. Dla bezpieczeństwa obu magów aktywowało pieczęcie niewidzialności, co zresztą dwukrotnie ich uratowało, bo pomieszczenia okazały się nie do końca puste. Mijający ich służący jednak nic nie zauważyli. Tylko Akktos musiał wykazać się refleksem i profesjonalizmem.

„To ten” wyszeptał bezgłośnie złodziej, gdy dotarli do bliżej nieokreślonej ozdobnej komnaty. Rzeczywiście na jej środku stał średniego wzrostu mężczyzna, oparty o biały kostur. Jego oczy były zamknięte, jakby zamyślił się nad czymś głęboko, albo układał dłuższą modlitwę. Gdy jednak poczuł na gardle ostrze sztyletu, otworzył je szeroko w cichym geście paniki.

– Spokojnie – powiedział Hasnas, pojawiając się obok – Nie zrobimy ci krzywdy, jeśli okażesz chęci współpracy. Wskażesz nam jedynie kilkukrotnie drogę, a obiecuje, że nawet zdążysz na wieczorną ceremonię. Rozumiemy się? Kiwnij głową.

Nie mając większego wyboru, mężczyzna zrobił, co mu kazano.

– Cudnie. A teraz zaprowadź nas proszę do świątynnego grobowca. Wiem, że gdzieś w pobliżu jest wejście. Pokażesz nam...

– To raczej nie będzie potrzebne – przerwał mu Naweris, również kończąc zakłęcie niewidzialności. – Spójrz.

Tuż obok znajdowały się sporej wielkości kamienne wrota, z dużą wyrytą czaszką na środku. Anarchijczyk od razu rozpoznał symbol oznaczający miejsce spoczynku zmarłych.

– Ach, wybaczyć mój brak spostrzegawczości. Skupiłem swoją uwagę na naszym nowym przyjacielu. – Hasnas podszedł do drzwi – Pozwólcie, że wykonam swoją robotę... – Aktywował zakłęcie kontroli metalu i dotknął ręką żelaznego zamka. Ten jednak ani drgnął – Drah! Przekłęci Anarchijczycy i ich zaklinanie przeciwko magii. No trudno. Akktos, włam się tradycyjnie. Kapłana zostaw mi.

Sztylet wyfrunął z dłoni złodzieja i sam ponownie przyłożył się do szyi ofiary. Mężczyzna nadal obserwował ich z rosnącym niepokojem.

– Nie przejmuj się – ponownie zwrócił się do porwanego Tokirian – Nie zabawimy tu długo.

Kilka chwil później zamek szczęknął metalicznie i wrota stanęły otworem.

Wszyscy czworo weszli do środka, a następnie zamknęli za sobą drzwi, aby nikt nie nabrał podejrzeń. Znaleźli się w komnacie pełnej dziwnych narzędzi, prawdopodobnie używanych do przygotowywania zwłok do pochówku. Naweris natychmiast doszedł do wniosku, iż wolałby nigdy nie widzieć tego miejsca. Zeszli schodami jeszcze niżej i wówczas ich oczom ukazał się niecodzienny widok.

Wybudowana na kształt koła przestrzeń budziła podziw samym swoim rozmiarem. Sufit podtrzymywały wielkie kolumny i innego rodzaju kamienne podparcia, wszędzie po bokach natomiast, dało się zobaczyć wykute w skale groby. Światło dzienne wpadało przez mały otwór na suficie, prawdopodobnie zatkany szkłem, aby nie wpuszczał wody lub śniegu. Same schody zaś wiły się dookoła pomieszczenia, schodząc coraz niżej i niżej, prawdopodobnie zatrzymując się dopiero na samym dole.

– No proszę – rzekł Hasnas, aż gwizdnąwszy z wrażenia – A dziw, że całość się jeszcze nie zawaliła.

– Dno ledwo widać przy tym świetle – stwierdził Naweris, wychylając się za kamienną poręcz. Znajdowali się na samej górze – Zejście zajmie nam chyba z godzinę. Choć mógłbym zlecieć. Ale wole nie marnować mocy.

– Oszczędzaj, oszczędzaj, jeszcze ci się przyda. A nam odrobina marszu nie zaszkodzi. W drogę.

Ruszyli w ciszy, lecz tylko chwilowej. Tokirian moment później machnął bowiem ręką i powiedział głośno:

– Zasadniczo możesz już mówić kapłanie. – Sztylet oderwał się od szyi porwanego i zaczął wirować dookoła niego, jakby przypominając, że wciąż pilnuje – Nie robi ci krzywdy. A chyba nawet krzyki już nie pomogą. Jesteśmy zbyt głęboko.

– Jak śmiecie bezcześcić rodowy grobowiec Połsan?! – zawołał mimo to mężczyzna – Nie nauczono was szacunku dla zmarłych?!

– Chyba go nie przekonałeś – zauważył Naweris kpiąco.

– Daj spokój – odparował Hasnas, dorzucając drugi sztylet do pilnowania ofiary – Po prostu zapomniałem, że kapłani czują się w obowiązku wypominania innym ich przewinień. I chyba nauczania. Nie pamiętam. Jednak to dobrze. Przynajmniej spacer zapowiada się interesująco.

– Kim wy w ogóle na Bezimiennego jesteście?

– Ach... wybacz – Tokirian położył dłoń na własnej piersi w geście przeprosin – Gdzie nasze maniery, przecież się nie przedstawiliśmy. Hasnas Sharivia, z miasta Arrak w Tokirii. Mag magnetyzmu, jak zapewne już spostrzegłeś. – Następnie wskazał na przyjaciela. Ten westchnął.

– Naweris Senelin, skoro już musisz wiedzieć. Żywioł powietrze. Oboje czarodzieje bitewni, choć obecnie działamy w nieco innej branży.

– A ja jestem złodziej – dodał Akktos nieproszony o zdanie.

– To akurat rozpoznałem...

– Ale nie trudź się zapamiętywaniem naszych imion i nazwisk – Tokirian z przemiłym uśmiechem położył rozmówcy dłoń na ramieniu – podążenie ich tropem i

tak cię donikąd nie zaprowadzi.

– Trudziecie się magią – zaczął kapłan, starając się zignorować lewitujące noże – Powinniście mieć szacunek dla świętości. Czyżby nie nauczono was nic o nich w tych waszych akademiach?

– Aha! – Ucieszył się natychmiast kontroler metalu. – Wyczuwam szansę na starą dobrą burzę mózgów. Wyśmienicie.

– Daj spokój Hasnas... – Naweris westchnął, widząc, co się zbliża – To nie jest dobry moment.

– A wolisz spędzić najbliższą godzinę w ciszy? Mniej więcej tyle minie, zanim zejdziemy. Tak przynajmniej nie będzie nudno! Zresztą dyskusje są naszym sportem zawodowym przyjacielu. O ile dobrze pamiętam według większości opinii, potrafimy się kłócić zawsze i wszędzie!

– Właśnie widzę...

– Popieram Anarchijczyka – oznajmił spokojnie złodziej – strata czasu.

– Więc milczcie. Jednak nie odbierajcie mi radości życia – tak rzekłszy, zwrócił się do rozmówcy – Skąd owo oburzenie kapłanie? Pomijając sam fakt porwania, za który oczywiście z wielką skruchą przepraszam.

– Stoicie na grobie setek ludzi. Czy wy w ogóle wiecie, gdzie jesteśmy? Za czasów okupacji Warderlonu, właśnie tutaj grzebano wszystkich członków wielkich trackich rodów. Wśród tych murów pochowaliśmy setki Kaznerów, Aneriwisów, Senelinów... Prawda, od czasu powstania Cesarstwa grobowiec zamknięto, lecz wciąż patrzy na was cała historia! A wy tak po prostu ignorujecie ów fakt i beczceście ich miejsce spoczynku.

– Ależ kapłanie... chwila jak właściwie się nazywasz?

– Altagair.

– A nazwisko?

– Ja nie z rodu.

– O ile pamiętam, rok temu Cesarz przyznał nazwiska wszystkim. Tak więc bez wymigań.

– Dater. Altagair Dater.

– No więc Altagairze, przecież my nic im nie zrobiliśmy! Nie rozkopujemy ich grobów ani nawet nie dotykamy. Weszliśmy tylko na chwilę, co jak dla mnie powinno ich ucieszyć. Chyba nie mają tu za często nikogo do towarzystwa.

– Sama wasza obecność stanowi akt bezczeszczenia.

– Naprawdę? Jak zatem skomentujesz działalność magów wojny, kapłanów jak ty, którzy korzystają podczas bitew z twych czcigodnych zmarłych? Dlaczego wówczas nikt nie zgłasza oburzenia?

– Kompletnie różne sytuacje – odparł Altagair z zawziętą miną.

– Niby czemu? Bo różni zmarli? Rzeczywiście, jedni padli w boju, krwi i bólu i ich szczątki są używane jako kolejni żołnierze. Drudzy umarli pewnie we własnym łóżku, otoczeni przez rodzinę, z wiedzą, że ich nazwisko nie zginie. Właśnie tak dzielisz ludzi kapłanie? Na lepszych i gorszych, zależnie od tego, czy należeli do

jakiegoś ważniejszego rodu? Skoro samo przebywanie w grobowcu określasz jako karygodne, dlaczego zatem na polu bitwy, który przecież jest jednym wielkim cmentarzem, nikt z was nie ma przeciwwskazań? Wytlumacz mi proszę!

– Ginąc w boju, walczyli za większą sprawę – oznajmi po dłuższej chwili Altagair – I zazwyczaj, odchodząc w zaświaty, byli gotowi oddać to, co zostało z ich ciała na kolejną służbę. Bogowie ich zresztą wynagrodzą. W dodatku w większości żołnierze są młodzi. A przynajmniej młodszy od tych pochowanych tutaj, głównie starców. Ci drudzy pragną jedynie spokoju, aby nikt nie zakłócał ich wiecznego snu.

– Aaa... – Tokirian kiwnął głową z udawanym zrozumieniem – Czyli jeżeli ktoś umiera staro, ma szansę na spokojny wieczysty sen, a jeżeli młodo, to niespecjalnie? Ciekawe jak wielki wybór mieli żołnierze ginący z powodu rozkazów swego władcy.

– Jesteście magami – zirytował się kapłan – Powinniście rozumieć choć trochę pojęcie świętości. Niczego nie nauczono was w tych waszych akademiach?

– Myślę, że wiem gdzie leży problem – Hasnas wyjął trzeci sztylet i zaczął go ostrzyć – Ta cała twoja „świętość”, okazuje się nieco względna. Ilu mamy bogów? Pięciu? Każdego czci się inaczej i niestety przeczą oni często sobie nawzajem.

– Nieprawda.

– Takiś pewien? Słuchaj więc uważnie. Może dla Bezimiennego, wejście do grobowca jest świętokradztwem, lecz jeżeli wierzysz, iż jakikolwiek mag wojny miałby przy takowym działaniu wyrzuty sumienia, błędzisz okropnie. Zrobiłby by tak bez zmrużenia oka, jeszcze dziękując bogom za okazje do powiększenia swojej armii.

– Bezimienny rozumie potrzebę Boga Wojny do używania ciał poległych jako wojowników. Tylko jednak w momencie prawdziwej konieczności. I tylko wtedy twój hipotetyczny czarodziej wojny podobne działanie by podjął. A wy tutaj wpadliście bez wyraźnego powodu. I dlatego was potępiam. A może również potrzebujecie armii umarłych? Skąd więc zatem ta dyskrecja. I po co wam kapłan Bezimiennego?

– Jakbyś nie zauważył, zmarłych zostawiamy w spokoju. I wolelibyśmy, aby pozostali na swoim miejscu. Ale zbaczasz z dyskusji. Cały problem świętości i bogów wynika z faktu, że każdy z nas może dowolnie wybierać. Wolna wola leży u podstaw śmiertelnego życia. Co dla jednych zabronione, dla innych czasami okazuje się wręcz nakazywane.

– Nie zgadzam się. Całość tworzy jednolity system. Bogowie rozumieją siebie nawzajem. Swoje sposoby działania i plany. I nie mają sobie za złe, jeżeli zajdzie potrzeba, wykorzystania pewnych środków.

– Jak w takim razie wytłumaczysz Boga Ciemności? Jego czcimy w Tokirii. Niespecjalnie pasuje do twojej teorii.

– On jest... – zaczął Altagair, starając się znaleźć odpowiednie określenie – Poza systemem. Zrzekł się swojej roli.

– Zaskoczyłeś mnie! – Tokirian kiwnął głową z uznaniem. – Udało ci się nie użyć słowa „Zły”. Spore osiągnięcie.

– Jako pokorny wyznawca Bezimiennego, przyznaje, że najlepiej by ono do niego pasowało. Lecz rozumiem, iż wielu doprowadził do chwały i szczęścia. Dlatego

nie staram się nie wykluczać go z kanonu. Według mnie jednak nie zna w ogóle poczucia świętości. Warderłończycy potrafili w jego imię robić okropne rzeczy.

– Tak jak wszyscy inni w imię swoich bogów!

– Ale my to robimy, bo jesteśmy śmiertelnikami. I czasem nam się jedynie wydaje, że rozumiemy ich wolę. Popełniamy głupie błędy, nie ukrywam. Lecz wasz po prostu wam każe, a wy słuchacie jego rozkazów niczym świętości.

– Ha! Mam cię! – wykrzyknął z satysfakcją Hasnas – Jak widzisz i ty uznajesz świętość innych za brednie i nie masz do niej szacunku.

– Możliwe. Ale przynajmniej mam ku temu powody. Powiedz mi zatem jakie ty posiadasz uzasadnienie ignorowania szacunku dla zmarłych?

– Ja po prostu wykazuje podejście przytłaczającej większości ludzi. Swego boga szanuję, innych ignoruję. Nie zaprzeczysz chyba faktom?

– Tłumaczenie się wolą większości to nie argument – stwierdził kapłan spokojnie – Większość może się bowiem mylić.

– Jako uniżony sługa Boga Wojny, biorę przykład z jego kapłanów. Jeżeli uznam, iż potrzeba jest dostatecznie wielka, nie mam oporów przed wejściem na dowolny cmentarz.

– Kapłanom wojny mówi to ich bóg. – Altagairowi zabłyśły oczy – A tobie kto? Sumienie?

– A jeśli tak? Co wtedy?

– Może gdybyś miał szerszy obraz dobra i zła, mógłbym się do tego przychylić. Ale przy ignorowaniu większości bogów, a co za nimi idzie, idei naszego świata, jest to wyraźnie ułomne podejście.

– Obrażasz mnie – Tokirian skrzyżował ręce na piersi z wyraźnym smutkiem – Tylko dlatego, że myślę inaczej? Kapłani...

– Wcale nie – odparł rozmówca, kręcąc głową – Nigdy nie miałem nic przeciwko wyznawcom innych bogów ani takim, którzy nie wyznają żadnego. Jednak lekceważenie całego kanonu jest ogromnym błędem. Ty po prostu błądzisz magu.

Hasnas westchnął, po czym nagle powiedział zupełnie innym tonem:

– Naweris, weź wspomóż starego przyjaciela w dyskusji. – Tu zwrócił się do czarodzieja powietrza. – Bo rozmowa z upartym kapłanem jest jak bicie głową o ścianę. Sam nie dam rady. Albo chociaż wyraż swoją opinię, abym nie stał przeciw niemu samotnie.

– Wolałbym się nie wtrącać – odparł Anarchijczyk cierpko. Szczerze mówiąc, rozmowa nawet go bawiła, a przynajmniej w sytuacji, w której nie musiał w niej brać udziału.

– „Nie zawsze można pozostać neutralnym”. Wypowiedz się proszę. Ciebie też uczono w akademii, masz do tego odpowiednią wiedzę.

– Ale to nie ma sensu – stwierdził Naweris, rozłożywszy ręce w bezradnym geście – Nigdy się nie przekonacie, cała ta dyskusja bowiem jest po prostu zwykłym konfliktem wartości.

– Konfliktem wartości?

– Tak. – Upierał się mag powietrza. – Kapłan służy bogom, więc nikogo nie powinno dziwić, iż stara się ukazać ich w jak najlepszym świetle. Sam bym podobnie zrobił. Dla ciebie zaś liczy się wyłącznie zysk, więc za pomocą swojej wiedzy próbujesz przedstawiać fakty na swoją korzyść. Nic nadzwyczajnego. Jednak nigdy się nie przekonacie nawzajem.

– Teraz i ty mnie obrażasz. – Tokirian pokręcił głową zdegustowany. – Jak tak możecie...

– On ma rację – rzekł nagle Altagair – Jeżeli nie żywisz żadnego szacunku do bogów, nie mamy w ogóle, o czym rozmawiać.

– Każda dyskusja po większej lub mniejszej analizie sprowadza się do konfliktu wartości – kontynuował Naweris nauczycielskim tonem – I jeśli zbyt mocno na wartościach się opiera, a mniej na czystych faktach, jest nierozwiązywalna. Głównie dlatego większość kłócących się, nie może się nigdy dogadać.

– Może więc dajmy spokój bogom – zaproponował kapłan ze spokojem – a przejdźmy na analogie.

– Słucham więc.

– Czy spaliłbyś książkę?

– Co? – zdziwił się Hasnas pytaniem – Oczywiście, że nie!

– Dlaczego?

– No bo tak się nie robi.

– Właśnie – rzekł Altagair z satysfakcją – Książki służą do czytania. Są naczyniem na wiedzę. Spalenie ich przeczy naszej naturze, już sama myśl o tym razi umysł. Jak powiedziałaś „Tak się po prostu nie robi”. I tyle. Podobnie jest z setką innych zachowań. Weźmy na przykład bicie zwierząt. W połowie krajów nie jest nawet zakazane! A jednak każdy uczciwy człowiek, mający sumienie, gdy zobaczy właściciela bijącego psa, spróbuje go powstrzymać. A nawet jeżeli nie ma na takie działanie odwagi, odwróci chociaż wzrok, aby nie widzieć owego zdarzenia. Dlaczego? „No bo tak się nie robi”. Analogicznie jest z grobowcem. Został stworzony jako miejsce spoczynku dla zmarłych. Ciszy i spokoju. Wchodzenie na niego, rozkopywanie grobów, kradzież ich skarbów bądź bezczeszczenie zwłok również powinno razić umysł. Bo tak się nie robi!

Hasnas pogładził się po brodzie w zastanowieniu. Wydawało się, że został przyparty do muru.

– Mam wymieniać dalej przykłady zachowań?

– Nie trzeba. Odnoszę jednak wrażenie, iż podobne sprawy również wynikają z siły większości. Przytłaczająca większość tak nie robi, więc i ja nie powinienem. A niedawno mówiłaś, iż tłumaczenie się większością to nie argument.

– I nadal tak twierdzę. Lecz opisane przeze mnie zachowania pochodzą raczej od ludzkiego sumienia. Kultury. Oraz sposobu, w jaki śmiertelnicy przetrwali na Voimsisie wieki. I opinia mas ludu nie jest w stanie ich zmienić. Leżą zbyt głęboko zakorzenione w naszej naturze. Możesz tłumaczyć to sobie poprzez wieloletnie doświadczenia naszych przodków. Ja wolę uznać, iż po prostu bogowie nasz tak

uksztaltowali.

– Niech ci będzie. – Hasnas docenił ostatecznie siłę argumentu – Istnieją jednak sytuacje, w których owe zachowania należy zlekceważyć.

– Jakie na przykład?

– Weźmy taki Warderlon – rozpoczął Tokirian dziarsko – Prawie sto lat temu wprowadził spis ksiąg zakazanych. W wielu z nich bowiem wiedza okazała się zbyt niebezpieczna dla śmiertelników. Dlatego wszystkie je konfiskowano i palono. Dla większego dobra. Bo gdyby jakiś głupiec poznał ich potęgę i spróbował użyć, skończyłoby się to ogromną tragedią dla całego świata. I myślisz, że magowie wrzucający tomy do ognia się cieszyli? Oczywiście, że nie! Ale wiedzieli, iż robią dobrze. Innej drogi nie było. Taka konieczność.

– Czyli z tego powodu tutaj przyszliście? Bezcieścicie cmentarz, aby uchronić świat od jakiegoś straszego zła? – Kapłan uniósł wysoko swe krzaczaste brwi – Ciekawym, jakie niebezpieczeństwo staracie się powstrzymać.

– Aj, wymieniałem dopiero połowę argumentu. Ale cieszę się, iż nie zaoponowałeś.

– O ile nie zgadzam się z paleniem ksiąg przez Warderlon, bo prawdę powiedziawszy, niszczyli po prostu te, które według nich były szkodliwe dla ich imperium, potrafię pojąć idee poświęcenia dla wyższej sprawy. Sama przecież obrona kraju w razie inwazji jest takim działaniem. Jako mag życia ogólnie zabijanie uznaje za wielkie zło, jednak nie krytykuję broniących nas żołnierzy, którzy niestety zabijać muszą. Wróg nie pozostawia im większego wyboru. Kontynuuj.

– Cieszę się, że chociaż w jednym się zgadzamy. Więc tak zwane „mniejsze zło” czasem bywa konieczne, aby oszczędzić zła większego. A co w przypadku gdy wiedzie do dobra? Przez krew lub łzy, ale jednak?

– Podaj przykład.

– Wardelrońscy magowie przez lata prowadzili w Trackiej Prowincji eksperymenty magiczne. Wysoce niebezpieczne. Oczywiście, jeżeli coś poszło nie tak, wmawiali nierozumiejących przecież podobnych spraw trakom, iż powstała anomalia i przybyli ją usunąć. Mieszkańcy Nastilii byli nawet im wdzięczni za obecność, przez ciemnotę oczywiście. Za podobne wykorzystywanie niewiedzy pozwalam śmiało krytykować. Lecz nie w tym rzecz. Przypadkiem zadali cierpienie wielu osobom, w tym często sobie. Jednak bez ich działań rozwój magii w ogóle by nie nastąpił! Postęp zawsze idzie za jakimś kosztem.

– Jeżeli ów koszt płacą ludzie świadomie podejmujący ryzyko, aby dotrzeć krok dalej, droga wolna – oznajmił kapłan, wysłuchawszy przykładu – Ale nie wmówisz mi, że ranienie przypadkowych, najczęściej nieświadomych niczego ludzi to dobra metoda. Cierpienie najsłabszych jest zawsze oznaką, że coś idzie bardzo nie tak, jak powinno.

– Wolałbyś więc stać ciągle w miejscu?

– Jeżeli nie istniałoby inne rozwiązanie? Bez cierpienia? Tak! – zawołał nieustępliwie Altagair – Lecz na szczęście istnieje. Nie jestem jednym z czarodziejów

prowadzących eksperymenty, przyznaję. Ale wierzę, iż da się je przeprowadzać z dala od ludzi. Z daleka od miast i wiosek. Gdzieś gdzie nie wyrządzą nikomu krzywdy.

– A jeśli są to eksperymenty... na ludziach?

Twarz kapłana pociemniała. Na ustach zaś pojawił się wykrzywiony grymas.

– Pewnych granic nie powinno się przekraczać Tokirianie. Nawet gdy hipotetyczna nagroda przysłania zdrowy rozsądek.

– Nie przekonałeś mnie. Trwają badania nad magią uzdrowicielską. Wiesz, jak wiele istnień może ona ocalić? Niestety obecnie... „testerzy” umierają zazwyczaj w wielkim bólu. Co o tym powiesz?

– Jestem magiem życia – rzekł Altagair, odganiając od siebie lewitujący sztylet

– A oni próbują je ocalić. Nie wychodzi im, ale podziwiam, że wciąż próbują. Dla kogoś zaś, kogo i tak czeka śmierć, nadzieja okazuje się czymś ważniejszym niż strach przed bólem.

– Dopiero co twierdziłeś, że pewnych granic nie powinno się przekraczać.

– Ludzkie życie jest ważniejsze – oznajmi po dłuższej przerwie kapłan.

– Znowu wchodzicie w konflikt wartości! – ostrzegł Naweris z uśmiechem.

Wyraźnie bawiła go dyskusja.

– Mam wrażenie, iż nieco ciężko go unikać – zauważył Hasnas, drapiąc się po głowie – Spróbujmy więc się nieco oddalić się od wyznawanych przez ciebie świętości. Przyjmijmy hipotetyczną sytuację, w której konsekwencją pewnego czynu byłby... zysk. Duży zysk.

– Okupiony cierpieniem jak mniemam?

– Tak. Ale naprawdę ogromny. – Tokirian dla zobrazowania rozłożył szeroko ręce. – Jak wówczas byś do tego podchodził?

– Bardzo nieokreślony przykład. Trudno mi znaleźć odniesienie. Uważam, jednak iż do pewnej granicy, póki owym bólem płaci osoba, która na działaniu zyska, jest ono dopuszczalne. Jeśli jednak cierpią postronni, skrytykowałbym ów wyczyn i spróbował powstrzymać.

– A gdy nagroda okazuje się tak wielka, że ze spokojem można spłacić wszystkim niewinnym doznane krzywdy?

– Nie zapytałeś się ich wcześniej czy są na nie gotowi, zatem nadal podtrzymuje opinię. – Altagair wyrażał się stanowczo – Karygodny czyn. Zresztą nie potrafię sobie wyobrazić, aby ktokolwiek owo cierpienie wynagradzał. Może w idealnym świecie, lecz na pewno nie na Voimsisie.

– Martwi mnie twoja niewiara kapłanie. Chyba powinienesz zmienić profesję.

– Przynajmniej jednak w końcu dowiedziałem się, po co tutaj przyszliście – odparł porwany, krzyżując ręce na piersi – Liczycie na zysk. Najwyraźniej duży. Cóż takiego zainteresowało was w rodzowym grobowcu Połsan? Trakowie nie chowali bogactw przy zmarłych.

– Nie zmieniaj tematu. – Hasnas aż zacmokał z niezadowoleniem – Im mniej wiesz o naszym celu, tym większa szansa, że puszcze cię na końcu wolno. Nie marnuj jej. Ale wróćmy do dyskusji. Gdzie leży owa niepisana granica, za którą wielka

nagroda, czy też dobro, przestaje upoważniać czynienie zła lub podejmowanie ryzyka? Sobie oczywiście. Przyjąłem, że gdzieś tam za twoim oburzeniem leży altruizm i nie zamierzam ponownie wchodzić w konflikt wartości.

– Trudno powiedzieć – rzekł ostrożnie Altagair, strzepując kurz z szaty – Dla mnie granicę ustala bóg, lecz rozumiem, iż ciebie tym nie przekonam. W takim razie może prawo? Albo normy moralne?

– Które prawo? Które normy? Są ich setki.

– Te najlepsze.

– Ach... czyli mogę wybrać dowolne, mi odpowiadające? Znakomicie. Pozwól iż zdecyduje się na tokiriańskie.

– I to jest właśnie problem z osobami ignorującymi bogów – oznajmił kapłan wyraźnie zirytowany – Brak jakiegokolwiek wyższego, stabilnego kanonu wartości. Po prostu gubicie się wśród setek opinii, twierdzeń i rad.

Hasnas roześmiał się głośno, po czym pokręcił głową.

– Powiem ci brutalną prawdę Altagairze, którą wy od tak dawna próbujecie odrzucić. Nasz świat już całkowicie zatonął w Symfonii Światła i Mroku. Granice się zatarły, wartości przemieszały. Nie sposób dojrzeć bieli czy czerni, jedynie wszechogarniającą szarość. Jak w tym przeklętym bałaganie próbujesz mówić o czymś stabilnym i wyższym? Może na początku Voimsisu rzeczywiście istniał jakiś podział, każdy wiedział, na czym stoi. Lecz teraz nie zdołasz już precyzyjnie określić, co jest dobrem a co złem. Wrząca mieszanina emocji, mocy i marzeń nie pozwoli ci na to. Ignorowanie zaś owego faktu tylko sprowadzi więcej cierpienia. Trzymaj się tak uparcie swego boga kapłanie, z nadzieją, iż jest czymś stałym w tej szalejącej burzy. Przynajmniej umysł będziesz miał spokojny, niezmałcony okropną prawdą.

Zapadłą na chwilę ciszę przerwał nagły, wyraźnie od jakiegoś czasu tłumiony śmiech. Naweris prawdopodobnie nie potrafił już dłużej się powstrzymać.

– Aleś zahaczył o filozofię przyjacielu, no no... – Anarchijczyk odgarnął z twarzy swe dłuższe blond włosy – Teraz będzie przez najbliższą godzinę próbował się ponownie znaleźć.

– Daj spokój. – Hasnas machnął ręką z lekceważeniem. – Zapominasz, że nasz nowy towarzysz jest kapłanem. Nie odstąpi tak łatwo od bronionych przez siebie wartości. Na pewno nie w obliczu maga, który włamuje się do grobowca jego przodków.

– I tu masz rację Tokirianie. – Altagair kiwnął głową potwierdzająco. – Aczkolwiek nikt z tutaj pochowanych do mojej rodziny nie należy. Ojca miałem Warderlończyka.

– Mag życia pochodzący z państwa cienia? W dodatku służący w Cesarstwie Anarchijskim? Interesujące... Czyżbyś wolał Wielkiego Cesarza zamiast Mrocznego?

Kapłan nie odpowiedział od razu. Zamyślił się głęboko, jakby próbując przywołać wspomnienia. Ostatecznie rzekł cicho:

– Nie było was tam.

– Gdzie?

– Na Bitwie Świtu. Ojciec też służył w świątyni...

– Przecież kapłani nie mogą mieć dzieci.

– Nie był kapłanem. Tylko służącym. Ale i on przybył tutaj, gdy nad miastem zapadła noc, przerażony tym, co działo się na ulicach. Miałem wówczas trzynaście lat... Ledwo pojmowałem jakich wydarzeń stałem się świadkiem. Ale zrozumiałem jaką pomoc zesłał dla nas Bezimienny Bóg, poprzez obecnego Cesarza. Bez jego światła, Połsan zostałoby zrównane z ziemią. I nigdy o tym nie zapomnę. Właśnie dlatego zostałem kapłanem. Pragnę służyć Panu Życia, aby jego moc rozświetliła mroki Voimsisu i pozwoliła wieść nam wszystkim szczęśliwe życie.

– Bredzisz kapłanie – Stwierdził Hasnas, wysłuchawszy słów Altagaira – Aczkolwiek z pewnością masz w tym wprawę. Skoro już jednak zabrnęliśmy w temat waszego władcy... Naweris?

– Słucham?

– Zupełnie zapomniałem cię zapytać, a ciekawość mnie zżera. Jako rodowity Anarchijczyk, co sądzisz o Eneriasie Kaznerze?

– O tym młokosie? Daj spokój.

– Jest starszy od ciebie – stwierdził Tokirian z rozbawieniem – Ma ponad czterdzieści lat.

– Ale wygląda na dwadzieścia – odparł mag powietrza – I na tyle się zresztą zachowuje.

– Interesujące – wtrącił się nagle Altagair, zupełnie nieproszony – Wydawało mi się, że wszyscy czarodzieje szanują Cesarza, choćby z wdzięczności.

– Wdzięczności? Niby za co?

– O ile pamiętam, to on założył wszystkie akademie magii na Nastilii. Bez niego w ogóle nie mógłbyś się uczyć.

– Bzdura – odparował Naweris, wciągając się w dyskusję – Wyobraź sobie, że ani ja, ani Hasnas nie uczęszczaliśmy do żadnej z anarchijskich szkół. Studiowaliśmy w Tokirii.

– Co? Na bogów, czemu?

– W Cesarstwie liczyły się twoje przewinienia, pochodzenie oraz zdolności. Tokirian zaś obchodzi jedynie, ile płacisz. Zasadniczo nie musisz nawet się uczyć, jeżeli uznasz coś za bezsensowne. I właśnie ów fakt doceniam najbardziej. Zresztą nie chciałem słuchać gderania nauczycieli, iż „Enerias Kazner to, Enerias Kazner tamto”... Przecież wówczas wszyscy o nim gadali! Cała wyzwolona Trakia. Oszaleć można.

– Był bohaterem rewolucji. – Kapłan ciągnął temat spokojnie. – I zasiadł na tronie. Trochę trudno go ot, tak zapomnieć.

– Bohaterem? Pff – Naweris prychnął z pogardą. Ale nie dodał nic więcej.

– Widzę, że wyraźnie masz coś przeciwko Cesarzowi. Nadal jednak nie mogę zrozumieć co. Skąd ta nienawiść?

– Właśnie, skąd? – Dołączył się do pytania Hasnas.

– Nienawiść? Przesada. Lecz rzeczywiście. Nie lubię go.

– Dlaczego?

– Uważam, że jest niebezpieczny.

– Niebezpieczny? – zdziwił się Altagair – Dla sprzymierzeńców mroku z pewnością...

– Nie – zaprzeczył mag powietrza – Dla nas, Anarchijczyków. I dla całego Voimsisu.

– Niby jakim sposobem?

– Popytaj ludzi. KAŻDY w naszym przeklętym kraju popiera Cesarza. Wszyscy patrzą na niego z uwielbieniem niczym na boga albo zesłanego z niebios wybawiciela. Nikt nie zatrzyma się na chwilę i nie pomyśli nawet „A co jeżeli się myli?”. Gdzie tam, podążają za nim ślepo jak stado owiec, prowadzone przez przewodnika, za którym nawet w ogień skoczą. Zastanawiałeś się kiedyś, jak by się sprawy potoczyły, gdyby stał się zły? Ale nie tak widocznie, tylko powoli, gdzieś od wewnątrz. Myślisz, że ktokolwiek zakwestionowałby jego decyzje? A gdzieżby tam... Wszyscy ślepo by je wychwalali niczym słowo boże.

– Przesadzasz. Nie twierdzę, iż w naszym narodzie są sami inteligenci, lecz na pewno znaleźliby się ludzie trzeźwo myślący, chociażby i magowie, którzy spostrzegliby zło i spróbowali je powstrzymać.

– Niby jak skoro wszyscy pochodzą z założonych przez niego szkół, w których jak młotem im się wbija do głowy, jaki jest wielki i wspinały!?

– Ach tam, bzdura. Wydaje mi się, iż za bardzo popadasz w stereotypy i generalizację. I wyraźnie nie znasz Eneriasa Kaznera. On pomógł nam wyrwać się z okowów niewoli i poprowadził nas do wielkości. W większości jego działań natomiast widać wyraźnie troskę o Cesarstwo...

– Ha! – zawołał Naweris z satysfakcją – Widzisz? Nawet ty dałeś się mu już omamić. Nie potrafisz dopuścić w ogóle myśli, w której mógłby stać się zły. A skoro tak bardzo zależy mu na Anarchijczykach, dlaczego nie odda korony komuś normalnemu?

– A czemu na bogów miałby?

– Czy ty naprawdę całkowicie oślepeś? Przecież od razu widać analogię! Już jednego nieśmiertelnego kontrolera żywiołów Voimsis pamięta jako władcę. Darnendir Warestiris, pierwszy Mroczny Cesarz Warderlonu. I do czego to doprowadziło? Połowa krajów na kolanach skuta w łańcuchy, pozostałe kłaniające się i przymilające, aby tylko oszczędzić sobie gniewu władcy świata. Jak sądzisz? Ile minie, nim wasz przewspaniały Enerias Kazner sięgnie po podobną władzę? Tron psuje ludzi, wiesz o tym dobrze. Sprawia, iż chciwość i zazdrość sączą się przez serce niczym choroba. Czemu niby twój „bohater” miałby tego unikać?

– On taki nie jest.

– Może nie dziś – przyznał spokojnie Naweris – Ani nie jutro. Lecz przecież wyrwał się spod wpływu czasu. Co więc za dziesięć lat? Dwadzieścia? Sto?! Voimsis będzie cierpiał okropne męki, bo wymienił jednego tyrana na drugiego. A Anarchijczycy zastąpią Warderlon na kartach historii, jako nowy naród, który przymusił inne do swojej woli. Rzekłbym, że pomnisz me słowa kapłanie, lecz

prawdopodobnie nie stanie się to za naszego życia. I właśnie dlatego uważam, iż cesarz jest niebezpieczny. Zarówno dla świata, jak i dla nas, Anarchijczyków.

– W życiu nie słyszałem większego steku bzdur – oznajmił Altagair, kręcąc głową z dezaprobatą – On jest bohaterem. Pierwszym w naszej smutnej historii. Czy nie wiesz, że w przeszłości ponosiliśmy same klęski? Najazd warderloński, wszystkie próby buntu... Nie mieliśmy nic. A Enerias Kazner dał nam zwycięstwo! I nadzieję. Stał się wzorem do naśladowania którego tak brakowało.

– A niby po co nam jakikolwiek wzór? – Mag powietrza nie ustępował. – Nie umiesz sam podejmować decyzji? Odróżniać dobra od zła? Cemu miałby istnieć ktoś, pokazujący wszystkim jak należy działać? Bogowie nie bez powodu dali nam wolną wolę!

– Voimsis zatonął w chaosie emocji, chęci i marzeń. Potrzebujemy czegoś stabilnego, czego moglibyśmy się uchwycić. Nie przekonują cię bogowie? Twoja decyzja! Ale czemu krytykujesz też bohaterów? Enerias Kazner wielokrotnie dowiódł swych dobrych intencji. Jak możesz uważać, że stanie się zły? Jako jedyny podczas Wielkiej Rewolucji sprzeciwił się wojnie domowej! Jako jedyny próbował powstrzymać rozlew krwi! I w końcu jako jedyny dojrzał, że światło Bezmiennego jest lekarstwem na mrok i cierpienie. On po prostu nie może być zły!

– Nawet największym zdarza się upadek. Pomnisz me słowa kapłanie – rzekł Naweris nauczycielskim tonem – Choć prawdopodobnie dopiero po śmierci, gdy ze względu na twą służbę otworzą przed tobą bramy raju, spojrzysz na nasz świat i pomyślisz ze smutkiem: „A jednak miał rację”.

– Nie sędzę.

– Pocieszam się jedynie prostym faktem – dodał Anarchijczyk, schodząc nieco z tonu – Poprzedni niby „nieśmiertelny” władca panował tylko osiemdziesiąt lat, nim zginął. Mam nadzieję, że Enerias Kazner pójdzie w jego ślady.

– Nie chce przerywać waszej niezwykle interesującej dyskusji – powiedział nagle Hasnas, nim kapłan ponownie doszedł do słowa – Ale twoje obliczenia okazały się nieprawidłowe Nawerisie. Dotarliśmy na dół w mniej niż godzinę.

Rzeczywiście. Schody skończyły się nagle sporej wielkości kamienną bramą, za którą rozpoczynała się ogromna przestrzeń podłoża grobowca, obserwowana wcześniej przez magów z góry. Tym razem jednak dało się zobaczyć o wiele więcej, choć niedługo prawdopodobnie miało zająć słońce. Posadzkę wykonano z czarnego marmuru, odmiany wydobywanej na Akadarii, wskazując w ten sposób na twórców struktury. Ściany zdobiły kolejne tablice nagrobne, informujące kto i kiedy został tam pochowany. Wszystko przedstawiało się naprawdę przepięknie, choć mrocznie i ponuro, jak na grobowiec przystało.

– Jestem magiem bitewnym Hasnasie – rzekł Anarchijczyk, wzruszając ramionami – Nie jasnowidzem. Lecz widzę większy problem. Tutaj nie ma żadnej przepaści.

– Przepaści...? – zdziwił się kapłan.

– Trudno zaprzeczyć – odparł Tokirian, spokojnie gładząc się po brodzie w

zastanowieniu – Aczkolwiek kroniki raczej nie kłamią. Całe szczęście, że mamy ze sobą ciebie Altagairze. Gdzie ona jest?

– Ale jakiej na Bezimiennego przepaści? – Warderłończyk kręcił głową, nic nie rozumiejąc.

– Nie udawaj ignoranta. Powinna tutaj być, a jej nie ma. A może nieco dopomóc ci w odświeżeniu pamięci? – Trzy sztylety nagle przywarły do ciała kapłana.

– Aaa... Wam chodzi o ten rów?

– Rów?

– Podziemny. Właśnie tak go u nas nazywają.

– Bez znaczenia. Gdzie on?

– Zamurowali go – odparł tamten, wzruszając ramionami – Dla bezpieczeństwa.

Nagły śmiech Nawerisa kompletnie oczyścił atmosferę. Aczkolwiek trochę minęło, zanim go powstrzymał.

– I tyle z naszego planu – stwierdził wciąż rozbawiony – Czyli możemy wracać? Liczę, że wciąż ugościsz mnie w Tokirii.

– Zamilcz. – Hasnas wyraźnie wpadł w złość. – Tak łatwo się nie poddaje. Na pewno da się jeszcze tam wejść.

– Wejść? – zdziwił się Altagair – Na Pana, po co?

– Nasza sprawa. Lecz nie myślę się, nieprawdaż? Pozostawiliście jakieś wejście. Tak na wszelki wypadek.

– Ale czemu u licha go szukacie? Cały rów przeszukali wzdłuż i wszerz, Warderłończycy, setki lat temu, gdy budowali grobowiec. Nic tam nie ma. Komplet... – mężczyzna zamilkł nagle, marszcząc swe krzaczaste brwi. – Chyba że... ale nie. Jesteście magami... nie możecie być aż tak głupi... Nie chcecie mi chyba powiedzieć, iż przybyliście tutaj po Nekrokalindrator?

– Dosyć! – zawołał Hasnas, a następnie przyparł kapłana do muru – Gdzie jest wejście!?

– Pytaj ile razy chcesz głupcze – odparł Altagair zawzięcie – Nigdy ci nie powiem.

– W takim razie zagramy inaczej – wyrwał porwanemu kostur z ręki i odrzucił go daleko za siebie, następnie wskazał dłonią na stojący obok metalowy świecznik i rzucił zakłęcie. Żelazo wygięło się kilkukrotnie, tworząc przedmiot idealnie nadający się do obecnej sytuacji. Po chwili kapłan został przygwożdżony do ściany na stałe. – A teraz powoli i precyzyjnie, będę obcinał ci palce. Jeden po drugim, póki nie odpowiesz na moje pytanie. A wiesz, co jest najlepsze? – Odsunął się od uwięzionego na kilka metrów. Sztylety wciąż go otaczały – Nawet się przy tym nie pobrudzę.

Ostrza zawirowały, a następnie miarowo zbliżyły się do dłoni ofiary. Altagair próbował ich uniknąć, jednak jedno z nich przyszpiliło mu rękaw szaty do ściany. Znajdował się w sytuacji bez wyjścia. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, w oczach zaś strach. Ostatecznie, gdy pierwsze z narzędzi dotknęło jego skóry, wyszeptał z wysiłkiem:

– Ruiny...

– Słucham?

– Trzeba przejść przez ruiny Pradawnych...

– Więc i tutaj mieli jakieś zabudowania? – zdziwił się Hasnas, natychmiast zmieniając ton. Atmosfera się nieco oczyściła.

– Oczywiście – stwierdził Naweris, wzruszając ramionami – Jak i wszędzie. Nie zauważyłeś, iż traktowali Voimsis jak jeden wielki plac budowy?

– Przesadzasz. Widzisz jednak? – spytał, uwalniając porwanego z żelaznego uścisku – Nie taki kapłan odważny, za jakiego się podaje.

– Może po prostu lubi swoje palce.

– Znowu kpisz. Prosiłem, abys tego nie robił. Akktos. – Zwrócił się do złodzieja.

– Zwiąż go. Wolałbym, aby nie sprawiał nam większych problemów.

Po chwili Altagair stał spętany, w sposób uniemożliwiający rzucanie zaklęć. W tokiriańskiej akademii uczono i tego.

– Gdzie zatem owe ruiny?

– W grobowcu Narillusa Anerivisa.

– Trochę dokładniej proszę.

– Daj spokój – rzucił Anarchijczyk, podchodząc po kolei do najbliższych grobów – zaraz znajdę.

Niewielka brama, którą po chwili odnaleźli, okazała się zamknięta, lecz nie stała za długo na drodze. Cienka warstwa kamienia szybko puściła pod silnym naporem znajdującego się nieopodal metalu. W środku jednak nie było trumny a jedynie rozpoczynający się długi, pokryty setkami dziwnych symboli korytarz. Prowadził nieco w dół.

– Jak mi poszło? – szepnął Hasnas do przyjaciela, zanim przekroczyli próg grobowca – Pytam o swoje drobne przedstawienie.

– Skutecznie. Przez chwile naprawdę myślałem, że zrobisz mu krzywdę. – Naweris pogładził się po brodzie z zastanowieniem – Przypominają mi się studia w akademii – oznajmił już głośniejszym głosem, ruszając pierwszy wraz z przyjacielem. Przywołał też na szybko światło. Akktos zaś prowadził związanego kapłana – Ileż lat już minęło? Piętnaście? Na Boginie Natury... prawie zapominałem, jak Pradawni budowali swoje konstrukcje.

– A zapamiętałeś, chociaż po co? – Hasnas przejechał dłonią po znakach widniejących na ścianie – Wiedza, którą nam w ten sposób pozostawili, dała początek magii. Wiem, że nigdy za nimi nie przepadałeś, choć nie rozumiem czemu. Większość magów ma na ich punkcie obsesję. W nich znaleziono artefakty, przepowiednie i zaklęcia.

– Nie przeczę roli, jaką odegrały – Anarchijczyk pokręcił żywo głową – Tylko... wolałbym się trzymać od nich z daleka. Nie moja działka.

Zapadła cisza. Ponownie, jedynie chwilowa.

– Mogę się odzywać? – spytał kapłan, spoglądając na wirujące sztylety z pogardą i strachem.

– Wiele rzeczy potrafię zrobić innym magom Altagairze. – Tokiriana wyraźnie bawiła rozmowa z porwanym. – Ranilem ich, upijałem, okłamywałem... lecz nigdy przenigdy nie zakazywałem im mówić. To by odebrało im całą radość życia. O ile zaś rzeczywiście liczy się dla mnie głównie zysk, nie czerpię przyjemności z czyjegoś cierpienia. Mów zatem. Karć nas za błędy. Nauczaj prawidłowego zachowania. Jak już tam sobie chcesz.

Kapłan jednak zignorował zachętę rozmówcy i zrobił coś, czego w sumie mogli oczekiwać od niego od początku. Zaczął się modlić.

– Bezimienny – rzekł cicho, jakby nie chcąc zostać usłyszany – Boże światła i życia. Wybacz swemu słudze brak męstwa oraz owym przybyszom ich niewiarę i chęć dokonania okropnego czynu. Ześlij na nich dar mądrości i zrozumienia, aby pojęli, jak wielkie zło uwolnią. Oszczędź mieszkańcom tego świata cierpienia, które z tego powodu nadejdzie...

– Chyba popełniłeś błąd – stwierdził Naweris, kręcąc głową – teraz będzie przynudzał.

– Tchnij we mnie oświecenie, abym odnalazł sposób na powstrzymanie tego szaleństwa, nim wyrządzi ono krzywdy niewinnym. – Altagair kontynuował niestrudzenie – Wspomóż swego sługę mój panie, by podołał w nadchodzącej próbie. I miej nas wszystkich w swojej opiece...

– Wystarczy tych bredni – przerwał mu Hasnas, machnąwszy ręką – Tylko humor nam psujesz. Już wolałem twoją krytykę.

– Zawróćcie – oznajmił kapłan, jakby podejmując rzucone przez Tokiriana wyzwanie – Wciąż macie możliwość. Obiecuję nie donieść na was, jeżeli powstrzymacie to szaleństwo.

– Szaleństwo? Okradanie cesarskiego skarbcza, jak wcześniej już wspominałem, rzeczywiście szaleństwem mogłoby być. I niezłą metodą samobójstwa. Lecz my, jako magowie, mieliśmy już do czynienia z artefaktami. Wiemy, jak działają. Nie ma powodu do obaw.

– Nie lekceważę waszej wiedzy. Przewiduje, jednak iż skoro interesuje was zysk, sprzedacie Nekrokalindrator. I może nie dziś ani nie jutro, lecz w końcu ktoś zdecyduje się go użyć, w takim czy innym celu. Cierpienie, które wówczas wywoła, będzie ogromne. Zginie wielu ludzi. I wszystkich ich powinniście mieć na sumieniu.

– Wtedy pewnie już dawno opuścimy ten świat, tak więc nie ma zmartwienia.
– odparł Hasnas, wzruszając ramionami.

– Egoista...

– Niekoniecznie. Artefakt ten został odnaleziony w Tokirii, przez pewną rodzinę. Odebrano jednak im ich własność. My tylko staramy się ją zwrócić.

– Został zabrany nie bez powodu. – Kapłan brnął uparcie – Owszem. To jak kradzież. Ale dopiero co twierdziłeś, że czasem dla oszczędzenia zła większego, trzeba popełnić zło mniejsze. Ile by minęło, nim owa rodzina przypadkiem by go uruchomiła? Dziesięć lat? A wówczas cała twoja ukochana pustynia zaroiałaby się od nieumarłych. Zysk jest dla ciebie najwyższą wartością, rozumiem. Lecz jak

wspominałem wcześniej, istnieje pewna granica, której nie należy przekraczać, nawet dla największej nagrody.

– A ja wtedy spytałem cię, co niby tę granicę wyznacza. U ciebie bóg. A u mnie? Zezwoliłeś mi na wybranie norm i praw. Tokiriańskie zasady zaś pozwalają na dowolny zarobek. Dlatego nie uznaje zwrócenia skradzionej własności prawowitemu właścicielowi za grzech, nawet jeżeli w przyszłości wyrządzi ona krzywdy. To już nie moja sprawa, a korzystającego z artefaktu. I on zostanie z niej rozliczony.

– Głupiec... – rzekł Altagair, zrozumiałwszy, iż nie przekona Tokiriana żadnym wywodem – Oby Bezimienny Bóg zmiłował się nad twoją duszą. – Zwrócił się następnie do Nawerisa – A ty Anarchijczyku? Nie widzisz w waszym czynie nic karygodnego?

– Nie zamierzam dać się wciągnąć w dyskusję kapłanie – odparł mag powietrza, wzruszając ramionami – Nie interesuje mnie ona kompletnie.

– Dlaczego?

– Jak już wcześniej się dowiedziałeś, Hasnas wyznaje Elfickiego Boga Wojny. Poznałeś pewnie kilku jego wyznawców, w kwestii podejścia do konfliktów nie różni się od nich za bardzo. Dlatego tak chętnie wybiera strony i dołącza się do każdej kłótni. Traktuje to niczym powołanie. Dodatkowo lekceważy inne podejścia, uznając je za nieprawidłowe niestety. Brak tolerancji przyznaje, ale musisz mu go wybaczyć. Ja tymczasem bardziej przekonuje podejście Bogini Natury, która wyraźnie zaleca neutralność oraz brak wtrącania się w sprawy innych. Walczcie ze sobą, krzyczcie na siebie, ile chcecie. Ja będę stał obok w spokoju i przyglądał się waszym zmaganiom.

– Czemu więc zatem tutaj jesteś i bierzesz udział w całym procederze?

– Przyjmij, że pomagam po prostu staremu przyjacielowi. W przeszłości wielokrotnie ratowaliśmy siebie nawzajem i pozostawienie go w potrzebie, nie leży w mojej naturze.

– Nibyś taki neutralny. – Kapłan zaczął spokojnie – A jednak zdolny do krytyki. Jak śmiałeś potępiać Eneriasa Kaznera, przewidując, iż zastąpi z dobrej ścieżki, samemu przykładając rękę do ogromnego zła?! Akurat on, mimo całej twojej lawiny oskarżeń doskonale wiedział, co należy uczynić z Nekrokalindratorem! Odebrał go warderlońskim magom, przebił się przez hordy nieumarłych i wrzucił w miejsce, z którego nigdy nie powinien być wyciągnięty! On uczynił, co należało, a ty, uznając siebie za godnego krytykowania, już nie potrafisz? Powstrzymaj to szaleństwo czarodzieju, nim będzie za późno.

Naweris nie odpowiedział. Utkwił tylko wzrok w przestrzeni przed sobą.

– Hipokryta – podsumował go kapłan, niewiele więcej mogąc zrobić.

Dotarli do wyłomu w ścianie korytarza. Pradawna budowla skręcała dalej w lewo, prawdopodobnie prowadząc do głębszej części starożytnego kompleksu, lecz wciąż uparci magowie dotarli już do celu swej podróży. Za wyrwanym fragmentem ściany rozpościerała się przepaść.

– Jak dla mnie wystarczy już gadania – oznajmił Hasnas, przeciągając się prędko – Czas na działanie. Twoja robota przyjacielu.

– Czekaście tutaj – odparł Naweris, aktywując zaklęcie podróży na wietrze. Nagle zawiął nimi silny podmuch – I najlepiej dawajcie jakieś sygnały, abym wiedział jak wrócić. Może jakieś iskry albo co? Ostatecznie możecie też kazać Altagairowi przywołać światło, bo wiem, że wy nie umiecie.

Tak rzekłszy, skoczył w przepaść.

Tokirianie nie bardzo wiedząc, ile zajmie akcja, rozsiedli się na podłodze, Hasnas jednak nim to uczynił, wyjął z torby biały kryształ i dotknął go, mrucząc coś pod nosem. Ten po chwili zaczął świecić.

– Ha – oznajmił zadowolony mag magnetyzmu, kładąc klejnot przy wyłomie – Nie docenił starego przyjaciela.

Kapłan stał wciąż wpatrzony w mrok, ignorując całkowicie rozmawiających po cichu Tokirian. Prawdopodobnie modlił się w myślach, aby wysłany czarodziej nie zdołał odnaleźć przeklętego przedmiotu. Najwyraźniej jednak bogowie nie sprzyjali mu tamtego dnia. Pół godziny później bowiem w wyrwie ponownie ukazała się sylwetka Nawerisa.

– To ten? – spytał czarodziej, ukazując półmetrowy metalowy obiekt. Wyglądał jak dziwna powyginana klepsydra, wykonana w całości ze srebra. Magowie wiedzieli jednak, iż nie jest to srebro a obsydian, materiał tworzony przez Pradawnych, specjalnie do kucia ich artefaktów. W zasadzie niezniszczalny i niesamowicie lekki. W dodatku rzadko spotykany, bo żaden śmiertelnik nie potrafił dorównać kunsztem starożytnym zbrojmistrzom.

– Zdecydowanie – odparł Hasnas, zacierając ręce – Jak z magią?

– Jeszcze trochę mi jej zostało – odpowiedział Anarchijczyk, lądując na podłodze – ale wolałbym już się nie wznosić w powietrze.

– Nie zamierzam prosić. Akktos poniesie. Chyba najbardziej się do tego nadaje.

– Po raz ostatni błagam was – rzekł Altagair, obserwując cały proceder z rosnącym strachem – Pójdźcie po rozum do głowy i odłóżcie go na miejsce. On nie przyniesie niczego dobrego!

– Wiesz co kapłanie? – Tokirian pogłodził się po brodzie z zastanowieniem – Chyba jednak zostawię cię tutaj na śmierć. Zaczynasz mi wyraźnie działać na nerwy.

– Hasnas... – w głosie Anarchijczyka dało się słyszeć niebezpieczną nutę.

– No dobrze. Idziemy. Tylko nie obijać się.

Ruszyli, tym razem w ciszy. Choć po minie kapłana można było wywnioskować, iż ponownie zaczął się modlić. Lecz nie tylko on wyglądał nietęgo. Mag magnetyzmu miał na twarzy wyraz zawziętej determinacji, niczym jeździec na końcu wyścigu, kiedy zostało już zaledwie kilka metrów do upragnionego zwycięstwa. Dodatkowo w jego oczach co jakiś czas pojawiał się cień, oznaczający albo lęk, albo jakiś chytry plan.

Oblicze Nawerisa również nie napawało optymizmem. Było ponure i obojętne, jakby zmęczyła go cała ta sytuacja. Nic zresztą dziwnego, patrząc na trwającą ostatnią godzinę kłótnie. Jedynie Akktos prezentował się jak zwykle. Jego twarz zakryta została przecież chustą, nie szło więc wywnioskować co o tym wszystkim

myśli.

Jakiś czas później przed nimi pojawiło się wątle światło wieczornego dnia, choć większość nazwałaby je już pewnie półmrokiem. Dotarli z powrotem do grobowca, opuszczając jednocześnie zrujnowane podziemia Pradawnych. Mimowolnie odetchnęli.

– Jeszcze tylko parszywa wspinaczka na górę – Hasnas westchnął przeciągle niezbyt pocieszony perspektywą – Nawet nie zaczęliśmy, a już mnie nogi bolą.

Wtem kilka rzeczy wydarzyło się bardzo szybko. Altagair bez ostrzeżenia kopnął w brzuch zapatrzonego w górę złodzieja, przewracając go tym samym na ziemię. Artefakt wypadł mu z ręki i potoczył się po posadzce. Następnie kapłan dopadł do niewielkiego posągu wojownika i zaczął przecinać więzy na ostrzu jego miecza. Naweris próbował go powstrzymać, lecz potknął się o leżący tam od prawie godziny biały kostur. Tracąc równowagę, idealnie wpadł na tor lecących już sztyletów maga magetyzmu, który jakimś cudem zdołał je obrócić tak, aby nie zraniły przyjaciela. Zostały jednak uwięzione na ułamek sekundy przez ciało Anarchijczyka.

Altagair nie zdążył w połowie nawet pozbyć się więzów, nim czarodziej powietrza wstał i doskoczył do niego odważnie. Lecz wtedy porwany przewrócił na niego posąg, który miał stać się jego wybawieniem. I już chciał znaleźć inną metodę przecięcia sznurów, kiedy otrzymał silny cios w brzuch od złodzieja, mającego przecież dość czasu na ochłonięcie po uderzeniu.

– Zadam ci jedno proste pytanie – rzekł Akktos, przygważdżając mężczyznę silnym uściskiem do ściany – Co wybierasz? Życie czy śmierć?

I wtedy nieopisane przerażenie pojawiło się w oczach kapłana. Nagle dało się słyszeć dziwny nieokreślony dźwięk, jakby ktoś wprawił w drżenie bardzo długi kawałek metalu. Podniesiony zaś chwilę wcześniej przez złodzieja Nekrokalindrator zajarzył się pulsującym ciemnozielonym światłem.

– Czy naprawdę musiałeś to powiedzieć...? – spytał Altagair, wciąż nie mogąc się ruszyć.

Akktos wystraszony puścił go, a następnie odrzucił artefakt daleko od siebie. Ten potoczył się po czarnej posadzce zupełnie nienaruszony. Następnie wystrzelił wijącymi mrocznymi promieniami w stojący obok magów.

– Zostaw mnie w spokoju przekłeta machino! Krąg magiczny! – krzyknął natychmiast Naweris, przywołując ochronę. Błysły światła złotego pentagramu. Na ten moment wydawał się bezpieczny – Hasnas, wyłącz go!

Tokirian, również połączony z Nekrokalindratorem wysysającą moc smugą, zignorował zagrożenie, podszedł bliżej i chwycił przedmiot w ręce. Wówczas na jego twarzy pojawił się wyraz okropnego bólu. Zawył zaskoczony i puścił artefakt z powrotem na ziemię.

– Na Boga Wojny! Jak u licha Enerias Kazner go tu przytachał?!

– Nie zrobił tego! – Kapłan odsunął się również z dala – Niosła go wtedy jego obecna żona, Anvena.

Wówczas rozległ się dźwięk pękającego kamienia. Wszyscy równocześnie się

odwrócili, akurat na czas, aby zobaczyć kościaną rękę wysuwającą się z jednego z grobowców. Po chwili z pozostałymi stało się to samo.

– Herzajjowi! – zaklął głośno Anarchijczyk, mocniej zaciskając swój kostur.

– Zgadza się! – Hasnas również przywołał krąg – Szybko przyjacielu! Pozycja bojowa!

Wiatr i metal wspólnie poszybowały do walki. Nawet Akktos chwycił w dłoń bliżej nieokreślony metrowy świecznik i wywijał nim dookoła, rozbijając na kawałki powstających z grobów nieumarłych. Przez chwilę wydawało się, że rozpadające się na kości szkielety nie mają żadnych szans, lecz wychodziło ich więcej i więcej, a nawet te pokonane, składały się same z powrotem i ponownie rzucały na czwórkę intruzów.

– Nie damy rady! – krzyknął Naweris, przywołując kolejne podmuchy.

– Przestań krzyczeć i walczyć – odparł Tokirian o wiele ciszej. Nie tracił tak łatwo wiary.

– Mamy nieprawidłowe żywioły głupcze!

– Całe życie mi to wypominasz. Mógłbyś chociaż raz przestać?

– Ale taka jest prawda! Potrzebujemy...

– Światła – wtrącił się do dyskusji Altagair z zabójczym spokojem – rozwiążcie mnie.

– Ani mi się ważcie! – zabronił Hasnas, wysyłając na porwanego jeden sztylet – Przecież przez niego w ogóle artefakt się włączył. Dość już kłopotów sprowadziłeś Warderłończyku.

– Więc co niby proponujesz?

– Akktos, łap za Nekrokalindrator.

– Czemu ja? – Złodziej nie był za bardzo chętny.

– Bo tak jak wówczas ta cała Anvena, nie masz magii! Nie zrobi ci krzywdy. – Mężczyzna z powątpieniem dotknął przedmiotu, lecz chyba nie poczuł nic niewłaściwego. Chwycił go więc mocniej. – Ruszamy na górę – komenderował dalej Hasnas – Ja prowadzę. Wybiję nam ścieżkę.

Wyszedł z kręgu i natychmiast ponownie dopadł go ciemnozielony promień. Zignorował jednak ten fakt. Machnął ręką i wszelki metal w pomieszczeniu pomknął w górę schodów, zrzucając z nich nieumarłych niczym dziecięce klocki. Po chwili brnęli już naprzód. Naweris pilnował, aby żaden przeciwnik nie zdołał ich dogonić. Nie posuwali się jednakże zbyt szybko.

Kilka minut później, kiedy przeszli już mniej więcej jedną trzecią drogi, bez ostrzeżenia z góry spadły na nich szkielety. Prawdopodobnie nie chcąc marnować czasu ani nie ceniąc własnej egzystencji, skoczyły po prostu z piętra wyżej, prosto na niczego niespodziwującego się złodzieja. Ten przewrócił się pod ich ciężarem i odpychając je od siebie jakimś cudownym sposobem, wpadł na Altagaira i wraz z nim zahaczając przy okazji o Nawerisa, pomknęli w dół schodów, nie mogąc zapanować nad siłą ciężenia. Wyhamowali ostatecznie, ale nieumarli zdążyli oddzielić ich trójkę od przewodnika.

– Hasnas! – krzyknął Anarchijczyk w stronę samotnego przyjaciela. Tamten odwrócił się zaskoczony, tracąc na chwilę koncentrację.

I wtedy dopadli go nieumarli. Kilku z nich przełamało barierę wirującego metalu i rzuciło się bezgłośnie na ofiarę. Czarodziej przewrócił się pod ich naporem, w panice zapominając o swych broniach. Walczył wyłącznie rękoma.

– Nie! Hasnas! – Zawył ponownie Naweris, posyłając w tamtą stronę potężny podmuch wiatru. Niestety okazał się zastęp szkieletów, który nieco wcześniej zeskoczył z góry i do nich już maszerował. Powietrze nie zrobiło im większej krzywdy.

– Nie zdołasz mu w ten sposób pomóc – oznajmił Altagair, przyglądając się opadającemu z sił Tokirianowi. Dało się już zobaczyć krew – Uwolnij mnie.

Anarchijczyk zaciskając desperacko zęby, kiwnął głową i przeciął więzy porwanego. Następnie odepchnął magią najbliższych położonych nieumarłych. Kapłan aktywował jedno zaklęcie, a potem złożył dłonie w modlitewnym geście.

– Bezimienny – oznajmił stanowczo w skupieniu – boże ładu i życia. Bądź naszą tarczą w tej próbie. Ześlij odwagę swemu słudze, aby podołał zadaniu...

– Przestań bredzić i zrób coś! – wykrzyknął Naweris, starając się za wszelką cenę powstrzymać otaczających ich wrogów. Lecz kiedy zobaczył jaśniejące promienie zbierające się przy porwanym, nie dodał nic więcej.

– Zamknijcie oczy – nakazał spokojnie kapłan, gdy nagle zniknęły, pograżając ich ponownie w ciemności.

I wówczas bez ostrzeżenia nastąpiła bezgłośnie eksplozja. Całe pomieszczenie zatoneło w wirującym zaklęciu furii światła. Jasność paliła wszystko dookoła, wdzierając się nawet poprzez zamknięte powieki, zmuszając mężczyzn do zasłonięcia ich również za pomocą dłoni. Spektakl ten trwał jednak jedynie kilka chwil, po których zgasł nagle, pozostawiając wszystkich nieumarłych ponownie pozbawionych woli i zdolności poruszania się. Opadli oni na ziemię niczym szmaciane lalki, którymi znudziło się żądne zabaw dziecko.

– I to tyle? – zdziwił się Akktos, rozglądając się dookoła – Spodziewałem się jakiegoś bólu.

– W tym właśnie rzecz – oznajmił Naweris, ruszając biegiem w stronę przyjaciela – Światło jest niezwykle skuteczne przeciwko istotom mroku, ale ludziom nie robi większej krzywdy. Z cieniem analogicznie.

Anarchijczyk odgarnął stertę kości z ciała Tokirian, a następnie sprawdził mu puls.

– Nie... Hasnas... – Ukrył twarz w dłoniach z rozpaczą. Stracił właśnie przyjaciela.

– Niech bogowie wybaczą mu jego błędy – oznajmił Altagair, kładąc dłoń na sercu – I pozwól przekroczyć bramy raj.

– Kapłanie... – Naweris spojrzał na rozmówcę z cieniem nadziei.

– Nie mogę. Znasz zasady magu. Potrzebuję ofiary.

Wtem jeden ze szkieletów drgnął odrobinę. Nekrokalindrator wciąż działał.

– Zabraknie mi magii na kolejną furję – stwierdził porwany z rosnącym

strachem.

– Więc nie marnujemy czasu! – krzyknął Akktos, oglądając cały ów proceder z obojętnością – Biegiem! – tak rzekłszy, wystrzelił schodami w górę.

– Czekaj! Nie zostawię go tutaj przecież!

– Chyba nie będziesz miał wyjścia – oznajmił kapłan, wskazawszy na martwego Tokiriana. Jego oczy otworzyły się powoli i upiornie.

Naweris odskoczył przerażony od ciała przyjaciela i również ruszył biegiem. Altagair podążył za nim.

Poruszający się z przodu mężczyzna wyraźnie lepiej znał się na ucieczkach, jak zresztą na złodzieja przystało. W dodatku posiadał lepszą kondycję od niegustujących w sportach czarodziejów. Gdy więc minęli połowę wysokości, zdobył nad nimi już sporą przewagę. I wówczas nagle ku zaskoczeniu wszystkich, z góry skoczył zakuty w zbroję szkielet, posiadający w dodatku wielką żelazną buławę. Prawdopodobnie chciał wylądować gdzieś między uciekinierami, lecz ciężar nie pozwolił mu tam dolecieć. Swą bronią jednak zawadził o drewnianą podporę, podtrzymującą schody w tym miejscu. Kamienie posypały się z głośnym rumorem i między mężczyznami pojawiła się wyrwa we wcześniej bezpiecznej drodze ucieczki.

– Akktos! – krzyknął Anarchijczyk, próbując zwrócić uwagę wciąż uciekającego.

Tamten odwrócił się natychmiast i z przerażeniem spostrzegł wyłom. Kapłan i czarodziej znaleźli się w pułapce. Zastanowił się chwilę, lecz dziura była zbyt duża, aby ją przeskoczyć czy ominąć. Ostatecznie spojrzał im w oczy i rzekł cicho:

– Wybaczcie.

Po czym ponownie ruszył biegiem w górę.

– Akktos! Nie!

Mag odwrócił się i spojrzał w dół schodów, idealnie, aby zobaczyć maszerujący w ich stronę oddział nieumarłych. Dopadło go przerażenie.

– Myśl! – wykrzyknął Altagair, zastawiając im drogę własną osobą. Posłał w ich kierunku kilka świetlistych pocisków, przemieniając część z powrotem w stertę kości – Akurat tego cię uczono czarodzieju!

Naweris spojrzał ponownie w górę. Złodziej tymczasem również miał problemy. Wciąż niosąc Nekrokalindrator, wskrzeszał na drodze wszystkich pochowanych. Po chwili goniło go prawie trzydzieści upadłych.

– Mam pomysł. Ale ci się nie spodoba – oznajmił ostatecznie.

– Możliwe – odparł kapłan, przywołując magiczną tarczę. Napór się wzmaczał – Lecz uwierz mi, nie wytrzymamy tak zbyt długo!

I wówczas powrócił szkielet odziany w zbroję. Najwyraźniej trafił na niższe piętro i zdążył przez miniony czas wrócić do uciekających. Przedarł się przez szturmujących towarzyszy i zamachnął się swą buławą na wzniesioną obronę maga. Ta pękła jasnym rozbłyskiem.

– Trzymaj się mnie! – krzyknął Anarchijczyk, chwytając towarzysza za ramię – I skacz!

Rzucili się oboje w przepaść. Kapłan wykazał w ten sposób wiele wiary dla

planu rozmówcy. Zgodnie jednak z przewidywaniami porwał ich przywołany wiatr. Pomknęli w górę niesieni na skrzydłach powietrza. Kilka pięter wyżej jednakże zatrzymali się nagle i zawisli w próżni.

– Akktos! – krzyknął Naweris do przebiegającego akurat obok Tokirian. Goniła go zgraja szkieletów – Rzuć mi Nekrokalindrator! Tylko cię spowalnia, w dodatku powiększa pościg!

Złodziej nie zastanawiając się długo, wciąż w biegu wziął zamach i cisnął artefaktem w powietrze. Anarchijczyk złapał go i ponownie pomknął w górę. Po chwili wylądowali na samym szczycie, choć nie było to miękkie lądowanie. Mag zaś natychmiast odrzucił przedmiot jak oparzony.

– Pali – oznajmił zwięźle – Musimy go wyłączyć.

– Pozwól mi spróbować – zaproponował kapłan i chwycił w dłoń Nekrokalindrator. Ale i jego twarzy wykrzywił grymas olbrzymiego cierpienia. Upuścił go, padając jednocześnie na kolana – Nic z tego. Wybacz, nie posiadam takiej odporności na ból.

– Herzajjowi – zaklął Naweris, spoglądając w dół na walczącego z umarłymi Akktosa – Po co Pradawni go w takim stworzyli? Cemu utrudnili dezaktywację?

– Nie mamy wyjścia – stwierdził Altagair, wstając z powrotem – Musimy zrzucić go na dół. Im dłużej przebywa obok nas, tym gorzej.

Anarchijczyk spojrzał na rozmówcę z ciężkim spojrzeniem.

– Daj spokój magu! Zabił ci przyjaciela! Czy naprawdę aż tyle się liczą dla ciebie pieniądze? Pozbądź się go, zanim jeszcze więcej osób ucierpi!

Mag zastanowił się chwilę, ponownie oblekając wzrokiem całe pomieszczenie. Dało się zauważyć wyraźną konsternację na twarzy. Ostatecznie podjął decyzję.

– To nie wystarczy – stwierdził, wyciągając z torby sztylet i kawałek liny – Musi trafić z powrotem do otchłani.

– Ale jak chcesz...

Naweris nie pozwolił mu dokończyć. Kopnął Nekrokalindrator daleko przed siebie, w stronę dołu cmentarza. Zawisł on jednak w powietrzu. Następnie skoczył za nim i poleciał prosto do wielkiej, wiszącej na łańcuchu kamiennej ozdoby, mającej zapewne symbolizować jakiś z rodów. Począł przywiązywać artefakt do dzieła.

Wtem rozległ się głośny krzyk bólu. Kapłan spojrzał z przerażeniem w stronę złodzieja. Nieumarli otoczyli go i przyparli do muru. Wymachiwał jeszcze świecznikiem z szaloną desperacją, ale niewielkie miał szansę na ucieczkę.

– Na Pana... – szepnął kapłan, po czym podbiegł do kamiennej poręczy. Aktywował zaklęcie podróży na światło, lecz słońce dawno już zaszło, uniemożliwiając mu szybkie przemieszczenie się do atakowanego Tokiriana. Rzucił więc w jego kierunku kilka rozpaczliwych pocisków, zamieniających niektóre ożywione szkielety z powrotem w stertę kości. Ale nim jego działania zrobiły jakąkolwiek różnicę, skończyła mu się magia.

– Nie! – wykrzyknął, spoglądając na dłonie, jakby go zdradziły – Nie teraz! Na Bezimienego... co ja sobie myślałem, marnując wcześniej moc...

I wówczas rozległ się bliżej nieokreślony zgrzyt metalu. Naweris, przywiązawszy Nekrokalindrator do wiszącej ozdoby, odłączył ją od sufitu. Ciężki kamienny obiekt pomknął w dół z rosnącą prędkością. Uderzył w czarną posadzkę i przebił wykonaną dla bezpieczeństwa warstwę marmuru oddzielającą grobowiec od przepaści. Artefakt zniknął z głośnym trzaskiem w ciemności otchłani. Anarchijczyk następnie, widząc wciąż wspinających się wyżej umarłych, podleciał do kolejnej dekoracji i przywołał potężny podmuch, sprawiając, iż zamieniła się w potężne wahadło.

I wtedy zabrakło mu mocy. W panice chwycił się podążającej raz w jedną, raz w drugą stronę ozdoby, aby nie podążyć drogą Nekrokalindratora. Nie stracił jednak wiary. Zaciśnął mocniej dłonie i począł wspinać się po rozbujanym łańcuchu w górę, a kiedy tam dotarł, wyczekał na odpowiedni moment i ponownie odpiął zdobienie od sufitu. Ciężki kawałek skały pomknął z wcześniej nadanym impetem naprzód siebie i uderzył prosto w górną część schodów, oddzielając kompletnie rosnące zastępy umarłych od wyjścia. Sam Naweris jednak, nie mogąc już kontrolować własnego lotu, podążył za wciąż trzymaną ozdobą. Puścił ją w odpowiednim momencie, tak aby wylądować na schodach, ale nie doceniwszy prędkości, upadł z pełnym impetem na ciężkie kamienne podłoże, a głową trzasnął o ścianę. Polała się krew.

– Nie! – wykrzyknął ponownie Altagair, zbiegając do maga. Nie znajdował się specjalnie daleko – Błagam nie! Zostań! – wołał z nadzieją, unosząc jego ciało. Lecz kapłańskie zmysły nigdy nie myliły się w podobnych sprawach. Czarodziej zginął na miejscu.

Porwany wstał powoli, wiedząc, iż nie może już pomóc i odwrócił się w stronę wciąż walczącego Akktosa. Próbował ponownie pomóc mu światłem, lecz magia nie zdążyła się jeszcze odnowić. Nie, gdy w pobliżu wciąż działał Nekrokalindrator.

– Bezimienny... – wyszeptał Altagair, padając na kolana i zamykając oczy – Wybacz mi... Zawiodłem ludzi, których mi powierzyłeś. Nie dałem rady obronić ich przed złem. Zważ na ich ostatnie ofiary i pozwól przekroczyć bramy raj. Zaś mi, daj możliwość odkupienia błędów poprzez służbę...

– Kapłanie! – głośny desperacki krzyk rozległ się w pomieszczeniu.

Mężczyzna wstał i ponownie spojrzał na złodzieja. Ten, poważnie już ranny, niemal przestał odpychać atakujących go wrogów. Ich spojrzenia się spotkały.

– Czyń swoją powinność. – oznajmił Tokirian, nim zatonął całkowicie pod naporem nieumarłych. Chwilę później otoczyła go esencja wyczuwana jedynie przez osoby służące jednemu bogu...

– Bezimienny – oznajmił Altagair, kładąc natychmiast rękę na sercu. Wstąpiła w niego nowa energia – Władco Światła i Ładu. Pozwól wykonać mi mój najświętszy obowiązek. Tchnij we mnie moc, aby życie ponownie mogło zatriumfować! Twój sługa cię wzywa! – Następnie aktywował zaklęcie.

Zabłyśło niebiesko-zielone światło, kapłana zaś otoczyła jaśniejsza aura. Wskazał dłonią na umierającego Akktosa, a esencja wytrysnęła dookoła i pomknęła w jego stronę. Następnie skierował ją w prosto na leżącego przed nim Anarchijczyka.

Ciało maga wchłonęło życiodajną energię i uległo całkowitemu uzdrowieniu.

Naweris wziął nagle głęboki wdech, podrywając się jednocześnie z ziemi. Był w szoku.

– Co się stało? – spytał totalnie zagubiony.

– Zginąłeś – wyjaśnił Altagair, wciąż trzymając rękę na sercu – Lecz Tokirian, umierając, oddał ci swoje życie. Bezimienny Bóg zaś pozwolił mi przywrócić cię z martwych.

– Akktos? – zdziwił się czarodziej, marszcząc brwi.

– Być może w głębi duszy bolał go fakt, że nas porzucił – stwierdził rozmówca uspokajającym głosem – A może wiedział, iż i tak umrze i przynajmniej spróbował pomóc innym? Trudno powiedzieć. A niestety, od niego już się nie dowiemy...

Spojrzeni oboje na ciało złodzieja, ledwo widoczne wśród kotłujących się nieumarłych. Szkielety próbowały wspinać się dalej, lecz wyrwa powstała przez działanie Anarchijczyka skutecznie im to uniemożliwiała. A kolejni wyżej się nie tworzyli, Nekrokalindrator znajdował się bowiem za nisko.

– Ja... dziękuję – rzekł w końcu Naweris po przeanalizowaniu wszystkiego.

– Nie dziękuj mi a swemu towarzyszowi oraz Bezimiennemu. Ja tylko wykonałem swój obowiązek. A teraz chodź. Zbyt dużo już tu czasu spędziliśmy. Trzeba wracać na powierzchnię.

Kapłan pomógł czarodziejowi wstać, a następnie razem udali się do wyjścia. Znajdowało się ono zasadniczo tuż obok. Ostatecznie stanęli za bramą grobowca i ze smutkiem ostatni raz spojrzeli do jego wnętrza.

– Szczerze mówiąc, wciąż nie wiem, czy na ciebie nie donieść – Oznajmił Altagair, wzdychając głęboko – Z jednej strony wraz z towarzyszami dopuściłeś się karygodnego czynu, za który prawdopodobnie spędziłbyś resztę życia w więzieniu, ale z drugiej, gdy doszło co do czego, dokonałeś właściwego wyboru i powstrzymałeś zło, przyptacając nawet ów czyn własnym życiem. Hm...

Naweris czekał cierpliwie, nie pośpieszając rozmówcy.

– Odejdź – zdecydował w końcu kapłan – Dość tragedii na dzisiaj. Lecz potraktuj te wydarzenia jako solidną lekcję.

– Tak zrobię. I dziękuję – odrzekł Anarchijczyk, zbliżając się do wyjścia – Trudna decyzja, prawda?

– Nie – zaprzeczył Altagair, wracając na swoje miejsce na środku pomieszczenia – To jedynie... Jak mówiłeś? „Konflikt Wartości”.

Choć niemalże natychmiast po owych wydarzeniach wybito wszystkich znajdujących się w grobowcu nieumarłych, a podłogę ponownie zamurowano, zdarzyły się jeszcze dwie próby wykradnięcia Nekrokalindratora. Po drugiej Cesarz ostatecznie ustawił stałe straże w świątyni Bezimiennego.

Naweris opuścił kraj rządzony przez znienawidzonego władcę i zamieszkał w Tokirii. Dożył tam swych ostatnich dni, pracując, o ironio, jako badacz ruin Pradawnych. Nigdy nie powrócił na Nastilię.

Altagair do końca życia służył swemu bogu jako kapłan. Zmarł mając 74 lata.
Voimsis przez następne wieki trwał wolny od okropnej mocy mrocznego artefaktu.

Dwie strony magii

Luxner, Kaistlania. Rok 345 od zesłania Pana.

Strażnicy na dany sygnał otworzyli ciężkie drewniane drzwi i do niemal pustego pomieszczenia weszło kilku ludzi. Jeden z nich, mężczyzna o dobrze zbudowanej sylwetce, zamiast jak reszta zająć prędko miejsce, począł się rozglądać.

Sala obrad niewiele się zmieniła od jego poprzedniej wizyty. Krzesła wciąż stały w kolejno umieszczonych coraz wyżej półokręgach i nikt nadal nie wpadł na pomysł zmiany ciężkiego kamiennego stołu na coś nieco bardziej gustownego. W dodatku straż ciągle miała przykry zwyczaj zamykania drzwi natychmiast po czymś wejściu bądź wyjściu. Po kilku godzinach dyskusji z pewnością zrobi się strasznie duszno...

Mag (bo ów człowiek właśnie magią się zajmował) dostrzegł ku swej radości znajomą twarz. Bez chwili zastanowienia udał się więc w jej stronę.

– Witaj Naretisie! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę – rzekł, gdy tylko znalazł się dostatecznie blisko.

– Vernan? Na Pana, jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałbym się tutaj zobaczyć – odparł siedzący na krześle, wyraźnie zdziwiony technomag – Słyszałem co prawda, że wybrano nowego przedstawiciela Ujścia Oreny, ale w życiu bym nie pomyślał, iż to ty nim ponownie zostałeś. Nie mówiłeś przypadkiem, że masz już dość ciągłych kłótni?

– A weź, nie przypominaj – odpowiedział czarodziej, również zajmując miejsce – Gdyby nie problemy pieniężne to w życiu bym się tu nie znalazł. Ale co zrobić? W przeciwieństwie do pewnej osoby nie mam „rodzinnego majątku”, który mógłbym w spokoju trwonić.

Rozmówca parsknął rozbawiony, słysząc zwyczajowy przytyk, ale nie dał się tym razem wciągnąć w nieskończoną dyskusję.

– Cóż, wypłata radnego jest z pewnością zachęcająca...

– Żeby tylko o to chodziło. Szczerze mówiąc, po raz pierwszy zamierzam złożyć wniosek o dofinansowanie.

– Dofinansowanie? Ty? – zdziwił się jeszcze bardziej Naretis, obserwując jednocześnie wchodzących do pomieszczenia kolejnych magów i technomagów – A na cóż tobie aż tyle pieniędzy?

– Na magię przyjacielu. Jestem specjalistą od magicznych metali i minerałów, pamiętasz? Zatrudniają mnie obecnie władze jednego uniwersytetu, ale niestety eksperyment, który dla nich przeprowadzam, utknął w martwym punkcie zwanym „brakiem odpowiednich środków”.

– Brak środków mówisz... A ta cała uczelnia nie dała ci odpowiednich pieniędzy na ewentualne koszty?

– Dała... Niestety wygląda na to, że źle przekalkulowałem potrzebną ilość endreogetu. Surowiec się skończył w połowie, a uniwersytet domaga się widocznych efektów. Oczywiście przedstawiłem im sytuację, ale to nie jedyny projekt, w który inwestują, więc nie są w stanie dopłacić. Jestem zatem w kropce. Innymi słowy... potrzebuję endreogetu. A endreoget drogi, jak zapewne wiesz.

– Oj Vernanie... – rzekł mężczyzna, kręcąc głową z dezaprobatą – Jak zwykle mnożysz problemy. Trzeba było od razu przyjść z tym problemem do mnie. Przecież wiesz, że pracuję przy wydobywaniu endreogetu. Jeśli tylko chcesz, przekonam odpowiednie osoby, aby dostarczyły ci niezbędną ilość naładowanego metalu niemalże za darmo. Zrobią to zwłaszcza chętnie, wiedząc, iż będziesz u nich kupować w przyszłości.

– Nie chciałbym nadużywać naszej znajomości... – zaczął czarodziej powoli, ale nie dane mu było dokończyć.

– Och, dajże spokój, produkujemy tego olbrzymie ilości i budżet nawet nie zauważy, gdy troszkę zniknie. Zresztą... Mimo dzielącej nasze profesje niechęci nadal uznaje pomoc starym przyjaciołom za przyjemność.

– W takim razie pozwól, chociaż abym wam się zrewanżował. Wasza kopalnia z pewnością zatrudnia od czasu do czasu specjalistę od metali magicznych prawda? Mógłbym wykonać dla was za darmo kilka drobnych zleceń.

– No i widzisz? – rzekł Naretis, uśmiechając się od ucha do ucha – Nie tak trudno znaleźć proste rozwiązanie. Teraz nie musisz już prosić tej głupiej Rady o dofinansowanie. Współpraca popłaca.

– Zdecydowanie. Niestety nie wszyscy tak chętnie pomagają, jak ty. W każdym razie, skoro problem się rozwiązał, z wielką satysfakcją wyrzucę swój wniosek do kosza...

– Siadaj – nakazał jednak technomag, powstrzymując rozmówcę przed wstaniem z miejsca. Wskazał wzrokiem na zamykane drzwi. Najwyraźniej wszyscy już się zjawili i niedługo miały rozpocząć się obrady – Głupio by było, gdybyś teraz wyszedł.

Vernan kiwnął głową i posłuchał przyjaciela.

Kaistlancka Rada Magii, jak powszechnie wiadomo, została założona w celu sprawiedliwego podziału państwowych inwestycji między konkurujących niemal o wszystko magów i technomagów. Królestwo Kaistlanii bowiem przykładło wielką wagę do szeroko pojętego rozwoju, a co za tym idzie, wspierało i finansowało wiele badań. Powstanie organizacji kierującej tym niezwykle ważnym strumieniem pieniędzy było więc konieczne i nieuniknione.

Z czasem jednakże Rada rozszerzyła swoją działalność poza podział złota i stała się, praktycznie rzecz biorąc, organizacją zrzeszającą zarówno magów, jak i technomagów, oraz kształtującą ich wspólną politykę. Wszyscy członkowie byli przecież w zasadzie kolegami po fachu, a ich cel i kierunek jednoznacznie określony – Magia. Ktoś musiał zatem zająć się organizacją i podziałem zadań rozproszonych po całej Kaistlanii badaczy i konstruktorów. W dodatku, gdyby udało się na takowej

Radzie ustalić jedną wspólną opinię, zamiast wysyłać wiele różnych, często ze sobą sprzecznych, z pewnością miałyby się większą siłę przebicia u królewskich skarbników.

Dlatego więc Kaistlancka Rada Magii działała, mimo setek wciąż pojawiających się kłótni i głosów niezadowolenia.

– A w ogóle to nad czym dzisiaj debatujemy? – zapytał Vernan, spoglądając na porządkującego papiery przewodniczącego – Niby przeczytałem plan spotkania, ale nie do końca łapię się w ogólnej sytuacji. Będzie coś interesującego?

– Tak sądzę. O ile pamiętam, ostatnio król postanowił zwiększyć wypłaty dla nas, pomniejszając te dla was, co nieco podgrzało atmosferę.

– Ale chyba miał ku temu jakieś powody?

– Jak dla mnie sam fakt, że statystycznie mieliście większe dofinansowania od nas, by wystarczył... Ale władca nie wyjaśnił specjalnie swojej decyzji. Nie żeby musiał zresztą. Tak więc wielu magów wciąż jest trochę wzburzonych. Na przykład taki Agret... – Tu wskazał na przechodzącego kilkanaście metrów dalej czarodzieja. Rzeczywiście, minę miał on nietęgą, a w oczach połyskiwał rodzaj gniewnej determinacji.

– Pamiętam Agreta... – powiedział Vernan, krzywiąc się nieco na widok przywołanych wspomnień – Jeśli jest tak, jak mówisz, to zebranie z pewnością zapowiada się interesująco.

Przewodniczący, Enerion Vadiner, jak informowała niewielka kartka przyklejona do jego szaty, uporządkował w końcu leżące na stole papiery i wstał. Wziął głęboki oddech, po czym rzekł głośno do pozostałych:

– Panowie. Myślę, że możemy zaczynać... Usiądźcie, proszę i zamilknijcie. Nie mam zamiaru wszystkich przekrzykiwać. I błagam, odwołajcie magiczne światła! No, dobrze... – oznajmił, gdy w końcu wykonano jego rozkazy. Część osób wciąż jednak rozmawiała między sobą, nie przejmując się jego obecnością – Ależ proszę o ciszę! Zachowujcie się panowie... Em... I drogie panie.

– Zapomniałeś o błogostwieństwie! – krzyknął ktoś z tyłu. Rozległy się zgodne pomruki.

– A... rzeczywiście. Niechaj moc Elfickiego Boga Mądrości ochroni to, co dla was drogie, a jego logika pozwoli podejmować słuszne decyzje.

Większość osób, wliczając w to niemal wszystkich magów, z szacunkiem skłoniła głowy. Część technomagów jednakże wzruszyła tylko ramionami. Religijność nigdy nie była ich mocną stroną.

– Zaczniemy zatem – nakazał nieśmiało przewodniczący, unosząc ręce – Po pierwsze mamy na liście dwadzieścia cztery wnioski o dofinansowanie. Najwyraźniej tym razem, stanowcza ich większość pochodzi od magów. Zanim...

– Nie powinno być to dla nikogo zaskoczeniem, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia – rzekł nagle do wszystkich Agret, podnosząc się z miejsca. Prócz bycia przedstawicielem Mediato, piastował on również funkcję sekretarza, co czyniło go trzecią najważniejszą osobą w Radzie – Myślę, że skoro król postanowił zmniejszyć

magom wypłaty, to dofinansowania powinny dotyczyć głównie naszej profesji, z nielicznymi wyjątkami. Nie widzę innego wyjścia. Inaczej podział będzie niesprawiedliwy.

Zebrani mieli jednak mieszane uczucia do tego pomysłu. Większość zapewne kojarzyła słowo „sprawiedliwość” ze słowem „równość”. A podział proponowany przez mówcę, daleki był od równego.

Vernan uznał, że to znakomity moment, aby się wtrącić. Wstał nagle, wywołując zaskoczenie w oczach swojego przyjaciela i rzekł do przewodniczącego, iż wycofuje swój wniosek. Ku jego zdumieniu dwóch czarodziei poszło za jego przykładem. Agret jednakże spojrzał na nich wrogo. Najwyraźniej uważał, że taka postawa nie wróży nic dobrego jego propozycji.

– Cóż, w takim razie sytuacja nie przedstawia się już tak niezwykle – oznajmił przewodniczący z ulgą. Jeden kłopot miał z głowy – Zastanówmy się zatem po kolei, kto powinien otrzymać dodatkowe pieniądze. – Spojrzał błagalnym wzrokiem na wciąż stojącego Agreta. Czarodziej w końcu usiadł.

Po chwili wzywano kolejno magów i technomagów, którzy wcześniej złożyli wnioski. Dyskusja na szczęście nie była jakoś specjalnie napięta.

– Nie podoba mi się pomysł ograniczenia nam dofinansowań – oznajmił cicho Naretis, spoglądając krzywo na pomysłodawcę tej idei – W końcu na początku dodatkowe pieniądze od państwa trafiały wyłącznie do was. My musieliśmy obejść się smakiem. Teraz przynajmniej mamy równe szanse.

– Jest w tym pewna racja – przyznał Vernan, kiwając powoli głową – Ale postaw się na naszym miejscu. Nagle ni stąd, ni zowąd, musimy dzielić się naszymi pieniędzmi tylko dlatego, że jacyś, wybaczone określenie, heretycy o wybujałej ambicji postanowili spojrzeć na Magię w inny sposób. Dziwisz się, że niektórzy są niezadowoleni?

– No nie... Wydawało mi się, iż dyskusje o tym, po której stronie jest racja, mamy już dawno za sobą.

– To nie ma znaczenia – oznajmił rozmówca prędko – Nawet jeżeli rzeczywiście przyznano, że wasze poglądy również nie są mylne, prawdopodobnie zrobiono to z dwóch powodów. Po pierwsze, od czasu Wielkiej Wojny przeciwko Nieumarłym macie króla po swojej stronie. A ta cała wojna to tylko JEDEN błąd z naszej strony. Poważny, przyznaję. Ale wyłącznie jeden.

– No, ale to my go naprawiliśmy.

– Co tylko pogarsza sytuację. Wbrew pozorom, prawie żaden mag nie jest wam wdzięczny. Ale przejdźmy dalej, kolejnym argumentem jest wasza liczba. Coraz mniej w Kaistlanii działa czarodziejów. A technomagów wciąż przybywa. Przyznanie się do równości z wami było konieczne. Co nie znaczy, że nam się to podoba.

– Czy wy wszyscy lubicie tak mnożyć problemy? – zapytał Netaris, spoglądając na przyjaciela z kwaśną miną.

– Zależy. Gdy w pobliżu pojawia się wy, to tak.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym zaśmiali się cicho. Rzeczywiście, zazwyczaj sytuacja wyglądała właśnie w ten sposób.

Tymczasem obrady ciągnięto dalej. Enerion Vadiner zdołał w końcu rozdzielić dofinansowania tak, aby większość osób była w miarę usatysfakcjonowana i po szybkim zerknięciu na swoje dokumenty przeszedł do kolejnej sprawy.

– Chyba czas zastanowić się, czy warto wysłać kolejną ekspedycję w Góry Śnieżne. Ostatnia nie zdołała się nawet przedrzeć przez orkowe terytorium, a poniosła ciężkie straty. Wiem, że dotarcie do Cmentarzyska Smoków przyniosłoby nam ogromne korzyści, ale...

– Panie przewodniczący! – Rozległ się głos gdzieś z prawej strony sali.

Mówiącym okazał się Denefir Qaner, jeden z najbardziej wpływowych technomagów.

– Zanim zaczniemy omawiać następną sprawę, chciałbym zgłosić pewną nieprawidłowość. Kilka dni temu złożyłem Radzie swój projekt i liczyłem, że zajmiemy się nim niezwłocznie po rozpoczęciu obrad. Nie dość jednak, iż tak się nie stało, to po sprawdzeniu planu dzisiejszego dnia, okazało się, że nie ma go nawet na liście! Czy mogę prosić o wyjaśnienia?

– Em... W sensie... – rzekł powoli Enerion, zerkając na swoje dokumenty. W końcu poddał się i chwycił je w ręce.

– Pański projekt został odrzucony już na wstępie. – Pośpieszył mu z pomocą Agret, ponownie wstając z miejsca.

– Słucham? Ale przecież zebrałem odpowiednią liczbę podpisów. Zasady mówią wyraźnie, że w takim przypadku Rada MUSI rozważyć sprawę w pełnym składzie.

– Zasady mówią również, iż Rada może odrzucać projekty uznane za idiotyczne.

– Co... – Denefir wydawał się zdruzgotany słowami rozmówcy. – Niby jakim cudem mój projekt mógł zostać uznany za idiotyczny?

– Co to ma znaczyć Agret? – zapytała zastępczyni przewodniczącego Avineria, zanim czarodziej zdążył odpowiedzieć – To twój zespół odpowiedzialny jest za sprawdzanie propozycji członków. Czemu dopiero teraz o tym słyszymy?

– Postępowałem jedynie zgodnie z zasadami.

– Nie sądzisz jednak, że sytuacja jest wyjątkowa? Kontrowersyjny projekt z odpowiednią liczbą podpisów, aby wymusić przedstawienie go w Radzie. Należało zapytać o zdanie przewodniczącego lub mnie.

– Nie było takiej potrzeby. Jestem pewien, że byście się ze mną natychmiast zgodzili.

– Czego dotyczyła pańska propozycja panie Qaner? – zapytała czarodziejka, ignorując odpowiedź Agreta.

– Wojny, oczywiście! – oznajmił rozmówca tonem sugerującym, że jest to coś całkowicie oczywistego. Zastępczyni jednak nie bardzo rozumiała, więc dodał jeszcze

– Chciałem, aby Rada zapewniła dofinansowania magom i technomagom, którzy

chcieliby dołączyć do wojny. Miałaby to być swego rodzaju zachęta dla osób niezdecydowanych.

– I dlatego właśnie z góry odrzuciłem projekt – odparł natychmiast Agret – Nie dość, że jakieś głupie warunki sojuszu zmusiły Kaistlanie do bezsensownej wojny na drugim końcu świata, to jeszcze chcesz zachęcić do udziału w niej ludzi niezwiązanych z wojskiem? Większej bzdury nie słyszałem od czasu, gdy Kalwadorczycy usiłowali przekonać króla do wprowadzenia poligamii.

– Jak możesz nazywać warunki sojuszu głupimi... – Zaczął Denefir, ale został zagłuszony przez komentujących ludzi. Najwyraźniej wymiana zdań dość mocno poruszyła słuchaczy.

W końcu wtrącił się przewodniczący:

– Ależ panowie... załatwmy to spokojnie. Skoro i tak zabrnęliśmy w tę sprawę, to może każdy z was wystąpi i przedstawi własne stanowisko? – Najwyraźniej chciał uniknąć udziału w tej kłótni. A może myślał, że ją powstrzyma?

– I tak byłem przygotowany, aby przedstawić swój projekt na forum, tak więc propozycja jest mi jak najbardziej na rękę – oznajmił technomag z satysfakcją. Chwilę później jego konkurent również kiwnął głową zgodnie.

– Nie no, gorzej zrobić nie mógł – powiedział cicho Naretis do swojego przyjaciela, przyglądając się jednocześnie całej sytuacji.

– Dlaczego? To chyba dobry pomysł.

– Mag i technomag dyskutujący nad sporną sprawą przed publicznością? W co ty wierzysz? Szkoda, że nie wziąłem przekąsek, zapowiada się wspaniałe przedstawienie.

Pierwszy na „scenę” wkroczył Denafir. Rozprostował kości, wziął głęboki oddech, po czym zaczął wywód.

– Jak wiadomo, ponad trzysta lat temu, podczas Wielkiej Rewolucji Krajów Światła, nasz ówczesny władca, Arion Wyzwoliciel, podpisał z Wielkim Cesarzem, Eneriasem Kaznerem, akt wieczystego sojuszu. Wtedy właśnie Królestwo Kaistlanii, wraz z Cesarstwem Anarchijskim, zostało związane trwałym przymierzem, które trwa po dziś dzień. Dla przypomnienia, bo widzę, że niektórzy nie bardzo przejmują się tym wydarzeniem – Tu spojrzał z dezaprobatą na kilku magów – przypomnę fragment przemówienia władcy cesarstwa.

Agret przewrócił oczyma, wzdychając jednocześnie. Najwyraźniej nieco się niecierpliwił, a zabieg zastosowany przez przeciwnika wyglądał na stratę czasu.

– Co za człowiek uczy się czegoś takiego na pamięć? – zapytał cicho Vernan, nim technomag rozpoczął przemowę.

– Zwolennik sojuszu – odparł również szeptem Naretis – Albo po prostu patriota. Powiedział zresztą, że się przygotował, prawda?

– „Kaistlanie z Kahvelu! I wy Anarchijczycy z Nastilii!” – rzekł Denafir głosem pełnym przejęcia. – „Długo walczyliśmy, samotnie stawiając opór zjednoczonym siłom Mrocznego Cesarstwa. Przez wiele lat wytrwale pielęgowaliśmy światło naszych serc, aby powstrzymać wszechogarniającą ciemność świata, w którym

przyszło nam żyć. Przyszedł wreszcie moment upadku odwiecznego wroga. Zjednoczmy się zatem, aby razem ostatecznie położyć kres jego panowaniu. Nie pozwólmy mu podnieść ohydneho łba po porażkach, które mu zadaliśmy.

Przyjaciele! Broń, którą wykuliśmy naszą odwagą i wiarą w zwycięstwo, możemy wzmocnić sojuszem. Stańmy więc razem jak brat z bratem, przeciw nawałnicy wrogich sił. Dajmy posmakować siłom Ciemności naszej stali, stali, którą same pozwoliły nam zahartować w ogniu ich własnej nienawiści! Zjednoczmy się! Niechaj połączy nas światło!”

Umilkł, aby zaobserwować wywołany efekt. Nie dało się zaprzeczyć, iż duża grupa przebywających w pomieszczeniu osób wydawała się poruszona. Część jednak kręciła tylko głowami.

– Warunki przymierza są jasne. – Podjął temat Denafir, uderzając pięścią o kamienny stół. – Po pierwsze: Kaistlantia i Anarchia nigdy nie znajdą się w stanie wojny między sobą. Po drugie, oba kraje prowadzić będą wspólną politykę zagraniczną, aby nie doszło w przyszłości do jakichś nieporozumień czy konfliktów. Po trzecie i najważniejsze, każdy z narodów jest zobowiązany wspomóc sojusznika w razie jakiegokolwiek wojny! Moi drodzy... – Tu zwrócił się do zebranych. – Mam świadomość, iż nie jesteśmy żołnierzami. Nikt nie może od nas niczego wymagać. Ale czy nie mamy naprawdę krzty honoru?! Czy żaden z nas nie jest patriotą?! Król już kilka dni temu rozpoczął zbieranie wojsk, aby ruszyć na pomoc Anarchijczykom. On rozumie i przestrzega warunków sojuszu. A co z nami? Całkowicie je zlekceważymy? Panowie... Nie bądźmy egoistami. Nie mówię przecież o przymusowym wcieleniu do wojska, a jedynie o niewielkiej zachęcie. Czy naprawdę nawet na to nas nie stać? Współpracujemy z Anarchijczykami od setek lat. Udzielenie drobnej pomocy to już nie tylko kwestia dobrej woli. To niemal nasz obowiązek!

Zamilkł w oczekiwaniu na reakcję. Przez chwilę panowała cisza. W końcu jednak rozległy się dość liczne głosy poparcia i entuzjazmu. Kaistlantie szczylic się swoim patriotyzmem. W większości.

Po chwili jednak z miejsca podniósł się Agret. Spojrzał na hałasujących ludzi dookoła i pokręcił głową z dezaprobatą. Następnie zerknął na Denafira, na którego twarzy widniał uśmiech zadowolenia. Czarodziej jednak nie przejął się tym zupełnie. Z klasycznym kaistlanckim spokojem zajął miejsce technomaga i rozpoczął przemowę:

– Prawie sto lat pokoju... sto lat bez wojen kończących się śmiercią tysięcy ludzi. Sto lat zwieńczonych wspaniałymi odkryciami. Przypomnijcie sobie wyprawy na Nivi–Aten albo do Podziemnego Królestwa. Zdobyliśmy ogromną wiedzę, tyle się nauczyliśmy. I mówię tu o wszystkich, bo przecież również wy, technomagowie, zrobiliście wielki krok naprzód w waszej nauce, nieprawdaż? – Tu duża część osób pokiwała wolno głowami. – Moi drodzy... To złoty wiek. Wiek nauki i magii. Ileż moglibyśmy jeszcze osiągnąć, gdyby trwał dłużej? Ale nie! – Uniósł głos wyżej. – Po cóż trwać w tym pięknym stanie?! Lepiej wywołać jakąś bezsensowną wojnę! Przynajmniej tak chyba myśli całe Cesarstwo Anarchijskie. I w ten sposób cały nasz

dobrobyt może legnąć w gruzach i od nowa będzie trzeba wszystko budować.
Dlaczego?!

Umilkł, spoglądając na zebranych w pomieszczeniu magów i technomagów.

– Właśnie... dlaczego? – zapytał sam siebie, po czym wskazał na wiszącą na ścianie mapę. – Czy ktoś zastanawiał się, kim DOKŁADNIE są wrogowie, z którymi będziemy walczyć? Odpowiem wam na to pytanie. Owym „wrogiem” są Lenarioleniczcy. Elfy ponad pięćset lat zamieszkujące północny–wschód Nastilii. – Spojrzał na górną część mapy. – Lud, który nic nam nigdy nie zrobił! Pierwszy raz w historii Cesarstwo jest agresorem, a nie obrońcą!

To zdanie wywołało poruszenie. Rzeczywiście, wszelkie wcześniejsze wojny polegały na obronie, zawsze musieli walczyć we własnym kraju. Powoli w umysłach słuchaczy narastała złowroga idea: Czyżby tym razem to oni mieli być tymi złymi?

– Drodzy radni – ponownie rzekł Agret do zebranych – Jestem w stanie zrozumieć ciągłe konflikty z Mrocznym Cesarstwem. Nawet Wielka Wojna przeciwko Nieumarłym, mimo iż została wywołana z naszego powodu, była właściwa i słuszna. Walczyliśmy z mrokiem. Staliśmy się orężem światła. A dlaczego? Bo zarówno nieumarli, jak i Warderlon, czcili Wielkiego Boga Ciemności. Władcę zniszczenia. Gdybyśmy pozwolili im trwać przy władzy, sami w końcu zostalibyśmy zgładzeni. To smutna prawda. A teraz zastanówmy się, co my właściwie mamy do Lenarioleniczków? Czy ich Bogini, władczyni natury, kiedykolwiek nam coś zrobiła? Czy pojawiła się w jakimkolwiek konflikcie w przeszłości? Otóż nie! Albowiem jest ona panią harmonii i równowagi. Nie miesza się w sprawy tego świata. Dlatego właśnie jej narody trzymają się z dala od wielkiej polityki. Prawie zawsze są neutralne, nie licząc oczywiście sytuacji, kiedy stają we własnej obronie. I tak dzieje się w tym przypadku! Lenarioleniczcy nie chcą wojny! Zostali po prostu przyparci przez Cesarstwo do muru i próbują ocalić własne życia, kraj i ziemie. Zastanówmy się, co zrobilibyśmy na ich miejscu? Czy nie zachowalibyśmy się tak samo?

Duża część osób pokiwała smutno głowami. Z tego punktu widzenia sprawa faktycznie wyglądała nieco inaczej.

– Pomyślmy więc, co opętało naszych rzekomych „sojuszników”? Dlaczego nagle zaatakowali neutralne państwo? Czyżby uznali ich za zagrożenie? Ale przecież Lenarioleniczcy nigdy do niczego się nie mieszają... A może to kwestia personalna? Jakaś osobista obraza, jakiej się dopuścili? Również nie, bo przecież Wielki Cesarz jest jednym z najbardziej cierpliwych i spokojnych ludzi. Nie dałby się sprowokować. Wielu powinno brać z niego przykład. A zatem... Co spowodowało tę wojnę?

Zebrani spojrzeli po sobie. Choć niektórzy z pewnością znali odpowiedź, nikt jakoś nie kwapił się, aby przerwać monolog czarodzieja.

– Powiem wam co – oznajmił w końcu Agret – Pieniądze. Wiecie, co kupujemy głównie od Anarchijczyków, prócz żywności? Drewno. Tony wszelkiego rodzaju drewna. A skąd cesarstwo bierze tyle tego surowca? Wycina lasy, rzecz jasna. Na Nastilii są dwie olbrzymie puszcze. Pierwsza to Eklawior, ale podczas Rewolucji Państw Światła podpisano pakt o nieagresji z mieszkającymi tam Algabiorczykami.

Pozostała więc druga – Lenariolen. I od kilku lat się ją silnie eksploatuje, coraz głębiej wcinając się w las. I nagle okazuje się, że owa kraina również posiada swoich rdzennych mieszkańców! Lenarioleńczyków, oczywiście! Cesarstwo musi więc podjąć wybór – albo pokona elfy i w spokoju będzie kontynuować wycinękę, albo zawrze kolejny pakt i drewno będzie kupować. Ale ta druga opcja jest skrajnie nieopłacalna. Co więc robią Anarchijczycy? Szykują się na wojnę, wzywając jednocześnie swoich „sojuszników” dla zminimalizowania własnych strat. Drodzy radni... Nie powiecie mi chyba, że warto narażać życie dla czyichś pieniędzy. Dlatego nie dość, że nie powinniśmy reagować, to jeszcze należałoby skrytykować działanie Cesarstwa! Bo nie dość, że kieruje nim żądza zysku, to jeszcze zamieniają się z obrońców w agresorów! Sami stają się siłą zniszczenia! Dlatego właśnie nie chcę nawet słyszeć o dofinansowaniu dla osób chcących brać udział w tym szaleństwie!

Zamilkł, po czym udał się na swoje miejsce. O ile wcześniejsza przemowa technomaga wywołała spory aplauz, Agret spowodował pełną zamyślenia ciszę. Wszyscy zapewne w milczeniu rozważali argumenty obu stron. Większość jednak była świadoma, że na tym się nie skończy. Wręcz przeciwnie, dyskusja dopiero się rozkręcała.

Przewodniczący Enerion Vadiner otrząsnął się w końcu z rozważań wywołanych przez przemowy obu stron i spojrzał na zebranych. Następnie pokiwał głową ze smutkiem. Czekala go ciężka robota. Zerknął na przygotowane wcześniej dokumenty, ale nie znalazł tam nic, co mogłoby mu pomóc w obecnej sytuacji. Westchnął więc, po czym oznajmił dość głośno:

– Myślę, że to dobry moment na krótką przerwę. Dyskusje poprowadzimy dalej za dwadzieścia minut. – Chwilę po tych słowach czmychnął z sali.

Nagle ponownie rozległy się rozmowy. Kilku magów również wyszło, aby się przewietrzyć. Nic zresztą dziwnego. W pomieszczeniu robiło się coraz bardziej duszno.

– No, to też nie było zbyt mądre – rzekł cicho Vernan do siedzącego obok technomaga.

– Mówisz? – odparł Naretis, majstrując coś przy założonym na oko technokularze – Dla mnie dobry pomysł. Przynajmniej można skoczyć po przekąski.

– Ale on dał im czas na wymyślenie argumentów! To tylko pobudzi dyskusję.

– Czyli znowu wracamy do punktu wyjścia. Ciekawe, czy skończymy przed zmierzchem. Pewnie masz już dość prawda? – Technomag pamiętał, że niezwykle długie obrady były jednym z powodów, dla których przyjaciel zrezygnował ze stanowiska w Radzie.

Vernan zastanowił się, ale ostatecznie odparł:

– Wręcz przeciwnie.

– Naprawdę? – zdziwił się nieco rozmówca.

– Dyskusja mnie zaciękała. Ale wracając do tematu: kto i dlaczego uczynił Eneriona przewodniczącym? Przecież on się zupełnie do tego nie nadaje.

– Nie wiem kto – odparł Netaris, dając jednocześnie znak służącemu, aby ten podszedł. – Ale podejrzewam, że właśnie z powodu który przed chwilą podałeś.

– Słucham?

– Gdy przewodniczący nie jest w stanie sam poprowadzić dyskusji, z łatwością można nim manipulować. Dzięki czemu każdy z członków rady może się wybić ze swoim wnioskiem. Każdy sprytny, oczywiście. Chociaż to dość smutne z punktu widzenia Eneriona. Być tak manipulowanym...

Vernan pokiwał głową ze zrozumieniem. Nagle zaczął współczuć temu człowiekowi. Dano mu zadanie przewyższające jego możliwości, w dodatku skutecznie kierowano go na odpowiednie tematy. Nie chciałby się znaleźć na jego miejscu.

– A co sądzisz w ogóle o całej dyskusji? – zapytał mag, gdy jego przyjaciel odprawił już sługę z nakazem przyniesienia czegoś do jedzenia.

– Weź, nawet nie pytaj – odparł Naretis kręcąc głową – Nie cierpię, kiedy obie strony mają racje. Niezależnie, co wtedy zrobisz i tak wyjdzie źle. Ale chyba jednak zwracam się ku pierwszemu rozumowaniu. Ku wywodowi Denafira.

– Bo to technomag? – spytał rozmówca, uśmiechając się kpiąco.

– Nie. Bo wiem, że bylibyśmy niczym bez Anarchijczyków. Jak i odwrotnie, oni bez nas też nie daliby rady przetrwać Wielkiej Rewolucji. W dodatku dostrzegam pewien paradoks w przedstawieniu Anarchii jako agresora i porównaniu do Mrocznego Cesarstwa. Zauważ, że gdy Warderlon atakował jakieś państwo, nigdy nie zwracał się o pomoc do sojuszników. Działał sam, aby zebrać dla siebie wszystkie laury i zyski.

– A to nie dlatego, że nikomu nie ufał?

– Możliwe. W ten sposób jednak, pomagając naszym sprzymierzeńcom, odróżnimy zarówno siebie, jak i Anarchię od Mrocznego Cesarstwa. A odmawiając pomocy, jeszcze bardziej upodobnimy. Argument znaczy mniej więcej: „Upodobnijmy Anarchię do Warderlonu (nie pomagajmy), bo upodabnia się ona do Warderlonu (jest agresorem)”. Co jest paradoksem.

– Technomagowie i wasze kombinowanie... – rzekł Vernan, kręcąc powoli głową.

– Magowie i wasze narzekanie. W rozumowaniu nie ma błędu. A co ty sądzisz o sprawie?

– Przychylam się do twojego wcześniejszego stwierdzenia – odparł czarodziej, spoglądając na wiszącą na ścianie mapę – Obie strony mają racje. Jakoś nie widzi mi się atakowanie Lenarioleńczyków, zwłaszcza że ich bogini rzeczywiście nakazuje po prostu trzymanie się od wszystkiego z dala i walkę w samoobronie. Z drugiej strony jednak, decyzje Wielkiego Cesarza w zdecydowanej większości okazują się słuszne. A warunków sojuszu należy przestrzegać. Inaczej sami upodabniamy się do Mrocznego Cesarstwa.

– Jeszcze lepiej! – odparł Naretis wybuchając śmiechem. – „Upodobnijmy się do Warderlonu, bo nie podoba nam się, że Anarchia upodabnia się do Wardelonu”! Witamy w krainie paradoksów. Logika nigdy nie była mocną stroną magów.

– I kto tu narzeka...

Służący w końcu przyniósł trochę jedzenia. Nie było to jednak nic specjalnego. Najwyraźniej Rada nie miała zamiaru wydawać zbyt dużo na członków. Mimo to przyjaciele z radością spożywali posiłek, pamiętając jednak, aby zostawić choć trochę na czas dyskusji.

Wyglądało zresztą na to, że niedługo rozmowy zostaną wznowione. Kolejne osoby pojawiały się w drzwiach i zajmowały miejsca. W końcu wszedł również sam przewodniczący. Po kilku minutach brakowało tylko Denafira, pomysłodawcy utworzenia specjalnego dofinansowania.

– Pewnie stchórzył – rzekł Agret, spoglądając na wyczekujących ludzi. Większość jednak nie mogła w to uwierzyć. Ostatecznie wysłano jakiegoś służącego, aby ten poszukał zguby. Kilkanaście minut później technomag pojawił się w końcu w drzwiach, z przepaszającym wyrazem twarzy.

– Wybaczcie panowie, udałem się do biblioteki i podczas czytania całkowicie straciłem poczucie czasu. Możemy zaczynać? – Tu spojrzał na przewodniczącego, unosząc wysoko brwi. Ten zauważył, iż spóźniony mężczyzna trzyma w ręce jakieś dokumenty. Widocznie postanowił jeszcze bardziej przygotować się do dyskusji. Enerion westchnął tylko i pokiwał powoli głową.

– Powiedziałeś podczas swojej przemowy, że Cesarstwo zmieniło się z obrońcy w agresora, prawda? – zwrócił się Denafir do Agreta. Ten przytaknął – Zauważ jednak, iż warunki sojuszu nie dopuszczają sytuacji, w której nie mamy pomagać. Niezależnie od tego, czy nasz sprzymierzeniec atakuje, czy jedynie się broni, trzeba ruszyć z odsieczą. Dlatego król zbiera wojsko. Ustalenia mówią jasno.

– No to trzeba je zmienić – odparował mag natychmiast. A widząc, że rozmówca unosi wysoko swe brwi, dodał dla wyjaśnienia – Wyobraźmy sobie, iż w przyszłości Cesarstwo będzie dążyło do eliminacji kolejnych państw. Nie tylko tych potencjalnie wrogich jak chociażby Warderlon, ale również neutralnych, czy wręcz przyjaznych. Nie mówię, że tak będzie, wiem, że to bardzo mało prawdopodobne. Założmy jednak hipotetyczną sytuację. Czy w takim wypadku mamy ślepo podążać za naszymi „sojusznikami”? Nawet jeśli mielibyśmy walczyć z jakimś niewinnym narodem, który zawsze nastawiony był do nas przyjacielsko? Wyobrażacie sobie wojnę przeciwko... Plemionom Kharii, na przykład? Albo Algabiorczykom? Czulibyście się dobrze, zabijając dawnych sprzymierzeńców, którzy wielokrotnie nam pomagali, tylko dlatego, że mówią tak warunki sojuszu?

– Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek do tego doszło... – dodał Denafir wątpącym głosem.

– Ja również, ale to hipotetyczna sytuacja. Dowodzi jednak, iż należy zmienić to przymierze.

– Nie uważasz jednak. – Tu technomag rozłożył na kamiennym stole przyniesione wcześniej dokumenty. – Że byłoby to nieco nieuczciwe?

– Dlaczego?

– Przypomnijmy sobie Wielką Wojnę przeciwko Nieumarłym. – Zaczął mężczyzna spokojnym głosem. – Jak wiadomo, miała miejsce prawie dwieście lat temu. Co było przyczyną jej wybuchu? Błąd jednego z magów niestety. W każdym razie, jeśli znacie historię, to wiecie, co się zdarzyło. Deweriusz Desson – pierwszy nekromanta powrócił po śmierci w formie lisza i zaczął przemieniać w umarłych wszystkich dookoła. Siły królewskie usiłowały go powstrzymać, ale je z łatwością pokonał i prowadził swą „plagę” dalej. Nieumarli rozprzestrzeniaли się coraz szybciej, aż w końcu można było ich spotkać w całej Kaistlanii. Oczywiście, wówczas do boju wkroczyliśmy my – Technomagowie i opanowaliśmy problem. Wtedy przybyli wezwani wcześniej Anarchijczycy, co doprowadziło ostatecznie do upadku Deweriusza i wojna się zakończyła. Cesarstwo co do joty wypełniło warunki...

– Ale to kompletnie inny przypadek – przerwał mu nagle Agret, co wywołało niezadowolenie na twarzy technomaga – wtedy się broniliśmy. Nie byliśmy agresorem tak jak teraz. Właśnie o tym mówiłem. Trzeba zmienić ustanowienia tak, aby dotyczyły wyłącznie obrony.

– A wiesz, co się wówczas działo w cesarstwie? – spytał Denafir, spoglądając na rozmówcę z ukosa.

– Umarli dotarli i tam, ale siły cesarskie w przeciwieństwie do kaistlanckich zdołały szybko ich pokonać.

– Otóż właśnie nie! – wykrzyknął mężczyzna z wyrazem triumfu na twarzy – Anarchijczycy mieli wówczas identyczne kłopoty! Deweriusz Desson faktycznie wysłał na Nastilię oddział nieumarłych, aby ci rozpoczęli również tam jego plagę. I to im się udało! Po jakimś czasie sytuacja w cesarstwie wyglądała podobnie jak u nas. Wiecie jednak, co wówczas zrobił cesarz? Zostawił część żołnierzy pod wodzą jednego ze swoich dowódców, po czym ruszył na południe, na Kahvel do Kaistlanii, aby nam pomóc. A wiecie dlaczego? Wiedział, że mamy większe problemy i być może nie damy sobie rady. Całkowicie wypełnił warunki sojuszu, mimo że wróg pojawił się również w jego kraju! A bez pomocy Anarchijczyków rzeczywiście byłoby wtedy z nami krucho. Zastanówmy się teraz. – Tu zwrócił się do zebranych. – Czy na pewno chcemy zmienić przymierze w krytycznym momencie, bo nie podoba nam się idea tej wojny, podczas gdy Cesarstwo nie zmieniło ich, mimo wielkiego ryzyka, jakie poniosło? Przecież my nie mamy nic do stracenia! A cesarz ryzykował życie wielu setek własnych braci. Czy naprawdę nie widzicie nieuczciwości planowanego przez nas postępowania? Przecież to karygodne!

Zamilkł nagle, po czym podał pierwszemu z brzegu magowi dokumenty, które przyniósł. Ten przeczytał, po czym podał je dalej. Rzeczywiście, jasno z nich wynikało, co się działo w Cesarstwie podczas Wielkiej Wojny przeciwko Nieumarłym. Trudno było się spierać z wywodem Denafira.

– Nie jestem pewien – rzekł w końcu Agret po kilku minutach milczenia – Czy owa pomoc nie wynikała z prostego faktu. Przecież Wielki Cesarz Enerias Kazner był pomysłodawcą i współtwórcą sojuszu. To chyba nic dziwnego, że za wszelką cenę chciał go przestrzegać.

– Być może, ale to niczego nie zmienia. W końcu mógł stworzyć przymierze tylko po to, by liczyć na naszą pomoc. A tak nie jest, bo raz już przybył nam z odsieczą. Zauważ, że w tym wypadku niestawienie się na jego wezwanie jest czymś więcej niż jedynie nieuczciwością. To wręcz niewdzięczność.

– Ależ odwdzięczymy się – odparł mag, wznosząc oczy ku niebu – Gdy nadejdzie „słuszna” wojna. Czyli przykładowo taka, w której Cesarstwo nie będzie agresorem a obrońcą.

– Wymówki. Oto czym są twoje argumenty. Wielki Cesarz również miał dobrą wymówkę, dobro swoich obywateli. A jednak ruszył nam na pomoc. Bez niego byśmy nie wygrali.

– To już kwestia sporna...

– Panie przewodniczący – powiedział Denafir, ignorując ostatni komentarz Agreta – zgłaszam wniosek o wstępne głosowanie.

Enerion, zadowolony, że wreszcie pojawiła się okazja na coś, z czym sobie znakomicie radził, wstał, rozprostował kości i zawołał stanowczo:

– Wniosek o głosowanie! Kto jest za przyznaniem dofinansowania dla magów i technomagów planujących dołączyć do wojny z Lenarioleńczykami! – Podniosły się liczne ręce. Szybko je zliczono. – A kto uważa, że nie powinniśmy tego robić?

Po chwili zastępczyni przewodniczącego Avineria ogłosiła wynik:

– Obecnie sześćdziesiąt jeden procent za i trzydzieści przeciw. Reszta się wstrzymała.

– Deniquate – zaklął pod nosem Agret i dodał cicho – To wyłącznie dlatego, że w Radzie jest więcej technomagów.

– Słucham? – zapytał od razu Denafir, będący na tyle blisko, że mógł usłyszeć rozmówcę – Czyżbyś sugerował, że jesteśmy od was w jakiś sposób gorsi?

– Nie gorsi – odparł czarodziej, zrozumiawszy, że popełnił taktyczny błąd – Po prostu... wasza ignorancja religijnego aspektu tej sprawy trochę mnie przeraża.

– Mag zarzuca technomagowi herezję! – zawołał głośno rozmówca, chcąc zwrócić uwagę wszystkich zebranych – Mam wrażenie, że kiedyś już przez to przechodziliśmy. Czy ta dyskusja nigdy się nie skończy?

Większość słuchających uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Religijność czarodziei już dawno stała się powszechnie znana, tak samo zresztą, jak niechęć do wyznawania bogów u technomagów. Nikt nie zaprzeczał rzecz jasna ich istnieniu. Powszechnie wiadome było, że to oni stworzyli narody i wpływają z bezkresnych połaci eteru na ich losy. Co do tego nie nikt nie miał najmniejszych wątpliwości. Kwestia oddawania im czci natomiast to zupełnie inna sprawa.

– Moi drodzy – zaczął powoli Agret, wiedząc, iż stąpa po bardzo grząskim gruncie – Zastanówmy się nad błogosławieństwem, przy którym debatujemy. Wiecie

przecież wszyscy, że pochodzi od Elfickiego Boga Mądrości. Jest on władcą logiki, umysłu oraz ochrony. A także, według wielu kapłanów, samej magii. Jasne jest i zrozumiałe, dlaczego to pod jego patronatem obradujemy. Nie chcemy tu przecież emocjonalnych wywodów bądź nieracjonalnych dyskusji. A teraz zastanówmy się dokładnie, kim jest ten Bóg i skąd pochodzi. Większość Kaistlanów czci oczywiście Bezimiennego, co się chwali. My jednak potrzebujemy innego patronatu, daru mądrości. A kto wyznaje Boga tej wspaniałej cechy? Możecie oczywiście podać Shandarie czy Plemiona Khari, ale... Najstęnniejszym narodem są Kael–Kirianie. Właśnie dlatego nazywamy tego boga elfickim. A wiecie, kogo jeszcze oni wyznają? Boginię Natury! Tak samo jak ich... kuzyni – Lenarioleniczcy. Atakując więc tych ostatnich, pokażemy naszym sojusznikom, nie tylko Kael–Kirianom, ale także Algabiorczykom, jak bardzo gdzieś mamy ich bóstwo. Czuliście się dobrze, gdyby ktoś wywołał wojnę z takim na przykład Kalwadorem Południowym, naszym bratem w wierze w Bezimiennego? Ja zdecydowanie nie. Ponadto, gdyby Kalwadorczycy poprosili mnie o pomoc w walce z wrogiem wiary, natychmiast bym wyruszył. Podobnie mogą zrobić inni wyznawcy Bogini Natury, gdy Lenarioleniczcy będą potrzebowały wsparcia. Atak więc na jeden naród może spowodować konflikt z całą resztą. Naprawdę chcemy kolejnej wielkiej wojny?

Zamilkł, chcąc zaobserwować efekt, ale Denafir nie dał mu tej możliwości:

– Zabawne... – rzekł powoli, specjalnie przedłużając to słowo – mówisz, że chętnie pomógłbyś wyznawcom Bezimiennego, gdyby cię wezwano, a takowej pomocy odmawiasz, kiedy Anarchijczycy, nasi bracia w wierze, jej bardzo potrzebują. Przeczysz sam sobie.

– Powiedziałem, iż ruszę z odsieczą, gdy zostaną zaatakowani. Nie mam zamiaru wspomagać agresorów. Gdyby to Cesarstwo zostało zaatakowane przez Lenarioleniczków, a nie odwrotnie, z czystym sercem wsiadłbym na najbliższy statek i ruszył na Nastilię.

Denafir pokręcił głową z dezaprobatą, ale nie komentował. Po chwili odezwał się znowu:

– Mówisz, że gdy rozpocznie się wojna w Lenariolenie, wyznawcy Bogini Natury mogą ruszyć obrońcom na pomoc. Otóż jest to błąd! – Podniósł głos, aby wyrzucić lepszy efekt. – Gdybyś uważnie śledził politykę, wiedziałbyś, iż Wielki Cesarz, nim cokolwiek postanowił, skontaktował się najpierw z królem Kael–Kirian i zapytał, co on sądzi o całej sprawie. I wiesz, co ten mu doradził? Aby jak najszybciej zebrał wojska i zmiotł mieszkańców Lenariolenu z powierzchni ziemi! Powód tego jest prosty, aczkolwiek mało znany. Lenarioleniczcy wywodzą się z Kael–Kirian, którzy sprzeciwili się pierwszemu królowi i zostali wygnani z Kael–Kirii, ojczystej wyspy. Zatem, z punktu widzenia jej obecnych mieszkańców, są oni po prostu zdrajcami. A uwierz mi, Kael–Kirianie nigdy nie zapominają uraz. Są w końcu nieśmiertelni.

– To nie wyklucza innych narodów – odparł Agret gładko, demonstrując swój refleks.

– Kogo niby? Algabiorczyków? Sam przecież powiedziałeś, że wyznawcy Bogini Natury są neutralni, trzymają się z dala od polityki i nie mieszają się. Wątpię więc, aby jakkolwiek zareagowali.

– Przyznaję, iż nie można tego tak pewnie oczekiwać. – Uznał w końcu czarodziej, przytakując powoli. – Jednak w przeciwieństwie do was, oni są bardzo religijni. Was najwyraźniej pozbawiono tej niezwykle ważnej cechy.

– Na Pana... – Załamał się prawie Denafir. – Czy naprawdę musimy powtarzać tę głupią dyskusję? Pojawiła się ona już ponad dwadzieścia razy. W tym roku rzecz jasna...

– Bo nadal nie rozumiecie wagi problemu! – huknął Agret, ignorując pojawiające się w pomieszczeniu głosy – Zauważ, że Bezimienny, bóg, którego czci zarówno Kaistlania, jak i Cesarstwo Anarchijskie, jest panem życia, ładu i tworzenia. A wy chcecie ruszać na wojnę! Aby zabijać, niszczyć i szerzyć rządy chaosu! Czy naprawdę nie widzicie w tym żadnej ironii? Żadnej niezgodności z waszą wiarą? Przecież to ewidentna zdrada!

– „Zdrada”, której dopuścił się Wielki Cesarz, wywołując wojnę – odparował zręcznie technomag – Nawet jeśli rzeczywiście coś z tego wyniknie, w co wątpię, to cała wina spadnie na niego.

– Jak śmiesz obrażać Eneriasa Kaznera?! – ryknął czarodziej z nagłym nieoczekiwanym gniewem. Po chwili przebywający w pomieszczeniu magowie również wyrazili głośno swoją dezaprobatę. W końcu cała sala pełna była krzyków, klótni i ogólnego rozgardiaszu.

– No, i to był błąd – powiedział Vernan do przyjaciela. Musiał się nieco przysunąć, aby ten go słyszał – Prawie każdy mag darzy Cesarza wielkim szacunkiem i nie pozwoli go tak po prostu krytykować.

– Dlaczego? – zapytał Naretis, obserwując kolejnych mężczyzn dołączających do dyskusji – Znaczący... nic nie mam do władcy Anarchii, jego decyzje bardzo często okazują się słuszne. A i z charakteru jest sympatyczny, według tego, co słyszałem. Żeby jednak go aż tak bronić...?

– Wy tego nie rozumiecie – odparł czarodziej, uśmiechając się krzywo – Wasz rozwój zawdzięczacie głównie Wielkiej Wojnie przeciwko Nieumarłym. To wtedy się wykazaliście i król was zauważył. Stoicie więc właściwie na naszym błędzie. Bez niego być może w ogóle byście nie zaistnieli. Z nami jest inaczej. Nam dano możliwość rozwoju wraz z Wielką Rewolucją Krajów Światła. Przed nią Mroczne Cesarstwo blokowało każdy rodzaj magii u podbitych narodów. A kto jest twórcą i przyczyną całej tej rewolucji? Enerias Kazner, rzecz jasna. Bez niego by nas nie było, dlatego jesteśmy mu tak wdzięczni. W dodatku jest on przecież Kontrolerem Żywiołów, najpotężniejszym magiem, jakiego nosił ten świat. Jeśli więc nie za zasługi go szanujemy, to za potęgę. Bo w końcu, cytując Garderula: „Magia to Potęga!”.

– Mhm... rozumiem. My stoimy na winach, a wy na zasługach. Kolejna rzecz, która nas odróżnia – rzekł Naretis, ponownie spoglądając na dyskutujących ludzi.

– A tak w ogóle, to dlaczego niemal wszyscy nie czcicie żadnych bogów? – zapytał Vernan z ciekawością – Znaczy, mogę pojąć, że za którymś z nich nie przepadacie. Sam nie lubię Elfickiego Boga Wojny, mimo iż niektórzy z nas właśnie jego wyznają. Różnice w gustach są naturalne i nikogo nie dziwią. Ale żeby tak mieć coś przeciw wszystkim? Tego pojąć nie mogę, przecież personifikują chyba każdą możliwość, pogląd czy opinie. To tak jakby być zawsze przeciw niezależnie, o czym mowa. Gdzie tu sens?

Technomag roześmiał się, słysząc wywód przyjaciela i w końcu odwrócił się, aby na niego spojrzeć.

– Muszę przyznać, że jesteś pierwszą ze znanych mi osób, która spojrzała na to z tak racjonalnej strony. Rzeczywiście, w tym przedstawieniu nasze poglądy wyglądają trochę głupio.

– Dzięki, ale nadal nie wyjaśniłeś powodu waszego zachowania.

– A, to trzeba się udać do specjalisty – odparł Naretis i zawołał dość głośno – Arion! Chodź no tutaj na chwilę!

Zawołany technomag odwrócił się i po chwili zastanowienia, ruszył w ich stronę. Za nim podążył też jakiś czarodziej.

– Arion Fineris jest autorem książki „Bogowie a Śmiertelnicy”, najśłynniejszego dzieła ostatnich kilku lat, które opisuje dokładnie relacje między nami a bogami, z punktu widzenia czystej nauki – oznajmił przyjaciel, uśmiechając się szeroko, gdy nowi rozmówcy dostatecznie się już zbliżyli – To tak, jakby kapłan podczas pisania dzieła zapomniał o wierze i wyznaniu, opisując jedynie suche fakty. W tym przypadku dochodzi jeszcze do całości nasza zwyczajowa, bezlitosna logika. Osobiście uważam, iż książka jest wspaniała.

– Przesadzasz trochę Naretisie – odparł nowo przybyły ze skromnością – Ale dziękuję ci szczerze. Chociaż dzisiaj już zmieniłbym kilka drobnych faktów, które opisałem. Niestety, poglądy kształtują się bez przerwy, a nie sposób ciągle zmieniać raz wydane dzieła. W każdym razie, jak mogę wam pomóc?

– Obecny tu czarodziej. – Tu wskazał na Vernana. – Bardzo chciałby wiedzieć, dlaczego technomagowie nie wyznają żadnego z bogów. Czy mógłbyś mu to wyjaśnić, jako specjalista w tej sprawie?

– Temat jest dość rozległy – zaczął Arion swobodnie – i ma mnóstwo odniesień oraz dowodów, więc będę skracał. Wszystko sprowadza się do klasycznej analizy opłacalności. Zastanówmy się, co nam bogowie dają. Oczywiście, przykładów są setki. Sam mogę wymienić chociażby Magię Bogów lub Wielką Rewolucję Krajów Światła, która z pewnego punktu widzenia nie wydarzyłaby się bez ich interwencji. Jednak Boska Magia niesie z sobą liczne ograniczenia, przez co staje się raczej uciążliwa niż przydatna, a cała ta rewolta nie byłaby potrzebna, gdyby wcześniej inny bóg nie namówił Warderłończyków do najazdu i okupacji. Każdy więc dar od nich otrzymany jest równoważony przez to, co nam zabierają...

– A całokształt Magii, otrzymanej podczas Objawienia na górze Othras? – przerwał mu Vernan, podając inny przykład – Większość naszej wiedzy pochodzi przecież z tamtego okresu.

– Kael–Kirianie znali magię już dużo wcześniej – odparował Arion natychmiast – Owo objawienie nie było więc potrzebne. Sami doszlibyśmy do tej wiedzy.

– A magiczne istoty powstałe dzięki Bogini Natury? Jak na przykład Enty? Albo chociażby my, boskie narody światła?

– Nieumarli przywołani dzięki Bogu Wojny zdecydowanie równoważą nawet tak wspaniałe istoty, jak Enty. A co do boskich narodów, to zauważ, że prócz światła istnieją również te mroku, które zazwyczaj ulegają namowom swego boga i pragną podbić innych. Kolejne przykłady udowodnią prostą teorię: Bogowie tyle samo dają, co zabierają. Produkują tyle samo zła, co dobra. Gdybyśmy więc wszyscy zbiorowo przestali ich wyznawać, w ogólnym rozpatrzeniu nie zauważylibyśmy różnicy.

– To chyba lekka przesada. – Nie chciał się zgodzić Vernan.

– A także dopiero początek tematu. – Kontynuował Arion spokojnie. – Przejdźmy więc dalej. Jak wiadomo, bogowie stworzyli raje, abyśmy mieli się gdzie udać po śmierci. Oczywiście, nie każdy na to zasługuje, toteż wymyślono również powrót na ziemię – reinkarnację. Pomińmy tych, którzy poświęcili się Bogu Ciemności i oddali mu własną duszę... To bardzo mały ułamek. W każdym razie Bogowie stworzyli dla nas odpowiednie miejsca...

– Co raczej dowodzi, iż powinniśmy ich wyznawać – wtrącił się nagle przybyły z technomagią czarodziej, nie przedstawiając się nawet – W końcu to ich ziemie i bez boskiego zezwolenia raczej nie możemy tam ot tak wejść.

– Otóż właśnie nie – zaprzeczył Arion z satysfakcją – Wielka Księga Ringa mówi jasno: Bogowie, będąc świadomymi własnej stronniczości w ocenie śmiertelników, stworzyli sędziego, który miał całkowicie obiektywnie dokonywać selekcji, kto do raju pójdzie, a kto nie. I owa istota bierze pod uwagę jedynie czyny. A nie poglądy. Zatem, aby po śmierci wejść do raju, należy nie wyznawać, lecz dobrze postępować. Co również dowodzi, iż bogowie nie są nam potrzebni.

Vernan pokiwał głową. Rzeczywiście, z tej perspektywy wyglądało to nieco inaczej, niż dotąd sądził.

– A jeżeli Ring się mylił? – Nie ustępował dyskutujący czarodziej.

– To w ogóle bym się do bogów nie zbliżał, bo nic o nich nie byłoby wiadome. Zauważ, że ponad dziewięćdziesiąt procent informacji czerpiemy z jego Wielkiej Księgi.

– No, ale dużo większe jest prawdopodobieństwo wejścia do raju, gdy się przestrzega tego, co mówi bóg. W końcu chyba on wie najlepiej prawda? Sam tworzył warunki. To nie on ocenia nasze czyny, przyznaję, więc nie warto za wszelką cenę próbować mu się przypodobać. Ale gdyby tak po prostu żyć zgodnie z jego zasadami?

– To nie wymaga wyznawania, jedynie wiedzy – oznajmił pewny siebie Arion – Czczenie to raczej obchodzenie świąt, modlitwa i obrona boga w różnych sprawach. A także, najczęściej, słuchanie jego rozkazów. Brak tego nie przeczy dobrego życia.

– Ale niektórzy tej wiedzy nie posiadają... Zwykli mieszczanie na przykład. Nie możesz wymagać, aby rozumieli, co mają robić.

– Dlatego nie próbujemy krzewić wszędzie idei braku wyznawania. – Tłumaczył cierpliwie technomag. – Jesteśmy świadomi możliwych konsekwencji, jakie by to miało. W dodatku nic nie mamy do osób wierzących – takich magów na przykład. Zauważ, że zazwyczaj to wy coś nam zarzucacie, a nie my wam. W każdym razie, jako ludzie inteligentni, bo wybaczone, ale technomagia jest nauką, której nie zdołasz pojąć bez zdolności logicznego myślenia, uważamy, iż nie potrzeba nam bogów mówiących co mamy robić, aby żyć godnie. Dajemy radę bez nich, dzięki wiedzy.

– Nie mogę zaprzeczyć logice tego wywodu – oznajmił Vernan, gładząc się po brodzie – Ale dostrzegam w niej jeden błąd. Bogowie wpływają na magię, kierują nią. Wyznając ich, otrzymujemy większą moc. Sam Enerias Kazner, kontroler żywności, jest przecież tego żywym dowodem.

– I tu dochodzimy do najważniejszego sporu między nami! – ogłosił głośno Arion, wznosząc ręce ku niebu – Moi drodzy, czym jest magia?

– Magia to moc dana nam przez bogów do zmieniania świata – powiedział odruchowo dyskutujący czarodziej.

– Magia to energia – odparował Naretis, uśmiechając się szeroko.

– Otóż to! Nigdy w tej kwestii się nie pogodzimy, ponieważ oba stwierdzenia leżą u podstaw naszych nauk. Pierwsze dało podwaliny Magii, a drugie pozwoliło zaistnieć Technomagii. Jeżeli więc uważamy, że Magia jest mocą, to wyznawanie bogów nabiera logicznego sensu. W końcu od nich ta moc pochodzi i zapewne to oni nią kierują. Czczenie jest więc konieczne. Jeśli jednak uznamy magię jedynie za energię, to bogowie nie mają nad nią żadnej kontroli. A zatem nie trzeba sobie nimi zaprzątać głowy. I właśnie dlatego czarodzieje od wieków uznawani są za najbardziej religijne osoby, a my, technomagowie, mimo iż powstaaliśmy stosunkowo niedawno, już mamy opinie wątpliwych, czy wręcz nawet heretyków. A zatem wszystko wyjaśnione. Co kończy dowód.

Zapadła cisza (o ile w pomieszczeniu gdzie trwa w tle napięta dyskusja, można mówić o ciszy). Obydwaj magowie w głowach analizowali długi wywód w poszukiwaniu błędów i powoli zbliżali się do konkluzji. W końcu ten nowo przybyły oznajmił głośno:

– Nie. Ja tam nadal się nie zgadzam. Według mnie to wciąż herezja. Nawet jeśli bardzo logiczna. – I odszedł od grona, nie dodając nic więcej.

Arion pokręcił głową z dezaprobatą. Wiedział jednak, że niektórych po prostu nie da się przekonać. Dowodziły temu powracające cyklicznie kłótnie obu stron na ten temat. I jakoś ani jedni, ani drudzy nie dawali się przekonać.

– Cytując ciebie Naretisie – powiedział Vernan, obserwując zdeglustowaną minę autora wcześniejszego wywodu – „Nie cierpię, gdy obie strony mają rację. Niezależnie co wtedy zrobisz, i tak wyjdzie źle”.

Przyjaciele spojrzeli na siebie, po czym wybuchli zgodnym śmiechem. Nawet Arion nagle się wypogodził. Rzekł chwilę potem:

– Ale tak szczerze, to co o tym sądzisz? Rzadko się zdarza sytuacja, w której takie teorie nie wywołują w czarodzieju wyraźnego sprzeciwu.

– Technomagom nie da się wytknąć braku racjonalizmu – powiedział mag, spoglądając na wciąż dyskutujących członków Rady – W końcu to wasza specjalność, nie bez powodu nazywa się was „Wyznawcami Logiki”. Jednak twój wywód tak bardzo uderza w typowe myślenie większości ludzi, a także w to, jak zostaliśmy wychowani lub w przypadku nas czarodziejów, nauczani, że nie da się temu przyznać racji. To tak jakbyś tłumaczył Wielkiemu Cesarzowi, iż Warderlon mógłby być jego sojusznikiem. Przecież on w to nigdy nie uwierzy! W końcu zarówno historia, jak i jego wychowanie absolutnie temu przeczy. Dodatkowo przecież służy on Bezimiennemu, największemu wrogowi Boga Ciemności, którego wyznają Warderlończycy. Nie licz na sukces. To wygląda, jakbyś rzucał grochem o ścianę.

– Ale w rozumowaniu nie ma błędu... Czyżby Wielki Cesarz nie potrafił tego zobaczyć? Podobno też jest człowiekiem racjonalnym, a to raczej zachowanie idioty...

Vernan spojrzał na Ariona groźnie, uświadamiając mu, że właśnie popełnił ten sam błąd co Denafir podczas głównej dyskusji – obraził Eneriasa Kaznera.

– Wybacz – rzekł pośpiesznie, spuszcżając z tonu – Nie to miałem na myśli. I już chyba rozumiem. Aczkolwiek w takim przypadku na marne wydałem moją książkę. Jej głównym celem było przecież wskazanie ludziom inteligentnym, że wyznawanie nie jest niezbędne i istnieje alternatywa. Teraz jednak widzę, iż nic z tego nie będzie. Szkoda.

– Nie przejmuj się – powiedział Naretis i machnął dłonią – dzieło dostało się do podstawy programowej większości Uniwersytetów Technomagii. Jeżeli nie wpłynie więc na wszystkich, to chociaż na przyszłe pokolenie naszych kolegów po fachu.

Arion uśmiechnął się nieco, widząc, że jego praca nie poszła na marne i westchnął. Następnie pożegnał się z obydwojema, oznajmiając, iż musi porozmawiać jeszcze z kilkoma osobami.

Przyjaciele, zostawszy właściwie sami, wrócili do obserwacji głównej dyskusji. Okazało się, że Agret wciąż spiera się z Denafirem, używając jednak przy tym już nie tylko argumentów, ale również niezłych przekleństw. Technomag pozostawał jednak niewzruszony, miał, bowiem, po swojej stronie kilku sprzymierzeńców. Całe szczęście, że temat zszedł w końcu z Wielkiego Cesarza, bo kontynuowanie go prawdopodobnie doprowadziłoby do walki na coś więcej niż słowa.

Vernan westchnął przeciągle i zwrócił się do przyjaciela:

– W ten sposób niczego nie osiągniemy. Może spróbujemy ogarnąć ich jakoś?

– To chyba robota przewodniczącego, nie sądzisz? – odparł spoglądając na Eneriona, który w skupieniu przeglądał swoje dokumenty, nie zwracając uwagi na ogólny hałas.

– Nie wygląda, jakby miał na ochotę podjąć się tego zadania.

– Spróbujmy zatem z nim porozmawiać. Jakoś nie widzi mi się zastąpienie go w tej sytuacji.

Podeszli powoli do mężczyzny i delikatnie zwrócili uwagę na problem. Ten spojrzał na dyskutujących magów i pokręcił w milczeniu głową. Wolał czekać, aż kłótnia sama się skończy.

– Ale to może potrwać wieki – rzekł bardziej stanowczo Vernan, chcąc za wszelką cenę przemówić mu do rozsądku.

– On ma rację, Enerionie. – Poparła ich nagle Avineria. – Jak tak dalej pójdzie, nie skończymy przed zmierzchem.

Mężczyzna westchnął w końcu, pokonany przez silny argument, wstał i zawołał głośno:

– Proszę o spokój! Zachowujmy się jak ludzie! Nie życzę sobie tu przekleństw i wyzywania! Nie możecie uzgodnić sprawy spokojnie?! Widzicie? – Zwrócił się do przyjaciół. – Oni mnie nie słuchają.

Nagle jego zastępczyni poderwała się i ryknęła na cały głos:

– Zachować ciszę! I siadać na miejsca!! Jesteście bandą barbarzyńców czy inteligencją kaistlanckiego narodu?!

Dyskutujący mężczyźni odwrócili się zdziwieni, słysząc damski głos. Kobiety na stanowiskach magów bądź technomagów dopiero się przyjmowały, więc większość nadal nie była przyzwyczajona do ich obecności. Skoro jednak już przerwano dyskusję, większość uznała, iż należy posłuchać nakazu. Ostatecznie hałas powoli ucichł, a członkowie rady powrócili na swoje miejsca. Również Vernan i Naretis nie mieli dłużej czego szukać przy stole przewodniczącego i udali się ponownie na krzesła.

Enerion Vadiner, zadowolony, że w końcu sytuacja się nieco uspokoiła, wypogodził się i rzekł powoli, aczkolwiek stanowczo:

– Rozumiem panowie waszą irytację i chęć jak najszybszego rozwiązania konfliktu, ale krzykami i przekleństwami niewiele zdziałamy. Mam bowiem silne wrażenie, iż sytuacja jest patowa. Czarodzieje za nic w świecie nie dadzą się przekonać w kwestii bogów i słuszności wojny, co moim zdaniem nie jest zbyt zaskakujące, a technomagowie świadomi swej przewagi liczebnej mogą spokojnie ignorować większość naszej argumentacji – Denafir, główny obrońca idei wspierania sojuszu, skrzywił się nieco, słysząc, iż jego solidną argumentację zdyskredytowano i uznano, że poparcie ma tylko dzięki liczebności kolegów po fachu. Nie zamierzał jednak przerywać przewodniczącemu – W takim wypadku niewiele można zrobić. Dlatego wnoszę o odroczenie problemu. Przeprowadzimy ogólnokrajowe referendum wśród obu profesji i w ten sposób dowiemy się dokładnie, co sądzi większość z nas, a nie tylko przedstawiciele. Co o tym sądzicie?

Zebrani zastanowili się spokojnie. Było to dość mądre posunięcie, umożliwiające precyzyjne zbadanie sprawy. Jednak odwlekało problem, a przecież wojna nie zamierzała czekać. Koncepcja więc nie zadowalała w pełni żadnej ze stron.

Agret, będąc świadom przewagi liczebnej technomagów w całej Kaistlanii, mógł się spodziewać niepomyślnego wyniku. Z drugiej strony, skoro upewnił się już w poprzednim głosowaniu, że tutaj zdecydowanie przegrywa, takie posunięcie stawало się jedynym możliwym wyjściem.

Denefir zaś, mimo iż znał dobrze swoich kolegów po fachu i mógł przewidywać zwycięstwo, wolał załatwić sprawę jak najszybciej. Z drugiej jednak strony, uniknięcie kolejnych kłótni i sprzeczek wydawało się kuszącą propozycją.

Obie strony miały zarówno wiele do stracenia, jak i do zyskania. Prędko więc rozważyły to w zwyczajowej analizie opłacalności. I wynik chyba był korzystny, bo po jakimś czasie doszło do zgody i zatwierdzenia koncepcji.

– A zatem postanowione – oznajmił głośno Enerion, uradowany rozwiązaniem problemu – Już jutro roześlę wiadomości do wszystkich naszych braci i sióstr w całym kraju. W przeciągu czterdziestodnia powinniśmy mieć odpowiedź. To optymistyczna wersja co prawda, ale...

Przemowę przerwał mu nagły hałas otwieranych drzwi. Rozległy się liczne szepty, a do pomieszczenia wkroczył dostojnie ubrany rycerz, zajmujący się organizacją bezpieczeństwa w siedzibie Rady.

– Wybaczcie mi to najście, szanowni państwo – oznajmił, kłaniając się nieco. Nauczono go szacunku dla ich profesji – Jednak przybył właśnie królewski posłaniec i domaga się on natychmiastowej rozmowy z wami. Niestety, jako człowiek króla, ma do tego prawo. Zechcecie się z nim zobaczyć?

Magowie i technomagowie zaskoczeni spojrzeli po sobie. Takie sytuacje zdarzają się raczej rzadko. Czego mógł chcieć od nich władca?

– Em... oczywiście, nie śmiemy odmawiać jego królewskiej mości... przyprowadź go proszę – rzekł zdeorientowany Enerion.

Kilka chwil później do sali wkroczył dziarski młodzieniec, ubrany w tradycyjny strój posłańca. W sumie nie musiał przebyć zbyt długiej drogi, bo obecna kwatery główna jego wysokości znajdowała się zaledwie kilka przecznic dalej, mimo to wyglądał, jakby większość trasy przebiegł.

– Szanowni członkowie Kaistlanckiej Rady Magii – rzekł uroczyście, wiedząc, że wygłasza niezwykle ważną wiadomość – Jak wiecie król, przebywający obecnie właśnie tutaj, w Luxnerze, już od dwóch dziesięciodni zbiera wojska i według oficjalnych komunikatów, planuje za trzy dni wypłynąć w kierunku Nastilii, aby pomóc naszym sojusznikowi, Cesarstwu Anarchijskiemu, w wojnie. Niestety, liczba magów bitewnych oraz technomagów wojennych w królewskiej armii okazała się dużo mniejsza od pierwotnych przewidywań. Z tego powodu jego wysokość chce, aby Rada, mająca przecież kontakt z niemal wszystkimi członkami tych profesji w kraju, zorganizowała pobór do wojska. Oczywiście wcieleni dotrą na front na jakiś czas po wyruszeniu głównej armii. Król jednak nie chciałby trwać na wojnie zbyt

długo bez wsparcia magów i technomagów, dlatego zleca to zadanie wam, licząc na szybkie rozwiązanie problemu. – Przerwał, aby pozwolić wszystkim przetrwać tę informację, a następnie dodał spokojnie – Poczekam tu z godzinę i gdy tylko ustalicie szczegóły, natychmiast przekażę władcy waszą wiadomość.

Gdy tylko wyszedł, Vernan wraz z Naretisem wybuchli tłumionym od jakiegoś czasu, głośnym śmiechem, zagłuszonym na szczęście przez nagłe rozmowy osób dookoła.

– Do dzisiaj nie wierzyłem w przeznaczenie – powiedział prędko technomag do przyjaciela – ale w obecnej sytuacji chyba to zmienię. Takie rzeczy po prostu nie mają prawa zdarzać się same z siebie.

– Przesadzasz – odparł rozmówca, wciąż się uśmiechając – ale przyznać muszę, że rzeczywiście jest to nieco nieprawdopodobne. I chyba wywoła kłopoty.

Miał rację. Po chwili kolejne osoby wznawiały dopiero co przerwana dyskusję.

– Co to ma być za bzdura?! – wołał wzburzony Agret, gestykulując jednocześnie rękoma – Król powołał Radę, nadając jej pełną autonomię i obiecując nie wywierać żadnych nacisków, a teraz nagły nakaz?! Jaki ma sens działanie rady, jeśli nie jest w pełni niezależna?!

– Przecież wytłumaczył, że to sytuacja wyjątkowa – odpowiadał mu spokojniej Denafir, stojąc wyraźnie po stronie władcy – Nie dość, że mamy wojnę, to jeszcze w armii pojawił się problem. Normalne, że w takim przypadku prosi się nas o pomoc. Z tym że król jest królem, więc nie prosi, a żąda.

Czarodziej już chciał kontynuować kłótnię, ale tym razem Enerion nie zamierzał pozwolić jej się nawet odpowiednio rozgrzać. Wstał i krzyknął głośno:

– Wzywam Agreta Menafisa i Denefira Qanera do przedstawienia kluczowych części każdej z koncepcji! Następnie przeprowadzimy głosowanie!

Wezwani podeszli do stołu przewodniczącego i spojrzeli na siebie groźnie. Obydwoje wiedzieli, iż dochodzi do kulminacyjnego momentu dyskusji. Po chwili oczekiwania, analogicznie jak na początku, zaczął technomag:

– A zatem dlaczego mielibyśmy wysłać kogoś na wojnę? Po pierwsze, z czystej wdzięczności. Anarchijczycy raz już nam pomogli i nieuczciwe byłoby odmówienie im wsparcia. Ponadto należy przestrzegać warunków sojuszu, bo jego trwałość określa właśnie historia wzajemnych relacji. W końcu zasady są przecież po to, aby ich przestrzegać. – Zamilkł na chwilę, aby nabrać więcej powietrza. – Kolejny argument stanowi fakt, iż wspieranie przyjaciół jest tym, co odróżnia nas od Warderłończyków. Oni działają sami, my możemy ruszyć razem. I, co właśnie przyszło mi do głowy, pragnę zauważyć, że jeżeli tego nie zrobimy, to król prawdopodobnie cofnie większość dofinansowań, które nam wypłaca...

– Aha! – krzyknął natychmiast Agret, przerywając mówcy – wszystko jasne! Tobie chodzi po prostu o pieniądze! Nie o żaden patriotyzm...

– Zamilknij, Menafis – przerwał mu Enerion, z lodowatą stanowczością. Czarodziej spojrzał na niego w gniewie. Nie lubił, gdy zwracano się do niego po

nazwisku – Prosiłem o podsumowanie, a nie wznowienie dyskusji. Denafirze. – Tu zwrócił się do technomaga. – Czy masz coś jeszcze do dodania?

– Nie. Myślę, że jednoznacznie udowodniłem, iż powinniśmy natychmiast zająć się sprawą króla.

– Czyli twoja kolej Agrecie – rzekł przewodniczący, spoglądając na wciąż wzburzonego mężczyznę.

– Dlaczego Rada powinna odmówić wzięcia jakiegokolwiek udziału w wojnie? Powód jest jasny! Po pierwsze, nic nie mamy do Lenariolńczyków, z którymi Cesarstwo zamierza walczyć. Po drugie, jest to prosta droga do zbliżenia naszej polityki do znenawidzonego przez nas Warderlonu. Trzeba też zauważyć, iż jest to ewidentna zdrada wobec bogów! Nie tylko naszego, Bezmiennego, ale również kilku innych. I na koniec, bądźcie świadomi, iż takie działania mogą w przyszłości przysporzyć Kaistlanii licznych wrogów, na czym nasze profesje niewątpliwie stracą. Dlatego należy się wystrzegać owych czynów, a co za tym idzie zachować całkowitą neutralność względem tej głupiej wojny. I to wszystko, co pragnę powiedzieć.

Zapadła cisza. Wszyscy w milczeniu analizowali w głowach całą przeprowadzoną wcześniejszą dyskusję. W tym czasie przemawiający usiedli w końcu na miejsca.

– Co zamierzasz? – zapytał cicho Vernan swojego przyjaciela.

– Nie zmieniłem zdania. Wciąż jestem za pomocą – odparł Naretis, również szeptem – A ty?

– Ja się wstrzymam. I mam prośbę, zrób tak samo. Jak już mówiłeś, jest to sytuacja, w której obie strony mają racje, a technomag i mag, wspólnie wolący nie oceniać, najlepiej wyrażą ten pogląd.

– No... dobrze – odparł rozmówca, krzywiąc się nieco – Ale jeśli wynik nie będzie rozstrzygnięty, to w kolejnym głosowaniu już tego nie zrobię.

Przewodniczący podniósł się z miejsca, wziął głęboki wdech, po czym zapytał głośno:

– Kto jest za rozpoczęciem poboru do wojska, zarówno wśród magów, jak i technomagów? – Podniosły się liczne ręce. Prędko je podliczono. – A kto uważa, że nie należy tego robić? – Również szybko zliczono głosy. Ostateczny wynik był już po chwili znany.

– Pięćdziesiąt pięć procent głosów za i trzydzieści cztery przeciw. Reszta się wstrzymała – oznajmiła oficjalnym tonem zastępczyni przewodniczącego – A zatem wniosek przechodzi!

– Nie!!! – ryknął nagle Agret, ku zaskoczeniu większości – to po prostu niemożliwe!

– A jednak – odparł Denefir, uśmiechając się spokojnie, choć z wyraźnym zadowoleniem – Tak trudno zrozumieć, że przegrałeś?

– Stul dziób, wcale nie przegrałem! Nie mam zamiaru przebywać w kontrolowanej przez króla Radzie, która nie potrafi dojść do prawidłowych wniosków! Niniejszym ogłaszam, że odchodzę z tej opanowanej przez heretyckich

technomagów instytucji. Więcej mnie tu nie zobaczycie! Drodzy czarodzieje! Zgodzicie się zapewne, że to jedyne wyjście. Kto jest ze mną?!

Ku zdumieniu obydwu przyjaciół z miejsc zaczęły podnosić się kolejne osoby. Spoglądały one z niezadowoleniem na przewodniczącego, po czym z miną rozczarowania wychodziły z sali. Po kilku minutach jedynymi magami w pomieszczeniu byli Vernan, Enerion i Avineria.

– Chyba mamy rozpad Rady – rzekł Naretis wśród ogólnej wrzawy, jaka nastąpiła. Nawet Denafir nie bardzo wiedział, co powiedzieć i tylko klął pod nosem.

– Tak trochę – odparł jego przyjaciel smętnym tonem. – W końcu doszło do tego, że dwa poglądy wobec magii nie mogą już współgrać. Miejmy nadzieję, że nie pójdzie to dalej i nie wyniknie z tego jakaś wojna. Potrafiłbyś sobie takową wyobrazić?

– Myślę, że tak, ale wolałbym nawet nie próbować. Przez ostatnie kilkaset lat staraliśmy się prowadzić naszą naukę z dala od drogi chaosu i destrukcji, ale mimo to moglibyśmy szybko na nią powrócić. Ale zostawmy temat. Przed nami ważniejsze pytanie. Co robimy?

– Ja muszę porozmawiać z przewodniczącym. Zaczekaj chwilę.

To powiedziawszy, ruszył ku dołowi. Wiedział, iż wygląda, jakby również zamierzał opuścić salę, ale nie dbał o to. W końcu dotarł do nieco już przybitego mężczyzny:

– Enerionie... Wiem, że sercem popierasz innych magów – zaczął powoli, starając się nie urazić rozmówcy – a obowiązek trzyma cię twardo wciąż tutaj, na twoim stanowisku. Jednak w obecnej sytuacji pozostawanie w Radzie opanowanej przez technomagów nie ma większego sensu. Z pewnością będą chcieli mieć kogoś ze swojej profesji jako przewodniczącego. Przykro mi, ale chyba nic tu po tobie.

– On ma rację – odparła stojąca obok Avineria. – Chodźmy Enerionie. Na niewiele się zdamy w tej sytuacji.

Mężczyzna pokiwał smutno głową, po czym zaczął pakować dokumenty. Po chwili, wraz ze swoją byłą zastępczynią, również opuścił salę.

– A zatem zostaliśmy pozbawieni i przewodniczącego – powiedział Naretis, gdy jego przyjaciel powrócił na miejsce – A co z tobą? Pozostałeś sam.

– Dla mnie też już raczej nie ma tu miejsca – odparł Vernan, uśmiechając się smutno – Cóż... w Radzie już się raczej nie zobaczymy, ale mam nadzieję, że nasilające się kłótnie między magami i technomagami, nie sprawią, że i mnie znienawidzisz. Liczę, iż wciąż będziesz wpadał od czasu do czasu na kieliszek wina.

Rozmówca pokiwał głową uspokajająco i rzekł:

– Wciąż jestem po twojej stronie, przyjacielu.

Tymczasem Denafir, kierujący właściwie w tej całej dyskusji technomagami, nieśmiało zajął miejsce przewodniczącego i powiedział głośno:

– Nie traćmy czasu moi drodzy, król na nas liczy. A zatem? Ile osób ze swoich regionów jesteście w stanie zebrać?

Rozpad Kaistlankiej Rady Magii oraz pomoc technomagów w wojnie z Lenarioleńczykami spowodowały, iż wycofano królewskie dofinansowania dla magów. W konsekwencji doprowadziło to do ostatecznego końca czarodziejów na Kahvelu. Jakies sto lat później, wpływy posiadali już prawie wyłącznie ich konkurenci, a Kaistlania została uznana za państwo technomagiczne.

Wielu technomagów poległo na wojnie, do której zdecydowali się dołączyć. Ponadto zdominowanie przez nich środowisk naukowych w Kaistlanii przysporzyło im wielu przeciwników w innych krajach oraz pogłębiło niechęć między dwoma zajmującymi się magią profesjami.

Twój wybór, twoja droga

Shitsura, Shandaria. Rok 605 od zesłania Pana

Plątanina uliczek, niespodziewanych przejść, dziwnych skrótów i wszystkiego innego co prawdopodobnie powstało jedynie po to, aby zgubić podróżującego, który nieostrożnie zapuścił się w ten miejski labirynt. Do tego ciągła świadomość wzroku tych całych zamaskowanych wojowników, mających podobno dbać o bezpieczeństwo przyjezdnych. Właśnie tak Nartin widział Shitsure, stolicę Shandarii, przemierzając się skrzętnie wśród jej zabudowań. Nie mógł przyznać, aby specjalnie ją lubił.

Jaki jednakże miał wybór? To właśnie tutaj, raz na pięć lat, w Dzień Magii, kiedy to wszystkim czarodziejom moc odnawiała się w niespotykane szybkim tempie, organizowano największy i najśłynniejszy Wielki Turniej Magii Bitewnej. Magowie z całego świata zjeżdżali się, nie tylko po to, aby wziąć w nim udział lub pooglądać zmagania z widowni, ale również, by wymienić się wiedzą albo sprawdzić, czy nadal nadążają za najnowszymi odkryciami, trendami i wszystkim, co słyszeć w czarodziejskim świecie. A przynajmniej o ile dobrze Nartin pamiętał, takie były założenia organizatorów. To czy je spełniało, stanowiło zupełnie inną kwestię.

Tak więc jako szanujący się anarchijski czarodziej, przybył do Shandarii. Osobliwego miejsca, w którym to uniwersytety i nauka praktycznie wszystkiego była darmowa i finansowana przez państwo, procent magów w społeczeństwie przewyższał inne kraje, a władza musiała się liczyć z głosem kapłanów Boga Mądrości. Cemu go nie dziwiło, że właśnie tutaj wszyscy jego towarzysze po fachu tak tłumnie przybywali...

Niestety... popełnił błąd. A przynajmniej tak w owym momencie uważał. Nie przyjechał bowiem sam.

– Cholerny Arion – zaklął głośno pod nosem, skręcając w następną uliczkę z nadzieją, że akurat ta doprowadzi go we właściwe miejsce.

Jego kaistlancki kuzyn słynął wśród rówieśników ze zdolności do gubienia się w każdym miejscu. Podobno we wsi złożonej z dziesięciu domostw da się go szukać przez ponad godzinę. Coś po prostu było w nim, jakby ze zagubionej owieczki... nie patrzył przed siebie, wciąż dążył nie wiadomo dokąd, bez powodu lawirował między wszystkim, co się da... I chociaż wychowywali się razem, Nartinowi czasem wydawało się, że rówieśnik jest od niego młodszy nie o trzy lata, a o trzynaście. Wtedy całe to roztrzępanie mogłoby zostać jeszcze jakoś wyjaśnione. No ale dwudziestosiedmiolatek? Dajcie spokój...

Rano obydwójce wyszli z karczmy, gdzie nocowali, aby przed zawodami jeszcze trochę pozwiedzać Shitsurę. Mieli się spotkać tam ponownie po dwóch godzinach, aby spokojnie dotrzeć do areny na czas. Niestety Arion jak zawsze się nie pojawił i plan całkowicie wziął w łeb. Czarodziej wytrzymał w oczekiwaniu jakieś pół godziny,

po czym wiedząc, że i tak nie zdąży, ruszył w stronę miejsca turnieju. Liczył, iż kuzyn jakimś cudem również zdoła tam trafić.

Ostatecznie labirynt korytarzy skończył się nagle i jego oczom ukazał się olbrzymi budynek o okrągłym kształcie. Arena Spokoju, jak głosił widniejący na wejściu srebrny napis. Wydawało się to dość sarkastyczną nazwą, biorąc pod uwagę co się na niej obecnie działo. W przeciwieństwie do większości zabudowań wykonano ją z pięknego szarego marmuru, tworząc specyficzny kontrast między nią a resztą miasta. Materiał prawdopodobnie sprowadzano z Kahvelu, bo o ile Nartin pamiętał, Shandaria była dość uboga w takowe złoża. A może się mylił? Kolorem nieco się różnił od tych powszechnie spotykanych w Kaistlanii...

W każdym razie czarodziej udał się bezpośrednio do sporych drewnianych drzwi i już miał poprosić stojących obok strażników o ich otwarcie, gdy jeden z nich uniósł dłoń w powstrzymującym geście. Następnie przemówił po tokirisku:

– Przykro mi magu, ale musisz poczekać do przerwy. Walki już się zaczęły, a otrzymaliśmy zakaz wpuszczania kogokolwiek podczas ich trwania.

Nartin zaklął pod nosem siarczyście, ale niewiele mógł zrobić. Spytał jednak od razu, również używając języka kupców:

– A ile to mniej więcej potrwa?

– Ponad dwie godziny jak przewiduję – odparł tamten, wzruszając ramionami obojętnie. – Na pewno zauważysz moment, bo wielu z was wychodzi wówczas odpocząć od hałasu, albo po to, aby skorzystać z pobliskiej biblioteki.

Czarodziej kiwnął głową, po czym westchnął zrezygnowany. Podziękował strażnikom skinieniem i odwrócił się z powrotem w stronę labiryntu domostw. W tym momencie jednak ku jego zdumieniu i złości, z jednej z uliczek wyszła przyczyna wszystkich problemów. Jego roztrzepany i wyraźnie zdezorientowany kuzyn Arion.

– Nartin. Bogu Mądrości dzięki, że cię znalazłem – oznajmił z ulgą w głosie, podchodząc bliżej do rówieśnika.

– No chyba żarty sobie w tym momencie stroisz – odparł mag w płynnym anarchijskim, aby strażnicy nie mogli ich zrozumieć. – Wiesz ile na ciebie czekałem? Nie dość, że nerwy mnie zżerały, to jeszcze bramę nam zamknęli i teraz nie wejdziemy!

Ten zrobił nieco zbolatą minę, lecz chyba nie za bardzo się przejął.

– Wybacz mi kuzynie, ale znalazłem na targu pewien niezwykły nóż. Zobacz. – Pokazał mu proste lśniące ostrze. – Jest akrywianowe, a kosztowało mnie wyłącznie sto brązków. Nie mogłem przegapić takiej okazji, zwłaszcza że co pewnie cię zainteresuje, ma pewien ładunek magiczny...

Nartin zacisnął pięści z wściekłością i zamknął oczy. „Oddychaj”, pomyślał uspokajająco, „To twój kuzyn. I sam chciałeś go zabrać...”.

– Arion – powiedział w końcu, ukrywając twarz w dłoniach, aby stłumić gniew – Turniej jest organizowany raz na pięć lat, w jednym miejscu na świecie. A ty marnujesz ten czas na targu staroci?! Weź się zastanów...

– Hej, wcale nie zamierzałem tam trafić. Przechodziłem jednak obok bardzo

ładnie udekorowanej budowli... Może jakieś ambasady? I nie mogłem się powstrzymać, aby ją obejrzeć ze wszystkich stron, więc musiałem wejść w ten przeklęty labirynt. No i ostatecznie chcąc nie chcąc znalazłem się w jakiejś biedniejszej dzielnicy, kompletnie nie wiedząc skąd i dokąd idę. I tak w sumie dobrze, że mnie nie okradli...

– Albo przeciwnie, szkoda... W czasie turnieju jednakże królewscy strażnicy chronią i śledzą każdego przybysza – wyjaśnił Nartin zwięźle – bo to Shandaria odpowiada za nasze bezpieczeństwo. Uwierz mi, biada temu, kto spróbuje zrobić krzywdę obecnym tutaj magom. Chociaż z drugiej strony walki się już zaczęły, więc pewnie skupiają się głównie na arenie... nieważne. Wiesz co? Pilnujący bramy strażnicy wspomnieli o jakiejś bibliotece w pobliżu. Skoro i tak musimy czekać, zróbmy to w sposób aktywny. No i tam chyba nie uda ci się zgubić...

– Postaram się – odparł kuzyn uspokajająco.

Stuk!

Kolejna książka wylądowała na niewielkim, znajdującym się przy ścianie stole. Czarodziej rozejrzał się wśród dziesiątek otaczających go regałów, a następnie westchnął cicho. Nawet gdyby spędził tam cały dzień, i tak nie zdążyłby przejrzeć, chociażby połowy interesujących go dzieł. Co nie zmieniało faktu, iż świetnie się w tej chwili bawił.

– Nartin! – Wołanie nagle wyrwało go z kontemplacji. Jego kuzyn pojawił się obok dosłownie znikąd. – Nie, żebym coś mówił, ale dwie godziny już minęły. Na finał też chcesz się spóźnić?

– Do tego czasu została jeszcze przerwa... – mruknął pod nosem, odkładając dopiero co zabrany tom na swoje miejsce – ale może faktycznie lepiej przyjść wcześniej. Chodźmy. Bramy pewnie jeszcze nie otwarto, lecz spodziewam się tego lada chwila. O... – przerwał, zauważywszy sporą książkę pod pachą kuzyna – czyżby cię coś szczególnie zainteresowało?

– Owszem – odparł tamten, pokazując dzieło. – Rozmawiałem z bibliotekarzem, mogę wypożyczyć na czas zawodów i zwrócić po ich zakończeniu. Skoro faktycznie przerwa trochę potrwa, to chyba zdążę przeczytać...

– „*Dwie Drogi*” autorstwa Devirusa i Mantrisa Arrenów. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że tego nie czytałeś.? Przecież to obok „*Wielkiej Księgi Ringa*” najśłynniejsze dzieło traktujące o czarodziejstwie na świecie!

– Właśnie zauważyłem – odparował Arion kwaśno. – Wyglądało na niezwykle wyeksponowane wśród innych. Dlatego mnie zaciekało...

– Bogowie... Koniecznie musisz to przeczytać. W innym przypadku za każdym razem, gdy ktoś je zacytuje w towarzystwie, będę się za ciebie wstydził. Chodź. Nie marnujemy już czasu.

Opuścili bibliotekę w pośpiechu i szybkim krokiem udali się z powrotem pod

bramę. Tę zaś właśnie otwierano, wypuszczając tym samym mrowie czarodziei zapewne zmęczonych hałasem i zgiełkiem panującym w środku. Kuzyni ostatecznie musieli cierpliwie poczekać, aż tłum nieco zrzednie i dopiero wówczas przekroczyli próg.

– Mam nadzieję, że znajdą się jeszcze miejsca siedzące – oznajmił Nartin, lawirując między kolegami po fachu. – Nie widzi mi się oglądanie walk na stojąco. Jak sądzisz?

– Biorąc pod uwagę nasze spóźnienie? Nie liczyłbym na wiele. Aczkolwiek świta mi pewien pomysł...

Wyszli na trybuny. Obydwoje musieli przyznać, że shandariańscy budowniczkowie wykonali znakomitą robotę. Arena mogłaby pomieścić tysiące osób i gdyby nie fakt rezerwacji części przedziałów przez polityków lub bogaczy, z pewnością problem braku miejsc w ogóle by nie zaistniał. No ale nie tylko czarodzieje chcieli oglądać zmagania.

Co zaś się tyczy samego obszaru walk... magowie w tej kwestii postawili na prostotę. Żadnych przeszkód, zasłon, utrudnień czy pułapek. Zwyczajnie wielkie koło wyłożone lśniącem marmurem. Oczywiście pewnych rzeczy nie dało się uniknąć. Wielu czarodziei bitewnych nie potrafiło walczyć bez odrobiny współpracy ze strony środowiska. Z tego powodu przy ścianie umieszczono wiele udogodnień takich jak podłużna misa z wodą, gdyby któryś zawodnik posługiwał się tym żywiołem albo sporej wielkości kopiec kamieni dla zupełnie innych. Turniej starał się nie wykluczać żadnego stylu, nawet jeżeli niektórych nie używano od wielu lat. Nartin kiedyś się nawet zastanawiał czy gdyby wymyślił coś zupełnie nowego, wymagającego nieco pomocy od środowiska, dostarczono by na arenę potrzebne rzeczy? W czysto teoretycznej sytuacji tak być chyba powinno...

– Tam są jakieś miejsca – wyrwał go z zamyślenia kuzyn, wskazując na kamienną ławkę dość daleko od wejścia. – Ale mogą należeć już do osób, które wyszły na przerwę. Poszukam dalej.

Nartin zignorował oświadczenie i rozglądał się za czymś zupełnie innym. Zawsze uznawał się za człowieka towarzyskiego, co zresztą nie mijało się z prawdą, więc istniała pewna szansa, że...

Czarodziej uśmiechnął się nagle, rozpoznawszy znajomą twarz. Chwycił kuzyna za ramię i pociągnął w stronę siedzeń tuż przy miejscu walk. Ten nie opierał się, uznając autorytet starszego. Chociaż na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

Po kilku przepychaniach, wyminięciach i uprzejmych gestach dotarli do celu. Nartin natychmiast zagaił do siedzącego tam czarodzieja.

– Neveril, stary przyjacielu, co u ciebie słychać?

Elf zmarszczył brwi zaskoczony i przyjrzał się rozmówcy. Następnie zawołał olśniony:

– Nartin Anerivis! Haha, bogowie coś ty zrobił z włosami? Ledwo ciebie poznałem w krótkich.

Anarchijczyk zmierzył swoją wciąż gęstą czuprynę i uśmiechnął się wesoło. Potem usiadł obok znajomego.

– Znudziły mi się długie. Wspominałem ci o moim kuzynie? – Tu wskazał na omawianego.

– Arion Dweri. Miło poznać – odparł tamten, również przysiadając się do nich.

– Nie wierzę... Technomag na turnieju czarodziejów? Cóż cię tutaj sprowadza?

– Jestem magiem – oznajmił nieco zniesmaczony rozmówca. Miał już dość tego pytania.

– Czemu w takim razie nosisz tę zabawkę? – Elf pokazał palcem na technokular, zawsze znajdujący się przy na oku Ariona.

– Mój kuzyn studiował zarówno magię, jak i technomagię – wyjaśnił szybko Nartin, aby rozwiać wszelkie wątpliwości. – O ile dobrze zrozumiałem głównie po to, aby mieć lepszy pogląd na oba. Zawsze jednak uznawał się bardziej za czarodzieja i bardzo nie lubi, jak ustawia się go po drugiej stronie barykady.

– Oba mówisz? – Nevaril zastanowił się chwilę, głaszcząc się po brodzie. – Które z nich uznajesz zatem za lepsze? I dlaczego?

– Nie – odparł krótko Kaistlanin, podnosząc nieco w górę wskazujący palec. – Nie dam się wciągnąć w tę dyskusję. Towarzyszy mi od dnia, w którym wybrałem swój drugi kierunek i mam już jej serdecznie dość. Koniec tematu.

Pozostała dwójka zgodnie parsknęła śmiechem. Obydwoje jednak spojrzeli na niego ze zrozumieniem. Magowie i technomagowie słynęli na całym świecie ze swojej niechęci do siebie. Jeżeli ktoś rzeczywiście zajął się na poważnie obiema naukami... cóż... nie czekało go łatwe życie.

– Ale, ale – zaczął ponownie Nartin, zwracając się do przyjaciela – nie odpowiedziałeś mi. Co u ciebie słychać? Zmieniło się coś specjalnego na Kael-Kirii od czasu, gdy skończyłem tam mój półroczny pobyt? I jak idzie praca?

– A weź nic nie mów – odparł Neveril, machnąwszy ręką. – Chyba straciłem do niej serce.

– Niemożliwe!

– A jednak. Za dużo ostatnio polityki a za mało magii. I to chyba mnie męczy.

– No ale stało się coś szczególnego, co jest przyczyną? Jakiś nowy przeciwnik na dworze?

– Nie... Po prostu... za czasów króla Molasara jeszcze jakoś się tam trzymałem. Ale od momentu, gdy tron przejął jego syn... Nie wiem. Nie widzę się wśród innych dworzan po prostu.

– Więc dlaczego nie zrezygnujesz? – Anarchijczyk drążył temat. – Zajmij się jakimiś badaniami albo czymś.

– Odpada – rzekł Kael-Kirian z ponurym wyrazem twarzy. – Król potrzebuje doradcy od magii, a ja posiadam już zbyt duże doświadczenie, aby dać się tak łatwo zastąpić. Nie zrozum mnie źle... kocham swój kraj. I wiem, iż nikt inny nie sprawdzi się na tym stanowisku wystarczająco dobrze. Niestety. No ale póki co... – Uśmiechnął się nagle. – Odpoczywam, oglądając Wielki Turniej Magii Bitewnej. Bo pełnym

przypadkiem potrzebowano kogoś na miejscu. Tak więc zapomnijmy o troskach i skupmy się na widowisku.

– Tak trzymaj przyjacielu – pochwalił go Nartin. – Tak trzymaj.

– A cóż takiego twój kuzyn czyta cichaczem, zupełnie ignorując naszą dyskusję?

– spytał Neveril, zmieniając temat na nieco lżejszy.

– A tu się zdziwisz – oznajmił Anarchijczyk, wrywając sąsiadowi książkę z ręki.

– „*Dwie Drogi*”, braci Arrenów.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, iż...

– Nie czytał! Otóż to! Wyobraź sobie, że pośród wszystkich tomów, które przeszły przez jego ręce podczas studiów nie znalazło się owo wspaniałe dzieło. Zadziwiające prawda?

– Och, na Pana Nartin. – Arion brzmiał wyraźnie na podirytowanego. Z powrotem zabrał swoją własność od kuzyna. – Dajże mi już z tym spokój. Zaraz ją przeczytam i w twoim mniemaniu stanę się prawdziwym magiem. Zadowolony?

– Oj przecież nie mam ci tego za złe – uspokoił go natychmiast czarodziej. – Po prostu... ten tom znajdziesz wszędzie! W każdej najmniejszej bibliotece.

– W Onaxie go jakoś nie było.

– Onaxa leży w Kaistlanii – oznajmił Nartin cierpko. – To wszystko wyjaśnia.

– Ach, nie jesteście tej samej narodowości? – spytał zaciekawiony Neveril.

– Nie. Ciotka wyszła za kupca z Luxneru. Nie żebym narzekał, wakacje poza Nastilią bardzo mi odpowiadały. Podróże kształcą.

– Tak więc ojciec Kaistlanin, matka Anarchijka – wyjaśnił Arion, podnosząc wzrok znad tekstu. – Jestem zatem pół na pół. Aczkolwiek zawsze czułem się bardziej Kaistlaninem...

– Każdy jak woli. – Kiwnął głową Kael-Kirian. – Nie mam uprzedzeń. Chociaż w naszej kulturze by to nijak nie przeszło.

Zamilkli nagle, pograżając się w zamyśleniu. Nartin wiedział, iż Astriadzi, półelfy były prześladowane na całym świecie za swoją mieszaną krew. Źródło owych ataków stanowiło oczywiście podejście do życia samych elfów, uznających się za swego rodzaju „specjalną” rasę. Chcąc nie chcąc Cesarstwo Anarchijskie, a zatem i wszystkie kraje sprzymierzone, musiały się zgodzić na tępienie Astriadów, gdy tylko udało się nawiązać trwalszy sojusz z Kael-Kirią. Nowi partnerzy w tej kwestii byli nieugięci.

Arenę tymczasem przygotowywano do finałów. Odnawiano zużyte podczas eliminacji elementy, czyszczono marmurowe podłóżę i ponownie instruowano czarodziei mających wykrywać zwycięstwo lub porażkę jednego z walczących. Shandarianie woleli mieć pewność, że wszystko pójdzie idealnie i bez żadnych zgrzytów. W końcu przez ten krótki moment patrzył na nich cały czarodziejski świat. Pracownicy uwijali się więc w podskokach.

Nartin niegdyś rozważał startowanie w turnieju. Niestety jego nadzieje zostały prędko zniweczone, gdy w akademickich zawodach rozniósł go najlepszy przyjaciel. Nie miał mu tego za złe oczywiście. Po prostu wydawało mu się, iż zdoła przejść nieco

dalej... Życie jednak skutecznie pokazało mu co i jak. Nie posiadał talentu w tym kierunku. Koniec kropka.

– Aj chyba się starzeje... – wyrwał go z zamyślenia Neveril. – Zupełnie zapomniałem zapytać...

– Przecież elfy są nieśmiertelne – przerwał mu z rozbawieniem Nartin.

– Owszem, ale nie oznacza to, iż nie stajemy się coraz bardziej zrzędlivi i wrażliwi na moment, w którym ktoś nie pozwala nam dokończyć.

– Wybacz. Mów.

– Chciałem tylko zapytać o żywioł twojego kuzyna. Jaki wybrał?

Arion demonstracyjnie podrzucił do góry monetą. Ta zastygła w powietrzu.

– Magnetyzm, tak samo, jak ja – doprecyzował natychmiast Nartin.

– A tam – zachnął się Kael-Kirian z rozczarowaniem. – Ogień! Lód!

Elektryczność! To są dobre żywioły! A nie jakiś tam metal... nie wiem, skąd w ogóle wzięła się nagle na niego moda.

Kuzyni spojrzeli na siebie porozumiewawczo, ale zachowali milczenie. Na takie komentarze lepiej nie odpowiadać.

– A tak w ogóle... dopiero teraz zauważyłem twój nowy kostur przyjacielu – to rzekłszy, Neveril chwycił do ręki podłużną laskę stojącą do tej pory obok. – Wygląda całkiem nieźle.

– Nie dotykaj! – odparł natychmiast Nartin, podnosząc nieco głos i wyrwał mu z rąk swoją własność.

– O! A skąd ta drażliwość?

Niespodziewany wybuch śmiechu Ariona natychmiast oczyścił atmosferę.

– Na twoim miejscu bym się nie dziwił. Ponad czterdziestodzień przesiedział w swojej pracowni, tworząc ten kostur. I daję głowę, że trwałby tam nadal, gdyby nie obiecał pokazać mi turnieju. Teraz przez najbliższy rok będzie traktował go jak największy skarb.

– Na Boginię Natury! – zawołał Kael-Kirian, łapiąc się za głowę. – Zupełnie zapomniałem, że jesteś różdżkarzem Nartinie! Wybacz mi proszę, wyleciało mi z głowy.

– Nie ma problemu. Też powinienem opanować odruchy.

– Ponad czterdziestodzień mówisz? – Neveril ponownie pogładził się po brodzie. – Mógłbyś powiedzieć coś więcej czy to tajemnica zawodowa?

– Coś tam zdradzić mogę. Wykonałem ją z drewna drzewa kryształowego...

– A skąd u licha je miałeś? Nie wmówisz mi, iż targowałeś się z algabiorczykami...

– Pamiętasz może skrzynie, którą mi dałeś...?

Rozmówca zachmurzył się od razu i spojrzał na przyjaciela.

– Czy ty chcesz mi powiedzieć, że...

– Żartuje. Spokojnie. Sprowadziłem z Lenariolenu, za sporą cenę. Co zaś do reszty... mogę ci jeszcze zdradzić, że rdzeń jest z metalu spadających gwiazd.

– Fiu... – Neveril aż gwizdnął z wrażenia – Na bogato! Widzę więc, że sprzętem

to ty dorównujesz zawodnikom.

– Każdy robi, co lubi prawda?

– Jeśli może – odparł rozmówca, uśmiechając się smutno. – Ale czemu tylko cztery rozwidlenia na końcu? Tak przeciw modzie? Zazwyczaj umieszcza się więcej...

– I umieściłby więcej, uwierz mi – wtrącił się do rozmowy Arion, ponownie podnosząc wzrok znad tekstu. – Gdybym nie wybił mu tego z głowy.

– Wtrąciłeś się w jego pracę?

– Z niechęcią. Nie wątpię w kunszt i umiejętności Nartina, ale nie mogłem patrzeć, jak uszkadza dzieło swojego życia.

– Jak to uszkadza? – zdziwił się Kael-Kirian, marszcząc swoje gęste brwi.

– Nie wyjaśni ci – oznajmił Nartin, polerując szary kryształ w swoim kosturze. – Nawet dla mnie tego nie zrobił.

– Więc czemu go posłuchałeś?

– Bo przez dziesięć dni łąził za mną i grzmiał, abym zrobił trzy do pięciu rozwidleń. Nie mogłbym się skupić na pracy, gdyby nie przestał. Poza tym... – Tu zrobił dłuższą pauzę. – Mimo wszystkich jego wad, nadal mu ufam.

– Nie wierzę. W końcu się do tego przyznałeś – stwierdził rozbawiony Arion. – Nie chcę nic mówić, lecz od teraz będę to często wykorzystywał. Ale nie przejmuj się. Nartin westchnął, wznosząc oczy ku niebu.

– Ty mi lepiej powiedz – rzekł do przyjaciela, zmieniając szybko temat. – Skoro oglądałeś turniej od początku, kto przeszedł do finałów?

– Czterech zawodników, jak zapewne wiesz.

– Oczywiście. Znam zasady zawodów. Któż dokładniej?

– Więc po kolei... po pierwsze nasz reprezentant. – Tu uderzył się lekko w pierś. – Melenvil Elieilijas.

– Chwila. To ten, który wygrał w zeszłym turnieju?

– Owszem. Mag bitewny z powołania. Żywioł ognia. Startuje w turnieju po raz czwarty. Za każdym razem szło mu znakomicie.

– Ale czy nie był przypadkiem bliski dyskwalifikacji? – spytał Nartin, próbując wyszukać w pamięci wspomnienie. – Coś mi się kojarzy podobnego.

– Rzeczywiście. Miał problemy z samokontrolą. Piętnaście lat temu w półfinale podpalił przypadkiem trybuny. Sędziom się to nie spodobało, lecz ostatecznie uniknął kary.

– Wówczas jeszcze nie obserwowałem... ale widowisko musiało prezentować się ciekawie.

– Ach, tak – westchnął Neveril, uśmiechając się nieco. – Wypełnił ogniem niemal całą arenę. Jednak on ma po prostu taki styl walki. Bardzo... żywiołowy, dziki. Rozumiesz.

– Jasne, chociaż turniej przewiduje i takich. W końcu liczy się zwycięstwo prawda?

– Powiedzmy...

– Skąd ta niechęć? – czarodziej zdziwił się, słysząc chłód w głosie przyjaciela.

Zazwyczaj był on bardzo pozytywnie nastawiony do wszystkich.

– Nie przepadam za nim.

– Gdyż?

Neveril zastanowił się chwilę i przewrócił oczyma, jakby nie potrafiąc się zdecydować. W końcu stwierdził:

– Sam nie wiem. Fakt ten może wynikać z osobistych zatargów, ponieważ większość moich rozmów z nim kończyła się niekorzystnie. Wierzę jednak, iż nie to jest powodem.

– Więc co?

– Hm... Nie podoba mi się jego podejście do niektórych spraw.

– Na przykład? – Nartin brnął niestrudzenie, licząc, że uda mu się coś od przyjaciela wyciągnąć.

– Weźmy takie rasy. Wszyscy wiedzą, że elfy są lepsze od ludzi. Jasne, każdy z nas jest tego świadomy. Tylko... Melenvil podkreśla to w każdej sytuacji. I po co? Nie potrafię tego zrozumieć. Po pierwsze takie ciągłe mówienie jest przecież niekulturalne. Po drugie, rozmowa z nim staje się strasznie monotematyczna. I w końcu po trzecie... – Neveril przerwał.

– Tak...?

– Jak tak ciągle o tym przypomina, zaczyna się wydawać, że próbuje po prostu sam siebie przekonać. Jakby nie był pewien i potrzebował potwierdzenia.

– Rozumiem... – Nartin pokiwał głową – Faktycznie mnie też jakoś nie pociąga osobowością. Ale cóż zrobić? Świat pełen jest różnych osób i nic z tym nie zrobimy. Ucieszysz się zatem jeżeli przegra?

– Ależ nie! – zaprzeczył żywotnie Kael-Kirian. – Wspieram swoich. Będę dumny z reprezentanta mojego kraju, gdy ten zwycięży. Po prostu.... nie lubię go.

– Kto jeszcze dotarł do finału?

– Następna jest wasza. W sensie z Cesarstwa Anarchijskiego. Setilla Adrioles.

– Anarchijska zawodniczka przeszła eliminacje? Bogowie jakaż miła niespodzianka! – zawołał Nartin z radością. – Już wiem komu kibicować.

– Kobieta mag? – zdziwił się Arion, podnosząc głowę znad książki.

– Na Bezimiennego, kuzynie... Obudź się. Czasy, w których czarodziejstwo należało do mężczyzn, już dawno minęły.

– Powiem więcej – dodał Neveril – u nas nigdy ich nie było.

– Ach może... Ale w Kaistlanii ich nie ma. – Bronił się rozmówca.

– Bo jest opanowana przez Technomagów? – odparował Nartin. – Jak dobrze, że udało mi się ciebie stamtąd wyrwać. Zobacz, ilu nowości się dowiesz!

– Najwyraźniej...

– Ta wasza Setilla... – podjął wątek Kael-Kirian. – Ogólnie żywioł elektryczność. Z jakiego jest rodu? Nie kojarzę jej.

– Chyba z żadnego o ile dobrze pamiętam.

– Ach, bo u was tak jak u nas wszyscy posiadają nazwiska! Zupełnie zapomniałem... W sumie to bardzo dziwne. Pod tym względem stanowicie wśród

ludzi swoisty unikat.

– Rozkaz cesarza – oznajmił krótko Nartin. – I nic nie poradzisz. Kazał, więc się stało.

– A co z przedstawicielem Kaistlanii? – wtrącił się Arion, ponownie przerywając czytanie.

– Odpadł bardzo wcześnie. Przykro mi.

– Ach...

– „Wielcy czarodzieje w Kaistlanii skończyli się na Aedronie Siviolinie” – zacytował Anarchijczyk powszechnie znanego polityka.

– Cóż... pozostaje mi wspierać tę całą Setillę.

– Następny jest Hascirin Kenitri. – Kontynuował temat Neveril. – Walczył jako ostatni chyba.

– Kenitri? Walderlończyk?

– Owszem.

– W sumie nic zaskakującego. Mieszkańcy Akadarii znali magię na długo przed nami. Ich akademie mają o wiele wyższy poziom.

– Nie wyższy niż u nas. – Uśmiechnął się złośliwie Kael-Kirian. – Ale uwaga, tu się zdziwisz. Żywił powietrze.

– Naprawdę? Wiatr w boju? Nie widziałem tego od... w sumie nigdy.

– Od bardzo dawna. Ale facet jest piekielnie dobry. Widać, że to wielki talent oszlifowany dłońmi mistrza. Chciałbym wiedzieć, kto go uczył.

– Może zapytaj? Z pewnością porozmawia z ambasadorem Kael-Kirii.

– W sumie, dlaczego nie...

– A kto ostatni?

– Przedstawiciel gospodarzy, Shandarian. Nuju Yioioshi.

– Zaraz – wtrącił się nagle Arion. – „Ten” Nuju?

– W jakim sensie „ten”? – spytał Nartin, nie bardzo rozumiejąc kuzyna.

– Nie no panowie – stwierdził rozmówca, zamykając książkę. – Ja rozumiem, iż można nie lubić drugiej strony, ale... czy wy naprawdę ignorujecie całą politykę kontaktów między magami i technomagami?

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Ech... No więc w większym skrócie. Obie strony zajmują się magią, lecz na dwa różne sposoby. Muszą się zatem jakoś kontaktować, czy tego chcą, czy nie. A że siebie nie cierpią, dochodzi czasem do różnych... napięć, drobnych konfliktów...

– Jasna sprawa. Ale co do tego ma ów Nuju?

– Osiem lat temu – tłumaczył cierpliwie Arion. – Miało miejsce największe w historii spięcie między magami i technomagami. I tu nie mówię o jakimś zwykłym sporze. W pewnym momencie prawie rzucili się sobie do gardeł. Czego skutkiem byłaby wojna magiczna.

– Naprawdę? – zdziwił się Nerevil nieco ironicznie. – Zaskakujące, że o niczym nie słyszałem.

– Właśnie z jego powodu.

– Co masz na myśli?

– Cała rzecz rozgrywała się oczywiście w Kaistlanii...

– Gdzieżby indziej...

– Ćś... byłem więc na miejscu. Obie strony bardzo mocno się pokłóciły o pewien istotny fakt i nie potrafiły dać za wygraną. Nasz król ostatecznie kazał im rozwiązać spór na większej naradzie w Onaxie.

– W twoim rodzinnym mieście?

– Tak – potwierdził Arion, żywo kontynuując wypowiedź. – Powołano mnie na świadka, ale chyba niewiele pomogłem. Wiesz, pewnie myśleli, że skoro studiuje oba kierunki... coś wymyśle. Przecenili dziewiętnastolatka. W każdym razie wyobraźcie sobie sytuację: Wielka sala, magowie po jednej stronie, technomagowie po drugiej. Emocje buzują, napięcie jest ogromne. Nawet strażnicy, którzy w sumie niewiele by mogli zrobić w razie konfrontacji magicznej, wiedzą, iż stoją na budzącym się wulkanie... I wtedy właśnie pojawił się Nuju.

– I tak po prostu wszystkich uspokoił? – spytał Nartin z powątpieniem. Był zdania, że akurat tych zwaśnionych stron nie da się pogodzić.

– Zaskakujące prawda? W życiu nie widziałem takiego człowieka. Wspaniały dar oratorski. Pokierował całą dyskusją w ten sposób, iż po godzinie znalazła swoje ujście. Gniew opadł. Nastąpiła zgoda. I dzisiaj tylko nieliczni wiedzą, że przez chwile znaleźliśmy się na skraju niezwykle niebezpiecznej wojny.

– A może to nie on? Wiesz... nie wiemy, jak popularne ma imię i nazwisko.

– Jaki żywioł? – spytał krótko kuzyn.

– Lód.

– To ten. Na pewno.

– W sumie możesz mieć rację – Neveril nagle zmienił podejście. – Jest magiem mądrości. Ich zadaniem jest przeciwdziałać sporom.

– Zaraz – zaoponował Nartin. – Przecież kapłani Boga Mądrości nie mogą walczyć!

– Nie do końca – zaprzeczył Kael-Kirian. – Nie wolno im brać udziału w konfliktach, prawda. Ale tak dla sportu...? Albo co ważniejsze, dla rozwoju? Przecież każdy z nich zajmuje się jakąś gałęzią nauki, z powołania i obowiązku. Może akurat ów Nuju stara się rozwijać magię bitewną? Któż wie? Magowie Mądrości ogólnie są dziwni jak cała Shandaria.

– Nazwali go spokojnym – odpowiedział Arion.

– Słucham?

– Mówię, że nadali mu przydomek „Spokojny”.

– Ach, rzeczywiście tak go wywołano. Interesujące...

– Zmieniając temat – stwierdził Nartin, wskazując ponownie na arenę – Znamy już finalistów: Kael-Kirian, Anarchijka, Warderłończyk i Shandarian. Chciałbym teraz usłyszeć opinię eksperta odnośnie do przewidywanych wyników.

– Cóż – zaczął Neveril z uśmiechem, wyraźnie rozbawiony fachowością wypowiedzi przyjaciela. – O ile pamiętam wyniki losowania, Setilla stoczy walkę z

Melenvilem, a Hascirin z Nuju.

– I jak się przedstawia twój punkt wiedzenia?

Kael-Kirian zastanowił się chwilę i oznajmił ostatecznie:

– Nie obrażcie się, ale... Elieilijas rozniesie waszą reprezentantkę.

– Skąd ta pewność?

– Oglądałem eliminacje – oznajmił tamten krótko. – Ta czarodziejka jest sprytna. Powiedziałbym nawet za sprytna. Gra na czas, starając się wypatrzeć słaby punkt przeciwnika. I nawet jeżeli w pewnym momencie wydaje się, że przegrywa, nagle znikąd wykonuje atak, który całkowicie zaskakuje rywala i trafia w najczulsze miejsce. Właśnie tak pokonała swoich czterech poprzednich zawodników.

– Jak dla mnie całkiem zgrabna taktyka. Wymaga inteligencji oraz szybkiego myślenia. I pomysłowości.

– Nie przeczę. Tylko to nie zadziała na Melenvila.

– Dlaczego?

– Nasz przedstawiciel stanowi w ogóle inny poziom, wybaczcie. On nie walczył z rywalami w eliminacjach. On ich po prostu miażdżył. Nim w ogóle zdążyli się rozgrzać. Setilla na pewno znowu spróbuje grać na czas, ale tego czasu nie dostanie...

– Liczę na coś innego. Ale zobaczymy. A jak druga para?

– Osobiście uważam, iż Hascirin pokona Nuju.

– Powietrze przeciw lodowi? Jakoś tego nie widzę... – stwierdził Nartin cierpko.

– W takim razie się nieźle zdziwisz. Jak już mówiłem, facet jest piekielnie dobry. Moim zdaniem jako jedyny stanowi wyzwanie dla Elieilijasa. Już nie mogę się doczekać ich walki... Ależ będzie widowisko!

– Nuju umie dobrze walczyć? – Nartin spytał kuzyna.

– Skąd mam wiedzieć? Widziałem go w dyskusji, a nie w boju. Może i potrafi.

– Daje rade – potaknął Neveril. – Zdecydowanie dostał się do finału za pomocą umiejętności, a nie szczęścia. Jednak nie przekonuje mnie jego styl. Jest zbyt...

– Spokojny?

Wszyscy troje spojrzeli na siebie i zaśmiali się z durnej gry słów. Potem zamilkli. Anarchijczyk wyciągnął od przyjaciela już chyba wszystkie informacje i zasadniczo nie widział sensu kolejnych pytań. Reszty, tak czy siak, musiał dowiedzieć się, oglądając rozgrywki.

– Nie – odezwał się nagle Arion, ponownie zamykając dopiero co otwartą książkę. – Nijak nie potrafię się skupić. Za dużo osób gada dookoła. Mam prośbę, moglibyście mi po prostu streścić, o co dokładnie w „*Dwóch Drogach*” chodzi?

– A nie możesz przeczytać kiedy indziej?

– W Onaxie jej nie znajdę, sprawdzałem. A wypożyczyli mi tylko na czas rozgrywek. Po zakończeniu turnieju natomiast biblioteka wypełni się magami po brzegi.

– Więc ją kup.

– Nie mam pieniędzy. Wydałem wszystkie na sztylet. – Tu ponownie pokazał akrywianową broń zakupioną na targu.

– A może po prostu poczekasz na przyjazd do Cesarstwa Anarchijskiego? Kiedyś na pewno mnie odwiedzisz przecież. Mam ją w domu.

– Do tego czasu wymyślisz i sto żartów na temat mojej niewiedzy...

– Nie przeczę – przyznał mu rację Nartin, uśmiechając się szeroko – No dobrze... mamy jeszcze czas przed rozpoczęciem. Od czego by tu zacząć...?

– Aby zrozumieć „*Dwie Drogi*”, musisz najpierw poznać się historię jego autorów – wtrącił się Neveril nauczycielskim tonem. – Devirius i Mantris Arrenowie. Anarchijczycy jak możesz poznać po nazwisku. Bracia bliźniacy. Identyczni z wyglądu, z charakteru już nie za bardzo. I w sumie w tym rzecz...

– W wieku szesnastu lat odkryli w sobie talent magiczny – podjął Nartin, kontynuując wątek. – I abyś teraz dobrze rozumiał. Byli bliźniakami, więc ich moc stała na takim samym poziomie. Nieodróżnialnym w zasadzie. Zapisali się do akademii magii... chyba w Połsan...?

– Nie. W Airze – poprawił go Kael-Kirian. – Obydwoje wybrali żywioł ognia. Specjalizacja magii bitewnej, mimo iż żadna wojna się nie zapowiadała. No ale chyba uznali, że zajmą się tym, co im odpowiada, a nie co dochodowe.

– Skończyli szkołę ze wzorowym wynikiem. Jednak wówczas zauważyli niezwykle interesujące zjawisko... Wiesz, oni ogólnie trzymali się razem. Bardzo dobrze im się współpracowało. I tak jak wspominaliśmy, mieli ten sam żywioł i poziom mocy... a jednak ogień przez nich przywoływany zachowywał się bardzo odmiennie.

– W sensie? – zaciekał się Arion.

– Chodzi o efekt wizualny – wyjaśnił Neveril. – Te same zaklęcia wyglądały różnie, gdy używał ich kolejno każdy z nich.

– To ich niesamowicie zaciekało. Postanowili poznać przyczynę. Po wielu testach, rozmowach z ekspertami z innych krajów, postawionych i obalonych teoriach, doszli do wniosku, że ma to związek z metodą, jaką używa się magii.

– Znaczy się? – zdziwił się Arion. – Dłoniom czy kosturem? Czy o co dokładnie chodzi?

– Udowodnili ostatecznie twierdzenie, iż sposób, w jaki twoja magia się uwidacznia, zależy czy przy jej przywoływaniu korzystasz z rozumu, czy z emocji. I o tym właśnie napisali książkę.

– Czyli jeżeli jestem bardziej logiczny, moje zaklęcia wyglądają inaczej niż gdybym był emocjonalny? Jakoś mi się nie wydaje.

– Nie, nie, nie – Neveril zaprzeczył gwałtownie, unosząc w górę ręce. – Źle rozumiałeś. Hm... może wyjaśnię, przybliżając treść owego dzieła. No więc Devirius Arren twierdzi, iż najlepiej używać magii za pomocą emocji. W sensie, nie skupiać się dokładnie co i jak, tylko pozwolić jej naturalnie płynąć, tak jak uczucia płyną przez twoje serce. Moc wtedy pozostaje nieskrępowana oraz wolna i o ile wciąż ty wybierasz zaklęcie, nie decydujesz o szczegółach, pozostawiając je jej samej. Aby to osiągnąć, należy przestać planować i narzucać własną wolę, zdając się całkowicie na emocje. Ścieżkę tę nazwano drogą przyjaciela magii, bo pozwala jej na największą

swobodę. Jak najmniej ingerencji jak najwięcej zaufania. Efekty wyglądają... wspaniale moim zdaniem. Zaklęcia wydają się potężniejsze i o wiele bardziej widowiskowe, choć według krytyków czasem dzikie i nieokiełznane. Ale cóż, taka przecież właśnie jest magia w naturalnej postaci! Biada śmiertelnikowi, który chciałby ją w pełni okiełznać.

– Jego brat Matris tymczasem, głosił przeciwną teorię. Uważał, iż dużo lepiej korzystać z niej za pomocą rozumu. Dokładnie i precyzyjnie ustalić co się chce za jej pomocą zrobić, a następnie użyć jej w ścisłej kontroli. Tylko najwyższe skupienie pozwala coś takiego osiągnąć, lecz trzeba przyznać, że moc jest wówczas całkowicie posłuszna i pozwala osiągnąć fascynujące rezultaty. Wiele w tym planowania, przygotowań i przemyśleń. Ścieżkę tę nazwano drogą kontrolera magii, bo niewiele w niej pozostało z jej wolnej woli. Wówczas po prostu co do joty wykonuje ona nadany rozkaz. Jeżeli zaś mowa o wynikach... Zaklęcia wydają się wtedy bardzo precyzyjne, zrównoważone i spokojne, ale według niektórych, również oszczędne i mało groźne. Jakby czarodziej rzucał je z niepewnością czy strachem. Choć osobiście uważam, że to tylko pozory.

– Oczywiście opisy te dotyczą osób skrajnych, takich jak sami bracia Arrenowie – dodał Neveril, gładząc się po brodzie. – Wielu czarodziejów do dzisiaj nie potrafi siebie postawić po żadnej ze stron, więc ich magia również nie podlega klasyfikacji. Dlatego krytycy zarzucają dziełu zbędną generalizację i szufladkowanie. Wcześniejsza teoria mówiła w końcu, iż każdy używa zaklęć na swój własny sposób i ten cały podział jest zbędny.

– Jednak czas zweryfikował twierdzenie braci Arrenów, potwierdzając je na całej linii. Okazało się bowiem, że niezależnie od rodzaju magii, żywiołu czy narodowości, teoria się sprawdza w większości przypadków. Dlatego, choć pośmiertnie, stali się bardzo znani, a ich książkę zna każdy szanujący się czarodziej.

– Nie no teraz powinienem poczuć się obrażony... – stwierdził Arion zrzędliwym głosem.

– Nie przejmuj się, ogół już znasz, dokładniej przeczytasz, jak mnie odwiedzisz w Cesarstwie.

– A tak właściwie... – rzekł kuzyn, drapiąc się po głowie. – Jaką z dróg wy wybraliście?

– Emocjonalista – odparł natychmiast Neveril, dumnie wypierając pierś.

– Ze mną tak samo – dodał Nartin, poprawiając coś przy swoim kosturze.

– Aha... no ja chyba jednak rozumowiec.

– Nie stanowi to dla mnie specjalnego zaskoczenia – odparł Kael-Kirian, po czym wraz z przyjacielem roześmiali się radośnie.

Zapadło milczenie. Półkaistlanin powoli analizował w głowie całą otrzymaną przed chwilą wiedzę oraz fakty z niej wynikające. Nie dziwiła go popularność trzymanego w dłoni dzieła. Z pewnością przysłużyło się rozwojowi czarodziejstwa.

– Jak tak teraz o tym myślę – stwierdził, przyglądając się książce. – To niemal wszyscy technomagowie są rozumowcami.

– Możliwe – pokiwał głową Nartin. – Chociaż niewielu ich w życiu spotkałem. Ale patrząc na ich sposób myślenia... tak. Trudno mi się nie zgodzić.

– Wiadomo oczywiście – wtrącił się nagle Kael-Kirian – że droga emocji jest o wiele lepsza.

– A niby dlaczego? – zaprotestował Arion zaskoczony twierdzeniem.

– Bogowie... tego właśnie się obawiałem... – mruknął pod nosem Anarchijczyk.

– Bo osiąga się dzięki niej o wiele lepsze rezultaty! – oznajmił Neveril jakby była to wszystkim znana oczywistość. – Po co stawiać na precyzję skoro doskonałości i tak się nie da osiągnąć? A potęga i moc? Właśnie tak powinna wyglądać magia!

– I gdzie tu rezultaty?

– Magowi ognia łatwiej spopielić wrogów, gdy się na nich gniewa, uzdrowicielowi prościej uleczyć, gdy współczuje pacjentowi. Tak sprawa wygląda niemal wszędzie. Stworzono nas z emocjami, darem Boga Wojny, ignorowanie ich przynosi tylko kłopoty.

– Nieprawda – zaprzeczył Arion ze szczerym zdziwieniem na twarzy. – Istnieją setki zawodów, w których precyzja jest niezbędna. Jak chcesz zakłąć broń lub narzędzie bez odpowiednich przygotowań i obliczeń? Albo przygotować krąg teleportacyjny bez wcześniejszych pomiarów? Jakoś nie wyobrażam sobie niektórych zajęć wykonywanych głównie za pośrednictwem emocji.

– Ach tam – zachnął się Kael-Kirian, machając ręką. – Beznadziejne przykłady. I zwykłe odstępstwa od reguły.

– Akurat, aby sprawdzić, co dokładnie jest tutaj „regułą”, należałoby podliczyć wszystkie profesje oraz sprawdzić, w których, co jest bardziej przydatne.

– Technomagowie – westchnął Neveril, spoglądając w niebo – i te wasze obliczenia, wykresy i procenty. Nie zamierzam nawet tego komentować.

– Wybacz przyjacielu – wtrącił się Nartin – jednak w tej kwestii Arion ma rację. Da się wymienić mnóstwo zawodów czerpiących w magii korzyści zarówno z emocji, jak i rozumu. Wiem, że wolisz to pierwsze, gdyż służy ci znakomicie, ale mam wrażenie, iż po prostu uparcie ignorujesz drugą stronę.

– A niech wam będzie – odstąpił ostatecznie rozmówca, widząc, że znalazł się na przegrywającej pozycji. – Lecz gdybyśmy skupili się na takiej magii bitewnej. Ewidentnie bardziej użyteczna jest w niej droga emocji.

– Ponownie się nie zgadzam – zaoponował Arion.

– Ach i tutaj człowieku stajesz przeciw faktom. Precyzja i oszczędność staje się bezużyteczna w walce. Chodzi przecież o pokonanie przeciwnika! Do tego potrzebujesz potęgi i mocy!

– Precyzją też się da. Weźmy na przykład sytuację, w której zbroja przeciwnika jest słabsza w jednym miejscu i musisz dokładnie tam trafić...

– Bardzo teoretyczny przykład – Neveril pokręcił głową. – Każdy rozsądny wojownik pilnuje swoich słabych punktów i nie dopuszcza w ogóle do ich ujawnienia. Kontynuując natomiast o rozważce... większość przeciwników uznaje ją za słabość i tylko nasilił atak, zmuszając cię do obrony. A bardzo niewielu obrońców wygrywa w

magicznej walce.

– Nie czuję się przekonany...

– Więc może usatysfakcjonują cię liczby. Weźmy obecną sytuację wśród czarodziejów bitewnych. Porażająca większość to emocjoniści. Niemal każdy rozumowiec jest po prostu niszczonej przez konkurencję.

– Oj nie byłbym tego taki pewien...

– Ach tak? No więc popatrz – rzekł Kael-Kirian wyraźnie zirytowany stanowiskiem półkaistlanina. – Oglądałem eliminacje, naliczyłem może dwóch rozumowców? Najwyżej.

– A finaliści? Setilla z Cesarstwa?

– Emocjonalistka.

– Hascirin?

– Emocjonalista

– Melen....

– Oczywiście emocjonalista. Nie ma innej opcji.

– Nuju?

– Hm...

– Jeżeli Nuju jest emocjonalistą – powiedział Arion, zakładając rękę na rękę – to ja jestem elfem.

– Niech ci będzie. Ewidentny rozumowiec. Wyjątek potwierdzający regułę jak dla mnie.

– Wcale nie. Raczej dowód, że drogą rozumu da się również wiele osiągnąć.

– Brednie. Po prostu miał szczęście.

– O ile pamiętam, niedawno twierdziłeś, że do finału dostał się za pomocą umiejętności...

Neverilowi, wyraźnie już zirytowanemu aż poczerwieniały szpiczaste uszy. Zwrócił się po chwili do przyjaciela, najwyraźniej mając dość dwustronnej wymiany zdań:

– A ty jak uważasz?

– Wolałbym się nie wtrącać do waszej dyskusji... – odparł Anarchijczyk, wzdychając jednocześnie. – Kompletnie nie widzę jej zakończenia.

– Trudno. Nie zawsze da się pozostać bezstronnym...

– A niech cię... Więc po pierwsze o ile dobrze pamiętam, sami bracia Arrenowie zauważyli już w swym dziele, iż ilość emocjonalistów i rozumowców wśród magów jest zmienna. Wpływają na nią różne czynniki, takie jak na przykład wydarzenia historyczne...

– A rzeczywiście – przyznał Kael-Kirian, przypominając sobie fakty. – Po Rewolucji Krajów Światła namnożyło się tych pierwszych. Wiecie, hasła typu „Wolność! Prawda! Sprawiedliwość!”, ogólnie bardzo przemawiają do ludzkich uczuć.

– Podobny stan trwał aż do Wielkiej Wojny z Nieumarłymi, która wybuchła przecież właśnie z powodu emocjonalisty. – Kontynuował Nartin spokojnie. – I wtedy nastąpiło odwrócenie ról. Nagle droga rozumu weszła do mody.

– Tak, ale tylko do czasu Elfiego Wyzwania – dodał Neveril, drapiąc się po brodzie. – Ponad sto lat w sumie. Podczas wojny z Lenariolńczykami zauważono, że logika również może wyrządzić wiele szkód. Nie jestem pewien, czy Smoczy Bunt ponownie nie odwrócił ról... A potem znowu, odkrycie Alerianu oraz wszystkich eksperymentów wykonywanych tam przez magów? Rzekłbym, iż dziś znów króluje emocjonalizm, choć nie aż tak mocno, jak po Wielkiej Rewolucji.

– Czekamy więc na kolejne wydarzenie, które na powrót odwróci modę. Wracając jednakże do tematu i kłótni o to, które jest lepsze... Zacytuję Arrenów: „Twój wybór, twoja droga”. I tak powinno to wyglądać. Nie kroczysz drogą, która daje niby lepsze wyniki a taką, jaka bardziej do ciebie pasuje.

– „To twoja decyzja... nikogo innego” – zacytował również Neveril z zamyśleniem. – Może i racja. Ale nie rozmawiamy teraz o osobach niemal z góry zdecydowanych. Jestem świadom, iż ktoś, kto przez całe życie posługuje się logiką w podejmowaniu decyzji, okaże się beznadziejna w drodze emocji. Oraz odwrotnie rzecz jasna. Jednak mówię o czarodziejach nieokreślonych. Tak jak wspominałeś, istnieje cała masa magów, którzy nie potrafią się, tak łatwo przypisać. Można im więc od razu uświadomić, że emocje są lepsze i wytłumaczyć dlaczego. Przynajmniej nie zmarnują czasu.

– Bogowie... – Arion ukrył twarz w dłoniach. – Jak grochem o ścianę. Przyjmij błagam do wiadomości, że za pomocą rozumu również można wiele osiągnąć!

– Nie w boju – odparował Kael-Kirian natychmiast. – Oszczędność i precyzja są w nim beznadziejne. Moc i potęga! Oto właściwa droga.

– Chcesz dowodu, iż da się osiągnąć wielkość bez tych twoich „niezbędnych” emocji? To popatrz więc tam. – Tak rzekłszy, półkaistlanin pokazał ręką daleko przed siebie.

W sporej odległości od nich, na najwyższej, najlepiej umiejscowionej i udekorowanej trybunie siedział wśród wielu innych polityków, Enerias Kazner – władca Cesarstwa Anarchijskiego. Lustrował swym spokojnym wzrokiem całą arenę, jakby oceniając wszystkich uczestników. Wyglądał na wyluzowanego, choć wyraźnie zainteresowanego widowiskiem.

– Nie mogę zaprzeczyć Cesarzowi potęgi – odparł Neveril powoli. – Lecz nie wynika ona z faktu, iż posługuje się on rozumem. Powiem więcej, gdyby podążył drogą emocji, osiągnąłby zapewne jeszcze więcej.

– Czemu więc twoim zdaniem – nie dawał za wygraną Arion – jedyny inny kontroler żywiołów również był rozumowcem...?

– No więc...

Nartin nie słuchał dalszej wymiany zdań. Wciąż wpatrzony w postać Eneriasa Kaznera, zamyślił się głęboko. Przed oczyma stanęła mu scena sprzed kilku dziesięciodni, która wciąż powracała do niego w koszmarach. Ogłosił wówczas na spotkaniu towarzyskim, nie jakoś oficjalnie czy ze specjalnym wysiłkiem zwrócenia na siebie uwagi, iż wybiera się na Wielki Turniej Magii Bitewnej w Shandarii. Tak samo, jak pięć i dziesięć lat wcześniej zresztą. Następnego wieczora, gdy akurat kończył

pracę, w jego pracowni znikąd pojawiła się ciemna postać. Ku swojemu zdumieniu natychmiast rozpoznał w intruzie Kevlina Dariva – twarz cesarskiego wywiadu.

„Słyszałem, że wybierasz się na zawody” zwrócił się do niego mężczyzna przemiłym tonem „Bardzo mnie ów fakt cieszy, potrzebuję bowiem kogoś na miejscu. Kogoś, kto był już tam wcześniej i orientuje się we wszelkich zawiłościach tej uroczystości. Twoje oddanie dla kraju zaś zostało już w przeszłości dostrzeżone”.

Anarchijczyk, kompletnie wtedy zszokowany, zdołał wydukać jedynie „A co miałbym dokładnie zrobić?”

„Och nic specjalnego” odparł natychmiast rozmówca „Potrzebuje po prostu kolejnej pary oczu. Wiele osób czyha w dzisiejszych czasach na życie cesarza i innych naszych polityków. A przecież nie chcielibyśmy, aby obecny porządek został tak nagle przerwany, prawda?”

„A tym nie zajmują się łowczynie? Albo straż?”

„Naturalnie. Ostrożności jednak nigdy nie za wiele...” Kevlin uśmiechnął się słodko „Miej zatem oko na naszego ukochanego władcę... Oczywiście, jeśli coś mu się stanie, będę wielce rozczarowany twoją postawą”.

Tak rzekłszy, mężczyzna po prostu wyszedł z domu, pozostawiając właściciela w olbrzymiej konsternacji.

– I co ja mam niby robić...? – wyszeptał Anarchijczyk, otrząsając się z ponurych myśli. Cesarz wciąż tkwił we właściwym miejscu i nie wyglądało, aby zamierzał się stamtąd ruszyć.

– Nie widzę związku – oznajmił nagle Neveril, wciągając przyjaciela z powrotem w dyskusję. – Zdolność kontrolowania wszystkich żywiołów nijak nie łączy się z byciem rozumowcem.

– O ile pamiętam, wspominałeś, że właśnie droga rozumu to droga kontroli.

– Ale nie takiej kontroli...

– Skoro mowa o Cesarzu – wtrącił się Nartin, próbując zmienić temat na lżejszy. – Słyszałem, że brał kiedyś udział w turnieju.

– Naprawdę? – zdziwił się Arion.

– Tak – potwierdził Kael-Kirian skinieniem głowy. – W pierwszym.

– Bogowie... ależ to musiało być widowisko!

– Nie było – oznajmił Neveril, niespodziewanie chłodnym głosem.

– Zaraz... brałeś w tym udział?

– Owszem.

– Ile ty masz lat właściwie? – spytał półkaistlanin, spoglądając na rozmówcę z niedowierzaniem.

– Osiemset czterdzieści trzy. I tak, widziałem pierwszy turniej.

– W takim przypadku opowiadaj! Nie trzymaj nas w niepewności.

Rozmówca westchnął przeciągle i spojrzał w dal z zamyśleniem. Odszukanie odpowiednich wspomnień w pamięci z pewnością nie było dla niego łatwe.

– Shandarianie organizowali wcześniej takie konkurencje tylko dla siebie. W końcu uwielbiają magię i czarodziei. Po Wielkiej Rewolucji Krajów Światła jednakże,

gdy upadła wszechwładza Warderlonu i kontakty polityczne się ożywiły, uznali, że dobrym pomysłem byłoby zaproszenie wszystkich krajów. Tak też zresztą zrobili. W roku piątym od zesłania Pana. I rzeczywiście Enerias Kazner był jednym z zawodników.

– Jak tak teraz o tym myślę – stwierdził Arion, gładząc się po brodzie. – To nie miało to chyba za wiele sensu. Przecież wiadomo było, że Cesarz wygra...

– Niekoniecznie – rzekł Nartin, stukając lekko w kostur – Zaproszony bowiem został również Darnendir Warestiris.

– Pierwszy Mroczny Cesarz? Na Pana...

– Wszyscy przewidywali, iż spotkają się w finale. – Kontynuował Neveril zmęczonym głosem. – I szczerze mówiąc, czekali na to z wielką niecierpliwością. Jednak w pewnym momencie Warestiris ogłosił, że jeśli do tego dojdzie, podda się.

– Czyli nie walczyli?

– Niestety walczyli...

– Dlaczego natomiast? – zdziwił się Nartin.

– Chcesz znać moje zdanie? Ten pojedynek nie powinien w ogóle mieć miejsca. I mroczny cesarz chyba rozumiał to doskonale...

– Więc czemu...

– Przez Eneriasa Kaznera! – wybuchnął nagle Kael-Kirian, zaskakując obu kuzynów. – Nie wiem, co on sobie myślał, ale jakimś cudem zdołał sprowokować Warestirisa. Losowanie wypadło tak, że rzeczywiście spotkali się w finale. Wciąż mam ten moment w pamięci... wyszli na arenę, kompletna cisza. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu... Ale...

– Tak...? – magowie chłonęli każde słowo.

– Spodziewaliśmy się wielkiego widowiska – powiedział Neveril, wzdychając. – Nie zdołaliśmy jednak zrozumieć tego, co zobaczyliśmy.

– W jakim sensie?

– Pamiętacie, jak wspominałem, iż Melenvil, nasz zawodnik, przedstawia zupełnie inny poziom niż wasi? Tak bywa z elfami. Dłużej żyjemy, mamy więcej czasu na dopracowanie umiejętności. I ostatecznie ciężko wam z nami konkurować. No więc... Enerias Kazner to pewnie i dziesięć razy wyższy poziom. Przyrównałbym wydarzenie do walki dwóch elitarnych wojowników, oglądanych przez dzieci ćwiczące drewnianymi mieczami. Nie potrafiliśmy tego ogarnąć umysłami.

Neveril zamilkł, starając się zebrać myśli. Kuzyni cierpliwie czekali, nie dając za wygraną.

– Zaczęło się co prawda całkiem zwyczajnie – rozmówca podjął przerwany wątek. – Wymienili się próbnymi salwami zaklęć, demonstrując niesamowitą wszechstronność kontrolerów żywiołów. Jednak w pewnym momencie Warestiris wyszedł z własnego kręgu.

– Poddął się...?

– Właśnie nie. Choć wtedy również tak pomyśleliśmy. Kazner wówczas nieco zdziwiony posłał w jego kierunku błyskawice, aby zakończyć pojedynek. Wszyscy

wówczas spojrzeli na czarodzieja operującego tarczą ochronną, której trafienie oznacza koniec walki. Ale ten niezmiernie zdumiony pokręcił głową. Tarcza nie została trafiona!

– Co?

– Cesarz wykonał więc kilka kolejnych ataków, kul ognia, lodowych pocisków i tak dalej. Nic z tego jednak. Nadal nie naruszył bariery. Kilka osób krzyknęło na owego sędziego, że niby oszukuje, lecz ten zaklinał się na wszystkich bogów. Nic do tarczy nie dotarło.

– Ale jakim niby cudem?

– Też sobie zadawaliśmy podobne pytanie – Kael-Kirian dotknął swojego czoła, próbując przywołać wspomnienia – lecz chyba pierwszy zrozumiał sam Enerias Kazner.

– Cóż było więc przyczyną?

– Warestiris przygotował się do tego pojedynku. Najwyraźniej miał na sobie rzucone wcześniej zaklęcie. Coś, co chroniło go całkowicie przed potęgą żywiołów. Jako kontroler mógł pewnie takie przygotować...

– Ale stop! – Nartin przerwał opowieść. – Przecież to niezgodne z zasadami! Nie wolno w turnieju używać zewnętrznych środków. Ledwo na kostury zezwalają.

– Ha! Wówczas nie było podobnych zasad. Wielu innych zresztą też. Zostały one uchwalone później, gdy się okazało, że prawa, które znakomicie działały dla samej Shandarii, niekoniecznie się sprawdzają przy zawodach międzynarodowych. Przykładowo teraz kraje elfickie mają tylko po jednym przedstawicielu.

– „Bo głupio wygląda, gdy w finale są zawsze same elfy” – zacytował przyjaciela Nartin. – Tak. Pamiętam.

– Widzisz. A na początku mieliśmy po pięciu jak wszyscy inni. Musieli takie rzeczy dopracować. W każdym razie... nic nie zabraniało zasadniczo przygotować się wcześniej do walki.

– Bardzo niesportowe zachowanie... – rzekł Arion kwaśno. – Ze strony Mrocznego Cesarza oczywiście.

– Enerias Kazner uznał podobnie. Stwierdził, że skoro przeciwnik nagiął zasady, to i jemu wolno. Po chwili sprowadził na arenę swoją broń...

– Przecież walka miała być magiczna!

– Cóż... – Kael-Kirian zastanowił się chwilę. – Miecz cesarza jest artefaktem, zatem jako tako należy do magii. Oczywiście widać wyraźnie niedociągnięcia w owej teorii, ale... nikt nie był w stanie go wówczas powstrzymać.

– Zatem miał Obsydianowe Ostrze... Czy dotarło ono do tarczy?

– Niestety... nie potrafię ci precyzyjnie odpowiedzieć.

– Znaczy?

– Enerias wykonał kilka próbnych ataków, ale czarodziej pilnujący wyniku nic nie zasygnalizował. Starał się więc dalej. Coraz szybciej i szybciej wykonywał cięcia... Aż w końcu... rozmył się.

– Jak to się rozmył? W jakim sensie?

– Hm... widzieliście kiedyś pszczołę?

– Zaskakujący skok tematyczny – oznajmił rozbawiony Nartin. – Ale tak.

Zdarzało nam się.

– No, więc jeśli pszczoła sobie siedzi, jesteś w stanie zobaczyć jej skrzydła.

Kiedy jednak lata...

– Rozmazują się – zrozumiał natychmiast Arion – bo za szybko się poruszają.

– Owszem. Podobnie sprawa przedstawiała się z Cesarzem. Po chwili wyglądał dla nas jak zamazana masa śmigającego metalu. Był wszędzie. Wirował wokół Warestirisa niczym tornado. Aż w końcu nastąpiła eksplozja. Zakłęcie tarczy rozpadło się w ogniu i świetle, wypełniając całą arenę ogłuszającym hałasem.

– Ale... jak? – Nartin drapał się po głowie, usiłując zrozumieć. – Znam magię. Nie istnieje tak potężne zakłęcie przyspieszające. Nawet czarodzieje światła nie są w stanie osiągnąć podobnej prędkości.

– Nikt z obecnych wtedy na trybunach osób nie zrozumiał, co się właściwie stało. Nawet ja. Wiedziałem jednakże, iż musimy się tego dowiedzieć. Po powrocie na Kael-Kirie zorganizowałem naradę mającą na celu wyjaśnienie tego fenomenu...

– I...?

– Jesteśmy elfami. Dano nam prawną wiedzę oraz umysły o wiele potężniejsze od ludzkich. A jednak potrzebowaliśmy ponad czterdziestodnia, aby znaleźć jakąkolwiek sensowną teorię!

– Nie trzymaj nas w oczekiwaniu...

– Znacie wielką przepowiednię?

– Pytasz o podstawy – odparł Nartin kwaśno. Niektórzy magowie uznaliby pytanie za obrazę.

– Przypomnijcie więc sobie jeden z wersów: „Nawet czas się może dla niego zatrzymać, nikt nie będzie w stanie kroku mu dotrzymać”.

– Manipulował czasem? Niemożliwe! Tylko bogom się coś podobnego udaje.

– Naszym zdaniem – stwierdził spokojnie Neveril – Enerias Kazner zdołał wówczas rozciągnąć dla siebie czas.

– Rozciągnąć?

– W sensie, że miał go więcej niż inni. Z jego perspektywy więc zapewne staliśmy w miejscu. On z naszej... rozmazał się. Przyspieszył. Nazwijcie to, jak chcecie.

– I nie znaleźliście innego wyjaśnienia?

Kael-Kirian pokręcił przecząco głową.

– Jediną pozostałą opcją było po prostu zapytać. Ale... nikt się nie odważył. Zresztą jak niby miałyby to wyglądać? „Hej cesarzu, jak zdołałeś dokonać niemożliwego?” Dajże spokój...

– Czyli... przełamał tarczę. Co dalej?

– Wówczas Warestiris natychmiast się poddał. Nie zamierzał dalej walczyć. Bogom dzięki, akurat on rozumiał, czym to groziło. W każdym razie właśnie dlatego jestem zdania, iż owa walka nie powinna mieć w ogóle miejsca. Zobaczyliśmy coś, czego nie byliśmy w stanie pojąć. Coś nieprzeznaczonego dla śmiertelników. Enerias

Kazner popełnił wielkie głupstwo, doprowadzając do pojedynku... Do dziś nie rozumiem, co nim kierowało...

– Dlaczego głupstwo?

– Setki magów oglądało walkę. Wiesz, ilu z nich przeraziło się, gdy zobaczyło ogrom mocy kontrolera żywiołów? Już nigdy nikt nie patrzył ani na Kaznera, ani na Warestirisa tak samo. Zawsze gdzieś w zakamarkach umysłu pozostawał strach.

Zapadło milczenie. Kuzyni próbowali przełknąć ciężką opowieść Neverila. Wydawała się strasznie nierealna z ich perspektywy.

– Dlatego właśnie nie lubię opowiadać tej historii – dodał Kael-Kirian na zakończenie. – Najlepiej, aby została zapomniana, pochłonięta przez mroki dziejów. I tylko nieliczni świadkowie będą nosić jej brzemię.

Nartin spojrzał z zamyśleniem na Cesarza. Od dzieciństwa podziwiał władcę swego kraju. O ile jego decyzje nie zawsze mu się podobały, dostrzegał troskę i najwyższe starania w jego poczynaniach. Cenił również porządek, jaki zaprowadził na Wyspach Anteor, umożliwiając rozwój i współpracę wielu krajów. A jednak okazuje się, że nawet najwięksi miewają mroczne sekrety, skrywane na kartach historii...

– Wiecie, że niegdyś wszyscy magowie murem popierali Eneriasa Kaznera? – zapytał zniechęca Arion.

– Naprawdę?

– Owszem – potwierdził Kael-Kirian, przyglądając się władcy z daleka. – Ale ponad dwieście pięćdziesiąt lat temu stan ten uległ zmianie.

– Skąd taka zgodność? W sensie... jako rodowity Anarchijczyk zdecydowanie wspieram Cesarza... ale czemu...

– Chyba z wdzięczności – przerwał mu nagle Neveril. – W końcu jego rewolucja umożliwiła czarodziejom rozwój. Oraz może z szacunku dla potęgi?

– Rozumiem. Dlaczego w takim przypadku nagle im się odmieniło?

– Elfie Wyzwanie – wyjaśnił przyjaciel, podając zwyczajową nazwę wojny Cesarstwa z Lenariolńczykami – Niezłe mu się z jego powodu oberwało. Stanowcza większość krajów skrytykowała wówczas działania waszego władcy. A magowie... cóż... od początku sprzeciwiali się temu konfliktowi.

Nagle rozległ się długi i monotony dźwięk rogu doskonale znany Anarchijczykom z setek ich narodowych uroczystości.

– Oho... – stwierdził Arion, rozglądając się szybko – Chyba się zaczyna.

– Owszem – potwierdził rozmówca, starając się przyjąć jak najwygodniejszą pozycję. – Właśnie zamykają bramy.

Tłum czarodziejów milkł powoli. Rozmowy zamierały w dowolnych, nawet kulminacyjnych momentach, kłótnie się kończyły, a wciąż stojące osoby w pośpiechu zajmowały ostatnie miejsca siedzące. Wszyscy chcieli w pełnym skupieniu oglądać największe na świecie magiczne widowisko sportowe.

Z najlepiej umiejscowionej części widowni wyszedł po chwili dostojnie ubrany Shandarian i uroczystym głosem powitał wszystkich obecnych na finale. Następnie przeszedł do dłuższej przemowy, którą jednak trójka przyjaciół bez poczucia winy

zignorowała, woląc z ciekawością obserwować wydarzenia na arenie. Podczas przerwy uzupełniono wszystkie środowiskowe pomoce, więc misy oraz pojemniki wypełnione były po brzegi, a samo podłoże, dokładnie oczyszczone. Głupio by wyglądało, gdyby ktoś przegrał z winy niedbałości gospodarzy...

Niewielka para wrót po obu stronach wielkiego okręgu otworzyła się i wyszły z niej kolejno dwie osoby. Melenvil Elieilijas, jasnowłosey Kael-Kirian, ubrany w ozdobną czerwoną szatę z nielicznymi białymi naszywkami, symbolizującymi, iż mimo wybranego ognia, stoi po stronie światła. Kostur spoczywający w jego dłoni wykonano prawie wyłącznie z metalu. Połyskiwał więc w słońcu, jakby ostrzegając wszystkich przed skrywaną w nim potęgą.

Naprzeciw niego stanęła reprezentantka Cesarstwa Anarchijskiego – Setilla Adrioles. Była o głowę niższa od elfa, mimo to smukła i wyprostowana, odziana w błękitne szaty, również przyozdobione bielą. Zarówno z karnacji, jak i włosów wydawała się ciemniejsza od przeciwnika, powodując swoisty, nieco rzucający się w oczy kontrast. Kostur miała drewniany, zakończony czterema rozwidleniami, między którymi tkwił jasny kryształ, elektryzujący zawartą w nim mocą.

W czasie gdy Shandarian kończył przemówienie, ci zgodnie z przyjętą etykietą ukłonili się, aby okazać sobie nawzajem szacunek. Pogarda nie była mile widziana na turniejach, nawet jeżeli rzeczywiście jeden z walczących okazywał się o niebo lepszy od drugiego.

Akustyka areny została idealnie dobrana, tak aby wszyscy mogli słyszeć zawodników. Obserwujący chcieli wiedzieć bowiem, nie tylko cóż mają oni do powiedzenia, ale również, co istotniejsze, jakich dokładnie zaklęć używają. Po samym efekcie wizualnym ciężko przecież wszystkie rozpoznać...

– Przetrwaj mój gniew mała kobieto – odezwał się nagle Melenvil, zakłócając zapadłą ciszę – a czeka cię wielka chwała. Poddaj się mu, a zatracisz się w jego ogniu.

– Niech zwycięży lepszy. – Zdołała wydukać jedynie Anarchijka, usłyszawszy obwieszczenie przeciwnika.

– A teraz drogi Arionie... – wyszeptał Neveril, gdy zawodnicy rozeszli się na dwie strony – zobaczysz emocjonalizm doprowadzony do perfekcji.

– W sensie skrajny? – odparował półkaistlanin również szeptem.

– Niewątpliwie...

Chwila ciężkiego oczekiwania i nagle na znak magów operujących tarczami ochronnymi, zaczęło się.

– Krąg magiczny! – krzyknęli walczący, jednocześnie przywołując złote pentagramy.

Setilla posłała w kierunku Kael-Kiriana dwie szybkie błyskawice, ale zostały one całkowicie zignorowane. Przeciwnik skupił się kilka sekund, a następnie bez żadnej rozgrzewki, aktywował zaklęcie deszczu ognia. Z nieba poczęły spadać płomienie, niemal docierając do skraju areny. Melenvil jednak nie zamierzał na tym poprzestać. Nie dając Anarchijce chwili wytchnienia, przywołał rozgrzaną do czerwoności spiralę i posłał w jej kierunku falę ognia. Ta zdołała jakimś cudem, pomiędzy wzmacnianiem

własnego kręgu wezwać grom, wypełniając budynek złowrogim dźwiękiem burzy, jednak przeciwnik niewiele zrobił sobie z jej starań. Ku zaskoczeniu kuzynów, nieznających jego stylu walki, wbił kostur w ziemię, aktywując od razu nieklasyczne zakłęcie aspektu feniksa. Temperatura ponownie poszybowała w górę i ściana za Setillą aż zwęgliła się z gorąca. Trwało to jeszcze kilka chwil, w których Neveril pieczętował jej los kulami ognia. Ostatecznie czarodziej pilnujący tarczy przedstawicielki cesarstwa zasygnalizował kontakt. Natychmiast cały żar zniknął. Walka się skończyła.

– I to by było na tyle – oznajmił Neveril, spoglądając na podnoszącą się z ziemi kobietę. – Emocjonalizm w praktyce. Któż zdoła sprostać furii żywiołów? Droga rozumu nie ma szans w obliczu takiej potęgi.

– Herzajjowi! – zaklął głośno Nartin, aż uderzając pięścią o ławkę.

– Ach – Kael-Kirian trochę zszedł z tonu, słysząc przyjaciela. – Przecież ona jest od was... wybaczenie, powinienem powstrzymać język.

– Nie, nie przejmuj się. – Anarchijczyk machnął ręką. – Rozumiem, że wygrać musi najlepszy.

– Więc skąd takie niezadowolenie?

– Hm... – Nartin zastanowił się chwilę. – Spójrz na jej kostur.

Neveril wychylił się, aby przyjrzeć się jeszcze zawodniczce w oddali.

– Całkiem niezły, widzę. Zaraz... jest taki sam jak twój! Ty go robiłeś prawda? Spryciarzu, chciałeś przez jej sukces rozślawić swój kunszt!

– Jak dla mnie niezły pomysł – wtrącił Arion, grzebiąc przy technokularze. – Magowie z całego świata bardzo interesują się zwycięzcą turnieju, w tym sprzętem, jakiego używa. Klientów zyskałby setki.

– I tak jacyś się znajdą – uznał ostrożnie Anarchijczyk. – Setilla przecież dotarła do finału. Ale chyba tylko z Cesarstwa. Reszta patrzeć będzie raczej na czarodzieja, który wygrał.

– Wracając do dyskusji – zagaił Arion, wskazując na oddalającego się również Melenvila. – Z wyglądu faktycznie świetnie. Pamiętaj jednak, iż stanął również przeciwko emocjonalistce! Nie wiemy, jak by się walka zakończyła, gdyby mierzył się z rozumowcem.

– Powiem ci jak – odparował Neveril. – Równie szybko.

– Ach tam brednie. Nie możesz być pewien.

– Myślisz, że precyzja i rozważa uchroniąby kogokolwiek przed podobną furią żywiołów? Szczerze wątpię.

– Zobaczymy. Nie podobał mi się jednakże styl waszego zawodnika. Mało w nim myślenia, tylko czysta siła.

– Ładny czy brzydki... Grunt, iż skuteczny. Tak jak wspominałem wcześniej, nie dał Setilli czasu na namysł. Zmiotł ją po prostu. Ile w sumie walczyli?

– Kilka minut – odparł Nartin, spoglądając na trybunę cesarza. – Liczyłem na więcej.

– Cóż... następna z pewnością potrwa dłużej.

Na arenę wyszło dwóch kolejnych zawodników.

Pierwszy z nich, Hascirin wyglądał na wysokiego ciemnowłosego trzydziestolatka. Przyodziął się w skromną szarą szatę, pokrytą licznymi czarnymi symbolami. Oznajmiał tym samym wszystkim, iż stał po stronie ciemności, choć w obecnych czasach, konflikt ten raczej niewiele znaczył. O dziwo nie posiadał żadnego kostura, jakby występując przeciw modzie. Ale warderłończyk niewiele robił sobie z szeptów wywołanych jego wejściem. Stał dumnie wyprostowany, ewidentnie przywykły do publicznych wystąpień.

Jego przeciwnik prezentował się podobnie, choć w wielu aspektach zgoła inaczej. Szatę również miał szarą, z wyszytym białym symbolem swego boga, jak na kapłana przystało. Twarz jednakże ukrył pod kapturem, więc niewiele dało się powiedzieć o jego twarzy czy włosach. Podpierał się natomiast białą, ręcznie rzeźbioną laską, z turkusowym kryształem na końcu. Po kilku chwilach, gdy przystanął i spojrzał przed siebie, wszystkim ukazała się średniej długości broda.

– Niechaj Bóg Mądrości pobłogosławi tę walkę, czyniąc ją sprawiedliwą i wolną od oszustw. Niech również wpłynie na wyroki sędziów, tak aby pozostali oni bezstronni i uczciwi. Oby zaś twoje działania Warderłończyku potoczyły się zgodnie z twą wolą. Powodzenia w walce.

Hascirin parsknął śmiechem, wyraźnie rozbawiony przemową przeciwnika, ale natychmiast doprowadził się do porządku.

– Czy wszyscy kapłani są tacy? – zapytał, składając ręce w modlitewnym geście.

– Ale dobrze, grajmy na twoich zasadach. Bóg Ciemności również z tobą Shandarianie. Obyś dobrze się sprawił w pojedynku.

Zajęli miejsca i zamarli w bezruchu. Po chwili czarodzieje operujący tarczami dali sygnał.

– Krąg magiczny! – krzyknęli oboje walczący, analogicznie jak poprzedni, przywołując złote pentagramy ochronne.

Hascirin wezwał wiatr, otaczając się miniaturowym tornadem, które ledwo dało się dostrzec. Nuju nie czekał bezczynnie, tylko posłał w jego kierunku masę sopli, próbując przebić się przez obronę. Te jednak roztrzaskały się z hukiem o ścianę, porwane przez wichur.

Warderłończyk przywołał potężny podmuch, którego siła zmiotłaby i konia, lecz kapłan spokojnie skontrolował go ścianą zmarzniętego śniegu. Następnie, nie czekając na kolejny atak, aktywował zaklęcie lodowego więzienia, próbując zamknąć przeciwnika w klaustrofobicznej przestrzeni, ale ponownie otaczający Hascirina wichur zniweczył jego zamiary.

– Miałeś rację – wyszeptał Nartin, obserwując kolejną wymianę pocisków. – Facet zna się na rzeczy. Wszystkie starania Nuju spełzają na niczym. Miniaturowe tornado nie pozwala nawet dotrzeć jego zaklęciom do kręgu.

– Widzisz? – odparł Neveril również szeptem. – Bardzo chce zobaczyć, jak poradzi sobie z naszym reprezentantem. Czy wytrwa wobec potęgi ognia?

– Nie zastanawiaj się jeszcze nad tym, co niepewne. Jak dla mnie na razie

żaden nie potrafi zdobyć przewagi.

Kapłan nagle przeszedł do defensywy, odpierając tylko kolejne podmuchy. Mogło to oznaczać, że albo zastanawia się nad nową taktyką, albo coś przygotowuje, bo trudno by było uwierzyć, iż tak nagle zaczyna przegrywać.

Hascirin jakby wyczuwając, co się szykuje, wzmocnił tornado. I nagle w niebo wystrzeliła chmura lodu, rozpoczynając śmiertelnie groźną zamieć śnieżną. Warderłończyk rozłożył ręce szeroko i zaczął obracać się powoli jakby w transie. Przez chwile Nartin myślał, że zamierza przyzwać huragan, aczkolwiek mógłby on tylko pogorszyć sprawę. Po dokładniejszym przyjrzeniu się jednak zauważył, iż tak naprawdę niewiele z zamieci docierało do Hascirina, bronionego przez wirujące powietrze. Musiał on dopracować ową taktykę do perfekcji.

– Lodowy golem – powiedział spokojnie Nuju, zaskakując obserwujących nieklasycznym zaklęciem.

Masy śniegu skupiły się razem, tworząc wielką muskularną postać, która natychmiast ruszyła w kierunku Warderłończyka. Ten jednak pokręcił jedynie głową z rozbawieniem i... wzniósł się w powietrze. Tylko kilka metrów ponad ziemię, ale fakt ten wystarczył, aby lodowa postać bezsilnie machała rękoma pod czarodziejem.

Nuju skinął z uznaniem, a następnie machnął kosturem. Gdy jednak nic się nie stało, spojrzał pod ścianę areny w poszukiwaniu pomocy. Najwyraźniej zabrakło mu śniegu. Wykorzystał więc telekinetyczne zdolności kapłana do przewrócenia wielkiej misy z wodą. Ciecz rozlała się po podłożu. Wówczas Shandarian ponownie machnął kosturem i jego golem został wzmocniony o kolejne masy lodu. Hascirin jednak tylko wzniósł się jeszcze wyżej, wciąż unikając olbrzymiego monstrum. Nuju zrozumiał, iż nie tędy droga, odwołał golema.

Warderłończyk natychmiast wylądował na ziemi i nie czekając na reakcję przeciwnika, aktywował zaklęcie wietrznego awatara. Między walczącymi pojawił się ledwo widoczna postać z kotłującego się powietrza, trzymająca w dłoniach dwa podłużne ostrza. Shandarian wykorzystując chwilę formowania istoty, zamknął ją w lodowym więzieniu. Awatar jednak po prostu przeszedł przez zimne kraty. Rozległy się głosy zaskoczenia.

– Jak on to zrobił?! – wykrzyknął Arion, nie mogąc powstrzymać zdziwienia.

– Świadomość powietrza – wyjaśnił natychmiast Neveril. – Awatar teoretycznie złożony jest z wiatru, więc przeszkody mu niestraszne. Tylko że steruję się nim od wewnątrz, jak zapewne wiecie. W sensie umysł maga tkwi w istocie. Bycie śmiertelnikiem zaś nas ogranicza. Wydaje nam się, iż nie możemy tak po prostu przejść przez kraty. A zatem... faktycznie nam się nie udaje. Jeżeli natomiast czarodziej osiągnie tak zwaną świadomość powietrza, czyli zdoła przekonać własne ciało, że jest niematerialne... nic nie stoi na przeszkodzie. Ale udaje się to tylko nielicznym. Wyrazy uznania dla niego, dawno nie widziałem podobnego kunsztu.

Nuju nie poddawszy się panice, otoczył lodową skorupą... siebie. A przy najmniej w miejscach, które awatar akurat atakował. Zamiast próbować się więc przebić tarczą, wciąż trafiał w zbite masy śniegu, marnując tylko swój zapał. Działał

jednak coraz szybciej, zmuszając Shandariana do maksymalnego skupienia w tworzeniu obrony.

Ten jednak prócz obronnych ścian począł kształtować bardzo ostry sopel jakby w oczekiwaniu na jakieś wydarzenie. Taka broń niewiele mogła zrobić wietrznej postaci ani tym bardziej otoczonemu przez tornado Warderlończykowi. Nawet jeśli w tym czasie kompletnie pochłonięty był on kontrolowaniem awatara, wcześniejsze przypadki pokazały, że każdy pocisk zostanie po prostu porwany przez wichur.

I wówczas, ku zdumieniu wszystkich kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie. Hascirin, niebacząc akurat na własne ciało poślizgnął się na warstewce lodu, utworzonej po wcześniejszym wylaniu wody z wielkiej misy, Nuju odwołał ochronną skorupę, wystawiając się tym samym na atak awatara, uchylił się przed ciosem wietrznego miecza, po czym cisnął soptem prosto w przeciwnika, który na moment z powodu braku koncentracji utracił wirujące tornado. Pocisk przebił się przez krąg i trafił warderlończyka w brzuch. Chwile później dwa powietrzne ostrza rzuciły potężnym uderzeniem Shandariana o ścianę areny. Obu magów pilnujących tarczy zasygnalizowało kontakt, ten od Hascirina jednak, jako pierwszy.

– Miałeś po prostu szczęście – oznajmił Warderlończyk, po chwili pomagając przeciwnikowi wstać. – Nic poza tym.

– Pozostawmy decyzje sędziom – odparł Nuju, wykonując modlitewny gest – Niechaj bóg Mądrości ześle na nich zrozumienie, oraz pozwoli podjąć bezstronną decyzję.

Arena wypełniła się wrzawą. Wszyscy zaczęli wypowiadać swoje opinie o zaskakującym zakończeniu pojedynku.

– Ha – oznajmił Arion, zwracając się do przeciwnika w dyskusji – I właśnie w ten sposób powinna wyglądać walka. Nie jakaś bezrozumna siła, tylko spryt i plan. Wiele zaryzykował, ale osiągnął sukces. I to właśnie było widowisko!

– Miał po prostu szczęście – odparował Neveril z kwaśną miną.

– Nie zgadzam się. Rozegrał sprawę taktycznie.

– Licząc na poślizg wroga? Daj spokój... Sędziowie tego nie uznają. Walka powinna być magiczna.

– Może mieć rację Arionie – Nartin mimowolnie poparł przyjaciela. – O ile również uważam zamrożenie podłoża za świetny, choć dość ryzykowny plan, Shandarianie bywają bardzo surowi w kwestii własnych zawodników. Chyba nie chcą, aby oskarżano ich o stronniczość. W przeszłości już się zdarzało, iż dyskwalifikowali któregoś ze swoich, nawet jeżeli większość widzów się z tym nie zgadzała.

– Skąd taka obsesja? – zdziwił się półkaistlanin.

– Nie mam pojęcia.

Ogłoszono wyniki. Mimo wszystko sędziowie uznali zagranie. Nuju wygrał.

– Czyli niby to był plan? – spytał wciąż tkwiący na arenie Hascirin, unosząc wysoko swe gęste brwi.

– Tak przyjmij – odparł Shandarian, wykonując dziękczynny gest w stronę nieba.

– Niech będzie – uznał w końcu Warderłończyk, uśmiechając się z rozbawieniem. – Powodzenia w walce z Kael-Kirianem.

– A tobie z Anarchijką.

– Ach – Hascirinowi aż zaświeciły się oczy. – Z Anarchijkami zawsze chętnie walczę.

Rozbawił tymi słowami połowę widowni, w tym samego Cesarza, który rozpoczął wielki aplauz. Czarodzieje zeszli z areny wśród braw.

– Widzisz? – spytał Arion triumfalnie. – Rozumowcy górą! Bez emocji też się da.

– Nadal uważam, że po prostu miał szczęście – odparł Neveril chłodno, kompletnie nieprzekonany. – Zresztą jestem rozbawiony. Oczekiwałem walki między Kenitrim a Elieiliasem w finale, a obejdę się smakiem. Ech...

– Moglibyście dać spokój z tą dyskusją? – spytał grzecznie Nartin. – Donikąd ona nie prowadzi.

– Dopiero gdy twój kuzyn przyzna mi rację – wyjaśnił spokojnie rozmówca.

Półkaistlanin cudem powstrzymał wybuch śmiechu.

– Jesteście załamujący – dopowiedział Anarchijczyk. – Przyjmijcie po prostu tak jak większość, iż każdy sam o sobie decyduje. Nie ma lepszej i gorszej drogi.

Obydwoje wydawali się nieprzekonani.

– Oho... – odezwał się nagle Neveril, zmieniając zupełnie temat. – I teraz będzie to, co lubię najbardziej. Cesarstwo Anarchijskie przeciw Mrocznemu Cesarstwu Waderlonu. Cień przeciw światłu! Jak za dawnych czasów.

– W ich przypadku raczej wiatr przeciwko elektryczności – odparł Arion, obserwując wchodzących na arenę Hasciriona i Setillę.

– Ach, trochę poczucia dramatyzmu człowieku. Albo szacunku dla własnej historii. Kaistlanie chyba też walczyli przez wieki z Warderlonem.

Przeciwnicy zmierzili się wzrokiem. Rosły mężczyzna naprzeciw drobnej kobiety. Magia jednakże nie patrzy na budowę sylwetki, a jedynie na moc i umiejętności.

– Bóg Ciemności z tobą moja droga – oznajmił Hascirin, usiłując zachować powagę.

– A Bezimienny z tobą – odparła Setilla, uśmiechając się szeroko. – Postarajmy nie pozabijać się nawzajem.

– Skoro prosisz...

Rozległ się sygnał i natychmiast oboje przywołali kręgi magiczne.

Tym razem Warderłończyk nie próbował się bawić w ochronne tornado. Wiedział zapewne, iż w przypadku piorunów, na niewiele by mu się ono przydało. Za to jego przeciwniczka natychmiast aktywowała aurę błyskawic, jaśniejącą od czasu do czasu błękitnym światłem.

Po próbnej wymianie ognia, Anarchijka, być może uznawszy, że taktyka jej poprzedniego przeciwnika okazuje się zabójczo skuteczna, wezwała burzę. Rozległy się gromy i nagle z nieba, prosto w arenę poczęły trzaskać pioruny, dezorientujące

zarówno oglądających, jak i sędziów.

Hascirin nie czekał. Wzbił się w powietrze, opuszczając ochronny krąg, który zresztą w takowej sytuacji mógł go nie ocalić i zaczął lawirować między śmiertelnie niebezpiecznymi strefami. Krążył tak przez kilka chwil, aż w końcu padł nagle na ziemię i wezwał porywający podmuch, który zachwiał równowagę kobiety, przerywając jej skupienie. Burza zniknęła.

Warderłończyk rozłożył ręce i przywołał awatara. Ten natychmiast ruszył na przeciwniczkę, ale rozbił się o jej wcześniej rzuconą aurę. Nie czekając na reakcję, skierował powietrze w stronę położonych pod ścianą kamieni, wzbijając je wysoko w górę. Następnie pozwolił im swobodnie opaść na Anarchijkę.

Ta, nie spodziewając się ataku ze strony żywiołu ziemi, nie przewidziała jej w swojej konfiguracji obronnej. Głazy przebiły się przez krąg i spadły jej na głowę. Czarodziej pilnujący tarczy zasygnalizował kontakt.

– A niech cię! – krzyknęła kobieta, podnosząc się z ziemi. Takie zderzenie z kamieniami mogłoby zabić, ale shandariańscy telekinezyści znali się na swojej robocie. – Wygrałeś. Kiedyś jednak się zrewanżuje.

– Nie mogę się doczekać – odparł Hascirin z błyskiem w oku. Następnie uklonił się z szacunkiem.

Na arenę weszli służący, aby przygotować ją do finałowej walki. W tym czasie wśród widowni ponownie pojawiły się rozmowy.

– I właśnie dlatego chciałem, aby ten Warderłończyk walczył z Elieilijasem – skomentował pojedynek Neveril. – On nie dałby się tak łatwo pokonać za pomocą silnego zaklęcia. Może nawet by wygrał. A ten cały Nuju? Dajże spokój... Melenvil stopi jego lód w mgnieniu oka.

– Trochę szkoda, że Setilla przegrała – stwierdził Nartin, marszcząc brwi. – Liczyłem na trzecie miejsce.

– Była w finale. – odparł Arion – Ciesz się tym, co masz. Mogła w ogóle nie przejść eliminacji.

– Zresztą skąd ta zachłanność – wytknął mu przyjaciel z uśmiechem. – Klientów ci chyba nie zabraknie.

– Ha... zobaczymy.

Dostojnie ubrany Shandarian ponownie wygłosił krótkie, lecz kwieciste przemówienie, zapowiadające ostatnią walkę. Tłum powoli cichł, przechodząc w milczące oczekiwanie. Wszyscy mieli nadzieje na wielkie widowisko. Każdy też zadawał sobie w duchu pytanie: Któż będzie nowym mistrzem magii bitewnej?

Atmosfera zaczęła się robić coraz cięższa, aż w końcu z wrót po przeciwnych stronach wyszli zawodnicy. Dumny Kael-Kirian oraz spokojny Shandarian.

– Niechaj błogosławieństwo Boga Mądrości czuwa nad naszą walką, czyniąc ją sprawiedliwą oraz wolną od oszustw. A jego wola pozwoli nam się skupić na pojedynku, aby dać z siebie wszystko – oznajmił Nuju w modlitewnym geście.

Melenvil uniósł wysoko brwi, słysząc tę przemowę, po czym odparł pogardliwie:

– Jesteś beznadziejny kapłanie. Twój bóg niewiele ci tutaj pomoże. Widziałem twoje poprzednie starcia, nie powinieneś w ogóle dostać się do finału.

– Skąd ta złość? – spytał Shandarian spokojnie, gładząc się jednocześnie po brodzie.

Rozmówca prychnął zrezygnowany.

– Nie przybyłem na turniej po zwycięstwo. Pokonywanie ludzi ogólnie nie jest interesujące. Ja poszukuję wyzwań. I wśród wszystkich zawodników, tylko jeden jakiegokolwiek wyzwanie stanowił, a ty pozbawiłeś mnie możliwości zmierzenia się z nim!

– Zawsze możesz wyzwać go kiedy indziej...

– Pff... – Melenvil tylko machnął dłonią. – Zero presji. Wam ludziom potrzebna jest motywacja, abyście się starali. No ale cóż, co się stało, to się nie odstanie. Zmiażdżę cię kapłanie i przybędę tu za pięć lat z nadzieją na lepszego przeciwnika.

Nuju westchnął, a następnie, wykonawszy modlitewny gest, rzekł cicho:

– A gdyby tak... zniknęły, płomienie twoich emocji? Gdyby cały twój gniew, cię opuścił? Czy wtedy byłbyś w stanie używać magii? Jedynie za pomocą potęgi swego umysłu?

– Co to za brednie człowieka?

Ten nie odpowiedział, tylko oparł się o kostur i zamknął oczy.

Po kilku chwilach ciszy, czarodzieje operujący tarczami dali znak, że są gotowi. Zabrzmiał dźwięk rogu rozpoczynający walkę finałową.

Nuju zareagował błyskawicznie. Jeszcze zanim przeciwnik przywołał krąg, wyciągnął rękę przed siebie, krzycząc głośno:

– Bezemocjonalność!

Melenvil nie czekał. Widząc chwilowy brak obrony Shandariana, posłał kule ognia, ale ten w ostatniej chwili również przywołał krąg. Kael-Kirian więc aktywował zaklęcie deszczu ognia.

Z nieba spadły płomienie. Nuju jednak otoczył się lodowym więzieniem, stanowiącym swoisty mur przeciw gorącu. Zdołał w ten sposób przetrwać również kolejne dwie ogniste fale. Elieilijas jednakże nie stracił tak łatwo wiary. Ze spokojem rzucał następne zaklęcia. Po głębszej analizie... ze zbyt dużym spokojem jak na jego standardy...

– Coś ty mi zrobił człowieku?! – wykrzyknął w końcu, wkładając w to całą swą energię. Niestety niewiele mu wyszło z gniewu.

– Pozbawiłem cię tego, co najbardziej ceniłeś – odparł Nuju, wysyłając przed siebie masę sopli – Twej furii, którą zmiażdżyłeś tak wielu ludzi. Wciąż jesteś potężniejszy ode mnie, jak na elfa przystało, ale teraz musisz nauczyć się walczyć bez swojej najważniejszej broni.

– Jak śmiałeś...

Melenvil zaczął po kolei demonstrować siłę swoich zaklęć. Przywołał ognistego golema, aspekt feniksa, kilka następnych fal, aż w końcu nawet ścianę płomieni. Shandarian stał niewzruszony, z pełnym skupieniem odpierając i niwelując chłodem

ataki gorąca. Widać było jednak, że balansuje na bardzo cienkiej granicy.

– Chyba trafili przypadkiem trybunę cesarską... – szepnął Arion, ale został zignorowany przez przyjaciół z zapartym tchem obserwujących walkę.

Ta zaś trwała dalej.

– A jak sobie radzisz – spytał nagle Nuju – w kwestiach obrony? – Tak rzekłszy, aktywował zakłęcie zamieci.

Śnieg przeciw ogniewi. Lód kontra żar. Festiwal potęgi żywiołów.

Shandarian wyszedł z kręgu, otoczony wirującymi kawałkami zmarzliny i ruszył w stronę wzniecającego płomienie Kael-Kiriana.

– „Ci, co się sprzeciwia, padną zamrożeni” – rzekł, wymawiając dokładnie każdą sylabę. Wszyscy rozpoznali wersy Wielkiej Przepowiedni – „Przez moc jego myśli, z życia wyzwoleni”.

Zamroził zmierzającego w jego stronę golema ognia i posłał w kierunku przeciwnika nieklasyczne zakłęcie lodowej fali. Ta przebiła krąg. Czarodziej operujący tarczą zasygnalizował kontakt. Było po walce.

I nagle zapanowała wrzawa.

– Nie wierzę! – wykrzyknął Neveril, po czym wybuchnął głośnym nieopanowanym śmiechem – Po prostu niemożliwe! Geniusz! W życiu bym na coś podobnego nie wpadł!

– To musiała być boska klątwa! – dodał Nartin również głośno, starając się przekrzyczeć tłum. – Nie da się tak po prostu wyłączyć czyichś emocji. Z drugiej strony Bóg Mądrości przecież od wieków osłabia je u swych kapłanów. Zapewne Nuju znalazł sposób, aby robić to u innych, korzystając z mocy swego pana. Prawdopodobnie kapłani Boga Wojny byłiby odporni...

– Ale Melenvil nie jest kapłanem! Rozwagał nawet przyjęcie święceń, ale zakochał się po uszy w jakiejś zaklinaczce i nie potrafił odrzucić swych uczuć dla służby bogom. I tak oto zgubiły go własne emocje...

– Czyli rozumowcy górá! – wykrzyknął triumfalnie Arion.

– Ach tam przesadzasz – odparował natychmiast Neveril, nie zamierzając tak łatwo przyznać racji. – Fakt, że raz jednemu się udało, nie oznacza ich zwycięstwa. Wciąż częściej wygrywają emocjonaliści.

– Jasne, jasne, a takiś był pewien wygranej Melenvila...

Nartin przestał słuchać. Jego wzrok utkwiał w najwyższej części widowni. Strach bardzo powoli przenikał do jego umysłu.

Cesarza nie było.

„Może akurat gdzieś wyszedł...?” pomyślał z nadzieją, ale potem zobaczył minę siedzącego obok miejsca władcy ambasadora. Ten rozglądał się w panice po sąsiednich osobach.

– Arion – powiedział Anarchijczyk, czując nieprzyjemny uścisk w żołądku. – Musimy iść.

– Co? – zdziwił się kuzyn, niewiele rozumiejąc.

– Nie ma czasu. Wstawaj i za mną – tak rzekłszy, począł przepychać się bardzo

niekulturalnie przez wciąż siedzących czarodziejów.

– A wy dokąd?! – krzyknął jeszcze za nimi Neveril, zanim zniknęli w tłumie. Westchnął. Któż zrozumie ludzi?

Nartin przemieszczał się najszybciej, jak potrafił, raz po raz mocno trącając któregoś maga z głośnym „przepraszam”. W kilka chwil dotarł do wciąż zamkniętej bramy. Dogonił go kuzyn.

– Może mi wytłumaczysz, o co chodzi? – spytał, sapiąc ze zmęczenia. Nigdy nie dbał o kondycję fizyczną.

– Później. Nie mamy czasu. – Anarchijczyk aktywował zakłęcie kontroli metalu i dotknął zamku. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypieniem.

– Oszalałeś?! – wykrzyknął Arion zaskoczony – Nie wolno tak robić!

Strażnicy za bramą próbowali ich powstrzymać, ale broń, którą się posługiwali, sama wyskoczyła im z rąk i zwróciła się przeciwko nim.

– Co w ciebie wstąpiło?! – wołał półkaistlanin, goniąc biegnącego kuzyna.

– Cicho, później ci wyjaśnię – odparł tamten, zatrzymując się nagle w jednym z zaułków. – Muszę się zastanowić...

– W takim razie przeanalizuj swoje zachowanie i wymyśl, jak u licha się z tego wytłumaczymy...

Nartin nie słuchał. Przemknęło mu nagle przez głowę, że przecież nie odszuka tak po prostu Cesarza, nawet jeżeli wie, jak ten wygląda. Shitsura jest o wiele za duża na podobne pomysły. Wtem jednak jego wzrok zatrzymał się na sztylcie tkwiącym w dłoni kuzyna.

– Arion, z jakiej odległości potrafisz wyczuć metal?

– Pół mili? – odparł tamten, wzruszając ramionami. – Nie sprawdzałem dokładnie. A dlaczego pytasz?

– Skup się. Szukaj akrywianu. Szybko.

– Ale czemu...

– Zaufaj mi!

Półkaistlanin westchnął niezadowolony, ale ostatecznie zamknął oczy i wykonał kilka ruchów dłonią. Po chwili odezwał się spokojniej:

– Znalazłem trzy. Pierwszy jest tuż obok. Przy takiej odległości potrafię rozpoznać nawet kształt. To chyba broń. Miecz czy coś w tym stylu. Drugi to jakaś olbrzymia ilość na wschodzie. Czyżby magazyn? A może budynek? Ostatni jest na północy, gdzieś wśród tego przekłętego labiryntu uliczek i przemieszcza się ze sporą prędkością.

– Dobrze. Prowadź do tego trzeciego. Tylko biegiem!

– Ech – odparł Arion zmęczony niewiadomymi i ruszył truchtem. – Chyba nie mam wyboru i muszę ci zaufać...

Poruszali się szybko, lawirując między dziwnymi budynkami nieznanego użytku. Kilukrotnie trafili w ślepy zaułek i musieli się wracać, aby móc przejść dalej. Stolica Shandarii nie zamierzała ułatwić im zadania. Ostatecznie nieco później, półkaistlanin zatrzymał się w bez wyraźnego powodu. Zamknął ponownie oczy,

pomachał ręką i oznajmił powoli:

– Zgubiłem go.

– Jak to zgubiłeś?!

– Nie krzycz na mnie, bo się w końcu zdenerwuje i sobie pójdę – odparł ten z nieco obrażoną miną. – Dobrze wiesz, że to się zdarza, gdy cel zejdzie na przykład pod ziemię, albo w miejscu, gdzie metalu jest aż powyżej uszu. W jakiejś kuźni lub...

– Hucie...? – zapytał Nartin, spoglądając przed siebie.

– Przykładowo. Czemu...?

Anarchijczyk wskazał na budynek, przed którym się znajdowali. Budowla była olbrzymia w porównaniu do zazwyczaj skromne domostw Shitsury. Z dachu zaś wystawały kamienne kominy, z których wydobywał się gęsty czarny dym. Nartin jako mag magnetyzmu wyczuwał przez skórę ogromne ładunki rudy żelaza przechowywanej w środku.

– Tak... – Arion pokiwał powoli głową. – Jak mniemam, chcesz tam wejść. Nawet jeżeli właściciel zapewne wyrzuci nas przez okno? Z Shandarianami różnie bywa...

Kuzyn nawet nie słuchał, tylko już grzebał przy zamku ogromnej bramy. Na szczęście niewiele istnieje mechanizmów, które oparłyby się dobrze wprawionemu magowi magnetyzmu więc i ten prędko ustąpił.

– Jakoś tego nie widzę – rzekł szeptem półkaistlanin, podążając posłusznie za starszym. – Ale przynajmniej choć raz to ty wpakujesz nas w duże kłopoty.

– Skończ gadać. Prawdopodobnie jesteście blisko. Wyczuwasz akrywian?

– Gdzie tam, gubię się kompletnie. Zresztą czego ty właściwie szukasz?

Nartin nie odpowiedział, tylko prowadził ich coraz dalej, na wycucie. I najwyraźniej tego dnia bogowie mu sprzyjali, gdyż chwile później zatrzymał się bez ostrzeżenia i padł na ziemię, chowając się za sporym blatem. Arion uczynił podobnie, z tym że potracił po drodze jakieś narzędzia, które spadły z głośnym trzaskiem. Hałas jednak zatonął wśród festiwalu dźwięków miejskiej huty.

– Patrz – nakazał Anarchijczyk, wskazując pomieszczenie przed nimi.

– Co do...

Na środku bliżej nieokreślonego warsztatu stało dwóch czarodziei. Pierwszy, człowiek o wysokim wzroście, mocnej budowie i dość ciemnej karnacji, ubrany był w błękitno-czarną szatę. Trzymał też w dłoni długi drewniany kostur, zakończony czymś podobnym do szczypców. Jego mina wyraźnie zdradzała zniecierpliwienie. Drugi prezentował się zgoła odmiennie – turkusowy strój, naszywki białe, raczej niski i chudy. Patrząc po cerze pochodzący z Kaistlanii. W ręce miał jedynie podłużny amulet, który co rusz naciskał, jakby oczekując na jakąś odpowiedź.

Mężczyźni rozmawiali cicho i wśród zgiełku huty nie dało się rozpoznać ani języka, ani słów. Ich intencje jednak z perspektywy kuzynów wydawały się jasne. Pod ścianą bowiem związany i zakneblowany siedział Cesarz.

– Na Bezimienego! W coś ty nas wpakował? Aferę polityczną? – spytał Arion, przeraziwszy się ujrzaną sceną.

Anarchijczyk nie odpowiedział, tylko ponownie przyjrzał się dwóm magom.

– Cicho. Musimy mu pomóc.

– Chyba oszalałeś! Spójrz na ich stroje. To magowie bitewni! Różdżkarz oraz zaklinacz przeciw zaprawionym w bojach czarodziejom? Marne szanse.

– Daj mi coś wymyślić... – Nartin ilustrował wzrokiem pomieszczenie. Musiało przecież istnieć jakieś wyjście! Porywacze prawdopodobnie nie pozostaną tutaj długo, więc wezwanie pomocy odpadało. Chyba że...

Jego wzrok utkwiał na wciąż trzymanym przez kuzyna sztylecie.

– Musimy uwolnić Cesarza – oznajmił w końcu. I nim tamten zdążył się odezwać, dodał: – Znasz jego moc. Ci dwoje zapewne wzięli go z zaskoczenia, ale w otwartej walce nie mieliby szans.

– A niby jak to zrobimy? Spójrz na niego, więzy dokładnie zaciśnięte. Nawet go zakneblowali porządnie.

– Oto mój plan. Ja odwrócę ich uwagę, a ty wyślesz do niego sztylet i przetniesz ten piekielny knebel.

– Co?! Przecież to z trzydzieści metrów. Wiesz, jaka przy tym precyzja wymagana? Odpada, zranię go i pewnie powiesi mnie za zamach albo...

– Arion głupcze! – wykrzyknął Nartin tak głośno, jak pozwalał hałas tłumiący dźwięki. Chwycił kuzyna za kołnierz i przysunął do ściany. – Precyzja – przeliterował. – Jesteś rozumowcem czy nie? Komu jak nie tobie mogłoby się coś podobnego udać. Weź się w garść albo przez kolejne dziesięć lat będziesz się bił w głowę, żałując, że nie spróbowałeś powstrzymać tej lawiny wydarzeń.

Nie rzekłszy nic więcej, wyszedł śmiało zza blatu i pokazał rozmawiającym czarodziejom. Ci bez zastanowienia rzucili w niego podstawowe atakujące zaklęcia.

– Krąg magiczny! – zdążył krzyknąć Nartin, zanim śmiertelna moc żywiołów do niego dotarła. Tarcza zadrżała pod nagłym naporem.

Wrogowie również przywołali pentagramy i po chwili rozpoczęli ostrzał. Jak zdołał się domyślić, jeden z nich posługiwał się lodem, a drugi elektrycznością. Elementy bitewne, w przeciwieństwie do beznadziejnego magnetyzmu, którym posługiwali się kuzyni. Z drugiej strony przecież byli w hucie...

Anarchijczyk wyrwał wiszące na ścianie narzędzia i posłał je prosto w napastników, ale ci zablokowali je z łatwością. Uniósł więc w powietrze rozgrzane do czerwoności kawałki żelaza i spuścił je im na głowę. To już odniosło większy sukces, lecz mag lodu zdołał je ochłodzić, zanim dotarły do jego ciała. Wyszedł z tego jedynie poobijany.

Nartin dziękował bogom za dzień magii. W innych okolicznościach moc już dawno skończyłaby mu się od ciągłego wzmacniania tarczy. Wiedział jednak, iż nie wytrzyma wiecznie, a musiał dać kuzynowi jak najwięcej czasu. Skupił więc całą swoją wolę i przywołał magnetycznego golema.

Kawałki żelaza, pręty czy inne narzędzia pomknęły razem, tworząc monstrualną postać, która zajęła miejsce swego pana w walce. Potwór zazgrzytał mechanicznie i ruszył do ataku. Oberwał jednak z trzech błyskawic, gromu aż w

końcu ugrzązł w lodowym więzieniu, przyzwanym przez jednego z wrogów. Po chwili stał się bezużyteczny.

„Potrzebuje jakiejs broni! Ćwiczyłem taką walkę na studiach!” pomyślał Nartin, rozglądając się rozpaczliwie. Ku jego radości i zdumieniu dostrzegł leżący na stole obok długi lśniący miecz. Odzyskawszy nadzieję, sięgnął po niego mocą, aby móc dalej stawiać czoła przeciwnikom. Ten jednak nie ruszył się z miejsca.

Anarchijczyk za późno zrozumiał, iż próbuje poderwać w górę Obsydianowe Ostrze, miecz Eneriasa Kaznera. Broń ta była przecież artefaktem, odpornym na wszelkie magiczne manipulacje. Nim zdołał znaleźć jakieś zastępstwo, jeden z czarodziei zdążył ominąć już golema i przywołać podwójny piorun. Błyskawica zamigotała błękitnym światłem i w mak rozbiła krąg obrońcy. Ten zdążył jedynie zasłonić się kosturem.

Trach!

Nartin patrzył z niedowierzaniem, jak dzieło jego życia rozpada się na dwa bezużyteczne kawałki. Natychmiast wpadł w instynktowną furję. Zawył z gniewu na całe gardło.

I wówczas wszystkie kawałki metalu w promieniu dwudziestu metrów poderwały się w powietrze. Wszystkie drobiny żelaza, narzędzia, pręty i sztabki poczęły latać na wszystkie możliwe strony, potęgując powstały chaos i skutecznie zapobiegając dojrzeniu czegokolwiek w tej plątaninie zgrzytów i brzdęków. Przedmioty na co dzień używane przez hutników wirowały w powietrzu kompletnie bez ładu i składu, powstrzymując atakujących nawet przed zebraniem myśli.

Tylko jeden element w całym tym bałaganie wydawał się wiedzieć, dokąd zmierza. Lśniący sztylet mknął powoli, lecz stanowczo przez powietrze. Uparcie zbliżał się do związanej pod ścianą postaci, wykorzystując nieuwagę przeciwników. Gdy zaś w końcu dotarł do celu, niezwykle ostrożnie zbliżył się do twarzy Cesarza.

I wówczas potężny kawał lodu utorował sobie drogę przez chaos. Rozbił w drobny mak tarczę Nartina i trafił go prosto w brzuch. Czarodziej poleciał daleko w tył i uderzył z hukiem o ścianę. Kawałki metalu natychmiast opadły z powrotem na ziemię.

– Popełniłeś błąd, przychodząc tutaj Anarchijczyku – oznajmił jeden z napastników, podchodząc do pokonanego. – Nie chcieliśmy żadnych ofiar, ale nie możemy pozwolić sobie na świadków. Giń.

– Za późno... – zdołał wychrypieć pokonany.

– Płaszcz płomieni – rozległ się nagle głos z przeciwnej strony pomieszczenia. Cesarz otoczył się ogniem. Następnie, gdy więzy opadły, podniósł ze stołu Obsydianowe Ostrze i dodał – Krąg magiczny.

Rozbłysł złoty pentagram.

Czarodzieje również przywołali tarcze, lecz zdołali wyprowadzić tylko próbne ataki. Po chwili już tkwili w defensywie, starając się przetrwać nawałnicę tego, do czego akurat najmniej się przygotowali. Ziemia, światło, wiatr, ogień, na przemian bombardowała ich kanonada pocisków. Nartin patrzył tylko z niedowierzaniem na

pentagram cesarza, na którym migotały symbole żywiołów. Magowie przed bojem ustawiają wstępną konfigurację ofensywno-defensywną, zależnie od tego, jakiego elementu się spodziewają. Enerias Kazner natomiast zmieniał ją bezpośrednio podczas walki, całkowicie odmieniając zasady bitwy!

– Kamienny golem – rzekł Cesarz, psując tym samym sporej wielkości piec, z którego powstało monstrum. Dodał zaraz – Lodowy golem. Ognisty golem. Magnetyczny golem.

Zrobiło się bardzo ciasno. Czarodziejom udało się pokonać trzy z czterech przyzwaných istot, ale ostatni potężną szarżą przełamał krąg jednego z nich, co akurat zgrało się z gromem z jasnego nieba. Mag zginął na miejscu. Drugi widząc śmierć towarzysza, wyszedł z własnego pentagramu i padł na kolana, krzycząc:

– Poddaję się! Litości!

Zaklęcie paraliżu trafiło go ułamek sekundy później. Osunął się na ziemię, choć zachował życie. I wówczas po chwili niespodziewanej ciszy zza blatu powoli wyszedł Arion.

– Em... Wasza Wysokość... – tak rzekłszy, uklonił się, zapewne nie bardzo mając pomysłu jak zareagować na owe wydarzenia.

Nartin jako rodowity anarchijczyk, wiedzący doskonale, iż władca nienawidzi wszelkiej tytułologii, skinął po prostu głową, mówiąc:

– Srebrzysty Wojowniku...

– Jestem wam winny podziękowania panowie – oznajmił Enerias Kazner, otrzepując się z kurzu, którego nabył podczas walki. – Gdyby nie wy, sprawa mogłaby się zakończyć wielką aferą polityczną. Albo co gorsza, tragedią.

Nagle rozległ się niezidentyfikowany hałas i do pomieszczenia wpadła cesarska straż.

– Uf... Bezimiennemu dzięki, nic ci nie jest – odetchnął z ulgą głównodowodzący, widząc władcę całego i zdrowego. – Wybacz, że tak późno, ale dopiero przed chwilą Shandariańscy magowie wykryli anomalie magnetyczne w tym rejonie. Przybyliśmy najszybciej, jak tylko się dało. Choć widzę, iż niepotrzebnie...

– Nieważne. Obecni tutaj... ach przepraszam. Nie zapytałem o imiona...

– Nartin Anerivis i Arion Dweri.

– W każdym razie dzięki ich pomocy wszystko dobrze się skończyło. Choć jeden z nich chyba potrzebowałby lekarza.

– Nieee... – zaoponował Anarchijczyk, unosząc w górę dłoń. – Wszystko w porządku. Żebra w całości. Tylko sporo siniaków.

– Pozostaje więc jedynie dowiedzieć się, kto stoi za porwaniem. To już jednak pozostawiam wam. – Tu spojrzał na dowódcę oddziału.

Straż uniosła wciąż sparaliżowanego czarodzieja oraz ciało jego towarzysza. Kilku innych zaczęło zabezpieczać teren. Kuzyni nie widząc innej opcji, również ruszyli w stronę wyjścia. Cesarz zbliżył się do nich.

– Jestem wdzięczny panowie – powiedział, chowając Obsydianowe Ostrze na swoje miejsce przy pasie – Taka bezinteresowna pomoc nie przejdzie bez nagrody.

Obiecuję.

– Zasadniczo mnie akurat najął wywiad... – odparł Nartin, zaskakując swego kuzyna. – Kazał mi obserwować... nie miałem więc większego wyboru...

– Miło słyszeć, iż Kevlin wciąż dba o moje bezpieczeństwo – Enerias Kazner uśmiechnął się rozbawiony – Ale chyba źle go odebrałeś. Kazałem mu w takich przypadkach zawsze zastrzegać, że nic nie wymaga.

– W sumie faktycznie to nie był rozkaz... Chociaż brzmiał wyraźnie, jakby miał drugie dno.

Srebrzysty Wojownik pokiwał głową ze zrozumieniem i dodał:

– Typowy Kevlin.

– Więc jak właściwie działa taka.... prośba?

– Jakby powiedzieć... – zastanowił się Cesarz, spoglądając w niebo – Decyzja o pomocy swemu krajowi to jakby... cytując pewną bardzo znaną książkę... „Twój wybór, twoja droga”.

– Chyba jednak dobrze, że mi ją pokazałeś Nartinie – mruknął Arion pod nosem, tak aby tylko kuzyn go usłyszał.

Oboje spojrzeli na siebie i stłumili nagły wybuch śmiechu.

– Niewątpliwie.

Choć zidentyfikowano i złapano sprawców, porwanie cesarza zostało zatuszowane i przeszło bez echa, nie pociągając za sobą żadnych konsekwencji politycznych. Sam Enerias Kazner jednak otrzymał od życia porządną nauczkę.

Neveril ostatecznie zrezygnował ze służby u króla Kael-Kirii.

Melenvil Elieilijas nigdy więcej nie pojawił się na Wielkim Turnieju w Shandarii. Porzucił karierę maga bitewnego i osiadł na rodzinnej wyspie elfów, gdzie stał się głową jednego z najstynniejszych kael-kirskich rodów.

Setilla Adrioles oraz Hascirion Kenitri po kilkuletniej współpracy w zawodzie, pobrali się i zamieszkali na Akadarii.

Dzięki zwycięstwu w turnieju Nuju w końcu wyszedł z cienia anonimowości i zyskał wdzięczność czarodziei na całym świecie za powstrzymanie wojny między magami a technomagami.

Voimsis nigdy nie usłyszał o dwóch kuzynach, bez których cała ta historia mogła skończyć się tragicznie.

Kwestia przeznaczenia

Kael-Kiria, ojczysta wyspa elfów. Rok 812 od zesłania Pana

– Zmęczona? – zapytał Virian, opiekuńczo kładąc dłoń na ramieniu młodszej siostry.

– Czym? – zdziwiła się Narilla, unosząc swoje drobne brwi. – Podróżą morską? Daj spokój. Nie było nawet jak się zmęczyć.

– Formalnościami – odparł dwudziestosiedmioletni czarodziej, nieco mocniej ściskając swój kostur. Akurat ich w podróżowaniu najbardziej nie lubił.

– Te się jeszcze nie skończyły...

– Spokojnie kochana... Niedługo wszystko będzie za nami...

Ich statek kilka chwil wcześniej przybił do portu w niewielkiej kael-kiriańskiej wiosce i właśnie stawiano kładkę umożliwiającą zejście. Dwoje magów zaczęło cierpliwie, aż portowi chłopcy uwiną się z robotą, a następnie powoli ruszyli na ląd.

– Jak się nazywa ta miejscowość? – spytała kobieta, spoglądając z zaciekawieniem na rząd egzotycznie wyglądających domków. Architektura Kael-Kirii wyróżniała się niezmiernie wśród większości zabudowań Voimsisu.

– Vlariliaris.

– Bogowie! Jak udało ci się to wymówić?

– Kwestia wprawy – odparł Virian wyraźnie przyzwyczajony do elfickiego nazewnictwa. – Ale nie kłopotcz się zapamiętywaniem. I tak musimy opuścić wioskę, Ealia mieszka z dala od zabudowań. Aczkolwiek wypadałoby, abyś nazwisko pani gospodarz potrafiła wypowiedzieć.

– Spokojnie. Je opanowałam.

Nim jednak w ogóle zdołali zejść z drewnianego pomostu, zatrzymał ich odziany w zbroję strażnik.

– Państwo pozwolą... – Uderzył się lekko w pierś. – Czy mogę poznać nazwiska, powód oraz szacowany czas wizyty? Wszyscy ludzie wkraczający na Kael-Kirię muszą zostać spisani. To standardowe procedury – wyjaśnił.

– Virian i Narilla Datrenowie. Zostaliśmy zaproszeni przez Ealię Jilioverial na dziesięciodzień. W celach towarzyskich. Później niezwłocznie opuścimy wyspę. Odmeldowując się oczywiście.

– Rozumiem – odparł tamten, zapisując coś w podręcznym notatniku. – Życzę miłego pobytu. Dom naszej alchemiczki znajduje się na północ od wioski. Niedaleko.

– Dziękujemy uprzejmie.

– No proszę – rzekła kobieta, gdy tylko ponownie zostali sami. – Twoja przyjaciółka stała się już znana w okolicy.

– Nic dziwnego. Pewnie połowa mieszkańców korzysta z jej usług. Przejdziemy się prawda? Głupio wypożyczać konie na taki kawałek...

– Jasne. Czemu nie.

Ruszyli spokojnie. Wioska okazała się naprawdę malutka, wystarczyło ominąć niewielki placyk, rząd domów mieszkalnych i nagle przed podróżnikiem otwierał się naturalny krajobraz Kael-Kirii.

– Bogowie jak pięknie! – zachwyciła się Narilla, ujrzawszy kolorową szatę jesiennych liści.

– Ach no tak... – Jej brat kiwnął głową z uśmiechem. – Zapomniałem, że tylko sporadycznie odwiedzałaś wyspę elfów. I w dodatku zawsze latem. A szkoda, wiosną bowiem robi się najpiękniejsza.

Pomimo domniemanej prawdziwości tego stwierdzenia, krajobraz nawet teraz cieszył wzrok. Drzewa nie straciły jeszcze liści, a wśród leśnego poszycia wciąż dało się zobaczyć jaśniejące od czasu do czasu różnobarwne rośliny. Droga wiła się skrętnie pośród sterczących gdzieś monstualnych konarów, jakby usiłując wprowadzić ład w owym leśnym chaosie. Elficka puszcza jednak wyraźnie wygrywała, zapewne dzięki stałej pielęgnacji ze strony magów natury, powszechnie przebywających w jej skromnych progach.

Zwierzęta natomiast, jakby nagle zniknęły, pozostawiając po sobie wrażenie dziwnej pustki. Najprawdopodobniej nieprzyzwyczajone do ludzkiej aury, odczuły paniczny strach na widok gości. Virian jednakże wiedział, iż dla przebywających tutaj od setek lat Kael-Kirian, las jest zawsze żywy, pełen wigoru i tętniącej siły ich ukochanej bogini.

– Szczerze mówiąc – zaczęła nagle czarodziejka, zrywając z ziemi bliżej niezidentyfikowany kwiat. Ten natychmiast stracił blask. – Trochę się obawiam...

– Czego? – zdziwił się rozmówca, zatrzymując się obok niej. – Przecież znasz Ealię. I o ile pamiętam też, wspominałaś, że ją lubisz.

– Ależ tak. Ale nie tylko ona tam będzie prawda? Nie wiem, jak wypadnę...

– Boisz się moich znajomych ze studiów? Daj spokój! Przecież już wielokrotnie im o tobie opowiadałem.

– Co tylko pogarsza sprawę! – Dwudziestolatka westchnęła przeciągle, spuszczając wzrok poddenerwowana. Następnie obróciła się wdzięcznie, pytając – Jak wyglądam? Wszystko nadal dobrze?

– Narillo Datren – zwrócił się do niej Virian, zatrzymując ją i kładąc ręce na jej drobnych ramionach. – Moja najukochańsza siostrze. Przecież wiesz, że dla mnie jesteś najpiękniejszą osobą na świecie! I nic nigdy tego nie zmieni! Wyglądasz cudnie.

– Ja? – Młoda kobieta uśmiechnęła się figlarnie. – Czy Ealia?

Mężczyzna zmrużył oczy.

– No i znalazłem się między młotem a kowadłem. Hm... trudne...

– No właśnie – czarodziejka roześmiała się rozbawiona, ruszając od razu dalej.

– Uważaj braciszku. Może i faktycznie podkochiwanie się w elfkach nie jest dla nas tak tragiczne, jak dla drugiej strony. Wciąż jednak niesie ze sobą niebezpieczeństwo.

– Nie wiem, co insynuujesz – odparł tamten z niewinną miną. Po chwili

jednakże na jego twarzy również zagościł uśmiech.

Niezależnie czy było to spowodowane dłuższą przerwą w ich codziennej rutynie, czy atmosferą Kael-Kirii, obydwójce mieli znakomite humory.

– To tutaj? – spytała Narilla, wskazując na sporej wielkości drewniany domek, znajdujący się na małej polanie, prawdopodobnie przygotowanej specjalnie pod jego budowę. Całość wyglądała niezwykle klimatycznie w promykach zachodzącego słońca.

– Owszem. Chodź... Pozwól, że ja zapukam.

Stanęli przed drzwiami. Po chwili w ruch poszła metalowa kołatka, powodująca głośne dudnienie. Zabrzmiało podłużne skrzypnięcie, wejście stanęło otworem i pojawiła się w nim malutka elfka. Na oko sześć, siedem lat.

– A cóż to? – zdziwił się Virian, marszcząc brwi. Następnie kucnął, aby zrównać się z nowo przybyłą. – A ty kimże jesteś mała słodka istoto?

Dziewczynka schowała za siebie ręce, przybrała poważną minę, a potem zaczęła równie podniosłym tonem:

– Witamy w domu Ealii Jilioverial, czarodziejki i alchemiczki. Jeśli przybywacie na przyjęcie, zapraszam do środka oraz życzę miłej zabawy – Następnie odwróciła się w stronę wnętrza i krzyknęła podnieconym głosem – Jak mi poszło proszę pani?!

– Znakomicie moja droga – odparła wyraźnie się do nich zbliżająca osoba. – Aczkolwiek mogłabyś nie pytać przy gościach. A teraz zmykaj.

W drzwiach pojawiła się postać kolorowo ubranej Kael-Kirianki. Miała na sobie lekką sukienkę, odrobinę zahaczającą stylem o typowe szaty noszone przez magów oraz dziwaczny roślinny diadem, niewiele mówiący nowo przybyłym. Wydawała się niższa od większości przedstawicieli swojej rasy, aczkolwiek jej oczy tonęły w dobrze znanym przepięknym odcieniu fioleto.

– Virian! – krzyknęła Ealia na widok gościa. Mężczyzna otrzymał tęgiego buziaka w policzek. – Bogowie, mam wrażenie, jakbyśmy się kilka lat nie widzieli.

– Pół roku kochana. Jak zwykle wyolbrzymiasz. Dobrze znowu słyszeć twój głos.

– Och... Narilla też przyjechała?! – Kobiety rzuciły się sobie w ramiona. – Ależ mi teraz wspaniałą niespodziankę sprawiliście.

– Liczę, że znajdzie się dodatkowe miejsce do spania... – rzekła czarodziejka, wydostając się z uścisku.

– Jasne. Bez problemu. Wejdźcie, wejdźcie. Jesteście ostatni. Sefnir i Dowelin są już od godziny. Wpadł też mój brat. Kameralnie jak zawsze.

– A to Setilii nie będzie?

– Ach chyba zaproszenie do niej nie dotarło... – Kael-Kirianka mrugnęła porozumiewawczo.

– Jak mi smutno – Virian pokiwał głową ze świetnie odegranym

rozczarowaniem, lecz po chwili na jego twarzy ponownie zagościł uśmiech.

Weszli do środka. Wnętrze tonęło w wielorakich odcieniach brązu, jakby każdy element został wykonany z innego rodzaju drewna. Co prawda od czasu do czasu prześwitywały gdzieś kamienne konstrukcje, ale należały do zdecydowanej mniejszości. Ściany zdobiły setki na pierwszy rzut oka niepowiązanych z sobą przedmiotów, lecz Virian jako dobry przyjaciel pani gospodarz, od razu rozpoznawał, skąd owe pamiątki pochodzą i co symbolizują.

W głównym pomieszczeniu znajdował się kominek z radośnie iskrzącym się płomieniem we wnętrzu. Rozstawiono przy nim kanapy, klimatem również wpasowujące się w styl budynku. Ealia miała dobry gust. Prócz tego dało się zauważyć schody na piętro, gdzie zapewne umieszczono sypialnię i nie licząc przejścia do przedpokoju, z którego przyszli, jedne jedyne drzwi, gdzieś w kącie pomieszczenia. Zamknięte. Prawdopodobnie za nimi znajdowała się pracownia, raczej rzadko otwierana w czasie spotkań ze znajomymi.

Nowo przybyli zostawili część rzeczy w przedpokoju, a następnie dołączyli do reszty.

– Virian stary przyjacielu! – zawołał czarnowłosy mężczyzna opierający się bez strachu o kominek. – Bałem się już, że nie przyjedziesz.

– Witaj Dowelinie. I ty Sefnirze. Dobrze was znowu widzieć.

– A cóż to? – drugi z rozmówców bezceremonialnie podszedł do przybyszów. – Panienkę ze sobą zabrałeś?

– Moja siostra, Narilla. Udało mi się ją wyciągnąć z Akademii na jakiś czas. Choć przyznam szczerze, nie było łatwo.

– Miło was poznać – czarodziejka kiwnęła głową przyjaźnie. Jej stres jakby się rozwiął.

– A zatem to jest mała Narilla, o której tyle nam opowiadałeś... – rzekł Dowelin, nie ruszając się z miejsca – Nieco inaczej ją sobie wyobrażałem.

– Mała? Pff – Kobieta prychnęła, składając razem ręce. – Żebyś się jeszcze nie zdziwił, kto tu kogo przerośnie.

– O... Widzę, iż temperament dzielisz z bratem. Znakomicie. Nuda nam nie będzie więc doskwierać.

– Z tego, co słyszałam, za brak nudy odpowiadał tu ktoś inny.

– Jestem do waszych usług. – Sefnir wykonał teatralny ukłon, a następnie zaproponował nowo przybyłej miejsce do siedzenia. Po chwili rozmowa zawirowała wśród luźniejszych tematów.

Virian tymczasem podszedł do Ealii, aby pomóc jej zdjąć z wyższej półki bliżej niezidentyfikowane płyny. Patrząc na zawód pani gospodarz, mogły się one okazać zabójczymi truciznami, choć bardziej przewidywał egzotyczne odmiany alkoholi.

– Nie wiedziałem, że adoptowałaś dziecko – zwrócił się do przyjaciółki, obserwując dziewczynkę ustawiającą na stole przed kominkiem różne drobne przekąski i przysmaki.

– Wole określenie „przyjęcia na naukę” – odparła tamta, usiłując zdjąć butelkę

z najwyższej półki. Mężczyzna w końcu zrobił to za nią.

– Wolisz?

Kael-Kirianka westchnęła i spojrzała na dziecko ze smutkiem i czymś w rodzaju nostalgii.

– Jej rodzice zginęli w pożarze – oznajmiła w końcu po chwili ciszy. – Mieszkali niedaleko, również poza wioską. Czekala na posterunku straży ponad dziesięciodzień, ale nikt się po nią nie zgłosił. Prawdopodobnie po prostu nie miała więcej krewnych. Zaprosiłam ją więc do siebie. Na zwyczajnych warunkach. Ja ją utrzymuję oraz uczę, a ona płaci pracą. Jak dorośnie, przynajmniej będzie miała zapewniony zawód.

– Twoje dobre serce cię kiedyś zgubi moja droga – stwierdził Virian, również spoglądając na dziewczynkę.

– Nelivia! – zawołała pani gospodarz. Uczennica posłusznie się zbliżyła.

– Tak proszę pani?

– Trzeba poukładać książki w naszej bibliotece. Zrobił się tam już spory bałagan. Zajmij się tym dobrze?

– Tak proszę pani.

– Gdybyś znalazła coś ciekawego, śmiało weź do czytania. Nie tykaj jednakże tomów o alchemii, bo są...

– ...zbyt niebezpieczne dla osób w moim wieku. Tak proszę pani.

Dziewczynka po chwili zniknęła na piętrze.

– Ładnie ją przyuczyłaś – kiwnął głową z uznaniem Virian – I mówisz, że umie czytać?

– To u was nie wszystkich uczy się takich podstaw – odparła Ealia, uśmiechając się złośliwie. – Jesteście w tej kwestii strasznie zacofani.

– Jak tak możesz nas obrażać...

Kael-Kirianka roześmiała się radośnie, a następnie podeszła do reszty towarzystwa. Potem postawiła na stole szklanki i otworzyła butelkę.

– Proszę. Nalewka mojej własnej produkcji. Zapewniam, iż nie jest trująca. No, chyba że pomyliłam etykiety.

– Przestań straszyć – Sefenir pierwszy pociągnął drobny łyk – tylko powiedz od razu, z czego zrobiona.

– Dwukwiat czterolistny, evilia zielona, ekstrakt z owoców drzewa ghali...

– Dobra nieważne. – Mężczyzna machnął ręką, popijając więcej. – Głupie pytanie. Muszę jednak przyznać, wyśmienita. Troszkę za słodka może, ale to chyba kwestia gustu...

– A masz tę pomarańczową, którą podawałaś nam poprzednio? – spytał Dowelin, dopijając ostatnie krople swojej części.

– Nie ten sezon mój drogi – Ealia uśmiechnęła się szeroko, usiadłszy obok Viriana – Może następnym razem.

– Szkoda. No ale teraz opowiadaj miła panno! Co słychać na Kael-Kirii? Król nadal niezbyt lubiany? Jakież zmiany na dworze?

– Aj jak zwykle szukasz mojej niewiedzy. Wiesz przecież, iż kompletnie nie

interesuje się polityką.

– Stosunek poddanych do króla bez zmian od czasu wprowadzenia ograniczenia urodzeń – oznajmił niespodziewanie nieznany głos. – Wśród królewskich doradców zaś zastąpiono Vilionesa Lilienira, Aeliolem Elieilijaszem.

Wszyscy odwrócili się w stronę okna, przy którym opierając się o ścianę, stał smukły Kael-Kirian. Szatę posiadał zielononiebieską, symbolizująca zawód uzdrowiciela, lecz kostur raczej wskazywał maga bitewnego. Włosy miał niesamowicie jasne, niemal białe, a oczy głęboko fioletowe. Lustrował wcześniej spokojnym wzrokiem całą radosną gromadkę, nie odzywając się ani słowem. Gdyby tkwił tak dalej, prawdopodobnie prędko by go nie spostrzegli.

– Mój brat Melenvil – oznajmiła Ealia w nagłej ciszy. – Zupełnie zapomniałam go przedstawić...

– Jak zwykle siostro. Nie przejmuj się jednak. Obserwowanie twojej radości sprawia mi niezmierną przyjemność.

– Usiądź z nami – zaproponował Virian, szykując siedzenie. – Znajdzie się miejsce.

– Chyba raczej postoję...

– Melenvil nie lubi ludzi. Musicie mu wybaczyć dystans – wyjaśniła szybko pani gospodarz, próbując oczyścić atmosferę. Następnie zwróciła się do brata – Aczkolwiek liczyłam, że troszkę odpuścisz.

– Aj nie wymagaj za wiele. Każdy ma swoje gusta. Ja nie lubię ludzi, ty nie przepadasz przykładowo za brązowowłosymi.

– Naprawdę? – przerwał im nagle Sefenir, spoglądając na Ealię z wyrzutem. – Mogłaś powiedzieć! Zgoliłbym się na tyso.

Elfka wybuchła śmiechem, natychmiast rozpogadzając towarzystwo. Prawdopodobnie mimowolnie wyobraziła sobie tysego przyjaciela.

– Chciałbym to zobaczyć – dodał jeszcze Dowelin, dolewając sobie nalewki.

– A ja wręcz przeciwnie... – stwierdził lakonicznie Virian, a następnie zwrócił się do Kael-Kiriana. – Ale skoro nie lubisz ludzi, po co przyjechałeś?

– Aby ich właśnie polubić – odparł Melenvil, wciąż tkwiąc przy oknie. – Moja kochana siostra od kilku lat się z wami spotyka i wbrew memu silnemu oporowi próbuje przekonać, abym jednak dał wam szansę.

– A widzisz. Najlepiej ten proces zacząć od akceptacji zaproszenia do dołączenia do naszego grona. Chodź, usiądź z nami.

Rozmówca zastanowił się chwile, ale ostatecznie dał za wygraną i usiadł na proponowanym miejscu.

– Nie wierzę, że go namówiłeś – podsumowała Ealia, unosząc brwi wysoko.

– A bo wiesz, jak to jest – wtrącił się Sefnir, przybierając nagle nauczycielski ton. – Jedni potrafią znakomicie śpiewać, inni malować, jeszcze inni od urodzenia pięknie tańczą. Nasz Virian natomiast otrzymał talent do przekonywania krnąbrnych elfów. Lub elfek oczywiście. Zresztą akurat ty powinnaś to wiedzieć doskonale.

– Skoro jednak mamy aż dwie nowe osoby w naszym skromnym gronie, może

każdy powie coś w skrócie o sobie? – Dowelin również usiadł, kończąc w ten sposób formowanie półokręgu wokół kominka.

– Popieram! Ja zacznę – oznajmił przedmówca, a potem przyjął nieco wygodniejszą pozycję – Nazywam się Sefnir Sentoku i nie piję już od... – Tu spojrzał na pusty kieliszek w swojej dłoni. – ...jakiś dwóch minut.

– Bardzo śmieszne – Virian przewrócił oczyma z dezaprobatą.

– A tak szczerze mówiąc – kontynuował rozmówca – moje jedyne uzależnienie to dobra zabawa. Naprawdę, nie potrafię powstrzymać się przed udziałem w hucznych uroczystościach, biesiadach i tym podobnych. A że czasem dobrą zabawę najpierw trzeba rozkręcić, służę moimi zdolnościami. Tak więc gdy nasza uroczą pani gospodarz zaprasza na spotkanie towarzyskie, nie daję rady odmówić. Kłaniam się nisko.

– A jaki naród? – spytał nagle Melevil, który do tej pory słuchał jedynie z rosnącym rozbawieniem.

– Ach wy szufladkowcy, tylko byście ludzie według pochodzenia dzielili. – Sefnir rozłożył ręce z wyrazem bezsilności. – Trochę mniej stereotypów!

– Tak tylko mówisz – rzekła Ealia, ostrożnie nalewając nalewki – A przypomnij sobie, jak było, kiedy Virian dowiedział się, że Dowelin jest Warderłończykiem.

– O... a tego mi nie opowiadał – Narilla dołączyła do dyskusji. – Jak zareagował?

– Brata znasz. Typowy anarchijczyk. Gdy powiedziano mu o pochodzeniu kolegi, z którym codziennie piwo pił wieczorami, natychmiast zasiadł przy nim i zasypał go pytaniami. „A jak wytłumaczy obecną neutralność Mrocznego Cesarza. Jak obroni fakt, iż mieszkańcy Akadarii nadal nie wpuszczają do siebie za wielu obcych. W jaki sposób wyjaśni dzisiejsze roszczenia Warderlonu do Nastilii”... I tak dalej i tak dalej... A teraz wyobraź sobie biednego Dowelina, człowieka z natury spokojnego, kompletnie nieinteresującego się polityką. Siedział sparaliżowany w panice, nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi i tylko oczy mu rosły z przerażenia.

Narilla parsknęła śmiechem, a następnie spojrzała na brata z dezaprobatą.

– No może troszkę przesadziłem wtedy – odparł tamten, kiwając głową.

– A jak w końcu z tym pochodzeniem? – Melenvil brnął niestrudzenie.

– I właśnie to jest najgorsze – wyjaśnił Sefnir, gestykulując energicznie. – Żebyś ja wiedział. Matka Shandarianka, więc nie tak znowu tragicznie. Ale ojciec? Pół Algabiorczyk, pół Kaistlanin. Z domieszką Tokiriana zresztą. No i odnośnie do matczynego rodu, sprawa również okazuje się nieco zawiła, bo podobno gdzieś tam się i Kalwador wplątał... Zasadniczo jedynie anarchijskiej krwi mi w rodzinie brakuje, lecz może w obecnym pokoleniu uda się owe niedociągnięcie nadrobić. Ostatecznie nie wiedząc co i jak, uznaję, że jestem po prostu sobą. Koniec.

– Dodaj jeszcze, iż kłatownik.

– Ach rzeczywiście. Sprzedaje kłatwy na zamówienie. Najczęściej wyniosłym panom i damom, którzy nienawidzą jakiegoś innego rodu. Tak bywa.

– Jedno przyznać muszę – stwierdził Melenvil, rozluźniając się nieco – Swe

krótkie ludzkie życie wykorzystujesz bardzo intensywnie.

– Staram się.

– Dobrze. Teraz ja. Dowelin Warentis. Warderlończyk, co wcześniej wspomniano. Lat dwadzieścia siedem, jak pozostała trójka. W końcu poznaliśmy się na tym samym roku w Kael-Kirii...

– Wydawało mi się, że Kael-Kirianie nie pozwalają obywatelom Mrocznego Cesarstwa na naukę w ich akademiach. – Narilla zmarszczyła swe drobne brwi. – Mylę się?

– Dłuższy czas rzeczywiście zabraniali. Ale dwadzieścia lat temu, udało się wynegocjować porozumienie. Warderlon przestał przecież próbować podbić cały świat i w ogóle... ogólnie stał się spokojniejszy. Elfy oczywiście obawiały się mroku w ludziach z tego kraju, lecz uzgodniono, że na wymiany będą jeździli adepci z innymi żywiołami – tak rzekłszy, Dowelin machnął ręką, a ogień w kominku zajaśniał o wiele mocniej. – A wracając do mnie... zajmuję się jasnowidztwem.

– O czym myślę?

– Ten żart byłby nawet śmieszny, gdybyś nie powtarzał go po raz setny Sefnirze. Tyle o mnie.

– Virian Datren. Szanowany obywatel Cesarstwa...

– Którego?

– Jedyne go słusznego – odparł czarodziej stanowczo. – Anarchijskiego. Zakochany w Kael-Kiriańskiej kulturze, co zmusza mnie do powracania na ojczystą wyspę elfów kilka razy w roku, gdy tylko mnie stać. Odnośnie do pracy? Mag bitewny...

– O... walką się trudzisz? – ucieszył się Melenvil – Jaki żywioł?

– Mój brat też kiedyś był magiem bitewnym – oznajmiła Ealia, wstając z kanapy, aby podać więcej napojów. – Póki się nie przekwalifikował. Czasem chyba nadal tego żałuje.

– Więc? – Czekał wciąż rozmówca.

– „Ci, co się sprzeciwia, padną zamrozeni, przez moc jego myśli, z życia wyzwoleni” – wyrecytował Anarchijczyk rytmicznie, unosząc dłoń do góry. Wokół niej pojawiły się płatki śniegu.

– Wielka przepowiednia. – Kiwnął głową z uznaniem Kael-Kirian. – Ktoś tutaj lubi klasykę. A jak znalazłeś pracę w dzisiejszych czasach? Nie licząc ciągłych konfliktów w Kalwadorze, nie ma żadnej wojny. Właśnie dlatego porzuciłem magię bitewną. Brak perspektyw.

– Nie walczę. – odparł Virian, spoglądając na ogień w kominku. – Raczej służę armii. Często potrzebują takich jak ja, aby przygotować żołnierzy do starcia z magami. Da się z tego wyżyć.

– Mnie chyba wszyscy znają – stwierdziła Ealia, przysiadając się do nich ponownie.

– Panna alchemiczka, rozzarowana magią, nie znajdując w niej pasji – rzekł Dowelin, przyglądając się własnej dłoni.

– Mimo to, najlepsza na roku. Zebrała wszystkie nagrody – dodał Sefnir, wtórując za kolegą.

– Z mnóstwem znakomitych perspektyw, które o dziwo odrzuciła. – Dołączył się Melenvil.

– Popularna wśród elfów, choć jak dotąd, niezbyt zainteresowana – kontynuował Virian.

– Ze wspaniałym gustem oraz znakomitą talentem towarzyskim. – Zakończyła Narilla, nie mogąc się powstrzymać.

– No tak z połowa mnie – stwierdziła Ealia wyraźnie rozbawiona. – Nieźle podsumowana.

– Teraz ja – oznajmiła młoda czarodziejka, opierając się o stół. – Więc... Lat dwadzieścia więc chyba reprezentuję tutaj młodzież.

– Jaką znowu młodzież... – jej brat parsknął rozbawiony.

– Świeżo po studiach. Specjalizacja zaklinanie.

– Oho... robi się ciekawie.

– Żywioł elektryczność. Raczej z zamiłowania.

– Podobnie jak ja – wtrącił Melenvil.

– Przyprowadzona do was przez brata, który obiecał, że pozna jego grupę przyjaciół.

– Poznasz, poznasz – uspokoił Sefnir – już ja tego dopilnuję.

Kobieta roześmiała się radośnie, ale nie powiedziała nic więcej. Zapadła krótka cisza.

– Cóż... – rzekł w końcu Kael-Kirian, jako ostatni podnosząc do ust alkohol – Zazwyczaj inni traktują mnie jak młokosa, ale przyznaje, że wśród was poczułem się staro. Lat czterdzieści. Dla naszej rasy niewiele. Były mag bitewny, wspominałem. Obecnie uzdrowiciel.

– I nadal żywioł elektryczność? A nie woda?

– Leczę choroby, nie rany. Wciąż zyskowne zajęcie.

– Nie wątpię.

– Zainteresowany polityką oraz bieżącymi wydarzeniami Voimsisu. Jak zwykłem mawiać wśród podobnego, sielankowego towarzystwa: „Bo ktoś musi”.

– Chyba dogadasz się z Virianem.

– O czymś zapomniałem? Ach tak, nie lubię ludzi. Lecz z każdą chwilą coraz mniej.

Wszyscy roześmiali się wesoło. Lody zostały przełamane. Dopili nalewkę i wówczas Sefnir podniósł się z miejsca.

– No, wystarczy tego dobrego. Czas nieco rozruszać atmosferę. – Tak oznajmiwszy, podszedł do ściany i wyjął z pudła bliżej niezidentyfikowany strunowy instrument. Wykonał kilka chwytów dla próby, a następnie rozpoczął radosną melodię.

– Tylko bez śpiewów – poprosił Dowelin z nadzieją w głosie.

– Nic z tego! Słuchaj, jak artysta tworzy.

– W takim razie przynajmniej piosenki anarchijskie – zaproponował Virian, odwracając się w stronę grającego.

– Ależ przyjacielu! Jesteśmy w elfickim kraju, elfickim domu i z elficką panią gospodarz. Trzeba zachować klimat! – zawołał, a następnie zaczął niezbyt głośno śpiewać popularną kael-kiriańską przyśpiewkę o dobrej zabawie.

– A niech go – westchnął Warderlończyk, kolejnym machnięciem ręki podgrzewając temperaturę w kominku.

– Nadal się nie przyzwyczaiłeś?

– Nie. I chyba nigdy mi się nie uda.

Kilka chwil wszyscy słuchali. Jak zawsze jednak stan ten nie trwał zbyt długo. Po chwili powrócono do rozmów. Virian zapytał Melenvila o pogląd na obecną sytuację na świecie. Prędko pogrążyli się w energicznej dyskusji, jak na przedstawicieli różnych stron przystało. Dowelin próbował przez moment za nimi nadążyć, lecz ostatecznie dał za wygraną. Zajął wówczas miejsce obok grającego i zaczął za pomocą przywoływanych płomyków przedstawiać sytuację mającą miejsce w piosence. Zdobył tym samym chwilową uwagę kobiet, które z oczarowaniem obserwowały migoczący ogień.

– Powiedz mi Ealio – zaczęła w końcu Anarchijka, wciąż obserwując przedstawienie. – Bo o ile brat tutaj studiował i pewnie wie, ja wciąż strasznie niedoinformowana. Ten brak zaufania strażnika, który zatrzymał nas w porcie, niechęć Melenvila, oraz te wszystkie napływające do nas w Cesarstwie doniesienia o ściganych astriadach... skąd w ogóle obecne podejście elfów do ludzi? Zrobiliśmy wam coś w przeszłości złego? Bo chyba nie bez powodu prawda?

– Oj... – Kael-Kirianka zastanowiła się, chwile gładząc się po szyi – Chyba pytasz niewłaściwą osobę. Ja ogólnie nie popieram systemu. Prawdopodobnie nie powinnam się wypowiadać, byłabym uprzedzona. Mój brat natomiast...

– Jest zwolennikiem?

– Większym aniżeli ja. Aczkolwiek o ile pamiętał, dołączał do protestów przeciwko paleniu astriadów na stosach. Fanatykiem więc też bym go nie nazwała. Z drugiej strony nigdy nie podobało mu się, że ludzie tak swobodnie odwiedzają naszą wyspę. Melenvil! – Obie kobiety podeszły do wciąż rozmawiających braci. – Wspomóż mnie, bo jedna osoba tutaj jest strasznie żądna wiedzy.

– Jak zawsze zresztą... – podsumował Virian, przerywając polityczną dyskusję.

– Interesują ją... interakcje między ludźmi i elfami. Oraz czemu tak, a nie inaczej.

– Ach... nie musisz mówić nic więcej. Zawsze chodzi o to samo. Hm... nie wiem, czy temat nadaje się na takie luźne spotkanie towarzyskie.

– Ona nie da za wygraną. Możesz mi wierzyć – stwierdził Anarchijczyk, wzdychając przeciągle.

– Niech będzie. Postaram się stanąć na wysokości zadania. Ale sprawa jest skomplikowana.

– Pozwolisz na drobną krytykę?

– „Bez krytyki magia nie posunęłaby się naprzód ani odrobinę” – zacytował Melenvil, rozsiadając się wygodniej. – Chcesz więc wiedzieć, dlaczego elfy trzymają się z dala o ludzi? Dlaczego zabronione są związki międzyrasowe i ogólnie... bliższe kontakty?

– Między innymi.

– Cóż... w zasadzie to głównie kwestia przeznaczenia.

– Przeznaczenia? – zdziwiła się Narilla, marszcząc swe drobne brwi.

– Tak. Ale nie mówię o takim personalnym przeznaczeniu. Przeznaczeniu każdego z nas. Raczej ogólnie o tym, dlaczego dana rasa powstała i jaki jest jej cel. Z pewnością czytaliście Wielką Księgę Ringa. Wiecie więc, że Voimsis według boskiego planu został stworzony dla ludzi. A ludzie dla Voimsisu. Wszystkie wcześniejsze wydarzenia były jedynie przygotowaniem świata dla was. Waszym celem natomiast? Życie, mówiąc ogólnie. Zgodnie z wolą Bezmiennego szczęśliwa egzystencja. Jakkolwiek ją sami określicie. Nie ustalił jej precyzyjnie, więc w tej kwestii posiadacie wolną wolę. Z elfami jednak... zupełnie inna historia. Pewnie pamiętacie, że krótko po powołaniu waszej rasy do życia świat się nieco... skomplikował.

– Delikatnie powiedziane.

– Bogowie ujrzeni, co nadchodzi i wystraszyli się, iż wyginiecie. Pochłonie was ciemność. Nie dostosowali was bowiem do walki z zagrożeniem, które pojawiło się na horyzoncie. Ostatecznie, mieliście przecież po prostu wieść szczęśliwe życie. Rozwiązaniem, które wymyślili, byliśmy my. Utworzono nas jako wojowników w zbliżającej się wojnie. Obrońców krain człowieka. Powstaliśmy jedynie po to, aby was chronić. Stąd główne różnice między nami. Świat jednak z założenia należy do ludzi. Elfy są jedynie drobnym... hm... usprawnieniem systemu?

– Ależ się podsumował...

– Ale to prawda. Zauważ, że dziewięćdziesiąt procent Voimsisu zamieszkują ludzie. Przewyższają liczbowo kilkakrotnie wszystkie inne rasy razem wzięte! A Kael-Kiranie? Jedna mała wyspa. I nigdy nie próbowaliśmy zdobyć nic innego poza nią. Zero konfliktów z wami, przeanalizuj historię. Znamy swoje miejsce w tym świecie. Nasza ziemia znajduje się tu, a cała reszta z założenia należy do was. I to szanujemy.

– A Lenarioleńczy? – zapytał Virian, unosząc brwi.

– Elfy, które zapomniały, co to znaczy być elfami? Temat na osobną dyskusję. Odrzuciły własne przeznaczenie. Dlatego zresztą nasz król popierał Cesarstwo podczas Elfiego Wyzwania. Opuściły Kael-Kirię i zajęły teren, który powinien należeć do ludzi. I o ile dobrze wiem, obecnie należy. Został przecież wcielony do Cesarstwa Anarchijskiego prawda?

– Owszem.

– Cóż, moje wychowanie nie pozwala mi uznawać Lenarioleńczyków za prawdziwe elfy, jednak szczerze mówiąc, cieszę się, że nie porzuciły całego dziedzictwa. Nawet jak walczyły z ludźmi, to jedynie w samoobronie. Nie próbowały zdobywać nic więcej. Nie mogę tego powiedzieć o Nivi-Ateńczykach co prawda... Ale chyba zboczyliśmy z tematu i zabrnęliśmy w zupełnie inną dyskusję. Hm... – Melenvil

dopił tyk napoju z zastanowieniem. – Zauważcie, że nawet główne różnice między naszymi rasami potwierdzają ich rolę w świecie. Jakiś temu usłyszałem, śledząc politykę, że jakiś ludzki władca ogłosił swój naród lepszym od reszty. I nijak nie potrafiłem tego zrozumieć! No bo niby w jaki sposób lepszy? Lecz wtedy zagadał do mnie pracujący ze mną człowiek, również uzdrowiciel. Zauważył, że przecież elfy także uznają się za lepsze. Bogowie, jakże to porównanie mną wstrząsnęło! Przecież to zupełnie inne sytuacje. Po pierwsze my RZECZYWIŚCIE jesteśmy lepsi.

– Zdaję sobie sprawę podejścia Kael-Kirian, ale to zabrzmiało źle. – Narilla wydawała się zde gustowana. – I co najmniej niekulturalnie.

– Ale pomyślcie. Kiedy ktoś pyta, dlaczego jesteśmy lepsi, nie twierdzimy, iż z urodzenia, wyglądu czy wspanialszej historii. Przeciwnie, podajemy fakty. Elfy posiadają o wiele większe moce magiczne od ludzi. Czarodzieje wielokrotnie to sprawdzali. Ci cali... technomagowie? Również w każdym razie. Następnie, żyjemy wiecznie. O ile nie polegniemy w walce oczywiście. Wy zaś ile? Sto lat? Najwyżej. Zresztą jako mag bitewny Virianie, wiesz dobrze, jak kończą się pojedynki międzyrasowe. Wygrywamy. Prawie zawsze. Walki niemagiczne tak samo. Kael-Kiriańska armia mimo małej liczebności należy do najgroźniejszych na świecie. Ale kontynuując odnośnie „lepszych” ludzi. Zazwyczaj ci, którzy się za takowych uznają, twierdzą również, iż powinni posiadać władzę nad resztą. Elfy zaś wcale tak nie myślą. Wiemy, iż większa moc wcale nie uprawnia nas do rozkazywania innym. Bo znamy swoje miejsce! Ową potęgę dano nam, abyśmy byli w stanie was bronić! Tylko i wyłącznie. Z waszego powodu powstaliśmy i z waszego powodu jesteśmy lepsi. Bo gdybyśmy nie byli... to po co w ogóle nas tworzyć? Niech się ludzie sami bronią.

Melenvil zamilkł na chwile jakby zmęczony wywodem.

– Fakt waszej obecności tutaj zresztą dowodzi jednego – zaczął ponownie, kontynuując temat. – Nic nie mamy przeciwko ludziom. Spytajcie moich braci zresztą. Nikt nie powie złego słowa o waszej rasie. A nawet jeśli, jedynie coś personalnego. Bo niby dlaczego mielibyśmy? Macie swoje miejsce na Voimsisie. I my też. Wy jesteście władcami świata, my obrońcami. Koniec.

– Więc skąd niechęć do związków międzyrasowych? – spytała Narilla wciąż nieusatisfakcjonowana.

– Jak wspomniałem, kwestia przeznaczenia. Ludzie w teorii mają żyć szczęśliwie, elfy, bronić świata przed mrokiem. Zatem... rozważmy takiego astriada, półelfa. Wygląd mniej więcej w połowie, moce również. A żyją... w sumie nie wiem. Chyba żaden nie żył długo, a przynajmniej nie oficjalnie. Może się jacyś ukrywają. No ale przewiduje, że z kilkaset lat. I co z takim zrobisz? Jeżeli przyznamy mu żywot człowieka wtedy... cóż. Nieco zbyt duża potęga. W dodatku, tak jak wy, może egzystować z mrokiem w sercu. A owo połączenie wielokrotnie doprowadziło do wielkiego zła. Zatem... ryzyko. Straszne. Może nie w przypadku jednego astriada. Ale jakby się tak rozmnożyli na cały Voimsis? W każdym stuleciu mielibyśmy kolejnego Darnendira Warestirisa...

– Słyszałem! – zawołał Dowelin, grożąc im palcem. Reszta się uśmiechnęła.

– Za panowania pierwszego Mrocznego Cesarza zaś świat wyglądał... gorzej. Ogólnie potęga dla ludzi jest niebezpieczna. Wielokrotnie tego dowiedziono. Istnieją oczywiście wyjątki, ale... to jedynie pojedyncze przypadki. Pójdźmy jednakże w drugą stronę. Przyznajmy atriadowi los elfa. I tutaj pojawiają się inne problemy. O ile moc wydaje się wystarczająca, w końcu nawet w naszej rasie nie wszyscy posiadają magię. Co jednak z mrokiem w sercu? Wiecie, że elfy muszą trzymać się z dala od ciemności. O ile oczywiście z nią nie walczą. Mówię o obcowaniu. Przecistawiając się złu na świecie, atriadzi zostaliby w końcu przez nie pochłonięci. Bo analogicznie jak u ludzi nie posiadają tej bariery, która nie pozwala im sprzymierzyć się z mrokiem. I jak by się to skończyło? „Elfim” państwem po drugiej stronie konfliktu. Zatem zaprzeczeniem całego powodu powołania elfów do życia.

Ponownie przerwał, jakby próbując złapać oddech. Widać, że mówienie o podobnych sprawach sprawiało mu sporo trudności.

– Widzicie zatem finał. Niezależnie od tego, jaki los damy atriadom, źle się to skończy. Nie powinni więc w ogóle zaistnieć.

– I dlatego palicie dzieci na stosach? – spytał Virian, unosząc wysoko brwi z zainteresowaniem.

– Aj, skrajność. Też nie popieram. Osobiście uważam, że lepiej zapobiegać niż karać. Lecz jak u licha powstrzymać emocje młodych? Ustalenie odpowiednio wysokiej kary wydawało się jedyną opcją.

– No ale palenie na stosie? – Narilla kręciła głową wzburzona. – W dodatku dzieci?

– Ale żeście się uczepili... Niech będzie. Przyznaje, iż niektórzy z nas mają satysfakcję z takowej kary. Niestety.

– Na Bezimiennego, czemu?

– Kolejne pytanie wymagające dłuższej odpowiedzi. Zmęczyłem się. Wasza kolej. Chciałeś krytykować Virianie. Czekam.

– Nie podoba mi się cała ta twoja generalizacja – stwierdził Anarchijczyk, składając razem ręce. – Elfy do tego, ludzie do tego... A dajmy temu spokój. Patrząc na historię, Voimsis w kwestii boskiego planu niemal całkowicie się nie udał. Czemu nadal mielibyśmy realizować ich pierwotne pomysły? Nie lepiej po prostu... żyć? Najlepiej jak potrafimy?

– Nie przekonasz Kael-Kirian takowym podejściem – odparł Melenvil, nalewając sobie więcej napitku. – Przeświadczenie o powinności wobec ludzi leży zbyt głęboko w ich naturze. Zresztą, nawet jeżeli by ci się udało... mogłoby to spowodować, że ruszylibyśmy na wojnę przeciwko wam. Aby zdobyć więcej terenu do życia. W końcu mamy jedynie ułamek. A uwierz mi... bałbyś się takowego konfliktu.

– Aj dramatyzujesz. Może historia potoczyłaby się inaczej.

– Nie próbuj ignorować wad swego pomysłu, uznając jedynie pozytyw. Rzeczywiście taka wolność wydaje się... pociągająca. Lecz z drugiej strony... ryzyko. Ogromne.

– W takim razie inaczej. Wspominałeś, iż astriadzi nie nadają się ani do przeznaczenia ludzi, ani elfów. Może zatem powinni znaleźć własne? Zupełnie inne?

– Jakie? Czekam na propozycje.

– A nie wiem. Nie jestem kapłanem. Ani filozofem. Ale coś na pewno by się znalazło.

– A jednak nic nikt jeszcze nie wymyślił! A przynajmniej nic sensownego, co nie stanowiłoby zagrożenia dla świata.

– Zastanowię się nad tym. Potrzebuje jednakże więcej czasu...– Virian z głębszym zamyśleniem utkwiał wzrok na ścianie. Melenvila wyraźnie bawiło jego skupienie. Nagle jednak Anarchijczyk zmarszczył brwi i skoncentrował spojrzenie w jednym szczególnym obiekcie. Rozszerzył oczy szerzej i spytał głośno – Ealio? – Ta nie odpowiedziała. Powtórzył więc – Ealio!

– Tak? – Kael-Kirianka pochłonięta rozmową z Dowelinem dopiero po chwili usłyszała. Kiwnęła rozmówcy, a następnie podeszła bliżej do wołającego. – Co się stało?

– Czy to jest róg cieniobestii? – Virian wskazał na pulsujący mrokiem podłużny przedmiot. Znajdował się on pod niewielką szklaną kopułą.

– Ach... owszem. Piękny prawda?

– Siostro! – Melenvil aż wstał i podeszedł do obserwujących. – Jak możesz tak mówić? Zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

– Nie mogę ci pozwolić na przechowywanie go tutaj moja droga. – Virian położył elfce rękę na ramieniu.

– A co ty masz w ogóle do gadania? Sproszkowany róg cieniobestii jest bardzo rzadkim i cennym składnikiem alchemicznym. Potrzebuje go.

– Zatem „sproszkuje” go za ciebie – oznajmił Anarchijczyk, a następnie zbliżył się do wystawy.

– Chyba sobie żartujesz. Nie wiesz nawet jak.

– Poinstruujesz mnie – odparł, wyciągając przedmiot spod klosza. Mrok pulsował ze środka, jakby wciąż przypominając o istocie, do której należał. Wyglądał niepokojąco, choć ciekawie – Otwórz pracownię. Zaraz się tym zajmujemy.

– Virian... jesteś nadopiekuńczy. Odłóż go na miejsce. Nawet Melenvil nie wyczuł w nim zagrożenia.

– Melenvil, czy mogę dać jej róg do rąk?

– Absolutnie nie!

– Widzisz kochana. Nic z tego. Idziemy.

Kael-Kirianka westchnęła zrezygnowana, ale ostatecznie poddała się bez kolejnego sprzeciwu. Wyjęła klucz i otworzyła pracownię. Po chwili zamknęli się tam oboje, prawdopodobnie, aby nie zabrudzić wcześniej przygotowanych do spotkania pomieszczeń.

Narilla podeszła do popijającego akurat wino Sefnira i poprosiła, aby zagrał coś skoczniejszego. Moment później ku zdumieniu pozostałej trójki kręciła się na środku w radosnym tańcu. Ogień w kominku dodatkowo jeszcze upiększał atmosferę,

tworząc z jej ruchów kanonadę cieni. Dowelin przez chwilę spoglądał na kobietę zafascynowany, niemal podpalając przypadkiem płonącą w dłoni kulą ognia jeden z drewnianych mebli. Ostatecznie jednak przemógł się i dołączył do Anarchijki. Melenvil przyglądał się tańczącym, ale po chwili odwrócił wzrok i wyrzwał przez okno.

Choć zapadła już noc, nie oznaczało to braku widoków. Wiele roślin na Kael-Kirii świeciło w ciemnościach, jakby informując wszystkich dookoła, jak wielka moc tkwi w tej krainie. Przy odpowiedniej współpracy ze strony natury oraz księżyca na elfiej wyspie dałoby się poruszać niezależnie od cyklu dnia i nocy. Światła bowiem wystarczało.

Nagle wśród płynącej muzyki dało się słyszeć tupot małych stópek i na dole schodów pojawiła się Nelivia, uczennica Ealii. Rozejrzała się z drobnym przestraczeniem i nie ujrawszy swojej nauczycielki, zapytała cichutko:

– Przepraszam... gdzie jest pani Ealia? Skończyłam porządkować książki i chciałam się spytać, czy nie potrzebowałaby ode mnie czegoś jeszcze...

Jej głos jednak utonął pośród melodii. Stała tak chwile bezradnie nie bardzo wiedząc, co robić, aż ostatecznie jakby mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy, odwróciła się i ruszyła z powrotem na górę. Wtedy jednak zlitował się nad nią Melenvil.

– Dziecko! – Nelivia odwróciła się strachliwie. – Nie bój się. Podejdź do mnie. Pozwól mi się obejrzeć, jestem uzdrowicielem.

Dziewczynka zrobiła, jak kazał.

– Zobaczmy... – dotknął ją delikatnie w policzek, jednocześnie przyglądając się uważnie. – Cera zdrowa... Pokaż ząbki... bieluśkie. Świetnie. Siostra bardzo dobrze cię karmi. Włosy mocne. Zresztą u dzieci to norma. Nic cię raczej nie boli prawda? Zresztą sam sprawdzę – Położył jej dłoń na czole i zamknął oczy na kilka sekund – Wszystko w porządku. Nie obawiaj się. Okaz zdrowia z ciebie. Jeszcze oczy. Spójrz na mnie...

– Tylko się nie zakochaj elfie! – zawołał Sefnir, przekrzykując muzykę. – Takie dzieci zdobywają serca zarówno kobiet, jak i mężczyzn. I trudno się z tego wyrwać.

– Bardzo zabawne... – rzekł Melenvil z pełną powagą, wpatrując się w źrenice dziewczynki. Wyglądało to, jakby analizował jakąś tajemnicę. Po chwili jednak zmarszczył brwi z wyraźnym zastanowieniem. Puścił też Nelivie bez słowa.

Dziewczynka stała samotnie przez chwile zdezorientowana, aż nagle otworzyły się drzwi pracowni, ukazując Viriana i Ealię. Anarchijczyk z zadowoleniem wycierał dłoń szmatką, próbując pozbyć się pokrywającego je pyłu, Kael-Kirianka zaś, wyraźnie zaczerwieniona kręciła tylko głową, załamując się nad problematycznością nadopiekuńczych znajomych.

– Nelivia – Ealia spostrzegła nowo przybyłą z zaskoczeniem. – Skąd ty tutaj?

– Skończyłam porządkować książki proszę pani i chciałam się spytać, czy mogłabym jeszcze jakoś pomóc...

– Nie. Późno już. Idź spać dziecko.

– Tak proszę pani.

Dziewczynka zniknęła na piętrze. Wówczas Virian usiadł ponownie obok Melenvila.

– Przemyślałem sprawę. I mam kilka pomysłów – rzekł, biorąc do ręki bliżej nieokreślony przysmak.

– Cieszę się. Aczkolwiek jestem zmuszony was na chwilę przeprosić. Muszę się przewietrzyć – odparł uzdrowiciel, wstając powoli z miejsca.

– Nie ma problemu.

Rozmówca po chwili zniknął na zewnątrz. Anarchijczyk przez moment obserwował tańczących aż nagle muzyka zamilkła.

– Virian, przyjacielu! – zwrócił się do niego Sefnir, odkładając instrument na miejsce. Prawdopodobnie zmęczył się nieco grą i potrzebował przerwy. – Co powiesz na czysto teoretyczną dyskusję?

– Ach uwielbiam te twoje luźne rozważania. Aczkolwiek zawsze się zastanawiam, skąd u licha przychodzą ci do głowy te wszystkie tematy?

– Sam nie wiem – odparł tamten, uśmiechając się niewinnie. – Po prostu... pojawiają się.

– Cóż więc wymyślił tym razem?

– Gdybyś tak miał... zabić cesarza. Jak byś się do tego zabrał?

– W sensie Eneriasa Kaznera? – Virian uniósł w górę brwi z zaciekawieniem.

– Tak.

– Interesujące. I mówisz, iż pytasz czysto teoretycznie?

– Tak.

– Całkowicie bez związku?

– Oczywiście.

– I nie zamierzasz zupełnym przypadkiem zburzyć obecnego porządku świata?

– Jakbym śmiał!

Ealia nagle wybuchła tłumionym wcześniej śmiechem, zaskakując nieco rozmówców. Ci spojrzeli na nią zdziwieni, lecz ostatecznie wrócili do dyskusji.

– No więc... – zaczął Virian, drapiąc się po głowie – Trudne. Po pierwsze nie próbowałbym zrobić tego otwarcie. W sensie... nie w bitwie przykładowo. Ogólnie atakowanie go, gdy jest gotowy do walki, źle się skończy. Życzę powodzenia w próbie pokonania Srebrzystego Wojownika w boju.

– Wiem. Tego się domyśliłem. Dlatego szukam alternatywy.

– „Szukasz” mówisz... W każdym razie musiałbyś spróbować, gdy nie spodziewa się ataku. W końcu przez stanowczą większość czasu nie nosi ani zbroi, ani broni. Jest głównie władcą, nie żołnierzem. Niestety...

– Tak?

– Pilnują go. Raczej dobrze zresztą.

– Ale chyba nie bez przerwy.

– A widzisz – Anarchijczyk aż pstryknął, zwracając na siebie uwagę. – Jeśli pytasz o typowych strażników stojących obok niego z bronią i patrzących na wszystkich dookoła groźnie, rzeczywiście masz rację. Prócz nich jednak strzegą go

łowczyni. I z nimi miałbyś większą przeprawę. Bo ich nawet nie widać. Gdybyś jednak spróbował zrobić krzywdę cesarzowi, w mgnieniu oka w twoim ciele wyładowałyby ze trzy ostre strzały. A mają wprawę w obserwowaniu swego władcy.

– Łowczyni mówisz... Hm... I strzegą go niby bez przerwy?

– Ich mistrzyni z nim sypia. – Virian wzruszył ramionami. – Więc w sumie tak.

– Hmm... trzeba by spróbować jeszcze inaczej...

– Ja bym go uwiodła – rzekła Ealia, wtrącając się do dyskusji.

– A widzisz, tutaj docierasz do kolejnej przeciwności – odparł natychmiast Anarchijczyk, uśmiechając się z rozbawieniem. – Choć oczywiście nie kwestionuję twoich umiejętności kochana. Z pewnością dałabyś radę.

– Jakiej znowu przeciwności? – brnął dalej Sefnir, nie przejmując się momentem.

– Na imię jej Anvena.

– Anvena? Chyba elfickie imię prawda?

– Anwen jest elfickie – wyjaśniła Ealia szybko. – Anvena ma tracką etymologię. Podobne są, przyznaję.

– Anvena – zaznaczył Virian, spoglądając z zamyśleniem w okno – Cesarz unieśmiertelnił ją i siebie, gdy mieli około dwudziestu lat. W tym wieku ludzie zakochują się jeszcze bardzo emocjonalnie. A zaklęcie tylko zatrzymało ich w tym stanie. Nie radziłbym pchać się między tę dwójkę. Cesarzowa jest równie niebezpieczna co jej mąż.

– Zaraz... chcesz mi powiedzieć, wspominając wcześniej o łowczyniach... że Enerias Kazner powierzył swoje bezpieczeństwo... żonie?

– Tak.

– Ja bym nie ufał – stwierdził Sefnir, kręcąc głową stanowczo. – Nijak. Nigdy nie wiadomo co takiej do głowy przyjdzie.

Ealia wybuchła śmiechem usłyszawszy ostatnie zdania. I choć uspokoiła się po chwili, w jej oczach nadal dało się zauważyć radosne iskierki.

– Na Boga Wojny... Chyba pozbawiłeś mnie wszystkich możliwości przyjaciela.

– Ów fakt mnie tylko cieszy – Virian sięgnął po kolejną przekąskę. – Bo po co u licha chciałbyś zabijać Cesarza?

– Ja? Po nic. Ale z pewnością istnieją na świecie setki ludzi, którzy mieliby powody.

– I tu się zdziwisz. Nie bardzo.

– Jak to nie? Ktoś na pewno pragnie jego śmierci.

– Kiedyś? Niewątpliwie. Teraz? Inna sprawa.

– Jakim cudem?

– Rozważmy – zaproponował Anarchijczyk spokojnie. – Wielki Cesarz zasadniczo pilnuje obecnego porządku świata.

– Nie da się zaprzeczyć.

– Myślisz zatem, że na jego śmierci ktokolwiek by skorzystał? Przecież wywołałaby ona totalny bałagan na arenie międzynarodowej. A chaos rzadko jest

korzystny dla kogokolwiek.

– A narody mroku?

– Po kolei. Kalwador Północny. Póki trwa Enerias Kazner, mogą na spokojnie prowadzić tę bezsensowną wojnę z braćmi z południa. W dodatku z zapewnieniem, iż nikt się do niej nie wtrąci. Chanat Tokirski? Wiesz, ile oni zarabiają na handlu z Cesarstwem? Człowieku, istna żyła złota! Jak tylko obecny porządek by runął, straciliby ogromne źródło dochodów. A znasz Tokirian. Lubią, gdy bilans pieniędzy się zgadza. Warderlon? Niech będzie, konkurent Anarchijczyków. Ale nawet on nie zaryzykuje swoich wpływów dla wątpliwej okazji zajęcia lepszego miejsca w chaosie, jaki powstałby po śmierci Cesarza. Zwłaszcza iż przez bite osiemset lat Enerias Kazner nie wyraził chęci wojny z nim. Wręcz przeciwnie, okazał się zwolennikiem dania szansy narodom mroku. Kogo jeszcze proponujesz? Kraje Wojny? Może od razu Kael-Kirian, skoro do nich należą?

– Kael-Kirian niespecjalne. Ale z elfów to może Lenarioleńczyków? Cesarstwo je podbiło. Mogliby wiele zyskać na śmierci Kaznera.

– Nieprawda. Jakbyś śledził sytuację w Lenariolenie, wiedziałbyś, w jakim jesteś błędzie. Srebrzysty Wojownik ofiarował im autonomię oraz zezwolił na swobodne rozwijanie kultury. Kolejny władca mógłby okazać się znacznie gorszy. Co, jeżeli stwierdziłby, iż muszą się w pełni zasymilować z Anarchijczykami? Albo co gorsza, wybiłby ich?

– Po Eneriasie rządziłaby jego córka Siusanna. Z tego, co słyszałem, nie przedstawia się ona tak źle.

Virian parsknął śmiechem, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Chyba jesteś nie na bieżąco – stwierdziła Ealia, nalewając do trzech kieliszków wina.

– W sensie?

– Co wiesz o Siusannie Kazner, córce Eneriasa Kaznera? – spytał Virian, unosząc brwi z zainteresowaniem.

– To, co wszyscy. Najstynniejsza poszukiwaczka przygód na całym Voimsisie. No i następczyni tronu.

– Chyba nie śledzisz wydarzeń. No ale...

– Jak już przy niej jesteśmy... – Ealia wtrąciła się ponownie. – Trochę mi żal dziewczyny.

– Bo?

– Wyobraź sobie. W teorii jej mąż powinien być władcą po Eneriasie. Zatem? Gdy tylko dojrzała do piętnastu lat, natychmiast pojawiło się dookoła niej mnóstwo zalotników i adoratorów. I niemal wszyscy w sumie niespecjalnie interesowali się samą Siusanną. Patrzyli głównie na perspektywę władzy.

– Jej rodzicom się ów fakt nie spodobał – oznajmił Virian, gładząc się po brodzie. – Zasadniczo niespecjalnie się dziwie. I popieram dziewczynę. W wieku dwudziestu lat stwierdziła, że ma dość. Nie interesowało ją takie życie. Poprosiła matkę, aby ta nauczyła ją walczyć, a następnie ruszyła samotnie zdobywać Voimsis.

– I została poszukiwaczką przygód. Najstęnniejszą. Wiem. Ale czemu niby miałyby przestać być spadkobierczynią cesarstwa? Enerias Kazner nie ma innego dziedzica. Zresztą chyba popierał jej podróże po świecie.

– Ale widzisz, w tym miejscu przestałeś śledzić jej losy. Aczkolwiek wykazałeś się wielkimi zdolnościami, ignorując największy skandal ostatnich stu lat.

– W sensie...?

– No więc wszystko w jej życiu wyglądało dobrze aż... zakochała się. W elfie.

– W sumie historia pasuje do dzisiejszej dyskusji – rzekła Ealia, z zastanowieniem wpatrując się w płomienie.

– Owszem. Co gorsza, ów elf odwzajemnił uczucia.

– Aj... to chyba... niedobrze.

– Zależy od punktu widzenia.

– A... co na to Cesarz?

– A co niby mógł zrobić? – Virian wzruszył ramionami bezradnie. – Przez sojusz z Kael-Kirią ma związane ręce. Skrytykował córkę, wydziedziczył ją, a następnie obiecał, iż dopilnuje, aby została złapana. Kael-Kirianie byli usatysfakcjonowani.

– I?

– Od roku jej szukają. Zupełnym przypadkiem, bez skutku.

– Kolejnym zupełnym przypadkiem poszukiwania prowadzą łowczyńie. A zatem matka Siusanny.

– Cwani. A co z Kael-Kirianami?

– Wkurzają się. Ale patrząc na warunki sojuszu, wszystko przebiega zgodnie z ustaleniami.

Sefnir kiwnął głową z zastanowieniem.

– Skoro ją wydziedziczył... kto przejmie Cesarstwo?

– I to mój drogi przyjacielu, jest właśnie dobre pytanie... Aczkolwiek Enerias Kazner rządzi już osiemset lat i chyba nie śpieszno mu do grobu.

Nagle drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem i do środka wszedł z powrotem Melenvil.

– I jak na dworze bracie? – spytała go Ealia.

– Chłodno – odparł tamten lakonicznie.

Virian tymczasem wstał i z zaciekawieniem podszedł do stołu. W czasie ich dyskusji Narilla z Dowelinem rozstawili na nim dziwną metalową planszę. Obecnie siedzieli naprzeciwko siebie, w skupieniu prowadząc starcie.

– Na Boga Mądrości, cóż to takiego? – spytał Anarchijczyk, spoglądając na zajętą dwójkę.

– Bitwa Żywiołów – odparła Kael-Kirianka, również się zbliżając. – Chyba kojarzysz tę grę. W wersji dla magów.

– Dla magów?

– Nie wiedziałeś, że u nas robią i takie odmiany? Jest na nie spory popyt.

– Czym się różni od normalnej?

– Przyjrzyj się.

Anarchijczyk zajął miejsce obok siostry i spojrzał na metalową planszę. Zamiast pionków jednak widniało na niej dziesięć niewielkich płomyków oraz siedem elektryzujących się pól.

Nagle Dowelin bez słowa machnął palcem, a niewielki strumień ognia przeskoczył trzy kwadraty i wylądował na migotającym na niebiesko terenie Narilli. Zabarwił go natychmiast czerwienią.

– To niesprawiedliwe! – zawołała nagle kobieta, uderzając w stół. – Dopiero co go wskrzesiłam. Jak mogłeś?

– Na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone moja droga.

Wciąż wzburzona przeciwniczka ruszyła ręką i spiralny piorun wyminął trzy pola i uderzył w środek terytorium Dowelina, zmiatając z powierzchni jeden z jego płomyków.

– Ach. Agresywny atak. – Mężczyzna podjął wyzwanie. – Niech będzie. – Skinął palcem. Świeący na pomarańczowo ogień zniknął, zastąpiony przez trzy zupełnie inne.

– A to niby jak zrobiłeś?

– Poświęciłem kapłana.

– Przecież ci go zabiłam!

– Gram ogniem. Miałem dwóch.

– Ah... – Narilla zacisnęła pięści z niezadowoleniem. – Dlaczego ogień zawsze ma lepiej?!

– To nie kwestia żywiołu panno Datren, a umiejętności.

– Wmawiaj sobie, wmawiaj...

– Uważaj Dowelinie – wtrącił się Virian, wstając od stołu. – Nie ręczę za nią, jeśli przegra.

– Stawie wówczas jej czoła – odparł Warderlończyk hardo.

– Odważny...

Ealia podeszła do Sefnira i poprosiła, aby zagrał kilka jej ulubionych piosenek, a następnie rozsiadła się wygodnie na kanapie. Mężczyzna przystał na propozycje. Anarchijczyk tymczasem ponownie zajął miejsce obok Kael-Kiriana, aby wrócić do przerwanej dyskusji.

– Przemyślałem sprawę – oznajmił, podając rozmówcy kieliszek, którego z jakiegoś powodu nikt wcześniej nie tknął.

– O czym mówisz?

– O astriadach. Jak wspominałem, nie jestem filozofem ani kapłanem, aby wytyczać im przeznaczenie. Chciałbym jednak udowodnić, iż takowe z pewnością istnieje.

– Chętnie dowiem się jak.

– Tak sobie rozmawiamy o elfach i ludziach... zaproponowaliśmy ich... połączeniu po kolei przeznaczenia rodziców, ale... przecież na Voimsisie żyją również inne rasy. I te jakoś odnalazły swoje miejsce w świecie.

– Cóż... trzeba by je rozważyć po kolei, jeśli chcesz odpowiedzi.

– Zaczynamy więc – rzekł Virian rażno. – Krasnoludy.

– Żyją tam, gdzie inne rasy nie potrafią. – Melenvil wzruszył ramionami – Głównie pod ziemią. I tylko dlatego nie naruszają boskiego porządku rzeczy. Astriadzi nie przeżyliby w takich warunkach. Albo co gorsza, bez słońca mrok wkradłby się do ich serc.

– Ale potraktujmy ich raczej jak analogię. Niech półelfy też znajdą sobie podobne miejsce, niekoniecznie w ciemności. Może jakaś daleka wyspa? Gdzieś gdzie nikomu by nie przeszkadzały. Gdzie ludzi by nie było.

– Co z tego, że by nie było, skoro cały Voimsis poza Kael-Kirią z założenia do nich należy? Nawet jeżeli jeszcze go nie zamieszkują. Podejście typu „skoro nikogo nie ma, od dziś należy do nas”, reprezentują Lenariolenci, o których już rozmawialiśmy.

– Więc inne miejsce.

– Jedynie takie, w których ludzie nie przeżyją, są w teorii wolne. Ale tam również i astriadzi nie przetrwają. Zresztą, nawet jeżeli im by się udało, nie rozwiąże to głównego problemu. Półelfy mają wielką moc, ale brak odporności na mrok. Krasnoludy takiej potęgi nie posiadają. Ich przykład jest więc bezużyteczny.

– Hmm... przejdźmy więc dalej. O. – Virian aż pstryknął. – Smokoni. Posiadają wielkie moce magiczne. Są bliżsi astriadom.

– Przecież to po prostu ludzie, którym wszczepiono smoczą krew.

– Analogicznie astriadzi to ludzie którym „wszczepiono” elfią krew.

– Ha. Punkt dla ciebie. Niech pomyślę... – Melenvil podrapał się po głowie w zastanowieniu – Przeznaczeniem smokonów jest obrona smoków. Otrzymali je od Bogini Natury. Przyjęła ich zresztą do grona narodów natury...

– Tak samo, jak Lenariolenczyków, przypominam.

– Aj temat zmieniasz. Czego mieliby bronić zatem astriadzi? Nie ludzi, bo już wspomniałem, że się do tego nie nadają. Smoków też nie. Zajęte. Cóż innego?

– Nie wiem. Może drzew?

– Bardzo zabawne.

– Znalazłoby się coś.

– Smokoni bronią smoków nie przed mrokiem, a właśnie przed ludźmi. Pilnują, aby w swoim swobodnym przeznaczeniu życia ludzkość nie posunęła się za daleko i nie zaczęła zniewalać innych ras. Istotna rola, przyznaj szczerze. Jakoś nie widzę jednak w niej miejsca dla astriadów. Natury zaś pilnują druidzi, magu bitewny.

– Bogowie... – Virian westchnął zmęczony. – Jeżeli wszystkie elfy są tak uparte, jak ty, nie dziw się, że nie znaleziono alternatywy dla masowych śmierci.

– Z tą masowością bym nie przesadzał – rzekł Melenvil rozbawiony. – W każdym razie, kontynuuj. Dyskusja zaczyna mnie bawić.

– Zatem... orkowie.

– Zły przykład. Nie są nawet boską rasą. W ogóle nie ma dla nich miejsca w planie bogów.

– A jednak odnaleźli środowisko do życia.

– Bo je wywalczyli w krwi i łzach. Ludzkość musiała się ugiąć.

– Może atriadzi powinni zrobić podobnie...

– Uważaj człowieku – Kael-Kirian pogroził mu palcem. – Takie stwierdzenie sprowadziłoby śmierć na twoją głowę w innych okolicznościach. Przyjmę, że nie słyszałem propozycji.

– No ale obecnie orkowie nikomu nie przeszkadzają. Żyją normalnie w tych swoich górach.

– Analogicznie jak z krasnoludami. Tylko dlatego, iż ludzie nie potrafiliby w nich przeżyć. I nie mają mocy. Naprawdę, są chyba jedyną rasą, która nie potrafi korzystać z magii. Dość zabawne. Nijak nie widzę porównania do atriadów, chyba że w kwestii ich braku w boskim planie.

– Hm... – Virian zastanowił się moment, bębniąc palcami o blat stołu. – A... Wyzwoleni?

Cień przemknął przez twarz Melenvila. On sam zaś zmrużył oczy.

– Nie powinni w ogóle zaistnieć. A przypominam, że są oni waszym błędem, nie naszym.

– A jednak nieumarli żyją, choć owo słowo zupełnie do nich nie pasuje. Mieszkają na pustej wcześniej wyspie, Manorii i niespecjalnie obchodzi ich reszta Voimsisu.

– Ale stanowią zagrożenie dla świata. – Rozmówca wydawał się stanowczy. – To istoty mroku, a zatem są tym, z czym od zarania dziejów mieliśmy walczyć. I najchętniej właśnie tak byśmy robili. Wiesz, co powstrzymuje Kael-Kirian od zebrania sił i uderzenia na Senelatiri, Ostoję Umarłych, choćby jeszcze i w tym roku?

– Cóż takiego?

– Chwalony przez ciebie Cesarz. Z jakiegoś powodu popiera tolerowanie mroku, uznając, że póki ten zachowuje się „grzecznie”, nie należy podejmować kroków. Bardzo... utopijne podejście. Mam przeczucie, iż kiedyś go zgubi.

– Czemu więc nie zignorujecie Eneriasa Kaznera i nie wypełnicie swego „obowiązku”?

– Bo Srebrzysty Wojownik reprezentuje ludzi. A obrona ludzi, gdy sami oni jej nie chcą, mogłaby spowodować konflikt między nami a wami. Ponadto dobrze wszyscy wiemy, że gdyby tylko wyzwoleni postanowili cokolwiek złego zrobić, Sojusz Kaistlancko-Anarchijski by ich zmiażdżył. I tyle.

– Interesujące... gdyby więc Wielki Cesarz stwierdził, iż atriadom należy się prawo do życia, posłuchalibyście go?

– Niby czemu? Co on ma w ogóle do tego? Zresztą musi przestrzegać zasad sojuszu.

– Ech...

– Skończyły ci się rasy Virianie – Melenvil dopił podane wcześniej wino. – A z nimi twój teoretyczny argument. Chyba koniec dyskusji.

– Jeszcze coś wymyślę – odparł Anarchijczyk, wstając z miejsca – Bywam bardzo kreatywny.

– Czekam zatem.

Mężczyzna oparł się o ścianę i z egzystencjalną miną spojrzał w radośnie huczący ogień w kominku. Stał tak dłuższy czas, aż ostatecznie spostrzegł go grający Sefnir.

– Aj widzę, że nasz Virian wpadł w zły humor – oznajmił, odkładając na miejsce instrument. – Trzeba go powstrzymać, zanim nas zarazi. Może się tym zajmij Ealio?

– Niby jak? – Kael-Kirianka wzruszyła ramionami. – Sam się w niego wpędził bezsensownymi dyskusjami.

– Nie zgadzam się. Już ja wiem, czego mu brakuje... I tu zapodaję pytanie, gdzie u licha podziała się Setilla!? W jego oczach ewidentnie widać tęsknotę.

Pani gospodarz parsknęła śmiechem, ale nie skomentowała stwierdzenia. Natomiast Anarchijczyk podjął temat:

– Owszem. Me serce krwawi na myśl, że zaproszenie do niej nie dotarło i siedzi gdzieś biedna w Kaistlanii, oglądając bezkresne morze trawy zza okna. Smutne...

– A słyszałeś, iż pojawił się niedawno w jej towarzystwie jakiś adorator? – Sefnir uśmiechnął się niewinnie.

– Co? Niemożliwe! Jak śmiał. Chyba będę musiał złożyć jej niedługo wizytę...

– Chyba trochę za późno, bo się zaręczyła.

– Że jak?!

– Uczcijmy minutą ciszy – oznajmił kłatownik, starając się przekrzyczeć ogólny śmiech – miłość, która nie zostanie spełniona. Biedny Virian.

– Jesteś bezlitosny przyjacielu – odparł, Anarchijczyk kręcąc głową ze śmiechem. Następnie podszedł do półki z trunkami i zdjął jeden. – Zatopię smutki w alkoholu.

– To akurat sok drzewa kryształowego! – krzyknęła nagle Ealia, zrywając się z miejsca i w mig podbiegając do mężczyzny. Jedną ręką wyrwała mu specyfik, drugą przygwoździła go do ściany. – Nic z tego mój drogi. Mówimy stanowcze „NIE” narkotekom.

– Aj, no i jak ja mam teraz zapić smutki?

– Znajdź inny sposób – nakazała Kael-Kirianka, dając mu buziaka w policzek. Ten się rozpogodził.

– Czuję się już nieco lepiej – oznajmił, ponownie budząc ogólną wesołość. – Na tyle, aby wznowić dyskusje.

– No nie... – Ealia westchnęła, na powrót siadając na miejscu. Skinęła tylko na Sefnira, by ten wznowił grę. Popłynęła spokojniejsza melodia.

Anarchijczyk usadowił się naprzeciwko Melenvila i popił już bardziej bezpieczny napój.

– Zatem? – spytał Kael-Kirian, unosząc wysoko brwi. – Dość szybko ci poszło wymyślenie argumentów.

– A gdzie tam. Mam raczej pytanie. Wspominałeś, że niektórzy twoi rodacy mają satysfakcję z palenia astriadów na stosie. Dlaczego?

– Aj... – Uzdrowiciel westchnął ze smutkiem. – I tutaj docieramy do rzeczy, z

którymi zdecydowanie się nie zgadzam. Ogólnie z karą. Moim zdaniem nie powinniśmy karać śmiercią a dożywotnią izolacją. Bo fakt, że się astriad narodził, nie jest przecież w żaden sposób jego winą. Niestety niewiele Kael-Kirian mnie popiera.

– Czemu? Przecież to dość... rzekłbym nieludzkie, ale słowo to nie do końca pasuje.

– Z powodu emocji. I gniewu.

– Słucham?

– Mogę ci zadać osobiste pytanie? Ile razy byłeś zakochany?

Virian zaskoczony nagłą zmianą tematu aż się zakrztusił. Odpartł jednak ostatecznie:

– Kilukrotnie. Dlaczego pytasz?

– Właśnie... kilukrotnie. U was ludzi tak to jest. Potraficie się zakochiwać i odkochiwać, ile tylko razy chcecie. Bogowie was tak ukształtowali. A elfy? Zakochują się raz i na całe życie. I w tym największy problem.

– Bo?

– Rozważmy sytuację. Człowiek i elfka lub odwrotnie, się w sobie zakochują. Kompletnie. Przez jakiś czas wszystko wygląda pięknie i w ogóle, mimo że miłość zakazana. Lecz teraz wyobraź sobie, iż ów człowiek... zmienia zdanie. Nagle poznaje kogoś innego albo po prostu mu przechodzi. U was to możliwe. I co wtedy ma zrobić ta elfka, zakochana na wieczność? Ona się nie odkocha. Nigdy. Gorzej, nigdy nie zapomni. Wiesz... wy macie zdolność regeneracji po rozstaniu. Nawet jeśli miłowana osoba was opuści, po jakimś czasie wasze emocje przechodzą. Zostaje smutek, lecz nie ma już palącego bólu. U nas natomiast to trwa wiecznie! Męka przez setki lat. I wiesz, jak się taka sytuacja najczęściej kończy? – Melenvil zrobił dłuższą przerwę dla efektu. – Samobójstwem. Kael-Kiria posiada największy odsetek samobójstw na całym Voimsisie. I teraz się postaw na miejscu takiego elfa, którego siostra odebrała sobie życie, bo jakiś człowiek ją uwiódł, a następnie zmienił zdanie. Nie czułbyś gniewu? Nie trawiłaby cię nienawiść? Tak samo, jak ja, kochasz swoją siostrę. Nie chciałbyś się zemścić na tych, którzy ci ją odebrali? Podobnie jak miłość, trudno pohamować nienawiść. I właśnie dlatego część Kael-Kirian z satysfakcją spogląda na palone na stosie osoby, które złamały owo prawo.

Virian milczał.

– I z tym się nie zgadzam – dodał na koniec Melenvil, spuszczać z tonu. – Potrafię zrozumieć ich gniew, ale złe emocje należy kontrolować, a nie pozwalać za ich pomocą wyrządzić jeszcze więcej cierpienia. Więzienie byłoby lepszym wyjściem. Niestety, mimo wielu protestów, w których brałem udział, rada królewska wydaje się nieprzekonana. Nie zraża to oczywiście protestujących, ale społeczeństwo nas nie lubi, uznając nas za miłośników astriadów.

– Co do przykładu... ludzie niekoniecznie zmieniają zdanie.

– Nie przeczę. Uśmiecham się mimowolnie, gdy podróżując po Voimsisie, widzę parę staruszków, którzy przeżyli razem pół wieku. Albo chociażby myśląc o waszym Cesarzu i jego żonie. Ale zdarza się wam je zmienić. Zresztą podałem tylko

jedną sytuację. Bywają inne. Na przykład, gdy zakochany elf patrzy jak miłość jego życia, zamiast wybrać go na wieczność, woli człowieka, na jakieś pięćdziesiąt lat.

– Cóż... wolna wola.

– Mimo to, boli niezmiernie. Zresztą nie musisz sam doznać podobnego zdarzenia, aby nabrać niechęci czy nienawiści. Spójrz na siebie. Czy Warderlon cokolwiek ci zrobił? Nie, ale zrobił w przeszłości twoim rodakom. Dlatego za nim nie przepadasz. Podobnie bywa z elfami. Sytuacje wychodzą na jaw i później tylko nastawiają kolejne osoby przeciw astriadom. Niewiele da się poradzić. I dlatego tak trudno przekonać królewską radę do zaprzestania organizowania okrutnych śmierci. Ech.

Zamilkli oboje. Argumenty zostały wypowiedziane, zdania wymienione. Niestety jak przy większości dyskusji przy przeciwnych poglądach, nie udało się dojść do porozumienia.

– Jesteście beznadziejni – odparła Ealia, zabierając ze stołu puste kieliszki. – Naprawdę nie mogliście wybrać na tę okazję lepszego tematu do dyskusji?

– Nie nasza wina. Narilla zaczęła.

– Jasne, jasne. – Pani gospodarz pokręciła głową z dezaprobatą. – Zrzucić wszystko na siostrę.

– Jeśli zaś mowa o Narilli – wtrącił się nagle Sefnir, podchodząc do nich bliżej. Wciąż jednak grał piękną melodię. – Lepiej na nią spojrzcie.

Wszyscy odwrócili się zgodnie, aby ujrzeć zaskakujący widok. Kobieta, niemal otoczona ramionami Dowelina zupełnie zatoneła w gorącym pocałunku.

– O... – skomentowała Ealia cicho, próbując ukryć rozbawienie. – Kto by pomyślał?

– Ale nie to jest najlepsze – odparł grajek, kończąc piosenkę. – Popatrz teraz na minę braterskiej dezaprobaty Viriana.

Kael-Kirianka zerknęła na Anarchijczyka, a następnie wybuchła nagłym niepohamowanym śmiechem, zwracając tym samym na siebie uwagę całego towarzystwa, włącznie z wcześniej skupioną wyłącznie na sobie parą.

– Nie przejmuj się – rzekł Melenvil, kładąc dłoń na ramieniu rozmówcy. – Mogło być gorzej. Mógł to być elf.

– Niby tak – odparł Virian, nieco otrząsając się już z zaskoczenia. – No ale... Warderlończyk? Naprawdę Nar? – zwrócił się do siostry.

– Wybacz – odparła tamta, uśmiechając się złośliwie. – Ale tak jak Ealia, nie przepadam za brązowowłosymi.

– Co?! – krzyknął Sefnir z dobrze odegranym oburzeniem. – Zapamiętam to sobie moje panie...

– A ty Dowelinie – Kontynuował niezrażony anarchijczyk – Jak tak możesz uwodzić młodą?

– Mówiłem, że stawię jej czoła – odparł Warderlończyk bez skrępów.

– Mhm... Stawiłeś.

Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi. Brzmiało stanowczo, jakby kołatki

używał ktoś zniecierpliwiony i nieznoszący sprzeciwu. Wszyscy zgodnie spojrzeli na Ealię, lecz ta wyglądała na równie zaskoczoną. Pokręciła tylko głową, zaprzeczając, jakoby kogokolwiek się spodziewała.

– Któż to może być? – spytała zdziwiona, podchodząc powoli do wejścia.

– Może zaproszenie Setilli jednak dotarło? – spytał jeszcze Sefnir, próbując oczyścić atmosferę.

Chwilę później drzwi stanęły otworem i do środka weszło trzech odzianych w zbroję strażników. Posiadali również typowe kael-kiriańskie ostrza oraz naszywki z symbolem ojczystej wyspy elfów.

– Bogowie z wami. Pani Jilioverial? – spytał pierwszy z nich, wyglądający na dowódcę.

– Tak...

– Proszę wybaczyć najście, lecz otrzymaliśmy anonimową informację i zgodnie z procedurami musieliśmy przyjść, sprawdzić. Mam nadzieję, że nie będą państwo robić problemów. Załatwimy sprawę i znikniemy równie szybko, jak się pojawiliśmy.

– Ja... Oczywiście – odparła Ealia, zdezorientowana spoglądając raz na straż, raz na przyjaciół. – A o co dokładnie chodzi?

– Doniesiono nam, iż przebywa tutaj astriad.

– Co?! – zawołała zaskoczona Kael-Kiriana. Reszta towarzystwa też spojrzała po sobie ze zdumieniem. – Ja wiem, że jak na elfkę posiadam wielu ludzkich znajomych, lecz nigdy nie wpadłoby mi do głowy łamanie prawa. Musiała zająć jakąś pomyłka.

– Możliwe – odparł strażnik uspokajająco. – Mimo to, procedury mówią jasno. Pozwolą państwo?

– Ależ proszę...

Przedstawiciel prawa wyjął z torby niewielką książeczkę, zapisaną niezbyt wyraźnym pismem i podszedł do pierwszej osoby.

– Nazwisko?

– Virian Datren – odparł mężczyzna wyraźnie niezadowolony z owego najścia.

– Anarchijczyk. Jeżeli dacie mi możliwość dostępu do mojej księgi rodowej, mogę wam udowodnić ludzkie korzenie dziesięć pokoleń wstecz. A gdyby mimo wszystko coś wam się ubzdurało, że ze mnie astriad... Jestem obywatelem Cesarstwa i zgodnie z warunkami sojuszu będziecie musieli odtransportować mnie na Nastilię, gdzie osądzi mnie Cesarz. A przynajmniej ktoś z jego podwładnych.

– Znamy zasady człowieku – rzekł strażnik beznamietnie, zapisując coś w notatniku. – Nie masz się czego obawiać. Stań po lewej. Następny...

– Sefnir Sentoku – powiedział kłatownik, składając razem ręce. – Czy mam jakiegoś elfa w rodzinie? Bogowie jedni wiedzą, sam się już zgubiłem w genealogii. Może i jakiś gdzieś tam się przyplątał, nie mając dokąd iść. W ogóle to jak u licha zamierzacie sprawdzać?

– Mamy swoje metody. Uczono nas wiele o różnicach w cechach poszczególnych nacji i ras.

– Ach tak? Więc na kogo ja wam wyglądam?

– Połączenie Shandariana, Algabiorczyka i Kaistlanina. Może z lekką domieszką krwi kalwadorskiej lub wardelrońskiej. Ale pewnie więcej niż dwa pokolenia wstecz. Sefnirowi szczęka opadła.

– Dobrzy są... – przyznał z uznaniem, również zajmując miejsce po lewej.

– Ach... Pani Datren tak? – strażnik zwrócił się do Narilli.

– Panna.

– Oczywiście. Proszę stanąć od razu obok brata. Z ludzi został jeszcze...

– Dowelin Warentis – oznajmił jasnowidz, lekko chyląc głowę. –

Warderłończyk. O ile żadne zasady nie nakazują odwiezienia mnie na Akadarię w przypadku podejrzenia o mieszaną krew, właśnie tak zalecałbym zrobić, gdybyście mnie posądzili o bycie astriadem. Mroczne Cesarstwo dba o swoich obywateli i będzie wyraźnie wzburzone, jeżeli spalicie na stosie jednego z nich.

– Odważne słowa człowieku – rzekł strażnik, zaznaczając coś w książeczce. – Na szczęście nic ci nie grozi. Czas na elfy. Panna Jilioverial?

Ealia zdążyła się wcześniej przygotować. Od razu podała mężczyźnie białą kartkę, w której dało się rozpoznać jakiś dokument.

– Ukończyłam Akademię Magii w Nailetisji – oznajmiła, wskazując na papier. – Tam sprawdzają pochodzenie nie tylko fizycznie, ale i magicznie. Więc chyba nie musicie się silić.

– Oczywiście. Jeszcze tylko...

– Brat też ukończył, tę samą szkołę – dodała, wskazując na Melenvila. – Świadeństwo ma co prawda chyba u siebie. Takich rzeczy nie przywozi się raczej na spotkanie ze znajomymi. Ale sam fakt bycia magiem powinien was przekonać.

– Zatem wszyscy – rzekł mężczyzna, zamykając notatnik z zadowoleniem. – A przynajmniej według danej mi listy. Dobrze, że pani zameldowała o przyjeździe znajomych z wyprzedzeniem. Bardzo ułatwia to pracę.

– Wspominałam, iż przestrzegam zasad.

– Proszę zatem o wybaczenie za najście.

– Nie ma problemu.

Gdy tylko jednak padło owo zdanie, rozległ się tupot małych stópek i na schodach pojawiła się zaspana postać Nelivii. Prawdopodobnie przybycie straży przerwało jej lekki dziecięcy sen, więc zeszała na dół, by zobaczyć, co się dzieje.

– Nie mogłam zasnąć proszę pani – rzekła do Ealii zupełnie nieświadoma wydarzeń. Nagle wzrok wszystkich się na niej zatrzymał.

– No chyba nie... – powiedział Dowelin nim padło kolejne zdanie.

– Podejdź do mnie dziewczynko – nakazał strażnik, machnąwszy ręką zachęcająco. Kiedy jednak dziecko z przestachem spojrzało jedynie na swą nauczycielkę, sam przeszedł te kilka metrów i klęknął przy nowo przybyłej. – Pozwól mi spojrzeć ci w oczy...

Wówczas Sefnira olśniło. Uderzył się lekko w czoło, następnie spojrzał na Melenvila z wyrzutem i rzekł do niego cicho:

– To ty ich sprowadziłeś...

– Ha. Mamy cię – oznajmił przedstawiciel prawa, wstając z klęczek. – Ta dziewczynka zostanie zabrana do naszej głównej siedziby na dalsze badania.

– Co?! Nie! – krzyknęła natychmiast Ealia, a następnie ku zaskoczeniu wszystkich wyrwała Nelivie z rąk mężczyzny i przytuliła do siebie. – Nigdzie nie idzie!

– Panno Jilioveliar, proszę nie powodować dodatkowych problemów...

– To jakaś pomyłka – rzekła Kael-Kirianka stanowczo, odsuwając się powoli w stronę schodów. – Jej rodzice byli elfami. Tego jestem pewna, bo ich znałam!

– Siostro... – Melenvil zbliżył się do niej, wykonując uspokajające ruchy. – Bądź rozsądna. Nie masz pewności. A panowie na pewno wszystko sprawdzą przed wydaniem wyroku...

– Powiedziałam, że nigdzie nie idzie! Na górę Nelivia. – Nim ktokolwiek zdążył zareagować, obie już znajdowały się w połowie schodów. Po chwili zniknęły na piętrze. Dowódca strażników tylko westchnął.

– Na górze nie ma wyjścia prawda? – zwrócił się do podwładnego. Tamten pokręcił głową przecząco. – Wspomaganie astriadów karane jest równie surowo – rzekł, spoglądając na resztę spokojnie. – Nie wspominając już o utrudnianiu aresztowania.

– Nie sądzę, aby umyślnie pomagała tej astriadce – odparł Melenvil, zbliżając się do mężczyzn. – Prawdopodobnie po prostu przywiązała się do tego dziecka i nie potrafi zaakceptować prawdy. Wypiera ją. Nie chce uwierzyć.

– On ma rację – poparł przedmówcę Virian, spojrzawszy w górę schodów. Znajdował się ich najbliżej.

– Też tak sądzę panowie. Zresztą wasza gospodarz ma dobrą opinię w okolicy. Wolałbym zostawić ją w spokoju. Jeżeli jednak dalej będzie stawiała opór, nie pozostawi mi wyboru i czeka ją podobny los jak astriada. Takie prawo.

– Rozumiem. – Melenvil kiwnął głową ze smutkiem. – Proszę pozwolić mi z nią porozmawiać. Spróbuję przemówić jej do rozsądku.

– Lepiej ja – wtrącił się Virian, wchodząc na schody. – Nie sądzę, aby spodobał jej się fakt, że to ty wezwałeś straż.

– Hm... może i racja...

– Trzy minuty – oznajmił dowódca, pokazując dłonią. – Później wkraczamy. Idź.

Anarchijczyk wspiął się na górę, przeszedł podłużny szeroki korytarz, a następnie otworzył już lekko uchylone drzwi do sypialni. Na łóżku, trzymając uczennicę na kolanach, siedziała Ealia.

– Nie odbiorą mi jej – rzekła stanowczo choć cicho, tuląc do siebie dziecko.

– Wiem, że to boli kochana... – Virian usiadł obok niej i położył jej rękę na ramieniu. – Ale naprawdę nie widzę w obecnej sytuacji innej opcji...

– Spalą ją na stosie.

– Niekoniecznie. Jak wspominałaś, znałaś jej rodziców. Byli elfami. Zatem strażnicy mogą się mylić. Nie przeprowadzali żadnych dokładniejszych testów. A w mieście wezwą jakiegoś doświadczonego w tych sprawach czarodzieja, który

przeanalizuje ją magicznie. I wówczas pewnie okaże się, iż nie ma w sobie ludzkiej krwi! Więc ją wypuszczą. A jeśli nadal będziesz stawiać opór? Nelivii nic się nie stanie, lecz ty wpadniesz w straszne kłopoty. Po pierwsze z powodu utrudniania pracy sługom prawa, po drugie za teoretyczne sprzyjanie astriadom. Nie chcesz chyba zginąć.

Ealia milczała, nadal obejmując uczennicę. Nagle spojrzała rozmówcy w oczy, jakby się nad czymś zastanawiając, po chwili jednak wróciła do poprzedniej pozycji.

– Przekląty Melenvil...

– Zrobił, co uznał za słuszne – rzekł Virian, gładząc Kael-Kiriankę uspokajająco po policzku. – Sama powiedziałaś, że jest zwolennikiem systemu. Musimy mu ów fakt wybaczyć.

– Nie chce go więcej widzieć.

– Ech... – Anarchijczyk wstał i stanął przed obiema tak stanowczo, jak tylko potrafił. Niestety przestraszony wzrok Nelivii w mig zniszczył jego pewność siebie. – Czas nam się kończy kochana. Musisz podjąć decyzję.

– Spalą ją na stosie – odparła Kael-Kirianka z czymś w rodzaju ponurej determinacji.

– Na bogów Ealio, wolisz spłonąć razem z nią?

– Tak!

– Co?! – Mężczyzna był wstrząśnięty. – Dlaczego? Czemu jesteś aż taka uparta?

– Bo to nasza córka Virian!

Anarchijczyk, totalnie osłupiały, patrzył na rozmówczynię bite piętnaście sekund, zanim dziwny dźwięk dobiegający z korytarza nie wybudził go z szoku. Odwrócił się w tamtą stronę, jedynie po to, by ujrzeć Melenvila, równie zaskoczonego informacją co on sam. Nim jednak zdążyli cokolwiek powiedzieć lub dojść do jakiegoś milczącego porozumienia, na piętro wpadło dwóch strażników. Zepchnęli czarodzieja pod ścianę i bezceremonialnie ruszyli w stronę sypialni. Virion zamknął oczy. Kiedy zaś je otworzył, świeciły się już jasnoniebieską barwą.

Pierwszy wojownik, mimo iż zdołał ujrzeć zakłęcie, nie był w stanie go wyminąć. Zamarł w akuracie przybranej pozycji i nie potrafiąc w ten sposób utrzymać równowagi, legł bezradnie na ziemi. Jego kompan już całkowicie przygotowany, z gracją łowcy uniknął lecącego lodowego sopla i dopadł do pokoju. Wyciągniętą wcześniej tarczą, dzięki sile własnego rozpędu zdzielił Viriana w brzuch, tak że ten wylądował bezładnie na łóżku. Następnie wyciągnął miecz i wziął większy zamach, jedynie po to, aby zaryć nim w pojawiającą się akuracie mroźną ścianę. Zaklął głośno pod nosem, a potem chwycił za stojące obok drewniane krzesło i jednym potężnym uderzeniem rozbił w drobny mak lodową zastłonę. Następnie chwycił przygotowującego kolejne zakłęcie Anarchijczyka za gardło, uniemożliwiając mu mówienie. Ealia próbowała pomóc walczącemu własną magią, lecz wojownik przyłożył miecz do szyi jej dziecka.

I w tym momencie przez korytarz przeleciał błękitny piorun, w jednej chwili paraliżując napastnika. Melenvil z miną konsternacji opuścił dłoń, w której jeszcze

migało błękitne światło. Spojrzał na nich jedynie przez moment, a następnie odwrócił wzrok.

– Nic ci nie jest? – spytała Ealia, pomagając mężczyźnie podnieść się z łóżka.

– Fizycznie nie – odparł Anarchijczyk, rozmasowując sobie szyję. – Gorzej psychicznie.

– Bogowie Virian... – Kael-Kirianka objęła go czule, chwilę wcześniej niemym mrugnięciem każąc zejść córce z kolan. Potem obydwójce wstali.

– Nelivia mówisz? – spytał mężczyzna, biorąc dziewczynkę na ręce. – Mogłaś postarać się bardziej z imieniem.

– Teraz będziesz się czepiał?

Wyszli na korytarz. Alchemiczka podeszła do brata. Ten unikał jej wzroku.

– Melenvil...

– Nie wiedziałem, że jest twoja – odparł czarodziej, spoglądając w ziemię. Nic więcej nie dodał.

Moment później znajdowali się już na parterze. Ostatni strażnik również leżał na ziemi sparaliżowany.

– Ogólnie bardzo chciałem się pochwalić, iż ja pokonałem ostatniego – rzekł Sefnir, starając się jak zawsze oczyścić atmosferę. – Niestety to robota Narilli.

– Wcale nie – zaprzeczyła kobieta natychmiast. – Mi po prostu wypadło jedno z urządzeń z pracy, a on przypadkiem na nie nadepnął. Nie moja wina!

– Wszystko z wami w porządku? – zapytał poważnie Dowelin, zwracając się do ów dwojga. Tamci kiwnęli bezsłownie. – Dobrze. Ale musicie bezzwłocznie uciekać. Po kilku godzinach straż zacznie dziwić brak trójki z nich i wyślą kolejnych.

– Wiem – rzekł Virian, przyglądając się, jak Ealia pakuje rzeczy swoje i córki. – Złapiemy najbliższy statek na Nastilię.

– Nie do Cesarstwa – zaprzeczyła Narilla, kręcąc głową. – Wiem, iż wierzysz w Cesarza bracie, ale on ma w tej sprawie związane ręce. Będą was ścigać.

– Więc gdzie?

– Do Kaistlanii – oznajmił nagle Melenvil, schodząc w końcu na dół do reszty towarzystwa. Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem. – W ich prawie nie ma przepisu odnośnie do astriadów i związków między rasowych. Kael-Kiria od wielu lat próbuje je wynegocjować, ale jak dotąd bez skutku. Mieszkańcy Kahvelu są bardzo uparci. O ile nie mogę obiecać, że będziecie tam bezpieczni, to przynajmniej samą obecnością nie złamiecie prawa.

– Kaistlania... Dobrze.

Narilla nagle podeszła do brata i dała buziaka wciąż trzymanej przez niego Nelivii. Ta odsunęła się przestraszona.

– Spokojnie kochana – rzekła Anarchijka pogodnie. – Nie bój się cioci. Wszystko będzie dobrze. Rodzice się tobą zaopiekują.

– Nie jesteście zaskoczeni – stwierdził Virian ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Nie obraż się przyjacielu, ale... Twój niby romans z Setillą mógł zmylić postronnych. – Dowelin jako jedyny z wszystkich usiadł z powrotem na kanapie. – Ale

na pewno nie nas. Choć przyznam, iż dziecka się nie spodziewałem.

– Nikt się nie spodziewał – dodała, Ealia ze skomplikowaną miną.

– Ile zadziała twoje zamrożenie? – Melenvil skupiał się obecnie przede wszystkim na problemach.

– Póki jestem tutaj, długo – odparł Virian z zastanowieniem. – Jeżeli jednak odejdę...

– Po to masz zaklinaczkę w rodzinie – oznajmiła Narilla, wydając z torby dwa dziwnie wyglądające amulety. Wydawały się całkowicie bezpieczne, ale kto wie jaką mocą obdarzyła je zdolna rzemieślniczka.

– Idźcie więc. I to szybko – Kael-Kirian pomógł spakować siostrze ostatnie rzeczy. – Ja zostanę. Wezmę, ile zdołam na siebie.

– A reszta?

– Jak pójdziemy wszyscy, nabiorą podejrzeń i na pewno nas nie wypuszczą. – Dowelin wydawał się pewien swego. – Zresztą damy radę. Mnie na przykład wyciągnie Mroczne Cesarstwo. W końcu.

– O mnie się nie martwcie – Narilla machnęła tylko ręką, siadając przy Warderłończyku. – Sam mówiłeś, że muszą odeskortować Anarchijczyków na Nastilię.

– Ze mną gorzej – rzekł Sefnir, nalewając sobie ku zdumieniu większości kieliszek nalewki. – Ale znam miejsce. Na zachodzie. Przy odpowiedniej zapłacie przemycą każdego. Tak więc bez zmartwień.

– Najgorzej ja – rzekł Melenvil, wpatrując się w ogień z zamyśleniem.

– Bracie...

– Ćś... ja to zapoczątkowałem i ja to zakończę. Daj mi uśmierzyć poczucie winy. Idźcie.

– Ma rację. Ruszajcie.

Cała trójka upewniła się, że wzięła wszystko, co niezbędne, a następnie zebrała się w przedpokoju.

– Trzymaj się braciszku – rzekła Narilla, obejmując brata na pożegnanie. – Jak tylko zdołam, odszukam was w Kaistlanii.

– Powodzenia wam – oznajmił Sefnir, a następnie mrugnął łobuzersko. – A tak przy okazji... liczę, że na jednym dziecku nie poprzestaniecie.

– Sefnir! – Dowelin był zdegrustowany.

– Wybaczcie. Ostrzegałem, że nie potrafię się powstrzymać. Żegnajcie.

Po chwili byli już na drodze, przemieszczając się powoli w stronę światła wioski.

– I dlaczego? – spytała Ealia, ostatni raz zerkając na swój dom.

– Jak mówił twój brat? – Virian objął ją czule. – Nic nie poradzimy. Bo to „Kwestia Przeznaczenia”...

Virian, Ealia i Nevilia szczęśliwie dotarli do Kaistlanii, gdzie udało im się stworzyć normalną rodzinę. Kael-Kiria kilkakrotnie ubiegała się o ich deportację, lecz zawsze uparci kaistlantcy urzędnicy nie dopuścili do niej.

Melenvil został skazany na śmierć za pomoc astriadom, jednak wpływy rodziny Jilioverial zdołały go uratować. Przez kolejne lata prowadził protesty aż w końcu udało mu się doprowadzić do zniesienia kar śmierci dla półelfów.

Narillę zgodnie z prawem już kilka dni po wydarzeniach przewieziono na Nastilię, gdzie cesarscy urzędnicy, nie znaleźli w niej winy. Później wielokrotnie odwiedzała brata w Kaistlanii.

Dowelin został wykupiony przez Mroczne Cesarstwo z rąk Kael-Kirian. W zamian musiał jednak pozostać na Akadarii do końca życia, służąc Warderlonowi.

Sefnir jako jedyny nie zdołał opuścić elfiej wyspy. Spalono go na stosie czterdziestodzień od owych wydarzeń.

Mimo iż podobnych historii było wiele, dopiero ta zapoczątkowała lawinę wydarzeń, która skończyła się wiele lat później, Rewolucją Astriadów.

Ku niezależności

Ezestea, wyspa na wschód od Kaistlanii. Rok 995 od zesłania Pana.

Czarodziej zamknął oczy i spróbował opanować wzburzony żołądek. Mimo licznych podróży jakoś nie potrafił przywyknąć do morskiej żeglugi i znosił ją jedynie dzięki uporczywej determinacji. Niestety na Wyspach Anteor, jak zresztą łatwo dało się domyślić, nie szło jej całkowicie uniknąć. Ku ubolewaniu niektórych.

Mag ostatecznie otworzył oczy i spojrzał na cel, do którego statek powoli się zbliżał. Ezestea nie powalała widokami, prócz niewielkiego portu i brukowanej drogi, składała się głównie ze skał i kamieni. Nic dziwnego, że nie została nigdy silnie skolonizowana. Według informacji czarodzieja znajdowały się na niej jedynie dwie wioski, których mieszkańcy zresztą ledwo wiąźali koniec z końcem. Trudne życie, ale dla kogoś, kto chciał znaleźć się z dala od wielkiej polityki, chyba idealne.

Statek tymczasem wpłynął do portu, uwalniając maga od ponurych przemysłów. Zszedł on niemal natychmiast ustawioną przez marynarzy kładką i znalazł się bezpiecznie na brzegu. Wówczas podszedł do niego bliżej nieokreślony urzędnik portowy:

— Pana godność? — spytał, otwierając niewielki brązowy dziennik.

— Velirius Karen — odparł czarodziej, odbierając jednocześnie swoje rzeczy od tragarzy.

— Proszę mi wybaczyć, ale zmuszony jestem prosić o potwierdzenie tożsamości — stwierdził tamten, a gdy tylko ujrzał pokazany przez rozmówcę sygnet, dodał prędko — Dziękuję. Witamy ambasadora na Ezestei. Wszystko zostało już opłacone, także kosztami proszę się nie martwić. Życzę miłego pobytu.

Velirius kiwnął jedynie głową i po chwili ruszył w kierunku zabudowań z zamiarem wypożyczenia konia. Nie wiedział bowiem dokładnie, jak daleko znajduje się cel jego wędrówki. Nagle jednak zastąpiła mu drogę jakaś kobieta, nieco zaskakując przyzwyczajonego do ustępujących mu miejsca ludzi czarodzieja.

Wyglądała na wojowniczkę. Dobrze zbudowana, wysoka, w utwardzonym skórzanym pancerzu i przewieszonymi po bokach dwoma mieczami. Z twarzy natomiast przypominała typową Kaistlankę. Jej jasna cera znakomicie komponowała się z krótkimi blond włosami, a głębokie niebieskie oczy tylko podkreślały surową urodę charakterystyczną dla mieszkańców Kahvelu.

— Pan Karen jak mniemam? — odezwała się, przyjmując nieco bardziej oficjalną postawę. — Litta Melgotez, zostałam przysłana, aby zadbać o pana bezpieczeństwo.

— Nie sędzę, abym potrzebował ochroniarza... — odparł mag, nieco zaskoczony stwierdzeniem rozmówczyni.

— Przykro mi, ale wykonuje królewskie rozkazy. Uznano, iż ambasador

Kaistlanii nie powinien udawać się podległe terytorium samotnie. Zarówno z powodów bezpieczeństwa, jak i podkreślenia własnej rangi. — Tak rzekłszy, wyjęła z torby nieco wygnieciony zwój, opatrzony królewską pieczęcią. — Mogę oczywiście potwierdzić swoje słowa.

Velirius odebrał dokument, złamał pieczęć i przeczytał szybko treść. Następnie westchnął przeciągle. Wątpił, aby pomysł pochodził bezpośrednio od króla, raczej od jednego z jego uporczywych urzędników bądź doradców. No ale nie sposób było w tym momencie zignorować zaleceń. Spojrzał jeszcze raz na wojowniczkę, kręcąc jednocześnie głową z rezygnacją.

— Czy bogowie naprawdę muszą wszystko utrudniać... — wyszeptał prawie bezgłośnie, a potem dodał — Niech będzie. Skoro takie rozkazy...

— Wyczuwam pańskie niezadowolenie. Czyżby przeszkadzał panu fakt, że jestem kobietą?

— Raczej fakt, że jesteś ode mnie o głowę wyższa. — Rozmówczyni parsknęła rozbawiona. — I nie mów do mnie proszę per pan, bo staro się przez to czuję.

— Jak sobie życzysz — odparła, ruszając z wolna za magiem. — Nie przejmuj się jednak mną zupełnie. Mam świadomość, że dla czarodziei rozmowy są niezwykle ważne, dlatego uszanuję wszelką wymaganą prywatność i nie będę się wtrącać, ani specjalnie słuchać. Fachowych dyskusji zresztą i tak nie zrozumiem. Proponuję, abys traktował mnie po prostu jak cień.

Velirius kiwnął głową, uwzględnivszy ostatecznie kobietę w swoich planach, a następnie spytał, zupełnie zmieniając temat:

— Jak daleko do ruin?

— Pół godziny drogi. Mniej, jeśli byś się śpieszył.

— W takim razie odpuśćmy sobie konie... Spacer zresztą dobrze mi robi na tę przeklętą chorobę morską.

Weszli na trakt. Litta nie odzywała się niepytana, więc mag mógł w spokoju oddać się rozmyślaniom. Przez kilka minut kontemplował mijany krajobraz, lecz ostatecznie oddał się nieuniknionemu i skoncentrował myśli na zbliżającym się spotkaniu.

Większość czarodziei długo czekała na podobny dzień, Velirius zresztą też, choć z zupełnie innych przyczyn. W przeciwieństwie do swych kolegów po fachu, zwabionych tutaj przez ciekawość bądź ekscytację, on miał plan do zrealizowania. Jego część zresztą była już za nim. Zdobycie rangi ambasadora okazało się całkiem proste. Kaistlancki król, z którym utrzymywał dobre kontakty, chętnie wyświadczył mu tę drobną przysługę, odpłacając się za pomoc sprzed czterdziestodni. Aczkolwiek jak się chwile wcześniej okazało, mag nie zdołał przewidzieć wszystkich następstw.

Dopilnowanie, aby większość zainteresowanych przybyła w tym samym momencie stanowiło większy problem. Velirius znał organizatorów ekspedycji badawczej, w końcu całość została powierzona Anarchijskiej Akademii Magii imienia Ringa Senelina, do której sam niegdyś uczestniczył. Przekonanie kilku starych znajomych do niewielkiego ujednolicenia terminów zajęło mu jednak ponad

dziesięciodzień. Na szczęście jego wysiłki zostały wynagrodzone, prawie osiemdziesiąt procent odwiedzających miała być obecna właśnie tego dnia. Pozostawało jedynie również się tutaj pojawić, co ku ubolewaniu Veliriusa oznaczało podróż morską. No ale w końcu... wszystko było gotowe.

Po jakimś czasie, według stanu wiedzy maga, znaleźli się już niemal u celu. Ruiny wraz z obozem badawczym miały leżeć tuż przed nimi, za niewielkim wzgórzem. Na trakcie zresztą zrobiło się z tego powodu nieco bardziej tłoczno od mijanych tragarzy i posłańców. Czarodziej zatrzymał się i z zamyśleniem spojrzał na rozciągający się na dole ocean.

Jak na razie jego plan działał, lecz z pewnością największa przeprawa czekała go w kluczowym momencie. Początkowo zamierzał sobie wszystko rozpisać, ale ostatecznie uznał, że magów najlepiej przekonuje się metodą aktywnej dyskusji, a nie monologu. Dlatego też zdecydował się raczej improwizować, choć temat poznał dogłębnie.

Nagle, kiedy już chciał ruszyć w dalszą drogę, zaskoczył go niespodziewany, aczkolwiek dobrze znany napad bólu. „*Mrok! Zagrożenie! Ciemność! Niebezpieczeństwo!*” krzyczała krew w jego żyłach, mimowolnie przemawiając do umysłu. Niemalże utracił równowagę przez ten atak, co mogło się skończyć spadnięciem z klifu, ale na szczęście w porę zdążył opanować instynkty.

— Coś się stało? — spytała Litta, obserwując czarodzieja z uwagą.

— Choroba morska — wyjaśnił prędko Velirius, chwytając się dla niepoznaki za brzuch. — Chyba mi jeszcze nie do końca minęła. No nic. Chodźmy dalej.

„Co u licha...” pomyślał, marszcząc brwi. Rozejrzał się wokoło natychmiast, ale niczego podejrzanego nie spostrzegł. Wszędzie panowała cisza i spokój, nie licząc może innych podróżników na drodze.

— Przeklęty dar matki... — wyszeptał, tłumiąc inne określenia.

Nienawidził go. Ilekroć znalazł się w pobliżu maga ciemności, nekromanty, wyzwolonego czy jakiegokolwiek istoty mroku, natychmiast aktywował mu się wewnętrzny system ostrzegania przed niebezpieczeństwem. Kiedyś nawet próbował się go pozbyć, szukając po całym Królestwie Anarchijskim ksiąg poświęconych temu tematowi, lecz jego próby spełzyły na niczym. To z czym się urodził, miało z nim pozostać do końca życia.

W pamięci szybko przewertował potwierdzonych uczestników spotkania. Nie pamiętał oczywiście wszystkich, ale być może któryś z nich pomógłby rozwiązać zagadkę. Niestety żaden z rozważanych nie posiadał jakichś większych skojarzeń z mrokiem. Może tym razem instynkt go zawiódł?

Velirius, bardzo światowy człowiek, utrzymywał oczywiście kontakty z magami ciemności, analogicznie zresztą jak z drugą stroną. Czarodzieje mroku, co już wcześniej zauważył, nie różnili się specjalnie od innych. Rzecz jasna, sporą odmianę stanowiła kwestia kultury, ale akurat swoje wizyty w Mrocznym Cesarstwie wspominał bardzo dobrze.

Jednakże Ezesteia pozostawała pod kontrolą Królestwa Kaistlanii. Obecność na

niej mroku w owych czasach wydawała się czarodziejowi co najmniej dziwna. Ostatecznie, nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi, porzucił temat i wrócił do własnych planów. W tej chwili były dla niego o wiele ważniejsze.

Chwilę później dotarli w końcu do celu. Beładne obozowisko złożone głównie z namiotów otaczało kręgiem wyżłobiony w ziemi kanion, w którym zresztą umieszczono tyle wiszących mostków, drabin i schodów, że ledwo dało się dno zobaczyć. Mimo to czarodziej po chwili zdołał dojrzeć ciemne, ciosane ściany ruin pradawnych, widniejące niemal na samym dole. W samym obozie natomiast kręciło się pełno ludzi, głównie tragarzy i innych pracowników fizycznych. Niemal bez przerwy przenoszono znalezione obiekty, porządkowano zapiski bądź wydawano narzędzia. Zgodnie z wiedzą Veliriusa, wykopaliska zakończyły się kilka dni wcześniej, i teraz pracowników czekał długi okres analizy i badań odkrytych przedmiotów. Czarodziej rad był, że zamieszanie obozowiska zupełnie go nie dotyczyło.

Zatrzymał się spokojnie, przewidując jakąś poprzedzającą wejście weryfikację tożsamości lub coś podobnego, nim jednak podszedł do niego ktokolwiek z członków ekspedycji, zza pierwszego namiotu wyłoniła się znajoma twarz.

— Ver! — zawołała radośnie kobieta, po czym dała mężczyźnie delikatnego buziaka w policzek. — Jesteś w końcu! Bałam się, że już nigdy nie trafisz.

— Witaj Katrilo. Czemu nie jestem zdziwiony, że witasz mnie jako pierwsza. Aczkolwiek znowu zaczęłaś zdrabniać moje imię, nawet jeśli pięć razy już wspominałem, jak bardzo tego nie lubię.

— Aj, bo ledwo daję radę je wymówić — odparła czarodziejka rozbawiona i pokierowała przyjaciela za sobą. — Jest trochę skomplikowane.

— Nic dziwnego. Matka wybierała. Ciesz się, że nazwisko po ojcu. A co słychać u rodziny? Córka wyzdrowiała?

— Tak, teraz diwalerię leczy się już bardzo skutecznie. Mimo to mój mąż i tak wolałby, gdybym odpuściła sobie wyjazd. W skrócie nic nowego. Bardziej mnie interesuje co u ciebie. No już, pokaż się uzdrowicielce.

Velirius, wyraźnie rozbawiony czekał, aż Katrila wykona swoje zwyczajowe szybkie badanie magiczne. Jej drobne zboczenie zawodowe sprawiało, że bała się o zdrowie większości bliższych znajomych i nie omieszkła wykorzystać sytuacji na uśmierzenie swych lęków.

— Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku, nie licząc drobnej choroby morskiej, której chyba nie unikniesz. Ale na Bezimienego, jak ty młodo wyglądasz! Trzydzieści cztery lata, a nadal dwudziestolatek...

— Z tym akurat nic zrobić nie mogę — odparł Velirius z przeproszającym uśmiechem.

— Wiem. Mimo to zazdroszczę.

— Nie masz czego. Nic jeszcze nie straciłaś ze swojej urody.

— W tym zdaniu kluczowe było słowo „jeszcze”. — Oboje roześmiali się lekko.

— Ale wystarczy bzdur, nie po to mnie tutaj ściągnąłeś, abym cię jedynie powitała.

— Ja cię nigdzie nie ściągałem. Sama chciałaś przyjechać. Po prostu na tym

skorzystałem.

— Niech ci będzie. Rozeznałam się w sytuacji, jak prosiłeś. Czułabym się lepiej jednakże, gdybyś powiedział, o co dokładnie chodzi.

— No więc mam pewien plan...

— Oczywiście. — Kobieta przewróciła oczyma z westchnieniem. — Zawsze go masz. Jesteś człowiekiem wiecznych planów i ich realizacji Ver. W dodatku najczęściej wciągasz w nie swoich znajomych, nie bacząc na to, czy im się to w ogóle podoba. W każdym razie... Co dokładnie zamierzasz?

— Chcę przedstawić magom pewną ideę.

— To im się spodoba. — Czarodziejka kiwnęła głową w zamyśleniu. — A przynajmniej będzie miłą odmianą wśród ciągłego zwiedzania. Jaką ideę?

— Wolałbym się nie powtarzać, więc dowiesz się wieczorem.

— A czemu tutaj? W sensie... Podróż przez połowę Wysp Anteor tylko po to, aby coś ogłosić? Nie lepiej gdzie indziej? Przykładowo w naszej Akademii Magii?

— Absolutnie nie — odparł Velirius stanowczo. — Tam przecież prawie sami Anarchijczycy. Akademie przestały dokonywać wymian adeptów po upadku Cesarstwa. A ja chce dotrzeć do jak największego grona słuchaczy.

— Lecz dlaczego tutaj?

— Ostatnio trudno zebrać wielu magów w jednym miejscu. Sojusze się porozpadały, wybuchły wojny, a niektóre państwa się zaczęły izolować. Nie ma wydarzeń, które zbierałoby nas wszystkich, niezależnie od narodowości.

— A Wielki Turniej w Shandarii? Jest w tym roku, mogłeś poczekać do dnia magii.

— Tam skupiają się ludzie zainteresowani głównie magią bitewną — odparł czarodziej, obserwując pracownika czyszczącego dziwne kamienne przedmioty. — A ja szukam czegoś, co zebrałoby różnych magów. Zaklinaczy, kłatowników, kapłanów... — wymieniał, aż w końcu kiwnął na nią na zakończenie — ...uzdrowicieli.

— A więc wybrałeś nowo odkryte ruiny pradawnych — odparła kobieta, uśmiechając się szeroko — które obecnie przyciągają naszych kolegów po fachu niczym płomyk świecy ćmy. Sprytnyś, ale i miałeś wielkie szczęście. Rzadko zdarza się podobna okazja. No i z jakiegoś powodu powalająca większość przyjechała niemal w tym samym momencie. Chyba że i w tym maczałeś palce...

— Przeceniasz moje możliwości.

Nagle ktoś zawołał Katrile i machnął na nią, aby podeszła. Czarodziejka ruszyła we wskazanym kierunku, dodając na odchodnym:

— Pogadamy później. Poinformuj o swojej wizycie zarządcę obozowiska. On przekaże wszystko odpowiednim osobom.

Gdy tylko znikła za najbliższym namiotem, nagle obok Veliriusa jak spod ziemi wyrosła Litta. Mężczyzna musiał przyznać z lekkim zaskoczeniem, że wojowniczką jest naprawdę dobra. Zupełnie zapomniał o jej obecności, a ona zachowując odpowiedni dystans od rozmówców, kulturalnie mu nie przypominała.

Nie marnując czasu, mag podpytał przechodzącego obok tragarza, a następnie

od razu udał się we wskazane miejsce. Przed dość dużym namiotem rozłożone zostało niewielkie biurko. Walające się po nim papiery sygnalizowały, że ekspedycja trwa już od dłuższego czasu. Niestety siedzący przy nim człowiek okazał się zajęty dynamiczną rozmową z jakimś wysokim magiem.

— Ile razy mam powtarzać? Ruiny nie są bezpieczne! — Velirius natychmiast zorientował się, iż dyskutujący czarodziej był elfem. Poczuł nieprzyjemny uścisk w żołądku z powodu złych wspomnień.

— Zapewniam, że sprawdziliśmy dokładnie cały teren. Łącznie z podziemną częścią. — Mężczyzna będący prawdopodobnie zarządcą obozowiska, gestykulował uspokajająco. Wyglądał jakby miał dość całej sprawy. Podobna sytuacja musiała mieć już miejsce wcześniej. — Zero zaklęć aktywnych, wszystko oczyszczone. Ręczę za całkowite bezpieczeństwo.

— Mam gdzieś co zrobiliście i co pan gwarantuje. Wyczuwam mrok przelewający się przez te ruiny, kryjący się pośród ich ścian. Musicie natychmiast zarządzić ewakuację, zanim komuś stanie się krzywda!

— Przeprowadzone przez nas badania nie wykryły aktywności mroku. — Zarządca pozostawał niewzruszony. — A na liście dotychczasowo zarejestrowanych gości, nie figuruje żaden mag ciemności. Pańskie informacje są mylne.

— Moje informacje? Jestem elfem, głupcze! Ja po prostu to czuję!

— Odczucia niestety nie stanowią dla mnie żadnego dowodu. Gdyby jednak odkrył pan coś niepokojącego, proszę natychmiast się do mnie zgłosić.

Czarodziej ukrył twarz w dłoniach i wymamrotał po elficku:

— Boże wojny, czemu zesłałeś tego idiotę na moją drogę...

Velirius, doskonale znający zarówno elficki, jak i sześć innych języków, parsknął śmiechem, ale opanował się natychmiast.

— Jeżeli się panu u nas nie podoba, wciąż może pan wyjechać. — Rozmówca zaczął porządkować papiery, chyba uznając rozmowę za zakończoną. — Nikogo tutaj nie przetrzymujemy na siłę.

— Wyjechać? — Elf pokręcił głową z gniewną rezygnacją. — I zostawić was na pastwę ciemności? Ktoś będzie musiał z nią walczyć, gdy się ujawni. Na końcu podziękujecie bogom za to, że zostałem. Tyle na temat.

Czarodziej odszedł szybkim krokiem, ustępując tym samym miejsca nowo przybytemu. Velirius zbliżył się do zarządcy i rozpoczął rozmowę:

— Bezimienny Bóg z tobą. Velirius Karen, o ile dobrze zrozumiałem, powinienem się do pana zgłosić. — Tak rzekłszy, ukazał rozmówcy sygnet.

— Ach pan Karen. — Mężczyzna aż wstał z krzesła. — Miło mi ambasadora poznać. Przygotowaliśmy już pańską kwaterę. Zaraz poinformuje też odpowiednich ludzi o pana przybyciu.

— Dziękuję.

— Ach chwileczkę... Kim jest pańska towarzyszka?

— Litta, moja ochroniarz.

— Nie otrzymałem informacji o ochroniarzu...

Velirius wzruszył obojętnie ramionami. Wymijające rozkazy, różne pomysły i plany. Dwór królewski roił się od nich i często ostatecznie nikt niczego nie wiedział. W królestwie Anarchijskim zresztą sytuacja wyglądała podobnie.

— Z pewnością znajdzie się dla niej dodatkowe miejsce.

— Oczywiście. Wszystko zorganizuje. Zaraz każę komuś pana oprowadzić.

— Nie trzeba. Gdzieś tu się kręci moja znajoma, ją o to wymęczę.

— Jak pan woli.

Velirius pożegnał się z zarządcą i ruszył w kierunku kanionu. Kilka chwil później zdołał odnaleźć Katrillę. Najwyraźniej właśnie skończyła załatwiać swoje sprawy.

— O, jesteś — rzekła, spostrzegłszy przyjaciela. — Zameldowany?

— Tak. Teraz byłbym wdzięczny, gdybyś dokładnie mi wszystko wyjaśniła. Gdzie jest reszta magów?

— W ruinach — odparła prawie natychmiastowo.

— W ruinach?

— Tak. Tam zresztą rozłożono stoły i jedzenie. I tam mamy kwatery.

Czarodzieje nalegali, aby przeprowadzono to w ten sposób. Chyba chcą pozostawać „blisko”.

Velirius westchnął przeciągle, nieco zniesmaczony podejściem kolegów po fachu, ale nie komentował.

— A kto będzie?

— Nie spisywałam sobie nazwisk, ale sami wpływowi więc chyba cię zadowolą. Głównie Anarchijczycy. Prócz tego kilku Kaistlanów, Shandarian i Kalwadorczyków. I jeszcze jakiś Kael-Kirian.

— Elf? — Mężczyzna natychmiast przypomniał sobie kłótnie sprzed kilkunastu minut.

— Tak. Wiedziałam, że cię zainteresuje, więc zapisałam nazwisko. Inaczej zresztą nie byłabym w stanie go wymówić. — Czarodziejka wyjęła niewielkie zawiniątko i przeczytała z trudem. — Ealian Elieilijas, jeśli ci to pomoże.

— Zaraz... — Nieprzyjemny uścisk w żołądku ponownie dopadł czarodzieja, tym razem ze zdwojoną siłą. — Ten Elieilijas? — spytał, nie mając żadnych problemów z elfickim nazewnictwem.

— Ten?

— Słynny zaklinacz. Dziedzic Melenwila Elieilijasa. Skandal ze zdradą w jednym z najznamienitszych rodów. Kochankowie spaleni na stosie. — Velirius rzucał naprędce hasła mające pomóc towarzyszce. — Naprawdę nic ci nie świta?

— Nie, ale jeśli zaklinacz to chyba ten, bo jego kwatera obwieszona jest dziwnymi amuletami, przyrządami i tym podobnymi.

— A co ty robiłaś w jego kwaterze? — Mężczyzna uniósł wysoko brwi.

— Absolutnie nic. — Kobieta zaczerwieniła się lekko.

— Twoja ciekawość cię zgubi Katrilo.

— Prędzej niż ciebie twoje plany?

— Cóż... zależy czy się powiodą.

Ruszyli w głąb kanionu, schodząc po specjalnie do tego ustawionych drewnianych schodach. Teraz już o wiele lepiej dało się zobaczyć ruiny pradawnych, tkwiące w skałach niczym żyły w ludzkim ciele. Wyglądały na wykonane z tego samego kamienia, z którego składały się same klify, ale ilość naniesionych płaskorzeźb i ozdób, sprawiała, że nie sposób ich było przeoczyć.

Nagle czarodziej potknął się i przewrócił, ponownie zaatakowany przez nagły ból. „*Strach! Wróg! Mrok! Strzeż się!*” przemawiały instynkty do jego umysłu. Chwycił się za głowę, próbując uśmierzyć zalewające go informacje, lecz tak samo, jak się pojawił, ból zniknął.

— Nic ci nie jest? — spytała Katrila, podchodząc do przyjaciela. Z jej perspektywy musiało to wyglądać na zwykłe potknięcie.

— Tak... tylko trochę się poobijałem. Szczęście, że schody nie są strome.

„Na Pana...” pomyślał czarodziej, podnosząc się z ziemi „Jeśli ten Kael-Kirian też to czuje, to nie ma mowy o pomyłce. Gdzieś w pobliżu ukrywa się mrok. Zarządca jednak wydawał się taki pewny swego... Ich badania powinny go przecież wykryć...”

— Tymczasem — rzekła Katrila, nieświadoma przemyśleń przyjaciela. — Opowiedzieć ci może coś o ruinach?

— Szczerze mówiąc, nie jestem specjalnie zainteresowany — stwierdził Velirius, otrzepując się z kurzu. — Ale wiem, że połowa dyskusji będzie właśnie ich dotyczyć, więc chyba nie mam wyboru. Opowiadaj.

— Odkryto je dwa czterdziestodnie temu. Robota Kaistlanów, lecz badania powierzyli naszej, anarchijskiej Akademii Magii, bo czarodziei na Kahvelu jest już niewiele, a kaistlancki król chciał, aby wszystko zostało zrobione porządnie. Tak więc praca trafiła się nam.

— Czemu dopiero teraz? Pytam o odkrycie. Większość ruin pradawnych została zbadana ponad tysiąc lat temu, w Erze Ciemności. Z kilkoma wyjątkami w Erze Światła. A tu nagle nowe ruiny? Po ilu latach bez odkryć? Trzystu?

— Czterystu — doprecyzowała kobieta. — Odpowiedź tkwi w otoczeniu. Rozejrzyj się. Tego kanionu wcześniej tutaj nie było. Prawdopodobnie otworzyło go trzęsienie ziemi albo jakieś eksperymenty magiczne. A wyspa ma mało mieszkańców, nikt nigdy nie analizował jej podziemi, bo i po co? Nie zamierzano stawiać tutaj większych budowli.

— Czy badacze znaleźli coś ciekawego?

— Zależy. Według nich zapewne tak, lecz patrząc bardziej globalnie? Masę zakłęb, ale niestety wszystkie już od dawna znane. Do tego przepowiednię. Nasza Akademia już ją oczywiście analizuje. Inne zresztą też.

— Typowe. Istnieją dziesiątki wciąż niezrozumianych przepowiedni, ale wszyscy magowie świata rzucają się na właśnie na tę jedną. Bo nowa.

— Ludzie lubią nowości...

Dotarli do wejścia. Do ścian mrocznego korytarza przymocowano specjalne pojemniki ze świecami, których jarzące się płomyki nadawały ruinom wyjątkowy klimat.

— Czemu nie użyli zaklętego światła? — zdziwił się Velirius.

— Bo aura budowli nie pozwala. Świeci ono kilka godzin, ale potem gaśnie samoistnie. Zwykły ogień okazał się skuteczniejszy.

Weszli do środka. Oczom czarodzieja ukazały się dziesiątki symboli, przywracające wspomnienia ze studiów w Akademii Magii. Przejechał po kilku z zamyśleniem, ale prędko stracił zainteresowanie. Nie z powodu ruin tutaj przybył. Chwilę później znaleźli się w nieco większym pomieszczeniu. Klasyczne anarchijskie meble tworzyły niesamowity kontrast z przedwiecznymi zabudowaniami, lecz jasno wskazywały na swój cel. Miejsce przerobiono na biuro, którego właścicielka zresztą właśnie odwróciła się od regału z książkami.

— Irianna Jenvil, główna badaczka i przewodnicząca ekspedycji — przedstawiła kobietę Katrila.

— Velirius Karen. — Mężczyzna skłonił się uprzejmie.

— Ach, Ambasador Kaistlanii. Witam serdecznie. Oczekiwałam pana. — Czarodziejka wyglądała na nieco ponad czterdziestkę, lecz w jej oczach tlił się świetlisty błysk wigoru, charakterystyczny dla osób dużo młodszych. Prawdopodobnie odkrycie wprawiało ją w wielkie podekscytowanie. — Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

— Wpadnij potem do mojej kwatery. Numer trzynaście — rzekła Katrila na odchodnym. Następnie opuściła pomieszczenie.

Litta tymczasem oparł się o ścianę kilkanaście metrów dalej. Prawdopodobnie niewiele mogła słyszeć, wciąż jednak pozostawała w zasięgu wzroku.

— Jak sądzę, moją ochroniarz nie stać na więcej. — Velirius westchnął zrezygnowany i dodał natychmiast — Co mogę dla pani zrobić?

— Szczerze mówiąc, jestem nieco zaskoczona pana obecnością tutaj. — Irianna usiadła za biurkiem i wyciągnęła kilka dokumentów. — Nie rozumiem powodów, dla których król zdecydował się przysłać do nas swojego ambasadora. Czyżbyśmy czymś zawinili? Zapewniam, że wszystko zostało wykonane zgodnie z pierwotnymi ustaleniami.

— Ach, niepotrzebnie się pani martwi. Nie zamierzam niczego sprawdzać. Jego wysokość po prostu zrozumiałwszy zainteresowanie czarodziei z całego świata, postanowił mieć na miejscu swojego człowieka. Który tak samo, jak reszta, przybył tutaj wyłącznie w celach turystycznych i społecznościowych. Bo właśnie to tutaj robią nasi koledzy po fachu prawda? Zwiedzają i rozmawiają.

— Nie przeczę. — Kobieta spojrzała na niego z zastanowieniem. — Mogę zadać zatem nieco bardziej personalne pytanie? Jak Anarchijczyk został ambasadorem Kaistlanii?

Velirius uniósł brwi z wyrazem uznania. Niewielu dawało radę rozpoznać jego narodowość po kilku minutach rozmowy. A może czarodziejka po prostu o nim słyszała?

— Wyświadczyłem w przeszłości kilka przysług jego wysokości i nie raczyłem odmówić, gdy poprosił mnie o kolejną. Czemu zaś wybrał mnie? Cóż... niewielu

czarodziei pozostało w opanowanej przez technomagów Kaistlanii, lecz to już temat na inną dyskusję. Mogę teraz ja o coś zapytać? W obozie spotkałem pewnego Kael-Kiriana, który twierdził, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Podobno mrok czai się w pobliżu.

— A, mówi pan o Elieilijasie. — Badaczka zastanowiła się chwilę. — Tak, informował nas o tym kilkukrotnie. Nasze badania jednak nie wykazują w pobliżu zagrożenia.

— Jest pani świadom, że jako elf, wyczuwa on ciemność sam z siebie?

— Oczywiście, lecz w przeszłości talent elfów kilkukrotnie w tej kwestii zawodził, a ja nie mam już możliwości odwołania niczego. Gdybym zresztą mogła, zrobiłabym to o wiele wcześniej.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Bo tylko głupiec zdecydowałby się obozować wewnątrz ruin pradawnych.

— Myślałem, że je oczyściliście.

— Oczywiście. — Kobieta machnęła ręką zniecierpliwiona. — Nawet kilkukrotnie, ale na wszystkich bogów, przecież to ruiny pradawnych! Chyba czytał pan o pierwszych ich odkrywcach? Dokładnie opisano, jak niebezpieczne mogą być takie miejsca.

— Szczerze mówiąc, odwiedziłem kilka ruin zarówno na Nastilii, jak i w Warderlonie. Wydawały się niegroźne.

— Gdyż dokładnie spenetrowano je wieki temu. Czasem dopiero po kilku latach odkrywane są nowe przejścia. A dziś obozujemy sobie w środku zabudowań, zaledwie dwa czterdziestodnie od odkrycia.

— Nie zamierzam spierać się ze specjalistką. — Velirius kiwnął głową z szacunkiem. — Czemu w takim przypadku wciąż tutaj jesteśmy?

— Niestety nie tylko ja odpowiadam za ekspedycje. Finansuje ją Anarchijska Akademia Magii imienia Ringa Senelina, a w niej tkwi wiele osób, które rozważają problemy jedynie z daleka. Spływający zaś do nas goście mają wpływy i pieniądze. Nie sposób odmówić ich zachciankom. W każdym razie, wracając do pańskiego pytania: Ruiny nie wykazują śladu mroku, ale nie czyni ich to bezpiecznymi. Dlatego właśnie, jako osoba, która zidentyfikowała i rozbroiła dziesiątki pradawnych pułapek, osobiście prowadzę zwiedzanie. Muszę pana również poinformować, że dzisiejsze już się odbyło. Następne dopiero jutro.

— Z miłą chęcią poczekam.

— Organizujemy natomiast poczęstunek w największej sali. Niedługo się zacznie. Polecę zaraz pokazać panu kwaterę. Nie będę już dłużej zajmować pańskiego czasu.

— Ależ naprawdę żaden kłopot...

Jeden z pracowników zaprowadził Veliriusa dalej w głąb ruin, gdzie wykute w ścianach znajdowały się sporej wielkości pokoje, do których wstawiono prowizoryczne drzwi. Czarodziej otrzymał kwaterę dziewiętnastą, Litta zaś dwudziestą. Wojownicza co prawda upierała się, że spędzi noc na korytarzu,

pilnując wejścia do pomieszczenia ambasadora, lecz mag prędko wybił jej to z głowy. Jeszcze mu brakowało, aby ktoś kręcił mu się pod drzwiami...

Velirius rozłożył u siebie swoje skromne bagaże, a następnie ruszył ponownie w głąb pradawnych korytarzy. Kilka chwil później dotarł do kwatery Katrili. Zapukał delikatnie, a przyjaciółka niemal natychmiast otworzyła drzwi i wyszła mu na spotkanie. Dalszą wędrówkę kontynuowali razem.

— I jak się ambasador czuje po starciu z przewodniczącą ekspedycji? — Kobieta wyraźnie miała dobry humor.

— Nie kpij. Bardzo interesująca osoba.

— Interesujące osoby, to ty poznasz dopiero teraz.

Znaleźli się w wyjątkowo dużej, budzącej podziw sali. Na jej ścianach umieszczono płaskorzeźby przedstawiające różne wydarzenia sprzed wieków, poczynając od odbudowy świata, poprzez walkę pradawnych z drakonami, aż do zesłania ich zguby. Sufit podtrzymywały cztery wielkie kamienne kolumny ustawione w rogach, na środku zaś umieszczono niewielkie ognisko, otoczone ewidentnie już współczesnymi stołami. Je natomiast zastawiono skromnym posiłkiem.

W pomieszczeniu przebywało ponad czterdziestu czarodziei. Część z nich, Velirius kojarzył z widzenia, z innymi w przeszłości zamienił nawet parę słów. Niektórych natomiast widział pierwszy raz w życiu.

— A no tak — rzekł rozbawiony, rozglądając się dokładnie. — Jedzenie podano.

— I picie. Aczkolwiek niestety bezalkoholowe. Nici z zabawy.

— Piłabyś? — Mężczyzna uniósł brwi zaintrygowany. — Zaskakujesz mnie Katrilo, nawet po tylu latach. Twój charakter przepełniają zaiste setki tajemnic.

— A ty nie odkryłeś nawet połowy. Zmieniając temat, gdy rozmawiałeś z Irianną, sprawdziłam imiona większości tych magów.

— Naprawdę? Kłaniam się z wdzięczności.

Kobieta zaczęła wymieniać. Tak jak wcześniej wspominała, bezsporną większość zbiorowiska stanowili Anarchijczycy. Kaistlanie stali na drugim miejscu, za nimi Kalwadorczycy i Shandarianie. Miejsca dla gości ustawiono zresztą według narodowości, więc prędko dało się zorientować w sytuacji. Tylko Elieilijas, siedząc dumnie pośrodku całej gromady, psuł nieco porządek.

Katrila tymczasem skończyła wymieniać, choć jak zapowiedziała, nie zapamiętała wszystkich.

— Ealiana chyba sam poznałeś. — Wskazała na Kael-Kiriana, rozmawiającego cicho z kilkoma innymi magami.

— Owszem. A tamten? — dopytał się jeszcze Velirius, pokazując na czarodzieja przebranego w czerwone szaty. Był on tak szczelnie ubrany, że nie dało się dostrzec nawet skrawka jego ciała.

— Enerias chyba — odparła kobieta z zastanowieniem, a następnie uśmiechnęła się z rozbawieniem. — Oczywiście nie Kazner. Nie pamiętam nazwiska.

— Dlaczego nosi maskę?

— Nie tylko on. Jego towarzysze również. — Wskazała na dwóch innych.

Wyglądali podobnie jak ten pierwszy. – O ile dobrze zrozumiałam, nadmiernie interesowali się Smokonami.

— Słucham?

— Wiesz, że Smokonia, leżąca na południe od Nastilii zupełnie się izoluje prawda?

— Oczywiście. — Velirius obserwował czerwonych czarodziei z zaciekawieniem. — W Erze Światła sam Wielki Cesarz zaakceptował ich niezależność.

— Tak. Z tym że niektórzy Anarchijczycy przejawiali pewną... fascynację smokońską kulturą. Kiedy zaś kilka lat temu w Smokonii rozpoczęła się wojna, część z nich zdecydowała się pomóc zagrożonym Smokonom.

— Przecież oni zawsze odmawiali przyjęcia pomocy!

— Wiem, dlatego też ze sporego oddziału ochotników, wróciło zaledwie kilku. A ci, którzy przeżyli, zapłacili wielką cenę. Smoczy ogień bardzo zniszczył ich ciała.

— Dlatego wszyscy noszą maski?

— I rękawiczki, ale cóż... nie wszyscy. — Katrila wskazała na ostatniego z grupy. Jego twarz wyglądała, jakby ktoś wylał na nią wrzący olej. Mężczyzna zresztą był też pozbawiony oka. Velirius nie mogąc powstrzymać odruchu, odwrócił się ze wstrętem. Współczuł jednak tym ludziom. Chcieli dobrze, ale zostali ukarani za nadmierne wtrącanie się w nie swoje sprawy.

— Nie dałabyś rady tego uzdrowić?

— Poparzeń po smoczym ogniu? Nic z tego. — Kobieta pokręciła głową z westchnieniem. — Potrzebowałabym czegoś znacznie silniejszego od mojej wody. Oho! Kogoś zainteresowałaś. To ja zmykam na swoje miejsce.

I nim zdołał ją powstrzymać, była już po drugiej stronie czworokątnego stołu. Velirius tylko przewrócił oczyma, nie komentując jej zachowania. Następnie zajął się dwoma zbliżającymi się do niego Shandarianami.

— Bóg Mądrości z tobą panie Karen — rzekł pierwszy na powitanie.

— I wzajemnie panie Yoishi. — Czarodziej natychmiast przypomniał sobie, iż rozmawiał z nim kilkukrotnie w przeszłości. — Miło mi. Jak mogę panu pomóc?

— Zaspokajając ciekawość w większym skrócie. Właśnie wraz z bratem o panu rozmawialiśmy...

— Naprawdę?

— Tak — odparł drugi rozmówca, chyląc lekko czoło. — Kilka dziesięciodni wcześniej dotarły do Shandarii wieści o pana kolejnych zajęciach. Pańska praca naszym zdaniem jest godna pochwały.

— Miło słyszeć...

— Ogólnie ostatnimi czasy pełno pana na całych Wyspach Anteor — kontynuował Yoishi spokojnie. — Poczynając od wydarzeń w Królestwie Anarchijskim, przez drobne konflikty w Kalwadorze aż po zamieszanie dookoła króla Kaistlanii. I nawet zdołał pan zdobyć pozwolenie na podróż do Warderlonu. Imponujące. Znalazł pan własne miejsce w polityce, niewątpliwie.

— Nigdy nie uznawałem swoich działań za polityczne — rzekł Velirius z

beztroskim tonem. — Wolę tytułować je mianem „służby Voimsisowi”.

— W każdym razie, wśród wszystkich swych zajęć, nigdy wcześniej nie wyrażał pan zainteresowania pradawnymi. Mimo to przyjechał pan tutaj.

— Spodziewamy się, iż sprawa ta również jest związana z pana pracą — kontynuował jego brat. — I wszyscy dziś się tego dowiemy, jak sądzę. Czy doszliśmy do słusznych wniosków?

Velirius uśmiechnął się dobronudownie, a następnie odparł z uśmiechem:

— Dlaczego nie jestem zaskoczony, że właśnie wy mnie rozpracowaliście. Trudno coś ukryć przed narodem mądrości.

— Komplementary może pan sobie darować. — Shandarian gładził się po głowie z zastanowieniem. — W każdym razie, z niecierpliwością czekamy aż uchyli pan rąbka tajemnicy. — Tak rzekłszy, wrócili do stołu.

Velirius tymczasem zdał sobie sprawę, iż pozostał już niemal jedynym stojącym. Poprawił więc swój kaptur na głowie i czym prędzej zajął miejsce. Usadzili go niestety, jako ambasadora wśród Kaistlanów, co niespecjalnie przypadło mu do gustu. Katrila natomiast wyglądała na uradowaną. Siedząc prawie idealnie naprzeciwko niego, mogła bez skrępowania stroić w jego kierunku dziwne miny, aby tylko wyprowadzić go z równowagi, gdy będzie przemawiał. Nie wątpił, że tak właśnie wyglądał jej plan.

Rozmowy jednak dopiero się rozkręcały. Dało się od razu spostrzec dominujący temat ruin pradawnych. Czarodzieje spekulowali, czym mogły w przeszłości być nowo odkryte podziemia, wygłaszali teorie o różnych związkach między architekturą tutejszych budowli a innymi obiektami porzucanymi na całym Voimsisie. W każdej akademii magii uczono historii Cywilizacji Pradawnych, a że główna wiedza magiczna pochodziła z jej pozostałości, temat zawsze był gorący i świeży.

Jakiś czas później jednakże dyskusja płynnie przeszła w ogólne rozważania magiczne. Tak jak Velirius oczekiwał, zgromadzeni reprezentowali najróżniejsze profesje, od zaklinaczy po uzdrowicieli. Wymiana nowinek i wieści wydawała się nieunikniona, chociaż niektórzy wyraźnie żałowali, że nie znalazł się wśród nich żaden reprezentant krajów mroku. Dobrze jest przecież wiedzieć, na czym stoi konkurencja.

Oczywiście, jak w większości dyskusji, z czasem temat zszedł na politykę, co nieco podgrzało atmosferę. Zwolennicy różnych idei, jak zawsze spierali się o to, kto ma rację. A skrajnych przeciwności wśród magów nie brakowało. Na szczęście potrafili oni kłócić się na wysokim poziomie, bez wyzwisk i przekleństw.

W ciągu całych tych debat Velirius kilkakrotnie doznał kolejnych napadów bólu. Ignorował je jednak uparcie, usiłując całą swoją uwagę skupić na planie, który właśnie zbliżał się do kluczowego momentu.

Po mniej więcej półtorej godziny, gdy prawdopodobnie zapadł już zmrok, rozmowy powoli schodziły na najróżniejsze tematy. Velirius, przysłuchujący się wszystkiemu z wielką uwagą, oczekując na odpowiedni moment, uznał to za swoją chwilę. Instynktownie znowu poprawił kaptur na głowie, a następnie wstał powoli,

wzbudzając wśród niektórych pewne zainteresowanie.

— Panowie... I drogie panie oczywiście – rzekł swobodnie, przywykły w przeszłości do przemówień wśród większego grona. – Czy mógłbym zająć wam kilka chwil swoją skromną osobą?

Odczekał moment, aż wciąż rozmawiające osoby zamilkły, a następnie świadom, iż stanowcza większość uwagi skupiła się w końcu na nim, kontynuował:

— Velirius Karen, do państwa usług. Obecnie ambasador Kaistlanii, choć tak jak wy przyjechałem tu raczej w celach turystycznych. Część z was mogła już o mnie słyszeć...

— Znamy pana, panie Karen — przerwał mu jeden Anarchijczyk, składając ręce w geście zastanowienia. — Choć raczej nie z widzenia. Ostatnimi czasy trudno przeoczyć pańskie działania na Wyspach Anteor.

— Rzekłbym nawet — kontynuował jakiś Kalwadorczyk, spojrzawszy najpierw na poprzedniego rozmówcę — iż część z nas bacznie śledzi pańskie poczynania. Co możemy dla pana zrobić?

— Korzystając z okazji, że zebraliśmy się tutaj tak tłumnie — rzekł Velirius, uśmiechnąwszy się z zadowoleniem. — Chciałbym przedstawić państwu pewną ideę. Liczę również, iż się do niej ustosunkujecie.

— Prosi pan magów o opinię? — Któryś z Anarchijczyków uniósł brwi z rozbawieniem. — Dostałby ją pan tak czy siak, bez względu na prośby. Czy mogę jednak zapytać, jaki ma ona związek z pana aktualną pozycją?

— Ależ żaden — wyjaśnił Velirius stanowczo. — Moje obowiązki ambasadora nie mają z tym nic wspólnego. To raczej element planowanej pracy oraz zainteresowań.

— Tym bardziej mnie pan zaciekawił. Proszę mówić, zamieniamy się w słuch.

— Przez ostatnie dziesięć lat, podczas wielu moich zajęć podróżowałem niemal po całym Voimsisie. Oczywiście skupiałem się głównie na Wyspach Anteor, Nivi-Aten i Podniebne Królestwo odwiedziłem zaledwie raz, lecz... W trakcie tego okresu poznałem stanowczą większość kultur naszego świata. Jak i ich polityki. W każdym razie, służąc wielu wpływowym osobom, oraz analizując historię, zacząłem docierać do różnych wniosków, oraz dostrzegać pewną niezwykle ważną potrzebę. Otóż od zakończenia Ery Światła, świat nasz coraz bardziej przypomina... wybaczcze mi określenie, totalny bałagan. W ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat wybuchły trzy większe wojny, wiele sojuszy się rozpadło, część krajów zdecydowała się na izolację... Ogólnie rzecz biorąc, Voimsis przestał być tak stabilnym miejscem, jak niegdyś.

— Chyba pan nieco przesadza — wtrącił się wśród rosnących szeptów jeden z Shandarian. — Początkowy chaos i wojny można łatwo wyjaśnić rozpadem Cesarstwa Anarchijskiego, odnośnie do reszty zaś... Przykładowo w Shandarii nie zmieniło się zupełnie nic. Z globalnego punktu widzenia oczywiście.

— Tak, możliwe, lecz dla nas czarodziej, zmiana uległo bardzo wiele. — Velirius nie dał się tak łatwo wytrącić z wątku. — Zawieszono wymiany wśród adeptów akademii magii. Odcięto nas od niektórych regionów, do innych mają

dostęp tylko nieliczni, spełniający najczęściej rządowe zachcianki. Niektórym czarodziejom zupełnie przestano też ufać... Słowem, coraz bardziej jesteśmy ograniczani przez nasze pochodzenie drodzy państwo.

— A czy nasza obecność tutaj nie jest zaprzeczeniem pańskiej teorii? — rzekł wysoki Anarchijczyk, ręką wskazując wszystkich zebranych. — Pochodzimy z różnych krajów, a jakoś nikt nie robił problemów z naszym przyjazdem.

— Owszem, lecz proszę zauważyć — odparł Velirius, przewidując wcześniej ów argument. — Anarchijczycy, Kaistlanie, Kalwadorczycy, Shandarianie... Trzy narody światła. I jeden mądrości, wiecznie neutralny. I nikogo z narodów mroku! Żadnego Tokiriana czy Warderlończyka. Wiedzą państwo dlaczego? Bo Ezestea pozostaje pod kontrolą Kaistlanii, która obecnie toczy wojnę z jednym z państw ciemności.

Kaistlancki król więc, niech Bezimienny błogosławi jego decyzje, nie zamierza wpuszczać nikogo z tych krajów. Jako jego ambasador, w pełni rozumiem i popieram takowe działania. Jednak... sytuacja podobnie wygląda na całych Wyspach Anteor. Coraz mniej się ludziom ufa. Czasy bowiem stają się coraz bardziej niebezpieczne...

— Co pan proponuje?

— Tak jak wspomniałem, dostrzegłem pewną potrzebę — kontynuował Velirius niestrudzenie. — Potrzebę stworzenia organizacji, zrzeszającej nas, magów. Takowa organizacja miałaby być apolityczna i akceptowałaby czarodziei niezależnie od pochodzenia czy rasy.

Tak rzekłszy, zrobił krótką przerwę i spojrzał po zebranych. Z części twarzy już w tej chwili dało się odczytać ich kształtującą się opinię. Velirius przewertował ich po kolei, zatrzymując się jednak na dłuższą chwilę przy Elieilijasie. Kael-Kirian minę miał nietęgą, doświadczony obserwator od razu by zrozumiał, że już w tej chwili koncepcja się mu zupełnie nie podoba. Czarodziej milczał jednakże, czekając chyba na zakończenie wywodu.

— Utworzenie owej organizacji znacznie poszerzyłoby nam perspektywy — wznowił temat Velirius. — Po pierwsze ułatwiłoby to powszechną wymianę informacji i wiedzy, gdyż w mojej wizji, miałyby ona wpływy i placówki na całych Wyspach Anteor. W dodatku mogłaby współpracować z akademiami magii z najróżniejszych krajów. Co najważniejsze jednak, z czasem, dzięki wytrwałej pracy i zachowaniu apolityczności, czadzieje z owej organizacji, zyskaliby zaufanie poszczególnych władców, którzy przecież od czasu do czasu potrzebują naszych usług. W ten sposób, przywrócone by nam zostały nasze dawne możliwości. Oczywiście nie twierdzę, iż stałoby się to od razu. Zaufanie jest czymś, co buduje się z trudem, lecz uważam, że się opłaci. Przez ostatnie lata utraciliśmy masę naszych przywilejów... dlatego wierzę, iż powinniśmy jak najszybciej spróbować je odzyskać. Tyle ode mnie panowie. Teraz pragnę usłyszeć waszą opinię.

Niestety nim ktokolwiek inny zdołał ją sformułować, do dyskusji wkroczył długo na to czekający Ealian Elieilijas. Velirius poruszył się niespokojnie.

— Ogólnie, w życiu nie słyszałem większego steku bzdur. Chcesz zgromadzić w jednej organizacji wszystkie rasy? — spytał Kael-Kirian, ignorując grzecznościową

formę. — Przecież one mają zupełnie różne kultury i obyczaje. Sam o konflikt wewnętrzny się prosisz. A biorąc pod uwagę, jaką profesję chciałbyś swoją grupą zrzeszać, byłby to konflikt magiczny, najgorszy ze wszystkich.

— Mam nieco inne zdanie — odparował natychmiast Velirius. — Uznając, iż czarodzieje są mimo wszystko osobami na poziomie, w większości umiejącymi kontrolować swoje emocje niezależnie od rasy, przy ustaleniu kilku ogólnych zasad, dałoby się spokojnie współpracować. Oczywiście owe zasady musiałyby zaakceptować każdy, niezależnie od pochodzenia i pozycji. Kłótnie międzyrasowe w ten sposób byłyby zażegnane albo przynajmniej kontrolowane.

— Ha, dobry żart. — Wywód zupełnie nie przekonał Elieilijasa. — Chyba nigdy nie dyskutowałeś z krasnoludem.

— Ależ wręcz przeciwnie, dyskutowałem — zaprzeczył Velirius, a następnie dodał, uznając, że trzeba nieco rozluźnić atmosferę. — Powiem więcej, piłem z nim. Niesamowite doświadczenie.

Kilka osób parsknęło śmiechem, ale poza tym, nikt nie wtrącił się do wymiany zdań.

— Wiem, że będąc starszym, wątpisz w moje doświadczenie Elieilijasie — zaczął ponownie Karen, również schodząc z grzecznościowej formy. — Lecz podczas swoich podróży, miałem do czynienia z wszystkimi rasami Voimsisu, wliczając w to nawet smokonów i wyzwolonych.

Rozległy się niepokojące pomruki. Poruszony został delikatny temat.

— A zatem chcesz i wyzwolonych dołączyć do swojej wesołej gromadki — odparł Ealian niemal prześmiewczym tonem. — Cóż, początkowo dawałem tej twojej organizacji nawet parę lat życia. W tej sytuacji jednak rozpadnie się w przeciągu czterdziestodnia. Żaden elf nie usiedzi w jednym pomieszczeniu z wyzwolonym dłużej niż minuty. Pomijając oczywisty fakt, iż wszyscy nieumarli powinni zostać już dawno wyrżnięci w pień.

Velirius, zrozumiawszy, iż przeciwnik pełnym przypadkiem dał mu do ręki broń, przybrał nieco dostojniejszą pozę i oznajmił oficjalnym tonem:

— Jako ambasador Kaistlanii, jestem zmuszony uznać owo zdanie jedynie za personalną opinię. Pragnę przypomnieć, że królestwo zezwala Ostoi Umarłych na istnienie i przez ostatnie setki lat, nie doczekało się z jej strony żadnych problemów. W przeciwieństwie do Kael-Kirii, która od czasu do czasu ponawia swoje żądania o przykładowo, deportacje astriadów. Senelatiri wydaje się przy was naprawdę bezproblemowe.

— Tylko dlatego, że wasz król wciąż jest w stanie je zmiażdżyć jednym skinieniem ręki — odparł Elieilijas lekceważącym tonem. — Poczekaj, aż się ów stan zmieni.

— Chyba sobie odpuszczę — rzekł Velirius, spuszczać nieco z tonu. — W każdym razie nic nie mówiłem o przyjęciu wyzwolonych do organizacji. W świadomości mam jak kontrowersyjne byłoby takie działanie. Mimo to wierzę, że nawet z nieumarłymi, po akceptacji pewnych zasad, dałoby się współpracować.

Musielibyście oczywiście zrezygnować z idei... „wyzwalania żywych”, lecz śledząc bieżącą politykę, wiem, iż nie wszyscy z nich ją wyznają.

— Czyli mimo wszystko chciałbyś ich u siebie. Kogo jeszcze byś zaprosił? — Ton Ealiana wyraźnie zahaczał o kpinę. — Może orków?

Rozległy się drobne śmiechy. Dyskusja ewidentnie zaczęła się obserwowanym podobać.

— Przecież oni nie mają w ogóle magii — rzekł jeden z Shandarian, starając się zachować powagę rozmów.

Velirius westchnął zrezygnowany. Przewidywał utrudnienia w realizacji planu, lecz kłótni ze słynnym kael—kiriańskim zaklinaczem zupełnie się nie spodziewał.

— Uprzejmie proszę o nieco bardziej sensowne argumenty — odparł i starając się ukazać własną obojętność względem kpin, nalał sobie do kubka jakiegoś napoju.

— Uważam bowiem, że wyczerpaliśmy kwestię rasową.

— Przejdźmy więc na narody. Część z nich jest po prostu naturalnymi wrogami i żadna akceptacja reguł tego nie zmieni. Mrok zawsze będzie chciał walczyć ze światłem, a obecne „ograniczanie możliwości”, jak to nazwałeś, jest tylko tego dowodem.

— Może niektórzy zarzucą mi przesadny optymizm — Velirius rozejrzał się pogodnie po zebranych — lecz wierzę, że śmiertelnicy potrafią wznieść się ponad owe „naturalne konflikty”, powstrzymać swoje instynkty i myśleć samodzielnie. Państwa mroku przez całą Erę Światła nie były zarzewiem konfliktu. No, może pomijając Kwiat Mroku i Krwi... ale to tylko jeden wyjątek. Można się zatem z nimi jakoś dogadać.

— Niemożliwe... Mam dziwne wrażenie, że słyszę echo przestarzałej polityki waszego byłego cesarza, Eneriasa Kaznera. Posłuchaj mnie wyraźnie ambasadorze. — Kael-Kirian miał w głosie ostrzegawczą nutę. — Wojna, którą obecnie prowadzi twój król, jest najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się temu światu od pokoleń. Dlaczego? Bo w końcu Kaistlania, dzieląca swój kontynent z Tokirianami może ostatecznie pokonać swych konkurentów, powstrzymując raz na zawsze ich złodziejskie interesy. Tokiria od wieków trzyma kupieckie społeczności w swych szponach, narzucając na nie wysokie haracze i cła. Wiesz, ile konfliktów wybuchło z tego powodu? Ile ludzi zostało zamordowanych dla pieniędzy? Nie da się zliczyć, lecz toczona obecnie wojna, dzięki bogom to powstrzyma. Jestem świadom, że jej wybuch ograniczył nam mocno możliwości. Czasem jednak trzeba dobrowolnie zrezygnować z przywilejów, aby ktoś inny mógł dokonać słuszných czynów. Choć wiem, że wam ludziom trudno to zrozumieć.

Velirius złożony dłonie, w milczeniu słuchał monologu, gdy zaś ten się zakończył, spytał jedynie:

— A jak się ów wywód ma do wewnętrznych konfliktów w mojej organizacji...? Bo chyba się nieco zgubiłem.

— Posłuchaj więc człowieka... — Elieilias był wyraźnie podirytowany lekceważącym tonem przeciwnika. — Założmy teoretyczną sytuację, w której

przyjmujesz do swojego zgromadzenia zarówno Warderlończyków, jak i Anarchijczyków. A następnie, po kilku latach wybucha wojna między tymi państwami. Przecież konflikt wewnątrz organizacji ją odwzoruje! Nie twierdzę, że magowie od razu się na siebie rzucą, ale na pewno zaczną ze sobą konkurować, zupełnie niszcząc nawzajem swoje interesy.

— Niekoniecznie — zaprzeczył Velirius gorliwie. — Przecież dołączając, deklarują całkowitą apolityczność. Owa wojna nie powinna ich więc zupełnie obchodzić. Celem organizacji będzie rozwój czarodziejstwa, a nie ingerowanie w politykę Voimsisu.

— Odbierasz więc jej członkom możliwość podążenia za własnym narodem?

— Nie. Zrzekli się jej dobrowolnie. Nikt nie kazał im przecież dołączać.

— Chcesz więc aby pracujący w niej Anarchijczycy patrzyli obojętnie, gdy ich rodacy są mordowani a kraj dewastowany?

— Mam dziwne wrażenie, że nasza dyskusja zaczyna zahaczać o sytuacje skrajne — zauważył Velirius z drobną nutką irytacji w głosie. — Skoro już w to zabrnęliśmy jednakże... w mojej opinii obowiązek obrony kraju i prowadzenia wojny spoczywa na władcy państwa i jego armii. Zatem na służących mu raczej magach bitewnych, a nie zwykłych wioskowych zaklinaczach, uzdrowicielach czy badaczach. — Tu kiwną głową w kierunku przewodniczącej ekspedycji, Irianny, która od jakiegoś czasu również przysłuchiwała się dyskusji. — Jeśli jednak ktoś z organizacji poczułby, że tak to ujmę, zew ojczyzny, mógłby przecież w każdej chwili wystąpić z jej szeregów i dołączyć do wojny.

— Ale miałyby silną alternatywę, co może się okazać niebezpieczne. Organizacja odводziłaby ludzi od powinności, a zatem działała na niekorzyść twojego kraju.

— Jako osoba akceptująca jej zasady, zatem i apolityczność, nie bardzo rozważałbym wydarzenia w perspektywie „mojego kraju”. Patrzyłbym raczej globalnie.

— Czyli stworzył zreszenie kolaborantów i tchórzy. — Elieilijas pokręcił głową z pogardą. — Którzy albo się boją walczyć, albo mają gdzieś własną powinność.

— Raczej ludzi zainteresowanych czarodziejstwem i rozwojem, a nie polityką i narodowymi „przeznaczeniami”. — Velirius sam u siebie spostrzegł niebezpieczną nutę. Lękał się jej. — Niektórzy z nas po prostu wyznają nieco inne wartości i stawiają swoje dobro bądź zainteresowania ponad owe „boskie powinności”. Choć... parafrazując twoje własne słowa, wiem, że wam elfom trudno to zrozumieć.

I wówczas przerwał, zaskoczony kolejnym atakiem bólu. „*Ciemność. Blisko. Śmierć. Bądź czujny!*” krzychała mu w żyłach krew, jak zawsze walcząc z rozsądkiem. Czarodziej wyjaśnił naprędce przerwę nagłym kaszlem. Sięgnął też po nalany napój i w czasie gdy ból przechodził, udawał, że chłodzi rozbolełe gardło.

— Zaczynam mieć wrażenie, że ty po prostu nie lubisz elfów — rzekł Elieilijas, krzyżując ramiona.

Velirius, wyprowadzony z równowagi zarówno atakiem bólu, jak i postawą Ealiana, wstał i opierając ręce o blat stołu, powiedział z irytacją:

— Masz rację. Nie lubię elfów. A wiesz dlaczego? — Zrobił krótką pauzę. — Bo się nie sprawdziliście.

— Nie sprawdziliśmy się? — spytał Elieilijas, bębniąc gniewnie o stół.

— Owszem. Od początku waszym celem miała być walka z mrokiem. Obrona ludzkości. Tymczasem wy siedzicie sobie radośnie na swojej pięknej wyspie i zajmujecie się rozdrapywaniem ran, które Voimsis już dawno zagoił.

— Co? — Ealian również wstał. — Zarzucasz nam bezczynność? Nie masz pojęcia, jak wiele dla was poświęciliśmy człowieku... w jak wielu bitwach was wspomogliśmy...

— Słucham więc! Wojna domowa w Królestwie Anarchijskim. Cemu nie zareagowaliście?.

— Ludzie przeciw ludziom. Nie nasza sprawa.

— Barbarzyńskie ataki na Smokonię.

— Odmówili pomocy.

— Wojna między Kaistlanią a Tokirią.

— Kaistlanie poradzą sobie bez nas.

— Osiemset lat istnienia Senelatiri, Ostoi Umarłych.

— Twój król trzyma ich w szachu.

— Wymówki! — zawołał Velirius, wznosząc ręce wysoko. — Oto czym są wasze argumenty. Wiesz... kiedyś wierzyłem w Kael-Kirię. Byłem święcie przekonany, że zareagują, ale potem zrozumiałem, jak bardzo nasi „obrońcy” się rozleniwili. Obarczacie obowiązkiem walki, kogo tylko się da, aby samemu go uniknąć. Przez jakiś czas nawet zastanawiałem się, czemu takowe opinie o waszym królestwie pojawiają się dopiero teraz, a nie setki lat wcześniej. I wiesz co? Podczas wielu moich podróży, w końcu to zrozumiałem! Za was po prostu ktoś ciągle odwalał robotę!

— Że jak? — Elieilijas wydawał się zdezorientowany i oburzony teorią. — Kto niby?

— Jedyna osoba, która mogła. Enerias Kazner i jego Cesarstwo Anarchijskie!

— Bzdury...

— Enerias Kazner, na początku Ery Światła zasiadł na tronie i przyjął ciężkie brzemie opieki nad Wyspami Anteor. Niczym troskliwy ojciec pilnował, aby żadnemu narodowi nie stała się krzywda. Wybuchął konflikt? Pojawiał się tam natychmiast, aby powstrzymać go, jeśli się jeszcze dało, lub doprowadzić go do końca, gdy nie było odwrotu. Przeanalizuj historię. Wielka Wojna Przeciwko Nieumarłym, Elfie Wyzwanie, Orkowa Rewolucja, Bunt Smokonów... On wszędzie tam był, pilnując, aby wydarzenia nie wymknęły się spod kontroli. Jak odpowiedzialny ojciec, bierze pod uwagę wszystkie swoje dzieci, tak Enerias Kazner zważał na każdy naród! Jak odpowiedzialny ojciec, nie pozwalał im również na wszystko, lecz uczył karami i nagrodami, aby w końcu zdołały same egzystować. I ostatecznie niczym kochający ojciec widzący, że w części dzieci narasta zło, nie odrzucił narodów mroku, tylko dał im szansę! Pokazał, iż jeśli chcą, mogą w pokoju żyć z innymi i nikt nie ukarze ich jedynie za „możliwości”.

Zamilkł na chwilę, dając słuchaczom nieco ochłonąć.

— Niczym opiekun stał na straży, gdy przysłowiowe „dzieci” zajęte były zabawami — powiedział, a następnie ponownie wzniosł głos. — Lecz w końcu zginął! Zaskakujące doprawdy! Po dziewięciu setkach lat ludzkość już dawno przestała wierzyć, że to możliwe, a jednak ostatecznie odszedł z tego świata. I co robią dzieci, gdy nagle zabrakło rodzica? Radują się, iż nareszcie nikt nie mówi im co wolno, a czego nie wolno! I ich zabawy stają się coraz odważniejsze, coraz bardziej niebezpieczne, tylko patrzeć jak któreś zrobi sobie krzywdę, lub co gorsza, zginie. I kogo wtedy będziemy winić, Eneriasa Kaznera, który z własnej woli przyjął ów obowiązek i przez całe życie, uważnie go wykonywał, czy może Kael-Kirię, która pierwotnie ów obowiązek otrzymawszy, wołała je zrzucić na kogoś innego?

— Kłamstwa i oszczerstwa...

— Powiedz mi, Ealianie Elieiliasie — Velirius wskazał dłonią na rozmówcę. — Dlaczego ty, przedstawiciel rasy, która zdecydowała się odrzucić własne przeznaczenie, zarzucasz nam, ludziom, stworzonych wyłącznie do szczęśliwego życia, ignorowanie właśnie tych powinności? Bo ja tu chyba po prostu czegoś nie rozumiem!

Kael-Kirian zacisnął pięści i uderzył nimi o stół. Kilka podręcznych amuletów wypadło z jego szaty i potoczyło się po podłodze.

— Dostosowujesz fakty... — rzekł powoli, próbując kontrolować swój gniew. — Do rozmowy. Przeinaczasz je, tak aby wyglądało, że masz rację. Połowa z tego, co powiedziałeś to totalna bzdura. Ubóstwiany przez ciebie Enerias Kazner miał więcej na sumieniu niż ci się wydaje. Zadał mnóstwo cierpienia jak setki władców przed nim.

— Bo był tylko człowiekiem, na bogów! — zawołał Velirius, ponownie unosząc wysoko ręce. — Popętniał błędy! Każdy to robi. Znajdź mi jednego śmiertelnika, który jest bez winy.

Ealian milczał przez chwilę, a następnie rzekł, uspokoiwszy się nieco:

— Podtrzymuję swoją opinię. Przeinaczasz fakty. Manipulujesz dyskusją. Masz do tego duży talent, przyznaję. Proponuje wrócić do twojej organizacji człowieku. Chcesz, aby ignorowała problemy naszego świata, zajmując się wyłącznie swoimi? A jak wówczas ocenicie co dobre a co złe? Gdy świat zaleje fala ciemności, usiądziecie z boku i stwierdzicie „nas to nie dotyczy”? Cóż... może rzeczywiście nie. A przynajmniej nie bezpośrednio, lecz przecież żyjecie w tym świecie prawda? JAKIŚ wpływ on na was wywiera. Skąd będziesz wiedział, że nastał moment, w którym czas działać? A może w ogóle nie przewidujesz takiego momentu? Planujesz żyć beztrudno, nie patrząc, co się dzieje dookoła?

— Ależ absolutnie nie — odparował Velirius, również ochłonawszy nieco. — W mojej wizji, organizacja również podejmowałaby pewne kroki, w skrajnych przypadkach. Choć wciąż, apolitycznie.

— Skąd będzie więc wiedziała kiedy?

— Pozostawiam tę kwestię raczej ustaleniom, dyskusjom i rozmowom. W

skrócie, ludziom.

— Ludzie mogą się mylić.

— Jak każdy. Nawet przeznaczenia i powinności. Osobiście, zawsze wychodziłem raczej z założenia, że magowie powinni służyć bogom, a nie narodowi.

— Przecież to dokładnie to samo...

— Absolutnie nie — zaprzeczył Velirius żywo.

— Bogowie stworzyli narody i wpływają na ich losy.

— Właśnie. Wpływają, lecz na czele samych narodów wciąż stoją śmiertelnicy.

A ci znacznie częściej zamieszani są w ciemne interesy, korupcje, własne żądze i tym podobne. Nie twierdzę, iż tak jest zawsze. — Czarodziej uspokajająco machnął rękoma w kierunku nieco wzburzonych słuchaczy. — Mamy setki przykładów znakomitych władców, wliczając w nich, niech Bezimienny pobłogosławi jego decyzje, obecnego króla Kaistlanii. Lecz śmiertelnicy bywają różni!

— Nie mogę się do końca zgodzić — Elieilijas brnął dalej niestrudzenie. — Konflikty naszego świata wybuchają zarówno z powodu bogów, jak i nas.

— Podam więc przykład — Velirius ponownie zaczął się nieco irytować. — Elfie Wyzwanie, największy błąd Cesarza, którego twoim zdaniem tak ubóstwiam. Myślisz, że gdy Anarchijczycy szykowali się do wojny, Bezimienny, wyznawany przez nich bóg wołał wśród połaci eteru „Naprzód do boju moi żołnierze!”? Przecież atakowano wyznawców Bogini Natury, z którą od wieków współpracował! Konflikty nigdy nie było w planie ich obojga. Cała ta wojna była winą upartych Lenarioleńczyków, którzy wyzwanie rzucili i dumnych Anarchijczyków, którzy je przyjęli. Nikogo innego. W uproszczeniu oczywiście. I gdyby wówczas magowie zamiast swego cesarza, posłuchali bogów, od razu odmówiliby udziału w konflikcie! Kaistlanccy czarodzieje zresztą tak zrobili, jeśli dobrze pamiętam. Zapłacili za ów czyn jednak okropną cenę.

— Co tylko dowodzi, iż nie powinni...

— I znowu, absolutnie nie. — Velirius zwrócił się do wszystkich zebranych. — W tamtych czasach bowiem idea apolityczności niemal nie istniała! I właśnie dlatego potrzebujemy mojej organizacji! Aby nikogo nie dziwiło, że nie interesuje nas polityka. Będziemy mogli sami podejmować decyzję, a nie oddawać ją ludziom ponad nami.

Zapadła cisza. Karen był wyczerpany. Spoglądał tylko kolejno po magach, starając się odgadnąć ich opinię na temat sprawy, lecz większość z miną głębokiej zadumy wpatrywała się w ogień, jakby analizując jeszcze cały temat. Znalazło się co prawda kilku, których kiwanie głowami prawdopodobnie oznaczało sukces, lecz stanowili obecnie mniejszość. Katrila zaś posłała Veliriusowi buziaka.

Mężczyzn podrapał się po brodzie z zastanowieniem. Przewidywał podobny skutek. Czarodzieje potrzebowali czasu na dojście do własnych wniosków, a zbliżająca się noc, stanowiła do tego idealną okazję. Jemu zresztą również przydałby się odpoczynek.

— Chciałem tylko powiedzieć — Elieilijas przerwał moment zadumy, spoglądając na przeciwnika z mieszaniną pogardy i irytacji — że podtrzymuje swój

pierwotny wniosek. W życiu nie słyszałem większego steku bzdur.

Velirius zrezygnowany westchnął przeciągle, odrzucając głowę za siebie. Zupełnym przypadkiem rzucił w ten sposób kaptur, ukazując wszystkim swoje długie szpiczaste uszy.

— Jesteś astriadem! — wykrzyknął nagle Ealian i nim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, w powietrzu mignęły magiczne symbole i jego rękę otoczyły błękitne błyskawice.

Zaskakując wszystkich, Kael-Kirian zamachnął się prędko i posłał w kierunku przeciwnika bitewne zaklęcie. Velirius, kompletnie nie spodziewając się takiego obrotu spraw, nie zdołał nawet mrugnąć. Pocisk już miał trafić w cel, gdy wtem jedno silne uderzenie Litty zvaliło ambasadora na ziemię. Piorun trzasnął z hukiem o ścianę.

Elieilijas zaklął pod nosem, a następnie wskoczył na stół, aby ponownie zaatakować. Wojowniczką jednak nie czekała. Błyskawicznie znalazła się na równi z magiem, przeleciała nad ogniskiem i korzystając z siły rozpędu, potężnym uderzeniem rzuciła napastnika z podwyższenia. Ealian wylądował żałośnie pod kolumną, lecz wciąż stanowił realne zagrożenie. Doceniwszy przeciwniczkę, w jej kierunku skierował swą dłoń, ale kiedy już kończył inkantację zaklęcia, oberwał nagle z rzuconego przez Littę garnka i zanim zdążył się w ogóle otrząsnąć, kobieta znajdowała się przy nim.

Ealian był elfem. Z założenia miał wzrost większy od ludzi. Litta Melgotez jednak stanowiła prawdziwy ewenement wśród swojego gatunku. Chwyciła czarodzieja za szaty i bez trudu uniosła go wysoko, przygważdżając do ściany. Następnie, drugą dłoń położyła mu na szyi, uniemożliwiając mówienie.

— Ealianie Elieiliasie, podniósłeś rękę na królewskiego ambasadora Veliriusa Karena — rzekła głośno i wyraźnie, aby wszyscy słyszeli. — Przypominam, że znajdujemy się na Ezestei, podlegającej Królestwu Kaistlanii, gdzie kael-kiriańskie zasady nakazujące ściganie i zabijanie astriadów nie mają prawa bytu. Jestem zmuszona uznać czyn twój za próbę morderstwa. Zostaniesz natychmiastowo odtransportowany na Kahvel, gdzie osądzą cię ludzie króla. Odradzałabym dalszy opór.

Na drobny moment zapadła zupełna cisza, lecz potem nagle wiele osób zaczęło mówić jednocześnie, powodując straszne zamieszanie. Większość z powodu emocji zupełnie zapomniała o wspólnym języku i używała własnego, tylko potęgując powstały chaos. Część też wstała energicznie, przewracając przy tym krzesła.

Wśród tego całego bałaganu Irianna, dowodząca zasadniczo większością osób dookoła zdołała wezwać z góry jakiegoś strażnika, który od razu skuł Kael-Kiriana. Dodatkowo jeden z przebywających w pomieszczeniu anarchijskich magów bitewnych zaoferował swą pomoc, dla większego bezpieczeństwa.

Velirius, wciąż oszołomiony, spoglądał na całą sytuację ze strachem, lecz po kilku chwilach zwrócił się do Litty:

— Uratowałaś mnie... — Głos mu się łamał. — Nie wiem jak ci dziękować...

— To moja praca — odparła kobieta obojętnie, a następnie dodała szybko. — Dasz sobie radę przez chwilę prawda? Skoczę do kwatery po maść na oparzenia.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pomieszczenia. Czarodziej zdołał jeszcze dojrzeć, iż rzeczywiście ręka, którą go rzuciła z krzesła, nosiła ślady gorąca. Tymczasem przedstawiciel prawa zdecydował się wyprowadzić Kael-Kiriana. Pilnując, aby ten nie mógł rzucić żadnego zaklęcia, odeskortował go do wyjścia. Elieilijas jednak niespodziewanie zatrzymał się przy Veliriusie. Spojrzał czarodziejowi prosto w oczy i będąc obserwowanym przez wszystkich, powiedział, oddzielając dokładnie każde słowo:

— Wszyscy... jesteście... martwi... astriadzie. I to nie jest groźba, tylko stwierdzenie faktu. — Następnie ruszył z wolna i opuścił pomieszczenie.

Zapadła cisza, wśród której Karen zdał sobie sprawę, iż na podłodze przed nim leży niewielki amulet, prawdopodobnie jeden ze zbioru Ealiana. Kiedy tylko uniósł dłoń, aby go podnieść, odezwała się Irianna, zwracając powszechną uwagę:

— Cóż... Po tym nieprzyjemnym zajściu proponuję udać się do kwater. — Głos miała uspokajający, jakby podobne sytuacje nie robiły na niej wrażenia. — Zmrok już zapadł i prawdopodobnie wszyscy potrzebują odpoczynku. Jutro oczywiście jak już wcześniej informowałam, planowo poprowadzę zwiedzanie.

Powoli ludzie się rozchodzili, rozmawiając jednocześnie między sobą. Zgodnie z naturalną reakcją już komentowali jeszcze świeże wydarzenia. Velirius jednak ich nie słuchał. Ze skupieniem obracał w dłoni lśniący amulet, zastanawiając się jednocześnie czy odnieść go właścicielowi. Ostatecznie uznał, że Elieilijasowi należy się pewna nauczka, a utrata jednego przedmiotu raczej nie odbije się tragicznie na jego zarobkach.

Podniósł się w końcu z krzesła, chowając amulet do kieszeni. Wtedy podeszła do niego Katrila. Rozejrzała się naprędce czy nikt ich nie obserwuje, a następnie energicznie objęła czarodzieja.

— Veliriusie Karen — rzekła, uwalniając go w końcu z uścisku. — Przysięgnij mi, że nigdy więcej nie będziesz irytował niebezpiecznych elfów!

— Tak pani doktor. — Mężczyzna natychmiast odzyskał dobry humor.

— Bogowie Ver... Nawet nie wiesz, ile strachu się przez ciebie najadłam. Nic ci nie jest?

— Nie... trochę bark boli od upadku na ziemię, ale to mała cena za uniknięcie spotkania z magiczną błyskawicą.

— Będę musiała podziękować twojej ochroniarz...

— Próbowałam, ale chyba uznaje podziękowania za zbędne.

Czarodziejka wzruszyła ramionami nieprzekonana. Chyba nie odwiódł jej od pomysłu.

— Idę do kwatery — oznajmił ostatecznie mag, ruszając w kierunku wyjścia. — Chyba zasłużyłem na trochę odpoczynku. Może poczytam jakąś książkę. Zabrałem kilka na wypadek nudów.

— Wpadnę do ciebie za chwilę. Muszę tylko coś jeszcze załatwić.

Rozeszli się. Velirius przemierzał samotnie pradawne korytarze, szukając swojej kwatery, z numerem dziewiętnaście, o ile dobrze pamiętał. Nim jednak odnalazł ją pośród mrocznego labiryntu, usłyszał niedaleko gniewne, podniesione głosy. Zaintrygowany, zbliżył się do źródła sporu. Ku jego zdumieniu ujrzał dwóch „nadmiernych miłośników smokonów”, jak określał czerwonych czarodziei, dynamicznie kłócących się z nikim innym jak jego ochroniarz, Littą Melgotez.

— Co się stało? — spytał, dołączając do dyskusji. — Pan Enerias tak?

— Aderis — zaprzeczył Anarchijczyk, kręcąc głową. — Enerias jest chyba jeszcze w głównej sali. W każdym razie pańska ochroniarz została przyłapana na grzebaniu w naszej kwaterze.

— Słucham? — spytał zdumiony Velirius, a następnie zwrócił się do wojowniczkii. — Wyjaśnisz Litto?

— Myślałam, że to moja kwatera — odparła kobieta po prostu.

— Przecież są podpisane. A ty dostałaś dwudziestkę. Zobacz. — Wskazał na drzwi. Widniał na nich wyraźny napis „Kwatera trzydziesta”.

— No może i jest napisane, ale nie po kaistlancku.

Karen wybuchł nagłym śmiechem, natychmiastowo rozładowując całą sytuację.

— Oczywiście, że nie po kaistlancku — rzekł w końcu, próbując opanować rozbawienie. — Mamy gości i spoza Kahvelu. Napisali więc w języku kupców, tokiriańskim, który każdy szanujący się czarodziej zna oczywiście.

— Czarodziej może i tak...

— Proszę wybaczyć mojej ochroniarz — Velirius zwrócił się do dwóch anarchijczyków. — Popełniła drobny błąd.

— Ależ nie ma problemu panie ambasadorze. — Po tonie dało się rozpoznać, iż miłośnik smokonów również był nieco rozbawiony. — Nie śmiałbym zresztą jej o nic obwiniać. Nie po tym, co pokazała dziś po dyskusji. Wyrazy uznania dla umiejętności droga pani — dodał, zwracając się już bezpośrednio do Litty. Kobieta pozostała niewzruszona.

Anarchijczycy po chwili zniknęli za drzwiami własnej kwatery, a Velirius ponownie rozpoczął poszukiwania swojej. Zanim jednakże mu się udało, ponownie złapała go Katrila.

— Jacyś dwaj Shandarianie chcą z tobą porozmawiać — rzekła nieco zdyszana. Chyba biegła większość drogi.

— Ach... pewnie Yoishi z bratem. Dziękuję moja droga. Nie męcz się już dzisiaj dla mnie. Idź się zająć sobą.

— Wolę nie. Jeszcze wpadniesz beze mnie na jakieś głupie pomysły. Zresztą obserwowanie jak ci idzie, jest bardzo zabawne.

Mężczyzna nie oponował. Wrócili więc do głównej sali. Wbrew zaleceniom, znajdowało się w niej jeszcze sporo osób. Irianna dyrygowała kilkoma pracownikami ekspedycji, organizując sprzątanie i wygaszanie ogniska, miłośnik smokonów, Enerias zgodnie ze słowami swych towarzyszy, oglądał z wyraźnym zainteresowaniem

pradawną płaskorzeźbę, a jakiś Anarchijczyk dopijał powoli bliżej nieokreślony napój. Prócz nich, przy wejściu stało oczywiście dwóch Shandarian.

— Jesteśmy mile zaskoczeni ambasadorze Karen — oznajmił Yoishi, gdy tylko znaleźli się w zasięgu głosu. — Wiedzieliśmy co prawda, że coś pan planuje, lecz nie spodziewaliśmy się aż tak rozbudowanych zamiarów. Zwłaszcza, iż naszym zdaniem jest pan jedyną osobą zdolną je zrealizować.

— Wracamy jutro do Shandarii — kontynuował jego brat, dość swobodnym tonem. — Może być pan pewien poparcia naszej Akademii Magii. Przekonamy, kogo trzeba.

— Kłaniam się unizenie z wdzięczności panowie. — Velirius rzeczywiście wykonał drobny ukłon. — Czym sobie zasłużyłem na takową pomoc?

— Prawidłowymi wnioskami — odparł Yoishi, składając ręce razem. — Tylko one do nas przemawiają.

Pijący akurat Anarchijczyk, mimowolnie słysząc rozmowę, zdecydował się wyrazić własną opinię:

— Szczerze mówiąc, mnie też pan przekonał. Choć w pewnych aspektach zgodzić się nie mogłem. Przykładowo w kwestii wyzwolonych. No, ale ciężko o całkowitą zgodność w poglądach. A skoro już rozmawiamy w mniejszym gronie, z ciekawości... — stwierdził nagle, zmieniając zupełnie temat. — Pan z Kael-Kirian czy Lenariolenczyków?

— Lenariolenczyków — odparł Velirius z uśmiechem. Otwartość Anarchijczyków zawsze budziła w nim dobre emocje — Matka pochodziła z Kainei-Laria.

— Przypadek jakich wiele, ale niektórzy tego po prostu nie mogą zaakceptować. W każdym razie pobratymców Elieilijasa to pan nie przekona. Żaden Kael-Kirian nie dołączy do organizacji stworzonej przez astriada.

— Tak? Chyba się pan zdziwi — rzekł Karen z czymś w rodzaju tajemniczego uśmiechu.

— Z wielką chęcią. Naprawdę z wielką chęcią.

Nagle dołączyła do nich Irianna. Prawdopodobnie uporawszy się z całą przewidzianą robotą, zdecydowała się również dołączyć do dyskutujących.

— A ja prawdę powiedziawszy — oznajmiła, chowając niewielki notes. — Wolałabym, aby nigdy pan tutaj nie przyjeżdżał. Aczkolwiek mogę mieć mocno subiektywny punkt widzenia, ze względu na swoją pozycję.

— Nie dziwię się. — Velirius pokiwał głową ze smutkiem. — Chciałem bardzo przeprosić za wywołane zamieszanie. Zupełnie nie przewidziałem lawiny zdarzeń. Gdybym wiedział, jak wrogo Elieilijas jest nastawiony do półelfów, zachowałbym większą ostrożność.

Kobieta machnęła dłonią zrezygnowana.

— Proszę nie przeproszać. Nie pana wina. Ale wciąż czeka mnie z tego powodu masa papierów do wypełnienia.

W końcu do gromadki podeszła ostatnia osoba, Enerias, miłośnik smokonów.

Niestety, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Velirius oparł się nagle o ścianę, powalony przez kolejny, najsilniejszy atak bólu. „*Mrok! Jest tutaj! Nie daj się zwieść! Jesteście w niebezpieczeństwie!*” krzyczała krew, tętniąc mu w żyłach. Nie sposób było jej zignorować.

„Bogowie...” pomyślał czarodziej, przetrzymując natarcie „To coś musi być niezwykle potężne, skoro tyle razy się upomina”.

Ból w końcu minął. Nim jednak ktokolwiek się odezwał, Velirius ze zdziwieniem zauważył, iż jego dłoń świeci. Oderwał ją więc od ściany i obejrzał dokładnie. Wówczas spostrzegł, że to nie jego dłoń, a sama ściana. Zajaśniała ona nagłym światłem i ku zaskoczeniu wszystkich, przed nimi otworzyło się przejście do zupełnie nowego tunelu. Na podłożu odkrytego korytarzu natomiast widniał jarzący się pradawny symbol ognia.

— Na ziemię! — wykrzyknęła Irianna, rozpoznawszy znak.

Velirius znajdował się najbliżej, nie miał szans zareagować na czas. Przed nieuchronną śmiercią ponownie ocalił ją brawurowy skok Litty, która własnym ciałem przewróciła go na podłogę. Pomieszczenie wypełniła pozioma smuga płomieni, osmalając ściany i pochłaniając po drodze wszystkie wciąż leżące na stołach resztki jedzenia. Same meble zresztą też natychmiast zajęły się ogniem.

Oszołomiony Karen usiadł po chwili na ziemi. Od wybuchu dzwoniło mu w uszach, ale poza tym, dzięki jego ochroniarz, nic mu się chyba nie stało. Musiał co prawda poczekać trochę czasu, zanim wszystkie zmysły ponownie zaczęły prawidłowo reagować.

Nim doszedł całkowicie do siebie, klęknięta przy nim Katrila. Miała poparzoną twarz i osmoloną szatę, lecz rany już otoczyła jaśniejącą na niebiesko uzdrowicielską wodą. Na kobiecie ból chyba nie robił wrażenia, nic dziwnego zresztą, patrząc na zawód, jaki wykonywała.

— Nic ci nie jest? — zapytała, kładąc mu dłoń na czole. Następnie sama sobie odpowiedziała. — Nic. Dobrze. Pozostali niestety nie mieli takiego szczęścia.

Wstała i podeszła do leżącego na ziemi Anarchijczyka. Ten jęczał z bólu, nie potrafiąc nawet podnieść się z podłogi. Uzdrowicielka nie czekając ani chwili, natychmiast się nim zajęła.

— I to właśnie miałam na myśli, mówiąc, iż ruiny nie są bezpieczne — oznajmiła Irianna, usiłując wstać. Ręce jednak miała poparzone i ostatecznie dając za wygraną, usiadła. — Wszyscy cali?

— Veliriusowi nic nie jest. Littcie też nie. Shandarianie byli za daleko. Tym tutaj, już się zajmuję, a do pani podejdę zaraz — odparła Katrila skupiona na pracy. — Więc chyba uniknęliśmy najgorszego.

— Tak. Zaraz... — stwierdziła badaczka, marszcząc brwi. Coś się nie zgadzało. — A Enerias?

Zapadła cisza, którą po chwili przerwała wpatrująca się w wyjście z pomieszczenia Litta:

— On uciekł. Prawie natychmiast po wybuchu — oznajmiła, wprawiając w

zdumienie wszystkich obecnych.

— Co? — zdziwił się Velirius, podnosząc się z miejsca. Już ochłonał z szoku. — Tak po prostu nas zostawił? Jesteś pewna?

— Absolutnie. Widziałam.

— Dziwne...

— Ależ wręcz przeciwnie. Naturalna reakcja — odezwała się Irianna, pozwalając się obejrzeć uzdrowicielce. — Nie dziwię się zupełnie.

— Dlaczego?

— Oni boją się ognia. Oni w sensie ci od smokonów. Z powodu tragedii, jaka ich spotkała. To smutne.

— Boją się ognia? Przecież nim władają! — Velirius nadal się dziwił.

— Ogień pod własną kontrolą a ogień pod czyjąś kontrolą to dwie różne rzeczy panie Karen. — Badaczka wstała ostatecznie i poprawiła włosy. — Prosili zresztą o miejsca najdalej od ogniska na wieczór.

Nagle do pomieszczenia wpadło kilku członków ekspedycji, prawdopodobnie zwabionych hałasem. Irianna prędko poinformowała ich o wydarzeniu i wydała stosowne polecenia. Nowe przejście odpowiednio zastawiono i oznaczono, jego badanie zaś przełożono na następny dzień. Osoby ranne zostały natychmiast przeniesione do innych pomieszczeń i poddane opiece medycznej. Na szczęście Katrila okazała się niejedyną uzdrowicielką wśród gości.

Velirius, który dzięki Littcie ponownie wyszedł z opresji bez szwanku, znowu podziękował swojej ochroniarz, a następnie udał się do kwatery. Legł na prowizorycznym łóżku, ukrył twarz w dłoniach i spróbował uspokoić rozbiegane myśli. Napady bólu, próba zabójstwa oraz uruchomienie śmiertelnej pradawnej pułapki. Tego dnia miało miejsce więcej budzących skrajne emocje wydarzeń niż w ostatnich pięciu czterdziestodniach. Miał szczerą nadzieję, że nie czekają na niego kolejne.

Leżał tak chwilę, usiłując myśleć o pozytywnych rzeczach, takich jak sukces swojego planu. Niestety jego umysł zupełnie nie chciał współpracować. Wpadł więc na pomysł, aby odnaleźć Katrile i porozmawiać z nią chwilę. Szybko jednak zrezygnował z tej idei. Uzdrowicielka na pewno miała w tym momencie na głowie strasznie dużo roboty. Zrezygnowany usiadł więc na łóżku, wyciągnął książkę i zaczął czytać.

O tym, że zasnął, przekonał się dopiero w momencie, w którym spadł z łóżka, targany okropnym koszmarem. Ponownie śnił mu się moment, w którym mając osiem lat, musiał uciekać przed rówieśnikami w Lenariolenie. Teoretycznie prawo Królestwa Anarchijskiego, pod którego zarządem znajdował się obecnie Lenariolen, nie miało żadnych wpisów na niekorzyść astriadów i traktowało raczej równo wszystkich obywateli, lecz nie sposób było wyplenić poglądów, które Lenarioleniczcy

przekazywali z pokolenia na pokolenie od wieków. Dlatego zresztą matka Veliriusa, obawiając się o życie syna, wysłała go w wieku czternastu lat z dala od Lenariolenu, do Akademii Magii w Ur, stolicy Królestwa Anarchijskiego.

Czarodziej westchnął przeciągle, usiłując podnieść się z podłogi. Dawno nie miał równie rzeczywistego koszmaru. Przewidywał, że postawa Ealiana oraz jego zachowanie rozbudziła głębokie lęki, które niemal już mu się udało zupełnie stłumić. Nic dziwnego niestety, próba zabójstwa odbiła się przecież nawet na najsilniejszych psychicznie osobach.

Ostatecznie uznawszy, iż nie zdoła tak od razu ponownie zasnąć, zdecydował się przejść na krótki spacer na zewnątrz. Świeże powietrze z pewnością pomogłoby mu oczyścić myśli. Wyszedł z kwatery i już miał skierować się bezpośrednio do wyjścia, kiedy w końcówce korytarza ujrzał znikający cień jakiejś osoby. Z niemałym zdziwieniem rozpoznał w nim sylwetkę swojej ochroniarz. Dlaczego jednak kobieta miałaby o tej godzinie opuszczać komnatę i iść w stronę sali dyskusyjnej?

Przepełniony złymi przeczuciami mag, zbliżył się do sąsiedniej kwatery, tej z numerem dwadzieścia i zapukał w drzwi. Kiedy zaś nikt nie odpowiadał, wszedł do środka. Litty nie było.

— Herzajjowi — zaklął cicho pod nosem, a następnie ruszył za zgubą — A tej co odbiło?

Cichcem przemierzał pradawne konstrukcje, tak aby nie zbudzić śpiących kolegów po fachu. Kilka chwil później dotarł do pomieszczenia, w którym poprzedniego dnia miały miejsce prawie wszystkie wydarzenia. Przekroczył próg w samą porę, aby zobaczyć swoją ochroniarz znikającą w świeżo otwartym nowym korytarzu.

— Litta?! — wykrzyknął zdumiony, zupełnie zapominając o wcześniejszych próbach zachowania ciszy. — Co ty wyrabiasz na Pana?!

Niestety kobieta zniknęła już w cieniu ruin. Jeżeli usłyszała krzyk czarodzieja, musiała go zignorować. Velirius dopadł do nowego przejścia, lecz zatrzymał się przed nim nieco przestraszony. Nie miał doświadczenia w badaniu konstrukcji pradawnych, nowy obszar mógł się więc okazać dla niego śmiertelnie niebezpieczny. Dla Litty zresztą również. Powinien natychmiast poinformować o wszystkim Iriannę. Z drugiej strony czas ten mógłby spowodować, że jego ochroniarz stałaby się już krzywdą. Czarodziej zaś zawdzięczał jej życie. Dodatkowo taka sytuacja mogła się skończyć niemałym skandalem. A tego Velirius wołał uniknąć. O wiele lepiej by było, gdyby dogonił Littę i przekonał ją do powrotu. Zastanawiał się więc przez chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw, gdy nagle coś mu przyszło do głowy.

„Przecież pewnie właśnie tam jest ów mrok, który wyczuwam. Bogowie... Ona jest w wielkim niebezpieczeństwie! My zresztą również. Czemu wcześniej na to nie wpadłem?!” pomyślał, a następnie impulsywnie podjął decyzję. Przywołał magiczne światło i wkroczył w ciemność.

Przemierzał ruiny szybkim krokiem. Na podstawie krótkiej znajomości ze swoją ochroniarz przewidywał, iż Litta raczej biegła. Musiał się więc śpieszyć, aby ją

dogonić. Z drugiej strony, powinien zachować ostrożność wśród pradawnych ścian. Nie wiadomo jakie inne zaklęcia budowniczowie na nich umieścili.

Kilka chwil później ujrzał przed sobą wojowniczkę. Stała przed rozwidleniem, nie bardzo wiedząc, w którą stronę się udać.

— Litta! — zawołał, zbliżając się do kobiety. — Co cię napadło? To miejsce nie jest bezpieczne. Nie powinnaś tu w ogóle wchodzić!

— Był praworęczny — oznajmiła, chyba zupełnie nie słuchając maga. — Prawdopodobnie poszedł więc w prawo, aktywując po drodze wszystkie pułapki — kontynuowała, jeszcze bardziej powiększając niezrozumiałą aurę sytuacji. Potem dodała — Zawróć Karen. To nie twoja sprawa.

— O czym ty mówisz? — Velirius był zupełnie zdezorientowany. — I czy w ogóle słyszałaś, co powiedziałem...?

Ignorując pytanie, Litta wykonała trzy kroki w mroczny korytarz, odślaniając tym samym wielki pradawny symbol ziemi na ścianie. Zajaśniał on silnym światłem i nagle w suficie pojawiło się rosnące pęknięcie. Nie marnując czasu, wojowniczka rzuciła się do przodu, unikając starcia ze spadającymi kamieniami. Upadła we względnie bezpiecznym miejscu. Velirius natomiast spostrzegłszy zbliżającą się w jego kierunku skalną masę, uniósł dłoń i wypowiedział odpowiednie słowa. Ziemia zatrzymała się nagle, posłuszna woli kontrolującego ją czarodzieja.

— Nic mi nie jest! — zawołała Litta zza oddzielającego ich gruzu. — Naprawdę musisz zawrócić Karen!

Dało się słyszeć dźwięk oddalających się kroków, oznaczających, iż kobieta uparcie ruszyła dalej. Velirius zaklął pod nosem siarczyście. Wojowniczka podwójnie go zirytowała, co jednak tylko zwiększyło jego determinację. Ani myślał posłuchać jej rady. Uniósł ponownie dłoń i wypowiedział słowa. Kamienie poszybowały w górę, powoli usuwając się z drogi. Trwało to trochę czasu, lecz ostatecznie korytarz na powrót stanął otworem. Czarodziej nie czekał, tylko ruszył uparcie przed siebie.

Kilka minut później zapadła zupełna cisza. Mężczyzna z rosnącym niepokojem przemierzał budowlę, wciąż korzystając z przywołanego wcześniej światła.

„Mrok na pewno gdzieś tutaj jest...” pomyślał, rozglądając się co rusz, z obawą przed odkryciem czegoś okropnego „Zresztą z pewnością ostrzeże mnie kolejny atak. Muszę tylko być gotowy...”

Krążył wśród dziesiątek zakrętów i rozwidleń przez kilkanaście minut, lecz nie natrafił na żadne pułapki. Być może Litta również tędy przechodziła i uruchomiła już wszystkie symbole. Czy w takim przypadku nie powinien jednak dość szybko odnaleźć jej ciała? Wołał oczywiście tego uniknąć...

Ostatecznie zakręcił po raz kolejny i nagle jego oczom ukazała się olbrzymia sala. Była jeszcze większa od tej, w której odbywała się wcześniejsza dyskusja, lecz rozmieszczenie obiektów przedstawiało się podobnie. Sufit podpierały ciężkie kamienne filary, a na ścianach widniały dziesiątki pradawnych symboli, nieaktywnych na szczęście. Na samym końcu zaś, ustawiono duży marmurowy ołtarz, na którym spoczywał podłużny metalowy kostur, wyglądający zupełnie jak typowa używana

przez wielu czarodziei różdżka. Do niej zaś, powolnym krokiem zbliżał się... miłośnik smokonów, Enerias. Karen zamarł totalnie osłupiony, lecz dwie sekundy później otrząsnął się z szoku. Musiał działać.

— Nie dotykaj tego — wykrzyknął, ruszając z miejsca biegiem. — Jest niebezpieczne!

I w tym momencie spadł na niego kolejny atak bólu. Tym razem jednak czarodziej zdążył się na niego przygotować. Skupił się, otworzył umysł, a następnie całym sobą spróbował opanować napływające do niego informacje. Czystej krwi elfom wychodziło to łatwiej. Były o wiele potężniejsze, więc nie odczuwały nawet żadnego bólu, jedynie poczucie zagrożenia. Między innymi dlatego uznawały astriadów za niegodnych owych instynktów. Po co im one skoro przynoszą więcej strat niż zysków?

Otworzył oczy. Świat tonął w przepływającej magii. Znajdowała się ona wszędzie. W otaczającym go powietrzu, skałach, z których pradawni wznieśli swoją budowlę, a także w spoczywającym na ołtarzu kosturze. Eneriasa natomiast, zamiast czystej mocy, otaczała mroczna energia, kotłująca się dookoła jego chudego ciała.

— Na Bezimiennego — powiedział Velirius, zatrzymując się natychmiast. — Mrok nie jest w kosturze... Tylko w tobie!

Enerias bez słowa usunął maskę, za którą ukrywał dotychczas swoje oblicze. Zamiast twarzy jednak ukazała za nią trupa czaszka. Następnie zdjął też rękawiczki. Wśród ciemności pomieszczenia dało się zauważyć same kości. Karen natychmiast pojął. Mężczyzna nie był człowiekiem, a wyzwolonym. Liszem.

— Prawidłowy wniosek astriadzie — oznajmił nieumarły, podnosząc z ołtarza kostur. — Niestety, trochę spóźniony. To nieco zabawne nieprawdą? Ty i elf mieliście cały dzisiejszy wieczór na odkrycie prawdy, ale zamiast tego woleliście się kłócić, skutecznie zajmując siebie nawzajem. Wielka szkoda... Jestem bowiem prawie pewien, że nie stanowiłbym wówczas dla was wielkiego zagrożenia. Teraz natomiast... zupełnie inna sprawa!

— Nie mam złych zamiarów... — rzekł Velirius, ostrożnie wykonując krok do tyłu, w stronę wyjścia.

— Cieszę się niezmiernie, lecz niestety, ja takowe mam. Moja obecność tutaj nie może zostać zauważona. A ty wiesz nieco za dużo. Musisz więc zginąć. Nic personalnego oczywiście. Gdy znajdą cię za kilka godzin martwego, nikogo specjalnie nie zdziwi, że obozowanie w nowo odkrytych ruinach pradawnych skończyło się tragicznie. Rzekłbym nawet, że niektórzy mogli to przewidzieć.

— Kim ty jesteś... — zapytał Karen z rosnącym przerażeniem. Wykonał też następny krok w tył.

— Czy to ważne...?

Velirius zatrzymał się nagle, zrozumiałwszy pewną sprawę. Był temu wszystkiemu winien. Elieiljas próbował kilkukrotnie ostrzec ludzi, że coś jest nie tak, podczas gdy on zignorował ostrzeżenia instynktu, uznając własną sprawę za ważniejszą. Dalej, zajął całą uwagę Kael-Kiriana dyskusją, gdy ten prawdopodobnie

starał się wykryć źródło ciemności. Aż na końcu, to właśnie on otworzył nowy korytarz, pokazując wyzwolonemu drogę do tego miejsca. Nie. Nie mógł tak po prostu uciec.

Machnął dłonią, przywoławszy magiczne symbole. Zajaśniało zielone światło i Karena otoczyły kamienie. Następnie, na kolejne skinienie pomknęły w kierunku przeciwnika.

— Kontrola — powiedział tylko Enerias, wskazując na astriada kosturem. Z różdżki wystrzelił złoty promień, trafiając prosto w cel. Skąły zatrzymały się w powietrzu i opadły na podłogę.

— Co u licha...?! — zawołał bezgłośnie Velirius, nie spodziewając się takiego ataku. Nagle nie mógł się ruszyć. Oddychał co prawda, ale wszystkie jego pozostałe ruchy tłumiła jakaś obca siła, zmuszając go do całkowitego posłuszeństwa.

— Naprawdę myślałeś, że ujawniłbym się, nie będąc pewien zwycięstwa? — rzekł lisz z czymś w rodzaju ponurej satysfakcji — Głupiś... Teraz astriadzie, cała twoja magia została użyta przeciwko tobie. Jak się z tym czujesz? Boli? Pewnie nie, aczkolwiek przyjemne też chyba nie jest.

— Przestań...

— Właściwie, to trochę szkoda twojej śmierci — stwierdził nieumarły, podchodząc nieco bliżej czarodzieja. — Zdołałeś mnie nawet przekonać do swojej idei podczas dyskusji. No ale cóż... skoro nie ma wyjścia. — Uniósł dłoń, a otoczyła ją mroczna siła. — Giń.

Ciemność pomknęła w kierunku Veliriusa, natychmiast odnajdując swój cel. Zamiast jednak dopaść go i pozbawić wszystkich sił życiowych, tuż przed jego ciałem odbiła się i rozproszyła, uderzając o ściany.

— Co do diaska... — zawołał zaskoczony lisz, ponawiając atak, z analogicznym skutkiem. W końcu jednakże zrozumiał przyczynę. Na szyi wciąż niemogącego się ruszyć przeciwnika, jaśniał metalowy wisior. — Amulet ochrony przed mrokiem? Naprawdę? Powierzasz swoje życie tanim zabawkom? Żałosne. Przebiję tę nędzną osłonę.

Ciemność ponownie rzuciła się na cel, w poszukiwaniu jakichkolwiek ubytków w tarczy, lecz mały przedmiot jaśniał coraz silniej, skutecznie stawiając opór mocom mroku.

— Nic z tego — oznajmił Velirius, odzyskując wiarę. Skupił całą swą wolę na ponownym ruszeniu swojego ciała. — Ten amulet został stworzony przez najpotężniejszego zaklinacza na świecie! Nawet ty nie zdołasz go złamać!

— Przekłety Elieilias... — nieumarły zaklął głośno, ale opór chyba nie zrobił na nim żadnego wrażenia. — Trudno. Zabiję cię zatem w bardziej zwyczajny sposób. Tym gorzej dla ciebie, bo będziesz cierpieć.

Machnął kosturem, a Karen obrócił się, wziął rozbieg i z hukiem uderzył o ścianę. Nie zdołał się nawet otrząsnąć z bólu, kiedy jego ciało ponownie zerwało się na nogi i pognało w przeciwnym kierunku. Po trzecim zderzeniu dało się słyszeć dźwięk łamanych kości. Czarodziej prawie zemdlął z bólu.

— Zostaw go!

Zaskoczony lisz puścił maga i spojrzał ku wejściu do pomieszczenia. Trzymając w dłoniach dwa długie miecze, stała tam Litta. Jej postawa wskazywała na pełną gotowość do walki.

— A no tak... — Nieumarły westchnął przeciągle jakby zmęczony pojawiającymi się trudnościami. — Zupełnie zapomniałem o pani ochroniarz. Nie przejmuj się magu. Zaraz do ciebie wrócę.

Mignęły lśniące ostrza, wojowniczką ruszyła biegiem. Przeciwnik natychmiast skierował przeciw niej potęgę kostura. Promień jednak trafił w kobietę, nie czyniąc jej żadnej krzywdy, ani nie powstrzymując jej przed natarciem.

— Oczywiście... — mruknął lisz, kręcąc głową z niezadowoleniem. — Zero magii.

Do boju ruszyła ciemność. Mroczne pociski minęły w ciszy Veliriusa i pomknęły w kierunku Litty. Wojowniczką zatrzymała się nagle i nacisnęła znajdujące się na jej nadgarstku dziwne metalowe urządzenie. Z przedmiotu wystrzeliła jaśniejąca magiczna tarcza, skutecznie blokując kule ciemności. Broniona potęgą kaistlanckiej technomagii kobieta, pokonawszy już prawie połowę pomieszczenia, ruszyła dalej.

— Kimże ty jesteś na Boga Ciemności!? — zawołał lisz zaskoczony, a następnie skierował kostur ponownie w kierunku czarodzieja.

Velirius wstał uniesiony dziwną mocą. Ignorując palący ból, jego ciało posłusznie wykonywało rozkazy. Machnął kilka razy rękoma i dokończył inkantacje. Kamienie wyrwały się ze ścian i utworzyły potężnego skalnego golema, który natychmiast zastąpił drogę wojowniczkę. Kobieta z zaskoczeniem spojrzała na czarodzieja.

— To nie ja! — usiłował krzyknąć Velirius, lecz z jego ust wydobył się tylko niezrozumiały bełkot. — To ten kostur! Może nim mnie kontrolować!

Litta chyba zrozumiała, lecz niewiele w tej kwestii mogła zrobić. Skoczyła, unikając spotkanie z potężną pięścią kamiennego monstrum, a następnie cięła oboma mieczami w jego plecy. Ostrza niestety zsunęły się z głośnym zgrzytem po jego sylwetce, nie czyniąc mu żadnej szkody. Broń okazała się bezużyteczna w walce z takim przeciwnikiem.

Golem odwrócił się błyskawicznie, a następnie ponownie wziął zamach. Wojowniczką znowu wzniosła technomagiczną tarczę, lecz uderzenie rozbiło ją w drobny mak. Oberwawszy prosto w pierś, odleciała do tyłu i grzmotnęła z hukiem w ścianę. Nie dała jednak za wygraną. Podniosła się prędko i wyjęła kolejne dziwne urządzenie. Grzebała przy nim dosłownie dwie sekundy, a potem skierowała je na przeciwnika. Wystrzelił błękitny promień. Trafiwszy przeciwnika w ramię, odrąbał mu ciężką kamienną rękę.

Nie przejąwszy się stratą golem, rzucił się na Littę. Kobieta ponownie skoczyła, unikając ciosu, a następnie podniosła z ziemi urwany wcześniej kawałek kamiennego ciała. Potem, ku zaskoczeniu wszystkich, rzuciła nim w Veliriusa.

Czarodziej oberwał ostro, przewracając się natychmiast na ziemię. W piersi

poczuł palący ból, prawdopodobnie cios połamał mu żebra. Jak przez mgłę zobaczył jednakże, iż golem rozpada się z głośnym trzaskiem.

„No jasne...” pomyślał, z trudem powstrzymując utratę świadomości „Podtrzymywanie zaklęcia wymagało mojego skupienia. Sprytny ruch”. Chwile potem zdał sobie sprawę, iż kobieta mogła go przecież trafić w głowę i zabić na miejscu. Przełknął ślinę ze strachem.

— Nieźle — odezwał się nagle lisz, spoglądając na zbliżającą się do niego wojowniczkę. — Niestety, straciłaś chyba swoją obronę.

Uniósł dłoń, a mrok pomknął prosto w kierunku kobiety. Ta ponownie spróbowała aktywować tarczę, lecz uderzenie golema uszkodziło technomagiczne urządzenie z jej nadgarstka. Zaklęła głośno, ale było już za późno. Ciemność ją dopadła. Krzyknęła z przerażenia, po czym zaczęła machać rękoma na wszystkie strony, próbując odegnać otaczające ją cienie.

— Strach... — rzekł nieumarły, podchodząc do przeciwniczki na odległość metra. — Nie zdołasz mu się oprzeć. Będzie męczył cię tak długo, aż biedne serce podda się, opadłszy zupełnie z sił. I wtedy w końcu zrozumiesz, dlaczego lepiej jest być wyzwolonym.

Wojowniczka wierzgała na wszystkie strony, próbując wydostać się z pętającego ją mroku. Jej wysiłki jednak stawały się coraz słabsze i słabsze. Traciła siły.

— Śpij moja droga... Śpij snem wiecznym... — szeptał lisz, gładząc bezradną kobietę po głowie.

Velirius z przerażeniem obserwując tę scenę, spróbował wstać. Niestety kostur w dłoni przeciwnika nadal wskazywał na niego promieniem. Czarodziej poczuł rosnącą irytację. W piersi palił go okropny ból, miał złamaną rękę i do tego zostało mu niewiele magii. Bardziej bezbronny być nie mógł.

„Zaraz.” pomyślał, coś sobie uświadomiwszy „Mało magii. No jasne!”

Skupił się resztką swoich sił, a następnie sięgnął do własnej szyi. Jego ruchy były powolne, wciąż tłumione mocą różdżki, lecz przeciwnik prawie całkowicie o nim zapomniał, czerpiąc wyraźną radość z powolnej śmierci wojowniczki. Ostatecznie, niewiarygodnym wysiłkiem, Velirius dopiął swego.

— Litta! Łap! — krzyknął, a następnie rzucił przedmiotem.

— Co? — zdziwił się lisz, odwróciwszy się nagle w stronę czarodzieja. — Nie!

Było jednak już za późno. Zaklęty amulet trafił prosto w kotłujące się tumany mroku. Zabłyśło magiczne światło. Moc wisiorka natychmiast odegnała cienie. Wojowniczka, znajdując się niecały metr od przeciwnika, nie czekała ani chwili dłużej. Wyjęła dziwny mechaniczny sztylet i wbiła go prosto w pierś nieumarłego.

— Giń! — krzyknęła, a następnie nacisnęła przycisk na rękojeści. Broń nagle zajaśniała światłem.

— Nie! — ryknął lisz z przerażeniem, próbując za wszelką cenę wyjąć z siebie ostrze, ale gdy dotknął metalu, tylko pogorszył sprawę. Technomagiczne urządzenie wysysało z niego magię, moc, dzięki której trwał przy swojej upiornej egzystencji. Chwilę później zawył w agonii i rozpadł się na stertę kości. Było po walce.

Litta upewniwszy się, iż wróg nie powstanie nagle z martwych, odwróciła się i podeszła do czarodzieja. Pomogła mu wstać.

— Jak się czujesz? — spytała, zbierając z podłogi swoją broń.

— Mam złamaną rękę a w piersi mnie pali — odparł tamten, usiłując zachować równowagę. Z zaskoczeniem spostrzegł, że nie jest to wcale takie trudne — Ale żyje. Przynajmniej tak sędzę.

— Jesteś magiem. Dasz sobie radę — stwierdziła kobieta bezlitośnie. — A nawet jeśli nie, masz znajomą uzdrowicielkę niedaleko.

— Niewątpliwie... Kim jednak był on? — Wskazał na leżącą na podłodze stertę kości. — I kim u licha jesteś ty? Bo nie wierzę, że wyposażyli zwykłego ochroniarza w drogie technomagiczne urządzenia.

Litta westchnęła i odpowiedziała krótko:

— Im mniej wiesz, tym lepiej.

— Ale mam prawo do tej wiedzy. Beze mnie nie dałabyś rady — upierał się czarodziej. Potem dodał, przewidując prawdę. — A król mi ufa.

Kobieta popatrzyła na niego przez chwilę, lecz w końcu uległa.

— Pracuję dla królewskiego wywiadu, zajmującego się wyzwolonymi. Jak pewnie wiesz, Ostoja Umarłych znajduje się bardzo blisko Kaistlanii, jego wysokości bardzo zależy więc na obserwacji i kontroli owego potencjalnego wroga.

— Tak... — Velirius kiwnął ponuro głową. Potem wskazał na martwego lisza. — A ten tutaj? Kim był?

— Dokładnie? Nie mam pojęcia. Ale wiem, komu służył. Jeśli śledzisz politykę, powinieneś słyszeć o Księżycowej Pani.

— Zdarzało mi się... Wampirka prawda? Z Senelatiri. Polityk o bardzo... — Zastanowił się, szukając odpowiedniego słowa. — ...kontrowersyjnych poglądach.

— Łagodne określenie chęci „wyzwolenia” całego świata z życia. Księżycowa Pani ma na szczęście zbyt małe wpływy w Ostoi Umarłych. Obecnie u władzy są jej konkurenci, zwolennicy pokoju. Ale ostatnio nasz wywiad odkrył, iż prowadzi ona pewną działalność na Wyspach Anteor. Podążając tym tropem, trafiliśmy na Ezestee...

— Do ruin pradawnych. Rozumiem...

— Wywiad rzeczywiście przydzielił mnie do twojej obrony. I choć głównie miała być to przykrywka, uważam, że wywiązałam się z obowiązku. Żyjesz.

— Wyzwoleni musieli odkryć, iż w podziemiach znajduje się ten kostur — stwierdził Velirius, gładząc się po brodzie. — I Księżycowa Pani zapagnęła jego mocy. Rozumiem...

— A przynajmniej tak ci się wydaje — dodała Litta, opierając dłonie o biodra. — Ale już nie drąż tematu. Jak mówiłam, im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

— A co z samym kosturem? — spytał czarodziej, spojrzawszy na obiekt. Podłużna metalowa różdżka lśniła lekkim światłem. — Weźmiesz go prawda?

Wojowniczką nie odpowiedziała od razu.

— To artefakt? Dobrze myślę?

— Znalezione w ruinach pradawnych. Metalowy. Aktywowany słowami — Wymieniał mag, wzruszając ramionami. — Spełnia całkowicie definicję. Więc tak, to artefakt. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

— Więc weź go ty.

— Co? — spytał Velirius całkowicie zaskoczony. — Nie powinnaś dostarczyć go do króla?

— Wywiadowi się nie przyda. Nie paramy się magią. A Kaistlania prawie cała została opanowana przez technomagów, nie będą oni nim nawet zainteresowani. Tobie zaś król ufa. I mam wrażenie, że kostur ci się przyda.

— Niby do czego?

— Może cię ów fakt zdziwi, ale słuchałam waszej dyskusji. — Kobieta uśmiechnęła się z rozbawieniem. — I szczerze mówiąc, przekonałeś mnie. To, z czym dzisiaj się mierzyliśmy, jest właśnie wynikiem mieszania się magów do polityki. Jeśli dalej będą tak robić, pojawią się kolejne incydenty. Nie powinni więc. Dlatego uważam, że masz rację. Zajmijcie się magią. Tak będzie dla wszystkich lepiej. Weź go.

— Ja... dziękuję — odparł ostatecznie czarodziej i po chwili namysłu podniósł z podłogi kostur. Był on całkowicie chłodny i sprawiał wrażenie zwykłego kawałka metalu. Nie dało się poznać, jak wielką moc skrywa.

— Jeśli już mowa o dzisiejszych wydarzeniach — zaczęła Litta i podała magowi amulet. — Jak zwinąłeś go Elieilijasowi?

— Wypadł mu — odparł Velirius, przyglądając się przedmiotowi. — Wydaje mi się zresztą, że nie przypadkiem. Ealian chyba tego chciał.

— Dlaczego? Próbował cię zabić, czemu nagle miałoby mu zależeć na twojej obronie?

— Ach, z bardzo prostego powodu. Widzisz... Elieilijas jest Kael-Kirianem w każdym słowa tego znaczeniu. I w tym problem. Zaryzykować karę i spróbować zabić astriada? Jasne. Zostawić ludzi na pastwę ciemności? Nigdy w życiu!

— Trochę... dziwne podejście.

— Nie dziwi, jeśli lepiej poznasz Kael-Kirian. Ludzie zakuli i wyprowadzili Elieilijasa. W skrócie, zrezygnowali z jego ochrony. A elfy nie mogą chronić ludzi na siłę, bo działa to przeciw ich wolnej woli. Tymczasem on wiedział, że ja zostaję. A jako astriad, też wyczuwam mrok. Mógł się cieszyć, że zginę tutaj, ale fakt, iż pociągnie to za sobą ludzi... tego nie mógł zignorować. Więc chroniąc mnie, spróbował chronić ich.

— Kael-Kirianie... — skomentowała Litta i prychnęła pogardliwie.

— Ale wystarczy gadania. Mam dość już ruin. Chcę jak najszybciej wydostać się na powierzchnię. Mnóstwo zresztą roboty przede mną...

— Domyślam się, lecz dasz radę Karen. — Wojowniczką uśmiechnęła się tajemniczo. — W końcu stworzysz swą wymarzoną Gildię Magów.

— Zasadniczo... nie myślałam jeszcze nad nazwą. — Velirius zastanowił się chwilę. — Ale w sumie faktycznie brzmi nieźle. Niech zatem będzie. Gildia Magów. Ten dzień okazał się jednak całkiem udany...

Velirius Karen zatrzymał znaleziony w ruinach kostur. Po roku natomiast, dzięki pracy czarodziei z wielu krajów, powstała jego wymarzona organizacja – Gildia Magów. Sam Velirius zaś, został mianowany jej pierwszym Arcymagiem.

Litta powróciła do Kaistlanii, aby dalej służyć królowi i przez następne lata odbywała wiele kolejnych misji. Niestety Księżycowej Pani udało się w końcu dowiedzieć przez kogo nie zdobyła artefaktu. Wojownicza zginęła więc, zabita przez nieumarłych, w wieku trzydziestu siedmiu lat.

Katrila wyleczyła Veliriusa z ran otrzymanych w ruinach, a następnie bezpiecznie wróciła do Królestwa Anarchijskiego. Rok później dołączyła do organizacji przyjaciela.

Ealian Elieilijas został przewieziony na Kahvel, aby odpowiedzieć za próbę morderstwa ambasadora. Ród Elieilijasow wykupił go jednak bardzo prędko. Czarodziej wrócił więc na Kael-Kirię. Przez resztę życia, bardzo rzadko ją opuszczał.

Magom biorącym udział w owych wydarzeniach nic się nie stało. Większość zapamiętała je jako zwykłą wycieczkę turystyczną.

Wiedza to broń obosieczna

Miasteczko Kanawen, niedaleko Al-Navenitis. Rok 1214 od zesłania Pana.

– I jak? Dlaczego przestał działać?

– Nie jestem do końca pewien – oznajmił Waris Demarin, obracając w rękach prosty jednoręczny topór. – Nadal ma w sobie spory ładunek magiczny, a jednak zaklęcie zupełnie się rozpadło i nie ma po nim nawet śladu. Co właściwie miał robić?

– Płonąć, gdy go dobywam – odparł klient, wzruszając ramionami. Wyglądał na jednego z typowych poszukiwaczy przygód, włóczących się po całym Voimsisie.

– Płonąć... – Czarodziej zastanowił się chwilę. – Zaklęcia ogniowe są zazwyczaj wrażliwe na wodę. Czy broń miała z nią jakiś dłuższy kontakt?

– Używałem jej w deszczu.

– Nie, nie – zaprzeczył Waris, machnąwszy energicznie rękoma. – Zupełnie nie ta kategoria zdarzeń. Gdyby zaklęcia rozpadały się przy najzwyczajniejszych sytuacjach, korzystanie z nich stałoby się skrajnie nieopłacalne. Pytam o coś bardziej inwazyjnego. Może topór wpadł panu do rzeki?

– Wtedy bym go już raczej nie wyłowił...

– To był tylko przykład. – Mag uśmiechnął się cierpliwie. Czasami trudno rozmawiało mu się z klientami.

– Bo ja wiem... – Mężczyzna podrapał się po głowie z miną silnego skupienia. Najwyraźniej w jego życiu dużo się działo. – Niczego sobie nie przypominam.

– W każdym razie doładowanie niewiele pomoże, skoro zaklęcie padło. – Waris podał broń wojownikowi.

– Nie może go pan nałożyć ponownie?

– Moim żywiołem jest mrok, a nie ogień więc nic z tego. Proponuję udać się do Al-Navenitis. Tam z pewnością znajdzie się odpowiedni czarodziej.

– Nie zmierzam w tym kierunku, a wolałbym nie nadkładać drogi. Skoro nie ogień, to jakie zaklęcia znajdują się w pańskim asortymencie?

– Zależy. Od oczekiwań głównie. Chociaż kogoś z pańskiego zawodu prawdopodobnie najbardziej zadowoliliby, gdyby przykładowo topór otaczał się mroczną aurą podczas walki.

– Niezbyt widowiskowe... – Klient nie wydawał się usatysfakcjonowany propozycją.

– I równie mało skuteczne, jak płomienie. – Czarodziej wzruszył ramionami. – Zawsze się zastanawiałem, czemu jest tyle zamówień na płonącą broń. Przecież nagrzewająca się jest o niebo lepsza, jeśli chodzi o przydatność w walce.

– Ale nie wygląda tak groźnie. Dobrze więc. Zaklinaj pan. Jeżeli nie będę usatysfakcjonowany, przy najbliższej okazji odwiedzę czarodzieja ognia. Nie chcę jednak paradować ze zwyczajną bronią.

Waris wziął do ręki topór, skupił się, a następnie wypowiedział słowa. Kilka minut później podał przedmiot z powrotem klientowi. Ten chwycił rękojeść, a ostrze natychmiast otoczyło się czymś w rodzaju złowrogiej czarnej mgły.

– Mogło być gorzej – oznajmił wojownik, zawieszając swą broń na powrót przy pasie. – Ile płacę?

Kilka chwil później rachunek został uiszczony, a mężczyzna opuścił pracownię, wracając do przemierzania Voimsisu w poszukiwaniu kolejnych przygód. Waris schował zarobione pieniądze, a następnie otworzył księgę rachunkową. Było już dość późno i należało zanotować cały przychód z minionego dnia. Nigdy specjalnie nie lubił tej czynności, lecz już kilkakrotnie zignorowanie jej, przyprawiło go o wiele kłopotów.

Niestety, bogowie nie dali mu w spokoju uzupełnić wpisów. Rozległ się delikatny dźwięk poruszanego przez drzwi dzwonka i pojawił się kolejny klient.

– Pan Finler... Witam serdecznie. – Waris podniósł natychmiast wzrok znad książki.

– Pan Demarin! Jakże miło pana ponownie widzieć. – Staruszek uśmiechnął się wesoło, a potem podszedł nieco bliżej.

– W czym mogę pomóc?

– Ja po to samo co wczoraj. W krzyżu łupie mnie niemiłosiernie, aż żyć się odechciewa. Gdyby mógł pan ponownie rzucić owo zaklęcie, aby uwolnić mnie od bólu...

– Mogę oczywiście. – Czarodziej westchnął przeciągle nieco znużony powtarzającą się dyskusją. – Ale już mówiłem panu wcześniej, iż tłumienie problemu nie jest rozwiązaniem. Zwłaszcza że działa, jak zresztą dało się zauważyć, mniej więcej jeden dzień. Potrzebuje pan profesjonalnego uzdrowiciela, a nie przydrożnego maga.

– Uzdrowiciele są drodzy panie Demarin. I mieszkają daleko. Nie na moje lata taka podróż. Pan zaś jest tutaj, w naszym miasteczku, zaledwie kilka przecznic od mojego domu.

Waris westchnął ponownie, rozumiejąc, iż nie zdoła przekonać upartego staruszka. Potem skupił się i rzucił błogosławieństwo. Na twarzy klienta pojawiła się ulga.

– Kłaniam się z wdzięczności. Naprawdę.

Niewielka opłata została uiszczona. Po chwili mag ponownie został sam na sam ze swoimi myślami.

– Pracy nigdy dość – oznajmił do siebie, nieco zmęczonym głosem.

Zasadniczo powinien być zadowolony. Jego plan udał się niemal całkowicie i każdego dnia miał masę klientów. Tylko że początkowo nie przewidywał, iż spędzi tak resztę życia.

Był Warderłończykiem, czystej krwi zresztą. Ukończył Akademię Magii imienia Dowelina Kenitriego, jedną z najbardziej prestiżowych szkół w kraju, więc mogłoby się wydawać, iż cały świat stał przed nim otworem. Niestety, za specjalizację wybrał

artefakty, niezbyt potrzebną obecnie na rynku pracy dziedzinę. W podejmowaniu decyzji kierował się jednak raczej własnymi zainteresowaniami aniżeli chłodną kalkulacją. Co nie oznaczało na szczęście, że został pozbawiony perspektyw. Miał bowiem plan.

Kalwador, państwo kilkadziesiąt lat wcześniej podbite przez Mroczne Cesarstwo Warderlonu idealnie nadawało się do jego zamiarów. Mimo zmiany władzy, wielu usprawnień i nowości, które ze sobą przynieśli zdobywcy, kraj nadal był nieco zacofany, zwłaszcza pod względem magicznym. Kalwadorczycy bowiem od wieków cenili bardziej technologię niż magię.

Waris zdecydował się więc wyjechać z Warderlonu i założyć swoją pracownię na prowincji, z dala od głównych metropolii. Miasteczko Kanawen wydawało się idealne, zwłaszcza że nie posiadało własnego czarodzieja. Plan powiódł się całkowicie, klientów mu nie brakowało.

Oczywiście, nie pracował we własnej specjalizacji, nikt w takim miejscu nie potrzebował badacza artefaktów. Zamiast tego świadczył najróżniejsze podstawowe usługi. Zaklinał, błogosławił, rzucał klątwy... Czasem nawet za jasnowidzenie mu płacili. W podobnym miejscu zaś wymagania są raczej niewielkie i podstawowa wiedza z tych dziedzin wystarczała, aby zadowolić klientów. Ku jego satysfakcji.

Początkowo zamierzał spędzić tak tylko kilka lat, odłożyć odpowiednią ilość pieniędzy, aby potem wrócić do Warderlonu i rozpocząć własne badania. Ostatecznie jednak został, gdyż jego sytuacja życiowa gwałtownie się zmieniła...

Nagle rozległ się kolejny dźwięk metalowego dzwonka. Waris, który kilka chwil wcześniej wywiesił na drzwiach kartkę informującą, iż jest zamknięte, uniósł wzrok i już miał uprzejmie wyprosić nadgorliwego klienta, kiedy ostatecznie rozpoznał przybyszkę. Uśmiechnął się ciepło.

– Witaj kochanie. Jak ci minął dzień?

– Przyjemnie – odparła łagodnie Venita, podchodząc bliżej. Następnie dała mężowi buziaka. – Byłam u Vanirii. Sprosiła kilka koleżanek, aby spędzić wspólnie końcówkę dziesięciodnia. Mili ludzie, ale bogowie... ileż ona potrafi gadać...

– Więcej aniżeli moi klienci?

– Patrząc na fakt, że czasem rozmawiasz z nimi do późnej nocy, chyba nie. Idę na górę. Długo jeszcze będziesz siedział?

– Tylko dokończę zapiski. Także zaraz do ciebie przyjdę.

Kobieta zniknęła na piętrze. Waris grzebał jeszcze chwile w dokumentach, ale ostatecznie dał za wygraną. Zbił wszystkie w jedną mniej więcej uporządkowaną stertę i schował do szuflady biurka. Następnie wstał i zaczął porządkować wszelkie przedmioty, z których korzystał podczas minionego dnia roboczego. Na końcu oparł o biurko swój kostur i zamknął drzwi wejściowe na klucz. Potem udał się bezpośrednio schodami w górę, do pomieszczeń mieszkalnych.

Venita akurat gotowała wodę. Prawdopodobnie uznała, że przyda się coś ciepłego do picia na zakończenie dnia. Zaczęła też przygotowywać kolację.

– Znowu rozpałaś wszystkie świece – rzekł Waris, rozejrzawszy się po

pomieszczeniu. – A ja się później dziwię, czemu tak często muszę je wymieniać. Naprawdę, jedna czy dwie wystarczą kochanie. Odrobina mroku zresztą dobrze robi na samopoczucie.

– Może tobie panie „Warderlończyk”. W przeciwieństwie do ciebie ja urodziłam się w narodzie światła. Nie do końca rozumiem, jak można ślęczyć w ciemności.

– No ale wszystkie świece...

– Mamy zapas. Przestań narzekać – rzekła Venita, a następnie położyła na stole dwa talerze wypełnione lekkim posiłkiem.

– Gdzie się dzisiaj wybrałaś? – spytał mężczyzna, zajmując miejsce. – Opowiadaj, bo trochę brakuje mi twojego głosu po całym dniu wysłuchiwania klientów.

Zjedli spokojnie, pogrążeni w miłej rozmowie. Choć dzień chylił się już ku końcowi, dopiero teraz znaleźli nieco czasu dla siebie nawzajem. Od kilku czterdziestodni ciężko było tego uniknąć.

– Tymczasem – zaczęła kobieta, wstając od stołu – do biblioteki przyszła akurat dostawa książek z Al-Navenitis. Dobrałam się do nich, zanim jeszcze trafiły na półki i udało mi się wybrać dwie, które mogłyby cię zainteresować. – Tak rzekłszy, wskazała na blat, na którym leżały dwa niewielkie tomy.

– O. Dziękuję ślicznie. Dużo kosztowały?

– Na moje standardy? Tak, ale stać nas. W innym przypadku zaczęłabym wątpić w twoją całodniową pracę.

– Zobaczmy... „*Analiza Legend Kalwadorskich*”... – rzekł Waris, biorąc do ręki pierwszą z książek.

– Oho... znam tę minę. Nie podoba ci się. Ani mi się waż narzekać.

– Nie, po prostu... nie mój gust. O, ta druga natomiast... – dodał, otwierając dzieło na pierwszej stronie. – „*Skarby Azenteru*”. Trafiłaś idealnie. Z pewnością będzie interesująca.

– Twoje szczęście...

Mężczyzna odłożył obie książki na stół, notując w pamięci, aby zabrać jedną następnego dnia do pracy, na wypadek braku klientów. Nie przewidywał co prawda takiej okoliczności, ale wołał nie wdrapywać się ponownie po schodach, gdyby się jednak przytrafiła.

– Zaczynam doceniać fakt, że pracujesz w bibliotece.

– Dopiero teraz? Oj Waris, Waris... gdybym tam nie pracowała, nawet byśmy się nie poznali.

– Zasadniczo...

Podszedł do niej i objął ją delikatnie. Kobieta położyła mu głowę na ramieniu. Trwali tak chwilę, lecz nagle czarodziej zaklął cicho pod nosem.

– Co się stało? – spytała Vanita półgłosem.

– Zapomniałem dołożyć dzisiejszą porcję zaklęcia do zamówienia pana Hanvesa. Będę musiał zejść jeszcze. Ech...

– Nie możesz tego zrobić jutro z rana?

– To duże zamówienie. I wymaga codziennej pielęgnacji. Jeśli nie odnowie zaklęcia w ciągu kilku godzin, stracę postęp z ostatnich dziesięciu dni. Zresztą to tylko kilkanaście minut.

– Idź więc – Kobieta odwróciła się prosto do niego. – Tylko nie spędź tam znowu całej nocy, jak ci się to czasem zdarza.

– Aj tam... przesadzasz – odparł Waris, gładząc ją po policzku. – Z nas dwojga zresztą to akurat ty nie powinnaś się przemęczać. – Tak rzekłszy, delikatnie położył dłoń na jej wyraźnie zaokrąglonym już brzuchu. Była w ciąży od kilku czterdziestodni i coraz bardziej niepokoił ją zbliżający się nieubłagany dzień. Nawet jeżeli mąż potrafił ją skutecznie znieczulić.

Mężczyzna pocałował żonę, a następnie na powrót włożył swój roboczy płaszcz.

– A tak właściwie... Zamówiłeś w końcu ustawienie nowej ściany, żeby był pokój dla dziecka? Już najwyższy czas.

– Jeszcze nie. Facet chciał zapłatę z góry – oznajmił Waris na odchodnym. – Z nadwyżką zresztą. Powiedział, że praca w domu czarodzieja jest niebezpieczna, więc chce dopłatę.

– Na Bezimiennego... naprawdę? Co za bzdury...

– Podejście większości twojego narodu kochana. Kalwadorczycy nigdy specjalnie nie lubili magii. Po dzisiejszym dniu jednak uzbierałem ile trzeba. Pójdę do niego jutro.

Ruszył ponownie w stronę drzwi prowadzących do pracowni, zastanawiając się jednocześnie nad poruszoną sprawą. Ostatnio temat dziecka coraz częściej pojawiał się mu w głowie, głównie z powodu konfliktu, jakie wywołało w rodzinie jego małżeństwo. Pochodzący z serca Akadarii ród Demarinów bowiem słynął z czystości krwi i kiedy Waris poinformował rodziców, że zamierza poślubić Kalwadorkę, wybuchła ogromna kłótnia.

Krewni usiłowali przekonać go na wszystkie sposoby do zmiany zdania, twierdząc, jak dobrze pamiętał „Że to się nie godzi, że na pewno kobieta wychodzi za niego dla pieniędzy i pozycji, że zniszczy wieloletnią tradycję...” Kiedy zaś usłyszał pełne pogardy pytanie, „A jakież mieszane dziecko wyjdzie z tego związku?”, zupełnie stracił panowanie nad sobą. Kochał Vanitę taką, jaka była. I tak samo zamierzał kochać swoje dzieci. Co więcej, fakt, iż odziedziczą one cechy obojga rodziców, jeszcze bardziej go radował. Powiedział więc to rodzinie stanowczym głosem, a następnie opuścił rodową siedzibę w gniewie, wiedząc, że nie zostanie nigdy zaakceptowany.

Od tego czasu nie pokazał się więcej na Akadarii. Nie poinformował też nikogo, że z żoną spodziewają się dziecka. Nie chciał bowiem kolejnych kłótni. Krewni zaś chyba spisali go na straty, bo przestali nawet przysyłać listy.

Tymczasem na powrót znalazł się w pracowni, miejscu, w którym spędził większość ostatnich dziesięciu lat. Zastanowił się chwilę czy jest sens zapalania

świecy. Jak przystało na maga mroku, ciemność niespecjalnie mu przeszkadzała, znał zresztą rozkład pomieszczenia na pamięć. Nim jednak podjął w końcu decyzję, rozległ się niespodziewany szelest. Czarodziej zamarł, usłyszawszy obcy dźwięk.

Ktoś tam był.

Dłoń Warisa instynktownie otoczyła się mrokiem, jedyną jego mocą przydatną w razie niebezpieczeństwa. Mag, tłumiąc strach, zapalił ostatecznie świecę. Mężczyzna, którego ujrzał mniej więcej na środku pomieszczenia, wyglądał na najemnika. Na noszonej przez niego zbroi wyryte zostały charakterystyczne symbole oznaczające wojowników do wynajęcia. Przy pasie miał miecz, przez plecy zaś przewiesił tarczę, z nieznanym magowi znakiem. Czytał jedną z książek znajdujących się na ustawionym pod ścianą regale. Było to dość zaskakujące, zważając na fakt, iż jeszcze przed chwilą cały pokój tonął w ciemności. Z drugiej strony pozostała część jego osoby wydawała się jeszcze dziwniejsza.

– Waris Demarin – oznajmił mężczyzna, odwracając się nagle, gdy tylko pojawiło się światło. Intruz twarz miał niezwykle łagodną i przyjazną, kontrastującą z całą sytuacją, rysy zaś wyraźnie wskazywały na Anarchijczyka. – Zacząłem już się poważnie zastanawiać czy jeszcze pan dzisiaj zejdzie.

– Ktoś ty? – zapytał czarodziej chłodno. – I jak tu wlałeś? Drzwi były zamknięte na klucz.

– Naprawdę? – zdziwił się intruz, spoglądając w stronę wyjścia. – Nie zauważyłem.

– Proszę natychmiast wyjść albo wezwę straż.

– Jak? Telepatycznie? – Mężczyzna uniósł brwi drwiąco. – Może gdyby był pan kapłanem boga mądrości, istniałaby na to szansa. Niestety w obecnej sytuacji między panem a posterunkiem straży stoję ja. A na światło w pańskiej pracowni nikt uwagi nie zwróci, bo z tego, co słyszałem, zdarza się panu pracować i w nocy.

Mrok w dłoni Warisa gęstniał, powoli wspinając się po jego ciele. Najemnik w końcu go dostrzegł.

– Proszę dać sobie spokój z magią bitewną – oznajmił bez cienia strachu. – Wbrew pozorom nie mam złych zamiarów.

– Kim ty na bogów jesteś? – spytał czarodziej, ochłonawszy już z zaskoczenia. Zaczynał odczuwać irytację.

– Ach, czyli przeszliśmy już na „ty”? Doprawdy fascynujące jak niecodzienne sytuacje szybko zbliżają ludzi. Co do pytania zaś... powiedzmy, że jestem... przyjacielem.

– Przyjaciele raczej nie włamują się w nocy do twojego domu.

– Rzeczywiście, to dość nieczęsta praktyka – odparł intruz nieco rozbawiony stwierdzeniem. – Czasem jednak los nas do tego zmusza. Mamy do czynienia z jednym z tych przypadków.

– Czego więc chcesz? – zapytał Waris, zupełnie nieusatysfakcjonowany odpowiedzią na poprzednie pytanie. – I kiedy stąd sobie pójdziesz?

– O... wreszcie docieramy do konkretów! Jako przyjaciel, przybywam z

czterema darami. Informacją, ostrzeżeniem, radą... i wreszcie propozycją.

– A jeżeli ich nie chcę?

– Zawsze możesz je zignorować, lecz odmowa wysłuchania przyjaciela jest co najmniej... niekulturalna.

– I jak powiesz, co masz do powiedzenia... opuścisz moją pracownię?

– Niezwłocznie!

Czarodziej zastanowił się chwilę, bębniąc jednocześnie palcami o blat biurka. Ostatecznie nie widząc innej opcji, dał za wygraną i usiadł.

– Słucham więc.

– Dzisiejszej nocy przyjdzie do ciebie dwoje klientów...

– Nie wpuszczę ich – przerwał rozmówcy Waris. – Słońce zaszło. Jest już zamknięte.

– Nie rozumiesz. Ci dwaj są uparci. Będą się dobijać...

– I co z tego? O tamtej porze będę pewnie już smacznie spał na górze mieszkania. Nawet nie usłyszę.

– ...w sytuacji zaś gdy nie otworzysz, zapewne się włamią i wyrzucą cię z łóżka.

– Jak ty?

– Obrażasz mnie. – Mężczyzna skrzyżował ręce na piersi. – Ja przecież kulturalnie czekałem.

– Wezwę więc straż – stwierdził Waris, ignorując komentarz rozmówcy. – Aby pilnowała mojego domu. Złapią ich przy próbie włamania.

– W takim przypadku pewnie nie pojawią się dziś w ogóle. Za to przyjdą jutro. – Najemnik gładził się po brodzie z zastanowieniem. – A ty nie możesz kazać straży pilnować cię w nieskończoność. Pewnie spędziliby tak kilka nocy, ale potem zostałbyś uznany za paranoika i kolejne wezwania już by ignorowali. Jak tak teraz o tym myślę, to ogólnie system działania straży jest beznadziejny. Przydałoby się coś, co wzywałoby ich samo podczas włamania, może zaproponuje takowy wynalazek jakiemuś technomagowi... ale wracając do dwojga twoich gości. Złożą ci pewne niezwykle zamówienie. Koniec informacji. Czas na radę. Brzmi ona: odrzuć owo zamówienie.

– Oczywiście, że je odrzucę. – Mag wzruszył ramionami obojętnie. – Kto przy zdrowych zmysłach pracowałby dla ludzi włamujących się w środku nocy do jego domu?

– Nie rozumiesz... Będą gotowi zapłacić olbrzymie pieniądze za wykonanie tego zlecenia.

– I co z tego? Tak czy siak, je odrzucę. Jeśli będzie, jak mówisz, to cała sprawa z daleka pachnie czymś nielegalnym. Lub niebezpiecznym. A ja nie mam skłonności do ryzyka. Czego dotyczyć będzie to zamówienie?

– Przekonasz się sam. Tymczasem, koniec rady. Przyszła pora na ostrzeżenie. Jeśli odmówisz, nawet gdy zaproponują pieniądze, zaczną ci grozić. – Najemnik złożył ręce geście bezradności. – Ty zaś masz żonę spodziewającą się dziecka. Idealny cel podobnych grózb.

– Gorzej... – powiedział Waris cicho, ponownie bębniąc palcami o blat biurka.
– A jeżeli przyjmę zlecenie? Co się wtedy stanie?

– Ja... nie jestem całkowicie pewien. – Najemnik po raz pierwszy stracił na moment swój swobodny ton. – Ale nie skończy się to dobrze.

– Przyjmę więc, ale nie wykonam. W dodatku o wszystkim rano poinformuje straż. Wcześniej nie bo pewnie będą obserwować mój dom, lecz po otwarciu pracowni, nie sposób wszystkiego tutaj kontrolować.

– Takowe podejście nazwałbym igraniem z ogniem. Szczerze je odradzam. Przyszła zresztą kolej na propozycję. — Mężczyzna złożył razem dłonie. — Odeślij żonę na dzisiejszą noc. Na pewno ma w mieście krewnych albo przyjaciół, którzy będą w stanie ją przenocować. Dzięki temu najsilniejsza groźba twoich przyszłych gości nie będzie miała racji bytu, a ty zdołasz im odmówić. Ja zaś mogę ci obiecać, że dopilnuję, aby Vanicie włos z głowy nie spadł.

– Miałbym zaufać tobie? Nigdy w życiu! – oburzył się Waris, unosząc lekko głos. – Już wolę zaryzykować starcie z natrętnymi klientami, aniżeli powierzać żonę nieznanemu wojownikowi, który w dziwnych okolicznościach włamuje się do mojej pracowni.

– Niespecjalnie miałem w tej kwestii wybór... – Rozmówca westchnął przeciągle. – Skoro jednak wolisz, abym nie brał w tym wszystkim udziału, bardzo proszę. Wyjdę i mnie więcej nie zobaczysz. Bylebyś posłuchał mojej rady i odmówił przyjęcia zamówienia. Najlepszym zaś na to sposobem jest odesłanie małżonki. Nawet bez mojej pomocy.

– A jaką będę miał wówczas gwarancję, że nie dotrzesz do niej, kiedy tylko wrócę tu na noc? Nic z tego. Vanita zostaje ze mną. – Czarodziej wydawał się stanowczy. – Cokolwiek związanego z nią planowałeś, nie uda się. A teraz... — Wstał i schował ręce za siebie, aby przyjąć nieco bardziej oficjalną postawę. — Czy to wszystko, co miałeś do powiedzenia? Dziś w nocy przyjdzie do mnie dwóch klientów. Jeżeli im nie otworze, włamią się. W razie potrzeby unikną straży. Złożą mi zamówienie, które twoim zdaniem powinienem odrzucić. Coś jeszcze?

– Jeżeli nie chcesz przystać na propozycję... Nie mam nic do dodania.

– W takim razie proszę opuścić moją pracownię. Natychmiast.

– Oczywiście. — Mężczyzna odłożył czytaną wcześniej książkę na półkę i zbliżył się do wyjścia. — Mimo wszystko wierzę, że podejmiesz właściwą decyzję. Powodzenia panie Demarin.

Skrzypnęły drzwi. Waris na powrót znalazł się sam w pomieszczeniu.

– Dahren – zaklął po warderlońsku, chwytając oparty o biurko kostur. Otoczył się on mroczną aurą.

„Małe szanse, aby kłamał” pomyślał mag, z nerwów chodząc w tę i z powrotem „Gdyby tak było, raczej nie ryzykowałby przyjściem tutaj. Jak to u licha rozwiązać...”

Jeżeli rzeczywiście jego przyszli goście będą gotowi się włamać i wyciągnąć go z łóżka, pójście spać odpadało. Wolał za wszelką cenę nie niepokoić swojej żony w

obecnym stanie. Z drugiej strony zwyczajne otwarcie im drzwi też nie zachęcało, w szczególności, jeśli naprawdę byli niebezpieczni. Pozostawała straż, lecz z tego także wyniknie duże zamieszanie, zwłaszcza że strażnicy nie przepadali za nim z powodu jego narodowości. Narody światła nienawidziły Warderlonu, szczególnie od czasu inwazji.

Zatrzymał się nagle. Przez jego głowę przepląły się szybko różne myśli. Podeszedł do biurka, wyjął ze środka stertę papierów i przyjrzał się im uważnie. Zasadniczo miał tyle zaoszczędzonej roboty, iż wystarczyłoby na kilka godzin. Mógłby tak wyjaśnić Venicie całonocną obecność na dole. Gdy zaś owi klienci przyjdą, upora się z nimi bez potrzeby niepokojenia jej. Wyglądało to na plan.

Pozostawało pytanie, czy przyjąć zamówienie. Odrzucenie wydawało się naturalne, lecz Waris nie widział, jak daleko przybysze posuną się w groźbach. A w jednym najemnik miał rację, czarodziej aktualnie był idealnym celem grózb. Sytuacja przedstawiała się słabo.

Ostatecznie postanowił wysłuchać klientów i dopiero wtedy podjąć decyzję. Ruszył bez słowa schodami w górę, wszedł do mieszkania i przekazał żonie, iż z powodu nadmiaru zleceń, musi spędzić noc w pracy. Kobieta nie wyglądała na zadowoloną, ale nie oponowała. Odparła tylko, że poczyta jeszcze godzinę czy dwie, a potem pójdzie spać. Waris zszedł więc na dół i nie marnując czasu, zabrał się za zaległe zamówienia. Dołożył porcję zaklęcia do zlecenia Hanvesa, po co zresztą początkowo wrócił do pracowni, zaklął kilka drobnych amuletów, a następnie począł skrupulatnie uzupełniać dokumenty. Musiał chyba jeszcze do końca dziesięciodnia wypełnić raport podatkowy...

Prędko utracił rachubę czasu. Minęło zapewne z kilka godzin, kiedy nagle spostrzegł dwóch mężczyzn, przyglądających mu się poprzez wielką szybę, którą kazał umieścić w celu zwabienia do siebie klientów. Złapał kontakt wzrokowy. Natychmiast rozpoznał, iż ci dwoje byli magami, choć w ciemności nie potrafił rozpoznać po ich szatach specjalizacji. Niektórych czarodziei zresztą nie przekonywał ten styl ubioru.

Jeden z nich w końcu przełamał się i zapukał do drzwi. Waris, który wcześniej przezornie dopilnował, aby wejście nie było zamknięte na klucz, machnął ręką, zachęcając gości do wejścia. Poczuł jednak nieprzyjemny uścisk w żołądku. Dopadły go nerwy.

– Pan Demarin jak mniemam – rzekł pierwszy przybysz, zdejmując kaptur. – Niech Bóg Ciemności czuwa nad tym domostwem. Jakież to szczęście, że pan nie śpi. Przewidywaliśmy, iż będziemy musieli się dobijać.

– Witam serdecznie panów... – rzekł Waris, nadając ostatniemu słowu pytający ton.

– Darner Ganweni – odparł drugi, również ściągając kaptur. – A to mój brat Haner. Z góry przepraszamy za późną porę, ale sytuacja jest dość nagła. I rozpaczliwa.

– Rozumiem... – siedzący przy biurku czarodziej ponownie zaczął bębnić palcami w blat. – Muszę jednak panów rozczarować. Mam nadmiar pracy, dlatego

zresztą siedzę po nocach... I jeżeli chce się wyrobić, nie mogę przyjmować więcej zleceń. Chyba że przybyli panowie jedynie po informację lub coś bardzo błahego. Choć w to akurat wątpię...

– I ma pan rację – odparł Haner, uśmiechając się pod nosem. – Lecz daję głowę, że akurat to zlecenie pan przyjmie.

– Skąd ta pewność?

– Stąd. – Mężczyzna wyjął z kieszeni niewielki woreczek i położył go na biurku.

– Proszę otworzyć.

Waris zaintrygowany, delikatnie rozwiązał węzeł, a następnie, korzystając z metalowego chwytaka, wyjął ze środka mały srebrny przedmiot. Wyglądał jak wieloramienna gwiazda, z niewielkim otworem w środku. Miał dziwne nierównomierne zdobienia i niezwykle małą wagę. Czarodziejowi niemal zabłyszczały oczy.

– To artefakt prawda? – spytał, aby potwierdzić swoje przeczucia.

– Owszem.

– Co robi?

– W tym właśnie problem – stwierdził Darner, rozkładając bezradnie ręce. –

Nie wiemy.

– Jak to? – Waris delikatnie odłożył przedmiot z powrotem do woreczka.

Wiedział dobrze, iż artefakty mogą być niezwykle niebezpieczne.

– To ja może opowiem, o co ogólnie chodzi – zaczął Haner, wzdychając z rezygnacją. Najwyraźniej sprawa męczyła ich już od dłuższego czasu. – Kilka dni temu zmarł nasz ojciec...

– Wyrazy współczucia... – zaczął czarodziej, ale klient tylko machnął ręką.

– Nieistotne – kontynuował spokojnie – W każdym razie byliśmy z bratem kilka dni temu na odczytaniu testamentu w Al-Navenitis, gdzie nasz ojciec mieszkał. Wszystko, co musi pan wiedzieć to, że zostawił nam dom z wyposażeniem, trochę pieniędzy oraz... ten artefakt.

– Nie mamy pojęcia, jak wszedł w jego posiadanie – dodał drugi, biorąc do ręki przedmiot, o którym była mowa. – Ale szczerze mówiąc, niespecjalnie nas ta informacja interesowała. Cały problem w tym, że w testamencie znajdował się pewien haczyk...

– Dom i pieniądze trafią do nas od razu i bezwarunkowo. Artefakt jednak stanie się naszą własnością, tylko jeżeli w ciągu czterech dni zrozumiemy jego działanie i przedstawimy je urzędnikom w Al-Navenitis.

– Dziwne wymaganie... – Waris pogłodził się po brodzie z zastanowieniem.

– Niestety prawomocne. Jeśli nam się nie uda, przedmiot trafia w ręce jednej z Akademii Magii w Warderlonie. Pan jest Warderłończykiem prawda?

– Owszem...

– Może zatem panu taki przebieg zdarzeń wydaje się pozytywny, lecz proszę zrozumieć, iż z naszego, kalwadorskiego punktu widzenia to tragedia! Zresztą... Proszę mi powiedzieć, ile jest wart taki artefakt?

– Nie sposób ocenić – odparł czarodziej, drapiąc się po głowie. – Nie ma ich wiele na świecie.

– A tak patrząc na średnie ceny kupna?

– Cóż... Wszystko zależy od działania danego przedmiotu. Jeśli chodzi o rząd wielkości jednakże, z pewnością mówimy o milionach.

– Właśnie! – Darner uniósł nieco głos, ale natychmiast spuścił z tonu. – Ta przeklęta zabawka jest warta setki razy więcej niż cała reszta naszego spadku, lecz niestety, obowiązuje ją dodatkowy zapis.

– Cztery dni – kontynuował za bratem Haner. – Pierwszego dnia próbowaliśmy sami odkryć. Kompletna porażka, nie wiedzieliśmy nawet, od czego zacząć, choć podstawy w zasadzie znamy.

– Później zrozumieliśmy, że taką metodą niewiele zdziałamy. Potrzebowaliśmy fachowca. Niestety, Kalwador nadal nie dorównuje innym krajom w tej dziedzinie. Większość specjalistów przebywa w Wardelronie. Lub jeszcze dalej, w Królestwie Anarchijskim. Do żadnego z tych miejsc nie da się dotrzeć w cztery dni, o powrocie nie wspominając.

– Przeszukaliśmy więc Al-Navenitis, z marnym skutkiem. Pracuje tam oczywiście wielu czarodziejów, lecz żaden z nich nie nadawał się do naszych celów.

– I wówczas, w placówce Gildii Magów odnaleźliśmy pańskie akta. Pan za specjalizację w akademii wybrał artefakty prawda?

– Owszem... – odparł Waris, przypominając sobie, że rzeczywiście jakieś osiem lat temu meldował się w owej placówce jako pracownik gildii w tym rejonie. Miał wówczas nadzieję, że ściągnie mu to jakichś klientów. I w sumie pomysł zadziałał, po wielu latach.

– Czyli jest pan człowiekiem, którego szukamy. Niestety podróż do pana zajęła nam prawie cały dzień, mimo dużego pośpiechu. Zostało nam więc niewiele czasu...

– Oto nasza propozycja – rzekł Darner, odkładając przedmiot na biurko. – Zostawimy panu artefakt na noc. Rano musimy już wyruszać w drogę powrotną, jeżeli chcemy jeszcze zdążyć. Będzie miał pan około siedmiu godzin na odkrycie sposobu jego działania. W przypadku sukcesu oferujemy... sto tysięcy.

– Sto tysięcy...? – Waris przełknął ślinę. To więcej niż zarabiał w ciągu roku.

– Niewiele w porównaniu z tym ile zarobimy na jego sprzedaży, ale wciąż bardzo dużo dla kogoś o pańskiej profesji.

– A jeśli się nie uda? – spytał Waris, gładząc się po brodzie z zastanowieniem.

– Wtedy proponujemy pana zwyczajną stawkę godzinową, jakakolwiek by ona nie była. Więc jak? Przyjmuje pan zlecenie? Proszę wziąć pod uwagę fakt, iż jesteśmy zasadniczo przyparci do muru.

– Rozumiem, ale... – Czarodziej wahał się, próbując uspokoić rozbiegane myśli.

– Badanie artefaktów bywa bardzo niebezpieczne, a ja nie spodziewając się pracy w tym fachu, nie przygotowałem pracowni do podobnych operacji. Nie wiem, czy chcę brnąć w takie ryzyko...

Bracia spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Następnie padło kolejne pytanie.

– A za ile by pan zechciał? Dwieście tysięcy? – Waris zaniemówił, słysząc to zdanie. – Zapłacimy ile trzeba, w granicach rozsądku oczywiście. W naszej sytuacji więcej stracimy, jeśli pan w ogóle nie spróbuje.

– Ja... – Waris miał mętlik w głowie. Z jednej strony artefakt kusił go niemiłosiernie, z drugiej został przecież ostrzeżony. Ostatecznie podjął decyzję. – Dwieście tysięcy wydaje się odpowiednią sumą...

– Znakomicie – ucieszył się Darner, zacierając ręce. – Ma pan odpowiedni dokument na sporządzenie umowy? Przy takich kwotach jest to raczej konieczne.

Warderłończyk kiwnął głową, a następnie wyjął z szuflady biurka stosowne papiery. Kilka chwil później podpisy znalazły się na swoim miejscu.

– Jakby co zakwaterujemy się w pobliskiej karczmie – oznajmił Haner, zbliżając się do wyjścia. – Na pewno wie pan gdzie. Proszę nas znaleźć w razie sukcesu. Oczywiście, tak czy siak przyjdziemy tu o świcie, niezależnie od wyników, aby odebrać artefakt.

— Życzymy powodzenia — dodał jego brat, zakładając na powrót kaptur. — Niech Bóg Mądrości ześle na pana oświecenie.

Wyszli, pozostawiając właściciela sam na sam z plątaniną rozbieganych myśli. Waris oparł łokcie o biurko, a następnie ukrył twarz w dłoniach. Tak oto w typowy dla siebie sposób zignorował ostrzeżenie. I zasadniczo nawet nie zrobił tego z powodu pieniędzy. Po prostu od wielu lat marzył, aby choć raz w życiu móc zobaczyć i zbadać artefakt. Po to przecież wybrał taką, a nie inną specjalizację na studiach. Niestety od czasu własnego ślubu owo pragnienie zeszło na dalszy plan i według jego dość realistycznej oceny, marne miało szanse na spełnienie. Los najwyraźniej lubił płać śmiertelnikom figle...

– Siedem godzin – rzekł, wstając nagle od biurka. Skoro już przyjął zamówienie, nie warto było marnować czasu. Podeszedł do regału, na którym trzymał przydatne w pracy książki. Z większości korzystał jako szybkiej pomocy w razie problemów przy działaniach nie specjalnie interesujących go na studiach. Należała do nich w sumie większa część jego obecnej pracy, lecz z czasem nabrał praktyki i coraz rzadziej do nich zaglądał. Tym razem natomiast sięgnął na najwyższą półkę, na której zdążył już zebrać się kurz. Ściągnął z niej kilka większych tomów i rozłożył je na blacie. Następnie spojrzał na tytuły.

– „Wprowadzenie do analizy artefaktów”, „Dualny aspekt boskiej mocy w artefaktach”, „Artefakty – Cechy szczególne”... – Większość niezbędnej wiedzy dawno miał już w głowie. Specjalizację wybrał z powodu zainteresowań, więc książki czytał z wielką przyjemnością i najczęściej kilkakrotnie. Będąc człowiekiem pragmatycznym natomiast, uważał, iż zakuwanie informacji, które można sprawdzić na szybko w odpowiedniej chwili, jest bez sensu, dlatego niektóre dzieła ciągle miał ze sobą i potrzebował ich w tej chwili. – „Znane artefakty Voimsisu” – przeczytał ostatecznie, znajdując obiekt swoich poszukiwań. Następnie otworzył dzieło na pierwszej stronie.

– Twierdzili, iż przez pierwszy dzień sami starali się odkryć działanie – oznajmił do siebie, unosząc drobny metalowy przedmiot za pomocą chwytaka. –

Prawdopodobnie więc przeprowadzili już podstawowe poszukiwania, lecz jeśli dokonali ich niedokładnie, a ja je teraz zignoruję, może się okazać, że pominąłem najprostsze rozwiązanie. Do roboty więc...

Zbliżył przedmiot do płomienia świecy. Wiedział, iż artefakty mogą się aktywować na dwa sposoby, w reakcji na słowa lub na odpowiednie zdarzenie. Te drugie stanowiły bardzo niewielki ułamek zbioru i odkrycie ich mocy zazwyczaj wiązało się z tym, czym były. Zbroja słynnego Rycerza Świtu przykładowo broniła po prostu przed magią bitewną, jej defensywne działanie wydawało się oczywiste, wraz z faktem, iż należało ją rzecz jasna założyć. Amulet Wskrzeszenia analogicznie. Trzymany przez Warisa przedmiot natomiast nie kojarzył się zasadniczo z niczym, a swym wyglądem nie podpowiadał co z nim zrobić. Czarodziej musiał więc założyć, że trafia do tej pierwszej, nieporównywalnie większej kategorii, artefaktów aktywowanych słowem.

Teza ta, wraz z powszechnie znanym wśród magów faktem, iż w takich przypadkach wybrany język nie ma znaczenia, a liczy się jedynie wola, ułatwiała nieco sprawę. Niestety, samo słowo wydawało się bardzo trudne do odgadnięcia. Potrzebował więc informacji. Zaczął wertować książkę.

Prawdopodobieństwo, że artefakt ten został już zbadany w przeszłości, wydawało się niskie, lecz nie chciał go ignorować. Przeglądał kolejno strony, szukając podobnego wyglądu na starannie wykonanych rysunkach. Autor włożył dużo pracy w swe dzieło, choć niektórych ilustracji, tak czy siak brakowało.

– Kostur Khari, nadal dziedziczony przez władcę plemion... Różdżka Kontroli Velirusa Karena, arcy maga Gildii Magów... – szeptał pod nosem, skupiony na przeglądanej wiedzy. – Tarcza Pioruna, niegdyś w posiadaniu Eneriasa Kaznera. Zaginęła po jego śmierci... Obsydianowe Ostrze, niegdyś w posiadaniu Eneriasa Kaznera. Zaginęło po jego śmierci... Berło Bogów, niegdyś w posiadaniu Eneriasa Kaznera. Zaginęło po jego śmierci... – Zmarszczył brwi niezadowolony. Na studiach fakt, że Enerias Kazner, jedyny cesarz Anarchijczyków przywłaszczył sobie tak wiele artefaktów, niezwykle go irytował. Mógł przecież zadowolić się własną potęgą, a relikami cywilizacji pradawnych podzielić się z innymi. Najwyraźniej mocy nigdy dość...

Zatrzymał się nagle na jednej ze stron, czując coś w rodzaju złego przeczucia, połączonego z nieprzyjemnymi wspomnieniami. Zastanowił się chwilę, a następnie przeczytał nazwę. „*Nekrokalindrator*”, jak głosił napis ponad rysunkiem dziwnej powyginanej klepsydry. Swego czasu Waris szczególnie interesował się owym artefaktem, głównie ze względu na patrona ich Akademii, Dowelina Kenitriego, którego rodzina podobno prowadziła nad nim badania. Chciał nawet w pewnym momencie zaoszczędzić trochę pieniędzy i wyjechać do Połsan, aby go zobaczyć, lecz sytuacja polityczna między krajami światła i mroku od wielu lat była bardzo napięta i ostatecznie porzucił ten pomysł.

Przesunął wzrok niżej. „Wysysa energię z żywych i używa jej do budzenia umarłych”, informowała kolejna notka. Czarodziej miał silną nadzieję, że leżący na

biurku przedmiot nie ma podobnych mocy. Niestety było już za późno na takie rozważania, zdecydował się podjąć ryzyko. „Sekwencja aktywacyjna: Życie. Śmierć”. Waris spojrzał na artefakt z namysłem, ale szybko wrócił do wertowania książki. Nawet nie zamierzał próbować.

Jakiś czas później odłożył dzieło, nie znalazłszy w nim żadnej podpowiedzi. Nie był wprawdzie specjalnie zaskoczony, lecz podtrzymywał wcześniejszą opinię. Procedury tej nie należało pomijać. Wyjął z szuflady szkło powiększające, a następnie przyjrzał się badanemu obiektowi. Wszystkie artefakty zostały uformowane z fragmentów mocy bogów, najczęściej jednego lub dwóch, z nielicznymi wyjątkami. Moce te bardzo silnie trzymały się swoich pierwotnych właścicieli i nawet po transformacji, wciąż dało się rozpoznać, skąd pochodziły. Dzięki analizie dziesiątek przypadków oczywiście, lecz Waris miał całą potrzebną wiedzę w głowie.

Po kilku minutach miał już wstępne wnioski. Dolna część wieloramiennej gwiazdy posiadała zdobienia charakterystyczne dla mocy Bezimiennego Boga, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Fakt ten ucieszył badacza, większość artefaktów Bezimiennego miała bowiem działanie związane z jego domeną, życiem, światłem, tworzeniem bądź ładem. Amulet wskrzeszenia przywracał życie, Obsydianowe Ostrze wzywało siłę tworzenia. I tak dalej.

Niestety, górna część przedmiotu stanowiła dla Warisa całkowitą zagadkę. Ornamenty nie przypominały niczego, co w życiu widział, a przynajmniej niczego co potrafił odnaleźć w pamięci. Żadna z mocy bogów stwórcy nie formowała się w taki sposób. Stał przed zagadką, której nie potrafił rozwiązać za pomocą swojej wiedzy.

– Artefakt ma najczęściej działanie wspólne dla mocy go tworzących – oznajmił, odkładając obiekt na blat. – Póki więc nie poznam, kim jest jego drugi twórca, nie warto nawet zgadywać słów aktywacyjnych.

Westchnął zrezygnowany, ale nie zamierzał się tak łatwo poddać. Spojrzał na mechaniczny zegar, który kupił za spore pieniądze od kalwadorskiego rzemieślnika. Urządzenie działało znakomicie, ciężko było mu uwierzyć, iż nie wykorzystuje ani odrobiny magii. W tamtym momencie informowało uprzejmie, że minęła już ponad godzina. Waris wzruszył ramionami. Znajdował się zdecydowanie dalej niż na początku.

Podszedł do ściany pomieszczenia, przy którym stał niewielki stolik wraz z krzesłem i zdjął z niego ciemnoniebieski materiał, zasłaniający leżący na środku obiekt. Chłodna exiliasowa kula zajaśniała niemrawym światłem, informując, iż wciąż jest gotowa podzielić się wiedzą z osobą śmiącą w nią spojrzeć. Czarodziej usiadł, a następnie postawił obok niewielką klepsydrę, odmierzającą pół godziny. Nigdy nie przepadał za jasnowidzeniem. Było trudne, męczące i mało efektywne. Aż dziw iż „*Wielka Księga Ringa*”, jedno z najstojniejszych dzieł traktujących o magii, została napisana na jego podstawie. W dodatku zbyt długie wpatrywanie się w przepływające przez kulę strzępy zakłęć źle się kończyło dla umysłu. W teorii próg bezpieczeństwa wynosił nieco ponad godzinę, lecz Waris zawsze wolał pozostawiać

sobie margines bezpieczeństwa.

Przekręcił klepsydrę, spojrzał w światło kryształu, a następnie próbował utrzymać umysł otwarty i skupiony na swoim problemie. Kilka minut później rozboleła go głowa, lecz jak zawsze stracił poczucie czasu. Ciche tykanie odliczało upływające sekundy, przypominając, jak nieubłagany jest dziesiąty żywioł Voimsisu. Ostatecznie nagły przypadkowy dźwięk wyrwał Warisa z transu. Spojrzał on roztargniony na klepsydrę, w której już dawno skończył się piasek. Zerknął więc na zegar. Prawie godzina. Wzruszył ramionami i wstał.

Kula jak zawsze uraczyła go masą bredni i zniekształconych obrazów. Nie sposób było wyciągnąć nic sensownego z tego chaosu, lecz jedna jedyna wizja okazała się wyraźna. Nawet bardzo wyraźna, nic wcześniej nie rzucało mu się tak w oczy. Zaczął chodzić w kółko po pomieszczeniu.

– Korona – oznajmił do siebie, jakby sądząc, że wypowiedzenie tego głośno przybliży rozwiązanie. – Czemu na bogów mój umysł chciał mi pokazać koronę?

Rozpoznał ją oczywiście. Widniejący na niej napis okazał się jednoznacznym identyfikatorem. Ponownie sięgnął po książkę. Wertował kartki, póki nie odnalazł celu swych poszukiwań.

– „*Chwała Władcy Wszechmroku*” – Przeczytał srebrny napis widniejący na przodzie narysowanego obiektu. „Korona Wszechmroku. W posiadaniu kolejnych Mrocznych Cesarzy Warderlonu” informowała notka.

Zmarszczył brwi. Dlaczego akurat ona pokazała mu się w wizji? Obecny władca Mrocznego Cesarstwa oczywiście z niej korzystał, ale szanse, aby miała związek z obecną sprawą, przedstawiały się raczej marnie. Mimo to przyjrzał się rysunkowi. I wówczas go olśniło. Natychmiast chwycił do ręki artefakt i porównał go z obrazkiem. Symbole na jego górnej części wyglądały identycznie jak te na koronie. Oba przedmioty powstały z tej samej mocy.

– Ale zaraz... – Waris zmarszczył brwi, obracając wieloramienną gwiazdę w te i wewte. – Przecież Korona Wszechmroku została stworzona z mocy Wielkiego Boga Ciemności. I wykuł ją niewątpliwie śmiertelnik, bo pradawni nie mieli dostępu do jego potęgi. Czyżby więc... i ten artefakt stworzyli śmiertelnicy? Na Othras...

Waris wiedział, iż w przeszłości miały miejsce próby. Powalająca większość nieudana, lecz historia zanotowała również kilka sukcesów. Jeżeli trzymał przed sobą nowe dzieło, sytuacja robiła się jeszcze bardziej interesująca.

– Niesamowite... tylko... – Zmarszczył brwi z zastanowieniem. – Jakim cudem połączono moc Bezimiennego, boga światła, życia, ładu i tworzenia, z mocą Boga Ciemności, patrona mroku, śmierci, chaosu i zniszczenia? Czy ci dwoje nie powinni się nawzajem niwelować?

Usiadł z wrażenia. Zazwyczaj działanie artefaktu dotyczyło części wspólnej bogów, których mocy użyto do utworzenia go. W ten sposób właśnie się analizowało takowe przedmioty. W bieżącym przypadku jednak czarodziej po prostu nie wiedział co sądzić. Spróbował znaleźć jakiekolwiek podobieństwo między tymi bogami, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Byli po prostu swoimi przeciwnościami.

– Dahren – zaklął po warderlońsku i ukrył bezradnie twarz w dłoniach. Wszystko szło nie po jego myśli, jakby stwórcy postanowili się tego dnia na niego uwziąć.

Ponownie zaczął chodzić w kółko po pomieszczeniu, szukając w pamięci czegoś, co mogłoby mu pomóc. I ku swojemu zaskoczeniu to znalazł. Pamiętał, iż na jednym z wykładów w akademii, porównywano parami wszystkich bogów, takowa analiza bowiem, według wykładowców, wiele uczyła. I rzeczywiście, zestawienie Bezimiennego z jego odwiecznym wrogiem przyniosło interesujące wnioski. Jak i odkryło ich cechę wspólną.

– Obydwoje są skrajni – rzekł Waris, zatrzymując się nagle. – W zupełnie odmienny sposób oczywiście. Jeden znajduje się daleko po jednej stronie, kolejny daleko po drugiej. Pierwszy jest niemalże utopijny, drugi kontrowersyjny. Tak... Tylko co mi to daje...?

Nie miał pomysłu, jakie działanie artefaktu może się opierać na takiej cesze wspólnej, o ile w ogóle tok jego rozumowania rzeczywiście był prawidłowy. Ponownie poobracał przedmiot w dłoniach, myśląc usilnie nad sprawą. Zdecydowanie posunął się naprzód w ciągu ostatnich godzin, lecz teraz czekała go najtrudniejsza część. Wymyślenie działania oraz odnalezienie słów, które by do niego pasowały. Niestety wstępna analiza okazała się mało informatywna i patrząc realnie, mógłby siedzieć i próbować przez najbliższy czterdziestodzień, jeśli nie rok. A zostało mu przecież tylko kilka godzin.

Możliwe, że gdyby miał większe doświadczenie, spostrzegłby więcej, lecz posługiwał się wyłącznie teorią ze studiów w Akademii Magii. Ostatecznie uznał więc, iż nic już więcej nie wymyśli.

– Przyszła zatem pora na nieco bardziej... – zaczął, zbliżając się do ściany pomieszczenia. – ...niekonwencjonalne źródła wiedzy.

Przesunął regał, odkrywając niewielki akrywianowy sejf, umieszczony bezpośrednio w zaprawie murarskiej. Dotknął odpowiednie części urządzenia, wypowiadając zaklęcie przepływu, a drzwiczki się otworzyły. Waris poświęcił sporo pieniędzy, aby sprowadzić z Kaistlanii ów technomagiczny mechanizm, chciał jednak mieć pewność, iż ani magowie, ani zwyczajni złodzieje nie będą umieli go złamać. Choć jego duma zawodowa bardzo na tym cierpiała, nie lubił bowiem technomagów.

W środku znajdował się tylko jeden jedyny przedmiot. Wyglądał jak zdobione pudełko, w którym bogate damy przechowują drogocenną biżuterię. Czarodziej jednak lata wcześniej znalazł dla niego nieco inne zastosowanie. Chwycił za kostur, podszedł do rogu pomieszczenia, a następnie wypowiedział słowa:

– Krąg magiczny.

Zajaśniał złoty pentagram, z symbolami żywiołów w odpowiednich miejscach. Waris tkwił w nim chwilę, usiłując ustawić konfigurację, następnie skupił się i zaciskając zęby, wyszedł z niego. Krąg pozostał, posłuszny woli maga. Na samym jego środku czarodziej ułożył delikatnie wyjęte z sejfu pudełko, następnie nacisnął znajdujący się na nim niewielki przycisk i czym prędzej zajął miejsce poza

pentagramem. Przedmiot zgrzytnął cicho, a następnie otworzył się z lekkim kliknięciem.

Rozległ się złowieszczy jęk, środek kręgu wypełnił się szarą mgłą, a następnie oczom Warisa ukazała się ledwo widoczna zjawą. Runęła ona natychmiast naprzód w stronę obserwującego ją czarodzieja, lecz rozbiła się z impetem o linię pentagramu. Jej ciało rozpadło się gwałtownie, ale po chwili ponownie przyjęła postać drobnej dwudziestoletniej kobiety. Zakłęta głośno.

– Nigdy się nie zapomnisz co? – spytał duch, przebierając miarowo palcami. Miała na sobie zdobną szatę czarodziejki, choć koloru nie dało się ocenić w obecnej postaci. Jej włosy były długie, sięgające dalej niż do ramion, twarz zaś szpeciły ślady poparzenia – A już miałam nadzieję, że sprzedałeś mnie jakiemuś swojemu wrogowi...

– Musiałbym najpierw mieć wrogów – odparł Waris, próbując zachować obojętny ton. – Witaj Nartio. Wybacz, że cię niepokoję, lecz niestety potrzebuje pomocy. Odpowiedz więc proszę na moje pytania.

– A uwolnisz mnie potem...? – Zjawą oparła się o barierę i zrobiła wyjątkowo smutną minę.

– Nic z tego. Znasz swoją karę. Dwadzieścia lat służby. Jesteśmy dopiero w połowie.

– Jak możesz! Co za okrucieństwo! – zawołała płaczliwym głosem, kryjąc twarz w dłoniach. Następnie padła na kolana. – Spójrz na mnie... Niewinna kobieta, skazana na egzystencję w tej formie...

– Tak jasne... – przerwał jej Waris, przewracając oczyma. – A ja jestem Eneriasem Kaznerem. Słuchaj, nie mam wiele czasu, więc skończ proszę z tymi teatralnymi popisami, bo nijak one na mnie nie działają.

– Chował urazę... Waris dna warty... Lata mijały... On wciąż uparty... – Zjawą szeptała dziecinny wierszyk, jednocześnie przebierając palcami nienawistnie. – Nigdy nie dasz za wygraną?

– Nie. – Głos czarodzieja pulsował chłodem. – Zasłużyłaś.

– Ja zasłużyłam? Ja!? A co powiesz, o tych, co mnie skrzywdzili? Że niby oni są niewinni? Sprawdzali na mnie swoje zaklęcia, obiecując, że mnie nie wyrzucą z akademii! Nie ostrzegali, że może się to tak skończyć...

– Możliwe. – Waris wydawał się bezlitosny. – Lecz mszczenie się na wykładowcach, za pośrednictwem niewinnych i niewiedzących o sprawie adeptów, nie było właściwą drogą. Musieliśmy cię powstrzymać Nartio. Zwłaszcza iż odpowiedzialność za twoje kolejne wybryki, spadała na nas. Mogłaś zasadniczo po prostu poinformować władzę. Odpowiednie osoby trafiłyby pewnie do więzienia.

– Za mało... za mało! Powinni cierpieć. Cierpieć słyszysz!? Tak jak ja cierpiałam, gdy ich eksperymenty wymknęły się spod kontroli! – Ciało zjawy lśniło w odpowiedzi na targające nią emocje. – A potem dałabym im umrzeć. Powoli... Najlepiej z szansą, iż podzielą mój los.

– Nie zapomnisz. – Waris pokiwał głową ze smutkiem. – Nie wybaczysz. I

dlatego nie mogę cię wypuścić. I tak masz szczęście, iż trafiłaś do mnie. Większość z nas chciała cię gdzieś zakopać, tak abyś pozostała zapomniana na wieki. Cemu w ogóle nie zdecydujesz się... odejść? Tak po prostu? Dość już zrobiłaś na tym świecie.

– Nie zapłacili... Jeszcze.

– Przecież większość z nich już dawno nie żyje...

– Zatem ich dzieci! Albo dzieci ich dzieci! Ktokolwiek! Moja krzywda nie może ujść płazem.

Czarodziej westchnął zmęczony i schował twarz w dłoniach.

– I tak właśnie się z tobą rozmawia – rzekł w końcu. – Naprawdę... niezapomniane przeżycie.

– Wypuść mnie Waris... – Nartia ponownie oparła się o barierę. – Dość już się męczyłeś z powodu mojego towarzystwa. Zrób to, a przysięgam, więcej mnie nie zobaczysz...

– Nic z tego. Wiesz co? Skończmy może rozmawiać o naszej przepięknej przeszłości i zajmijmy się teraźniejszością. Odpowiedz na pytanie, a ja dotrzymam umowy. Jeszcze tylko dziesięć lat.

– Zadaj je więc...

Waris chwycił skrywaną na czas rozmowy wieloramienną gwiazdę i uniósł ją przed siebie.

– Wiesz, co to jest? – spytał, obracając przedmiot w dłoni. – Oczywiście, że wiesz.... jesteś duchem. Czujesz pulsującą z tego moc. Pewnie chciałabyś położyć na niej swoje widmowe łapska...

– Artefakt – rzekła Nartia z nagłym zainteresowaniem w głosie. – Pokaż bliżej...

– Waris przysunął obiekt do kobiety. – Bliżej...

– Na więcej mnie nie namówisz – odparł czarodziej, przykładając przedmiot już niemal do bariery. – Wiem, że podczas planowania swej zemsty zwiedziłaś kawał Voimsisu. Dlatego pytam, czy wiesz, co ów artefakt robi?

– Interesujące... – Ton zjawy brzmiał teraz zupełnie inaczej. Dało się w nim wyczuć złowieszczą, aczkolwiek figlarną nutę. – Skąd go masz?

– A po co ci to wiedzieć?

– Do zidentyfikowania potrzebuję więcej informacji.

– Dwaj klienci mi go dzisiaj przynieśli. Mam zrozumieć jego działanie, ale niestety nie zostało mi wiele czasu...

– A ile ci dali? – Nartia wyglądała, jakby już znała odpowiedź.

– Dzisiejszą noc. Cemu pytasz?

– Ach naiwny Waris... Głupi i naiwny... Padł ofiarą... – Zjawa wydała z siebie nieprzyjemny chichot.

– Co masz na myśli? Wiesz, jakie jest jego działanie?

– Oczywiście, że wiem. – Zaczęła kręcić się powoli. – I po raz pierwszy w historii naszej niezbyt przyjemnej znajomości z wielką chęcią ci powiem.

– Więc?

– Och nie tak szybko. Dajże mi się nacieszyć tą chwilą. Nie mam zresztą

pewności... – Ponownie zbliżyła się do bariery. – ...czy naprawdę chcesz wiedzieć.

– Jasne, że chcę. W innym przypadku oszczędziłbym sobie pogawędki z tobą.

– Oj Waris, Waris... Wiedza bywa niebezpieczna.

– Jedyne niebezpieczne rzeczy w tym domu. – Czarodziej się nieco zirytował. – To ty lub ten artefakt. Przestań mnie mamić i mów.

– Ale ty pożałujesz... Naprawdę. Może by tak oszczędzić ci bólu...?

– Odpowiedz na pytanie.

– Biedny... Waris... Wiedzieć... Chce... Czy... Odpowiem...? Chyba... Nie...

– Co ci nagle odbiło? A może po prostu nie znasz odpowiedzi i czerpiesz radość z oszukiwania mnie?

– Och ależ znam. – Nartia uśmiechnęła się niepokojąco. – I rzeczywiście czerpię przyjemność, lecz nie z oszukiwania cię. Po prostu chcę obserwować, jak dociekasz prawdy, a następnie, gdy już ją poznasz, jak przeklinasz samego siebie za ową dociekliwość.

– Teraz to już na pewno się nie poddam...

– Ależ oczywiście. Mój ty głupi czarodzieju... znam cię zbyt długo, aby wątpić w twój upór. Trzymam się jednak swojego wcześniejszego stwierdzenia. Wiedza bywa niebezpieczna.

– Jestem magiem na bogów! – Waris rozłożył ręce szeroko. – Należę do profesji, która od wieków zajmuje się zgłębianiem wiedzy. Jeżeli nie ja, to kto inny powinien ją poznać? Wojownik, niewiele z niej rozumiejący? Kupiec, zainteresowany wyłącznie zarobkiem? A może władca, który najchętniej wykorzystałby ją do własnych celów?

– Waris... Myśli... Słowami... Grzmie... Kogoś... Przekona... Ale nie... Mnie...

– Wiedza to potęga. – Czarodziej złożył dłonie razem, usiłując zachować spokój. – Może wieść do szczęścia. Może wieść do władzy. Wszystko zależy od tego, jak ją wykorzystamy. Nie ona więc jest niebezpieczna, a ludzie, którzy się nią posługują.

Nartia zatrzymała się nagle i spojrzała rozmówcy prosto w oczy.

– Wiedza... to broń obosieczna.

– Kolejne zbędne sentencje... – Waris przysunął sobie krzesło i usiadł na nim. – Marnujesz mój czas. – Chwycił ponownie artefakt. – Udało mi się dowiedzieć, że przedmiot ten stworzono za pomocą mocy Boga Ciemności i Bezimiennego.

– Słuszne spostrzeżenie...

– Nie potrafię wymyślić niestety jakie właściwości mogłaby mieć ich część wspólna.

– A jaką wspólną część ustaliłeś...?

– Obydwoje są skrajni. – Waris obracał w dłoni artefakt. – Czarny i biały. Czyste przeciwności. Nie mają w sobie krzty...

– Domieszek – dokończyła za niego zjawa. – Owszem. Życie, śmierć. Tworzenie, niszczenie. Chaos, ład... – Zrobiła dłuższą przerwę. – Światło, mrok. Zaczynasz myśleć całkiem dobrze.

– Ale jaki artefakt można by stworzyć na tej podstawie?
– Waris... Myśli... Że już... Wie... Lecz on... Myśleć... Nie umie.
– Nie pomagasz. Odpowiesz już na moje pytanie? Czy nadal będziesz tylko tańczyć sobie w kręgu?
– Mogę dla ciebie zatańczyć i poza, jeśli mi pozwolisz.
– Nic z tego. Jak tam twoja odpowiedź?
– Czekaj... – Nartia ponownie wykonała taneczny obrót. – Na odpowiednią chwilę.

Czarodziej zerknął na zegar. Zostały mu jedynie trzy godziny. Westchnął ze znużeniem i ukrył twarz w dłoniach. Zaczynał poważnie żałować, że przyjął to zlecenie.

– Och nie załamuj się teraz... – Kobieta przysunęła się możliwie jak najbliżej. – Będziesz potrzebował dzisiejszej nocy jeszcze wiele siły...

– Powiedz mi. Po prostu.

– Niebezpieczne...

– Jestem gotowy podjąć ryzyko. I tak już je podjąłem.

Nartia stanęła na środku kręgu i złożyła razem ręce.

– Dobrze – rzekła po chwili ciszy. – Ale musisz mi coś obiecać.

– Nie uwolnię cię, jeśli o to chciałaś prosić.

– Wiem. Mam więc inne życzenie. Nie włożysz mnie do tego przeklętego sejfów przez resztę nocy.

– Co? – zdziwił się Waris, nie spodziewając się podobnego żądania. – A czemu u licha. Będziesz tak samo bezradna, kiedy zostawię twoje „mieszkanie” w sejfie, jak i poza.

– Owszem, ale z wnętrza sejfów nie będę mogła obserwować, jak sobie włosy wrywasz, próbując powstrzymać lawinę zdarzeń.

– Niech pomyślę... – Czarodziej podrapał się po głowie w zastanowieniu. Bez zewnętrznej ingerencji Nartia nie mogła uciec, on zaś wiedział, jak się obchodzić z pudełkiem. Nie planował też nigdzie wychodzić, a gości spodziewał się dopiero o świcie. – No dobrze. Zgoda – odparł w końcu.

– Przysięgnij – wyszeptała zjawą złowrogo. – Przysięgnij na Eter...

– Tylko bogowie są w stanie przysięgać na Eter duchu – odparł Waris, odkładając krzesło na swoje miejsce. – Chyba spałaś na kilku wykładach w Akademii, skoro brakuje ci tej wiedzy. Mogę ci jednak dać moje słowo.

– Które jest nic niewarte...

– To najlepsza gwarancja, jakiej możesz oczekiwać. A teraz... – Czarodziej chwycił artefakt i uniósł go przed siebie, jednocześnie wyraźnie wypowiadając pytanie. – Jakie jest jego działanie?

– W głowie... Maga... Wiedzy... Brak... Czy... Odpowiem... Chyba... Tak... – wyszeptała Nartia, obracając się powoli. Nie zakończyła jednak na tym. – Kamień... Drahis... Działa... Wszak... Jego... Twórców... To nie... W smak...

Tak rzekłszy wybuchła niespodziewanym śmiechem i nim Waris w ogóle

przetrawił, co powiedziała, zmieniła się z powrotem w mgłę i zniknęła w metalowym pudełku. Zasuwka sama opadła.

– Wracaj! – zawołał stanowczo, ale o wiele za późno. Położył sobie rękę na czole. – I teraz oczywiście nie wyjdzie. Mogłem się domyślić, kolejne zagadki.

Upewniwszy się, iż pudełko zostało zamknięte, odwołał krąg magiczny i podniósł więzienie Nartii z ziemi. Następnie, zgodnie z obietnicą, umieścił je na biurku. Niespecjalnie miał ochotę przestrzegać umowy, lecz szczerze mówiąc, nie widział przeciwwskazań. Prawdopodobieństwo, że duch ucieknie, było tak samo niskie, niezależnie od tego, gdzie postawiłby pojemnik. Wystarczyło nie spuszczać go z zasięgu wzroku, aby nie został ukradziony. A złodzieja w tej poplątanej nocy by się nie spodziewał. Jego przyjście znaczyłoby, że bogowie się naprawdę dziś na niego uwzięli.

– Kamień Drahis... – powiedział cicho, zastanawiając się nad ostatnim zdaniem Nartii. – Słaby trop, ale przynajmniej trop.

Nazwa niewiele mu mówiła, ale fakt ten niespecjalnie go zaskakiwał. Voimsis pełen był dziwnych nazw, których zapamiętanie sprawiało trudność nawet największym mędrcom. Z tego powodu tworzyło się przecież książki. Tak więc Waris podszedł do regału i począł ściągać z niego najróżniejsze tomiska, mogące wyjaśnić mu skąd owa nazwa pochodzi. Wiedział, iż przeglądanie ich wszystkich zajmie mu strasznie dużo czasu, lecz nie pozostała mu już żadna inna droga.

– „Wielka Księga Ringa” Ringa Senelina... „Dwie Drogi” Braci Arrenów... „Naturalne Talenty” Eneriasa Kaznera... – szeptał, oddzielając najbardziej prawdopodobne dzieła od innych, raczej niezbyt pomocnych.

Wziął się za czytanie. Większość książek posiadała spis treści, niestety nie zawsze dostarczał on odpowiedniej dozy informacji i należało przeglądać tematy po kolei, co zajmowało jeszcze więcej czasu. Waris nie zamierzał się jednak poddać, cierpliwie czytał, ze wciąż tłącą się nadzieją na sukces.

Minuty mijały, a odpowiedzi wciąż nie było widać. W końcu przeszukał też ostatnią książkę.

– Nic – westchnął zmęczony, a następnie spojrzął na zegar. Zostało mu półtorej godziny – Opcji wyjścia do biblioteki nie ma. Chyba czas się poddać.

Nagle jednak coś sobie przypomniał. Venita wracając do domu, przyniosła przecież dwie nowe książki. Prawdopodobieństwo, iż znajdzie w nich odpowiedź nie napawało optymizmem, ale wyczerpał już wszelkie inne możliwości. Wstał więc z krzesła, chwycił jedną dłonią artefakt, drugą pudełko z Nartią i ruszył na górę. Oba te przedmioty wydawały mu się zbyt cenne bądź niebezpieczne, aby zostawiać je same.

Wszedł do jadalni, gdzie kilka godzin wcześniej położył książki. Wciąż tam leżały, oczekując na czytelnika. Umieścił przyniesione przedmioty delikatnie na stole, a następnie powoli otworzył drzwi sypialni i zerknął do środka. Venita spała, nieświadoma problemów, z jakimi borykał się jej mąż. Waris podziękował w duchu za to bogom, a potem podszedł bliżej łóżka i najciszej jak potrafił, pocałował żonę w policzek. Następnie wrócił do jadalni i otworzył pierwszą książkę.

„*Skarby Azenteru*” okazały się niezbyt pomocne. Opisywały rozsiane po całym kontynencie ruiny pradawnych, ich historię oraz tajemnice, które w nich odkryto. Wspominały co prawda kilkakrotnie o artefaktach, pochodzących przecież właśnie z ruin pradawnych, lecz zgodnie z ustaleniami Warisa, badany przez niego przedmiot został stworzony przez śmiertelników. Nie odnalazł więc żadnych powiązań. Ziewnął wyraźnie już zmęczony i sięgnął po drugą książkę, tą, która nie przypadła mu do gustu kilka godzin wcześniej. I ku swemu zdumieniu, przeglądając spis treści „*Analizy Legend Kalwadorskich*”, znalazł, czego szukał. Przewertował prędko strony i zaczął czytać. „*Historia Kamienia Drahis*”.

Opowieść ta była bardzo stara, według autora miała ponad tysiąc siedemset lat. Jeszcze w Erze Mroku, w czasach przed rozłamem Kalwadoru na część Północną i Południową, krajem rządził król, który zdołał spostrzec, iż jego poddani są rozdarci między dwie siły, światło i mrok. Przewidując zbliżającą się wojnę domową, która zresztą kilkadziesiąt lat później rzeczywiście wybuchła, zdecydował się znaleźć rozwiązanie tego problemu. Tak powstał Kamień Drahis.

Istnieją różne wersje legendy, jeśli chodzi o pochodzenie tego przedmiotu. Jedna twierdzi, iż Bóg Ciemności podarował go władcy, inna natomiast za twórców podaje magów krwi, lecz wszystkie zgodne są w jednym. Działaniu. Kamień, według opowieści, miał wyrwać Kalwadorczyków z owego stanu „pomiędzy” mrokiem i światłem, a następnie umieścić ich całkowicie po jednej ze stron. Jako że w tamtych czasach, najpotężniejszym państwem był Warderlon, król zdecydował się za pomocą kamienia przeciągnąć swój naród na stronę mroku, aby powziąć z nim sojusz.

Opowieść kończy się, gdy Bogini Natury, pani równowagi między światłem i cieniem, powstrzymuje pomysłodawcę planu, karze go i niszczy kamień, aby nigdy nie mógł zostać użyty.

Waris zamknął książkę i przyjrzał się artefaktowi. Kamień Drahis najprawdopodobniej nigdy nie istniał, czarodzieje bowiem od wieków zgłębiali takie historie, sprawdzając, czy wydarzyły się naprawdę. Gdyby tak było, z pewnością usłyszałyby o tym jeszcze w Akademii Magii, lecz skoro poznał ją dopiero teraz, pozostawała jedynie ciekawą opowieścią.

Interesował go jednak inny fakt. Zdołał już ustalić, że jego artefakt stworzyli śmiertelnicy. Ludzcy czarodzieje zaś mają skłonności do szukania inspiracji w starych historiach. Wilkołaki przykładowo pojawiły się na Voimsisie dzięki druidowi, który chciał odtworzyć te legendarne stworzenia. W miarę mu się zresztą udało. Istniała więc szansa, iż trzymany przez Warisa przedmiot, również został stworzony na bazie wymyślonej opowieści. Czyżby jego twórcy rzeczywiście chcieli urzeczywistnić Kamień Drahis?

– Pomyślmy... – wyszeptał Waris, obracając przedmiot w dłoni. – Bezimienny i Bóg Ciemności... Światło i mrok. To pasuje. Część wspólna, skrajność. Obydwoje bez domieszek. Skoro kamień miał wyrwać naród ze strefy pomiędzy... Również pasuje.

Wstał. Był już niemal pewien, iż zdołał trafnie rozpoznać funkcjonowanie przedmiotu. Teraz wystarczyło jedynie trafić słowa. Zastanowił się. Została mu

jedynie godzina, zatem głębsze przemyślenia odpadały. Musiał zgadywać.

– Skrajność. Czystość. Jednorodność. Mrok. Światło. – Wymieniał z nadzieją na sukces. Obiekt pozostawał jednak niewzruszony. Próbował tak przez prawie dziesięć minut, lecz nagle coś mu się przypomniało. – Zaraz... Co mówiła Nartia? – Skupił się, aby sobie przypomnieć. – Kamień Drahis działa wspak. Jego twórcom to nie w smak.

Pogładził się po brodzie. Czyżby artefakt miał odwrotne działanie i ściągał z czystego mroku lub światła w sferę pomiędzy? Pomysł ten wydawał się Warisowi mało prawdopodobny, wówczas bowiem wspólna część obu bogów zupełnie by nie pasowała.

– A może... – Coś mu przyszło do głowy. – Według legendy król chciał przeciągnąć naród na stronę mroku. Może zatem artefakt prowadzi jedynie do światła?

Idea ponownie go nie przekonywała. Skoro miał tylko jednostronne działanie, po co w ogóle moc drugiego boga? Nertii musiało chodzić o coś innego...

Wówczas nagle pomyślał o zupełnie innej sprawie. Artefakty bywały niebezpieczne, a on stojąc we własnej jadalni, właśnie próbował jeden aktywować. Stuknął się w czoło, przeklinając własną głupotę, prawdopodobnie zmęczenie pozbawiło go ostrożności. Zastanowił się. Wątpił, aby przedmiot rzeczywiście potrafił oddziaływać na cały naród, prawdopodobnie miał raczej niewielki zasięg. Jeśli natomiast rzeczywiście działał na istoty ze strefy „pomiędzy”, nie musiał się obawiać. Był czystej krwi Warderlończykiem, w dodatku magiem mroku. Poeta mógłby powiedzieć, iż ciemność płynęła w jego żyłach. Kalwadorczycy zaś, setki lat temu, po zakończeniu wojny domowej, opowiedzieli się jednoznacznie po stronie światła i decyzji tej wytrwale bronili. Venita też więc była bezpieczna.

I wówczas go olśniło. Wszystkie elementy układanki rozsiane po całym dniu wskoczyły w końcu na swoje miejsce, ukazując pełen obraz prawdziwych wydarzeń.

„Odrzuć owo zamówienie... Nie skończy się to dobrze” – poradził intruz, ofiarowując jeden ze swoich darów.

„Niech Bóg Ciemności czuwa nad tym domostwem” – rzekł Haner na wejściu, zanim jeszcze się przedstawił.

„Zostawimy panu artefakt na noc” – stwierdził Darter, omawiając składaną propozycję.

„Ach naiwny Waris... Padł ofiarą...” – wyszeptała zjawą, chichocząc nieprzyjemnie.

„Wiedza... to broń obosieczna” – oznajmił duch w odpowiedzi na upór czarodzieja.

„Kamień... Drahis... Działa... Wspak... Jego... Twórcom... To nie... W smak...” – wygłosiła swe ostatnie słowa Nartia, nim zniknęła z powrotem w pudełku.

Waris wyraźnie pochodził z mroku, jego żona zaś ze światła. Ich dziecko zatem...

– Nie! – krzyknął mag, zrywając się z miejsca.

Porwał artefakt dłonią, zbiegł głośno po schodach, dopadł drzwi wyjściowych,

a następnie otworzył je i wyrzucił przedmiot, najdalej jak potrafił. Potem, nie czekając ani chwili wrócił biegiem na górę. Wpadł do sypialni i w ułamku sekundy znalazł się przy żonie.

– Venita – rzekł, potrząsając nią lekko. – Obudź się. Błagam.

Kobieta oddychała miarowo, lecz mimo starań męża, pozostawała pogrążona w głębokim śnie. Zaryzykował więc i rzucił zaklęcie wybudzenia. Bez skutku.

– Głupiec... Idiota... – skarcił sam siebie, biorąc żonę w ramiona. – Bogowie... co ja zrobiłem... – Spojrzał przez otwarte drzwi jadalni, w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu, lecz ujrzał jedynie niewielkie metalowe pudełko leżące na stole. – Zadowolona Natrio...? To właśnie chciałaś zobaczyć?

Nagle rozległ się nieco odległy dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Waris od razu pojął, kto przyszedł. Jego oczy zapłonęły gniewem. Delikatnie położył Venitę z powrotem na łóżku, a następnie wstał i wszedł do jadalni. Dłoń otoczył mu mrok.

– Naprawdę panie Demarin? – stojący w drzwiach Haner obracał trzymany przez siebie artefakt. – Teraz? Kiedy zostało tak niewiele do świtu? Rozczarowuje nas pan.

– Wielka szkoda – dodał jego brat Darter, gładząc czule swój kostur bitewny. – Byłoby prościej, gdyby współpracował pan, pozostając w głębokiej niewiedzy.

– Wynocha – oznajmił Waris lodowatym tonem. Jego oczy same przybrały kolor czerni. – Natychmiast.

– Och... musi nam pan wybaczyć, ale nie możemy. Porzucanie planu w etapie końcowym raczej nie jest zbyt opłacalne.

– Mamy natomiast trochę czasu na interesującą pogawędkę. – Haner znakomicie udawał zachwyconego. – Zresztą na pana miejscu czułbym się zaszczycony. Wszystkie poprzednie próby zakończyły się fiaskiem. Dziecko zawsze rodziło się po stronie światła. Jestem pewien jednakże, iż pańska... – spojrzał rozmówcy prosto w oczy. – ...mroczna strona, zatriumfuje.

– Krąg magiczny – rzekł Waris, nie dodając już nic więcej na temat gości.

– Och, ależ proszę się uspokoić – powiedział Darter, ściskając mocniej swój kostur. Różdżka otoczyła się lodową aurą. – Wolelibyśmy uniknąć przemocy. A zapewniam, ma pan marne szanse w starciu z nami.

– Mój brat ma rację – poparł przedmówcę Haner, składając razem ręce. – Zresztą radzę się zastanowić. Lepiej żyć z dzieckiem nieco... odmienionym niż nie żyć wcale.

Badacz artefaktów nie odpowiedział, tylko po prostu aktywował bitewne zaklęcie. Kula mroku pomknęła przez pomieszczenie i już miała trafić w cel, kiedy czarodziej również przywołał jaśniejący pentagram.

– Skoro nalega... Zabij go bracie.

– Jeśli prosisz... – Darter wzruszył ramionami, a następnie machnął kosturem, tworząc podłużny sopel lodu. Posłał go w kierunku przeciwnika.

Waris, nie zdążywszy przestawić konfiguracji magicznej na odpowiedni żywioł, skoczył w bok, unikając spotkania ze śmiercionośną siłą. Pocisk minął go i z hukiem

uderzył o stół, posyłając go prosto pod ścianę. Wówczas leżące na nim od jakiegoś czasu niewielkie metalowe pudełko wystrzeliło w górę, spadło na podłogę i rozpadło się na kilka mniejszych kawałków.

– Nie! – wykrzyknął przerażony badacz, natychmiast ponownie przywołując krąg. Pentagram pojawił się idealnie w porę, aby powstrzymać materializującą się Nartię, która oczywiście od razu pomknęła w jego kierunku.

– Upartyś... – syknęła zjawa ze złością, tuż po tym, jak rozbiła się o barierę.

Nie czekała jednak ani chwili. Odwróciła się, wystrzeliła naprzód i nim stojący przy drzwiach magowie zdążyli w ogóle zrozumieć, co się dzieje, dopadła Hanera. Ten krzyknął zaskoczony i zaczął się wić, lecz trwało to jedynie kilka sekund. Po chwili bowiem duch zniknął, sam mężczyzna zaś uspokoił się i stanął wyprostowany.

– Preferuję kobiety – oznajmiła Nertia, oglądając z zainteresowaniem swoje nowe ciało. – Lecz skoro nie było alternatywy...

– Zostaw go! – krzyknął Waris, a mrok posłusznie rzucił się na opętanego.

– Nie! – Darter w odpowiedzi posłał w kierunku przeciwnika kolejne lodowe pociski. Tym razem jednak badacz uwzględnił lód w konfiguracji swojego kręgu, więc pentagram oparł się atakowi.

Haner padł na ziemię otoczony ciemnością. Wił się rozpaczliwie, próbując odegnąć cienie, lecz kierująca nim zjawa chyba jeszcze nie wymyśliła jak dobrać się do jego magii.

– Głupcze! – krzyknęła w końcu, ponawiając próby oswobodzenia. – Po czyjej ty jesteś stronie?!

– Wyłaź z niego! – zawołał badacz, wzmacniając tylko mroczny uścisk. Niestety znajdował się jednocześnie pod lodowym natarciem. – Wyłaź albo zginiesz wraz z nim!

Zjawa wydała niezwykle wysoki wrzask, a następnie opuściła ciało Hanera.

– Głupiec! – zawyła, formując się ponownie w postać widmowej dwudziestolatki, ale nie dany był jej spokój. Darter natychmiast zwrócił przeciwko niej podmuch mroźnego wiatru, kiedy natomiast odskoczyła od wcześniej opętanego mężczyzny, ukląkł przy bracie i potrząsnął nim mocno. Ten otworzył powoli oczy.

Nartia nie czekała. Ponownie dopadła do badacza, który na szczęście wciąż stał w swoim pentagramie.

– Nie masz z nimi szans – rzekła, powoli przemieszczając się dookoła kręgu. – Pozwól sobie pomóc.

– Ani mi się śni – Waris zaczął formować kolejną kulę mroku. Niestety przeciwnicy, choć obecnie nieco zajęci, wciąż stali we własnej barierze.

– Oj daj spokój... Nie jesteś nawet magiem bitewnym. – Nartia oparła się o pentagram. – Wyjdź do mnie kotku... Przejmę twoje ciało i rozprawię się z nimi raz na zawsze.

– A potem co?

– Miło, że pytasz. Potem pewnie zajmiemy się wykładowcami na pewnej akademii. A właściwie raczej ich dziećmi...

– Nigdy! – krzyknął badacz i rzucił kulą w stronę braci. Pocisk rozbił się na barierze, nie czyniąc im żadnej krzywdy. Haner tymczasem powoli dochodził do siebie, choć brat nadal musiał mu pomagać.

– Och ależ upartyś... – Zjawa obróciła się z gracją, a następnie zaświeciła złowieszczo oczyma. – Nie zmuszaj mnie prosić, do zastosowania ostatecznych środków... Bo wiesz... Ja naprawdę jako ciała wolę kobiety. – Tak rzekłszy, spojrzała w stronę sypialni, gdzie na łóżku nadal leżała Venita.

– Ani mi się waż! – zawołał Waris z przerażeniem. – Zostaw ją w spokoju!

– Oj chciałabym. – Słodycz w głosie Nartii była obrzydliwa. – Naprawdę. Niestety nie mam obecnie alternatywy. No... chyba że opuścisz swój pentagram.

Badacz przełknął nerwowo ślinę. Przeciwnicy zdążyli się już podnieść po niespodziewanym dla nich wydarzeniu i prawdopodobnie zaraz ponownie mieli przejść do ataku. Szczerze mówiąc, wątpił w swoje szanse, lecz nie zamierzał tak po prostu dać im wygrać. Spojrzał na żonę. Pograżona w magicznym śnie, wydawała się jedynym spokojnym i pięknym elementem w tym całym chaosie. O nią zresztą przecież walczył. Nie. Nie mógł pozwolić zjawie jej zabrać.

Zamknął oczy, opuścił ręce, a następnie uczynił co konieczne. Wyszedł z kręgu. Nartia dosłownie zaszczębiotała z zadowolenia.

I wtedy stało się coś, co sprawiło, że cała czwórka zamarła w osłupieniu. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i przez okno wpadł pierwszy gość tej dziwnej nocy, ów „przyjacielski” najemnik. Warisowi zdążyło tylko przemknąć przez myśl, że przecież znajdują się na pierwszym piętrze, nim wojownik wziął się do roboty. Korzystając z rozpędu, zdzielił Dartera tarczą, tak że czarodziej uderzył z głośnym trzaskiem o ścianę i padł na ziemię. Posłał co prawda w kierunku napastnika lodowy sopel, ale mężczyzna bez cienia strachu, uniknął pocisku.

Haner połączył swój pentagram z kręgiem brata, wzmacniając tym samym obronę. Nartia tymczasem widząc nowy interesujący obiekt, pomknęła w kierunku wojownika.

– Uważaj! Za tobą! – krzyknął Waris ostrzegawczo, lecz było już za późno. Zjawa wpadła prosto na skupionego na walce mężczyznę. Zamiast jednak zniknąć w jego ciele, przeniknęła przez niego bezszelestnie, zupełnie jakby był obiektem nieożywionym.

– Co do... – zaczęła zaskoczona, lecz nie zdołała dokończyć. Najemnik bowiem słysząc ostrzeżenie badacza, odwrócił się błyskawicznie i ciął poziomo, prosto przez widmową formę ducha. Zjawa nawet nie próbowała uniknąć, wiedząc, iż zwykła broń nie jest dla niej groźna, ale ostrze niespodziewanie rozcięło jej niemalże przeźroczystą postać z głośnym dźwiękiem rozdzieranego materiału. – Nie! – krzyknęła Nartia, próbując się na powrót zmaterializować. – Nie! Nie! Nie!!! – Jej wrzask urwał się nagle, w momencie, w którym eksplodowała jasnoniebieskim światłem. Nie pozostał po niej nawet ślad.

– Zabiłeś ją... – szepnął Waris z niedowierzaniem. Ukląkł w kręgu. Walka natomiast nadal trwała.

Trzy sztylety, kontrolowane przez gotowego do starcia Hanera poszybowały w kierunku najemnika. Ten, niewytrącony z czujności przez odejście zjawy, odtrącił je bez problemu za pomocą miecza i tarczy. Natychmiast ponowiły zaciekły atak, z podobnym jednak skutkiem. Czarodziej zirytowany uniósł więc dłoń i wypowiedział słowa, a wojownik poleciał nagle do tyłu i uderzył z trzaskiem o ścianę. Usidlony próbował wyrwać się z pułapki, lecz zbroja, którą miał na sobie, wykonana została przecież z metalu, niekorzystnej substancji w przypadku walki z magiem magnetyzmu. W jego kierunku pomknęły po chwili lodowe pociski. Mężczyzna cudem zdołał je odparować.

Waris w końcu otrząsnął się z marazmu i na powrót wkroczył do walki. Licząc, iż słońce jeszcze nie wzeszło, aktywował zaklęcie przerażającego mroku. Darter nie spodziewając się akurat ataku z tej strony, zawył z bólu, przerywając przyzywanie kolejnych sopli. Najemnik tymczasem, pokonując własną siłą część wiążącego go przyciągania, uniósł miecz i z całą mocą rzucił nim prosto w Hanera. Ten wzniósł dłoń, starając się odtrącić pocisk, lecz broń z jakiegoś powodu zignorowała rozkaz maga, przebiła pentagram i wbiła mu się prosto w pierś.

– Jak... – szepnął zdruzgotany czarodziej, spoglądając na wystającą z niego rękoność. Potem padł martwy na podłogę.

– Bracie! Nie! – krzyknął Darter, skacząc w kierunku umierającego, lecz wojownik nie dał mu ani chwili wytchnienia. Uwolniony od siły magnetyzmu, skoczył naprzód i dzielił go tarczą w brzuch. Czarodziej przeleciał przez drzwi, a następnie runął w dół schodów.

Najemnik podniósł z podłogi artefakt, a potem rzucił go oszołomionemu Warisowi.

– Formuła odwołująca to „Przerwanie” – rzekł i zasłonił się przed nadlatującym soplem. Mag wciąż był groźny.

Badacz wybiegł z kręgu, w którym stał przez ostatnie kilka minut i dopadł do żony. Położył jej dłoń na czole i chwycił mocno wieloramienną gwiazdę.

– Przerwanie – powiedział, wciskając w to słowo całą swoją wolę. Kobieta jednak pozostawała we śnie. Krzyknął więc natychmiast – Nie działa!

– Możliwe, że źle to przetłumaczyłem! Wymyśl coś podobnego! – odparował najemnik, a potem skoczył w dół schodów, aby rozprawić się z pozostałym wrogiem.

Waris zaklął pod nosem, spoglądając w okno. Do świtu pozostało niewiele czasu. Musiał działać szybko.

– Powstrzymanie. Zaprzestanie. Odwołanie – Próbował, wypowiadając pierwsze lepsze słowa, które kojarzyły mu się z pierwotnym. – Wstrzymanie. Zatrzymanie. Zablokowanie. – Zaczynały mu kończyć się pomysły. – Rozerwanie – rzekł ostatecznie, a artefakt błysnął zielonym światłem. Kobieta zaś otworzyła oczy i zerwała się z pozycji leżącej. Na jej twarz padły pierwsze promyki słońca.

– Waris... Co się... Kręci mi się w głowie...

– Sz... – Mężczyzna objął ją czule. – Już po wszystkim. Jestem przy tobie.

– Miałam dziwny sen... Jakby...

– Spokojnie kochana. Było minęło.

Nagle w sąsiednim pokoju rozległo się kilka nieprzyjemnych dźwięków, w tym odgłos ciała uderzającego o podłogę. Chwilę później w drzwiach pojawił się najemnik, po ostrzu jego broni spływała krew.

– Musimy pogadać – oznajmił po prostu, a następnie zniknął z pola widzenia. Waris uwolnił żonę z uścisku, a następnie spojrzał jej prosto w oczy.

– Zaraz wrócę i ci wszystko wyjaśnię dobrze? – rzekł, gładząc ją po policzku. – Potrzebuje tylko chwili, aby to zakończyć.

– Musisz...? – Kobieta miała strach w oczach. Fakt ten nie dziwił, zważywszy, iż w swoim życiu nie widziała wiele przemocy.

– Tak, lecz zaraz będę z powrotem. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Waris wstał, wszedł do jadalni i zamknął za sobą drzwi.

– Zdążyłeś? – spytał oparty o ścianę najemnik. Najwyraźniej cała sytuacja nie robiła na nim wrażenia.

– Ja... nie mam pewności.

– W takim wypadku czas pokaże. Byłoby o wiele prościej, gdybyś odrzucił zamówienie, jak zalecałem. I jeszcze prościej, gdybyś przystał na moją propozycję i odesłał żonę.

– Mogłeś mówić jaśniej, a nie karmić mnie zagadkami. Czemu zresztą nie wpadłeś wcześniej, skoro ostatecznie i tak ich zabiłeś?

– Potrzebowałem czasu, aby poznać słowo przerywające. – Mężczyzn wytarł swój miecz w leżący na ziemi obrus, brudząc go chyba nieodwracalnie. – Mieli je w notatkach, które niestety zapisali po kalwadorsku. Nie miałem w dodatku pewności czy to na pewno oni, ale zostawmy sprawę. Zajmę się ciałami, abyś nie miał kłopotów ze strażą. Nim się rozstaniemy jednak... – Wyciągnął przed siebie dłoń.

– ...artefakt poproszę.

– Czemu miałbym ci go dać? – Waris przyciągnął przedmiot bliżej siebie.

– A masz inne wyjście? Zresztą... wolisz, aby został u ciebie?

– Nie, lecz mam lepszy pomysł. Wyślę go do Akademii Magii w Warderlonie. Tam są specjaliści, którzy będą wiedzieć jak o niego zadbać.

– Lub jak go wykorzystać – Najemnik wzruszył ramionami i tylko wyciągnął dłoń bliżej.

– Co z nim zrobisz? – spytał badacz, nadal nieprzekonany.

– Upewnię się, iż nigdy więcej nie zostanie wykorzystany. Tak jak cała masa innych artefaktów. – Mężczyzna spojrzał rozmówcy prosto w oczy. – Uwierz mi, to najlepsze wyjście.

Waris zastanawiał się chwilę, niezdeterminowany, ale ostatecznie podał najemnikowi przedmiot. Ten schował go do torby.

– Mądra decyzja panie Demarin. – Wojownik rozprostował kości i podszedł do wyjścia. – Tymczasem... Chyba czas się pożegnać. Życzę powodzenia w życiu. Proszę też pozdrowić ode mnie żonę. I przyszłe dziecko. Nie sądzę, abyśmy się jeszcze zobaczyli.

– Czekaj! – powstrzymał go Waris, nim mężczyzna zniknął za drzwiami. – Powiedz mi, chociaż kim jesteś.

– Oj panie Demarin... – Najemnik odwrócił się nagle, nieco przestraszając rozmówcę. – Proszę rozważnie dobierać pytania, bo jeszcze przypadkiem dowie się pan o rzeczach, o których lepiej nie słyszeć. Radzę pamiętać... Wiedza to broń obosieczna.

Córka Warisa i Venity, Dervia Demarin kilka lat po narodzinach okazała się bardzo podobna do ojca. Nie dało się jednak stwierdzić czy było to dziełem artefaktu, czy zwykłym przypadkiem.

Rodzina Demarin przeprowadziła się po jakimś czasie do Warderlonu. Waris bowiem nie mógł pozbyć się z pamięci owej okropnej nocy, o której codziennie przypominało mu miasteczko Kenawen.

Artefakt zwany później Gwiazdą Drahis przepadł bez śladu, choć dzięki działaniom Warisa, został opisany i udokumentowany w kilku książkach.

Tajemniczy najemnik, zgodnie z zapowiedzią, nie pojawił się już więcej w życiu rodziny Damerinów.

Symfonia

Płaskowyż Artan w Górach Ankarii. Królestwo Anarchijskie. Rok 1432 od zesłania Pana.

– Już niedaleko. – Dobrze znany głos wyrwał nagle Gabriellę z głębszej zadumy, w której znajdowała się od dłuższej chwili. – Nasz cel powinien być tuż za tym wzgórzem.

– Świetnie, zaczynałam już się bać, że nigdy nie dojedziemy – odparła dwudziestodwuletnia kobieta, poprawiając swoją pozycję w siodle. Podróżowali od kilku dni i choć gildia oczywiście zapewniła im transport oraz eskortę, nadal w pamięci czas ten zapadł jako męczący i nieco bolesny.

Kevlin, który nieco wyprzedził swoją towarzyszkę, zatrzymał się nagle na szczycie wzniesienia, a następnie rzekł, wpatrując się w jakiś obiekt w oddali:

– Nigdy nie wiedziałaś świątyni Nes Katir, prawda?

– Rzeczywiście nie.

– Ciekawi mnie czy ci się spodoba... Zwłaszcza w obecnym stanie.

Gabriella, narzekając pod nosem na wciąż przypominające o sobie trudy podróży, ostatecznie również znalazła się na wzgórzu. Kiedy zaś ujrzała widok przed sobą, otworzyła szeroko usta z zaskoczenia i zachwytu.

Budowla była ogromna. Sam główny budynek wielkością przebijał wszystkie pałace czy zamki, jakie kobieta widziała podczas całego swojego życia. Ponadto otaczały go dziesiątki pomniejszych zabudowań, posągów i kapliczek na świeżym powietrzu, sprawiając, iż świątynia przypominała swoją strukturą niewielkie miasto, oparte na planie prawie idealnego koła. Z samego centrum zaś w górę pięły się strzeliste wieże, swoją wysokością rzucając jakby wyzwanie widniejącym w oddali góróm. Całość swym wyglądem, jak i materiałem, z którego została wykonana, wyraźnie wskazywała w styl kaistlancki, wywierając na obytej w świecie Gabrielli pozytywne wrażenie.

Niestety, świątynia najwyraźniej została niedawno kompletnie zdewastowana, co właśnie tak zaskoczyło kobietę. Większość posągów leżała roztrzaskana na ziemi, a drewniane elementy, których na szczęście nie dało się naliczyć za wiele, wyglądały na prawie zupełnie spalone. Wiele pomniejszych budynków również rozpadało się w oczach. Jedynie element centralny trwał wciąż niezachwianie, kontrastując z otaczającym go rozpadem. Czyżby okazał się zbyt trudny do zniszczenia...?

– To... – Czarodziejka przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. – Smutne. I okropne, chociaż nadal piękne. Ale głównie smutne.

– Prawda? – Kevlin patrzył na świątynię z czymś w rodzaju melancholii w oczach. Po chwili jednak spostrzegł galopujących w ich stronę jeźdźców. – Mamy towarzystwo. Chyba nas zauważyli.

Eskorta, która niemal przez całą drogę starała się dać podróżującym magom

jak najwięcej przestrzeni na rozmowę, zbiła się nieco ciaśniej, w oczekiwaniu na spotkanie z nieznajomymi.

– Kim jesteście? – zapytał szorstko dowódca niewielkiego oddziału, który w końcu dotarł do grupki podróżników. Przemawiał w czystym warderłońskim, po akcencie dało się zresztą rozpoznać, iż pochodzi z Akadarii, samego centrum Mrocznego Cesarstwa. – I czego tutaj chcecie? Wkroczyliście na teren objęty działaniami wojennymi. Mam nadzieję, że mieliście ku temu odpowiednie powody.

– Nazywam się Gabriella Ishaja, a to Kevlin Nawin. Zostaliśmy tu przysłani przez Gildię Magów, na zaproszenie waszego Cesarza. – Kobieta usiłowała przemawiać ze spokojem w głosie, choć już od pewnego czasu zżerały ją nerwy.

– Proszę mi wybaczyć panno Ishaja – Żołnierz, usłyszawszy odpowiedź, natychmiast zmienił ton. – Lecz poinformowano nas, iż sprawę rozstrzygnie sam Arcymag. Nie dostaliśmy też żadnych wieści o zmianie owych planów...

– Arcymag Velirius Karen rzeczywiście początkowo chciał przyjechać osobiście. Uznał jednak, że jako zdeklarowany Anarchijczyk, pozbawiony będzie... obiektywnego spojrzenia na problem. Dlatego zdecydował się wysłać swoją asystentkę, znaczy mnie.

– Rozumiem... Poinformuję kogo trzeba. Proszę z nami.

Dwójka czarodziei ruszyła z wolna, tym razem otaczana już nie tylko przez najemników, ale również cały warderłoński oddział. Kevlin jednak wydawał się zupełnie nieskrępowany sytuacją i jak zawsze nie wytrzymał dłuższej chwili ciszy.

– Czy piękna panna chciałaby może usłyszeć historię świątyni Nes Katir, skoro zaraz obejrzy ją dokładnie na własne oczy? – zapytał wyjątkowo swobodnym tonem.

– O. A to może być interesujące. Opowiadaj.

– Wszystko zaczęło się jakieś... Niech no policzę... Ponad sześćset lat temu. W Erze Światła, kiedy Królestwo Anarchijskie było jeszcze Cesarstwem, a na jego tronie zasiadał...

– Enerias Kazner – dokończyła za niego kobieta, wygłaszając powszechnie znany fakt. Ten okres w dziejach należał zresztą do jej ulubionych.

– Tak. To działo się kilkadziesiąt lat po wojnie z orkami w Kaistlanii. Na Wyspach Anteor zaczęło wówczas narastać pewne... – Kevlin zawiesił się na chwilę, wyraźnie w poszukiwaniu odpowiedniego słowa. – Przekonanie. Odnosnie do Wielkiego Cesarza.

– Jakież to?

– Ludzie zaczęli podejrzewać, że Enerias Kazner za pomocą swojej potęgi i władzy usiłuje zdominować świat i inne narody.

– Dziwne... wydawało mi się, iż właśnie wręcz przeciwnie, pilnował, aby nikt czegoś takiego nie zrobił. Cesarstwo przecież nigdy nikogo nie podbiło. Nie licząc może Lenariolenu, ale Elfie Wyzwanie to sprawa na osobną, długą dyskusję.

– Zgadzam się, ale co zabawne, owo przekonanie wynikało właśnie z tego faktu.

– Z wojny z Lenarioleńczykami...?

– Nie. Z tego, że cesarz nikogo nie podbijał.

– Że jak?

– Wytłumaczę na przykładzie. Ponad dwieście lat wcześniej Smokoni zbuntowali się przeciwko ówczesnemu stanowi rzeczy. Cesarstwo stłumiło ich powstanie. Nie zaatakowało Smokonii co prawda, ale... Zryw został zdławiony w zarodku. Potem byli orkowie. I ponownie, bunt stłumiono. Tak więc zaczęło wśród mieszkańców Wysp Anteor rosnać przekonanie, iż Enerias Kazner usiłuje zdominować świat, lecz nie jak wiele lat wcześniej Warderlon, militarnie i kulturowo, lecz na nowy sposób. Zdominować świat... porządkiem.

– Porządkiem?

– Tak. Pomyśl, w naturze cesarza rzeczywiście nie leżały podboje, ale przecież mogły one leżeć w naturze INNYCH narodów. A nie mogły one nikogo zaatakować, bo kiedy to robiły, nagle wpadał Enerias Kazner, mówił pewnie coś w stylu „Chyba nie chcesz zburzyć porządku świata?” i było po sprawie. Wojna się kończyła.

– Większość uznałaby to chyba za pozytywne działanie...

– W tym ja. Moim zdaniem wykonywał znakomitą robotę. Wracając jednak do tematu... ludzie zaczęli myśleć, że Cesarz zamierza zdominować inne narody swoją wizją spokojnego i uporządkowanego świata, nie licząc się z tym, jak te narody same chciałyby wyglądać i działać.

– I co na to wasz władca...?

– Nie próbował walczyć z plotkami. – Kevlin pogłodził się po podbródku z zastanowieniem. – Zamiast tego, nakazał zbudować świątynię Nes Katir.

– Naprawdę? A jak niby miałoby to pomóc?

– Początkowo wszyscy się zastanawiali, ale zajmijmy się samą świątynią. Miało być to miejsce czci wszystkich bogów-stworzycieli Voimsisu. Bezimienego, Boga Wojny, Boga Mądrości i Bogini Natury.

– Pominął Boga Ciemności? Warderłończycy musieli poczuć się dotknięci...

– O ile mi wiadomo, sam Cesarz chciał umieścić tam i Boga Ciemności, ale jego doradcy wyraźnie odradzali ten pomysł. Tak więc w ciągu dziesięciu lat, ukończono budowę. I wtedy wszyscy zrozumieli, o co chodziło Kaznerowi...

– Tak...?

– Widzisz... w świątyni czczono wszystkich bogów-stworzycieli. I żadnego nie faworyzowano czy wywyższano. Co więcej, nie definiowano metody czci, pozostawiając ją w pełni przybywającym kapłanom i pielgrzymom. W skrócie budowla ta była swoistą wiadomością dla całego Voimsisu od naszego Cesarza. Brzmiała zaś ona jasno, co uwielbiam podsumowywać jego własnymi słowami: „Nie definiuje tego, kim jesteście czy jacy jesteście. Ani jak się zachowujecie bądź w co wierzycie. Bo jedyne, w co ja wierzę, to że każdy z nas ma jakąś rolę w tym świecie do odegrania. I wszyscy razem jesteśmy potrzebni, choć na zupełnie inne sposoby”.

– Czemu więc, jak sam wcześniej wspomniałeś, tłumił zapędy innych narodów?

– Wcale nie tłumił. Wykonywał tylko swoją rolę. Był wyznawcą Bezimienego, więc tak jak większość mu podobnych, usiłował dbać o wszystkich.

– Krwawo tłumiąc bunt orków? Albo smokonów?

– A co byś zrobiła na miejscu Cesarza, gdyby zbrojnie ktoś zaatakował twój kraj? Broniłabyś się oczywiście! Zresztą Enerias Kazner uważał, iż przemocą nikt nic nie ugra. Dlatego wołał najpierw pokonać buntowników a dopiero potem negocjować. I wiesz? Podczas negocjacji naprawdę myślał o obu stronach. Smokoni nie dostali wszystkiego, czego chcieli, przez co zresztą uważają, iż przegrali tę wojnę, ale jednak COŚ dostali. A cesarz nie dał im więcej, tylko dlatego, że myślał również o drugiej stronie. To nie była próba zdominowania innych narodów i przeforsowania własnej wizji świata, tylko realizacja roli, którą świat mu przydzielił.

– Naciągana teoria... Mów jednak dalej. Czy ludzie... zrozumieli jego wiadomość? – Gabriella wyraźnie już zainteresowała się tematem. – Czy podejrzenia zniknęły?

– Może cię to zaskoczy, ale tak. Zniknęły. Podejście wobec Eneriasa Kaznera zresztą również się nieco odmieniło. I przez kolejne dwieście lat nie było wojen ani buntów, bo inne państwa zrozumiały, iż z Cesarstwem Anarchijskim da się dogadać.

– Bawi mnie sposób, w jaki kreujesz waszego Cesarza na wielkiego człowieka.

– Wracając do świątyni – odparł Kevlin nieco zaczerwieniony słowami Gabrielli – za czasów Eneriasa Kaznera, czczono tutaj wszystkich bogów stworzycieli. Enerias Kazner jednak ostatecznie zginął.

– I kilka lat po tym rozpoczęła się wojna domowa...

– Tak. Po niej zaś na tronie zasiadł syn Eneriasa, Kainmil Kazner. Ten miał nieco bardziej konserwatywne poglądy odnośnie do bogów od swojego ojca.

– Mianowicie?

– Uważał, że jedyny bóg, jakiego Anarchijczycy powinni wyznawać to Bezimienny. Kazał więc przebudować całą świątynię. Można się spierać czy ta decyzja była słuszna, czy nie, lecz...

– Tak...?

– Byłem w niej. Osiem lat temu. To, co obecnie widzisz to jedynie cień dawnej chwały. Wyglądała po prostu wspaniale. Odpowiednio dostosowane szczeliny w ścianach oraz lustra manipulowały światłem w taki sposób, że w dzień nie trzeba było w środku zapalać żadnych lamp. Promyki słońca lawirowały w kolejnych pomieszczeniach, tworząc niesamowitą atmosferę. Przepiękny widok... uwierz mi.

– Wierzę. Co stało się potem?

– Warderlończycy. – Kevlin ściszył głos, będąc świadom, iż otacza go właśnie ten naród. – Trzy czterdziestodnie temu rozpoczęli inwazję na Królestwo Anarchijskie. Po podbiciu Okary dotarli tutaj. I przed sobą ujrzeli świątynię Bezimiennego, największego przeciwnika Boga Ciemności, którego przecież sami gorliwie wyznawali. Splądrowali więc to miejsce, a następnie zupełnie zdewastowali. Efekt widzisz przed sobą. Największe i najpiękniejsze dzieło mego narodu... zniszczone przez chciwość i nienawiść Mrocznego Cesarstwa.

Gabriella spojrzała na zrujnowane mury z zamyśleniem. Czy powinna wziąć pod uwagę ową historię w rozstrzygnięciu sprawy, którą tego dnia miała się

zajmować? Problemy były powiązane, lecz nie bezpośrednio. Oba były skutkiem wojny, choć wywołanym przez dwie różne strony. Potrzebowała chyba więcej czasu na zastanowienie...

Wśród zrujnowanych budynków i kapliczek, rozłożono olbrzymie obozowisko, które powiewającymi sztandarami z fioletową koroną wyraźnie informowało o przynależności do Mrocznego Cesarstwa. Tylko w jednym miejscu zarówno flagi, jak i kolorystyka zaskakiwały odmianą. Tuż pod samym budynkiem centralnym ustawione stało siedem niedużych namiotów z emblematami Królestwa Anarchijskiego. Przy jednym z nich dodatkowo widniał sztandar Gildii Magów.

– Obozujemy u Anarchijczyków? – spytała Gabriella nieco zdziwiona własnym spostrzeżeniem.

– Owszem. – Kevlin zsiadł z konia, a następnie oddał go komuś, kto chyba pełnił funkcję stajennego w obozie. – Zaprosili nas Warderłończycy, zamieszkamy u Anarchijczyków. Podzielili się po równo, aby nikt nie narzekał.

– Przecież to błahostka...

– Nie dla nich... A przynajmniej nie w obecnym momencie.

Dowódca eskortującego ich oddziału, który na kilka chwil zniknął w wielkim ciemnym namiocie, pojawił się znowu i oznajmił spokojnie:

– Generał Unaris niestety jest obecnie nieco zajęty, ale został poinformowany o waszym przybyciu i zapewnia, iż otrzymacie dostęp do wszystkich niezbędnych środków. W międzyczasie sugeruje rozgościć się w tymczasowym lokum. Wasza przedstawicielka zresztą już tam na was czeka.

– Niezwłocznie udamy się więc na miejsce.

– Jeszcze przed tym, generał chciałby wiedzieć, kiedy mniej więcej zamierzacie się zająć sprawą.

– Szczerze mówiąc, wołałabym jak najszybciej. – Gabriella poprawiła nieco swój strój, rozglądając się dookoła. – Tak więc zapewne jeszcze dzisiaj. Do zmierzchu zostało przecież wiele czasu.

– Rozumiem. Przekażę.

Kobieta wymieniła jeszcze kilka zdań z przywódcą służącego im oddziału najemników, aby upewnić się, że odeskortują ich również w drodze powrotnej. Podczas pobytu w obozie jednak, o bezpieczeństwo dbali żołnierze, więc płatni wojownicy mogli przez ten czas zrobić sobie wolne i odpocząć. To zresztą planowali.

Kilka chwil później czarodzieje ruszyli z wolna. Teren nieco utrudniał wędrówkę, ze względu na walące się budynki i rzeźby, ale przez ostatnie dziesięć dni, obozowiczom udało się ustalić swego rodzaju ścieżki, które miejscami wiodły brukowanymi drogami świątyni, a czasem wiły się wśród ruin niczym węże.

Mijali dziesiątki namiotów, przyciągając sobą wzrok obozujących żołnierzy. Większość spoglądała na nich obojętnie, ale znalazło się też kilku takich, którzy na ich widok splunęli z pogardą. Najwyraźniej apolityczność i bezstronność gildii nie cieszyła się tutaj zbyt dużym szacunkiem...

Zanim jeszcze dotarli do anarchijskiej części świątyni, zobaczyli już z daleka oczekującą na nich czarodziejkę. Miała czarne włosy i nieco ciemniejszą od obojga cerę, lecz jej szatę zdobiły identyczne symbole.

– Oho... Kolejna piękna panna. Chyba nawet opłacało się tutaj przyjechać.

– Kevlin... – Gabriella westchnęła przeciągle, uśmiechając się mimowolnie. – Ja wiem, że patronem twojego imienia jest największy kobieciarz na świecie, ale... Nie musisz iść za jego przykładem.

– Oj przestań, pożartować sobie nie można? Stres usiłuję rozładować...

Dotarli ostatecznie do namiotu. Czekała na nich kobieta, natychmiast odezwała się żywiołowo.

– Bogu Ciemności dzięki, w końcu jesteście! Jeśli jeszcze kilka dni musiałabym tu sama przebywać, to naprawdę szlag by mnie trafił!

– Witaj Denero. Co się stało?

– Co się stało? Co się stało?! – Czarodziejka ukryła twarz w dłoniach, jakby usiłując ukryć się przed ogromem odpowiedzi. – Spędziłam ostatnie dwa dziesięciodni, usiłując odwieść przebywających tutaj żołnierzy od pomysłu pozabijania siebie nawzajem, aby nasza inspekcja w ogóle miała sens i nie zakończyła się jeszcze przed rozpoczęciem. A naprawdę utrzymanie w ryzach dwóch nienawidzących się od wieków narodów graniczy z cudem!

– A czy tym nie powinni zajmować się ich dowódcy...?

– Może i powinni, ale czasem miałam wrażenie, że najchętniej sami by też rzucili się mordować drugą stronę. Dlatego nawet mnie nie pytaj, ile razy musiałam gadać z jakimś oficerem czy kimś tam i tłumaczyć mu jak dziecku, że nie wiem... Wystrzelenie śmieci z katapulty w stronę przeciwnego obozu to naprawdę TRAGICZNY pomysł... Jeśli jeszcze raz któryś wpadnie na jakąś prowokację, to naprawdę oszaleję. Ugh.

Gabriella kiwnęła głową ze zrozumieniem. Doskonale znała takowe sytuacje i zupełnie nie chciała być na miejscu znajomej.

– No już... – Kevlin pogłodził rozemocjonowaną czarodziejkę po włosach. – Jesteśmy tutaj. Zaraz wszystko ogarniemy.

– Nie dotykaj mnie Anarchijczyku.

– Denera! – Głos Gabrielli przesiąknięty był dezaprobatą.

– Wybaczcie... – westchnęła przeciągle rozmówczyni. – To po prostu dla mnie za dużo. Zbyt wielu Anarchijczyków ostatnio patrzy na mnie nienawistnie.

– Rozumiem, ale jako przedstawicielka gildii, powinnaś trzymać emocje na wodzy. Zwłaszcza w takich sprawach.

Czarodziejka pokiwała głową zgodnie.

Po chwili cała trójka znalazła się wewnątrz przydzielonego im namiotu. Dwoje

nowo przybyłych rozłożyło swoje rzeczy na prowizorycznych łózkach, Denera zaś nałapała każdemu po kubku ciepłego napoju. Dało się od razu rozpoznać zapach sprowadzanego z Lenariolenu liścia livinis. Kilka minut później członkowie Gildii Magów relaksowali się przy stoliku, obserwując obozowisko ze wzniesienia, na którym znajdowała się część anarchijska.

– Ładny kostur. – Przerwał ostatecznie ciszę czarodziej, wskazując na leżącą na łóżku różdżkę. Wyglądała identycznie jak ta na plecach Gabrielli. Większość magów natychmiast by rozpoznała popularny obecnie model wzorowany na kosturze arcy maga Veliriusa Karena.

– Daj spokój. – Denera prychnęła lekceważąco. – A teraz powiedz mi Gabriello, jaki masz plan? Liczę, że dobry, bo rozmawiałam z wieloma osobami podczas mojej obecności tutaj i mogę cię z góry uprzedzić, iż opinie są podzielone. I to nie jedynie między Anarchijczyków i Warderlończyków.

– Zdecydowałam się postawić na prostotę. – Czarodziejka dopiła ostatni łyk napoju. – Najpierw porozmawiamy z jedną stroną, następnie z drugą. Potem skonfrontujemy obie strony w dyskusji. I na końcu podejmę decyzję.

– Oj będzie zabawnie... – rzekł mag cicho. Wyglądał na ucieszonego perspektywą.

– A czego wymagasz od nas?

– Kevlin, będąc obywatelem Królestwa Anarchijskiego, z pewnością najlepiej zrozumie swoich rodaków i spostrzeże rzeczy, które mi mogłyby umknąć. Tak samo ty jako Warderlonka Denero. Dlatego chciałabym, abyście mieli oczy i uszy szeroko otwarte podczas rozmów. I wszelkimi wnioskami czy przeczuciami dzielili się ze mną.

– Czyli nie mamy brać udziału w dyskusji? – Mężczyzna wyglądał na zawiedzionego.

– Ależ wręcz przeciwnie. Szczerze was zachęcam. Mamy odkryć tyle ile się da. Aczkolwiek postarajcie się, aby nie doszło do jakiejś prowokacji. Tego nam tylko by brakowało...

– To miejsce... – zaczęła nagle Denera ze wzrokiem utkwionym w oddali – jest niczym uśpiony wulkan, gotowy się obudzić, gdy nieostrożny podróżnik popełni najmniejszy błąd. Byłam strasznie dumna, kiedy dowiedziałam się, że mnie wybrano do tego zadania... Teraz jednak wołałabym, aby padło na kogoś innego.

Rozmawiali jeszcze dobrą godzinę, usiłując ustalić odpowiedni plan rozmów, który zapewniłby sukces ich misji. W końcu jednak zdecydowali, że należy brać się do roboty. Gabriella pierwsza zdążyła zabrać potrzebne rzeczy i śmiało wyszła z namiotu. A przynajmniej spróbowała, bo w przejściu zderzyła się z jakimś żołnierzem.

– Dahren – zaklął mężczyzna po warderlońsku i natychmiast pomógł kobiecie

wstać. – Proszę mi wybaczyć. Panna Gabriella Ishaja jak mniemam?

– Tak...

– Nares Gatir. Kazano mi zająć się pani bezpieczeństwem na terenie obozu. Mam nadzieję, że nie sprawi to większego problemu.

– Mam ze sobą dwóch magów z gildii. – Pozostała dwójka również wyszła z namiotu. – Nie wiem, czy istnieje potrzeba...

– Rozkaz to rozkaz, nie mnie się z tym spierać.

Gabriella westchnęła przeciągle, a następnie spojrzała w niebo z niezadowoleniem.

– No już nie narzekaj, przyda się. – Denera wydawała się zupełnie nie przejmować. – Nigdy nie wiadomo czy inni żołnierze nie wpadną na jakiś głupi pomysł... Jak na przykład marne uwodzenie czarodziejki...

– Niech więc będzie.

– A w ogóle to do kogo idziemy na początku? – Kevlin chciał chyba jak najprędzej przejść do roboty.

– Do Anarchijczyków – oznajmiła Gabriella stanowczo. – Chcę na początek poznać punkt widzenia twórców kryzysu.

– Porozmawiajmy zatem z Narillusem Daterem. Jego namiot znajduje się niedaleko stąd. – Warderlonka wskazała dłonią kierunek. – Nie dowodzi tutaj co prawda, ale dostarczy nam najwięcej informacji, bo to on był pomysłodawcą całego procederu.

– I dlatego właśnie ciebie przysłaliśmy tutaj wcześniej Denero... – Czarodziejka ucieszyła się, słysząc, jak dobrze koleżanka orientuje się w sytuacji. – Ale chwila... Jest tutaj osoba odpowiedzialna za cały kryzys?! Czemu go przysłali? Przecież to ewidentna prowokacja.

– Współodpowiedzialna – wytłumaczyła Warderlonka jakby w obronie omawianego. – On tylko zaproponował i pomógł zrealizować pomysł. Rozkaz wcielenia go w życie wydał jego dowódca. Odnośnie do przysłania go tutaj zaś... Sądzę raczej, że kiedy Anarchijczycy dowiedzieli się, iż sprawę rozstrzygnie niezależna komisja, postanowili dać jej możliwość kontaktu z najlepiej poinformowanym człowiekiem. Aby upewnić się, że wyjdą obronną ręką.

– Porozmawiajmy więc z tym całym Narillusem...

Ruszyli żwawo. Denera prowadziła, za nią podążali pozostali magowie. Ich nowy towarzysz podróży natomiast prócz zamykania pochodu, rozglądał się jeszcze na wszystkie strony, jakby szukając niebezpieczeństwa. Patrząc na fakt, że z jego punktu widzenia znajdowali się w obozie wroga, zachowanie to nie wydawało się zbyt zaskakujące.

Namiot, do którego dotarli, wydawał się jednym z największych w anarchijskiej części, lecz jako że wejście nie było strzeżone, od razu wkroczyli do środka. Panował tam totalny bałagan, chociaż obeznani w swej dziedzinie magowie natychmiast rozpoznali, iż miejsce przerobiono na pracownię czarodzieja. Wszędzie walały się książki, papiery i jakieś dziwne kryształy. Na jednej z prowizorycznych półek stała

nawet exiliasowa kula, powszechnie używana do jasnowidzenia. Tylko kręgu magicznego brakowało, ale szczerze mówiąc, nie wystarczyłoby na niego miejsca.

– Proszę dać mi momencik... – Rozległ się głos dobiegający z drugiej przegrody namiotu, kiedy tylko Gabriella nieśmiało zawołała właściciela. – Zaraz do was przyjdę.

Kevlin, jakby zupełnie nie przejmując się faktem czyjejś własności, podniósł ze stołu kilka książek i począł przeglądać tytuły.

– „*Gwiezdny Metal jako źródło mocy*”, „*Golemy – Charakterystyka i podział*”, „*Metodyka przywoływania i kontrolowania golemów*” – Mruczał pod nosem, jednocześnie szukając kolejnych dzieł. – Wiemy przynajmniej, skąd czerpał inspirację.

– Gdybyś był nieco bardziej spostrzegawczy, zauważyłbyś, że tą ostatnią sam napisał. – Ton Denery wydawał się kpiący.

– Rzeczywiście... – Czarodziej otworzył książkę na pierwszej stronie, gdzie widniał wyraźny napis „*Autorstwa Narillusa Datera*”

— Odłóż to Kevlin — nakazała Gabriella spokojnie. — Przeglądanie czyjejś własności jest co najmniej niegrzeczne.

– Tak sądzisz? Musisz się zatem jeszcze wiele nauczyć o anarchijskiej kulturze.

W tym momencie do pomieszczenia wszedł w końcu właściciel namiotu.

– Bezimienny Bóg z wami. – Przywitał się, a następnie usiadł przy biurku.

Gestem zaproponował też reszcie miejsca siedzące. – Nie ukrywam, iż spodziewałem się tej wizyty. Panna Ishaja jak mniemam? Oraz Kevlin...

– Nawin – dokończył czarodziej prędko. – Miło poznać.

– Z Denerą zaś się już znamy...

– Witaj Narillus. Jak zdrowie?

– Nie narzekam. W czym mogę wam pomóc?

– Jako przedstawicielka Gildii Magów, przydzielona do komisji badającej sprawę epidemii golemów w Górach Ankarii, chciałabym poprosić o przedstawienie zdarzeń z waszej perspektywy. Wiemy, iż pomysł wywołania owego kryzysu pochodzi właśnie od ciebie.

– Nie zaprzeczam... – rzekł czarodziej, a następnie westchnął przeciągle.

Gabriella zauważyła, że oczy ma podkrążone, jakby przez ostatnie dni wykonywał zbyt dużo pracy. – Więc tak... Nie było nas wielu. Niech no policzę... sześciu magów? Głównie bitewnych. Pozwolę sobie pominąć nazwiska. Najpierw musi...

– Od początku prosiłabym – przerwała opowieść kobieta. – Samego początku. Jak to wszystko się zaczęło? Kiedy? Co było przyczyną? Jak na to wpadliście?

Narillus zastanowił się chwilę, a następnie zmierzył swoje krótkie włosy.

– W takim przypadku... opowieść trochę zajmie – odparł w końcu.

– Mamy czas. A zanim wydam werdykt, chciałabym poznać sprawę dogłębnie.

– Dobrze więc... Pomyślmy – Zamknął oczy, skupiając się w ciszy, ale po chwili otworzył je nagle, jakby coś sobie przypominając. – Od dawna wiedzieliśmy, że Warderlon zaatakuje. Fakt ten wydawał się oczywisty już od inwazji na Kalwador w tysiąc sto trzydziestym czwartym. Mroczne Cesarstwo pokazało wtedy, że powraca

na ścieżkę dominacji innych narodów. Kiedy zaś cały Azenter padł przed nimi na kolana, stało się już tylko kwestią czasu kiedy zaatakuje Królestwo Anarchijskie. Byliśmy przecież najbliżej, w dodatku mieliśmy z Warderlonem na pieńku od setek lat. Dlatego panujący wówczas król Kainmil Kazner, zlecił ufortyfikowanie i umocnienie południowego wybrzeża Nastilii. Przez kolejne dziesiątki lat Anarchijczycy żyli w niepewnym oczekiwaniu...

Umilkł na chwilę, a następnie nalał sobie wody do marnie zdobionego kubka.

– Ale Warderlon nie zaatakował od razu. — Kontynuował spokojnie, ściskając mocno pojemnik z napojem. — Chyba wiedzieli, że w porównaniu do Kalwadoru będziemy stanowić twardy orzech do zgryzienia. I musiało minąć prawie trzysta lat, tak TRZYSTA LAT, zanim rozpoczęli kolejną inwazję. Pewnie chcieli najpierw umocnić swoją pozycję na ziemiach podbitych, aby nie popełniać błędu z poprzedniej próby podboju świata. Czego jednak nie przewidzieliśmy, nawet po tylu latach przygotowań, nie odważyli się zaatakować ufortyfikowanych obszarów centrum państwa, nawet jeśli je mieli najbliżej. Zamiast tego, armia Mrocznego Cesarstwa opłynęła kontynent i rozpoczęła inwazję z północy, przejmując Okarę. I to było dla nas zupełne zaskoczenie. W sensie... Kto normalny atakuje Góry Ankarii? Tutaj nic nie ma. Zupełnie. No dobrze, jest świątynia, ale Warderlon nigdy nie wydawał się zainteresowany łupami tylko rozszerzaniem swojej władzy i kultury. Dlatego teren w przeszłości nie został specjalnie ufortyfikowany.

– Czyli Mroczny Cesarz was przechytrzył – wtrąciła się Denera z miernie ukrywanym rozbawieniem. — I to w najprostszy możliwy sposób. A wystarczyło tylko trochę pomyśleć.

– Pracowałem wówczas w forcie na północy. — Kontynuował Narillus niezrażony złośliwą uwagą. — Jednym z nielicznych na terenie gór. Kiedy dotarła do nas informacja, że jesteśmy praktycznie jedyną przeszkodą stojącą na drodze armii Warderlonu, trudno było nam zachować spokój. Wiedzieliśmy jednak, że musimy coś wymyślić. Jeżeli bowiem wróg przeszedłby przez góry... to koniec.

– Koniec? — Gabriella uniosła wysoko brwi. — Straciliście dopiero jedno miasto. Dlaczego miałyby to być koniec?

– Bo Warderlończycy dotarliby do Ur — wtrącił natychmiast Kevlin, uprzedzając drugiego rozmówcę — które nie jest zbyt bronione z tej strony, znajduje się przecież na granicy z Khari, gdzie Królestwo Anarchijskie nic zbudować nie może.

– Stracilibyście więc zapewne stolicę, niech będzie, lecz przecież całe centrum kraju z wszystkimi pozostałymi miastami wciąż należałoby do was. Może nie jestem wojskową, ale nadal widzę w tym spore szanse na kontynuowanie i nawet wygranie wojny.

– Brzmiśz sensownie. Nawet bardzo sensownie. — Narillus splótł razem ręce. — Ale się mylisz. Ur jest absolutnie kluczowe dla Anarchijczyków.

– Dlaczego?

– Bo to miasto Eneriasa Kaznera — odpowiedział ponownie Kevlin, tym razem tonem wygłoszenia oczywistości.

– Wydawało mi się, że on pochodził z Połsan...

– Faktycznie, urodził się w Połsan, ale to Ur było miastem, które STWORZYŁ. JEGO miastem. Obecne Ur powstało tylko dlatego, iż Enerias Kazner miał tam swoją siedzibę. Tam mieszkał. To wystarczyło, aby w ciągu dziewięciuset lat jego panowania, mała wioska, z którą sąsadował, zamieniła się w jedną z największych metropolii na świecie. Co więcej, od pojawiania się Eneriasa Kaznera, nigdy nie zostało zdobyte.

– Do tego dochodzi kolejna sprawa – rzekł Narillus zmęczonym głosem. – Znajduje się tam jego grobowiec.

– Przecież nie odnaleziono ciała Eneriasa Kaznera.

– Ciała rzeczywiście nie, bo go spalono. W środku są prochy, które prawdopodobnie mogły należeć do niego.

– „Prawdopodobnie mogły należeć” – powtórzyła Gabriella z nieco kpiącym tonem. – No tak...

– Anarchijczykom to wystarczy. Jeżeli Warderlon zdobędzie miasto i sprofanuje grobowiec... Cóż... Ogromny cios psychiczny dla wszystkich mieszkańców królestwa. Nie wiem, czy w ogóle odzyskają po tym wiarę.

– Już nie przesadzajmy. – Kevlin również pozwolił sobie nalać wody. – W każdym razie prędko się nie podniosą. A to wystarczy Mrocznemu Cesarstwu na podbój reszty kraju.

– Czy u was naprawdę wszystko się kręci wokół i zależy od Eneriasa Kaznera? – Gabriella nie potrafiła określić czy czuje zdegustowanie, czy podziw.

– Cóż... — Przyjaciół zastanowił się chwilę. — Nie bez powodu mawiają, że „Świat się skończy, kiedy Anarchijczycy utracą wiarę w swojego Cesarza”.

– Nawet jeśli ten nie żyje od ponad pięciuset lat?

– A to coś zmienia?

– Jesteście żałośni... – podsumowała ich Denera, spoglądając w górę bezsilnie. Nic więcej nie powiedziała.

– Chyba zesłaliśmy z tematu – oznajmiła Gabriella, powstrzymując coraz dłuższą dygresję i zwróciła się do Narillusa. – W stronę waszego fortu szła wroga armia...

– Wówczas przyszedł do nas nasz dowódca i oznajmił, że mamy znaleźć jakieś rozwiązanie. Przewiduje, iż nie chciał przeprowadzać ewakuacji fortu, jeśli istniało inne wyjście. Mogliśmy się bronić oczywiście, lecz patrząc realnie, nie stanowiliśmy dla maszerującej armii żadnego zagrożenia ani przeszkody...

– I ty je znalazłeś – dopowiedziała Gabriella, wypełniając nagłą ciszę.

– Tak. Jestem magiem bitewnym, dlatego służę w wojsku zresztą. Prócz walki jednak prowadziłem wówczas pewne badania. Szczególnie interesowało mnie bitewne zakłucie przyzwania golema...

– Bo zamiast ciebie mogłaby walczyć wielka kamienna istota? – Denera ponownie przybrała złośliwy ton.

– Ach... otóż właśnie niekoniecznie kamienna. Dlatego zresztą wybrałem przydział w Górach Ankarii. Tutaj są wszystkie trzy żywioły związane z golemami.

Ziemia, ogień i lód. Góry są zbudowane przecież ze skał, lecz na ich szczytach przez cały rok spoczywa śnieg. A umiejscowiony na wschód stąd Wulkan Ossyli wciąż wyrzuca z siebie kolejne porcje lawy. Idealne miejsce dla badacza golemów.

– A magentyzm? Magetyczne golemy też są często przyzywane.

– Metal rzadko występuje w naturze w czystej postaci, więc go pominąłem. W każdym razie przedstawiłem dowódcy swój pomysł. Idea była taka, aby aktywować na pewnym obszarze gór, przez który armia Warderlonu musiałaby przejść, zakłęcie, które przyzywałoby golemy. Koncepcja przeszła. Potrzebowaliśmy mnóstwo mocy, więc zebraliśmy wszystkich magów z fortu i terenów w pobliżu, oraz wszystkie magiczne przedmioty, jakie mieliśmy. Następnie wspólnie rozpoczęliśmy inkantację. Kiedy ją ukończyliśmy, w całej północnej części gór zaroilo się od golemów. Były dosłownie wszędzie. W dolinach, na szczytach, przełęczach. Wszędzie. Wroga armia musiała w końcu się z nimi zetrzeć, zwłaszcza że ukształtowaliśmy zakłęcie tak, aby wabiły je duże grupy ludzi. Oczywiście natychmiast musieliśmy przeprowadzić ewakuację fortu, bo zwróciły się również przeciwko nam.

– I nie przeszło wam przez myśl – Gabriella zmusiła się do surowego tonu – że prócz warderlońskiej armii, golemy zaatakują również wszystkie rozsiane po górach wioski? Że zginą tysiące niewinnych ludzi? Nie pomyśleliście o tym w ogóle?

– Pomyśleliśmy – odparł czarodziej ciężkim głosem. – Ostrzegałem nawet o tym dowódcę. Ale tak czy siak, wydał rozkaz.

– Mogłeś odmówić jego wykonania – dodała Denera, również nieprzychylnym tonem. – Pewnie by cię za to zamknęli, ale przynajmniej nie doszłoby do masakry.

– Ja... Nie. Nie mieliśmy wyjścia. Gdybyśmy nie zrobili nic, inwazja już dawno dotarłaby do Ur. Musieliśmy ich powstrzymać...

– I zrobiliście to. Kosztem tysięcy istnień. – Gabriella spojrzała na niego niemal beznamiętnie. – Co zwykł mawiać wasz cesarz? „Nie należy handlować życiem”. Widzę, że spuścizna waszego największego bohatera jest niszczona przez jego własnych spadkobierców.

– Nie mieliśmy wyboru. – Narillus schował twarz w dłoniach. – Naprawdę. Gdybyśmy mogli zrobić cokolwiek innego, aby powstrzymać inwazję... Cokolwiek, z pewnością porzucilibyśmy ten pomysł. Przyparto nas jednak do muru.

Zapadła chwilowa cisza, przerywana jedynie odgłosami z zewnątrz.

Ostatecznie odezwała się ponownie Gabriella:

– Wasze czyny są pogwałceniem międzynarodowej umowy stworzonej przez Gildię Magów wraz z Shandarią, zakazującej wciągania cywilów w wojenne zmagania. Umowy, którą Królestwo Anarchijskie podpisało jako pierwsze.

Czarodziej milczał przez chwilę, prawdopodobnie zastanawiając się nad kolejnym argumentem. Ostatecznie jeszcze dodał tylko:

– Gdyby inwazja nie została powstrzymana, zginęłoby jeszcze więcej ludzi.

– Możliwe – wtrąciła się Denera ponownie. – Ale ci, których poświęciłeś, wcale się nie zgadzali na ofiarę. Co więcej, w ogóle ich nie zapytaliście. Zastanawia mnie też, jak się musiałeś czuć, kiedy okazało się, że twoje zakłęcie to za mało. Warderlon

przebił się przez golemy i znajduje się obecnie w centrum gór. Poświęciłeś ludzi na marne. Jak się z tym czujesz? Czy żałujesz, choć odrobinę?

– Wystarczy Denero – nakazała Gabriella, widząc, że kolejne zdania bardzo ranią rozmówcę. – Poprosiliśmy o historię z punktu widzenia Anarchijczyków i ją dostaliśmy. To jeszcze nie czas na zarzuty. Teraz, jeśli nie będzie to problemem, chciałabym zapytać o kilka faktów, aby móc je porównać z otrzymanymi wcześniej raportami.

– Oczywiście...

Czarodziejka po kolei zadawała zanotowane jakiś czas temu pytania oraz zapisywała w notesie odpowiedzi. Podchodziła do sprawy bardzo poważnie, co sprawiało profesjonalne wrażenie. Kevlin tymczasem, ponownie nie zaprzatając sobie głowy uzyskaniem zgody, krążył po pomieszczeniu i przeglądał porozmieszczane tam obiekty. Wziął do ręki kilka książek, odkurzył exiliasową kulę, a nawet ostatecznie podszedł blisko dość egzotycznej, choć prowizorycznej wystawy.

– Kolekcjonujesz noże? – zapytał nagle, uznając, iż dłuższa chwila ciszy oznacza koniec ciągu pytań.

– I sztylety – odparł właściciel, również wstając z krzesła, następnie podszedł do rozmówcy. – Byłem do nich zbyt przywiązany, aby zostawić je w forcie na pastwę golemów. A od tamtego czasu przebywam ciągle w terenie więc i one wylądowały tutaj.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, iż mój przyjaciel podniósł je od tak bez pytania...

– Ależ nie – Narillus machnął tylko ręką. – Wręcz przeciwnie, jego zainteresowanie jest bardzo miłe.

– Potrafię rozpoznać część stylów, a co za tym idzie, skąd pochodzą. Niektóre są jednak dla mnie zupełną zagadką...

– Bo nie wszystkie pochodzą z obecnej epoki. – Czarodziej uniósł jedno z ostrzy i pokazał je gościom. – Ten przykładowo to lenarioleński antyk, jeszcze z czasów Ery Światła. Musiałem dać za niego sporo pieniędzy, lecz wciąż uważam, że się opłacało. Dbanie o kolekcję, bardzo mnie uspokaja.

Przez jakiś czas pokazywał im jeszcze inne eksponaty, opowiadając o każdym z nich szczegółowo. W końcu jednak Gabriella uznała, że nadszedł moment, aby opuścić namiot Anarchijczyka.

– Czas się zbierać – oznajmiła spokojnie, przerywając pokaz, który niezwykle zainteresował Kevlina. – Musimy przecież jeszcze dzisiaj porozmawiać z Warderlończykami. W każdym razie dziękujemy za pomoc Narillusie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – Czarodziej ponownie usiadł za biurkiem. – Modłę się do Bezimiennego o pozytywny werdykt.

– Ach, jeszcze jedno. – Kobieta zatrzymała się w wyjściu. – Jutro rano planujemy przeprowadzić rozmowy z obiema stronami naraz, doprowadzić do swego rodzaju... konfrontacji, aby wyciągnąć fakty, które mogły nam umknąć. Chciałabym, abyś reprezentował stronę anarchijską.

– Dostosuję się do wymagań gildyjnej komisji. Proszę mnie jedynie wcześniej poinformować o której godzinie i gdzie.

Grupa pożegnała się, a następnie wyszła z powrotem na zewnątrz.

– Jak sądzę, to koniec rozmów. Czy opuszczamy teraz obóz Anarchijczyków? – spytał natychmiast ich personalny ochroniarz Nares Gatir.

– Tak. Czekaleś na zewnątrz? Wydawało mi się, że przez chwilę widziałam cię w środku...

– Wszedłem jedynie na moment, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku panno Ishaja. – Mężczyzna skrzyżował ręce. – Nie chciałem przeszkadzać.

– Ruszamy od razu do dowództwa armii Mrocznego Cesarstwa? – spytał Kevlin, gdy zapadła krótka cisza.

– Tak. Zobaczmy czy generał znalazł już dla nas trochę czasu...

– Wątpię. – Denera zrobiła kwaśną minę. – On nie lubi magów. No ale warto spróbować. No i zapewne będzie bardzo niezadowolony, że najpierw odwiedziliśmy Anarchijczyków...

– Co? – Gabriella wyglądała na wyraźnie zdegustowaną. – Uczepi się o taką błahostkę? Na Pana...

– Eneriasa Kaznera to ty do tego nie mieszaj piękna panno – wtrącił się Kevlin, nim ktokolwiek zdążył coś dodać. – On akurat w ogóle by do wojny nie dopuścił.

– No ale czeplenie się o to, gdzie obozujemy? Do kogo pójdziemy pierwsi? Naprawdę? Jak dzieci...

– Ja tam obwiniam napięcie i stres, jakie panują w obozie. W połączeniu z niezadowoleniem wynikającym z faktu, że w ogóle muszą tutaj obozować. Myślę, że znalazłbym jeszcze kilka możliwych przyczyn.

– Tymczasem – rzekła Gabriella, zmieniając temat – jak wasze odczucia odnośnie do rozmowy z Narillusem?

– Może to dziwne pytanie, lecz czy tylko mi wydawał się... złamany? – Warderlonka miała bardzo niepewny głos.

– Nie tylko – odparł natychmiast Kevlin. – Też to zauważyłem. Wyglądała na strasznie... jakby to powiedzieć... beznamietnego? Entuzjazm w jego oczach pojawił się, dopiero kiedy zapytałem o jego kolekcję.

– Pewnie bardzo obwinia się o to, co zrobił. – Przywódczyni komisji zamyśliła się na chwilę. – A fakt, że śmierć tylu ludzi poszła na marne, tylko pogarsza sprawę. Musi mu być ciężko. Chyba jest też przepracowany, bo wyglądał, jakby się od kilku dni nie wysypiał.

– A ja sądzę, że on się boi – odparła ponownie Denera. – Pomyślcie, otaczają go niemalże sami wrogowie, wszyscy wściekli z powodu przymusowego obozowania tutaj, co przecież jest konsekwencją plagi golemów. A kto za plagą stoi? Narillus właśnie!

– Przecież go nie zaatakują... Trwa zawieszenie broni. – Kevlin wydawał się sceptyczny.

– Które nawet nam wydaje się niestabilne. – Gabriella kiwnęła głową smutno.

– Też bym się bała. Królestwo dużo od niego wymagało, przysyłając go tutaj. Ale zostawmy Narillusa. – Zmieniła nagle ton. – Jak opinie o sprawie?

– Nie umknął ci zapewne fakt, jak dobrze się rozumiałem z naszym rozmówcą... – Przyjaciół pogładził się po brodzie. – Nie zdziwi cię więc, że bardziej skłaniam się do anarchijskiej strony.

– Nawet jeśli zabili tysiące niewinnych osób i pogwałcili międzynarodowy traktat? – spytała Denera kpiąco.

– Nie. Czegoś takiego nie da się moim zdaniem wybaczyć. Po prostu... jak stawiam siebie w ich miejscu, w sytuacji, w której się znaleźli... To ich rozumiem. Całkowicie. Powiem więcej, jeżeli byłbym żołnierzem, zapewne tak samo bym zrobił. A Narillus żołnierzem jest. Magiem bitewnym, owszem, ale głównie żołnierzem.

– Jeśli już przy rozumieniu jesteście... – rzekła Warderlonka zaskakująco cicho.

– To z moich wcześniejszych rozmów wynika, iż nasz były gospodarz ma rodzinę w Ur. Rodzeństwo i siostrzenicę. Nie, żebym uważała, że w jakiś sposób usprawiedliwia to jego zachowanie, ale...

– Ale pomaga go zrozumieć – dokończyła za nią Gabriella. – Faktycznie.

Namoty cesarskiego dowództwa wielkością zdecydowanie przebijały anarchijskie obozowisko, nie wspominając o fakcie, że przy wejściu do większości stali strażnicy. Oba stronnictwa posiadały jednak jedną wspólną cechę. Wszędzie umieszczały flagi i sztandary.

– Zaczekajcie chwilę – powiedziała Denera, ruszając w stronę największego z namiotów. – Mnie już tam znajdą. Dowiem się, czy nas przyjmą.

Minęło ledwie dziesięć minut, podczas których ze środka wyszło kilka osób, a już była z powrotem.

– Mamy szczęście. Chodźcie. Ale lepiej przestawcie umysły na nieco inny sposób rozmowy.

Weszli do środka. Wnętrze rzeczywiście było ogromne, przerobione na coś w rodzaju sali narad. Na środku ustawiono wielki podłużny stół, na którym ułożono sporej wielkości mapę Gór Ankarii, krzesła zaś wystarczyłoby i dla trzydziestu ludzi. Nikt jednak na nich nie siedział. Tylko nieco dalej, przy całkiem ładnej szafie, nalewał sobie wina wysoki mężczyzna.

– Generale Unaris. – Denera ukloniła się z wdziękiem. – Dziękujemy za możliwość rozmowy.

– Oby tylko była owocna. – Rozmówca bezgłośnie wskazał im miejsca do siedzenia, a następnie zwrócił się do przewodniczącej komisji. – Gabriella Ishaja tak? Czy mogę zapytać na pierwszym miejscu, czemu arcymag w ostatniej chwili zdecydował się nie przyjeżdżać?

– Tłumaczyłam już to jednemu z pańskich ludzi. Velirius Karen rzeczywiście chciał początkowo osobiście zająć się sprawą, ale ostatecznie uznał, iż jako Anarchijczyk, pozbawiony byłby obiektywnego punktu widzenia.

– I dlatego przysłał inną Anarchijkę?

– Pochodzę z Shandarii, a nie Królestwa Anarchijskiego – wyjaśniła Gabriella, najspokojniej jak tylko potrafiła.

– A jednak imię masz anarchijskie...

– Rodzice podziwiali Eneriasa Kaznera. – Wzruszyła ramionami obojętnie. – Tak jak i ja zresztą podziwiam. No może bardziej jego żonę...

– Kolejna wyznawczyni łowczyń. – Generał pokręcił tylko głową z dezaprobatą.

– W każdym razie, mam nadzieję, że nie będziecie się guzdrać, bo wasze przybycie jeszcze bardziej opóźniło marsz. Ale przejdźmy do sedna sprawy. Co chcecie wiedzieć?

Nim jednak ktokolwiek zdołał zadać pierwsze pytanie, do namiotu wszedł kolejny mężczyzna. Posiadał szatę maga bitewnego, lecz brak kostura mógł wskazywać, iż dzierżył nieco wyższe stanowisko.

– Generale... – odezwał się wyjątkowo miłym i uspokajającym głosem. – Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, ale... Czy nie powinniśmy może nieco lepiej traktować naszych gości...?

– A to niby czemu Drat?

– Chociażby dlatego, że to my ich tutaj zaprosiliśmy? – Czarodziej rozłożył ręce w specyficznym geście.

– Z tego powodu ich jeszcze nie zamknąłem. Nie potrzebuje natomiast bezsensownej komisji, aby zrozumieć, że to Anarchijczycy są winni pladze golemów. Nie wiem więc po co całe to przedsięwzięcie.

– Mam świadomość, że fakt ten może się generałowi nie podobać, ale w niektórych kręgach, słowo niezależnej organizacji jest o wiele więcej warte niż opinia warderlońskiego dowódcy. Nawet wysoko postawionego.

– I właśnie dlatego się w takich kręgach nie obracam.

– Czy mam przypomnieć – mag wyraźnie tracił cierpliwość – że zaprosił ich sam Mroczny Cesarz? Nie nam się spierać z jego wolą.

– Skoroś taki mądry, to może sam odpowiesz na ich pytania.

– Jeśli tylko wydasz taki rozkaz... z wielką przyjemnością.

– Świetnie. Zdaj mi raport, jak z nimi skończycie, ja tymczasem zajmę się czymś sensownym. – Tak rzekłszy, opuścił namiot.

– Nigdy go nie lubiłam – podsumowała sprawę Denera.

– Zawsze zastanawiałem się, czemu wszyscy wysoce postawieni dowódcy w armii stają się do wszystkiego tak negatywnie nastawieni... Ale zaraz, gdzie moje maniery. – Ukłonił się również. – Drat Weriter. Do waszych usług. Mam nadzieję, że wybaczycie nam nieco nieprzyjemne powitanie.

– Jak rozumiem, generał niespecjalnie przepada za magami. – Gabriella rozluźniła się ostatecznie, nie odczuwając już potrzeby maksymalnego skupienia.

– Nie do końca. Rzekłbym raczej, że jest po prostu sfrustrowany. I jak sądzę, zaraz dowiecie się dlaczego.

– Skąd ta pewność?

– Bo jak miemam, chcecie, abym przedstawił wydarzenia z naszego punktu widzenia.

– Owszem. Najlepiej od samego początku.

– Rozsiądźcie się więc wygodnie... Wszystko zaczęło się dawno temu. – Drat znakomicie manipulował tonem głosu, prawdopodobnie dobrze by sobie radził w zawodzie aktora. – W Erze Ciemności dokładniej. Gdy Trakowie napadli na warderłońskie kolonie na Nastilli i zupełnie je spustoszyli...

– Nie miałam na myśli aż takiego początku – przerwała mu wyraźnie rozbawiona Gabriella. – Wystarczy początek obecnego konfliktu.

– Ach tak... Zatem... Plany odzyskania warderłońskich ziem na Nastilli tworzone były już od dawna. Niestety musieliśmy się mierzyć z faktem, że Królestwo Anarchijskie zdaje sobie z nich sprawę i przygotowuje się do obrony. Dlatego Mroczne Cesarstwo wolało się najpierw zająć ustabilizowaniem podbitego Kalwadoru. Ale wszyscy wiedzieli, że na Anarchijczyków przyjdzie w końcu czas...

– Czy mogę zapytać, czemu w ogóle rozpoczęliście tę wojnę? – spytał Kevlin, wykorzystując krótką przerwę w opowieści.

– A co to ma w ogóle do sprawy? – zdziwił się nieco Drat.

– Jednym z argumentów, którego użyli Anarchijczycy w obronie własnych posunięć, jest fakt, że działali w samoobronie i zostali do tego zmuszeni atakiem z waszej strony. – Wspomogła przyjaciela Gabriella.

– Interesujące... Ale myślałam, że odpowiedź na to pytanie jest oczywista. Usiłujemy odzyskać po prostu nasze ziemie.

– A niby od kiedy ziemie te są wasze?

– Od początku zasadniczo – wtrąciła się nagle Denera, zaskakując całą trójkę. – Zasiedlanie Gór Ankarii było przecież inicjatywą Warderlonu, jeszcze w Erze Ciemności.

– Lecz czy to nie Anarchijczycy byli wówczas tu przesiedlani? – Przywódczyni komisji bardzo dobrze odnajdowała się w historii Voimsisu.

– A co za różnica? – Warderlonka wzruszyła ramionami. – Operacje rozpoczął i nadzorował Warderlon, więc tereny należą do niego.

– Analogicznie z większą częścią Nastilli – kontynuował za nią Drat. – Okara została założona przez nas. Inne niby „anarchijskie” miasta takie jak Połsan, Ariak czy Nedok również, niezależnie jaki naród w nich mieszkał. Zasadniczo tylko Ur jest rzeczywiście w pełni anarchijskie, bo nawet późniejsze miasta, choć założone przez ich Cesarstwo, powstały na terenie pierwotnie należącym do Warderlonu.

– A zatem tłumaczycie inwazję wydarzeniami sprzed dwóch tysięcy lat. Faktycznie, ma to sens – rzekł Kevlin kpiąco. – Ciekawi mnie jakie prawa sobie wymyśliliście podczas podbijania Kalwadoru.

– Nie bądź głupcem, przecież wiadomo, iż Kalwador podbiliśmy, aby

ucywiliżować ten kraj. Przed naszym przybyciem jego mieszkańcy byli niemal barbarzyńcami.

Anarchijczyk usłyszawszy ten argument, wyglądał, jakby z całej siły próbował opanować wybuch śmiechu. I chyba mu się udało, bo nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Proponuję wrócić do relacji zdarzeń... – rzekła Gabriella, usiłując rozładować napięcie.

– Gdzie to ja byłem...? Ach. Tak więc plan odzyskania Nastilii mieliśmy już od dawna. Kiedy zaś Mroczny Cesarz uznał, że jesteśmy wreszcie gotowi i nastał odpowiedni moment, dowództwo zostało powierzone Generałowi Unarisowi, którego mieliście przyjemność przed chwilą poznać... – Drat spojrzał na wejście do namiotu, jakby bojąc się, iż jego zwierzchnik nagle się znowu pojawi. – On opracował... zaskakujący i kontrowersyjny plan ataku od północy.

– Dlaczego kontrowersyjny?

– Bo aby dostać się do centrum Królestwa Anarchijskiego, musieliśmy przejść przez całe Góry Ankarii, a to dość trudna przeprawa. Z drugiej strony, mielibyśmy efekt zaskoczenia i jeśli udałooby się przebrnąć przez góry dość szybko, zdobycie Ur nie stanowiłoby zbyt wielkiego problemu. Miasto bowiem graniczy od tej strony z ziemiami Khari, na których Anarchijczycy nie mogą zbudować fortyfikacji.

– Zatem plan był całkiem dobry.

– I dlatego Mroczny Cesarz go zaakceptował. Inwazja ruszyła. Najpierw zdobyliśmy Okarę, portowe miasto na północy Nastilii. Obeszło się bez dłuższego oblężenia. Następnie, wykorzystując fakt, że zaczynało się lato i wszystkie drogi były przejezdne, ruszyliśmy na południe. Z powodu jakiegoś traktatu, który podpisał Warderlon kilkadziesiąt lat wcześniej, nie mogliśmy plądrować wiosek, więc ciągnęliśmy za sobą długie karawany z zaopatrzeniem. Nie spodziewaliśmy się jednak większego oporu w tym regionie. Wszystko szło bez zarzutu, aż do pewnego dnia. Dnia, który nadal pojawia się w moich koszmarach. Dnia, w którym żywioły powstały przeciw nam. Skały uniosły się, formując potężne sylwetki, ze szczytów zaś zeszły wielkie lodowe istoty... Trochę się nawet dziwie, że nasze metalowe wyposażenie nie zwróciło się przeciwko nam, bo przecież magnetyczne golemsy również istnieją. W każdym razie... To była masakra. Atakowały wszystko i wszystkich. Żołnierzy, magów, tragarzy, zaopatrzeniowców, a co gorsza, nawet mieszkańców pobliskich wiosek, którzy po jakimś czasie przyszli do nas z błaganiami o pomoc. Tak.... Anarchijczycy poświęcili własnych nieświadomych obywateli, aby tylko powstrzymać nasz marsz. Zamiast wyjść nam naprzeciw i stawić czoła, woleli posunąć się do magicznych sztuczek. W tamtym czasie straciłem mój cały szacunek, który miałem do naszych wrogów. Teraz czuję jedynie pogardę.

– Co było dalej? – spytała Gabriella nieco zaintrygowana i przestraszona słowami mężczyzny.

– Otrzymaliśmy rozkaz wybicia wszystkich golemów. Nie dało się kontynuować marszu z powodu ich obecności. Więc kolejny czterdziestodzień spędziliśmy na

oczyszczaniu terenów sąsiadujących z traktem. Wiele wiosek w ten sposób ocalało od katastrofy... – Drat umilkł na chwilę, ale wyraźnie jeszcze nie skończył. – Następnie ruszyliśmy dalej i dotarliśmy tutaj, do Nes Katir. Wtedy Mroczny Cesarz nakazał powstrzymać marsz. Początkowo sądziliśmy, że rozkaz ten spowodowany jest problemami z transportem. W końcu nie wybiliśmy przecież WSZYSTKICH golemów. Wciąż co jakiś czas napadały na nasze linie zaopatrzeniowe. Nie tylko one rzecz jasna, ale łowczyń nie liczę... W każdym razie możecie zrozumieć nasze zaskoczenie, kiedy dotarła do nas informacja, iż ogłoszono zawieszenie broni do czasu rozpatrzenia sprawy przez niezależną komisję z Gildii Magów. Oj generał wpadł wtedy w straszny szal...

– Dlaczego?

– Pomyślcie. Inwazja z północy była jego pomysłem. Dużo ryzykował, stawiając na nią, a cały plan miał się powieść tylko, jeżeli zostanie wykonany szybko. A teraz nie dość, że epidemia golemów nas spowolniła, to jeszcze musimy tu beczynn timer czekać, aż wy rozstrzygniecie sprawę. W tym czasie zaś Anarchijczycy robią wszystko, aby przygotować się do obrony Ur ze strony, z której nigdy nie spodziewali się ataku.

– Rozumiem... – Gabriella zastanowiła się chwilę. – Rozpoczęliście inwazję, aby odzyskać swoje dawne ziemie, lecz zostaliście powstrzymani przez zakłęcie łamiące obowiązujący międzynarodowy traktat...

– Nie zostaliśmy powstrzymani – doprecyzował natychmiast Drat. – Przełamaliśmy armię golemów. Zatrzymaliśmy się dopiero na rozkaz Mrocznego Cesarza. I na jego rozkaz ruszymy dalej.

– Tak, tak. – Przewodnicząca komisji pokiwała żywo głową. – Jasne. Rozumiem też już wściekłość generała. Postaramy się raczej nie pokazywać mu więcej na oczy.

– Zazdroszczę wam takiej możliwości...

– Macie jakieś dodatkowe pytania? – zwróciła się do swoich współpracowników.

– Mam kilka – oznajmił Kevlin wciąż z cieniem rozbawienia. – Ale dyskusja o tym do kogo należy Nastilia oraz czy Warderlon miał prawo zaatakować, jest raczej bez sensu.

– Fakt. Nie dogadacie się – przyznała mu rację Denera.

– W takim wypadku dziękujemy za poświęcony czas. – Gabriella wstała z miejsca. – Chciałabym jeszcze prosić, abyś reprezentował Warderlon w organizowanym przeze mnie jutro spotkaniu dyskusyjnym. Zamierzamy skonfrontować oba stronnictwa.

– A kto będzie reprezentował Anarchijczyków?

– Narillus Datren.

– Pomysłodawca wywołania epidemii golemów? – Drat uniósł wysoko swoje gęste brwi. – W takim przypadku z wielką chęcią!

– Doskonale. Rozmowy odbędą się pewnie przed południem, poinformujemy jeszcze o dokładnej godzinie.

– Dziękuję. I powodzenia w dalszej pracy panno Ishaja...

– Totalna bzdura – oznajmił Kevlin w ciszy, która nastała. Zbliżali się właśnie do obozowiska Anarchijczyków. – W sensie uzasadnianie inwazji tym, że to Warderlon przeprowadzał zasiedlanie Gór Ankarii. Anarchijczycy zamieszkują je przecież od przeszło dwóch tysięcy lat.

– No ale to Mroczne Cesarstwo było tutaj pierwsze – odparowała Denera natychmiast. – Nie możesz się z tym spierać.

– Myśląc w ten sposób, Akadarią powinny władać smoki, a nie Warderlończycy.

– Smoki to nie ludzie, tylko zwierzęta. – Argument zupełnie nie przekonał kobiety.

– Lepiej nie mów tego smokonom...

– Wystarczy – przerwała im Gabriella spokojnie. – Mam straszny mętlik w głowie. Wiem, jak do tego podchodzi Kevlin, ale ty Denero, jak rozumiem, skłaniasz się ku opinii Drata tak?

– Na pewno bardziej niż Narillus. Warderlończycy nie złamali traktatu, a co do wojny, zawsze się znajdzie dla niej jakieś wyjaśnienie, lepsze lub gorsze. Obecne zresztą wcale nie jest takie złe. Zauważ też, iż Drat był bardzo pewny siebie. On naprawdę nie widzi żadnej winy po swojej stronie. Czego nie można powiedzieć o Narillusie...

– To, że ktoś bardzo wierzy w swoją rację, nie czyni jej prawdziwą. – Shandarianka nie wydawała się w pełni przekonana.

– No tak, lecz skoro Anarchijczycy sami nie są pewni czy dobrze zrobili...

– To znaczy, że byli świadomi, jak wiele muszą poświęcić. – Bronił swoich Kevlin. – Tylko głupiec nie ma wątpliwości Denero.

– A jak ty uważasz Gabriello? – spytała warderlonka przewodniczącą komisji.

– Nie wiem... Naprawdę nie wiem. Mam straszny mętlik w głowie. – Czarodziejka ukryła twarz w dłoniach. – Z jednej strony to Warderlon zaatakował, z drugiej to Anarchijczycy złamali traktat i spowodowali śmierć tysięcy osób. Z pierwszej ponownie, Warderlon przestrzegał wszystkich umów i nawet niezależną komisję zawezwał, no ale z drugiej znowu Anarchijczycy działali w samoobronie. Obie strony mają po części rację i nijak nie wiem jak mam to rozstrzygnąć...

– Spokojnie moja droga. – Kevlin położył jej dłoń na ramieniu, widząc, że przyjaciółce jest bardzo ciężko – To po prostu nadmiar wrażeń. Dzisiejszy dzień był dla nas trojga strasznie wyczerpujący. Myślę, że zasłużyliśmy na odrobinę odpoczynku. Powróćmy do sprawy jutro.

– Wyjątkowo zgadzam się z Kevlinem – wtrąciła Denera.

– Niemożliwe!

– Podczas konfrontacji dwóch stron, uzyskamy jeszcze z pewnością nowe fakty
– Gabriella wydawała się pocieszać samą siebie. – Może przejaśnią mi one nieco w głowie... Chociaż...

– Tak...?

– Mam wrażenie, że coś mi umyka. Jakby... gdzieś w tym wszystkim było drugie dno albo obie strony nie mówiły nam całej prawdy.

– Bardzo prawdopodobne. – Anarchijczyk wzruszył ramionami z obojętnością.

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby ukrywały one nieprzyjemne dla siebie fakty.

– Ale czy wtedy ich historie nie powinny się od siebie diametralnie różnić?

Ech... może tylko mi się wydaje.

– Zastanawia mnie inna sprawa. – Warderlonka zupełnie zmieniła ton głosu, na nieco bardziej tajemniczy. – Drat opowiadał o inwazji, jakby brał w niej udział od samego początku. A nie spotkałam go dotychczas, choć wielokrotnie odwiedzałam centrum dowodzenia Mrocznego Cesarstwa.

– Obóz jest wielki. – Kevlin ponownie wzruszył ramionami. – Pewnie akurat znajdował się gdzie indziej.

– Możliwe... Mógł w sumie też w tym czasie zajmować się walką z golemami na liniach zaopatrzeniowych. To by wyjaśniało, czemu akurat on chciał z nami porozmawiać.

Dotarli w międzyczasie do obozowiska Anarchijczyków. Przewodnicząca komisji, dotąd niezwracająca uwagi na otoczenie, zatrzymała się niespodziewanie i spojrzała przed siebie.

– Czy ten posąg... świeci? – spytała, podchodząc bliżej sporej wielkości rzeźby przedstawiającej Bezimiennego Boga.

– Tak. Pierwszej nocy też byłam zaskoczona – rzekła Denera, zajmując miejsce obok koleżanki. – W dzień zupełnie tego nie widać. Kiedy jednak robi się ciemniej – spojrzała na zachodzące w oddali słońce – nagle zaczyna udawać gigantyczną latarnię.

– Ale jakim cudem...?

– Obie jesteście zabawne – oznajmił Kevlin, uśmiechając się szeroko. – Przecież to „Pan Światła”, najstynniejsza rzeźba w całej świątyni. Wykonano ją z gwiazdy i dlatego bez przerwy jaśnieje.

– Zaraz... z gwiazdowego metalu? – Gabriella nie mogła uwierzyć. – Przecież on jest niesamowicie drogi!

– Owszem, sam kosztur z rdzeniem z tego metalu już jest wart fortunę. No ale Królestwo Anarchijskie zdecydowało się zasponsorować postawienie tego posągu, aby ukazywał on pielgrzymom potęgę Bezimiennego Boga.

– Czemu Warderłończycy go nie zabrali? Nawet podzielony na części, zwróciłby im sporą część kosztów inwazji...

– Spróbuj go dotknąć, a zrozumiesz.

Gabriella wyciągnęła śmiało rękę, nim jednak jej palec dotarł do rzeźby, napotkał na niespodziewany opór.

– Bariera telekinetyczna... – rzekła Shandarianka, kiwając głową ze zrozumieniem.

– Owszem – potwierdził natychmiast Kevlin. – Co więcej, zasilana mocą posągu. Mogłabyś ją nawet przebić, lecz wtedy obiekt straciłby całą swoją potęgę, a co za tym idzie, wartość. Warderlończykom nie opłaca się nawet próbować.

– Sprytne.

– Bardzo sprytne, rzekłbym nawet. Wydaje mi się, że Anarchijczycy są w stanie wyłączyć zakłęcie, lecz po co mieliby to robić, kiedy ich wróg przejął już świątynie?

– Rzeźba Bezmiennego, z którą nie da się nic zrobić – stwierdziła Denera, mrużąc oczy. – To zdecydowanie nie w porządku.

– Na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone moja droga.

– Tak samo tłumaczyłbyś wywołanie epidemii golemów? – Kobieta westchnęła przeciągle. – Chodźmy już. Nie mam zielonego pojęcia jak może podobać się wam coś tak świecącego. Przecież patrzeć w ogóle się na to nie da.

– Czyżby mrok płynący w żyłach nagle wadził? Jakże współczuję...

Ostatecznie zostawili wielki jaśniejący posąg za sobą i dotarli do namiotu, który robił za ich lokum.

– Postoję na warcie całą noc – oznajmił Nares Gatir, zatrzymując się przed wejściem. – Zmienią mnie pewnie rano.

– Skoro musisz...

Weszli do środka. Kevlin od razu legł na prowizoryczne łóżko i rozciągnął się z ulgą. Denera natomiast zabrała się za przygotowywanie czegoś do picia. Kilka chwil później obie kobiety siedziały przy stoliku pogrążone w cichej rozmowie. Nie minęło za wiele czasu, a zmrok zapadł już całkowicie.

– Chciałabym – rzekła w końcu zmęczona Gabriella, powracając do trudnego tematu – abyście rano poszli do swoich stronnictw i poinformowali przedstawicieli, o której godzinie mają tutaj przyjść.

– A o której? – spytał Kevlin, dopijając swoją porcję napoju.

– Zależy, jak nam się uda wstać. Dzisiejszy dzień był wyczerpujący...

– Mnie i tak obudzi wschodzące słońce – odparła Denera, wzruszając ramionami.

– Więc pewnie gdzieś przed południem. Ustawimy stolik na świeżym powietrzu.

– Czyli zaplanowane. Mogę spokojnie spać, bo pewna piękna panna i tak mnie obudzi na czas.

– Najprawdopodobniej wiadrem zimnej wody. – Warderlonka jak zawsze była bezlitosna.

Kilka chwil później cała trójka powoli przygotowywała się do spania. Gabriella oparła swój kostur o prowizoryczną szafę i usiadła na łóżku. Wtem jednak zobaczyła minę swojego przyjaciela, który jakimś cudem od paru minut nie wypowiedział ani słowa.

– Kevlin – rzekła, przysiadając się obok niego. – Co się dzieje? Wyglądasz na

zmartwionego.

– Co? Ach nic... nieistotne.

– No mów. Co cię trapi?

– Zastanawiałem się po prostu... – Mężczyzna pogładził się po brodzie w zamyśleniu. – Wstępując do Gildii Magów, deklarowałem apolityczność i neutralność, ale mimo to...

– Martwisz się o swoich – dokończyła za niego Shandarianka. Rozmówca kiwnął głową.

– Urodziłem się w Ur, dlatego perspektywa zdobycia go przez Mroczne Cesarstwo mnie trochę przeraża. Ogólnie ostatnio coraz częściej boję się o przyszłość...

– Dlaczego?

– Warderlon – wyjaśnił krótko czarodziej. – Zrobił się zachłanny. Najpierw podbił Kalwador, a teraz rusza na Królestwo Anarchijskie. Któż będzie następny?

– Według moich przewidywań Kaistlania – wtrąciła się Denera jak zawsze bardzo subtelnie.

– I kto ich powstrzyma? – kontynuował Kevlin niezrażony. – Algabior, który ignoruje, co się dzieje na świecie? Wiecznie neutralni Khari? A może Kael-Kirianie, którzy nie ruszyli nogi ze swej wyspy od ponad tysiąca lat? Nie patrzę już w przyszłość z pozytywną perspektywą. Raczej z obawą, czy nawet przerażeniem.

— Przesadzasz... — rzekła Gabriella pocieszająco. — Inwazja na Nastilię się dopiero zaczęła i nawet nie wiemy, czy Mroczne Cesarstwo zdoła ją ukończyć. Osobiście uważam, że Anarchijczycy wygrają i oprą się siłom Warderlonu... A nawet jeśli nie... są przecież jeszcze Kaistlanie.

– Uwikłani w wojnę z Chanatem Tokirskim – ponownie wtrąciła swoje trzy grosze Denera.

– Przeklęty Warderlon... — rzekł Kevlin niskim głosem. — Ktoś powinien pokazać mu gdzie jego miejsce. Poprzednim razem zrobił to Enerias Kazner, sądzę, że nadszedł czas, aby narody światła nieco odświeżyły pamięć Mrocznemu Cesarstwu.

– Oho... w naszym drogim Anarchijczyku budzą się zapędy patriotyczne. Uważaj, bo jeszcze z gildii wyjdzie.

– Wyjątkowo zgadzam się z Denerą. — Gabriella spojrzała na koleżankę. — W samym Warderlonie nie ma nic złego. Dowodzony przed nieodpowiednich ludzi, owszem może robić złe rzeczy, ale to się tyczy każdego państwa.

– Skąd masz taką pewność?

— Musisz mi to niestety wybaczyć — czarodziejka wzruszyła delikatnie ramionami — ale jak mam wybierać między Anarchijczykami a Warderlończykami, zdecydowanie popieram tych drugich.

– Dlaczego? — Kevlin uniósł wysoko brwi ze zdziwieniem.

– Dbają o swoich, trzymają się razem...

– ...chcą podbić cały świat... — dodał za nią, zanim skończyła.

– Anarchijczycy zaś mnie zupełnie nie przekonują — stwierdziła, ignorując

złośliwy komentarz. – To takie... Nie wiem... „Hura, za Eneriasa Kaznera! Za światło!”, nie zważywszy na wszelkie sensowne myślenie, czy co tam jeszcze...

– Mówiłaś, że podziwiasz byłego cesarza.

– Samego Eneriasa Kaznera tak. Podejście Anarchijczyków do niego? Nie. Nijak nie.

– Oficjalnie czuje się urażony – rzekł Kevlin, krzyżując ręce. – Zostałem wysłany do zadania we własnym kraju, z dwiema pannami, które popierają największego wroga mego narodu. Trzeba było zostać zaklinaczem...

– Już lepiej poetą – wtrąciła Denera prędko. – Mógłbyś siedzieć sobie bezpiecznie w Shandarii i pisać wiersze o tym, jak twoim rodakom jest ciężko.

– Czerpiesz przyjemność z tych złośliwości? – Anarchijczyk ostatecznie się zirytował. – Czy może tak już ci weszły w krew, iż nie potrafisz się powstrzymać?

Warderlonka wzruszyła ramionami.

– Rozładowuje stres po prostu.

Usłyszawszy to zdanie, Gabriella wybuchła czystym radosnym śmiechem.

– No mój na pewno rozładowałaś – rzekła, gdy koleżanka aż spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Tymczasem, zalecam położyć się spać. Jutrzejszy dzień będzie pewnie jeszcze trudniejszy od dzisiejszego.

Przystali na propozycje. Kilka minut później Kevlin machnął ręką, a przywołane przez niego wcześniej magiczne światło zgasło. Namiot pogrążył się w ciemności, choć nie zupełnej, bo w obozie rozstawiono wiele pochodni. Dało się też wciąż usłyszeć prowadzone w oddali rozmowy, najprawdopodobniej stojących na warcie strażników, czy ludzi, dla których noc była najbardziej aktywną porą. Zmęczenie spowodowane minionym dniem wydawało się jednak na tyle potężną siłą, że z łatwością pokonywało wszystkie te sprawy i prowadziło w objęcia snu.

Mimo to Gabriella nie mogła zasnąć. Obawiała się kolejnego dnia. Obawiała się reakcji ludzi na decyzję, jaką podejmie, obawiała się samej konfrontacji dwóch stronnictw. Tak wiele od niej zależało, a wiedziała, iż arcymag powierzył jej owo zadanie ze względu na zaufanie, jakim ją obdarzał. Nie chciała go zawieść. Jak jednak na bogów wydać sprawiedliwy werdykt? Jak dotrzeć do wszystkich faktów, skrywanych z pewnością przez obie strony. I jak w pełni obiektywnie ocenić kto zawinił w tym konflikcie? Pytania krążyły po jej głowie, walcząc z ogarniającym ją zmęczeniem. Nie potrafiła odnaleźć na nie odpowiedzi. Czuła wsparcie będących z nią przyjaciół, lecz patrząc szczerze, nie bardzo mogli jej pomóc. Decyzja należała w pełni do niej... Ostatecznie problemy rozwiąły się samoistnie, gdy przyszedł upragniony sen...

Gabriella stała na jednym ze szczytów Yinkli, pasma górskiego dzielącego Shandarię na dwie prowincje, północną i południową. Na niebie zaś widniał zbliżający się do niej olbrzymi meteoryt. *„Którą część powinienem twoim zdaniem*

zniszczyć?” usłyszała wszechobecny głos. Brzmiał szorstko i mrocznie. „*To twoja decyzja. Nikogo innego*”. Spoglądała więc w panice raz na południe raz na północ swojego ukochanego kraju, ale nie potrafiła nic zrobić. Oba wyjścia wydawały się złe. W końcu więc pokręciła głową, w geście odmowy. „*Skoro nie potrafisz zdecydować...*” głos wydawał się gniewny „*To zniszczę całość!*”.

Obudziła się nagle, prawie natychmiast zostawiając sen za sobą. Przerażenie ją całkowicie rozbudziło. Nim jednak zdołała się w ogóle uspokoić, ujrzała nad sobą cień jakiegoś zbliżającego się człowieka. Krzyknęła jeszcze bardziej przestraszona. Następnie przeturlała się w prawo i spadła z łóżka.

– Co się dzieje...? – spytał jakby ciągle przez sen Kevlin i przywołał światło. Ich oczom ukazał się zamaskowany mężczyzna, dzierżący sztylet w dłoni. Chyba nikt z nich nie spodziewał się takiego widoku.

Napastnik nie czekał. Od razu skoczył na Gabriellę, kierując ostrzem prosto w jej szyję. Na szczęście kobieta instynktownie przeturlała się znowu, trafiając tym razem pod własne łóżko. Broń spadła o parę centymetrów.

Anarchijczyk w tym momencie ruszył na pomoc przyjaciółce. Skoczył na przeciwnika odważnie, lecz natychmiast otrzymał serię szybkich ciosów wręcz. Okazały się one na tyle silne, że praktycznie odleciał z powrotem do tyłu. Zamaskowany mężczyzna znowu podszedł do celu i tym razem zdołał chwycić Gabriellę za jej nocny strój i unieść z podłoża. Wtedy jednak kawałki ziemi poszybowały w górę, odepchnęły go, a następnie utworzyły coś w rodzaju kamiennej bariery przed Shandarianką.

Oczy Denary lśniły na zielono, informując, że weszła w tryb bitewny. Wstała z łóżka i posłała w kierunku napastnika jeszcze więcej skał. Ten jednak powstrzymał je zaklęciem magicznej tarczy.

– On jest magiem! – zawołał Kevlin, jakby go oświeciło. Prawdopodobnie wpadł na pomysł. Podniósł z ziemi kostur przyjaciółki, a następnie rzucił nim w stronę atakowanej – Gabriello, łap!

Czarodziejka ledwo się orientując, chwyciła broń. Na szczęście od razu pojęła plan Anarchijczyka. Skierowała więc różdżkę w kierunku wroga i rzekła drżącym głosem:

– Kontrola.

Jaśniejący promień wystrzelił z kostura i trafił mężczyznę. Ten natychmiast zamarł bez ruchu.

Chaos sytuacji momentalnie opadł.

– O bogowie... – mówiła niewyraźnie Shandarianka, trzęsąc się nadal z przerażenia. – Ktoś usiłował mnie zabić. O bogowie.

– Jesteśmy z tobą Gabriello. – Kevlin położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu. Niestety sam głos również miał przejęty. – Nie może teraz nic zrobić. Podtrzymuj tylko promień, a ja go zwięzę.

Kobieta kiwnęła tylko głową, mamrocząc nadal pod nosem ze strachu. Przeciwnik po chwili, w pełni związany i unieruchomiony, siedział na krześle.

Zakneblowali go też, aby nie mógł rzucać zaklęć. Dopiero wówczas czarodziejka opuściła kostur i nieco się uspokoiła.

– Hm... rozpoznaję ten sztylet – stwierdził Anarchijczyk, podnosząc ostrze z ziemi. – Pochodzi ze zbioru Narillusa.

– Twierdzisz więc, że...

– Nic nie twierdzę. – odłożył broń na stół, a następnie podszedł do więźnia. – Wolę się przekonać. – Tak rzekłszy, zdjął mu maskę wraz z kneblem. Całej trójce ukazała się twarz Drata.

– Tak myślałam. – Denera zdążyła w międzyczasie przebrać się z powrotem w strój dzienny. Nie wydawała się zaskoczona. – Jego głos wydawał się zbyt niski jak na Datrena, no i nie został powstrzymany przez naszego ochroniarza. Zresztą mówiłam, że nieco dziwny był fakt, iż ujrzałam go po raz pierwszy dopiero wczoraj. Jedyne co mnie zastanawia, to dlaczego?

– Odpowiedź jest raczej prosta. Nie użył przecież sztyletu Narillusa bez powodu. – Kevlin najwyraźniej dość dobrze radził sobie z sytuacjami kryzysowymi. – Na pewno chciał zrzucić odpowiedzialność za morderstwo na Anarchijczyków.

– Co? Warderlon w życiu by czegoś takiego nie zrobił. – Kobieta wydawała się urażona. – Pewnie działał na czyjeś specjalne zlecenie.

– Sądzę – rzekła w końcu Gabriella, kiedy uspokoiła się na tyle, by móc normalnie mówić – że tę kwestię najlepiej wyjaśni nam sam Drat... – zwróciła się do mężczyzny. – Dlaczego mnie zaatakowałeś? Kto Ci kazał?

Napastnik milczał, pozostawiając pytania bez odpowiedzi. Shandarianka doszła do wniosku, iż istniała duża szansa, że gra na czas. Kto wie, czy za kilka chwil nie przyjdzie kolejny zabójca. Musieli działać jak najszybciej... Westchnęła. Nie nadawała się do tego. Nie potrafiła być odpowiednio stanowcza czy odważna. Nie potrafiła odnaleźć dobrego wyjścia. Nie mówiąc już o tym, aby wyciągnąć informacje od więźnia. Zastanowiła się chwilę czy nie przekazać zadania Deneri, lecz nagle przypomniała sobie słowa arcymaga Veliriusa Karena, który od czasu do czasu musiał pokazać innym, jak potężnym i wielkim jest czarodziejem, choć przecież do wszystkich zawsze nastawiony był przyjaźnie. Wspominał wówczas, iż nigdy nie odnajdywał się dobrze w takich momentach, lecz z czasem nauczył się po prostu wcielać w tę rolę.

Gabriella nigdy nie była groźna, potężna czy przerażająca. Potrafiła jednak grać.

– Kevlin – zwróciła się do przyjaciela jak najspokojniejszym głosem. – Powiedz mi proszę, co mawiają o kosturze arcymaga?

– Jeden jest kostur arcymaga – rzekł Anarchijczyk natychmiast. – Jedna różdżka kontroli. A czarodzieje z całego świata padną na kolana przed jej potęgą.

– Kontrola. – Shandarianka ponownie skierowała broń na napastnika. – A teraz powiedz mi wszystko, co wiesz... Suche fakty, nie próbuj nawet marnować naszego czasu.

Drat spojrzał na nią wyjątkowo gniewnie i zadrżał z bliżej nieokreślonego

powodu. Zaczął jednak w końcu:

– Należę do organizacji, zwanej przez was obcych Kroplą Krwi. Zostałem tutaj przysłany na rozkaz Mrocznego Cesarza, aby zabić arcymaga Veliriusa Karena.

– Ale Karen się nie pojawił... – Kevlin pogładził się po brodzie z zastanowieniem.

– Tak. Dlatego zmieniłem cel na Shandariankę. Wina miała spaść na Anarchijczyków, więc nie mogłem zrobić tego, jak zazwyczaj, za pomocą trucizny. Wiedziałem jednak, że Narillus pokaże wam swoją kolekcję broni. Dlatego zleciłem mojemu człowiekowi kradzież jednego z eksponatów. Trafnie założyłem, że któreś z was rozpozna narzędzie zbrodni. Z jakiegoś powodu niestety bogowie postanowili zbudzić ofiarę tuż przed wykonaniem zadania. – Mężczyzna splunął. A przynajmniej spróbował, bo w połowie moc kostura przywróciła go do poprzedniej pozycji.

– Później im złożę swoje podziękowania. – Gabriella usiłowała zachować silny ton. – Po co jednak cały ten plan?

– To akurat oczywiste – wtrącił się Kevlin, wzruszając ramionami. – Opinia Królestwa Anarchijskiego i tak już bardzo ucierpiała na arenie międzynarodowej z powodu wywołania epidemii golemów. Jeżeli jeszcze by się pozbyli niezależnej komisji badającej tę sprawę...

– Przecież to kompletna bzdura! Połowa krajów w życiu by w coś takiego nie uwierzyła. – Tym razem Shandarianka naprawdę wydawała się stanowcza.

– Co z tego? Warderlończycy dostaliby usprawiedliwienie wznowienia inwazji i potwierdzenie winy przeciwnika. Tyle im wystarczy.

– Niemożliwe – stwierdziła nagle Denera. – Warderlon nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Właśnie masz przed sobą żywy dowód, iż jednak by zrobił.

Mina czarodziejki była twarda, zęby miała zaś zaciśnięte, ale w końcu westchnęła tylko i dodała:

– W takim przypadku Mroczny Cesarz się wszystkiego wyprze. A jego słowo liczy się dla Warderlończyków tysiąc razy bardziej niż nasze, czy naszego więźnia...

– Jeśli jest, jak mówisz to... to powinniśmy się stąd wynosić – oznajmiła Gabriella po chwili namysłu. – Kevlin, przebieraj się. Odstawimy Drata do Anarchijczyków i natychmiast opuścimy obóz. Nie mogą nas zatrzymać. Nie oficjalnie. Mam nawet prawo odmówić dalszej współpracy za arcymaga.

Czarodziej zniknął za przegrodą namiotu, Denera zaś ponownie zakneblowała napastnika.

– Zaczynam się bać – oznajmiła, choć sprawiała zupełnie inne wrażenie. Pewnie nauczyła się ukrywać swoje emocje.

– Mnie to mówisz...?

Mężczyzna powrócił po chwili i zaczął pakować najprzydatniejsze rzeczy. Przerwał jednak tę czynność, aby pilnować Drata, w czasie gdy Gabriella zmieniała ubranie. Jakiś czas później cała trójka wydawała się mniej więcej gotowa.

– Mam nadzieję, że oddział, który wynajęła nam gildia, jest gotowy do drogi –

rzekła Gabriella, również wrzucając różne przedmioty do torby. – W przeciwnym razie...

Nie dała rady dokończyć. Nagle bowiem potężny wybuch światła i dźwięku zupełnie ją zagłuszył. Ziemia też zadrżała, sprawiając, że cała trójka padła na podłogę wytrącona z równowagi.

– Na wszystkie artefakty Eneriasa Kaznera! Co to było?! – zawołał Kevlin, podnosząc się natychmiast.

– Nie wiem – odparła Denera, zasłaniając oczy, od wciąż pulsującego jasnością źródła. – Ale było bardzo blisko. Chodźcie!

W nawale wydarzeń nikt nie śmiał kwestionować rozkazu. Wypadli pośpiesznie z namiotu. Kevlin nieco wolniej, bo musiał nieść więźnia, ale dawał sobie z tym jakoś radę. Ich ochroniarza Naresa oczywiście nie było w pobliżu. Niedaleko nich natomiast miejsce miało niesamowite wydarzenie.

W kierunku nieba wystrzeliwał potężny promień, który mienił się przemienne na zielono, czerwono i niebiesko. Światło to docierało do jakiegoś niezwykle wysokiego punktu, a następnie rozdzielało się na wszystkie strony, tworząc jakby gigantyczną barierę czy chmurę ponad zebranymi. Źródłem tej mocy okazał się blednący coraz bardziej, „Pan Światła”, posąg Bezimiennego Boga, przed którym stał niepozorny czarodziej. Trójka przyjaciół spojrzała na siebie niepewnie, ale po chwili podeszła bliżej. Dotarli do rzeźby idealnie w momencie, w którym światło znikło. Stojący obok mag, obrócił się do nich powoli.

– Narillus Datren? – zdziwiła się Gabriella, poznawszy mężczyznę. – Co ty tu... – Nagle ją olśniło. Książki przeglądane przez Kevlina. Zmęczona twarz ich rozmówcy, jakby pracował pod presją ogromnego stresu. Bariera, którą mogą zdjąć jedynie Anarchijczycy. Wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce, ujawniając prawdę. – Ty użyłeś mocy posągu. – Ledwo mogła mówić, przytłoczona odkryciem. – Do rozpętania jeszcze większej epidemii golemów!

– Co?! – Denera była zszokowana.

– Kiedy dowiedziałem się, że komisją dowodzi Shandarianka, wystraszyłem się, iż zdążysz zbyt szybko odkryć prawdę – odparł Narillus zmęczonym głosem. – Na szczęście miałaś umysł zajęty czymś zupełnie innym...

– Ale... dlaczego? – Gabriella nie potrafiła zrozumieć.

– Mówiłem ci już. Inwazja musi zostać powstrzymana. Warderlończycy nie mogą dostać się do Ur. Moc posągu pozwoliła mi aktywować zaklęcie na terenie całych Gór Ankarii, a wroga armia znajduje się przecież w samych ich centrum. Ugrzęzną tutaj na wieki.

– Głupcze, idioto! – Denera wpadła w szal. – Czy ty w ogóle wiesz, co to oznacza?! Mogę oczywiście ponownie wspominać o śmierci niewinnych ludzi z wiosek położonych na całym terenie gór, ale co za różnica? Przecież my WSZYSCY tutaj zginiemy!

Jakby na potwierdzenie jej słów, ściana i tak już zrujnowanego budynku obok rozpadła się na kawałki i uformowała wielkiego kamiennego golema. Monstrum

ruszyło naprzód i już miało dopaść magów gdy...

– Kontrola – zareagowała w porę Gabriella, kierując ku istocie swój kostur. Przeciwnik zamarł, a następnie ku zdumieniu wszystkich, rozpędził się i zderzył z solidnie wyglądającym zabudowaniem w pobliżu. Niewiele z nich obu zostało.

– Jak wiele przyzwałeś ich w świątyni? – zapytał Kevlin, prawdopodobnie układając jakiś plan.

– Setki – odparł Narillus beznamiętnie. – A przyjdzie ich jeszcze więcej, bo zwabiają je duże skupiska ludzi.

– Czy mogę go uderzyć? – Warderlonka przebierała gniewnie palcami.

– Nie – zakazała Gabriella – Nie mamy czasu. Musimy stąd jak najszybciej uciekać.

– Niby dokąd? – Koleżanka rozłożyła bezradnie ręce. – One są wszędzie.

WSZĘDZIE.

– Na główny budynek świątyni – wtrącił się Kevlin, usiłując zachować spokój. – Tam nikogo nie ma, a wysokie ściany powinny nas obronić. Przez jakiś czas.

– Dobrze. Biegiem więc!

Ruszyła prędko, nie czekając na pozostałą dwójkę. Anarchijczyk podążył za nią.

– A ty? – spytała Gabriella twórcę całego zamieszania. – Nie uciekasz?

– Nie mam już mocy ani sił, którymi mógłbym się bronić – odparł ten zmęczonym głosem. – W dodatku otaczają mnie sami wrogowie. Nie Shandarianko. Jestem we właściwym miejscu.

– Zginiesz tutaj...

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Lecz inni dzięki mnie przeżyją. Nie żałuj mnie czarodziejko gildii.

Przemyślałem wszystko dokładnie z wyprzedzeniem. Moje zadanie zostało wykonane.

Kobieta westchnęła, ale po chwili odwróciła się w stronę biegnących przyjaciół.

– Gabriello... – powstrzymała się jeszcze na moment, słysząc swoje imię. W oczach Narillusa był smutek. – Nigdy nie chciałem was skrzywdzić. Żałuję, że zostaliście wciągnięci w konflikt, który was nie dotyczy.

– Wiem. Żal jednak nie ocali setek istnień, tracących teraz życie z powodu twoich decyzji.

W ich stronę zmierzał kolejny golem. Shandarianka odwróciła się, a następnie aktywowała zaklęcie podmuchu, wystrzeliwując się do przodu. Natychmiast dogoniła przyjaciół. Nie spojrzała ponownie na maga. Nie chciała widzieć, jak skończy.

– Czemu nie idziemy do bramy? – zdziwiła się Denera, oczyszczając im drogę z gruzu.

– Po takim pobycie w świątyni, powinnaś wiedzieć, że Warderlończycy ją trwale zamknęli. Będziemy musieli wejść inaczej.

– Zaraz. – Warderlonka właśnie spostrzegła dźwiganego Drata. – A ty nadal niesiesz tego mordercę? Zostaw go tutaj! Tylko Cię spowalnia.

– Przecież w ten sposób zginie...

– No i co z tego? Usiłował zabić Gabriellę! Nic mu nie jesteśmy winni, a jeśli się nie pośpieszymy, umrzemy wszyscy!

– To jest niewątpliwie logiczne rozumowanie... – stwierdziła cicho Shandarianka.

– Nie zamierzam go skazywać na śmierć, nawet jeśli sam zrobiłby tak ze mną. – Anarchijczyk brzmiał stanowczo.

– A to jest niewątpliwie ludzkie rozumowanie.

– Nie pomagasz...

– Przyzwyczaj się.

Dotarli do ściany głównego budynku świątyni. Wznosiła się ona wysoko, choć każde kolejne piętro było nieco mniejsze.

– I teraz niby co? – spytała Warderlonka kpiąco. – Ja się wspinać po gładkiej ścianie nie umiem, a wy?

– Gabriello. – Kevlin spojrzał na przyjaciółkę z powagą. – Nie jestem w stanie latać w nocy. Będziesz musiała unieść nas wszystkich.

– Tylu naraz jeszcze nigdy nie próbowałam...

– Dasz sobie radę. – Położył jej rękę na ramieniu. – Wierzę w ciebie.

– Zaraz. Nie chcecie chyba...

Nie dokończyła, bo silny podmuch powietrza porwał ją w górę. Po chwili byli na piętrze. Shandarianka wylądowała z gracją, jak przystało na czarodziejkę powietrza. Denera jednak zaliczyła twarde lądowanie.

– Nigdy więcej mi czegoś takiego nie róbcie! – wykrzyknęła gniewnie, podnosząc się z ziemi. – Nienawidzę wiatru...

– Już nie narzekaj. Wolałabyś zginąć na dole?

Gabriella spojrzała z przerażeniem na obóz. Z góry wszystko było widać jak na dłoni. Golemy pojawiały się wszędzie. Dewastowały namioty, straszyły konie, burzyły budynki, mordowały ludzi... i chociaż żołnierze mieli ogromną przewagę liczebną, chaos wywołany niespodziewanym zdarzeniem, jak na razie dominował. Nie dało się stwierdzić, jak rozwinie się ta sytuacja.

– Warderlończycy zaprosili niezależną komisję tylko po to, aby mnie zabić i rzucić winą na drugą stronę – oznajmiła smutno w ciszy, która nastała. – Anarchijczycy zgodzili się na komisję, aby znaleźć się blisko posągu i móc wywołać kryzys na większą skalę. Żadne ze stronnictw nie było tak naprawdę zainteresowane tym, kto zawinił...

– To prawda – Kevlin kiwnął głową zmęczony. – Ich w praktyce obchodzi jedynie wygranie wojny... W takich chwilach się cieszę, że dołączając do gildii, zadeklarowałem neutralność.

– Zostaliśmy wykorzystani – oznajmiła Denera z gniewem w oczach. – Przez obie strony. Wykorzystani jak zabawka dwójki kłócących się dzieci. Gdy nasza przydatność dobiegła końca, zapomnieli o nas zupełnie. Jedyne, o czym myślą, to dokopanie stronie przeciwnej.

– W Shandarii – rzekła cicho Gabriella. – Nazywamy to Symfonią.

– Symfonią?

– Tak. Symfonią Światła i Mroku. Niekończącym się konfliktem, który spaja świat od zarania dziejów. Nigdy nie sądziłam, iż może być tak przerażający...

Patrzyli zmęczeni na chaos wojny. Niewiele mogli zrobić w tej chwili.

– Zginiemy tutaj? – zapytała nieśmiało Denera. Po raz pierwszy w jej głosie dało się usłyszeć strach.

– Nie da się tego wykluczyć. Znaczący prawdopodobnie. Rzekłbym nawet prawie na pewno. – Kevlin usiłował chyba za wszelką cenę zachować dobry humor. – Ale w sumie skoro tak czy siak, czeka nas śmierć... Dostanę może buziaka od pięknej panny na pożegnanie?

– Chyba śnisz.

Wzruszył ramionami.

– Warto było spróbować.

– Znowu rozładowujesz stres? – Shandarianka uśmiechnęła się mimowolnie, słysząc kolejne przytyki pozostałej dwójki.

Nagle jednak padła na kolana, zaskoczona wyjątkowo silnym bólem głowy.

„Gabriello! Słyszysz mnie?” odezwał się głos dochodzący zewsząd.

– Arcymag Velirius Karen? – zdziwiona rozejrzała się naokoło. Nie zauważyła go oczywiście.

„Jeśli mnie słyszysz, to natychmiast udaj się wraz z pozostałymi na trzecie piętro głównej świątyni. Jest tam wciąż działający krąg teleportacyjny”

– Ale jak...

„Nie wiem dokładnie, co się dzieje” dodał, zupełnie ignorując jej słowa „Ale jesteście w wielkim niebezpieczeństwie! Trzecie piętro! Szybko!”

Głos zamilkł równie niespodziewanie, jak się pojawił.

– To było niesamowicie... dziwne – oznajmiła Denera, spoglądając ze zmrużonymi oczyma, jak koleżanka dochodzi powoli do siebie.

– Nieistotne – odparła Gabriella, wstając z pomocą Kevlina. – Arcymag się ze mną skontaktował. Twierdzi, że na trzecim piętrze jest aktywny pentagram teleportacyjny.

– Niemożliwe! – Anarchijczyk niemal wykrzyknął zdziwiony. – Warderłończycy na pewno wszystkie zniszczyli.

– Velirius twierdzi inaczej. W obecnej chwili raczej bym mu zaufała. Chodźcie.

– Nie – odparła Denera, zaskakując wszystkich. Następnie dodała, widząc ich zdziwione twarze. – Najbliższy punkt docelowy jest w Ur. Nie mam tyle mocy, aby teleportować się na taką odległość.

– Nie sądzę, abyś miała inne wyjście...

– Czego nie rozumiesz w zdaniu „Nie mam mocy”? Nie chce się rozpaść na proch podczas podróży.

Mężczyzna spojrzał na rozmówczynię ciężko, jakby specjalnie generowała problemy.

– Nic z tego Kevlin. – Poparła koleżankę Shandarianka. – Nie zostawimy jej

tutaj. Wszyscy albo nikt. Musimy wymyślić coś innego.

– Zaraz... – Warderlonka uniosła głowę, jakby wpadła na pomysł. Spojrzała na Anarchijczyka. – Masz jeszcze ten sztylet?

– Ten, którym usiłowano zabić Gabriellę? Jasne. – Podał kobiecie ostrze. – Zamierzałem go oddać właścicielowi, ale... tak jakoś wyszło.

Denera podeszła prędko do związanego czarodzieja, a następnie bezceremonialnie rozcięła mu ramię. Poptynęła krew.

– Co ty u licha...

Nim pytanie w ogóle zostało dokończzone, aktywowała zakłęcie kradzieży mocy. Po chwili odwróciła się do nich i rzekła.

– Teraz mogę się teleportować do Ur i nawet jeszcze dalej.

– Tylko że nie zdołam go już kontrolować kosturem – Gabriella wydawała się sceptyczna.

– Co z tego? I tak go tutaj zostawiamy. Jest raczej względnie bezpieczny, a nijak go ze sobą nie weźmiemy.

– Tym razem nie będę się spierać – rzekł Kevlin z westchnieniem. – Ruszajmy.

Wbiegli do środka i poczęli szukać schodów. Mogliby ponownie wlecieć na skrzydłach wiatru, ale Shandarianka wołała oszczędzać moc przed kosztowną teleportacją. Kilukrotnie zaatakował ich jakiś golem, ale kostur kontroli okazywał się niezwykle skuteczny przeciwko tym bestiom. Musiało jednak minąć sporo czasu, zanim znaleźli się ostatecznie na trzecim piętrze. Spojrzeli ponownie na obóz, z jeszcze lepszej perspektywy. Tylko Kevlin z jakiegoś powodu patrzył prawie zupełnie w dół. Chrząknął znacząco, aby zwrócić uwagę towarzyszek.

– Denera... – zaczął powoli z rosnącym strachem i niezadowoleniem w głosie. – Wzięłaś ze sobą sztylet prawda?

– Nie – odparła kobieta, marszcząc brwi. – Przecież to ty go od początku niosłeś.

– W takim przypadku nie dziwi mnie, że Drat się tak szybko uwolnił.

Wszyscy spojrzeli w dół. Rzeczywiście czarodziej-zabójca, wolny już w tym momencie, zbliżał się w ich kierunku żwawo, wykorzystując wszelkie drobne wypukłości budynku jako ścieżkę. W czysty sposób drwił z ich braku umiejętności wspinania.

– Gorzej... – westchnęła Warderlonka.

– Może zdążymy mu uciec – powiedziała Gabriella z nadzieją. – Gdzie ten krąg Kevlin?

– Za mną – ruszyli dalej podłużnym korytarzem.

Niestety kolejne drzwi, które usiłowali otworzyć, pozostawały zamknięte. Anarchijczyk zatrzymał się ostatecznie, zawrócił i rzucił zaklęciem oślepiającym w zbliżającego się już Drata. Przeciwnik uniósł dłonie ku swym oczom zaskoczony, ale chyba nie dał za wygraną.

– Twoja kolej Gabriello – oznajmił przyjaciel ciężko. – Wystarczy jeden silny

podmucha, a wypadnie ze świątyni.

– Ale to go zabije! – zawołała Shandarianka przerażona. – Sam powiedziałeś, że nie powinniśmy robić mu krzywdy!

– Ta sytuacja podpada chyba pod samoobronę... – Wskazał na broń w dłoni przeciwnika. Cała trójka wiedziała, iż potrafi się nią posługiwać.

Kobieta westchnęła, a następnie zamknęła oczy i skupiła się maksymalnie. Jej dłonie już zaczęły inkantacje zaklęcia, kiedy nagle opuściła je i rzekła:

– Nie. Nie potrafię. Przepraszam.

– Ach wy głupcy, czy naprawdę wszystko muszę robić sama? – Oczy Deneri już od jakiegoś czasu jaśniały na zielono. Uderzyła obiema dłońmi w podłogę, a cały budynek zatrzęsł się w posadach. Rosnące pęknięcie pojawiło się na podłożu, aby po chwili zupełnie zniszczyć to, na czym stał Drat. Czarodziej spadł z krzykiem na dół.

– No i brawo! – wykrzyknął Kevlin sarkastycznie, usiłując utrzymać równowagę. – Teraz cała świątynia się zawali!

– To nie jest najlepszy moment na dyskusje o niszczeniu zabytków! – Kobieta nie pozostała mu dłużna.

– Nie o to chodzi. Przecież my jesteśmy w ŚRODKU!

– Naprzód – zakomenderowała Gabriella, przerywając ich kłótnię.

Kevlin prowadził, jednocześnie niosąc kulę światła. Jego oczy zresztą już również jaśniały mocą kontrolowanego żywiołu. Za nim biegła Denera, usiłując torować drogę wśród walącego się gruzu. Parę razy zniszczona podłoga zablokowała im przejście, ale silny wiatr Shandarianki rozwiązywał ten problem.

– To tutaj – oznajmił Anarchijczyk, wskazując na wielkie, bogato zdobione drzwi. – Za nimi powinien być krąg.

Warderlonka uniosła obie dłonie, a wielki kawałek skały uderzył w bramę z ogromną siłą. Ta jednak pozostała niewzruszona.

– No otwieraj się ty przeklęta, tępą machin...

– Przestań. Jesteśmy w świątyni Bezimiennego. Zostały zaklęte tak, że tylko mag światła może je otworzyć.

– No to na co jeszcze czekasz?!

Kevlin podszedł bliżej i czym prędzej uderzył dłońmi w pięć różnych miejsc, powodując delikatne rozbłyski. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. W środku zgodnie ze słowami Veliriusa Karena znajdował się nienaruszony krąg teleportacyjny.

– Czy mocy wystarczy dla trzech osób? – spytała Denera, zbliżając się do jaśniejącego na złoto pentagramu.

– Nawet dla czterech, jeśli bardzo byśmy się postarali – odparła Gabriella, usiłując zaczerpnąć oddechu po długim biegu.

– Świetnie. Dokąd więc?

– Do Ur – nakazał Kevlin stanowczo. – To najbliżej, no i tam jest arcymag. Musimy z nim koniecznie porozmawiać o dzisiejszych wydarzeniach.

Warderlonka nie czekała już dłużej, tylko weszła do kręgu, rzuciła zaklęcie i tyle ją było widać.

– Ty druga – powiedział mężczyzna, zachęcając przyjaciółkę. Ta wykonała krok do przodu.

I wtedy miał miejsce kolejny wstrząs. Obydwoje padli na podłogę, oddzieleni rosnącą w niej podłużną szparą.

– Ruszaj! – krzyknęła Gabriella natychmiast. – Ja mogę latać. Dam sobie radę.

Czarodziej nie oponował. Wszedł natychmiast do kręgu i po chwili również zniknął. Shandarianka skoczyła naprzód, wspomagając się wiatrem, lecz w tym momencie z powodu następnego wstrząsu i reszta podłogi uległa zawaleniu. Krąg pomknął w dół jakiejś większej sali, nad którą musiał się znajdować. Kobieta, zakławszy pod nosem siarczyście, wystrzeliła za nim. I już miał się roztrzaskać na kawałki od zderzenia z podłożem, gdy dotknęła jego złotych linii, wypowiadając zaklęcie.

Kiedy otworzyła oczy, przywitał ją spokój dobrze jej znanej pracowni. Leżała na kanapie, na której zazwyczaj sadzali najważniejszych gości. Prócz niej jednak w pomieszczeniu przebywał ktoś jeszcze.

– Gabriello! – Podstarzały czarodziej natychmiast podszedł do niej bliżej. – Dziękujemy bogom, obudziłaś się.

– Velirius. – Uśmiechnęła się kobieta lekko. Całe ciało miała obolałe. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że cię widzę.

– Nie wstawaj proszę. Udało ci się z sukcesem dokonać teleportacji, ale w kręgu pojawiłaś się nieprzytomna. Zaparzyłem ci napar. Na pewno jesteś roztrzęsiona...

Czarodziejka z ulgą przyjęła uspokajający napój i pociągnęła tęgi łyk. Powoli jej emocje stabilizowały się, a napięcie przechodziło. Rozejrzała się po gabinecie arcymaga. Nic tam się nie zmieniło przez ostatnie dni, co tylko jeszcze poprawiło jej humor. Dobrze było wrócić...

– Wiem, że powracanie do wydarzeń z dzisiejszego dnia sprawi ci z pewnością trudność, lecz niestety muszę jak najszybciej wiedzieć, co dokładnie się stało. – Astriad usiał naprzeciwko niej i splótł razem dłonie. – Dasz radę zdać mi relację?

– Myślałam, że już o wszystkim wiesz – zdziwiła się kobieta, spoglądając na przyjaciela. – Skontaktowałeś się ze mną, jakbyś był świadom zająć.

Czarodziej pokręcił głową przecząco.

– Godzinę temu wyczuliśmy potężną magiczną eksplozję w centrum Gór Ankarii, więc zdecydowałem się zareagować. Poprosiłem jednego z naszych kapłanów mądrości, aby ten przestał do ciebie telekinetyczną wiadomość. Ostrzegam, że będzie to bardzo niebezpieczne dla twojego umysłu, za co chciałbym cię przeprosić, ale zdecydowałem się podjąć ryzyko. Wciąż jednak nie wiem, co

dokładnie się stało. Kevlin tak jak ty dotarł nieprzytomny, a Denera wydawała się zbyt wzburzona, aby rzetelnie opisać sytuację.

Gabriella kiwnęła głową, a następnie zaczęła opowieść. To było trudne. Niesamowicie trudne. Powrócić do tych wszystkich okropnych przeżyć z owego wieczoru. Czuła jakby je jeszcze w ten sposób utrzymywała w pamięci, choć i tak wątpiła, aby kiedykolwiek miała o nich zapomnieć. Analiza zdarzeń jednak okazała się niezwykle interesująca. Patrząc na nie z perspektywy nawet tak krótkiego czasu, dostrzegała nowe fakty. Inne elementy zaś nagle stawały się oczywiste albo odnajdywały połączenia ze szczegółami, których wcześniej nie potrafiła zauważyć. Historia jak zawsze uczyła...

– Podsumowując, wojna ulegnie wznowieniu, lecz Warderłończycy prawdopodobnie utkną dłużej na Płaskowyżu Artan. Oba stronnictwa nie były tak naprawdę zainteresowane oceną naszej komisji – oznajmiła kobieta na zakończenie.

Velirius słysząc te słowa, podszedł do podłużnego stolika, na którym rozłożono sporej wielkości mapę Nastilii i uderzył w niego gniewnie pięściami.

– Wybacz – oznajmiła, widząc reakcje przyjaciela. – Powinnam spostrzec wcześniej, co się dzieje i powstrzymać to. Miałam jeszcze czas.

– Ty powinnaś? Ty? – Czarodziej ścisnął pięści z wściekłością, ale dało się zauważyć, że jego uniesienie opada. – Nie Gabriello. To na mnie spoczywał ten obowiązek. I choć rzeczywiście miałem złe przeczucia, pozostałem ślepy. A teraz jest za późno. Mam nadzieję, że świat wybaczy mi ten błąd...

– Nie bądź dla siebie tak surowy. – Kobieta ostatecznie wstała i podeszła bliżej swojego mentora. – Robiłeś, co mogłeś. Traktat powstały z naszej inicjatywy był dobrym pomysłem. Przekonanie Mrocznego Cesarza do zgody na niezależną komisję w zasadzie również. Nie twoja wina, iż nikt zasadniczo nie chciał współpracować...

Mężczyzna westchnął przeciągle, a następnie rzekł już nieco spokojniej:

– Spójrz tutaj proszę.

Gabriela stanęła obok, a następnie zerknęła na mapę. Coś się jednak zmieniło od czasu jej poprzedniej wizyty. Na mapie, która zazwyczaj służyła raczej do planowania teleportacji, rozstawiono pionki z symbolami Królestwa Anarchijskiego i Mrocznego Cesarstwa. Te drugie skupiały się głównie w Górach Ankarii.

– Śledzisz ten konflikt. – oznajmiła, pojawiając intencję. – W dodatku dość dokładnie. Czemu cię tak interesuje?

– Dawno temu... – rzekł astriad, gładząc się po swojej krótkiej siwej brodzie. – Kiedy dopiero planowałem założenie gildii, pewien Kael-Kirian przepowiedział jej rozpad w przypadku jakiegoś większego konfliktu. Za przykład podał wojnę między Anarchijczykami a Warderłończykami.

– Boisz się więc, że jego przepowiednia się ziści? Daj spokój, daleko Gildii Magów od rozwiązania. Ten Kael-Kirian pewnie jest po prostu bardzo pesymistycznie nastawiony.

– Był – doprecyzował Velirius.

– Był? Co się z nim stało?

– Z Ealianem Elieilijaszem? Zginął podczas rewolucji astriadów na Kael–Kirii. Ale odeszliśmy od tematu. Zostaliśmy wykorzystani Gabriello. Brutalnie wykorzystani przez dwie ścierające się siły, do zaostrzenia ich wiecznego konfliktu. Nie tego chciałem, kiedy ogłaszałem apolityczność naszej organizacji...

– Co zamierzasz zrobić?

– Niewiele mogę – oznajmił arcymag ze smutkiem. – Denera miała rację. Mroczny Cesarz wyprze się próby zabójstwa. A co do drugiej strony... Jeżeli Królestwo Anarchijskie wygra wojnę, ludzie uznają epidemię golemów za uzasadnioną. Jeśli zaś przegra... nie będzie już istniało, więc ominie je kara.

– A właśnie... Powinnam w sumie na początku zapytać. Co z Denerą? I Kevlinem?

– Nic im nie jest, odpoczywają kilka pięter niżej. Tylko ciebie kazałem przenieść tutaj.

– Dlaczego? – zdziwiła się nieco Gabriella. Oczywiście pracowała jako asystentka arcymaga, ale i tak zachowanie to ją zaskoczyło.

– Abyś zdała mi raport. Chciałem też przedyskutować z tobą kilka spraw...

– Jakich dokładnie?

– Na przykład przeniesienie głównej siedziby gildii do Shandarii.

– Do domu? – Ucieszyła się kobieta natychmiast. – To... to świetny pomysł Velirius. Bardzo mi się podoba. Czym jest jednak spowodowany? Zbliżającą się armią Warderlonu?

– Między innymi. – Czarodziej spojrzał zmęczony za okno. – Ale nie tylko. Po pierwsze w reakcji na dzisiejsze wydarzenia. Nie chcę dłużej przebywać na terenie kraju, który brutalnie wykorzystał nasze intencje. Zresztą mam wrażenie, że powinienem już dawno podjąć tę decyzję... Główna siedziba w stolicy pierwszego narodu światła źle rzutuje na naszą apolityczność. – Westchnął przeciągle. – Niestety, z trudem przychodziło mi myślenie o opuszczeniu Ur. To mój dom w końcu... Od setek już lat.

– W Shandarii nie jest tak źle. – Kobieta usiłowała pocieszyć przyjaciela. – Zapewniam Cię. Mogę Ci zresztą pokazać wszystko dokładnie, przecież tam dorastałam.

– Nie jadę do Shandarii Gabriello – odparł rozmówca krótko.

– Słucham...?

– I tutaj przechodzimy do drugiej sprawy. Zdecydowałem się zakończyć swoją pracę jako arcymag.

– Że jak?! – Czarodziejka niemal krzyknęła zaskoczona. – Nie możesz tak nagle odejść! Przecież kierujesz Gildią od samego początku!

– Tak... – kiwnął głową Velirius, ponownie gładząc się po brodzie. – Dokładniej od czterysta trzydziestu sześciu lat. Jestem zmęczony Gabriello. Tak bardzo zmęczony. Żyję długo, nawet jak na astriada. Wydaje mi się, że już dość dałem od siebie temu światu. Niektóre sprawy zresztą zaczynają mi umykać, umysł zaczyna zawodzić. Wszystko dookoła mówi mi jasno, iż czas już na emeryturę. Chcę odpocząć.

Wiem, że dasz radę to zrozumieć.

Kobieta westchnęła, po czym spojrzała na maga, który od kilku lat był dla niej przyjacielem i mentorem. W przeliczeniu na wiek człowieka dożył już chyba sześćdziesiątki. Każdy na jego miejscu chciałby odpocząć. Nie mogła ani nie potrafiła go winić.

– Nie poradzimy sobie bez ciebie Velirius... – dodała jeszcze cicho, nie bardzo wiedząc co odpowiedzieć.

– Wręcz przeciwnie. Przewodniczący rady gildyjnej uważają, że potrzebujemy nowej perspektywy. I ja się z nimi zgadzam. Gildia musi iść do przodu, a ja wciąż myślami tkwię w czasach gdy Warderlon nie rozpoczął jeszcze poprzedniej inwazji. W czasach, w których się wychowałem. I tutaj przechodzimy do ostatniej sprawy.

– Tak...?

– Chciałem cię przeprosić za to, iż zostałeś wysłana na tę wyprawę. Powinienem iść ja. Nigdy nie chciałem narażać cię na takie niebezpieczeństwo. I choć przecucia mówiły mi, że coś jest nie tak w tym wszystkim, nijak nie przewidziałem ani próby zabójstwa, ani planu Anarchijczyków.

– Przecież cię nie winię – odparła kobieta spokojnie. – Jestem może nieco zła na obie strony, owszem, ale nie przyszło mi do głowy, aby winą obarczać ciebie. Sama bym pewnie nie przewidziała takiego obrotu spraw.

– A jednak... – kontynuował arcymag po krótkiej przerwie. – Z wszystkim sobie poradziłaś. Wysłuchiłaś obu stron i wyciągnęłaś odpowiednie wnioski, przeżyłaś próbę zabójstwa, pojęłaś plan anarchijczyków, bez potrzeby tłumaczenia go, a nawet zdołałaś wyciągnąć waszą trójkę z tego chaosu i zaprowadzić ich w bezpieczne miejsce.

– Ale to nie ja... – Kobieta nieco zaczerwieniła się, słysząc pochwały. – Zasadniczo większą część roboty wykonali Kevlin i Denera.

– Wykorzystanie zdolności towarzyszy w momentach, w których się samemu zawodzi, jest znakomitą posunięciem Gabriello. I bardzo trudnym, dla niektórych. Pozwolenie na własną inicjatywę zaś oraz kontrolowanie ich, aby nie posunęli się za daleko... Tak. To dopiero sztuka. Dlatego nadal uważam, że ogłoszenie cię moją następczynią było dobrym pomysłem.

Shandarianka oniemiała. Nie potrafiła wydusić z siebie absolutnie żadnego słowa. Ostatecznie jednak udało jej się przełamać blokadę i rzec krótkie:

– Że... że jak?!

– Nie wierzę, abyś gdzieś w głębi umysłu tego nie przewidywała moja droga. – Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. – Zwłaszcza od momentu, w którym powierzyłem ci mój kostur. A skoro już o nim mowa... możesz go zatrzymać. Nie sądzę, aby mi się jeszcze przydał.

– Ale... Ale... Ja nie wiem, czy... To chyba zły pomysł... Ja nie dam rady...

– Wręcz przeciwnie Gabriello. Wręcz przeciwnie. Widzisz, rozmawiałem na ten temat z przewodniczącymi rady Gildii. Większość z nich co prawda uważa, że wybór nowego arcymaga powinien być przeprowadzany poprzez głosowanie, lecz prawie

wszyscy zaakceptowali twoją kandydaturę. Zrobiłaś na nich dobre wrażenie podczas naszych wizyt w różnych częściach Wysp Anteor.

– Ja... Muszę to przemyśleć – oznajmiła ostatecznie, ochłonąwszy nieco. – Nie mam pewności czy chcę brnąć w taką odpowiedzialność.

– Naturalnie. Nie przejmuj się, masz sporo czasu. Nie zamierzam ogłaszać nic, do czasu przeprowadzki do Shandarii. Tymczasem... – Przerwał na krótką chwilę. – Zostałaś zbudzona w środku nocy. Jestem prawie pewien, że chciałybyś się porządnie wyspać. Bezpiecznie, bez zagrożenia ze strony skrytobójcy. Twoja kwatera na ciebie czeka. Nietknięta.

Kobieta wstała z wolna i spojrzała na przyjaciela.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za pomoc w opuszczeniu świątyni Nes Katir. Gdybyś wtedy się ze mną nie skontaktował...

– Nie ma za co. To przeze mnie się tam w ogóle znaleźliście. – Czarodziej miał smutek w oczach. – I nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś wam się stało. Porozmawiamy jeszcze jutro moja droga. Tymczasem jednak, zdecydowanie musisz odpocząć. Jesteś wyczerpana.

Czarodziejka podeszła do drzwi i już chciała nacisnąć klamkę, kiedy wyczuła, że to jeszcze nie koniec rozmowy.

– Gabriello... – rzekł arcymag nagle. Stał przy oknie, spoglądając na zachód, z którego miała przybyć armia Warderlonu. – Zrozumiem, jeśli odrzucisz moją propozycję. Wiedz jednak, iż nie ma moim zdaniem lepszego kandydata czy kandydatki. Potrzebujesz więcej dowodów...? Zauważ więc jedną rzecz...

– Jaką?

– Była was trójka. Trójka utalentowanych, inteligentnych i wysoko postawionych magów Gildii. Mimo to tylko ty usłyszałaś Symfonię.

Główna siedziba gildii magów została przeniesiona do Shitsury w Shandarii, kilka dziesięcio dni po tych wydarzeniach.

Gabriella ostatecznie przyjęła propozycję Veliriusa. Stała się w ten sposób pierwszą arcymaginią w historii. Nigdy jednak nie czerpała szczególnej radości ze stanowiska, trwała przy nim bardziej z powodu swoich pasji i przyjaciół, którzy ją otaczali.

Kevlin postanowił wystąpić z Gildii Magów. Dołączył wówczas do wojny prowadzonej przez jego ukochany kraj. Zginął jakiś czas później, broniąc Ur.

Denera przez resztę swojego życia wytrwale służyła Gildii Magów.

Armia Warderlońska zdołała rozprawić się z epidemią golemów, dotarła do Ur i zdobyła miasto. Kilka lat później zaś podbiła resztę kraju. Królestwo Anarchijskie upadło, stając się prowincją Mrocznego Cesarstwa.

Światło serc naszych

Południowa część Gór Ankarii. Ziemia Sporne. Rok 1788 od zesłania Pana.

Enerion Menafis dyszał ciężko, brnąc wytrwale po stromym szlaku. Serce waliło mu jak oszalałe, nogi bolały go już od godziny... nie wspominając nawet o odciskach, które nieustannie przypominały o swojej obecności. Prawdopodobnie wybrał do podróży złe buty. Mimo to przemieszczał się nieustannie wciąż naprzód, z coraz większą obawą spoglądając na trzymany w dłoni zegarek. Nie mógł się spóźnić.

W końcu jego oczom ukazała się malownicza przełęcz, porośnięta różną odmianą wysokogórskiej roślinności. Nie namyślając się długo, zdjął plecak, a następnie legł bezwładnie na trawie i schował twarz w dłoniach.

– Na Pana... Jak ja nienawidzę podróży... – westchnął przeciągle, usiłując uspokoić oddech. – Mam chociaż nadzieję, że dotarłem do właściwego miejsca.

– Jeżeli również szukasz przewodnika, odpowiedź brzmi „tak”. – Rozległ się nieznajomy głos.

Enerion zerwał się na równe nogi zaskoczony, co natychmiast spowodowało u niego zawroty głowy. Przewrócił się więc i ponownie musiał wstać.

– Spokojnie... – odezwał się jeszcze raz mężczyzna, również wchodząc na szlak.
– Nie jestem niebezpieczny. Wręcz przeciwnie rzekłbym...

– Czemu się więc ukrywałeś w tych... – Rozmówca usiłował wymyślić, czym dokładnie były rosnące dookoła kilkumetrowe iglaste rośliny, ale ostatecznie dał za wygraną. – ...krzakach?

– Dla bezpieczeństwa właśnie. Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka w tych górach. – Tak rzekłszy, wyciągnął dłoń w przyjaznym geście. – Sacratu Dowen.

– Enerion Menafis.

– Jesteś technomagiem prawda?

– Aż tak widać?

– Tylko trochę. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Tymczasem, skoro tutaj jesteś, to pewnie również szukasz przewodnika do Twierdzy Światła.

– Miał być na Przełęczy Arvik w południe. – Enerion ponownie spojrzał na zegarek ze zmartwieniem. – A jest już zdecydowanie po.

– Czekam od godziny. Nie pojawił się jeszcze, więc bez zmartwienia — odparł Sacratu uspokajająco, a następnie dodał. — Masz przy sobie jakąś technomagiczną broń nieprawdaż?

– Jasne. Wojownikiem bym jednak się nie nazwał.

– Mimo to, odpuść już sobie kryjówkę. – Mężczyzna wyciągnął z krzaków plecak i sporej wielkości torbę, na której po chwili usiadł.

– Skoro tak bardzo obawiasz się niebezpieczeństwa, czemu nie wynająłeś kogoś do ochrony?

– Bardzo chciałbym, uwierz mi. – Sacratus skrzywił się, jakby ukłuło go wspomnienie. – Kilku tragarzy również by się przydało. Niestety nie wolno. Ledwo udało mi się zdobyć pozwolenie na wejście do Twierdzy Światła dla mnie samego.

– Pozwolenie...? – Technomag poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Tak. – Mężczyzna wyjął z plecaka dokument i pokazał go rozmówcy. – Reprezentuję stowarzyszenie kupieckie z Nowego Połsan i do Twierdzy jadę w interesach. Zdobyć odpowiednich papierów wymagało jednak strasznie dużo roboty, nie mówiąc już o królewskiej pieczęci na nich.

– Oh... – Enerion zacisnął zęby zaskoczony, nie bardzo wiedząc co powiedzieć. Ostatecznie rzekł cicho – Cóż... Ja nie mam pozwolenia.

– Naprawdę? W jaki sposób przekonasz więc przewodnika, żeby cię zabrał? Mamy wojnę. Twierdza Światła nie może przyjmować wszystkich podróżników...

– W ogóle o tym nie pomyślałem – rzekł technomag, przeklinając się w myślach. – Byłem chyba zbyt skupiony na pakowaniu wszystkich potrzebnych rzeczy do pracy, aby wypaść profesjonalnie.

– Po to zmierzasz do Twierdzy? W sprawie pracy?

– Tak. Potrzebuję kilku nowych technomagów maszyn, więc zawiadomili Uniwersytet Technomagiczny w Illumii. Postanowiłem łapać okazję i zgłosiłem się jako pierwszy. Nawet nie wyobrażasz sobie ile płacą w takim miejscu.

– Oraz jak niebezpieczne jest przebywanie tam...

– Nie przesadzajmy. – Enerion machnął ręką obojętnie. – Wiem, że mamy wojnę i oficjalnie Twierdza znajduje się pod oblężeniem, ale... nikt nigdy jej nie zdobył. Przez bite dwa tysiące lat pozostawała nieosiągalna dla sił Mrocznego Cesarstwa. Nie sądzę więc, aby miało się to wkrótce zmienić. Zresztą będę przesiadywał raczej w maszynowni, z dala od walk. Od obrony mają pewnie technomagów wojennych.

– Optymistycznie jak widzę...

– Bardziej mnie martwi jak na Pana zdołam tam dotrzeć bez dokumentów...

– Zaraz się chyba dowiemy – rzekł Sacratus, nadstawiając ucho. Rzeczywiście w oddali dało się słyszeć odgłos kroków.

Wstali oboje czym prędzej, a następnie spojrzeli w kierunku zbliżającej się osoby. Ich oczom ukazała się wysoka kobieta ubrana w ciemnoszary prosty strój. Na oko mogła mieć nieco ponad trzydziestkę. Prócz niewielkiej torby zawieszanej na plecach, trzymała w ręku jeszcze coś w rodzaju włóczni z długim prostym ostrzem, przeznaczonym chyba do cięcia. Żaden z mężczyzn nie wiedział, czym dokładnie jest ta broń, lecz obecnie nowo przybyła używała jej jedynie jako podparcia, niczym laski.

– Dwójka – rzekła lakonicznie, zatrzymując się przed nimi. – Świetnie. Nie cierpię, kiedy albo nie ma nikogo, albo zrzuca mi się nagle na głowę cała kompania.

Podróżnicy nie bardzo wiedzieli co odpowiedzieć. Ostatecznie głos zabrał Sacratus:

– Witam serdecznie. Nazywam się Sacratus Dowen. Reprezentuję Srebrną Kompanię, stowarzyszenie kupieckie z Nowego Połsan. Mam oczywiście

odpowiednie dokumenty, z pieczęcią samego króla... – Tak rzekłszy, podał kobiecie papiery.

Przewodniczka przeczytała dokładnie treść, a następnie kiwnęła głową obojętnie i zwróciła się do rozmówcy.

– Wszystko się zgadza. Jesteś Anarchijczykiem prawda?

– Y... Tak. Znaczący oczywiście.

– Doskonale...

– Tylko Anarchijczyków wpuszczają? – wtrącił się do rozmowy Enerion.

– Źle mnie zrozumiałeś Kaistlaninie. Po spełnieniu odpowiednich warunków wpuszczamy w zasadzie wszystkich. Usiłuję jednak być ostrożna.

– Co do tych warunków właściwie... – Mężczyzna zagryzł wargę zakłopotany. – To tak jakby nie mam żadnego oficjalnego pozwolenia na wejście.

Przewodniczka uniosła jedynie brwi pytająco.

– Po prostu nie wiedziałem, że muszę je mieć. Na uniwersytecie powiedzieli jedynie, iż poinformowali Twierdzą Światła o wysłaniu mnie, a potem podali gdzie mam się udać na spotkanie z przewodnikiem. Nikt nic więcej nie mówił.

– Technomagowie... Dlaczego mnie to nie dziwi... – Kobieta westchnęła przeciągle, kładąc dłoń na czole, jakby na znak ponurej rezygnacji. W jej głosie dało się wyczuć też lekką nutę pogardy. – No dobrze. Pójdiesz z nami, lecz gdy dotrzemy na miejsce, będą musieli sprawdzić twoją tożsamość. Lepiej więc, aby było tak, jak mówisz.

Enerion odetchnął z ulgą, a następnie podniósł z ziemi swój plecak.

– Dobrze, słuchajcie, bo nie lubię się powtarzać – zaczęła przewodniczka stanowczym głosem. – Przeprowadzenie przez Góry Ankarii nawet bez wojny jest niebezpieczne. Obecnie zaś konflikt jeszcze pogłębia to zagrożenie. Kiedyś przeszlibyśmy jednym z głównych szlaków, dzisiaj czeka tam na nas śmierć. Dlatego podróżować będziemy najmniej uczęszczanymi drogami, a czasem nawet na przełaj. Z tego powodu macie się mnie słuchać, jasne? Niektóre odcinki drogi należy przejść nocą, na innych może się zdarzyć wrogi patrol. Dlatego jak mówię, że idziemy, to idziemy, nawet jeżeli podróżujemy już od kilkunastu godzin. Zrozumieli? – Kiwnęli głowami. – Świetnie. Nie marnujemy więc czasu. Za mną.

Sacratuś założywszy swój plecak już wcześniej, zawiesił jeszcze na ramieniu dużą brązową torbę. Wyglądała na bardzo ciężką.

– Na Pana... – rzekł cicho technomag, unosząc brwi wysoko. Ruszyli powoli naprzód. – Jakim cudem, żeś ty to w ogóle przytachał?

– Wyruszyłem kilka godzin wcześniej – odparł Anarchijczyk, zaciskając zęby z uporem. – Nie miałem zresztą wyjścia. Potrzebuję tych rzeczy.

– Pozwól zatem, że ci pomogę... – Kaistlanin wyciągnął rękę w pomocnym geście.

– Nie trzeba... – Kupiec zacisnął silniej ręce na pakunkach, jakby miały dla niego niesamowitą wartość.

– Daj spokój. W ten sposób będzie szybciej.

– Weź więc mój plecak. – Podał się ostatecznie i podał mu obiekt ostrożnie. – Z samą torbą sobie jakoś poradzę.

– Ruchy – nakazała tymczasem przewodniczka, zdążywszy już ich wyprzedzić o pewną odległość. – I nie rozmawiać.

„To chyba nie będzie najprzyjemniejsza podróż...” pomyślał Enerion, spoglądając z westchnieniem w niebo.

Doliny, przełęcze, strome skaliste szlaki... trudno było zliczyć wszystkie miejsca, przez które przechodzili. Szczerze mówiąc bez przewodniczki, przybysze już kilkakrotnie by się zgubili, mimo że według map wystarczyło iść ciągle na północ. Góry Ankarii nie lubiły jednak ułatwiać podróży. Zakaz rozmawiania również nie poprawiał humoru, chociaż jak można się było tego spodziewać, szybko został złamany...

– Mam pełną świadomość... – Sacratus dyszał ciężko, stawiając kolejne kroki – ...że podróżowanie przez góry to jej codzienna praca. A jednak nie potrafię zrozumieć, skąd ona bierze tyle siły.

Kobieta rzeczywiście pokonywała kolejne przeszkody niczym górska kozica, a na jej twarzy nie widać było nawet śladu zmęczenia.

– Pewnie, zamiast ślęczeć nad masą kupieckich dokumentów lub technomagicznych ksiąg przez większość ostatnich lat machała tym swoim kosturem. – Enerion radził sobie o wiele lepiej z wędrówką od towarzysza. Był zresztą dużo młodszy. – Bo co innego miałyby robić w tych zapomnianych przez cywilizację górach?

– A ja wiem? Podziwiać widoki? Medytować na jakimś szczycie? Polować? Może cię to zdziwi, ale dla wielu osób zapuszczanie się tutaj to codzienność. Ba! Niektórzy nawet za to pła...

— Cisza — nakazała nagle przewodniczka. — Nie ruszać się. Coś jest nie tak...

Mężczyźni zatrzymali się natychmiast i poczęli rozglądać się dookoła w zdziwieniu. Okolice wyglądała jednak bardzo spokojnie. Znajdowali się w niewielkiej dolince, przez którą płynął wartki strumień. Po obu jego stronach rosły średniej wysokości iglaste drzewa, dość charakterystyczne dla górskiego środowiska. W niektórych miejscach natomiast wystające z ziemi skały uniemożliwiały roślinności całkowite zapanowanie nad obszarem. Na jeden z takich kamieni weszła właśnie kobieta, a następnie zmrużyła oczy podejrzliwie. Wciągnęła również głęboko powietrze.

– Przybyły do wodopoju... Najwyraźniej ranne... – wyszeptała z wyraźną nadzieją w głosie. – Bezimienny błagam, powiedz, że już sobie poleciały.

Nagle jednak rozległ się głośny skrzek i zza najbliższej skały wyskoczyła duża

skrzydlata bestia. Miała szare pióra zdobiące jej skrzydła i przednią część tułowia, lecz resztę pokrywało krótkie brązowe futro, lśniąco lekko w promieniach słońca. Głowę natomiast posiadała ptasią, z zakrzywionym wielkim dziobem, zdolnym zapewne do wyrywania mięsa bezpośrednio z ofiar. W powietrzu poruszała się nadnaturalnie szybko.

– Oczywiście, że nie. – Przewodniczka zacisnęła dłoń mocniej na kosturze. – Pod drzewa! Szybko! Zaraz będzie tu ich pełno. – Następnie zaś skoczyła naprzód, aby uniknąć spotkania z ostrymi jak brzytwa szponami.

Enerion otworzył szeroko oczy ze strachu, ale natychmiast przystąpił do działania. Wystrzelił do przodu, przeskoczył strumień i w try miga znalazł się w gęstym zagajniku pomniejszych drzew. Wówczas jednak spojrzał za siebie i zobaczył Sactarusa kuśtykającego ze swoją ciężką torbą. Kaistlanin załamany nieco uporem Anarchijczyka, z przerażeniem dostrzegł zbliżającą się bestię. Odruchowo wyrwał przywiązany do pasa terenator, wycelował, a następnie nacisnął spust. Błękitny magiczny promień wystrzelił ze specyficznym hukiem, ale minął cel o prawie metr. Na szczęście w tym samym momencie przewodniczka skoczyła na kupca, ratując go tym samym przed porwaniem w przestworza.

– Ruchy! – krzyknęła, wrywając mu gniewnie torbę. Kilka chwil później mężczyzna znajdował się już obok technomaga.

– Na Othras, coż to za stwory? – wysapał z przerażeniem, kurczowo trzymając się podłoża. Istot ciągle przybywało.

– Gryfy jak sądzę – odparł Kaistlanin wyjątkowo spokojnie, grzebiąc jednocześnie w swoim plecaku. Ostatecznie wyjął z niego dwa dziwne urządzenia. – Tylko jakieś takie... małe?

– To według ciebie są MAŁE?!

Tymczasem kobieta, wciąż przebywając na otwartej przestrzeni, wykonywała istny taniec. Nie sposób było zliczyć ile razy szybki skok czy przewrót ocalił ją od spotkania z jedną z dzikich bestii. Przewodniczka wyglądała jednakże na spokojną i skupioną, jakby doskonale wiedziała, co robi. Rzeczywiście, za każdym razem, gdy jedno z gryfiąt się do niej zbliżało, unikała w taki sposób, że zwierze nawet jej nie drasnęło. Chyba dobrze знаła przeciwnika...

– Nawet nie próbuje ich atakować – oznajmił Enerion, montując jedno z urządzeń na swoim przedramieniu. – Zamęczą ją w końcu. Hm... demonstrację sprzętu miałem przeprowadzić dopiero w Twierdzy, ale wygląda na to, że odbędzie się nieco wcześniej.

– Co robisz?! – zawołał Sactarus, gdy tylko jego towarzysz opuścił względnie bezpieczną kryjówkę.

– Zamierzam jej pomóc. Zostań tam!

Kaistlanin rzucił się naprzód biegiem i po chwili znalazł się na obszarze walki. Dopadł do przewodniczki i z silnym zamachem, wbił kolejne urządzenie w ziemię.

– Nie powinno cię tutaj być technomagu – zawołała kobieta, dzieląc najbliższego gryfa tępą częścią kostura. – Wracaj do Sactarusa.

– Nic z tego – odparł mężczyzna, a następnie wypalił trzykrotnie z terenatora do najbliższego przeciwnika.

– Przestań do nich strzelać! – Kobieta wytrąciła mu broń z ręki. – Nie widzisz, że i tak są już ranne?

Faktycznie upierzenie części napastników zabarwione było czerwienią krwi. Najwyraźniej podróżujący nie stanowili pierwszych przeciwników, z którymi mierzyły się gryfy w ostatnim czasie.

– I że niby co? Mamy się w ogóle nie bronić? Może jeszcze damy im się tak po prostu zjeść?

– Oczywiście, że nie ty niedouczony człowieku, musimy pokonać przewodnika stada!

– Aaa... – Enerion stracił większość swojej pewności siebie. – No dobrze, a który to?

– Nie sądzę, abyś potrafił rozpoznać...

Nagle jeden z większych gryfów zanurkował. Przewodniczka uskoczyła oczywiście natychmiast, ale w tym momencie z urządzenia wbitego wcześniej w ziemię wystrzeliła błękitna błyskawica. Napastnik oberwał srogo w skrzydło i zamiast poderwać się ponownie wyżej, zarył z wielkim impetem w najbliższą skałę. Polała się krew.

– Na Bezimiennego! Cóż to jest za ustrojstwo?

– Derinski netran automatyczny. Model EX12.

– A po ludzku?

– Hm... – Technomag zastanowi się chwilę. – Stacyjka obronna...?

– Cholerne kaistlanckie wynalazki... – Kobieta kopnęła urządzenie mocno, aż z brzękiem uderzyło o pobliską skałę.

– Co robisz na Pana?! Ty wiesz, ile to jest wart...

Głośny skrzek przerwał mu w pół zdania. W powietrzu pojawił się wyjątkowo majestatyczny gryf. Większość jego ciała była brązowa, pokryta dziesiątkami różnych blizn, świadczących o przebytych przez niego bojach, lecz skrzydła miał prawie zupełnie białe. Nie zaatakował tak jak pozostałe, ale zaczął krążyć powoli, jakby w oczekiwaniu na ruch przeciwnika. Reszta stada w uwadze obserwowała jego poczynania.

– Jest – oznajmiła przewodniczka, obwieszczając oczywistość. – Trzymaj się nisko. Zamierzam się z nim zmierzyć.

– Ale jak u licha chcesz...

Nie zdołał dokończyć. Kobieta zamknęła oczy, mrużąc coś pod nosem. Gdy zaś je otworzyła, jaśniały światłem. Machnęła ręką, a w powietrzu pojawiły się białe symbole, następnie wystrzeliła w powietrze, niesiona zaklęciem spaceru po świetle. Trudno określić kto był bardziej zdziwiony, Enerion, czy gryfi przewodnik stada, przed którym nagle pojawiła się groźna przeciwniczka.

Gryf silnym kłapnięciem potężnego dzioba spróbował złapać kobietę, lecz oberwał z nagłego jasnego rozbłysku. Wówczas najwyraźniej zupełnie stracił

orientację. Zatrzymał się w powietrzu i począł machać szponami na wszystkie strony, lecz czarodziejka z gracją unikała każdego ataku. Ostatecznie ponownie wystrzeliła do przodu i wbiła podłużne ostrze swojego kostura prosto w szyję przewodnika stada. Zwierzę zaskrzeczało rozpaczliwie, a następnie runęło w dół i z głośnym hukiem roztrzaskało się o ziemię. Na jego cielsku spokojnie wylądowała kobieta.

Wówczas stało się coś dziwnego. Pozostałe gryfy osiadły na ziemi jakby przestraszone. Następnie chyba najstarszy z nich podszedł do truchła przywódcy i trącił je dziobem. Kiedy jednak nie było reakcji, wyprostował się dumnie, a potem uklonił czarodziejce, która obserwowała wszystko z wyjątkowym spokojem.

– Żadne gryfie stado nie podda się – oznajmiła kobieta, obserwując, jak bestie odlatują – póki ich przewodnik nie zginie. Gdy to się jednak zdarzy, gryfy oddadzą cześć zwycięscy, a następnie odejdą, aby wybrać nowego przywódcę. – Westchnęła, kładąc dłoń na głowie pokonanego zwierzęcia. – Nie powinno ich tu być. Jest sezon lęgowy. O tej porze roku przebywają na północy. Sądząc jednak po liczebności, jak i ranach stada, zostały zapewne zaatakowane i zmuszone do migracji na południe. Mieliliśmy ogromnego pecha... One zresztą też.

Skończywszy monolog, otarła ostrze swojego kostura z krwi, a następnie zwróciła się do pozostałych.

– Wszyscy cali? Nie możemy marnować czasu, jeszcze długa droga przed nami i... – Zamarła. Enerion bowiem stał tuż obok z wycelowanym w nią urządzeniem, z którego strzelał wcześniej do gryfów. – A ty co robisz? – zapytała zdezorientowana.

– Co robię? – Kaistlanin przełknął ślinę nerwowo. – Jesteś czarodziejką.

– I co w związku z tym...?

– I co w związku z tym? Jak możesz w ogóle pytać? Magia jest zakazana pod groźbą kary śmierci! Zarówno w Nowej Anarchii, jak i w Królestwie Kaistlanckim.

– Aha... czyli co? Zmierzasz mnie zabić? – Głos kobiety wyraźnie podchodził pod kpinę.

Mężczyzna ponownie przełknął ślinę, jakby nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. Wówczas jednak podszedł do niego Sacratuś. Wyraźnie przestraszony kupiec zdążył pozbierać swoje rzeczy, zanim zorientował się w sytuacji.

– Em... Enerion. Może nie znam się za bardzo na prawie i w ogóle – rzekł nerwowo, spoglądając na przemian na czarodziejkę i technomaga – ale to chyba nie jest najlepszy pomysł. Wiesz... ona zabiła dorosłego gryfa.

– A ja to niby nie? – spytał Kaistlanin, wskazując na bestię trafioną przez jego „stacyjkę obronną”. Faktycznie zwierze nie podniosło się już ze zderzenia ze skałą.

– Nie w takim stylu jak ona, to na pewno.

– Dosyć tych bzdur – nakazała kobieta stanowczo. – Nie mamy czasu. Opuść swoją broń technomaga i zapomnijmy o sprawie. Musimy ruszać w dalszą drogę. Gryfy i tak nas spowolniły.

Mężczyzna zmrużył oczy uparcie, ale ostatecznie przypiął terenator z powrotem do pasa. Następnie podniósł z ziemi kolejne urządzenie i udał się po swój plecak.

– Mieliśmy faktycznie wielkiego pecha – stwierdziła czarodziejka spokojnie, spoglądając w kierunku wyjścia z doliny. – Ale to nie znaczy, że nie będziemy go mieli ponownie. Za mną.

Do zachodu słońca nie pozostało za wiele czasu.

Wysokogórski wiatr wiał, przepychając ogromne masy powietrza przez najróżniejsze jaskinie i inne wyżłobienia charakterystyczne dla tego obszaru świata. Powodowało to dziwne tony dźwięku, towarzyszące od czasu do czasu zmęczonym drogą podróżnikom. Dla Anarchijczyków natomiast te fragmenty melodii miały szczególną wagę. Na podstawie owej „*Pieśni Gór*” skomponowano przecież słynny Anarchijski Hymn Zwycięstwa. A przynajmniej tak mówiły legendy...

– A wiesz, że mógłbyś jej odpuścić? – Sacratus, choć wyraźnie coraz lepiej sobie radził, nadal miał problemy z utrzymaniem tempa. – Patrzysz na nią tym morderczym spojrzeniem od wczorajszego wieczora. To nie tworzy zbyt przyjaznej atmosfery...

– Nie można jej ufać — odparł Kaistlanin natychmiast, kładąc dłoń na uchwycie terenatora. — To czarodziejka.

– Ja mam imię, technomagu — rzekła kobieta, nakładając szczególny nacisk na ostatnie słowo. Wyprzedzała ich w zasadzie o prawie dwadzieścia metrów, ale najwyraźniej słuch miała znakomity. — Brzmi ono Anvena.

– Miło wiedzieć droga pani — odpowiedział Anarchijczyk, a następnie ponownie zwrócił się do pierwotnego rozmówcy. — No dobrze, ale... Jest naszą przewodniczką. I ocaliła nas od ataku gryfów. Chyba dowiodła, że jest godna zaufania.

– Żaden mag nie jest godny zaufania — odparował natychmiast Enerion z uporem. — Nie bez powodu w Nowej Anarchii i w Kaistlanii zakazano magii. Pod groźną śmierci, przypominam.

– Cóż... faktycznie. Lecz jeśli już chcesz tak bardzo przestrzegać prawa, zauważ iż nie jesteśmy w zasadzie ani na terenie Nowej Anarchii, ani Królestwa Kaistlanckiego. Zależnie od tego, które prawo uznasz, ta część Gór Ankarii należy albo do Mrocznego Cesarstwa, albo do Twierdzy Światła. A Warderlon nie zakazuje korzystania z magii. Nie wiem jak z Twierdzą co prawda...

— Również nie — wtrąciła krótko Anvena.

— Co pokazuje jedynie, że niektóre prawa powinny zostać dopracowane — skomentował Kaistlanin zgryźliwie.

— Jesteś naprawdę negatywnie nastawiony — podsumował Sacratus, marszcząc brwi. — Ale dlaczego? Przecież ty również używasz magii.

— MOJE MASZYNY używają magii. — Technomag uniósł palec w wyjaśniającym

geście. – Nie myl pojęć.

– A co za różnica?

– Maszyny nie mogą zostać spaczone przez magię.

– Nie mogą zostać jakie przepraszam? – Czarodziejka wyraźnie brzmiała na oburzoną.

– Nie odczuwają pokusy. Głodu mocy. Nie pragną więcej i więcej jak magowie.

– Kto ci takich bzdur naopowiadał technomagu? – Kobieta niemalże wybuchnęła śmiechem.

– I dlatego nienawidzisz czarodziejów? Bo pragną więcej mocy? – Anarchijczyk wyglądał na zdeorientowanego.

– To tylko jeden z powodów. Mógłbym je jednak wymieniać przez cały dzień.

– A jakiś taki... główny?

– Niech pomyślę... – Enerion zmierzwił swoje gęste jasne włosy. – Magowie mają... błędne podejście do magii.

– Wolę określenie „inne”, technomagu – ponownie wtrąciła się Anvena.

– Czyli błędne. Nie traktują magii wyłącznie jako narzędzia. Dla nich jest ona... czymś więcej. Pragną jej, pożądają... Więc ona ich wypacza, sprowadzając na mroczną ścieżkę. Z magią naprawdę nie można igrać Sacratucie.

– Nie zamierzam, lecz... jakoś nie przypominam sobie żadnego „spaczonego magią” czarodzieja.

– Nie...? W takim przypadku słabo znasz historię. Może więc zademonstruję na współczesnym przykładzie. Podaj dwa państwa, które obecnie chcą podbić cały świat.

– Mroczne Cesarstwo Warderlonu i Imperium Wyzwolonych? – Sacratuta wyglądał, jakby stracił orientację, w jakim kierunku zmierza ta dyskusja.

– Prawidłowa odpowiedź. I zupełnym przypadkiem Warderlon od zawsze korzysta z czarodziejów. Powiem więcej, oni otrzymali magię od swojego boga, kiedy ten po raz pierwszy nakazał im zdobyć cały Voimsis. Wyzwoleni natomiast? Z nimi jest jeszcze gorzej. Oni zostali STWORZENI przez czarodziejów. I teraz chcą zamienić wszystkich śmiertelników w nieumarłych. Tak to bowiem jest z magami. Wydają na świat kolejne zło. Demony, wyzwoleni, golemi... lista ciągnie się w nieskończoność. A teraz proszę, podaj mi dwa państwa, które usiłują za wszelką cenę powstrzymać te przed chwilą wymienione.

– Przychodzą mi na myśl więcej niż dwa.

– I chwała Panu. Pytam jednak o te najważniejsze.

– Królestwo Kaistlanii i Nowa Anarchia?

– Właśnie! – Enerion prawie wykrzyknął, co spotkało się z silną dezaprobatą Anveny. Kontynuował więc ciszej – I kolejnym zupełnym przypadkiem te dwa państwa pozbyły się magów i powierzyły badanie magii nam, technomagom. Technomagia jest bowiem bezpieczniejsza, nie wiedzie do spaczenia. Do zejścia na złą drogę. Rozumiesz już?

– Twoje rozumowanie jest błędne technomagu – wtrąciła się przewodniczka,

zanim rozmówca zdążył odpowiedzieć. – Kaistlania i Nowa Anarchia w momencie, gdy zakazały magii, skazały się jednocześnie na porażkę.

– A niby na jakiej podstawie tak twierdzisz? – spytał natychmiast Kaistlanin, ale nie otrzymał odpowiedzi. Kontynuował zatem – Jeżeli myślisz, że technomagowie nie poradzą sobie w walce z magami, jesteś w wielkim błędzie.

Kobieta ponownie milczała, jakby była zupełnie niezainteresowana dyskusją.

– Ale nie wszyscy magowie są źli – stwierdził ostatecznie Sacratuś. – Powiem więcej, nie wyobrażam sobie nawet, aby niektórzy mogli STAĆ SIĘ źli. Tacy uzdrowiciele przykładowo...

– Uzdrowiciele według prawa nie są magami, mimo iż używają magii.

– Coś samo sobie przeczy to wasze prawo – wtrąciła się jak zwykle Anvena.

– Ale to jedyny wyjątek. – Kontynuował niezrażony Enerion. – Nawet kapłani zrezygnowali z magii.

– Kolejny błąd.

– Pomyśl Sacratuś. Spróbuj przypomnieć sobie o każdym zagrożeniu, z jakim zmagał się świat. A następnie zastanów się, czy gdzieś przy jego powstaniu, nie było przypadkiem czarodziejów. Pomyśl tylko...

– Może i tak... – Anarchijczyk nie wydawał się jednak zbyt przekonany. – Lecz z drugiej strony... historia pamięta niezliczoną ilość magów, którzy byli bohaterami.

– Dziwnym trafem nie w Kaistlanii. – Kobieta wyraźnie czerpała radość z komentowania dyskusji. – Jak się nazywał ten Kaistlanin, który stworzył Wyzwolonych? Desson, prawda? Ciekawi mnie technomagu jak się czujesz z tym, że za powstaniem państwa, którego tak nienawidzisz, stoi twój rodak.

– On był magiem. Uległ spaceniu. Przecież od początku o tym mówię.

– Jeżeli przebijamy się na argumenty historyczne, to jako Anarchijczyk czuję się zobowiązany podać pewien kontrprzykład...

– Jako Anarchijczyk?

– Cóż... Anarchijczyk z Nowej Anarchii, która jest spadkobiercą Zjednoczonych Kolonii, które znowu były spadkobiercami Smokonii. W każdym razie, co ja miałem na myśli... A. Ciemne Dni Smokonii. Eksperymenty kaistlanckiego technomaga doprowadziły do wybuchu Wulkanu Płynnego Ognia i przemiany całej Smokonii w... bardzo nieprzyjazne środowisko. Czyli technomagowie też nie są bez winy.

– Smokoni sobie z tym jakoś poradzi... – Enerion nie wyglądał na przekonanego przykładem.

– Tak samo, jak świat ze „złem”, które według ciebie wywołali czarodzieje. – Sacratuś nie zamierzał dać za wygraną. – Dostrzegasz wady u swoich konkurentów, ale nie u siebie podobnych. Interesujące nieprawdaż?

– Wiesz co moim zdaniem, jest interesujące? – Twarz Kaistlanina nie zdradzała czy ten tok rozumowania wytrącił go z równowagi. – Fakt, że usilnie bronisz magów. Aż tak bardzo ich lubisz?

– On po prostu racjonalnie myśli. I bez uprzedzeń – wtrąciła się po raz kolejny

Anvena.

– Trudno mi powiedzieć, żeby specjalnie ich lubił, jednakże.... nie nienawidzę ich również. Staram się podchodzić do tematu neutralnie.

– Ale nie możesz się nie zgodzić, iż obecny stan świata to nie przypadek. I że rzeczywiście najbardziej kontrowersyjne kraje mają magów, a te usiłujące się im przeciwstawić, technomagów. Przecież od razu widać, iż coś jest na rzeczy.

– A Kael-Kirianie? Nadal korzystają z magii, a raczej nie sprzyjają ani Mrocznemu Cesarstwu, ani Imperium Wyzwolonych.

– Cóż, siedzieli na swojej wyspie przez ostatnie dwa tysiące lat, ignorując co się dzieje dookoła i nagle, kiedy sprawa zaczyna ich dotyczyć, bronią się. Może gdyby nie zajmowali się tą swoją magią, szybciej by zauważyli, iż należy reagować.

– Trudnisz się na darmo kupcze – rzekła Anvena, jakby wyczuwając, że Anarchijczyk zbiera się do kolejnego argumentu. – On jest wyraźnie zrażony do czarodziejów. Żadna dyskusja nic nie da.

– Możliwe... – odparł Sacratuś po dłuższej przerwie. – Tylko że ja nie najlepiej znoszę ciszę. Zwłaszcza w tak... wrogiej atmosferze.

No i zapadła oczywiście cisza. Przez kolejne minuty jedynym słyszalnym dźwiękiem było ciche dudnienie szybkich kroków całej trójki. Ostatecznie bowiem obu mężczyzn przyzwyczało się do prędkiego tempa przewodniczki i podróż przebiegała bardzo sprawnie, choć wciąż niezbyt przyjemnie. Szli bowiem głównie mało uczęszczanymi szlakami albo nawet na przełaj. Jedyne czym się mogli pocieszyć to fakt, że od czasu gryfów nie natrafili na żadne większe problemy.

Enerion zatrzymał się, widząc chwilowy postój przewodniczki, a następnie spojrzał na krajobraz przed sobą. Znajdowali się dość wysoko, więc widok naprawdę cieszył oczy. Zielone lasy porastające niższe partie gór, surowe i zimne górskie łąki, aż wreszcie ośnieżone szczyty, rzucające jakby wyzwanie obserwatorowi. Góry Ankarii zapierały dech w piersiach każdemu, kto miał choć trochę wrażliwości na piękno.

– W całym twoim rozumowaniu jest coś, co zupełnie je rozbija technomagu – przerwała jego rozmyślenia Anvena. – Tym czymś jest Twierdza Światła. Walcząca od setek lat z Mrocznym Cesarstwem, a mimo to wciąż akceptująca czarodziejów. Twoich kolegów po fachu zresztą również. I tam właśnie w tej chwili zmierzamy...

– Pf... – Kaistlanin prychnął nieprzekonany. – Sytuacja tak wygląda wyłącznie dlatego, że Twierdza Światła od wieków się izoluje. Nie była po prostu świadkiem okropności, jakie sprowadzili na świat magowie.

Przewodniczka zacisnęła mocnej dłoń na swoim kosturze, a następnie odwróciła się nagle do mężczyzny. Coś wyraźnie w niej pękło, bo w jej oczach płonął gniew.

– Dosyć! – Wycelowała kosturem w Eneriona. – Przez ostatnie godziny wyraźnie sprawdzałeś limity mojej cierpliwości, lecz w tym momencie się ona definitywnie skończyła. Ja mam to GDZIEŚ, rozumiesz? Mam gdzieś co sądzisz o magach i jak to motywujesz. Mam gdzieś, że ich nienawidzisz. Mam gdzieś, że u was używanie magii jest zakazane. Mam gdzieś, że w Kaistlanii wszyscy wolą

technomagię. Mam to wszystko na bogów w najgłębszym poważaniu! Jako szanująca się Anarchijka, pochodząca nie z Nowej Anarchii, a terenów obecnie okupowanych przez Mroczne Cesarstwo, doskonale znam historię swojego narodu i wiem, iż czarodzieje byli w niej obecni niemal od samego początku do samego końca. Ba! Nasz największy bohater narodowy Enerias Kazner, oby odnalazł pokój w zaświatach, używał magii! Ty zaś od samego początku nie robisz nic, tylko wszystko to krytykujesz i jedynie wyrażasz swoją pogardę! Powiem Ci coś i lepiej słuchaj mnie uważnie. Jesteś na terenie Twierdzy Światła, gdzie magowie są AKCEPTOWANI. I czy tego chcesz, czy nie, musisz to USZANOWAĆ. Usłyszę jeszcze jeden nieprzychylny komentarz na temat czarodziejów, a przysięgam, zostawię was tutaj na pastwę losu. I nawet nie myśl, że zdążacie mnie dogonić. Magowie tacy jak ja za dnia potrafią latać, w przeciwieństwie do tobie podobnych, technomagu.

Enerion przyjął ten wybuch ze słynnym kaistlanckim spokojem i miną niewyrażającą absolutnie żadnych emocji. Gdy zaś w końcu się zakończył, skomentował krótko:

– Uznaję ten wywód za dowód swojego zwycięstwa w dyskusji.

Bezbłędnie wyprowadzony prawy sierpowy trafił mężczyznę prosto w szczękę, przewracając go jednocześnie na ziemię.

— A ja uznaję ten komentarz za dowód twojej głupoty — powiedziała Anvena, a następnie bez słowa ruszyła w dalszą drogę.

Technomag usiadł, jednocześnie dokładnie obmacując dolną część swojej twarzy. Palce miał całe od krwi. Chwile później podszedł do niego Sacratuś.

– Nie mogę zaprzeczyć, to było widowiskowe – rzekł, spoglądając w kierunku oddalającej się kobiety. Następnie podał rozmówcy pomocną dłoń. – Nic ci nie jest?

– Chyba nie, aczkolwiek nasza przewodniczka jest wyraźnie czymś więcej niż tylko magiem. Żaden z moich znajomych, którym zdarza się ćwiczyć, nie potrafiłby wykonać takiego ciosu. No ale nic, chodźmy, zanim zniknie nam z oczu.

– Racja, lecz nie przejmuj się. – Anarchijczyk wskazał na zachodzące słońce. – Dzisiaj i tak nigdzie nie polecą. Chyba że chce rozbić się gdzieś w jakiejś dolince. Nie, żebym sugerował kontynuowanie dyskusji.

Enerion uśmiechnął się pod nosem, ale nic już więcej nie powiedział.

Ogień trzeszczał wesoło, pochłaniając kolejne porcje suchego drewna, przyniesionego wcześniej przez zmęczonych podróżą mężczyzn. Nie mieli oni co prawda ochoty przez prawie pół godziny włączyć się po okolicy w poszukiwaniu opału, ale przewodniczka twierdziła, że to ostatnia okazja na rozpalenie ogniska, zanim wejdą na obszar intensywniejszych działań wojennych. Woleli nie dyskutować.

– Co ty w ogóle niesiesz w tej torbie? – zapytał Enerion, obserwując, jak

rozmówca ostrożnie kładzie swój bagaż pod ścianą niewielkiej jaskini, w której się znajdowali. – W sensie ja wiem, że niektórzy uznaliby mnie za nienormalnego, bo niosę technomagiczne urządzenia, ale tak czy siak udało mi się zmieścić do jednego plecaka. Resztę rzeczy kupię albo dostanę na miejscu. Z kwaterą włącznie...

– Ty nie jesteś kupcem, usiłującym w dodatku ubić interes życia – odparł Sacratuś, siadając przy ognisku. – Uwierz mi, wziąłem tylko to, co niezbędne. Niestety sporo tego było.

– No ale co takiego? Próbki swoich towarów? Pieniądze?

– Dokumenty głównie. Jak już gildia podpisze umowę z Twierdzą Światła, transportem towarów zajmą się pomniejsi kupcy. Negocjacje muszę jednak przeprowadzić osobiście. Patrz, pokażę ci – tak rzekłszy, wyjątkowo ostrożnie wyjął z torby sporej wielkości mapę i począł ją rozwijać. – Konkurencją żadną nie jesteś, a i tak nie zdążyłbyś zwinąć mi okazji sprzed nosa.

– Góry Ankarii – oznajmił technomag, spoglądając na dość szczegółowy kawałek papieru. – Co z nimi?

– Tutaj – Wskazał palcem na zbiór wysepek na południu. – Jest Nowa Anarchia. Tutaj natomiast, Twierdza Światła.

– Znam geografię...

– Wiesz też z pewnością, iż Warderlon zniszczył wszystkie wioski, farmy i zabudowania otaczające Twierdzą Światła. Skąd więc zatem mieszkańcy Twierdzy otrzymują zaopatrzenie...?

– Od buntowników głównie – odparła Anvena, zanim rozmówca zdążył zareagować. – Na terenie anarchijskiej prowincji Mrocznego Cesarstwa wiele jest ośrodków buntu. Starają się one wspierać obłożonych. Oczywiście pozostaje też czarny rynek.

– Oba sposoby są niesamowicie drogie – wyjaśnił Sacratuś z czymś w rodzaju ekscytacji w głosie. Wyraźnie był w swoim żywiole. – Dlatego zaproponowałem Twierdzy inne rozwiązanie.

– Mianowicie?

– Transport towarów bezpośrednio z Nowej Anarchii.

– Przez góry? – Enerion pokręcił głową wąpiąco. – Nie ma szans. Koszty będą jeszcze wyższe. Obecnie powinienś już rozumieć dlaczego.

– Nie przez góry, lecz POD górami – wyjaśnił ponownie kupiec, wyciągając nagle zupełnie inną mapę.

– Przez... Teaderię? – zdziwił się technomag, doczytując napis. – I Teaderianie się niby na to zgodzą? Przecież czczą ciemność. Dlaczego mieliby pomagać Twierdzy Światła?

– Pomimo wspólnej wiary, nie popierają działań Mrocznego Cesarstwa. A interes to interes. – Wzruszył ramionami Sacratuś. – Udałem się zresztą do Teaderii i skontaktowałem z kilkoma znajomymi kupcami. Wyrażają wstępną zgodę i są w stanie załatwić transport.

– Byłeś w Teaderii?

– Oczywiście. To konieczne do zrealizowania przedsięwzięcia.

– I nie bałeś się... ja wiem... mroku?

– Jedyna rzecz, której naprawdę się boję to bankructwo.

– Widzę, że masz wyjątkowo krzywdzącą opinię o Teaderianach technomagu – wtrąciła ponownie Anvena, wciąż opierając się o ścianę jaskini. – Zupełnie jak o czarodziejach.

– Zarówno mój, jak i twój naród walczy z mrokiem Anarchijko – odparł Enerion, ignorując prowokację. – Zresztą jesteś czarodziejką światła. Myślałem, że akurat w tym się zgodzimy.

– Teaderianie są pokojowi nastawieni. Warderlon zresztą kiedyś proponował im dołączenie do Przymierza Ciemności, ale odmówili. Chcą po prostu żyć po swojemu. Nie potrafię ich za to winić.

– W każdym razie – kontynuował wywód niezrażony Sacratuś. – Z Teaderii można przekopać się bezpośrednio do Twierdzy Światła. Albo gdzieś w miarę blisko, jeśli oblężeni nie zgodzą się na takie ryzyko. A główne wejście do podziemnego państwa znajduje się gdzie? W Nowej Anarchii rzecz jasna! I w ten sposób zarabia Nowa Anarchia, Teaderianie i nasza gildia. A Twierdza Światła oszczędza. Wszyscy zadowoleni.

– Rzeczywiście... — Technomag podrapał się po brodzie w zastanowieniu. — Aż dziwne, że nikt na to nie wpadł.

– Bo cała Nowa Anarchia jest uprzedzona tak jak ty. Nie ufać Teaderianom. Oni z mroku. Walić kto z czego, liczy się zysk! Gdyby zresztą tego wymagali, mógłbym i wiarę zmienić na teaderiańską. Jak to oni mówią? Chwała Ciemności.

– Proszę nie. Jeszcze nasza przewodniczka zmieni zdanie i jednak nas nie zaprowadzi do Twierdzy Światła.

– W tej kwestii raczej ty odgrywasz kluczową rolę technomagu, a nie Sacratuś.

– Głos kobiety wyraźnie pobrzmiwał rozbawieniem.

Enerion ponownie zignorował komentarz i spojrzał z zamyśleniem na mapę.

– Skoro Twierdza Światła została pozbawiona terenów podległych... to skąd na Pana ma pieniądze na kupno zaopatrzenia?

– W zasadzie nie ma. – Kupiec wyglądał na wyraźnie rozbawionego miną technomaga. – W tym momencie drogi przyjacielu właśnie na scenę wchodzi polityka.

– Polityka? – Kaistlanin nie bardzo rozumiał.

– Kto rezyduje w Twierdzy Światła?

– Wielki Cesarz oczywiście.

– Właśnie... Wielki Cesarz. Przysłowiowe przeciwieństwo Mrocznego Cesarza. I faktycznie nie ma on pieniędzy. Ani siły militarnej zdolnej zagrozić Warderlonowi, dlatego zresztą znajduje się w defensywie. Posiada jednak coś innego, siłę polityczną. Siłę wiary pospolitych ludzi.

– „I choćbym szła ciemną nocą, bez blasku księżyca, wiary swej nie stracę, bo światło nadziei wciąż jaśnieje wśród mroku” – zacytowała Anvena wyjątkowo

melodyjnym głosem. – Możecie nie wiedzieć, jak wygląda życie w anarchijskiej części Mrocznego Cesarstwa. Jak ciężko walczącym o wolność buntownikom nie utracić wiary. Patrzą jednak oni codziennie na wschód słońca i wiedzą, że gdzieś tam wciąż stoi Twierdza Światła. Ostoja Nadziei. I że niegdyś, prawie dwa tysiące lat temu, była już sytuacja, w której Warderlon usiłował podbić cały świat. I wówczas Wielki Cesarz bronił się wytrwale, nie ugiąwszy nawet na chwile kolana przed wrogiem. Aż wreszcie potęga Warderlonu została złamana przez Eneriasa Kaznera. I jak sądzisz, o czym myślą ci wszyscy ludzie? Kaistlanccy żołnierze walczący na linii frontu... Anarchijczycy z Nowej Anarchii, usiłujący się podnieść z wojny domowej, na której stracili tyle czasu... Buntownicy wychodzący z domu z nadzieją, że kolejnym dniem nie zostaną złapani przez okupantów... Wszyscy myślą o tym samym. Pewnego dnia potęga Mrocznego Cesarstwa zostanie złamana i póki Twierdza Światła trwa, nie należy tracić na to nadziei.

Zapadła chwilowa cisza, przzerwana ostatecznie chrząknięciem Sacratusa.

– Ekhm... tak. Przechodząc natomiast do nieco mniej ideowego podejścia, zarówno Królestwu Kaistlanckiemu, jak i Nowej Anarchii, którzy przecież aktywnie walczą z Mrocznym Cesarstwem, bardzo zależy na tym, aby Twierdza Światła pozostała niezdobytą. Dlatego opłacają wszelkie jej długi. Nie mówiąc już o tym, iż jeżeli Wielki Cesarz zostanie pokonany, teoretycznie zarówno Kaistlanie, jak i Anarchijczycy stracą korony królewskie. Bo otrzymali je od Wielkiego Cesarza właśnie.

– Dlatego są gotowi zapłacić za wszystko, czego Twierdza Światła potrzebuje do przetrwania oblężenia... – Enerion pokiwał głową ze zrozumieniem. – Brzmi sensownie.

– I dochodowo. To jeden z powodów, dla którego uwielbiam dobijać interesy z desperatami – rzekł Sacratuś, ostrożnie pakując mapy z powrotem do torby. – Są gotowi zapłacić niewyobrażalne pieniądze za pomoc.

– Desperatami? – Anvena uniosła brwi najwyraźniej zdziwiona określeniem.

– No... przegrają. Twierdza Światła pociągnie jeszcze pewnie z pięćdziesiąt lat... idealnie, aby handel z nią przyniósł wymierne korzyści, ale definitywnie przegrają. Potem oczywiście przyjdzie kolej na Kaistlanie i Nową Anarchię.

– A skąd niby taki wniosek? – Enerion był nie mniej zaskoczony niż Anarchijka.

– Z logicznego myślenia? – Sacratuś wzruszył ramionami, ale widząc ich zdziwione miny, westchnął i ponownie wyciągnął mapę. – Podczas zakładania odrodzonego Przymierza Ciemności warunki zostały ustalone dość jasno. Do Mrocznego Cesarstwa należą wszystkie kontynenty, a do Imperium Wyzwolonych wszystkie wyspy. Mroczny Cesarz i Księżycowa Pani doszli do porozumienia. Z tego powodu Warderlon usiłuje przecież zdobyć Twierdzę Światła, która jest ostatnim miejscem oporu na kontynencie Nastilia. I dlatego wypowiedział wojnę Kaistlanii, do której należy kontynent Kahvel. Imperium Wyzwolonych natomiast, gdy tylko skończy mordować Shandarian, natychmiast zajmie się kolejną wyspą. Albo Kael-Kirią, albo Nową Anarchią. Bez wsparcia Anarchijczyków Twierdza Światła upadnie niemalże od

razu.

– Wiesz... mój wcześniejszy wywód miał głównie na celu pokazanie, że jest jeszcze nadzieja. – Głos Anveny przesycony był dezaprobatą. – Widzę jednak, że nie do końca się udało.

– Sam jestem zaskoczony, że to mówię – wtrącił Enerion, grzebiąc przy jednym ze swoich urządzeń. – Ale wyjątkowo zgadzam się z czarodziejką.

– Ależ nie musisz się aż tak poświęcać technomagu... – odparowała kobieta rozbawiona.

– Nadzieja...? Nadzieja jest matką głupców. Wolę polegać na logicznej analizie...

– Którą dokonujesz błędnie – przerwał mu Enerion natychmiast. – Kaistlania i Nowa Anarchia, wciąż mają szansę na zwycięstwo.

– Ach tak? W takim przypadku przeanalizujmy historię, bo widzę, iż w tej dziedzinie wasza pamięć nieco zawodzi. Siedemset lat temu każdy naród posiadał swoje ziemie i nie rościł sobie praw do innych. W końcu jednak się zaczęło. Najpierw Mroczne Cesarstwo podbiło Kalwador, następnie, trzysta lat później, Królestwo Anarchijskie oraz Zjednoczone Kolonie. Podczas upadku tych ostatnich, wymordowani zostają również wszyscy Smokoni. Cała rasa z głowy. Ale na tym nie kończą się zapędy Mrocznego Cesarstwa. Następni padają Lenariolenci. Buntują się kilkakrotnie, więc ostatecznie okupanci uznają, że nie da się ich kontrolować. Zabijają zatem wszystkich i przesiedlają tam ludzi. Następni są Khari. Analogicznie nie chcą współpracować, więc i ich Warderlon wymazuje z kart historii. Wówczas do zabawy dołącza Księżycowa Pani ze swoim Imperium Wyzwolonych. Podbija Ezestę i Danarin. W tym czasie Mroczne Cesarstwo zdobywa Algabior. Na całej Nastilii wolna pozostaje jedynie Twierdza Światła, kolejny cel podboju Warderlonu. Rozpoczyna się oblężenie. W tym czasie Imperium zdobywa Dargerion i Naitlandię. Mroczne Cesarstwo jeszcze w międzyczasie wymordowuje Daraheńczyków, wpuszczając do ich podziemnego krasnoludzkiego królestwa trujący gaz. Docieramy do chwili obecnej, w której wyzwoleni atakują Shandarię a Warderlon Kaistlanię. I myślicie, że nagle tak wszystko się zmieni? Że te dwa państwa jakimś cudem pokonają najeźdźców? Nie możecie być aż tak naiwni!

– Wiesz... pominąłeś w zasadzie wszystko, co w tym czasie robiły inne narody...

– Enerion zmarszczył brwi niezadowolony. – Niektóre usiłowały się jednoczyć przeciwko rosnącej potęgze wroga.

– Ach tak... Kaistlanie, Anarchijczycy i ich Stary Sojusz. Naprawdę myślisz, że dadzą sobie radę? Pokonali Tokirian faktycznie, ale Mroczne Cesarstwo jest o wiele silniejszym przeciwnikiem. Na nim jakaś tam drobna koalicja nie robi wrażenia.

– Hej. – Technomag niemalże podniósł głos. – Ale Stary Sojusz to ty szanuj.

– Ach wybacz... Kaistlanin wychowany w Nowej Anarchii. Faktycznie idealny zwolennik tego przymierza.

– Możesz sobie żartować kupcze. – Anvena przywołała niewielką kulę światła.

– Lecz dla wielu osób odnowienie sojuszu, zawartego przed siedemnastoma wiekami

przez Eneriasa Kaznera i Ariona Wyzwolicieła, jest dowodem na to, że Warderlon ponownie zostanie powstrzymany.

– Ależ dajcie spokój... Co to da? – Sacratus wytrwale bronił swoich poglądów. – Kaistlania może faktycznie jest dość silnym państwem, ale Nowa Anarchia? Ledwo własną wojnę domową potrafiła zakończyć. Ogłaszanie kolejnych niemalże losowych władców też nie wyszło jej na zdrowie.

– Przesadzasz – rzekła czarodziejka, kręcąc głową powoli. – Wojnę domową zakończono, a obecny król jest już z linii Kaznerów.

– Co tylko pogarsza sprawę...

– Słucham? – zdziwiła się szczerze kobieta. – Kaznerowie to ród królewski. Zasadniczo tylko oni mają prawdziwe prawo do tronu.

– Prawo może i mają. Ale nie sądzę, aby sytuację mogła naprawić osoba z rodu, którego założyciel całą sytuację spowodował.

– Zgubiłem się – oznajmił zdezorientowany Enerion, drapiąc się po głowie.

– Ja też. Założycielem rodu Kaznerów, a przynajmniej królewskiej linii był przecież Enerias Kazner, a on...

– ...spowodował obecny stan rzeczy – dokończył za nią Sacratus, a następnie dodał, widząc jeszcze bardziej zdezorientowane miny rozmówców. – Pomyślcie. Srebrzysty Wojownik wyzwolił Anarchijczyków spod okupacji. Zakończył okres rządów Warderlonu i rozwinął Cesarstwo Anarchijskie do rangi najpotężniejszego państwa na świecie. A następnie, zamiast korzystając ze zdobytej potęgi, raz na zawsze pokonać narody mroku, co zrobił? Nic! Bo „Kraje ciemności nie są z natury złe, należy dać im szansę”. Bogowie, jak można być tak naiwnym?! Przecież to OCZYWISTE, iż Warderlon przeczeka okres świetności swojego przeciwnika, a następnie, gdy tylko nadarzy się dobra okazja, wróci do podbojów. I tak się oczywiście stało. Enerias Kazner zginął, Królestwo Anarchijskie pogrążyło się w wojnie domowej i natychmiast Mroczne Cesarstwo ponownie rozpoczęło wdrażanie swoich planów militarnych. Przecież od samego początku dało się to wszystko przewidzieć! Jednak Srebrzysty Wojownik wolał w swej naiwności wierzyć w cudowne nawrócenie przeciwnika... Głupiec. W skrócie, czy tego chcemy, czy nie, cała obecna sytuacja jest winą Eneriasa Kaznera. Mógł jej zapobiec, lecz nie zrobił nic. I dlatego twierdzą, że jego dziedzic nie jest dobrym kandydatem na tron Nowej Anarchii.

– Ja mam dość – oznajmił Kaistlanin, który przez cały wywód patrzył jedynie na rozmówce z rosnącym niedowierzaniem. – Oficjalnie i z własnej woli poddaję się oraz opuszczam tę dyskusję.

– W życiu nie słyszałam większych bzdur. – Twarz Anveny pełna była konsternacji. – Nawet nie wiem, od wytknięcia którego błędu zacząć.

– Od żadnego. Bo żadnego błędu nie ma.

Zapadła krótka cisza, przzerwana ostatecznie ciężkim westchnieniem Anveny.

– To nie na moje siły – stwierdziła, machnąwszy ręką z rezygnacją. – Jedno jednak mnie ciekawi. Opowiedziałeś o tych wszystkich okropieństwach, których

dopuścić się Warderlon i Imperium. Oraz o obecnej sytuacji na świecie. Lecz w twoim głosie nie pojawił się nawet cień strachu, smutku czy... hm... dezaprobaty. Jesteś... obojętny kupcze.

Mężczyzna wzruszył ramionami lekceważąco.

– Niewiele mogę w tej kwestii zrobić więc... faktycznie niespecjalnie się przejmuję. Zresztą, jeżeli Mroczne Cesarstwo podbije cały świat, nadal będzie potrzebować kupców. Więc znajdzie się dla mnie praca.

– I zupełnie ci nie będzie przeszkadzało, jakich czynów dopuścili się ludzie, którzy stoją u władzy?

– Droga czarodziejko... – rzekł Sacratuś z czymś w rodzaju smutnego uśmiechu.

– Myślę, że w obecnej sytuacji wszyscy już dawno powinniśmy dojść do jednej konkluzji. Ktoś tę wojnę wygrać musi, a nie wierzę, iż będzie to Kaistlania i Nowa Anarchia. Jedynym sensownym pretendentem jest Mroczne Cesarstwo lub Imperium Wyzwolonych. I teraz zastanów się dobrze. Lepiej jest żyć pod władzą Mrocznego Cesarstwa, czy być martwym pod władzą Imperium Wyzwolonych?

Zapadła cisza. Anarchijka milczała.

– Cóż... dla mnie wybór jest prosty – podsumował kupiec spokojnie. Następnie położył się na ziemi, opierając głowę na swojej torbie. – Ja również mam dosyć na dzisiaj tej dyskusji. Może ktoś ma inny temat do zarzucenia?

– Ja w zasadzie – stwierdził Kaistlanin, spojrzawszy na przewodniczkę. – Jeżeli tak bardzo nie chcesz, abym krytykował magów, czemu mnie ciągle prowokujesz?

– Co? – zdziwiła się czarodziejka, a następnie spojrzała na swoją dłoń. – Ach, masz na myśli przywołane światło?

– Nie tylko, ale między innymi.

– Jesteś Kaistlaninem, akurat światło nie powinno ci przeszkadzać. Używam go do rozświecania mroków nocy.

– „Światło” mi nie przeszkadza. – Technomag zwęził usta niezadowolony. – Ale nie takie światło. Nie przywołane przez magię.

– Ale to najprawdziwsze światło – oznajmiła Anvena z czymś w rodzaju melancholii w głosie. – Dane nam przez Bezimiennego. Jaśniejące w naszych sercach. Jedyne światło będące w stanie pokonać najgłębsze ciemności. – Tak rzekłszy, rzuciła świecącą kulę w stronę rozmówcy.

Enerion podskoczył jak oparzony, a następnie zrobił odruchowy unik.

– Dosyć – oznajmił, widząc, że czarodziejka sobie z nim igra. – Idę się przejść.

– Tak po ciemku? – zapytała kobieta kpiąco. – Bez... światła?

Technomag w milczeniu wyjął z plecaka technokular, a następnie założył go sobie na oko.

– Myślę, że sobie poradzę – rzekł w końcu i wyszedł z jaskini.

Nocna wizja prezentowana przez urządzenie czyniła świat niemal zupełnie szarym, różniącym się miejscami jedynie głębią i odcieniem. W porównaniu jednakże do mroku bezksiężycowej nocy widać w niej było zaskakująco wiele. Enerion szedł przez wysokogórską łąkę, starając nie oddalać się za bardzo od obozu. Kto wie jakie

istoty czały się w okolicy. Musiał jednak odetchnąć w samotności, bo obecność dwójki towarzyszy podróży coraz bardziej go męczyła. Stał ostatecznie zasadniczo pośrodku niczego, a następnie odpiął od pasa terenator i obejrzał go dokładnie.

Ten rodzaj maszyny był podstawowym wyposażeniem technomaga. Wraz z technokularem stanowił fragment ikonowej wizji całej profesji. Niestety modele różniły się użytecznością, która zresztą w pełni zależała od umiejętności posługiwania się nim w walce. A tę Enerion niespecjalnie posiadał. W końcu do jego zadań należało tworzenie maszyn, a nie ich codzienne używanie. Podstawowe testy jednakże potrafił wykonać.

Mężczyzna nacisnął naraz dwa przyciski na urządzeniu, otwierając tym samym magazynek. Dwa z trzech fragmentów endrogetu mieniły się na fioletowo. Trzeci wyglądał jak zwykły kawałek żelaza.

– Deniquate – zaklął Kaistlanin z niezadowoleniem i wyjął wyładowany materiał energetyczny. – Dwieście brzązków w plecy i to zapewne na mój koszt. Cholerne gryfy.

Zamknął niewielką maszynę, a następnie zrezygnowany wykonał krok do przodu. Zamiast jednak poczuć opór twardego podłoża, noga zapadła mu się pod ziemię, pociągając go natychmiast za sobą. Mężczyzna krzyknął przeraźliwie, próbując powstrzymać swój upadek, ale było już za późno. Z głośnym hukiem wylądował na dnie dziwnego dołu. Zerwał się natychmiast na równe nogi, tylko po to, aby zobaczyć, iż otacza go masa uzbrojonych szkieletów.

– Na Pana! – wykrzyknął przerażony, a potem z całej siły uderzył w urządzenie tkwiące mu na ramieniu od czasu walki z gryfami. Maszyna zaświeciła jasnym światłem, a następnie zaczęła wydawać niski buczący dźwięk. Technomag w tym czasie podniósł z ziemi terenator, który mu wypadł podczas lodu, a następnie wypalił w najbliższego szkieleta. Przeciwnik został na miejscu z węglony.

– Enerion! – rozległ się głos z góry. – Jesteś tam?!

Kaistlanin spojrzał natychmiast w tamtym kierunku i ujrzał zbliżające się światło przewodniczki.

– Tak! Ale pełno tutaj nieumarłych!

– Jakich nieumarłych... – Głowa Anveny pojawiła się w otworze, przez który technomag wpadł do środka. – Ruszają się?

– W sumie... – Przyjrzał się dokładniej przeciwnikom. – W sumie to nie.

– Na Bezimienego, gdzie się podzieli wszyscy odważni mężczyźni...? – westchnęła kobieta, a następnie rzuciła mu linę. – Łap. Wyciągniemy cię. Ciągnij Sacratuś.

– Staram się...

Po chwili Kaistlanin znowu znajdował się na górze. Odetchnął z ulgą.

– Dzięki... wybaczenie. Spanikowałem – rzekł nieco zawstydzony własną reakcją.

– Trauma z dzieciństwa.

– Ale wiesz, że świecisz?

– Co? A... – Nacisnął ponownie przycisk na maszynie z przedramienia. –

Zapomniałem. Już.

– Kolejne ustrojstwo?

– Taak... Wysysa energię magiczną z powietrza, w konsekwencji osłabiając czy nawet zabijając pobliskich nieumarłych. Dzieje się tak, bo...

– ...bo one potrzebują magii do życia. – Dokończyła za niego czarodziejka. – A zatem tak technomagowie radzą sobie bez śmiercionośnego dla nieumarłych magicznego światła. Sprytne.

– Mnie raczej ciekawi co to u licha jest – rzekł Sacratuś, wskazując na dziurę w ziemi.

– Znak, że zbliżamy się do Twierdzy Światła. Skutek wieloletnich działań wojennych – wytłumaczyła czarodziejka, komenderując jednocześnie powrót do obozowiska. – Wielu żołnierzy przybyło zarówno bronić, jak i zdobywać Twierdzę. Równie tyle zginęło, próbując. Z tego powodu cmentarze są tam przepełnione. Obecnie grobów jest pewnie wielokrotnie więcej niż samych mieszkańców. Już wiele lat temu zaczęto więc chować zmarłych poza murami fortecy. Było ich po prostu za dużo.

– A... to byli nasi czy... – Enerion nie bardzo wiedział, jak powinien zapytać.

– Skąd mam wiedzieć? Chowane w ten sposób są obie strony. Każdy przecież zasługuje na grób, chociażby taki. A właśnie... – rzekła, kiedy na powrót już znaleźli się przy ognisku. – Moim zdaniem dość już przygód i kłótni na dzisiejszą noc. Proponuję iść spać.

– Ponownie, wyjątkowo się z tobą zgadzam.

Ogień trząsał radośnie, zupełnie nie przejmując się wydarzeniami z ostatnich godzin...

Enerion otworzył oczy, otrząsając się jednocześnie z nieprzyjemnego snu. Nie pamiętał, w zasadzie co właściwie mu się śniło, ale do miłych to nie należało. Spojrzał z roztargnieniem na dogasające ognisko, a następnie na zewnątrz jaskini. Wciąż trwała jeszcze noc, choć do świtu zapewne nie zostało zbyt wiele czasu. Odwrócił się więc na drugi bok z zamiarem ponownego zaśnięcia, lecz wtedy spostrzegł, że w obozie nie ma przewodniczki. Wstał więc powoli i rozejrzał się z niepokojem. W jaskini znajdował się jednak jedynie on i Sacratuś.

Już miał budzić towarzysza podróży, kiedy usłyszał delikatny szept dochodzący z zewnątrz. Rozpoznawszy bez problemu Anvenę, zbliżył się do wyjścia z jaskini, aby słyszeć wyraźniej, lecz wciąż nie pokazywać się w zasięgu jej wzroku. Kobieta klęczała przed przywołanym źródłem światła, trzymając jednocześnie w dłoniach srebrny wisiorek.

– ...wybacz błędy popełnione przez twą wierną służkę... – szeptała w wysokim

skupieniu – oraz natchnij ją siłą i mądrością, aby potrafiła odnaleźć właściwą drogę. Broń mnie proszę od złego oraz przyjmij do siebie wszystkich, którzy odeszli z mojej winy. Miej w swej opiece Ostoję Nadziei oraz ludzi tam mieszkających, z niepokojem patrzących w przyszłość.

Uniosła wyżej medalik. Mężczyzna natychmiast rozpoznał charakterystyczny wzór przedstawiający białego mężczyznę z kosturem.

– Bezimienny, panie światła i życia – kontynuowała niezrażona Anvena – wybacz Sacratutowi utratę wiary, a także wspomóż go w próbie, aby zdołał pokonać otaczające go ciemności i powrócić na stronę światła. Pokaż mu siłę nadziei, aby więcej nie musiał się lękać i ukrywać za płaszczem kupieckiej żądzы pieniędzy. Spójrz również życzliwym okiem na zapalczywego technomaga Eneriona. Ześlij na niego dar zrozumienia oraz nie pozwól, aby światło jaśniejące w jego sercu kiedykolwiek wygasło. I miej nas wszystkich w swojej opiece.

Kaistlanin westchnął cicho, a następnie podszedł do swojego plecaka i wyjął z niego inny srebrny medalik. Przedstawiał on młodą kobietę, z białymi niczym śnieg skrzydłami. Potem wyszedł z jaskini.

– ...oszczędź życie tych, co zbłądzili i pozwól im odnaleźć światło... – kontynuowała czarodziejka, lecz przerwała nagle, widząc zbliżającego się do niej technomaga. – Jestem zajęta – rzekła z niezadowoleniem. – Czy naprawdę człowiek nie może mieć choć chwili prywatności?

– Wiesz... – rzekł Enerion, stanąwszy tuż obok rozmówczyni. – W Kaistlanii wyobrażamy ją sobie jako kobietę. Bezimienną, nie Bezimiennego.

Przewodniczka spojrzała na mężczyznę dziwnym wzrokiem, lecz w końcu odparła spokojnie.

– Wiem. To z powodu waszej bohaterki prawda? Verinii?

– „*Matko ubogich, strażniczko cierpiących, ciemność wypłacze twe imię. Spójrz na wschód, decyzja niełatwa. Oddaj swe życie, by stać się dzieciem światła*” – wyrecytował Kaistlanin, gładząc w dłoni amulet. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Nigdy się na tym nie zastanawiałem. Tak po prostu... jest. Bezimienna.

– Czego chcesz technomagu? – spytała kobieta, spoglądając dziwnym trafem właśnie na wschód. – Bo nie uwierzę, że zamierzasz się modlić wraz ze mną.

– Właściwie... – Mężczyźnie ciężko przychodziły słowa. – Właściwie to chciałem przeprosić. Za swoje słowa. I zachowanie. Powinienem szanować poglądy innych. Chyba za długo przesiadywałem wyłącznie wśród technomagów.

– Skoro Bezimienny już ci to wybaczył, ja również tak postąpię. — Kobieta nie wyglądała na zdziwioną, co wydawało się nieco zagadkowe. — Zresztą sama też byłam uprzedzona. Cieszy mnie, że odnalazłeś zrozumienie.

– No już nie bądź taka wspaniałomyślna – odparł Kaistlanin, nie bardzo wiedząc jak odpowiedzieć. – Nadal przecież uważam, iż magia powinna być zakazana. Po prostu rozumiem, że inni mogą myśleć inaczej i nie zamierzam więcej nikogo z tego powodu piętnować.

– Cóż... jak sądzę, nie mam co liczyć na więcej...

– Weź jeszcze to, w ramach przeprosin – rzekł krótko i podał jej swój wisiorek.

– Twoją figurkę Bezimiennej? – Przyjrzała się zdziwiona niewielkiej skrzydlatej kobiecie. – To chyba dość osobisty przedmiot...

– Nie dla mnie. Nigdy nie byłem specjalnie religijny, choć znajomi z uniwersytetu mnie w tej kwestii przebijają... Zostałbym wyśmiany, gdyby zobaczyli ten wisiorek. W każdym razie... mam wrażenie, że zrobisz z niego lepszy użytek. Będiesz nosiła przy sobie zarówno kaistlancką, jak i anarchijską wersję naszego Boga. Nie wiem, czy to pomaga w wierze, ale na pewno nie szkodzi.

Anvena wzięła do ręki figurkę, a następnie przyjrzała się jej dokładnie. Wisiorek wydawał się dość stary, bo na niegdyś gładkiej powierzchni, dało się zauważyć liczne rysy.

– Dobrze więc technomagu, zaopiekuję się nim. Jeżeli jednak odzyskasz w przyszłości wiarę, przyjdź do mnie, a ci go oddam.

– Nie sądzę, aby wydarzył się ten cud...

– Tak to już z cudami bywa. Są raczej niespodziewane.

– Niech ci będzie – odparł Enerion, ruszając ponownie w stronę obozowiska. – Nie przeszkadzam już więcej. Spróbuję jeszcze zasnąć.

Czarodziejka natychmiast wznowiła modlitwę.

Mrok spowijał niezdobyte góry, sprawiając, iż orientacja w terenie stawała się niesamowicie trudna. Przewodniczka uparła się jednak, iż ostatni odcinek drogi, dla bezpieczeństwa muszą przebyć w nocy. Enerion nie widział co prawda w tym żadnego sensu, skoro przywołana przez kobietę kula światła była wyraźnie widoczna z ogromnej odległości. Nie zamierzał się jednakże kłócić. Póki co zresztą szli bardzo wąską doliną, więc osłaniały ich ogromnej wielkości skały.

Sacratus trzymał się jak najbliżej Anveny, aby nie potknąć się z powodu ciemności. Enerion natomiast, korzystając z technokulara, zamykał szereg, rozglądając się ciągle na wszystkie strony. Znajdowali się przecież na terenie działań wojennych, należało więc zachować czujność. Nawet jeśli działania te były podobno obecnie zawieszone.

– Przygotujcie się... – rzekła kobieta cicho, wyraźnie zbliżając się do ujścia dolinki. – Większości zapiera bowiem dech w piersiach.

Wyszli na otwartą przestrzeń i natychmiast zatrzymali się, olśnieni widokiem. Przed nimi, zapewne kilkaset metrów niżej, znajdowała się wyjątkowo wysoka góra, jaśniejąca dziesiątkami światła. Zbocze owego szczytu do pewnego poziomu wydawało się niemal pionowe, jakby ktoś ręcznie je wyrzeźbił, tworząc w ten sposób naturalny mur miasta. Powyżej jednak wzniesienie pięło się już łagodnie, umożliwiając mieszkańcom stawianie kolejnych budynków. Pokrywały one niemal

całą powierzchnię.

– Sama twierdza jest oczywiście wewnątrz – oznajmiła Anvena spokojnie, patrząc z uśmiechem na światła w oddali – Więc widzicie jedynie samo miasto na szczycie.

– Wewnątrz? – zdziwił się Sacratuś podziwiający miejsce z zachwytem.

– Tak. Powstała na Ruinach Pradawnych. Dlatego zresztą tak trudno ją zdobyć. Jest na odludziu, otoczona trudnym terenem, wewnątrz ogromnej góry i zbudowana przez istoty o wiele bardziej zaawansowane magicznie niż my. Warderlon wielokrotnie sprowadzał tutaj zarówno swoją armię, maszyny oblężnicze, jak i czarodziei, ale do tej pory niewiele wskórał.

– Miasto jednakże wydaje się wyjątkowo narażone na ataki... – stwierdził Enerion z zastanowieniem. – Szczególnie te z powietrza.

– Faktycznie, ale broni go zakon Władców Przestworzy. Widzieliście kiedyś zielonego smoka?

– Tylko na fladze Nowej Anarchii...

– Cóż, osłaniają mieszkańców z powietrza. W razie problemów oczywiście miasto bywa również ewakuowane.

– Ile nam zajmie dotarcie tam? – zapytał Sacratuś, wciąż głównie zainteresowany realnymi sprawami.

– Kilka godzin. Za mną.

Ruszyli dalej. Teren zrobił się bardzo niebezpieczny. Szlak, choć wyraźnie zaznaczony, wił się wśród skał i zahaczał często o wysokie przepaście. Podróżujący usiłowali więc stąpać bardzo ostrożnie. No może z wyjątkiem Eneriona. Ten wciąż zapatrzony był w widniejące w oddali miasto. Na szczęście umieszczone na jego oku urządzenie dawało mu sporą przewagę nad pozostałą dwójką.

W pewnym momencie Anvena zatrzymała się z niepokojem. Nakazała niemym znakiem milczenie i zgasiła światło. Technomag również zaniepokojony, obserwował otoczenie, nie ruszając się z miejsca. Napięcie rośnie. Enerion usiłował odczytać z twarzy przewodniczki, o co dokładnie chodzi, lecz niewiele z tego wyszło. Spojrzał więc na Sacratusa. I wówczas z przerażeniem zdał sobie sprawę, iż mężczyzna zapewne ze strachu wykonuje drobne kroki do tyłu, zbliżając się do skraju przepaści. Zareagował natychmiast.

– Sacratuś, stój! – wykrzyknął, ignorując nakaz czarodziejki, a następnie skoczył do przodu, idealnie w momencie, w którym kupiec jedną nogą wystąpił ze ścieżki.

Anarchijczyk stracił równowagę i już miał spaść, kiedy został złapany za ubranie przez technomaga. Wisząca jednakże na jego ramieniu torba podskoczyła od silnego szarpnięcia, uwolniła się i runęła niepowstrzymanie w dół.

– Nie! – wykrzyknął Sacratuś przerażony, gdy ponownie pojawiło się światło i nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, ruszył biegiem w stronę najbliższego mniej stromego zbocza.

– Zostań! – zawołała za nim wściekle Anvena, ale ten zignorował polecenie. – To nie najlepszy moment!

Enerion natychmiast dopadł do skraju urwiska i usiłował dojrzeć towarzysza podróży wśród roślinności i skał. Pierwsze jednakże co zobaczył, to jego torbę, leżącą kilkanaście metrów niżej. Z powodu uderzenia, sporej wielkości pakunek otworzył się zresztą i na ziemi wysypała się masa papierów i jeden dziwny srebrny obiekt.

– Tachał przez ten cały czas... metalową klepsydrę? – zdziwił się technomag szczerze. – Po co na Pana mu coś takiego w Twierdzy Światła? Kto zresztą jeszcze w dzisiejszych czasach klepsydr używa?

– Zaraz... – Ku zaskoczeniu mężczyzny, Anvena chwyciła go mocno za kołnierz i przybliżyła do siebie. – Co niósł?

– No klepsydrę. – Rozmówca nie bardzo wiedział, w czym rzecz. – Dziwnie powyginaną i wyjątkowo dużą, ale definitywnie klepsydrę.

Anvena nie czekając ani chwili dłużej puściła go, a następnie rozjaśniając najpierw mocniej światło, skoczyła z urwiska, jeszcze bardziej dezorientując technomaga. Złapała się w locie gałęzi jednego z drzew, więc na szczęście nic się jej nie stało. Enerion miał jednak minę totalnej konsternacji.

– Czy tylko ja zupełnie nie rozumiem, o co właściwie chodzi? – zapytał retorycznie, a następnie pognął tą samą drogą co chwile wcześniej Sacratuś.

Kupiec tymczasem dotarł do swojej torby. Podniósł ją prędko, ale zauważywszy, że brakuje zawartości, rzucił ją przed siebie z wściekłością. Dojrzał jednak zgubę. I już miał dotknąć klepsydry, kiedy tuż przed nim wylądowała Anvena.

– Ani mi się waż! – wykrzyknęła stanowczo, celując w rozmówcę swoim kosturem. – Nie wniesiesz tego do Twierdzy Światła!

– Czyżby...?

W tym momencie dogonił ich technomag. Chyba znalazł nieco lepsze zejście niż jego poprzednik.

– Czy ktoś mi wyjaśni skąd to całe zamieszanie? – zapytał, patrząc na przemian na Anvenę i Sacratusa.

– On nas oszukał Enerionie! – zawołała czarodziejka gniewnie. – Wcale nie jest kupcem. Od początku niósł ze sobą Nekrokalindrator!

– W sensie, że ta... – spojrzał z niedowierzaniem na metalową klepsydrę, jednakże setki książek przeczytanych na uniwersytecie zrobiły swoje. Gdzieś w zakamarkach pamięci pojawił się opis. – Na Pana, faktycznie, wygląd się zgadza. Ale skąd on...

– Obrażasz mnie Anveno – oznajmił Sacratuś z wyjątkowym spokojem. Położył sobie jednocześnie dłonie na piersi. – Ja naprawdę jestem kupcem. Po prostu posiadającym niecodzienny towar.

– Przedmiot zdolny do zniszczenia całej Twierdzy? Faktycznie nieco niecodzienny. Zostaniesz związany i zakneblowany, a następnie zaprowadzony przed oblicze sprawiedliwości. Radzę współpracować.

– Szkoda... – rzekł Anarchijczyk, zamykając oczy. – Liczyłem, że jednak obejdzie się bez ofiar. – Kiedy je otworzył, były całkowicie czarne.

Machnął dłonią i zanim kobieta zdążyła go trafić ostrzem kostura, przywołał

jaśniejący magiczny krąg.

– Nie no ten też jest magiem?! – wykrzyknął Enerion z niedowierzaniem.

Na szczęście zdumienie nie przyćmiło logicznego myślenia. Wyrwał z pasa terenator i już miał wystrzelić, kiedy nagle skała, na której stał, podniosła się niespodziewanie z ziemi. Technomag upadł na ziemię zaskoczony, tylko po to, by ujrzeć przed sobą sylwetkę budzącego się do życia golema.

– Herzajjowi – zakłęta głośno Anvena, nie bardzo wiedząc, w stronę którego przeciwnika się odwrócić – Wiedziałam, że coś jest w pobliżu.

– Niefortunny przypadek czarodziejko – zawołał Sacratus, a następnie rzucił w nią mrocznym pociskiem. Kobieta wykonała zgrabny unik.

Golem tymczasem zainteresował się bardziej technomagiem. Ryknął głucho i ruszył szarżą przed siebie. Kaistlanin przerażony skoczył w bok, tylko po to, aby znaleźć się na jeszcze bardziej stromym urwisku. Poleciał z krzykiem w dół, a monstrum natychmiast pognało za nim.

– Zatem zostaliśmy sami – rzekł mroczny mag, posyłając kolejne strumienie ciemności na przeciwniczkę. – To nie powinno długo zająć.

Czarodziejka uniknęła kolejnych pocisków, a następnie skoczyła naprzód, nabierając rozpędu, jednocześnie wprowadzając kostur w specyficzny ruch obrotowy. Uderzyła nim prosto w barierę Sacratusa. Krąg rozpadł się z trzaskiem, lecz były kupiec, jakby na to czekając, wzbił się w powietrze, aktywując zakłęcie mrocznego lotu. Następnie pomknął w kierunku Nekrokalindratora. Chwycił artefakt z triumfalnym okrzykiem, ale w tym momencie Anvena złapała jego nogę liną. Przeciwnik zaklął siarczyście, przeklinając w duchu swoje ciężkie buty, uniemożliwiające mu teraz ucieczkę. Kobieta przywiązała drugi koniec liny do drzewa, a następnie poczęła ciągnąć z całej siły. Jej mięśnie okazały się silniejsze od zaklęcia, bo wróg zbliżał się coraz bardziej.

– Przestań! – wykrzyknął, podnosząc przed siebie artefakt. – Albo go uruchomię!

– A włączaj go sobie do woli! Nic ci to nie da! – odparowała od razu czarodziejka.

– Sama powiedziałaś, że w okolicy Twierdzy Światła roi się od grobów. Przestań albo przywołam armię nieumarłych!

– W okolicy, owszem – Anvena niestrudzenie ciągnęła linę, zmniejszając dystans dzielący ją od przeciwnika. – Ale akurat nie tutaj.

Sacratus zaklął ponownie i wylądował z powrotem na ziemi. Następnie rzucił kolejne zakłęcie i ciemność rzuciła się na przeciwniczkę. Czarodziejka krzyknęła z bólu, ale ostatkiem sił przywołała krąg. Zajaśniał złoty pentagram.

– Zabawne... – stwierdził były kupiec, wyciągając z kieszeni bliżej nieokreślony zielony kamień. – Jak wielką przewagę dają pieniądze...

Machnął kryształem, a skała pod Anveną pękła na pół. Kobieta co prawda wyskoczyła natychmiast w bezpieczne miejsce, lecz wielgachny kamień pomknął za nią niczym drapieżnik za zdobyczą. Zapędził ją w ślepy zaułek i już miał zgnieść swój

cel, kiedy nagle zamarł, zatrzymany opartym o ścianę kosturem. Broń pomimo ogromnego naporu, nawet nie drgnęła.

– Czyżby wzmocniony akrywian? – W głosie maga słychać było uznanie. – Mądrze. Niestety znalazłaś się w punkcie bez wyjścia.

Podszedł do swojej torby, a następnie wyjął z niej krótki nuż. Potem zaczął przecinać linę, która wciąż oplatała jego kostkę.

– Ha! – krzyknął tryumfalnie, gdy uwolnił się ostatecznie ze swojego więzienia. Wtem jednakże dało się słyszeć głośnie zderzenie skał. Sacratus spojrzał natychmiast w stronę uwięzionej kobiety, lecz ta jakimś cudem zdołała się wydostać. Zdołał tylko spostrzec lecący w jego stronę ostry kostur. Wzniósł się prędko w powietrze, lecz broń zahaczyła o metalową klepsydrę, wyrwała mu ją z ręki, a następnie przyszpiliła do drzewa.

– Straciłaś swoją broń – oznajmił mężczyzna z nieprzyjemnym uśmiechem. Jednocześnie machnął kryształem. – Straciłaś więc również swoje marne szanse.

Kamień na powrót oderwał się od ściany i uderzył kobietę w plecy. Anvena poleciała naprzód i z głośnym łoskotem upadła na nierówną ziemię.

– Uznajmy, że zginęłaś zasypana przez lawinę – rzekł Sacratus, nakazując głazowi unieść się wyżej w powietrze.

Enerion Vadiner właśnie doszedł do smutnego wniosku, że to najgorszy moment jego dwudziestotrzyletniego życia. Zdołał co prawda uciec golemowi na drzewo, lecz monstrum nie zamierzało się tak łatwo poddać i od kilku chwil usiłowało na wszystkie sposoby ofiarę z tego drzewa zrzucić.

– Trzeba było zostać na uniwerku – stwierdził, przemieszczając się w tę i z powrotem pod wpływem uderzeń przeciwnika w pień.

Powinien oczywiście w tym momencie strzelać do golema, Niestety terenator wypadł mu podczas upadku i leżał obecnie jakieś piętnaście metrów dalej, nie poprawiając całej sytuacji.

W końcu rozległ się głośny trzask, oznajmiający, że biedne drzewa dało ostatecznie za wygraną. Gałąź, której Enerion się trzymał, złamała się i poleciała wraz z Kaistlaninem w dół, prosto na głowę przeciwnika. Zamiast jednakże odbić się od niego i polecieć dalej, wbiła się w półmetrową warstwę ziemi, pokrywającą górną część ciała monstrum.

Golem oczywiście natychmiast zaczął wierzgać na wszystkie strony, usiłując pozbyć się tkwiącego w nim elementu, lecz wtedy Kaistlanin wpadł na pomysł. Zdjął z ramienia tkwiące tam od kilku dni urządzenie, a następnie z całej siły wbił je tuż obok gałęzi i nacisnął odpowiedni przycisk. Potem zeskoczył na ziemię.

Bestia, spostrzegłszy, iż przeciwnik znowu ucieka, puściła się w pogoń.

– No dalej – wysapał technomag, wyężdżając wszystkie swe siły. – Działaj w końcu!

I już, już monstrum miało go w zasięgu swojej wielkiej dłoni... kiedy nagle rozpadło się z trzaskiem na stertę kamieni.

– Ha! – zawołał uradowany Kaistlanin, biorąc ze zwłok swoją własność. – Jak to dobrze, że nie tylko nieumarli potrzebują magii do życia.

Nie czekał jednakże ani chwili, tylko podniósłszy z ziemi terenator, rzucił się biegiem z powrotem na górę. Znalezienie odpowiedniego wejścia zajęło mu co prawda trochę czasu, ale ostatecznie dopadł do miejsca walki idealnie w momencie, w którym Sacratus tryumfował.

– Uznajmy, że zginęłaś zasypana przez lawinę – oznajmił kupiec, zmuszając sporej wielkości kamień do uniesienia się w powietrze. Następnie pchnął go w stronę leżącej obok kobiety.

Enerion wyrwał przypasany wcześniej terenator, a następnie nie zastanawiając się ani chwili wypalił w kierunku przeciwnika. I pierwszy raz podczas tej całej podróży nie spudłował. Błękitny promień pomknął przed siebie i z głośnym sykiem trafił dłoń, w której Sacratus trzymał zielonkawy kryształ.

Czarodziej ryknął z bólu, wypuszczając jednocześnie kamyk z ręki. Skała, zbliżająca się coraz bardziej do Anveny, nagle na powrót poznała siłę przyciągania i z trzaskiem wylądowała nieco ponad metr od celu. Technomag natychmiast dopadł do kobiety i niezbyt delikatnie spróbował ją ocucić.

– Jestem rozzaczarowany Enerionie... – Czarodziej zdołał najwyraźniej dość szybko opanować ból poparzonej ręki, choć jego głos nadal był przepełniony gniewem. – Gdzie się podziała twoja nienawiść do magów? Spodziewałem się raczej, że staniesz sobie z boku, oglądając radośnie, jak mordujemy się nawzajem. Cóż się stało, iż nagle zmieniłeś zdanie? Cóż się stało, że w tym, czego tak bardzo nie cierpiełeś, widzisz nagle sprzymierzeńca?

Kaistlanin, przywróciwszy kobiecie w końcu przytomność, wstał nagle i z miną zimnej furii, wyrecytował stanowczo:

– „*W okowach niewoli, powstał nasz sojusz...*” – W głosie technomaga dominowała determinacja.

– „*Zerwał wiążące, go mroku łańcuchy...*” – dodała Anvena, natychmiast rozpoznawszy tekst „Światła Serc Naszych”.

– „*I choć wybrana przez nas, droga niełatwa...*” – podjął Enerion, pomagając jej wstać.

– „*Przysięgliśmy razem, walczyć w imię światła!*” – zakończyli wspólnie, gotowi do dalszej walki.

– Cholerny Stary Sojusz – podsumował Sacratus, kończąc rozmowę.

Technomag wystrzelił kolejny promień z terenatora, lecz przeciwnik tuż przed tym aktywował magiczny krąg i nie dając wrogom odpoczynku, rzucił zaklęcie zamroczenia. Trafiło bezbłędnie.

Kaistlanin przewrócił się, pokonany przez ciemności własnego umysłu i już miał

zostać pochłonięty przez prawdziwy mrok, gdy Anvena wbiła w ziemię wyjętą nieco wcześniej „stacyjkę obronną”. Pociski odbiły się od przywołanej nagle bariery.

– Obudź się! – nakazała stanowczo, zbliżywszy się do mężczyzny. Dotknęła świecącą dłonią jego czoła, a cienie rozwiały się natychmiast. – I zostań w kręgu!

Sama oczywiście wyskoczyła z bezpiecznego koła, a następnie unikając kilku ataków, dopadła do wciąż białego w drzewo kostura. Wyrwała broń silnym szarpnięciem, złapała Nekrokalindrator i nie czekając ani chwili, rzuciła go w stronę technomaga.

Przedmiot zatoczył długi łuk i wpadł w obszar broniony przez stacyjkę. Dostał co prawda prawie natychmiast z błyskawicy, ale wykonanemu z obsydianu przedmiotowi niewiele to zrobiło.

– Tryb: Nic z zewnątrz – wyszeptał Enerion, naciskając odpowiednie przyciski na urządzeniu. Stacyjka zamrugnęła bezgłośnie i utworzyła prawie niewidoczną bańkę ochronną.

Anvena tymczasem odzyskawszy swoją broń, wzięła rozpęd i ponownie wprowadzając kostur w specyficzny obrotowy ruch, natarła na krąg przeciwnika. Pentagram rozpadł się z traskiem, lecz Sacratus znajdował się już w tym momencie o wiele wyżej, na gałęzi drzewa. Został oczywiście natychmiast ostrzelany.

– Jesteś strasznie uparty technomagu! – zawołał czarodziej gniewnie, unikając kolejnych promieni. – I zaczynasz mnie naprawdę irytować! Radzę ci bezzwłocznie przestać albo pożałujesz!

– Bo co mi zrobisz? Podpiszesz mój wyrok? – spytał hardo Enerion, wymieniając magazynek. W końcu musiał trafić.

– Najwyraźniej będę musiał. – Mag wylądował na ziemi i przywołał kolejny krąg. Następnie uniósł przed siebie dłonie.

– Czekaj ja tylko żarto...

– Nie! – wykrzyknęła Anvena, nabierając dystansu do kolejnej szarży. Było już jednak za późno.

– Wyrok Śmierci – rzekł Sacratus, wypowiadając wcześniej odpowiednie słowa.

Pojawiły się symbole. Enerion natychmiast stracił samokontrolę. Upadł na ziemię. Martwy.

– Nie! – ryknęła ponownie czarodziejka i wbiła w ziemię swój kostur, przywołując jednocześnie krąg. Padła na kolana. – Na mą wieczną służbę, wzywam cię Panie Życia, abyś odczynił mroczną magię Boga Ciemności!

– Naiwna – rzekł mag, widząc światło zbierające się przy zwłokach Kaistlanina.

– Nie zdołasz o niego walczyć i bronić się jednocześnie!

Ruszył w kierunku przeciwniczki, obsypując jednocześnie jej krąg kolejnymi mrocznymi pociskami.

– Władco Ładu, usłysz me wołanie! – Pentagram słabł pod wzmagającym się naporem ciemności. – Dusza bezprawnie została odebrana. Odszukaj ją wśród połaci Eteru i zwróć, aby położyć kres niesprawiedliwości!

Krąg rozpadł się z rozbłyskiem, idealnie przystaniającym moment, w którym

Anvena skoczyła na równe nogi i wyrwała z ziemi kostur. Rzuciła nim mocno w przeciwnika.

– Pudło! – zawołał Sacratus z satysfakcją, uskakując przed pociskiem.

Broń pomknęła dalej, wleciała na obszar broniony technomagią, odbiła się, otrzymawszy cios z błyskawicy, a następnie wbiła się prosto w plecy niczego niespodziewającego się czarodzieja.

– Niemożliwe... – wyszeptał mag, spoglądając na ostrze wystające z jego piersi. Potem przeszedł jeszcze kilka kroków w agonii i runął w dół zbocza.

– Powiedz to swemu bogu, gdy go spotkasz – odparła Anvena, idąc w kierunku Eneriona.

Chciała podejść i sprawdzić, czy jej działania zakończyły się sukcesem, lecz w ostatniej chwili przypomniała sobie, w jakim trybie wciąż pracowała stacyjka obronna. Pozostawało więc jedynie obserwować. Na szczęście już po chwili Kaistlanin otworzył nagle oczy i panicznie wciągnął powietrze.

– Ja... żyję. – oznajmił po prostu, wyraźnie zdziwiony. – Ale jak... Ach... ty jesteś kaptanką!

– Prawidłowy wniosek Enerionie. – Pomogła mu wstać, gdy tylko wyłączył niebezpieczne urządzenie. – Niestety on również nim był.

– Pokonałaś go. – Zdanie to wydawało się na wpół pytaniem i stwierdzeniem faktu.

– Tak. Chociaż nie bez pomocy twojej technomagii.

Kaistlanin rozejrzał się uważnie, zapewne w poszukiwaniu ciała przeciwnika, lecz nagle coś mu przyszło do głowy. Zmarszczył brwi.

– Jakim cudem zdołał przywołać golema? Myślałem, iż kryształ żywiołów pozwalają jedynie na podstawową manipulację elementami, a nie na rzucanie ich zaklęć.

– I się nie myliłeś. Na golema trafiliśmy przypadkiem. Od czasu, gdy Anarchijczycy aktywowali potężne zaklęcie przywołujące na terenie Gór Ankarii w tysiąc czterysta trzydziestym drugim, co jakiś czas spotyka się jakiegoś.

– Chcesz powiedzieć, że... mieliśmy po prostu olbrzymiego pecha?

– Cała ta wyprawa jest jedną wielką serią nieszczęść – oznajmiła Anvena, spoglądając na obszar walki. – Zaatakowały nas gryfy, wpadłeś do czyjogoś grobu, Sacratus okazał się oszustem i ostatecznie spotkaliśmy golema. Nie zdziwię się, jeśli tuż przed samą Twierdzą Światła zasypie nas lawina.

– To byłby bardzo ironiczny koniec tej historii... – Enerion westchnął przeciągle, a potem wskazał na srebrny przedmiot. – Co z nim zrobimy?

Przypominający powyginaną klepsydrę Nekrokalindrator wciąż stał w miejscu, w którym upadł, swoim wyglądem zupełnie nie wskazując, jak wielką potęgę skrywał.

– Nie jestem pewna... – odparła czarodziejka z zastanowieniem. – Pod żadnym pozorem nie może trafić do Twierdzy. Tam jest tyle grobów, że gdyby ktoś go przypadkiem odpalił, niewątpliwie oznaczałoby to koniec Ostoi Nadziei. Jak tak teraz

o tym myślę, ciekawe jak Sacratuś zamierzał ominąć strażę... przecież wszystkich przeszukują. Nieważne. Najlepiej zapewne byłoby gdzieś go ukryć tak, aby nikt nigdy go nie... – Nagle rozszerzyła oczy, jakby słysząc coś niespodziewanego. Następnie rzekła spokojnie i stanowczo. – Musimy go tutaj zostawić. Dokładnie w miejscu, w którym stoi.

– Co? – zdziwił się technomag, kompletnie nie rozumiejąc. – To chyba najgorszy możliwy pomysł. Już lepiej zrzucić go gdzieś w jakąś przepaść.

– Powiedziałam, że musimy go tutaj zostawić. I tak zrobimy. Koniec tematu. Czeka tu, zejdę po swój kostur.

Ruszyła w dół, pozostawiając rozmówcę jeszcze bardziej skonfundowanego.

– Zostawić. Przecież to nie ma najmniejszego sensu! – rzekł do siebie niezadowolony. – Może jeszcze go podpiszemy, aby znalazca nie miał żadnych wątpliwości? – Gdy tylko wypowiedział to zdanie, do głowy wpadł mu pomysł. Otworzył plecak.

Kilka minut później przewodniczka wróciła, idealnie, aby zobaczyć przyczepioną do artefaktu kartkę z napisem:

Nekrokalindrator

Wysysa energię z żywych i używa jej do budzenia umarłych.

Pechowemu znalazcy szczerze współczujemy.

PS Nie rozmawiać o śmierci w jego pobliżu.

– To nie jest zabawne – oznajmiła Anvena, przeczytawszy opis.

– Ale jak to nie? – Enerion wzruszył ramionami, chowając przyrządy z powrotem do plecaka. – A nawet jeśli, przynajmniej pasuje do absurdalności obecnej sytuacji.

Kobieta westchnęła z rezygnacją, lecz już nie komentowała.

– Powinniśmy ruszać dalej. Nic nas już tutaj nie zatrzymuje. Pochowałam nawet Sacratuśa.

– Tak szybko? – zdziwił się rozmówca, lecz czarodziejka pokazała mu jaśniejący na zielono kryształ. – Ach... sprytne.

Jakiś czas później, byli już ponownie na szlaku.

– Powinnam ci chyba podziękować za pomoc – rzekła Anvena, spoglądając przed siebie. – Nie każdy ryzykowałby życiem w walce z magiem śmierci.

– Nie wiedziałem w zasadzie, że jest magiem śmierci – odparł Enerion, wzruszając ramionami. – Ale nie ma za co. To była słuszna walka. Nie myśl jednak, że zmieniłem zdanie. Wciąż uważam, że magii powinno się zakazać.

– A jakże inaczej...

– Mogę o coś zapytać? Nie walczysz jak typowy czarodziej... Mam na myśli... twój kostur i w ogóle. Gdzie się tego nauczyłaś? W Twierdzy Światła?

Kobieta zastanowiła się chwile.

– Nie. Istnieje pewien klasztor na południu Gór Ankarii. Uczą tam zarówno walki, jak i magii, by w razie potrzeby móc udawać jedynie zwykłego wojownika. Zresztą łączenie obu bywa niezwykle skuteczne.

– Klasztor Rasini – zgadł natychmiast technomag. – A zatem istnieje. Nie powiesz zapewne jak do niego trafić?

– Nie.

– Cóż... warto było spróbować.

Enerion i Anvena szczęśliwie dotarli do celu kilkanaście godzin później. Umówili się również, że nikomu nie powiedzą o tej przygodzie.

Nekrokalindrator zaginął bez wieści. Historia nigdy więcej już o nim nie wspomina.

Twierdza Światła pozostawała niezdobyta przez kolejne lata.

Cierpliwość cnotą maga

Tornhal. Zjednoczone Sektory. Rok 1870 od zesłania Pana.

Erinna otworzyła powoli oczy. Wszystkie barwy wydawały jej się wyjątkowo jaskrawe, a wpadające do kwatery promienie wschodzącego słońca raziły ją bardziej niż błyskające zaklęcia maga światła. Było to zresztą spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę, jak niewiele ich do środka wpuszczało umieszczone w ścianie okienko. Młoda kobieta opuściła z powrotem powieki prawie natychmiast, a następnie obróciła się na brzuch i schowała głowę pod poduszką, mruczając cicho kolejne przekleństwa. Po chwili jednakże dała za wygraną, oparła się na łokciach i rozejrzała po pomieszczeniu, marszcząc brwi.

Nie pamiętała, jak się tutaj znalazła. Była to co prawda jej własna kwatera, co mogła uznać za spory sukces, ale zupełna pustka we wspomnieniach napawała niepokojem. Oczywiście bacząc na jej obecny stan, prawdopodobnie znajomi po prostu przynieśli ją tutaj kompletnie pijaną, ale czułaby się o wiele lepiej, gdyby jej ktoś o tym opowiedział. Przy okazji mogłaby się też dowiedzieć jakich kolejnych głupstw narobiła podczas wczorajszej imprezy.

„A właśnie...” pomyślała, kładąc dłoń na krzyczącym z bólu czole „Była w ogóle jakaś impreza?”

Dziura w pamięci. Jej grafik na ten dziesięciodzień nic nie pokazywał, lecz zdarzały się również spontaniczne wypadki. Takie zresztą według Erinny były najlepsze. Często, kiedy ktoś proponował wieczorne piwo, kończyło się na zawodach w picu soku drzewa kryształowego. Nie, żeby tego właśnie nie oczekiwała...

Zmarszczyła brwi ponownie. Zdecydowanie ktoś musiał jej opowiedzieć, co się działo poprzedniego wieczora. Spojrzała z nadzieją na sąsiednie łóżko, ale nie ujrzała tam nikogo. Najwyraźniej jej przyjaciółka Nerivna nie wróciła do kwatery na noc. A może po prostu wyszła wyjątkowo wcześniej?

Wątpliwe...

Erinna usiadła ostrożnie na łóżku, co w jej obecnym stanie można by uznać za spory sukces. Każdy ruch sprawiał jej okropny ból. Cokolwiek się działo poprzedniego dnia, musiała nieźle zaszałeć. Zebrała się w sobie i spróbowała wstać, lecz ze zdziwieniem nadepnęła na rozbite szkło. Spojrzała więc na podłogę uważniej i zdała sobie sprawę, że roi się na niej od stłuczonych butelek. Rozpoznała chyba z trzy gatunki piwa i jedno niemal przeźroczyste naczynie sugerujące coś o wiele mocniejszego. Całe szczęście, że przed snem nie zdjęła butów.

– Jaki mamy dzisiaj dzień... – rzekła, spojrzawszy na powieszony na ścianie kalendarz – Szósty... Czyli pierwszy wykład jest za... dwadzieścia minut?

Nie miała szans zdążyć. W najlepszym przypadku się spóźni. Zastanowiła się chwile czy nie wziąć sobie wolnego, lecz niestety zajęcia były z kłatownictwa

teoretycznego, z którego zużyła już chyba większość nieobecności. Powinna wpaść więc choćby na chwilę i wpisać się na listę.

Z trudem wstała i chwiejnie zbliżyła się do ściany. Śniadanie odpadało. Jeżeli będzie miała szczęście, zdąży się wykąpać i doprowadzić w miarę do porządku. Do tego potrzebowała jednak nieco świeższego umysłu. Otworzyła drzwiczki wiszącej szafki i spojrzała na znajdujące się w niej eliksiry.

Alchemia była jedną z dziedzin, które w Zjednoczonych Sektorach znajdowały się na najwyższym poziomie. Z tego powodu dało się dostać w zasadzie mikstury na każdą możliwą okazję. Zwłaszcza w mieście takim jak Tornhał, które słynęło z wielu powiązanych z magią sklepów.

W przypadku kontaktu z alkoholem zazwyczaj stosowano jeden z dwóch specyfików. Pierwszy z nich, eliksir uspokajający, był zażywany jeszcze w stanie upojenia. Sprawiał, że osoba, której go podano, dość szybko zapadała w sen i następnego dnia budziła się z mniejszym kacem. Bardzo często używano go, gdy ktoś po pijanemu wpadał na naprawdę głupie pomysły.

Patrząc na stan Erinny, poprzedniego wieczoru nie zdołała zażyć tego eliksiru, a teraz było już oczywiście za późno. Pozostała więc druga, o wiele mniej przyjemna opcja.

Czytanie etykiet przychodziło jej z trudem, lecz w końcu znalazła, czego szukała. Odkorkowała szklaną buteleczkę, a następnie pociągnęła tęgi łyk. Potem padła bezwiednie na łóżko.

Fala bólu dopadła ją prawie natychmiast, przemierzając jej ciało od stóp aż po czubek nosa. W dodatku żołądek jak za każdym razem zaczął się buntować, usiłując odrzucić znienawidzoną mieszaninę, co by się skończyło jeszcze bardziej zabrudzoną podłogą i stratą mnóstwa pieniędzy wydanych na eliksir. Erinna skuliła się na posłaniu z nadzieją, że jej ciało da za wygraną i przyjmie specyfik. Różnie bowiem bywało.

Na szczęście po chwili ból zelżał, a odruchy wymiotne zniknęły. Kobieta wstała z ulgą i podeszła do okna. Barwy złagodniały, słońce przestało drażnić. Kac zapewne zupełnie odpuści w ciągu godziny, choć cena była dość wysoka. Dobrze w sumie, że nie pamiętała, ile zapłaciła za wczorajsze picie...

Podeszła z powrotem do szafki i odłożyła butelkę z eliksirem na miejsce. Wówczas jednak zamarła zaskoczona. Na najwyższej półce, gdzie z przyjaciółką trzymały mikstury związane z ich studiami, znajdowało się pewne specjalnie przygotowane miejsce. Miejsce, w którym od prawie czterdziestodnia stał napój dojrzewający w chłodzie kwatery. Tylko że... napoju tego nie było.

– Deniquate! – zawołała Erinna, rozszerzając szeroko oczy. Zaczęła przestawiać eliksiry w poszukiwaniu zguby, ale nic nie znalazła. Poczęła więc rozglądać się po pomieszczeniu w panice, zaglądając pod łóżko, do skrzyni, szafy z ubraniami, w jakiegokolwiek z miejsc, w których butelka z miksturą mogłaby wylądować. Bez skutku, napój zniknął.

Kobieta usiadła na łóżku i wtopiła spojrzenie w podłogę. Rozbite szkło walało

się na całej powierzchni. Gdyby jednak eliksir spadł i się rozbił, niewątpliwie zostałaby plama. Ktoś go musiał więc wziąć... Może Nerivna postanowiła przenieść miksturę? Wytężyła pamięć. Pustka. Cały poprzedni wieczór jawił się jako wielka biała plama.

– Nie ma czasu – stwierdziła, zakładając świeże ubranie. – Muszę jak najszybciej dowiedzieć się, co się stało.

Chwilę później wypadła z kwatery.

Adepci Tornhalskiej Akademii Magii licznie przemierzali kamienne korytarze. Zajęcia zaczynały się o różnych porach, więc rzadko się zdarzało, aby pomieszczenia świeciły pustką. Nie oznaczało to oczywiście, aby było jakoś szczególnie tłoczno. Chociaż studia magiczne w Zjednoczonych Sektorach prowadziła obecnie jedna jedyna uczelnia, stawiała ona kandydatom dość wysokie wymagania. A olbrzymie odległości między miastami w państwie, dodatkowo zniechęcały chętnych. Uczniów nie było więc znowu aż tak wielu.

Erinna biegła, wymijając kolejnych znajomych z roku. Parę razy zdołała machnąć ręką na przywitanie, ale poza tym nie marnowała czasu. Kilka chwil później znalazła się na miejscu. Chociaż zajęcia powinny zacząć się już jakiś czas temu, wykładowca jeszcze nie przyszedł, toteż adepci gromadzili się przed salą. Wśród nich zaś dostrzegła osobę, której szukała.

– Erinna! Jak dobrze. – Przywitał się z nią przyjaciel radośnie, a następnie zwrócił się do rówieśników. — Mówiłem wam, że przyjdzie. – Spojrzał z powrotem na dziewczynę. — Aczkolwiek powinnaś być tutaj dużo wcześniej. Trzymaj, zebrałem za ciebie, bo ludzie się niecierpliwni – Tak rzekłszy, podał jej zbiór bliżej nieokreślonych, choć niemalże w całości zapisanych kartek.

– Witaj Trzcina... A... to cóż takiego?

– Jak to co? Nasze wypracowania z filozofii magii. Jesteś przewodniczącą grupy prawda? Miałas je dzisiaj zebrać i zanieść do Arcymaga.

– To one były na dzisiaj?! – Kobieta otworzyła szeroko oczy.

– No tak. – Przyjaciel spojrzał na nią podejrzliwie. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że zapomniałaś.

– Przepraszam! – zawołała, ściskając mocniej plik kartek. – Naprawdę przepraszam! Zupełnie wyleciało mi z głowy. Zaniosę je oczywiście, jak tylko będę mogła!

– No już spokojnie – odparł Trzcina, nieco zdziwiony żywą reakcją zazwyczaj spokojnej przyjaciółki. Nie on jedyny zresztą wyglądał na zaskoczonego. — Przecież nic się nie stało.

– Na Pana... – Młoda kobieta ukryła twarz w dłoniach, ścisząc jednocześnie

głos, tak aby jedynie przyjaciel zdołał ją usłyszeć. – Co jest z tym dniem nie tak? Nie dość, że ktoś mi kwaterę okrada, to jeszcze się okazuje, że zapomniałam o wypracowaniu...

– Nie napisałaś go? I zaraz... kwaterę ci ktoś okradł?! – Mężczyzna wyglądał na zszokowanego. – Po co na bogów? O ile pamiętam, nie trzymasz tam nic wartościowego.

– Cóż... zasadniczo nie mam pewności czy rzeczywiście ktoś ją okradł, ale zniknęła butelka z eliksirem E-N.

– Chwila... Eliksiem Erinna-Nerivna?

– Tak.

– Tym nad którym pracowałyście przez ostatnie trzy czterdziestodnie?

– Tak.

– Tym na wasz wspólny akademicki projekt końcowy?

– Tak.

– Erinna! Przecież to tragedia!

– Nie musisz mi tego mówić. – Kobieta uśmiechnęła się blado. – Jestem dostatecznie przerażona.

Trzcina jakby nie dosłyszał. Obrócił się natychmiast w stronę reszty grupy i wskazał na jakiegoś adepta:

– Arion. Wpisz nas na listę obecności. I zapamiętaj nasze wyniki z projektu, o ile Mistrz Nevryn je ogłosi. Dobrze?

– Jasne. Ale wiesz mi piwo.

– Nie ma problemu.

– Co robisz? – zdziwiła się Erinna, kiedy przyjaciel złapał ją za nadgarstek, a następnie poprowadził korytarzem z dala od ludzi. Po chwili wyszli na zewnątrz.

– Usiłuję zaradzić kryzysowej sytuacji.

– Ale w ten sposób z mojego powodu ominiesz klątwownictwo teoretyczne.

– Nieistotne. Ten przedmiot i tak nie ma sensu. A twoja sprawa jest poważna.

– Usadził przyjaciółkę przy jednym ze stolików na balkonach. Jako że zaczynały się zajęcia, miejsce powoli pustoszało. – Dobrze. Skupmy się. Trzeba ustalić plan działania. Kiedy najpóźniej możesz zanieść Arcymagowi nasze wypracowania?

– Niech pomyślę... – Kobieta zmarszczyła brwi w zamyśleniu. – Gdzieś w porze obiadowej? Wtedy zazwyczaj zamyka gabinet.

– Kilka godzin... Nie jest źle.

– Co masz na myśli, mówiąc „Nie jest źle”? Tematem wypracowania jest „Mag jako profesja”. To zbyt rozległy temat, aby napisać je teraz od zera. A dobrze wiesz, że Arcymag nie cierpi lania wody.

– A szkoda, bo mam wrażenie, że cała filozofia magii na tym polega. Tak czy siak, to oznacza, że ten przedmiot będziesz musiała zdać w terminie poprawkowym.

– Niekoniecznie. Może spróbuję wybłagać dodatkowy dzień czy dwa na oddanie...

– Nic z tego. – Przerwał jej od razu Trzcina. – Dzisiaj jest i tak przełożony

termin, nie pamiętasz? Pierwotnie mieliśmy oddawać dziesięćdzień temu, ale udało nam się dogadać. Cudem. Nie pójdzie na to drugi raz.

– Deniquate! – rozmówczyni zakłęta siarczyście. – No nic... w porównaniu z drugą sprawą to i tak ma małe znaczenie...

– Nie chcę jeszcze dokładać zmartwień... – rzekł przyjaciel, przyglądając się czemuś, co mogło być planem zajęć – ale czy ty przypadkiem nie masz dzisiaj jakiegoś egzaminu?

– Z alchemii. Owszem – odparła kobieta spokojnie. – Ale to moja specjalność. Mogłabym go napisać choćby z zawiązanymi oczyma.

– Wierzę. Chociaż odradzam.

– I dobrze. Aczkolwiek gdyby nie okoliczności może i podjęłabym wyzwanie.

– W to również wierzę. Skupmy się jednak na problemach. Jeżeli odejmiemy czas przeznaczony na egzamin, zostają nam jakieś cztery godziny. O ile nie pójdziemy na żadne zajęcia, ale to niezbyt istotne.

– Cztery godziny? Na co?

– Na dowiedzenie się kto wam eliksir ukradł oczywiście! – Trzcina spojrzał na rozmówczynie z dezaprobatą dla jej niedomyślności. – Pomyśl trochę. Jeśli nam się uda, poinformujesz o tym Arcymaga, kiedy będziesz oddawać wypracowania. Jeśli nie... cóż...

– Szczerze mówiąc, nie mam pewności czy to była kradzież. – Erinna przebierała palcami niepewnie. – Nie przypominam sobie żadnego śladu włamania.

– No to tym bardziej musimy się dowiedzieć, co się stało, zanim doniesiemy o tym władzom akademii. Chociaż raczej żadna z was go nie zabrała ani nikomu nie dała prawda?

– W tym właśnie rzecz. Nie wiem. Zniknięcie spostrzegłam dopiero dzisiaj, a zupełnie nie pamiętam, co działo się wczoraj.

– Nie pamiętasz? – zdziwił się Trzcina szczerze.

– Właśnie. Nie wiem dokładnie, co robiłam, ale obudziłam się na ciężkim kacu, więc to chyba oczywiste.

– Erinna! Nie załamuj mnie. Tak tuż przed egzaminem?

– Egzaminem z alchemii... – Kobieta westchnęła, jak zawsze, gdy przyjaciel ją pouczał. – Pewnie chciałam rozładować stres.

– Musiało być strasznie dużo tego stresu... Ale wracając. – Położył jej dłonie na ramionach. – Skup się. Gdzieś się wspomnienia musiały urwać prawda? Od czego się zaczęło?

Adeptka podrapała się po swoich krótkich włosach w zastanowieniu.

– Byłyśmy... zmęczone zajęciami – zaczęła powoli, grzebiąc w pamięci. – Enerion zaproponował wyjście na piwo. Spotkaliśmy się więc nad zatoką, w cieniu elitarnej części akademii...

– Tam, gdzie zawsze w skrócie.

– Tak... Siedziałyśmy tam z trzy godziny. Ale potem przyszedł nagle Evilius, a Nerivna niespecjalnie przepada za jego obecnością, jak zapewne pamiętasz.

Postanowiłyśmy więc się przenieść.

– Dokąd?

– Nie... nie pamiętam.

– Jesteś pewna, że to, co piłyście, to było piwo? – spytał Trzcina z rozbawieniem i dezaprobatą jednocześnie.

– Od piwa się zaczęło. Nie mówiłam, że na nim się również skończyło.

– A zatem musimy się dowiedzieć, dokąd poszłyście. Proponuję zapytać Eneriona.

– Nic z tego – odparła Erinna z westchnieniem. – Jestem prawie pewna, że nikomu nie powiedziałyśmy. Nie chciałyśmy, aby Evilius za nami poszedł.

– Gorzej... I naprawdę nie pamiętasz?

– Nie. I nawet nie wiesz, jak mnie to irytuje.

– Właśnie dlatego cieszę się, że jestem natchnionym – stwierdził Trzcina, kiwając powoli głową. – Nawet jeśli uda mi się jakimś cudem upić, to dziesięć minut później mi przechodzi.

– Ze wszystkich specjalnych cech natchnionych, akurat tej jednej bym nie chciała. Choć przyznaję, że reszta jest niesamowicie przydatna.

– Nie przeczę. Ale wracając, skoro ty nie pamiętasz, co się wydarzyło, może z Nerivną będziemy mieć więcej szczęścia. Gdzie ona jest?

– Cóż... nie w naszej kwaterze. Może wstała wcześniej i poszła na zajęcia, ale jeśli była w podobnym stanie co ja, jakoś bym jej o to nie podejrzewała.

– Warto sprawdzić. Planowo powinna być na jasnowidztwie. Chodź. Nie marnujmy czasu. – Pospiesznie zabrali swoje rzeczy i ruszyli szybkim krokiem.

Zajęcia z jasnowidztwa w cieplejsze dni jak ten odbywały się na świeżym powietrzu i należały do jednych z najbardziej lubianych przez adeptów. Powodem prawdopodobnie był sposób nauki tej trudnej sztuki, polegający na patrzeniu w exiliusową kulę przez pół godziny, a następnie nierobieniu absolutnie niczego przez tyle samo czasu dla odpoczynku. Jasnowidzenie bowiem niesamowicie wyczerpywało umysł i korzystanie z niego ponad godzinę, mogło się skończyć tragicznie. Szaleństwem na przykład. Nikt nie zamierzał ryzykować.

Wejście dwójki przyjaciół na teren zajęć spotkało się jedynie z nieco zdziwionym spojrzeniem opiekuna, czytającego zresztą książkę w czasie gdy jego podopieczni spoglądali w kule. Niestety, Nerivny nie było wśród obecnych.

– Nie jestem specjalnie zaskoczona – rzekła Erinna, gdy ponownie znaleźli się na korytarzu. – Dla niej to zdecydowanie zbyt wczesna godzina. Pewnie jeszcze śpi. Pytanie tylko gdzie.

– Jeśli rzeczywiście nikomu nie powiedziałyście, dokąd idziecie, pozostaje nam zapytać w nieco szerszym gronie. – Trzcina gładził się po brodzie w zastanowieniu. – W takim przypadku jednak musimy poczekać do następnej przerwy w zajęciach. Nie widzę innej opcji. – Tak rzekłszy, rozsiadł się wygodnie na krześle i oparł głowę o złożone dłonie.

– I że niby mamy tak siedzieć beczynnie przez pół godziny...? – Erinna nie

wydawała się przekonana propozycją – To już lepiej, abyśmy na wykład poszli.

– Jeżeli tak bardzo męczy cię bezczynność, usiądź i spróbuj sobie przypomnieć, gdzie wczoraj z Nerivną poszłyście. Jeżeli jednak nie potrafisz... cóż. Na niektóre rzeczy trzeba po prostu poczekać. Pamiętaj, „Cierpliwość jest cnotą maga”.

– Że co?

– „Cierpliwość cnotą maga” – powtórzył się Trzcina wyraźnie zdziwiony. – Nie mów mi, że nie znasz tego tekstu. Chyba co druga osoba w akademii go powtarza.

– Ale to nie ma sensu – rzekła otwarcie kobieta. – Ja usiłuję zostać magiem, a do niektórych spraw cierpliwości zupełnie nie mam.

– Może właśnie dlatego tak słabo ci to „zostawanie” idzie.

– Ale ty też nie masz cierpliwości.

– Prawda. Zwłaszcza do znajomych kłócących się o szczegół, po tym, jak rzuciłem wszystko, aby tylko im pomóc. – Westchnął niezadowolony. – Słuchaj. Czy tego chcemy, czy nie, cierpliwość dla magów jest sprawą kluczową. To kwintesencja studiów na Tornhalskiej Akademii Magii. Pomyśl chociażby ile musisz czekać na rozpatrzenie dowolnych dokumentów.

– Zbyt długo jak na mój gust...

– Właśnie! Podobnych spraw jest mnóstwo. Materiały do zajęć? Poczekaj. Konsultacje z wykładowcą? Poczekaj. Wyniki egzaminów? Poczekaj! Dlatego uczelnię kończą tylko osoby cierpliwie, bo inne prędko trafia szlag. Stąd... – Przeciągnął ostatnie słowo dla lepszego efektu. – „Cierpliwość cnotą maga”.

– Ja się chyba do tego nie nadaję... – stwierdziła Erinna, chowając twarz w dłoniach.

– Do czekania? Do tego każdy się nadaje. Po prostu usiądź i się rozluźnij. Chociaż... – Zmienił nagle ton na pełen zadumy.

– Tak...?

– Zastanawiam się, czy faktycznie powinniśmy iść ze sprawą do Arcymaga. Może takimi rzeczami zajmuje się kto inny. Hm...

Wstał nagle i przeciągnął się żwawo.

– Co zamierzasz?

– Mistrzynie Dnartis, moja opiekunka na uzdrowicielstwie, ma teraz konsultacje. Na pewno będzie wiedziała dokładnie co i jak. Dopytam, tak na wszelki wypadek. Ty w tym czasie... – Zastanowił się chwilę. – Mogłabyś wrócić do kwatery i sprawdzić szczegółowo, czy nie ma żadnych śladów włamania.

– Nie sądzę, aby ponowne oględziny cokolwiek dały...

– Sama narzekałaś, że nie chcesz siedzieć bezczynnie.

Kobieta westchnęła głęboko, spoglądając na oddalającego się przyjaciela. Dzięki niemu strach towarzyszący jej od momentu odkrycia zniknięcia eliksiru, powoli malał, chociaż wątpiła, aby miał całkowicie zniknąć. Musieli przecież działać. Na szczęście wciąż był jeszcze czas. Sprawa nadal mogła się szczęśliwie zakończyć. Dobrze, że zdołała trochę ochłonąć.

Wzięła kolejny głęboki oddech, rozkładając się wygodniej na ławce. Zamknęła

zaspane oczy z zadumą. Wątpiła, aby ponowne sprawdzenie kwatery coś dało, ale biorąc pod uwagę, jak bardzo starał się jej pomóc przyjaciel, sama również powinna coś zrobić...

– Erinna. – Wyrwał ją z zamyślenia niezadowolony Trzcina. – To chyba nie jest najlepszy moment na spanie.

– Hm...? Co? – Kobieta natychmiast otworzyła oczy zdziwiona. – Co jest? Jednak nie idziesz do mistrzyni Dnartis?

– O czym ty mówisz? Przecież właśnie od niej wracam. Niestety tak jak sądziłem, ze sprawą powinniśmy iść bezpośrednio do Arcymaga. A jak u ciebie? Znalazłeś coś ciekawego w kwaterze?

– Hę? – Erinna zamrugła kilkukrotnie z miną niezrozumienia. – Ale przecież dopiero co szedłeś...

– Nie było mnie dwadzieścia minut. Około. Nie mierzyłem, ale mam zegarek. Nie mów mi, że nie poszłaś do kwatery...

– Wybacz, chyba... chyba mi się przysnęło...

– Erinna! – Przyjaciel z cichym płaskiem uderzył się dłonią w czoło. – Co jest z tobą nie tak dziewczyno?

– Trzcina...

– Jesteś w naprawdę niewesołej sytuacji. Jeżeli nie poczynisz odpowiednich kroków, wraz z Nerivną będziecie powtarzać cały rok. Mogłabyś więc choć raz się skupić i wziąć do roboty. Twoja przyszłość od tego zależy!

– Trzcina.

– No, chyba że sądzisz, iż Arcymag tak po prostu uwierzy w nagłe zniknięcie waszego projektu końcowego. – Kontynuował mężczyzna niezrażony. – Duży błąd. Tego człowieka interesują wyłącznie fakty. Patrząc na obecną sytuację, uzna po prostu, że zrobiliście z nim coś po pijanemu, czyli że same jesteście sobie winne. A w takim przy...

– Trzcina!

– Słucham, nie musisz krzyczeć – rzekł nieco zdziwiony. – Człowiek się stara pomóc jak może, a ci zaraz głos podnoszą...

– Ech... – westchnęła Erinna tonem zmęczenia. – Gdyby cierpliwość do ciebie również liczyła się w zostaniu czarodziejem, byłabym już silną konkurencją dla Arcymaga.

– Ale w sensie, że o co chodzi?

– Nieistotne. Ważne, że przypomniałam sobie, dokąd poszłam wczoraj z Nerivną.

– Naprawdę? Świetnie. – Ucieszył się szczerze Trzcina. – Dokąd zatem?

– Do Setilli. Mam wrażenie, że chciałyśmy zagrać w tę jej grę, którą kupiła kilka dziesięć dni temu.

– Setilla Daren? – Zastanowił się chwilę Trzcina. – Ma teraz medytację. Na dolnych piętrach.

– Pytałam cię już kiedyś, po co wykułeś na pamięć plany zajęć wszystkich grup?

- Najwyżej dziesięć razy.
- Czy przy którymś razie, odpowiedź mnie usatysfakcjonowała?
- Nie przypominam sobie.
- Tak też sądziłam, chodźmy.

Zajęcia z medytacji, wbrew przewidywaniom wielu adeptów, nigdy nie odbywały się na świeżym powietrzu. Kluczowym elementem do osiągnięcia stanu, w którym umysł zaczynał bawić się magią, była bowiem cisza. Sala znajdowała się zatem na najniższych piętrach i miała chyba najgrubsze ściany w całej akademii. Jej drzwi zaś zostały zbudowane tak, aby za każdym razem otwierały się bezszelestnie.

– Czekaj. – Przyjaciół powstrzymał przyjaciółkę, która już miała nacisnąć klamkę. – O tej godzinie medytujących adeptów pilnuje Tarel.

– I co w związku z tym?

– Fakt, nie masz z nim zajęć. — Ucieszył się wyraźnie. — Co znaczy, że to ty wejdiesz do środka.

– Ale w czym rzecz?

– Tarel nie lubi, jak się mu przerywa. Nawet jak masz jakieś pytania. Jeśli to zrobisz, publicznie cię ośmieszy, albo gorzej, da ci najgorsze pytania na egzaminie.

– Przecież to medytacja. Nie prowadzi się na niej wykładów.

– Co nie zmienia faktu, że na pewno będzie mu przeszkadzać, gdy nagle bez zapowiedzi wejdzie ktoś do sali. Sugeruję więc zrobić to szybko. Ja poczekam tutaj, bo mnie na pewno rozpozna, a akurat jest w trakcie oceniania mojego projektu.

– Na Pana... dobrze, że z nic z nim nie mam...

Otworzyła bezszelestnie drzwi i wsunęła się do środka. Adepci trwali w bezruchu, w zwyczajowej pozie medytacyjnej. Pilnujący na szczęście nawet nie podniósł wzroku. Przeszła więc prędko wzdłuż rzędów miejsc, rozglądając się dokładnie. Nie znalazła jednakże poszukiwanej osoby. Przygryzła wargę niezadowolona, ale nie marnując czasu, zawróciła do wyjścia. Po chwili była na zewnątrz.

– Nie ma jej – stwierdziła, wzdychając przeciągle.

– Cóż... – oznajmił Trzcina, unosząc wysoko brwi. – Chyba zbyt poważnie potraktowałaś określenie „szybko”. Miałaś ją znaleźć, a nie tylko zerknąć na medytujących adeptów.

– No i próbowałam. Ale jej nie ma. Sprawdziłam we wszystkich rzędach.

– W tak krótkim czasie? – zdziwił się szczerze przyjaciel. – Naprawdę jest z ciebie szybka dziewczyna.

– Jeśli mi nie wierzysz, sam możesz sprawdzić.

– Ależ nie – zaprzeczył natychmiast. – Po prostu zastanawiam się jak na

bogów...

Nie zdołał dokończyć, ponownie bowiem otworzyły się drzwi i z pomieszczenia wyszedł jakiś adept.

– No proszę, a jednak... – rzekł zaskoczony na widok pozostałej dwójki.

– Ale co?

– Mistrz Tarel miał wrażenie, że drzwi same się otworzyły. Kazał mi sprawdzić, co się stało.

– Tylko mu się wydawało. Tak mu powiedz – nakazał natychmiast Trzcina stanowczym tonem. – Zanim jednak to zrobisz... Agret Dweri prawda?

– Znamy się? – zdziwił się rozmówca.

– Trzciny może i nie znasz – stwierdziła rozbawiona Erinna. – Ale Trzcina z pewnością zna ciebie.

– Słuchaj, kojarzysz zapewne Setillę Daren? Powinna mieć obecne zajęcia razem z tobą.

– No i w zasadzie ma. Ale wyszła jakiś czas temu.

– Dokąd?

– Do gabinetu mistrzyni Lelistriel? Prosiła o pozwolenie na wyjście na początku zajęć zresztą, ale nie pytajcie mnie po co.

– I tyle chcieliśmy wiedzieć. – Trzcina aż uklonił się z wdzięczności. – A teraz możesz wracać na medytację i zameldować mistrzowi Tarelowi, że z tymi drzwiami to tylko mu się wydawało.

Nie czekając ani chwili dłużej, ponownie chwycił Erinnę za nadgarstek i poprowadził wzdłuż korytarza.

– Gabinet Lelistriel jest niedaleko. Mamy szczęście — oznajmił, skręcając na najbliższym skrzyżowaniu.

– W tym dniu chyba nie ma czegoś takiego jak „szczęście”...

Dotarli na miejsce idealnie w momencie, w którym długowłosa dziewczyna akurat opuszczała pomieszczenie.

– Erinna, Trzcina, miło was widzieć — oznajmiła z uśmiechem, dostrzegłszy znajomych.

– Witaj Setillo — rzekła rozmówczyni pośpiesznie. — Nie chcielibyśmy przeszkadzać, ale musimy porozmawiać.

– O czym?

– Powiedz mi, czy ja i Nerivna byliśmy u ciebie wczoraj?

– Owszem, byliście — odparła kobieta nieco skonfundowana. — Chciałyście pograć w Wiszącego Paladyna. Wpuściłam was zresztą. Czemu pytasz?

– Trochę mi głupio, ale niestety zupełnie nic nie pamiętam.

– Nie jestem jakoś szczególnie zdziwiona — stwierdziła Setilla z rozbawieniem. — Wasz stan był... upojny rzekłabym. Nie martw się jednakże, opuściłyście moją kwaterę całe i zdrowe. Najwyżej nieco... bardziej upojne.

– To nie jest śmieszne Setillo — wtrącił się Trzcina stanowczo. — Albo inaczej, byłoby, gdyby nie obecna sytuacja. Erinnę okradziono. Usiłujemy dowiedzieć się co

dokładnie się wczoraj działo.

– Okradziono? – Rozmówczyni natychmiast spoważniała. – Nie mam z tym nic wspólnego, przysięgam. Mogłaś oczywiście coś u mnie przypadkiem zostawić, lecz jestem prawie pewna, że wszystko ze sobą zabrałaś.

– To, co ukradziono, miałam w swojej kwaterze, więc cię nawet nie podejrzewam, spokojnie.

– W kwaterze? Ale przecież pomieszczenia adeptów są strzeżone, zamki zakłète, a klucze mają jedynie właściciele. No, chyba że swój zgubiłaś.

Erinna zmarszczyła brwi, po czym natychmiast sięgnęła do kieszeni. Ku swojej uldze wyciągnęła z niej niewielki klucz.

– Najwyraźniej nie. Ale ktoś mógł mi go wczoraj na chwilę zabrać. Dlatego usiłujemy odtworzyć wydarzenia.

– Cóż... jak mówiłam, chciałyście zagrać w Wiszącego Paladyna. Miałam wątpliwości, bo w trzy osoby gra ta nie jest jeszcze zbyt ciekawa. Na szczęście chwilę po was przyszedł Evilius i wówczas już nie potrafiłam odmówić.

– Evilius? Naprawdę?

– Tak.

– A więc jednak poszedł za nami. — Kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem. — Co za uparciuch.

– Graliśmy z godzinę – kontynuowała spokojnie Setilla. – Póki nam się nie znudziło. Potem Evilius zaproponował Nerivnie spacer.

– Ha... nie po raz pierwszy i nie ostatni.

– Tak więc oni wyszli wcześniej, ale ty zostałaś jeszcze kilkanaście...

– Czekaj – przerwała jej zszokowana Erinna. – Chcesz powiedzieć, że ona się ZGODZIŁA?!

– No... tak.

– Uderzyła się w głowę czy co? A może podałaś nam coś wyjątkowo mocnego podczas gry?

– Tylko nalewkę wiśniową. — Kobieta wzruszyła ramionami. — Nic specjalnego.

– Wolę nie pytać co jej przyszło do głowy. Ale mówisz, że ja wyszłam jakiś czas później?

– Tak.

– I nie wspominałam, dokąd idę?

– Nie.

– Herzajjowi – zakłeta po anarchijsku Erinna. Inaczej nie dało się tego podsumować. — Zero chęci współpracy ze strony świata.

– Dziękujemy Setillo. — Przejął inicjatywę Trzcina. — Wybacz, że cię nękaliśmy.

– Ależ nie ma problemu. Rozumiem, że sytuacja jest poważna. Aczkolwiek na waszym miejscu po prostu doniosłabym o sprawie władzom uczelni. — Tak rzekłszy, ruszyła w swoją stronę.

– Tylko wtedy gdy będziemy mieli pewność, iż rzeczywiście ktoś ukradł eliksir – westchnęła Erinna ze zmęczeniem. — Póki co, nadal nie możemy wykluczyć, że wzięła

go Nerivna.

– Szczerze mówiąc... – wtrącił przyjaciel z zastanowieniem. – Wciąż nie wiemy również, jak dotarłaś do siebie. Noc była młoda. Mogłaś jeszcze odwiedzić kilka innych osób.

– Bez Nerviny? Wątpię. Zapewne skierowałam się prosto do naszej kwatery i rzuciłam na łóżko w ubraniu. Mieszkanie mamy zresztą niedaleko od Setilli.

– Mówisz? Ja nie byłbym tego taki pewien. Tak czy owak, najlepszym tropem obecnie jest Evilius. Niestety, nie ma teraz żadnych zajęć. Nie bardzo wiem gdzie by go szukać.

– Pewnie śpi w swojej kwaterze.

– Koło południa? Miał wykłady rano.

– Od razu widać, że nie mieszkasz z Nerivną.

– Proponuję poczekać na niego przed salą od magii bitewnej – oznajmił Trzcina, ignorując uwagę przyjaciółki. – Tam ma następne zajęcia. W międzyczasie natomiast możemy zastanowić się, co powinniśmy robić dalej.

– To jest jakiś pomysł....

W zasadzie trudno było nazwać salę magii bitewnej „salą”. Była raczej sporej wielkości podziemną areną, wypełnioną kamieniami, wodą, kawałkami metalu i innymi rzeczami związanymi z żywiołami, na których skupia się ta trudna dyscyplina. Oczywiście miejsce to sprzątano w każdej przerwie między zajęciami, lecz przejawiający najbardziej niszczycielskie zapędy uczniowie pilnowali, aby porządek nigdy tam nie zagościł.

– Czekaj, mam pomysł – oznajmił Trzcina, ujrawszy grupkę adeptów siedzących przy podłużnym stoliku ustawionym przed salą. – Zasięgniemy języka w większym gronie.

– Co? – Zdziwiła się Erinna, podążywszy za jego wzrokiem. – Przecież ja w ogóle nie znam tych ludzi!

– Nie przejmuj się. To akurat moi znajomi. — Tak rzekłszy, podszedł nonszalancko do grupki. — Czołem ludzie.

– A witamy natchnionego w naszych skromnych progach – odpowiedziała wyjątkowo oficjalnym tonem jedna z kobiet. – Jak możemy wielmożnemu panu pomóc?

– Przestań Irianno. Niestety to nie moment na żarty. Kojarzycie Erinnę? – spytał, wskazawszy na przyjaciółkę.

– Z widzenia. Witaj Erinno. – Większość uniosła przyjaźnie dłoń na przywitanie. Kobieta odwzajemniła gest.

– Dobrze. Bo mam do was sprawę. Hm... – Trzcina zawahał się na moment. –

Chociaż głównie to do ciebie Naretis.

– Do mnie? – Zdziwił się niepozorny, chudy mężczyzna, słysząc swoje imię.

– Tak. To tobie się nudzi i chodzisz całe dnie i noc w kółko po korytarzach akademii prawda?

– Faktycznie, chodzę – odparł rozmówca nieco rozbawiony. – Ale nie znaczy to, że się nudzę. Ja rozważam wpływ ciasta marchewkowego na rozwój czarodziejstwa w erze światła.

– Em... Niech będzie. Ale bez znaczenia. Powiedz mi czy wczoraj wieczorem, podczas tego „rozważania”, nie widziałeś przypadkiem Erinny? Albo jej współlokatorki Nerivny?

– W zasadzie widziałem – rzekł Naretis, siląc pamięć. – Nawet kilkukrotnie.

– Naprawdę? Szczegóły proszę.

– Najpierw szły razem, w stronę kwater. – Mężczyzna wzruszył ramionami obojętnie. – Potem spotkałem je osobno. Nerivna była z jakimś nieznanym mi adeptem. Erinna natomiast za drugim razem szła sama. Choć określenie „szła” nieco mija się z prawdą. Rzekłbym raczej, że „wytrwale wędrowała”. Slalomem zresztą.

– Czy ktoś z naszej trójki miał może przy sobie eliksir? – zapytała Erinna z nadzieją, ignorując śmiechy wywołane ostatnim zdaniem rozmówcy.

– Elik sir? Jaki eliksir?

– Koloru czerwonego. W butelce werijskiej.

– Że niby w jakiej?

– Ech... – Kobieta westchnęła nieco załamana stanem alchemicznej wiedzy rówieśników. – W butelce po miksturze uspokajającej.

– A. W takiej. Hm... Przykro mi, ale nie. A przynajmniej nic takiego sobie nie przypominam.

– Dartha – zaklęła kobieta z rozczarowaniem. – No nic. Tak czy siak, dziękuję.

– Nie będziemy wam dłużej przeszkadzać – oznajmił Trzcina, kiwnąwszy głową z wdzięcznością. – Niestety goni nas czas, a nie sądzę byście byli w stanie bardziej pomóc. Chociaż, chwila! – Nagle zupełnie zmienił ton. Wskazał palcem na jednego z adeptów. – Obiecałem sobie korzystać z każdej okazji. Daves, po raz dwudziesty już chyba pytam: Kiedy oddasz mi pieniądze, które ci pożyczyłem na opłacenie sprzętu do projektu z runów.

Mężczyzna złożył nagle ręce razem i ze śmiertelnie poważną miną odparł:

– „Cierpliwość maga cnotą”.

– Żadne tam „Cierpliwość maga cnotą”! Ja tych pieniędzy potrzebuję na opłacenie rachunków. Nie możesz ich oddawać w nieskończoność.

– Zbieram. Wiesz, nie tylko ty opłacasz rachunki...

– A właśnie, skoro już przy magach jesteśmy... – wtrąciła jedna z siedzących przy stole kobiet. – Kto waszym zdaniem był największym magiem wszech czasów?

– Największym? To chyba jasne. Enerias Kazner.

– Enerias Kazner? – Zdziwił się inny adept. – Przecież on nawet magiem nie był.

– Jak to nie? Używał magii.

– Używanie magii a bycie magiem to dwie różne sprawy. – Bronił swego rozmówca. – Enerias Kazner był cesarzem. Czyli politykiem. Może ostatecznie poszukiwaczem przygód. Ale magiem? Nie. Nie w obecnej definicji tego słowa.

– Któż zatem jak nie Kazner?

– Moim zdaniem? – Zastanowił się chwilę mężczyzna. – Twórca pierwszej gildii magów, Velirius Karen.

– Co? Przecież on nawet przeciętnego maga bitewnego nie potrafił pokonać.

– Od kiedy bycie magiem jest jednoznaczne z umiejętnościami walki?

– No niby faktycznie nie jest. Ale jakoś trudno mi nazwać największym magiem kogoś, kto zginął z ręki pospolitego bandyty.

– Ech... w takim razie... Brat anarchijskiego Cesarza, Arion Kazner – zaproponował rozmówca z pewną dozą niecierpliwości. – Był czarodziejem. I bez wątplenia potrafił się obronić.

– No ale żeby od razu największy mag? Dlaczego? Bo długo żył?

– Przez prawie sześćset lat dowodził cesarskimi magami bitewnymi.

– Jednak w zasadzie nie zrobił nic „wielkiego”.

– Proponuję więc Ealiana Elieilijasa – odezwał się jakiś adept elfickiego pochodzenia. – Ten miał na koncie całkiem sporo wyczynów.

– Cóż... Bezsprzecznie największy zaklinacz – odparł wciąż wątpiący mężczyzna.

– Ale żeby od razu mag? Nie sądzę.

– To może Dowelin Kenitri?

– Ojciec magii uzdrowicielskiej? Sytuacja podobna jak z Karenem.

Wystarczyłoby najtańszego zabijakę wynająć i już by go nie było.

– Ja jestem za Nuju Spokojnym – stwierdziła kobieta, która rozpoczęła dyskusję. – Potrafił walczyć, nawet jeśli był kapłanem pokoju.

– A on to, co niby zrobił, żeby zasłużyć na ten tytuł?

– Powstrzymał wojnę między magami a technomagami? Owszem, czyn przeszedł bez echa, bo konflikt został rozwiązany przed rozpoczęciem, co nie zmienia faktu, że był to wyczyn na miarę największego maga w historii.

Zapadła krótka cisza, przerwana ostatecznie nieśmiałym pytaniem najmłodszego z grupy:

– A... nasz Arcymag?

– Ten leniwy mądrała? – Większość parsknęła śmiechem. – Daj spokój.

Wyłącznie gadać potrafi.

– Cóż... ma na koncie kilka niezłych osiągnięć naukowych i jest w zasadzie całkiem potężny...

– Tylko dlatego, że jest cholernym natchnionym. Zabierz mu to i się okaże, że najprostszego zaklęcia nie potrafi rzucić.

– Wypraszam sobie – wtrącił się Trzcina stanowczo. – Masz coś do natchnionych?

– Niech pomyślę... – rzekł rozmówca wśród odgłosów ogólnego rozbawienia. –

Zaczniemy od faktu, iż nie macie imion i nazwisk a pseudonimy. W dodatku najczęściej strasznie głupie. Dla przykładu: Trzcina. Co ci odwaliło, że sobie taki pseudonim wybrałeś?!

– Wiesz dobrze, że nie mam pojęcia – odparł natchniony z irytacją. — Zresztą osobiście uważam, że „Trzcina” nie jest najgorsze. Wole to niż na przykład... Lewy.

– Co masz do Lewego? – zapytał inny adept, najwyraźniej znający przytoczoną osobę.

– No bo czemu nie Prawy?

– Poziom twojego humoru właśnie osiągnął dno najgłębszych krasnoludzkich kopalni.

– Zgadzam się całkowicie – wtrąciła rozbawiona Erinna. – Choć mnie to zupełnie nie zaskakuje.

– Mam dość – oznajmił Trzcina z kwaśną miną – Za dużo ludzi mnie tutaj obraża. Zresztą i tak straciliśmy dość czasu.

Nagle rozległ się dźwięk bliżej nieokreślonego zamieszania, a potem drzwi do sali od magii bitewnej otworzyły się, wypuszczając na zewnątrz masę wyczerpanych adeptów. Najwyraźniej właśnie rozpoczęła się kolejna przerwa między zajęciami. Wszyscy siedzący przy stole znajomi, jednogłośnie poczęli się zbierać.

– Na nas również pora – oznajmił Naretis, podnosząc z krzesła swoją torbę. – Mam nadzieję, że zdołałem choć trochę pomóc.

– Skąd ten pośpiech? Ćwiczenia rozpoczną się dopiero za...

– Dzisiaj zaliczenie Trzcina – przerwał mu znajomy, zbliżając się do drzwi sali. – Ciesz się, iż postanowiłeś zostać uzdrowicielem, a nie magiem bitewnym. Ominie cię rozczarowane spojrzenie mistrzyni Nardew.

Kilka chwil później przyjaciele ponownie zostali sami.

– Przykro mi mówić, ale sprawa jak wyglądała, tak wygląda. Beznadziejnie – oznajmił natchniony z niezadowoleniem. – Może już czas poinformować władze akademii.

– Nie, póki nie dowiemy się, co się działo z Neriv...

– Erinna! – przepełniony ulgą krzyk przerwał jej w połowie zdania. Korytarzem biegła Nerivna we własnej osobie, trzymając się jednocześnie za przepełnioną bólem głowę. – Erinna. – Powtórzyła, zupełnie ignorując drugiego rozmówcę. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię znalazłam. Mamy problem. DUŻY problem.

– Co ty nie powiesz. – Wzruszyła ramionami kobieta, siłąc się na spokój. – Wcale nie usiłujemy go z Trzcina od rana rozwiązać. Gorzej, że idzie nam raczej tragicznie...

– Słucham...? Ale jak to? – spytała przyjaciółka z miną pełną konsternacji.

– Próbowaliśmy dowiedzieć się, co robiliście przez cały wczorajszy wieczór – oznajmił natchniony, drapiąc się po głowie. – Aby ustalić kto i jak włamał się wam do kwatery. Niestety jak dotąd wszystkie ślady się urywają. Mieliśmy nadzieję, że może ty będziesz coś wiedziała.

– Ale... co... zaraz. – Kobiecie wyraźnie jeszcze ciężko się myślało.

Prawdopodobnie dopiero wstała. Z podobnym kacem co jej współlokatorka. – Włamanie się nam do kwatery...?

– W zasadzie nie mamy pewności czy rzeczywiście było to włamanie. – Erinna przygryzła wargę z niezadowoleniem. – Ale zniknął eliksir E-N.

Rozmówczyni zaniemówiła i aż usiadła z wrażenia. Patrzyła się chwilę na dwójkę przyjaciół, a następnie zawołała przerażona:

– Ktoś nam ukradł nasz akademicki projekt końcowy?! – Natychmiast chwyciła się za głowę z bólu, zdając sobie sprawę, że chyba nie powinna krzyczeć w tym stanie.

– Bez obaw – Trzcina położył dłoń na jej ramieniu uspokajająco. – Już nad tym pracujemy.

– O bogowie... o bogowie... – Ukryła twarz w dłoniach. – Już po nas. Aby ukończyć akademię, trzeba zdać wszystkie egzaminy i oddać projekt końcowy. A zostały dwa dziesięciodni. Elixir musi dojrzewać co najmniej cały czterdziestodzień. Nawet jeśli pominąć zbieranie składników... Nie mamy jak oddać projektu! A mistrz Anwir już dawno zatwierdził nasz temat...

– No już, przecież powiedział, że nad tym pracujemy – rzekła do przyjaciółki Erinna. – I szczerze mówiąc, mieliśmy nadzieję, iż nam pomożesz.

– Niby jak?

– Zaczniemy od tego, co robiliście wczoraj – rzekł Trzcina, a następnie streścił pokrótce, czego udało im się dowiedzieć. Kiedy zaś skończył, zerknął na obie kobiety uważnie. – Wiemy więc, że po wyjściu od Setilli, Erinna chwiejnym krokiem przemieszczała się korytarzami, prawdopodobnie w kierunku swojej kwatery. Niestety nawet tego nie pamięta. Co jednak działo się z tobą? – Tu spojrzał na rozmówczynię pytająco.

– Ale... w zasadzie, to ja też nie pamiętam.

– Na boga wojny! – wykrzyknął zirytowany natchniony. – Epidemia amnezji!

– Ciszej Trzcina – nakazała adeptka, widząc, jak jej przyjaciółka zatyka uszy z bólu. – I nie wiń jej. Nerivna może i zachowuje po pijanemu wyjątkową koordynację ruchową, ale to nie znaczy, że jej umysł jest wówczas równie sprawny.

– Wybacz. To po prostu irytujące. Naprawdę nie pamiętasz zupełnie nic, co się działo po tym, jak wyszłaś z Eviliusem od Setilli?

– Nie, choć to bezpośrednio prowadzi do problemu, o którym wspomniałam na początku. No więc... ekhm... – Przygryzła wargę zakłopotana i złożyła razem dłonie. Najwyraźniej nie było jej łatwo o tym mówić. Ostatecznie jednak zdołała się przełamać. – Obudziłam się w jego kwaterze.

Zapadła krótka cisza, prawie natychmiast przerwana pytaniem Erinny.

– Obudziłaś się w kwaterze Eviliusa?

– Tak.

– Mogę zapytać o szczegóły?

– Nie.

– Nie mogę zaprzeczyć – rzekł Trzcina niemalże naukowym tonem – że

problem zaczyna być naprawdę interesujący.

– Interesujący? Interesujący?! Przecież to jest przerażające! – Ponownie chwyciła się za głowę z bólu. – Ja nic nie pamiętam. Nie pamiętam, jak do tego doszło, ani co się właściwie wydarzyło. I co ja u licha brałam, że w ogóle do tego doszło.

– Z tego, co się dowiedzieliśmy, nalewkę wiśniową Setilli. Trzcina z pewnością będzie chciał poprosić o przepis.

– Nie ukrywam, znalazłbym dla niego zastosowanie – rzekł natchniony, kiwając głową. – Wracając jednakże do problemu, pragnę zauważyć, iż w zasadzie ta informacja niewiele nam daje.

– Jak to niewiele? – zdziwiła się Erinna. – Przecież to czyni Eviliusa głównym podejrzanym. Miał całą noc, aby zabrać Nerivnie klucz, a następnie wkraść się do naszej kwatery.

– Evilius? – zdziwiła się współlokatorka, aż kręcąc głową przecząco. – Wątpliwe.

– A od kiedy go niby bronisz?

– Nie bronię. Mówię, tylko że to zupełnie do niego nie pasuje. On jest zbyt... – Szukała chwilę odpowiedniego słowa. – Praworządny?

– Ma rację. – Trzcina natychmiast poparł kobietę. – Jeśli opowiedziała nam prawdę, Evilius jest ostatnią osobą, która chciałaby, aby Nerivna zawałiła studia. Zresztą, sama wspominałaś, że zapewne po wyjściu od Setilli poszłaś prosto do waszej kwatery prawda?

– No tak.

– I byłaś zupełnie pijana prawda?

– No tak.

– Powiedz mi więc, jak wysokie jest prawdopodobieństwo, że zamknęłaś za sobą drzwi na klucz?

– Deniquate – podsumowała Erinna, aż tupnąwszy z irytacji. – Chciałabym powiedzieć, że nawet po pijanemu zrobiłabym to odruchowo. Niestety, kiedy wychodziłam rano z kwatery, były otwarte. Chyba z tego powodu zresztą, od początku obstawiałam włamanie...

– W takim przypadku każdy mógł wejść, a Evilius nijak nie ma motywu. Swój projekt robi zresztą z zaklania, więc na co mu wasz eliksir?

– Ty naprawdę potrafisz wszystko skomplikować, wiesz? Już przez chwilę naprawdę myślałam, że mamy sprawcę.

– Pochopne obwinianie zaprowadzi nas donikąd – rzekł Trzcina, kręcąc głowę z dezaprobatą. – Musimy dotrzeć do prawdy. Jak dla mnie zresztą, jesteśmy coraz bliżej.

– Niby jak skoro sam przed chwilą powiedziałeś, że do kwatery mógł wejść w zasadzie każdy?

– Owszem, ale taki złodziej z pewnością nie liczyłby na przypadek, jakim był twój stan. Zresztą pomyśl, jeśli rzeczywiście się ktoś włamał, aby ukraść wyłącznie

waszą miksturę, musiał po pierwsze znać numer kwatery, po drugie, wiedzieć, jaki robicie projekt i po trzecie, wiedzieć jak wygląda eliksir E-N. Ile takich osób znacie?

Zapadła krótka, choć pełna zadumy cisza. Ostatecznie powoli odezwała się Nerivna.

– W zasadzie... – Zmarszczyła brwi w zastanowieniu. – To tylko jedną. I jesteś nią ty Trzcina. Jak miemam, Erinna pytała już, co robiłeś wczorajszego wieczoru?

– Słucham? – Natchniony wydawał się zdruzgotany pytaniem. – Jak możesz mnie w ogóle podejrzewać?

– Pytała?

– Nie, ale chętnie odpowiem. W pięte dni wieczorami zawsze udzielam korepetycji Arionowi. Wczoraj nie było wyjątkiem, możecie zapytać. Następnie, biorąc pod uwagę, iż natchnieni nie potrzebują snu, spędziłem noc, zakuwając uzdrowicielstwo w bibliotece.

– I to również ktoś potwierdzi?

– Wystarczy Nerivna – przerwała przyjaciółce niezadowolona Erinna. – Trzcina wbrew sobie zrezygnował z wykładów, aby nam pomóc. Zresztą znamy go trzy lata. Naprawdę myślisz, że byłby zdolny do kradzieży?

– No ale jako jedyny wiedział...

– Jest poza podejrzeniem – oznajmiła stanowczo kobieta. — Koniec dyskusji.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem wdzięczny za te słowa Erinno.

– Ależ nie ma za co. Co niestety nie zmienia faktu, że wciąż jesteśmy w kropce.

– Niekoniecznie. Osobiście proponuję teraz porozmawiać z Eviliusem.

– Przecież sam powiedziałaś, iż nie ma motywu – zdziwiła się Nerivna, wstając powoli z ławki.

– Owszem, lecz wciąż nie wiemy, co się z tobą działo między tym, jak wyszłaś z nim od Setilii, a obudziłaś się w jego kwaterze.

Kobieta zaczerwieniła się nieco.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna czy CHCE wiedzieć...

– Najlepszą metodą będzie po prostu zapytanie Eviliusa.

– Na mnie w tej kwestii nie liczcie... – Nerivna złożyła ręce w niewiele mówiącym geście.

– Czemu? Tobie przynajmniej na pewno by powiedział.

– Ja po prostu... zwłaszcza że... – Nagle otworzyła oczy z przerażenia. – On tu idzie!

I nim przyjaciele zdążyli zareagować, zniknęła za najbliższym zakrętem korytarza. Erinna wzruszyła ramionami, nieco załamana postawą koleżanki. Trzcina natomiast uznał, że najlepszym komentarzem będzie brak komentarza.

Tymczasem Evilius faktycznie się do nich zbliżał, wymijając ciągnących do sali adeptów. Ciężko było stwierdzić czy zdołał dostrzec uciekającą.

– Elivana Erinno. – Przywitał się serdecznie, dotarłszy w końcu do dwójki. – Tobie również Trzcina.

– Elivana Evilius – odparła kobieta, nieco kalecząc elficki akcent. – Co cię do

nas sprowadza?

– Słuchaj, nie widziałaś może Nerivny?

– Ja... – Adeptka spojrzała w stronę korytarza, w którym zniknęła przyjaciółka, nie bardzo wiedząc co odpowiedzieć. – Nie. Niespecjalnie. Nie wróciła do kwatery na noc. A czemu pytasz?

– Muszę z nią porozmawiać. I to możliwie jak najszybciej. Cóż... skoro jej nie widzieliście...

– Czekaj. – Trzcina jak zwykle przejął inicjatywę. – W zasadzie, to świetnie się składa, że tutaj jesteś.

– Gdyż...?

– Pamiętasz może, co robiłeś poprzedniego wieczoru?

– Oczywiście. Czemu pytasz?

– Chwalmy Pana! – wykrzyknął radośnie natchniony. – Choć jeden z mocną głową!

– Powiedz nam więc proszę – wtrąciła się Erinna, widząc zdeorientowaną minę rozmówcy. – Co się działo po tym, jak wyszliście z Nerivną od Setilli?

– Aj cóż... – Evilius przygryzł wargę niespokojnie. – Nie jestem pewien czy akurat TO mogę wam opowiedzieć. A przynajmniej przed porozmawianiem z Nerivną.

– Słuchaj uważnie Evilius. – Trzcina położył mu rękę na ramieniu, ponownie przechodząc w bardzo stanowczy tryb. – Sytuacja jest poważna. Kwaterę tych dwóch panien okradziono. Co gorsza, zaginął ich projekt końcowy. Jeżeli się nie odnajdzie, prawdopodobnie Nerivna nie ukończy Akademii. Albo ukończy, ale dopiero za rok lub dwa. Na pewno tego chcesz?

– Co? Zaraz... – Rozmówca potrząsnął głową jakby w niedowierzaniu. – Oczywiście, że nie!

– W takim razie mów.

– Czy to prawda Erinno? – zapytał, zwróciwszy się dla pewności do kobiety.

– Uwierz mi, skakałabym z radości, gdyby to było kłamstwo.

– Dobrze więc... chociaż niespecjalnie widzę, jak mogłoby to pomóc.

– Po prostu powiedz, co się wydarzyło. Wiemy, że zaprosiłeś ją na... hm... „romantyczny spacer”.

– Cóż... tak. Początkowo chciałem ją zabrać do parku u podnóża dzielnicy lenarioleńskiej. Mają tam kwiaty jaśniejące różnobarwnie nocą o tej porze roku. Niestety to na drugim końcu miasta, więc musiałem zrezygnować z tego pomysłu. Rozważałem jeszcze wynajem łódki i popłynięcie do...

– Oszczędź szczegółów człowieku – przerwał mu Trzcina zirytowany. – Nie mamy za wiele czasu. Konkrety.

– Spacerowaliśmy więc po balkonach akademii przez jakąś godzinę, podziwiając nocne niebo...

– Romantyczny spacer po pijanemu. – Kiwnęła głową Erinna z rozbawieniem. – Szkoda, że nie dane mi było tego zobaczyć.

– Ale to ty byłaś pijana – zaprzeczył Evilius ze zdziwieniem. – Nie ona.

– Ona też. Tylko po niej tego nie widać. Szczęściara.

– Później poszliśmy do mnie. Zapewniam, iż z nikim innym już potem nie kontaktowaliśmy, a kwatera była zamknięta na klucz. Rano co prawda Nerivna zniknęła, przez co zresztą jej właśnie szukam, ale o tym powinniście już porozmawiać bezpośrednio z nią.

Nagle drzwi do znajdującej obok sali poczęły zamykać się powoli, jakby obwieszczając zakończenie przerwy między zajęciami. Evilius widząc to, wytrzeszczył oczy z zaskoczenia.

– Zaliczenie z magii bitewnej! Prawie o tym zapomniałem! – wykrzyknął i skoczył w stronę przejścia. – Odszukam was, jak tylko skończę i postaram się pomóc! Jeśli jednak znajdziecie przez ten czas Nerivnę, proszę przekazcie, że chciałbym z nią porozmawiać. Jeżeli rzeczywiście tak jak Erinna nic nie pamięta, boję się, że po wczoraj wpadła na jakiś głupi pomysł!

Zniknął w sali, a drzwi zamknęły się z głośnym łoskotem.

– Czy irracjonalne uciekanie jak najdalej od niego, możemy uznać za głupi pomysł? – zapytała kobieta, ponownie spoglądając w stronę korytarza, w którym zniknęła koleżanka.

– Bez znaczenia – odparł Trzcina jak zawsze skupiony głównie na problemie. – Jeśli powiedział nam prawdę, to albo ktoś ukradł Nerivnie klucz na balkonach, albo ty faktycznie nie zamknęłaś kwatery po powrocie. Wyeliminowaliśmy bowiem możliwość, aby eliksir zabrała któraś z was. W takim przypadku prawie na pewno była to kradzież. Czas zgłosić sprawę władzom akademii.

– Technicznie rzecz biorąc, jak sam zauważyłeś, nadal nie wiemy, w jaki sposób dokładnie trafiłam do siebie – zwróciła uwagę przyjaciółka.

– Owszem. Skończyły się nam jednakże możliwości dowiedzenia tego. Jedyną osobą, która była tam na pewno, jest Naretis, który kończy swoje nocne spacery dopiero po północy. A sam powiedział, że o ile faktycznie cię widział, trwało to jedynie chwilę. Nic dziwnego zresztą. Jaki by miał powód do podążania za tobą? Owszem, mogłaś spotkać kogoś innego, lecz nie widzę sensu przepytывania losowych ludzi.

– Czyli co? Poddajemy się?

– Przekazanie sprawy władzom akademii to nie poddanie się. To raczej kolejny krok. Chodźmy więc do...

– Natchniony Trzcina – oznajmił głos zza ich pleców. Natychmiast odwrócili się zaskoczeni. – Cóż za doskonały zbieg okoliczności.

– Ty jesteś... – stwierdził zdziwiony przyjaciel, zmarszczywszy brwi z zastanowieniem. – Jednym z asystentów mistrza Nevrina prawda?

Rozmówca wyglądał na co najwyżej kilka lat starszego od nich.

– Tak. Właśnie mistrz nakazał mi wysłanie ci listu pocztą akademicką. Skoro jednak już tu jesteś, mogę przekazać ci go bezpośrednio... – Tak rzekłszy, podał natchnionemu niedbale zapieczętowany list.

Trzcina odpakował pismo z wyraźnym zdziwieniem, a następnie szybko przeczytał jego treść.

– O... oskarżenie o plagiat?!

Totalnie go замуrowało. Nie tylko jego zresztą. Erinna również wyglądała na zszokowaną.

– Czy... czy to jest jakiś żart? – odezwał się w końcu przyjaciel, spoglądając na rozmówcę podejrzliwie.

– Na mnie nie patrz – odparł nieco starszy adept, wzruszając ramionami obojętnie. – Nawet nie wiedziałem, co jest w środku. Chociaż mistrz faktycznie wspominał, że będzie się musiał umówić z tobą na rozmowę w jakiejś ważnej sprawie...

– Nie będę się umawiał na żadną rozmowę! Ma teraz konsultację prawda? Idę wyjaśnić sprawę natychmiast!

– Cóż... to też jest jakieś rozwiązanie.

– Trzcina... – rzekła Erinna cicho, spoglądając na przyjaciela z niepokojem.

– Nie przejmuj się. To na pewno nieporozumienie – odparł przyjaciel, podnosząc z ziemi swoją torbę. – Skoczę wyjaśnić co i jak i natychmiast wracam. Wtedy pójdziemy do Arcymaga z twoją sprawą. Ty w tym czasie zajmij się swoim egzaminem. Chyba o nim nie zapomniałaś prawda?

– Nie, ale...

– Widzimy się za dwie godziny – przerwał jej, oddalając się śpiesznym krokiem. Kobieta wciąż wyglądała na silnie zaniepokojoną.

Korytarze akademii wydawały się wyjątkowo puste, choć zapewne była to wina trwających egzaminów i zaliczeń. Rok akademicki bowiem miał się ku końcowi. Oczywiście nie przeszkadzało to osobom niebezpośrednio związanym z uczelnią w przebywaniu w jej skromnych progach. Dlatego mijająca technomagów, urzędników albo niemagicznych uczonych Erinna nie wyrażała nawet najmniejszego zdziwienia. Nie miała zresztą akurat do tego głowy.

Sprawa Trzciny wciąż ją trochę niepokoiła, ale знаła swojego przyjaciela od prawie trzech lat i doskonale wiedziała, że w życiu nie skopiowałby czyjejś pracy. Musiała mu więc w tej kwestii zaufać i skupić się na własnych problemach.

Do jej egzaminu z alchemii została jeszcze prawie godzina, idealnie, aby na szybko powtórzyć cały materiał. Uważała co prawda, że umie wszystko doskonale, ale szybkich powtórek nigdy za wiele. Zamierzała więc całkowicie się skupić na najmniej problematycznej części tego dnia. W końcu w sprawie kradzieży i tak nie mogła obecnie liczyć na pomoc Trzciny, a Nerivna przepadła bez śladu. Pozostało więc po prostu usiąść i czytać.

Kiedy jednak dotarła do swojego ulubionego miejsca pracy, spostrzegła, że jest ono zajęte przez natchnionego. Zamarła zupełnie zaskoczona przypadkiem, jaki właśnie się miał miejsce. Czyżby w całym tym szalonym dniu mogła jednak liczyć na choć jedno niewielkie szczęście? Przełknęła nerwowo ślinę.

Nie był to byle jaki natchniony. Chyba każdy w akademii natychmiast rozpoznałby najlepszego ucznia Arcymaga, równie uzdolnionego, jak i znieawidzonego przez swego mistrza. Po ukończeniu uczelni wraz ze swoją drużyną podróżował on po całym kontynencie, zbierając doświadczenie jako mag bitewny, aż w końcu zyskał wielką sławę, odgrywając kluczową rolę w niedawnej wojnie na południu. W zasadzie przez ostatnie czterdziestodnie stał się głównym tematem rozmów wszystkich adeptów na uczelni. Był uosobieniem sukcesu, jaki może osiągnąć czarodziej po studiach.

W tym momencie jednakże siedział sobie spokojnie przy jednym ze stołów. W jednej ręce trzymał najnowsze wydanie Głosu Sektorów, a w drugiej podręczny zegarek, na który zerkał co chwilę z miną wyraźnej irytacji.

Adeptka zatrzymała się w pobliżu, a następnie przygryzła wargę z poddenerwowana. Taka okazja mogła już się więcej nie powtórzyć.

– Przepraszam mistrzu, czy mogłabym zająć chwilę? – zapytała nieśmiało.

– Mistrzu? – Rozmówca uniósł brwi z wyraźnym rozbawieniem. – Nie jestem jednym z twoich wykładowców adeptho. Możesz spokojnie mi mówić po pseudonimie, nie obrażę się.

– Wybacz... Ja wiem, że mistrz... że ty jesteś z pewnością zajęty, ale... – Zebrała się w sobie. – Ale czy mogę prosić o autograf?

Rozmówca uniósł brwi rozbawiony, ale prawie natychmiast wyjął pióro.

– Jak sądzę, powinienem się już przyzwyczaić... – rzekł, odbierając od kobiety książkę. Wykonał na niej swój zręczny podpis.

– Dziękuję uprzejmie.

– Powiedz mi, tak z czystej ciekawości... – rzekł, ponownie spoglądając na zegarek. – Czy Arcymag nadal osobiście prowadzi jakieś zajęcia?

– Tak. Mam z nim filozofię magii i teorię ras.

– Wyrazy najszczerzego współczucia. – Kobieta nie bardzo wiedziała co odpowiedzieć na to zdanie. – Wychodzi na to, że nadal czerpie satysfakcję z męczenia adeptów. Cóż... jak przypuszczam, niektóre rzeczy się nie zmieniają.

– Skąd ta siła... niechęć do Arcymaga?

– Dla przykładu, byłem z nim umówiony na dzisiaj, ale poinformowano mnie, że jest akurat zajęty i mam czekać. Siedzę więc bezczynnie już od pół godziny.

– Aj... tak. To brzmi jak nasz Arcymag.

– Cóż, nie powinienem być specjalnie zaskoczony. W końcu „Maga cnotą cierpliwość”.

– Hm... gdzieś już to słyszałam...

– Prawda? No ale moja cierpliwość jest już definitywnie na wyczerpaniu. Mam jeszcze inne sprawy do załatwienia w Tornhalu. – Tak rzekłszy, podniósł się z miejsca.

– Tak więc wybacz, ale zamierzam w niezbyt eleganckim stylu wymusić rozmowę z owym „Arcymagiem”.

Erinna kiwnęła głową z rozbawieniem i się pożegnała. Szczerze jednak mówiąc, rozmowa pogorszyła jeszcze jej humor. W jej umyśle powoli kształtowała się swego rodzaju męcząca irytacja. Słuchając najróżniejszych ludzi tego dnia, zaczynała mieć wrażenie, że stała się ofiarą dowcipów jakiejś grupy „zwolenników cierpliwości” czy czegoś podobnego. Nie bardzo jej się to podobało.

Ostatecznie wzruszyła ramionami obojętnie i zajęła miejsce natchnionego. Rozłożyła notatki i westchnęła przeciągle ze znużeniem. Następnie wyciągnęła z torby zegarek. Mniej więcej godzina. Spokojnie zdąży powtórzyć co najmniej połowę materiału. Uśmiechnęła się pod nosem o wiele spokojniejsza, a następnie przeciągnęła się, spoglądając na kamienny sufit.

Zmrużyła oczy i oparła głowę na splecionych dłoniach. Za każdym razem, gdy zagłębiała się w swoją ulubioną dziedzinę studiów, opanowało ją swego rodzaju uczucie błogości. Nic zresztą dziwnego. To właśnie możliwość nauki alchemii sprawiła, że zdecydowała się przejechać pół kraju, aby wstąpić do Tornhalskiej Akademii Magii. Naprawdę kochała pracę z eliksirami. Za nic nie potrafiłaby z niej zrezygnować. Uśmiechnęła się zadowolona i wzięła się za powtarzanie.

A przynajmniej spróbowała...

– Zaraz... – rzekła powoli, przypadkiem spojrzawszy na zegarek. – Coś chyba się popsuło... Jak to egzamin jest za dwie minuty?!

Zerwała się z miejsca przerażona i dopadła do okna. Zegar na szczycie akademii pokazywał jednakże identyczną godzinę. Zamarła w panice. Sala od alchemii znajdowała się na drugim końcu uczelni, a mistrz Denetar odmawiał wpuszczania spóźnialskich. Mogła sobie być jego ulubienicą, ale w tej kwestii naprawdę nie robił wyjątków.

Chwyciła torbę w biegu i pognęła najszybciej, jak potrafiła.

„Dwie minuty?” pomyślała, mijając bez zastanowienia adeptów „Nie ma szans. Ale może akurat mistrz sam też przyjdzie spóźniony...”

Pokonała trzy klatki schodowe i kilka korytarzy, wypadła na balkony, przemknęła przez most i poczęła wspinać się po krętych schodach wijących się wśród alchemicznych ogrodów porastających górę, w której znajdowała się akademika. Ostatecznie dopadła do głównej wieży, minęła przedsionek i znalazła się na miejscu idealnie w momencie, w którym drzwi otwierał starszy mężczyzna.

– Jeszcze ja! Jeszcze ja! – zawołała Erinna, zatrzymując się ostatecznie. Była cała obolała, a serce waliło jej jak młot.

– Ach... panna Fineris. – Uśmiechnął się czarodziej z zadowoleniem. – Znakomicie. Naprawdę nie wybaczyłbym sobie, gdybym akurat pani nie mógł wpisać zaliczenia.

– Przepraszam... – Kobieta wciąż nie mogła złapać oddechu. – Naprawdę przepraszam... za spóźnienie.

– Spóźnienie? Ależ spokojnie, żadnego spóźnienia nie ma. – Denetar wyjął z

kieszeni zegarek – Została jeszcze minuta.

– Minuta...? – zdziwiła się rozmówczyni, marszcząc brwi.

– Ależ tak. Akurat mój zegarek nigdy się nie myli. Proszę wejść i zająć miejsce.

Zajęcia, jak i egzaminy z alchemii odbywały się w tak zwanej wieży alchemicznej, na samym szczycie Tornhalskiej Akademii Magii. Z zielarstwa zresztą podobnie. Te dwie dyscypliny bowiem ze sobą ściśle współpracowały i miały jedną wspólną cechę. Były silnie uzależnione od uprawianych w uczelnianych ogrodach ziół i roślin. Te zaś porastały głównie szczyt góry, w której umieszczono akademię. Dla zaoszczędzenia miejsca zresztą wybudowano tam właśnie smukłą wieżę, a nie zwyczajny szeroki budynek.

– Witam serdecznie na teoretycznym egzaminie z alchemii – oznajmił mistrz Denetar, gdy znalazł się już w sali. – Uprzejmie proszę usiąść co dwa krzesła jak zawsze. Nie życzę sobie bowiem pracy zespołowej. Ze stołów ma zniknąć również wszystko prócz piór do pisania. Tymczasem zasady... sześćdziesiąt pytań wielokrotnego wyboru. Jeden punkt za każde. Dopuszczam połowy punktów, ale zaznaczenie odpowiedzi błędnej, wyzerowuje punktację za dane pytanie. Macie godzinę. Jakież wątpliwości?

– Czy jak się skończy, można wyjść wcześniej? – zapytał jakiś adept elfickiego pochodzenia.

– Nie. W takim przypadku należy uprzejmie czekać. Radzę pamiętać, cnotą maga cierpliwość.

„Nie no... ten też...?” westchnęła w myślach Erinna, odbierając spokojnie swój egzamin.

Położyła kartkę przed sobą, podpisała się, a następnie przeczytała kilka pierwszych zdań. „Wersja dla natchnionych” jak informował niewielki podpis na samej górze. Rozluźniła się z satysfakcją i ulgą. Arcymag żywił pewne specyficzne przekonanie, iż wszyscy adepci jego akademii powinni być traktowani sprawiedliwie. „Sprawiedliwie” w jego mniemaniu jednakże nie znaczyło równo, a według potrzeb i możliwości. Dlatego natchnieni, którzy nie musieli spać, a co za tym idzie, według Arcymaga, mieli więcej czasu na naukę, musieli zaliczać o wiele trudniejsze wersje egzaminów. To samo się tyczyło osób szczególnie uzdolnionych w jakiejś konkretnej dziedzinie. Erinna już po pierwszym semestrze poszła do gabinetu mistrza Denetara i osobiście poprosiła o ową trudniejszą wersję z alchemii. Zwykłe przestały jej wystarczać.

Spojrzała na pierwsze pytanie i ponownie uśmiechnęła się z satysfakcją. Choć jedna rzecz w tym przeklętym dniu miała się dobrze zakończyć. Gdyby tylko rozwiązanie głównego problemu było również tak proste...

– Hm... – wyrwał ją z zamyślenia głos wykładowcy, który z jakiegoś powodu stał w tym momencie tuż obok niej. – Zdaję sobie sprawę z pani zdolności panno Fineris, a także z satysfakcji, jaką pani daje podejmowanie wyzwań. Jednakże sugerowałbym zabrać się za rozwiązywanie testu, zanim czas się skończy.

– Oczywiście mist... – zamarła zaskoczona spojrzawszy na wiszący na ścianie

zegar.

„Jak to zostały trzy minuty?! Jakim cudem na Pana?!” pomyślała, ponownie czując, jak przerażenie ściska jej wnętrzności. Nie było dość czasu na zastanowienie. Zaczęła prędko czytać pytania i odpowiedzi...

Pierwsze, drugie, trzecie, czwarte...

„Co jest nie tak z tym dniem? Dlaczego jak nigdy wszystko wymyka się mi z rąk?”

Dziesiąte, jedenaste, dwunaste, trzynaste...

„Nie tylko mi zresztą. Trzcina również ma kłopoty”

Dwudzieste trzecie, dwudzieste czwarte, dwudzieste piąte...

„A Nerivna? Co jej przyszło do głowy, że zgodziła się na spacer z Eviliusem?”

Trzydzieste piąte, trzydzieste szóste, trzydzieste siódme...

„Czyżby rzeczywiście ktoś od samego początku działał na naszą niekorzyść? Całej naszej trójki?”

Czterdzieste szóste, czterdzieste siódme, czterdzieste ósme...

„Może oni również mają tragiczne problemy ze skupieniem tego dnia? I zamyślają się tak głęboko, że zapominają o żywym świecie? Czy naprawdę może tak być?”

Pięćdziesiąte ósme, pięćdziesiąte dziewiąte... sześćdziesiąte.

Zaznaczyła odpowiedź w ostatnim pytaniu, jakby zupełnie bez świadomości co pisze. Wszystko dookoła było takie dziwne...

– Szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć jakie specyfiki pani bierze, panno Fineris – rzekł mistrz Denetar skonfundowany, przyjmując od niej egzamin. – Ale jako specjalista, z całą pewnością mogę stwierdzić, że nie wyjdą one pani na zdrowie.

Erinna zdezorientowana mrugnęła kilkukrotnie, a następnie spojrzała na zegarek. Znowu została minuta.

– Proszę nie zapomnieć się podpisać – rzekł wykładowca, powoli ruszając w stronę swojego miejsca. – Osoby, które skończyły, mogą położyć egzamin na moim biurku i wyjść.

Kobieta wstała spokojnie, a następnie wymijając innych adeptów, skierowała się w stronę wyjścia. Po chwili znajdowała się ponownie na zewnątrz sali. Złapała się za głowę natychmiast.

„Co jest u licha...” pomyślała, pocierając czoło w zastanowieniu „To wygląda jak jakieś anomalie czasowe. Ale przecież według teorii Arcymaga, czas jest jedynym żywiołem, który na Devinesie nie powoduje anomalii...”

– O co chodziło mistrzowi Denetarowi Erinno? – Głos znajomej wyrwał kobietę z zadumy. – Czyżbyś po raz pierwszy miała problem z egzaminem?

– Cirinna... – Natychmiast rozpoznała koleżankę. – Nie, po prostu...

– Co ci jest? Jesteś chora? – spytała ponownie rozmówczyni, nie dając tamtej dokończyć. – Oczy masz strasznie zaczerwienione.

– Słucham? Oczy...? O nie...

– Coś się stało?

– Nawet nie wiesz, jak mi pomogłaś – oznajmiła Erinna, zapinając torbę i ruszając biegiem w stronę najdalszych drzwi. – Ale teraz muszę lecieć. Pogadamy później!

Niczym huragan wpadła do łazienki i stanęła przed lustrem. Rzeczywiście oczy pulsowały jej czerwoną barwą, jakby za długo patrzyła w exiliusową kulę podczas jasnowidztwa. Złapała się ponownie za głowę. Wszystko stało się jasne.

– Nie... nie, nie, nie, nie! – Uderzała się w czoło przy każdym słowie. – Idiotka!

Musiała ochłonać. I to jak najszybciej. Prędko dotknęła niewielkiego niebieskiego kryształu, a z otworu w ścianie popłynęła czysta zimna woda. Nabrała jej w dłoń, a następnie wylała ją sobie na twarz. Tak czy siak, bez porannej wizyty w łazience zapewne wyglądała tragicznie, więc nie sądziła, aby mogła jeszcze pogorszyć ten stan.

Oparła się na umywalce z determinacją i wzięła głęboki oddech. Jeszcze nic straconego. Należało po prostu działać. Jeżeli dopisze jej szczęście, zdoła wszystko uporządkować. Nie namyślając się długo, sięgnęła do torby i wyciągnęła jeden ze swoich ulubionych zeszytów na notatki. Otworzyła go mniej więcej w środku. „Eliksir Erinna-Nerivna”, jak informował sporej wielkości napis. Zaczęła kartkować.

– Skrócona analiza nertifów, przegląd składników, proces ważenia, szacowany czas dojrzewania... – szeptała pod nosem, w mig przypominając sobie wszystkie szczegóły. – Testy na zwierzętach – oznajmiła w końcu, docierając do ostatniej, prawie zupełnie pustej kartki. Westchnęła przeciągle, a następnie skreśliła tytuł i dopisała inny. – Testy na ludziach.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, aby nie pominąć żadnego szczegółu.

– Wizualne efekty działania: Zaczerwienione oczy, pulsujące źrenice.

Odczuwane efekty działania: Rozkojarzenie...? Hm... W zasadzie to akurat może być wina kaca oraz nagłego wyrwania się z łóżka. Pominąwszy problemy dzisiejszego dnia. Czyżby zatem brak? Hm... A niech będzie... I kluczowe, magiczne efekty działania...

Zastanowiła się chwilę, powoli ruszając w kierunku wyjścia. Nie do końca potrafiła opisać co dokładnie się z nią działo. Trzeba by przeprowadzić dokładne testy, a do tego niestety potrzebowała pomocy.

— Dobra, nieważne — rzekła, siadając na ławce przed salą z alchemii. — To się uzupełni potem. Powinnam jednak zanotować, po jakim czasie wystąpiły pierwsze symptomy... Tylko jak skoro nie wiem, kiedy dokładnie wypiałam eliksir? Deniquate...

Westchnęła, chowając zeszyt z powrotem do torby. Jak tak dalej pójdzie, najważniejsza część projektu, czyli efekty i wnioski będą strasznie wybrakowane. Może lepiej po prostu spokojnie poczekać na pomoc przyjaciół?

Otworzyła powoli oczy. Sufit. A przynajmniej głównie sufit. Skąpany w jakimś dziwnym zielonkawym świetle. Zaraz... Usiadła natychmiast, mało nie doprowadzając do zawału pochylonego nad nią mężczyzny.

– Erinna bogowie, nie strasz mnie – rzekł przyjaciel, dezaktywując swoje uzdrowicielskie zdolności.

– Trzcina? Nerivna? – spytała, dostrzegłszy również koleżankę. – Co wy tu robicie?

– Martwimy się o ciebie głównie – odparł natchniony, kładąc jej dłoń na czole. – Znajdowałaś się przed chwilą w jakimś dziwnym transie, jakbyś oberwała klątwą snu. Nie wyczułem jednakże ani śladu tej magii. Zresztą oczy miałaś otwarte. Mrugałaś co prawda dziwnie wolno...

– Mówiłam, że powinniśmy zawołać specjalistę – stwierdziła Nerivna z niezadowoleniem.

– Specjalistę? Na bogów, za pięć dni miałem mieć ostatni egzamin na uzdrowiciela! Kimże jestem jak nie specjalistą?

– To dlaczego twoja wizja nic nie wykryła?

– Nie powiedziałem, że nic nie wykryła, tylko że nic z tego nie rozumiem. Słuchaj mnie proszę uważniej.

– Uspokójcie się oboje – wtrąciła się w końcu Erinna, chwyciwszy się za głowę w zastanowieniu. – Nic mi nie jest.

– Czyżby? – Przyjaciel uniósł brwi z powątpiewaniem. – Przed chwilą jeszcze leżałaś w dziwnym letargu, a teraz już nagle nic ci nie jest?

– Cicho. Mam dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że wiem już gdzie się podział nasz eliksir Nerivno.

– Naprawdę? – Ucieszyła się natychmiast koleżanka. – Gdzie?

– I to jest właśnie ta zła wiadomość – Kobieta z westchnieniem wskazała na swój brzuch. – No więc mniej więcej tutaj.

– Wypiłaś go?! – Nerivna nie mogła uwierzyć. – Czyś ty oszalała dziewczyno?!

– Hej, zrobiłam to po pijanemu, więc nie moja wina. Szczerze mówiąc, nawet tego nie pamiętam.

– Skąd więc wiesz, że rzeczywiście... – zaczął Trzcina, ale przerwał w pół zdania. – Ach. Letarg prawda?

– Nie do końca, choć jak przewiduję, letarg również jest skutkiem. Czy wciąż mam czerwone oczy?

– Owszem. I trochę dziwnie pulsują.

– W takim przypadku na pewno go wypijałam. Na podstawie składników potrafię przewidzieć część efektów ważonego eliksiru.

– Rozumiem – Przyjaciel zmienił nagle ton na wyjątkowo poważny. – Erinna, Nerivna, ja wiem, że dokładna treść waszego projektu jest dla większości tajemnicą, bo wiążecie z nim swoją dalszą karierę po akademii, ale w tej chwili jako wasz lekarz, żądam, abyście natychmiast mi wyjaśniły dokładnie, CO TEN ELIKSIR MIAŁ ROBIĆ.

– Ech... – Nerivna ukryła twarz w dłoniach. – Jak sądzę, nie mamy innego wyjścia...

– Absolutnie żadnego – doprecyzował natchniony.

– Hm... od czego zacząć...

– Proponuję od początku.

– No więc... na pomysł wpadliśmy podczas zajęć z teorii żywiołów.

– Wymyśliłyście projekt z alchemii i zwierząt magicznych na zajęciach z żywiołów...?

– Tak. Wykładowca tego dnia opowiadał o tym, że manipulując czasem, można go tak spowolnić, że z perspektywy wszystkich innych człowiek staje się niesamowicie szybki. Niestety... w całej historii Voimsisu znajdziesz chyba z dwie osoby, które były w stanie opanować ten rodzaj magii.

– Nawet chyba wiem które... – wtrącił cicho Trzcina.

– Zjawisko jest więc raczej nieprzydatne dla większości ludzi. Jako zadanie domowe, na kolejne zajęcia miałyśmy zatem poszukać alternatywy.

– Pieczęć szybkości? – zaproponował natchniony, wzruszając ramionami. – Magia światła? Eliksiiry prędkości? Żadne z nich zapewne nie jest równie skuteczne co manipulacja czasem, ale to z pewnością rozsądne alternatywy.

– Prawda – zgodziła się natychmiast Erinna – I właśnie między innymi je pierwotnie chciałyśmy podać. Nerivna jednakże wpadła na inny pomysł.

– To był jeden z końców czterdziestodnia, na który wracałam do domu, do Okręgu Meridiońskiego. Moja rodzina mieszka nad Szmaragdową Zatoką, wspominałam chyba kiedyś.

– Możliwe...

– Występują tam pewne... anomalie magiczne.

– Jak na całym Devinesie – ponownie wtrącił Trzcina, wzruszając ramionami. – Ten kontynent to jeden wielki plac zabaw dla anomalii żywiołów.

– Będąc precyzyjnym, anomalia Szmaragdowej Zatoki jest anomalią wody. No więc kilka razy dziennie, na samym środku zatoki, podnosi się nagle wielki słup wody. Oczywiście z tego powodu poziom morza opada o kilka metrów. Następnie, dosłownie parę sekund później woda sobie przypomina, jak powinna działać i z głośnym pluskiem spada z powrotem na dół, wywołując dość silne fale. Jak pewnie sobie wyobrażasz, żaden statek nie wpływa do naszej zatoki...

– Jaki to ma związek z waszym projektem?

– Już do tego dochodzę, spokojnie. Bo widzisz... nad Zatoką Szmaragdową żyją istoty zdolne wykorzystać zjawisko wodnej anomalii.

– Wykorzystać?

– Owszem. Nazwałam je nertifami. To takie... hm... – Zastanowiła się chwilę. – Jakby to wytłumaczyć, aby laik zrozumiał. Krabopodobne istotki. Naprawdę niewielkie. No więc gdy poziom morza obniża się o kilka metrów z powodu anomalii, nertify wybiegają na pokryty wilgocią teren w poszukiwaniu pożywienia. Następnie, gdy fala wraca, uciekają z powrotem na ląd. I tak w kółko. W ten sposób z

niesamowitą skutecznością omijają wodnych drapieżników.

– Ale przecież powiedziałaś, że anomalia trwa jedynie kilka sekund i zdarza się jedynie parę razy dziennie. Ile niby zdążą przez ten czas zjeść?

– I właśnie w tym rzecz! – wykrzyknęła z satysfakcją Nerivna. – Tyle ile potrzeba, bo podczas trwania anomalii są niesamowicie szybkie!

– Co...?

– Ledwo da się je dojrzeć. Zdałam sobie sprawę z ich istnienia tylko dlatego, że mieszkalam tam całe dzieciństwo. Poza okresem anomalii bowiem tkwią zakopane w piasku. Tak więc, wracając do naszego projektu. Zastanawiałam się na brzegu naszej zatoki nad zadaniem domowym i zobaczyłam nertify. Zapewne sobie wyobrażasz, że będąc osobą na specjalizacji magicznych zwierząt, niesamowicie mnie zaciekały. Postanowiłam więc wspomnieć o nich przy wymienianiu alternatyw dla manipulacji czasem.

– I...?

– Pamiętasz jakie zajęcia prowadzi Arcymag?

– Filozofię magii, praktykę magii ognia, teorię ras i... teorię żywiołów – dokończył po krótkim zastanowieniu. – Opowiedziałaś Arcymagowi o tych nertifach? I co on na to?

– Nie uwierzysz. Nigdy o nich nie słyszał!

– Faktycznie, nie wierzę.

– Ale szczerze mówiąc, nie powinno nas to zaskakiwać. – Nerivna dosłownie iskrzyła energią, jak zawsze, gdy ktoś pytał ją o jej ukochaną naukę. – Po prostu nikt nigdy ich nie opisał! Pamiętaj, że kontynent, na którym mieszkamy, jest najslabiej zbadanym miejscem na świecie. A to oznaczało, że natrafiłam na coś zupełnie nowego, coś, co mogło mi w przyszłości zapewnić miejsce w środowisku naukowym!

– Wówczas przyszła z tym do mnie – kontynuowała opowieść Erinna – i opowiedziała o swojej teorii, według której nertify korzystają z magii do przyspieszenia.

– Hm... – Trzcina podrapał się po głowie z zastanowieniem. – Nie ma ich w spisie magicznych zwierząt, z tego, co pamiętam.

– Jeśli mi się uda, wkrótce będą! – Nerivnie oczy szklily z podekscytowania.

– Najpierw musiałyśmy jednak udowodnić tę teorię. Przekonałam Nerivnę, iż najlepszym na to sposobem jest uwarzenie eliksiru. Jeżeli przyspieszenie jest rzeczywiście cechą magiczną, powinnam zdołać dokonać jej ekstrakcji i przeniesienia do formy mikstury. I stąd nasz projekt. Nerivna w swojej części opisuje dokładnie nertify i swoją teorię, ja zaś usiłuję stworzyć zupełnie nowy eliksir, który tę teorię potwierdzi. Pomysł został zatwierdzony przez władze uczelni.

– I wszystko szło dobrze. – Nerivna posmutniała nagle. – Do momentu aż pewnej osobie przyszło do głowy, aby naszą miksturę wypić.

– Hej, przecież mówiłam, że nie robiłam tego przy pełnej świadomości. To był przypadek.

– Ale twoje upicie nie było przypadkiem – skrytykował ją Trzcina z

niezadowoleniem. – W tej kwestii niestety możesz winić jedynie siebie. Poza tym... przykro mi mówić, ale eliksir nie działa.

– Właśnie że działa.

– Niby czemu? – Nerivna pokręciła głową smutno. – Bo masz zaczerwienione oczy? Sama mówiłaś, że ten uboczny efekt zostanie spowodowany dodatkowymi składnikami. Poza tym zapadasz w dziwny letarg. Pewnie coś pokręciłaś przy ważeniu. Albo może od początku się myliłam?

– Czekaj. Mówię ci, że eliksir działa. Tylko nie w taki sposób, w jaki myślałyśmy. Owszem, co jakiś czas zapadam w letarg, ale mam też niespodziewane okresy przyspieszenia.

– Naprawdę?! – Oczy koleżanki ponownie zaszkliły. – Jak dużego? I jakie to uczucie? I... skąd ten letarg?

– Osobiście uważam, że będziesz musiała nieco zmienić swoją teorię w projekcie. Oto jak sądzę, że jest... Nertify, gdy nie ma anomalii, siedzą zakopane w piasku prawda? No więc sądzę, że wówczas nadnaturalnie spowalniają, jakby gromadząc energię czy coś. Dlatego zresztą tak łatwo mogłaś je złapać do naszego eliksiru. I stąd właśnie letarg.

– Gdy zaś zaczyna się anomalia, uwalniają całą zgromadzoną energię do przyspieszenia! – Koleżanka natychmiast załapała. – GENIALNE! Na pewno właśnie tak jest!

– Zaraz... – Trzcina chyba nie bardzo nadążał. – Wypiłaś miksturę zrobioną z... skorupiaków?

– Uprzejmie proszę, nie poruszaj tego tematu przy Nerivnie. Przez trzy dni miała koszmary po tym, jak cięłam jej ukochane zwierzątka na drobne kawałeczki.

– Nie przypominaj. Ale Erinno, wyjaśnij mi proszę... skoro przed chwilą miałaś okres letargu, czy to nie znaczy, że teraz powinnaś...

– Przyspieszyć? Możliwe. Aczkolwiek nie wiem, czy to działa tak od razu. Pomyślmy... – Zmierzwiała swoje gęste krótkie włosy. – Ile razy już dzisiaj zadziało...? Dwa? Chociaż... Trzcina.

– Tak?

– Byłeś zdziwiony, jak szybko wróciłam z sali medytacji prawda? Pamiętasz, ile dokładnie czasu spędziłam w środku?

– Z trzy sekundy? – Przyjaciel wzruszył ramionami. – Usiłowałam ci przecież wówczas powiedzieć, że to dziwne. Ale kiedy na bogów dałaś radę się naładować? Nie przypominam sobie letargu.

– Nic dziwnego, poszedłeś wtedy porozmawiać ze swoją opiekunką od uzdrowicielstwa.

– Ach, czyli wcale wtedy zwyczajnie nie przysnęłaś? Bardzo dobrze. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja dziewczyno.

– Wnioskując – wtrąciła Erinna wyjąwszy wcześniej zeszyt i pióro. – Okres ładowania następuje w chwilach... hm... odprężenia bądź uspokojenia? Nie jestem całkowicie pewna... Okres przyspieszenia natomiast, w momencie, gdy badany wie, iż

musi zrobić coś jak najszybciej.

– To cudowne! – Uradowała się, Nerivna tryskając energią. – Miałam rację! Od początku miałam rację! Trzeba to dokładniej zbadać!

– Nie – zabronił Trzcina stanowczo. – A przynajmniej nie teraz. Takie sprawy nie powinny być testowane od razu na ludziach.

– Aj rozchmurz się. – Uśmiechnęła się Erinna, zamykając notatki. – Wiem, że się martwisz, ale my możemy naprawdę uznać sprawę za sukces. Na Pana... ten dzień jednak jest wspaniały.

– Cóż... nie do końca mogę się w tej kwestii zgodzić – westchnął przyjaciel ze smutkiem, składając ramiona.

– Dlaczego? Stało się coś? Ach... sprawa plagiatu. – Przypomniała sobie sytuację sprzed egzaminu. – Jak poszło?

– Plagiatu...? – Nerivna zdziwiła się szczerze, słysząc to słowo. Przyjaciółka na szybko wyjaśniła jej sytuację.

Trzcina usiadł na ławce i oparł łokcie na kolanach, tym samym jeszcze bardziej wzbudzając niepokój dziewczyn.

– Źle. W większym skrócie. Okazało się, że faktycznie jedna z prac jest niesamowicie podobna do mojej.

– Ale... – Erinna szukała odpowiednich słów. – Ty przecież nie...

– Nie oszukiwałem? Oczywiście, że nie. – Natchniony obruszył się z niezadowoleniem. – Mam swój honor. I wiem, czym to grozi. I nikomu nie dałem również projektu do odpisania. W takim przypadku jednak ktoś go musiał skopiować bez mojej wiedzy. Oczywiście to samo powiedziałem mistrzowi Nevrinowi. Niestety... wygląda na to, że ta druga osoba, kimkolwiek jest, bo mistrz nie chciał powiedzieć, również twierdzi, że to ona została wykorzystana.

– Co?! – Nerivna rozwarła szeroko oczy z gniewu. – Czyli nie dość, że oszukiwała i została na tym przyłapana, to nie potrafi się zachować z godnością i do tego przyznać?! Przecież w ten sposób zamiast jednej osoby, zostaną ukarane dwie! Po co ciągnie cię za sobą?!

– Cóż... jest różnica w mówieniu znajomym „zostałem wyrzucony z akademii, bo oszukiwałem”, a „zostałem wyrzucony z akademii, bo mnie oszukano”. – rzekł Trzcina zmęczonym głosem. – A przynajmniej sądzę, że o to chodzi.

– I dlatego niszczy przyszłość niewinnej osoby? A to darthan...

– Czy już naprawdę nic nie da się zrobić? – zapytała spokojniej Erinna.

– Raczej nie. Usiłowałem wyjaśnić sytuację mistrzowi Nevrinowi, ale w zasadzie nie mam żadnego dowodu winy tej drugiej osoby. W dodatku mistrz chciał ze mną o tym porozmawiać bezpośrednio na zajęciach, tuż po oddawaniu projektów, ale jak pamiętasz, pominęliśmy dzisiaj kłatownictwo teoretyczne. Choć dziwnym trafem na liście obecności byłem. Chyba mu się to bardzo nie spodobało...

– Na Bezimienną, Trzcina! W takim przypadku to moja wina! – zawołała Erinna, ukrywając twarz w dłoniach. – Nie poszliśmy na kłatownictwo tylko dlatego, że zniknął ten głupi eliksir. Na Pana, jak mogłam być tak głupia i tyle pić wczoraj! Przeze

mnie wylecisz ze studiów!

– Czekaj, nie to miałem na myśli. Nie obwiniam cię zupełnie. Nie wiemy, czy zdołałbym się podczas zajęć z tego wytłumaczyć. Może skończyłoby się to zupełnie tak samo.

– I nic już naprawdę nie możemy zrobić? – zapytała Nerivna, składając razem ramiona ze zmartwieniem.

– Nie sądzę. Nevrin się uparł. Ba! Nawet nie chciał mi powiedzieć, kto ode mnie odpatrzył. A szkoda, bo zaraz bym poszedł i spuścił tej osobie srogie manto. Darthan jeden... chociaż faktycznie okoliczności przemawiają przeciw mnie. Mój współlokator nawet nie chodzi na klątownictwo, a nie bardzo miałem pomysł, kto inny mógł to zrobić.

– Co teraz...?

Trzcina wzruszył ramionami z rezygnacją.

– Nevrin właśnie wypełnia papiery, a potem zanosí je do Arcymaga. Arcymag je przejrzy i...

– I wyrzuci cię z akademii – dokończyła za niego Erinna. – Deniquate! Że też musimy mieć tak krnąbrnego Arcymaga, z obsesją na punkcie wszystkich możliwych zasad.

– Cóż... przynajmniej sam również się ich trzyma.

– Nie przeczę... hm... – Przyjaciółka ponownie zmierzwiła swe włosy. – Powiedziałaś, że kiedy Nevrin zanieś papiery?

– Ciężko stwierdzić, ale zamierzał je wypełnić tuż po naszej rozmowie. Pewnie już skończył, ale i tak będzie musiał poczekać, aż Arcymag otworzy swój gabinet. Cemu pytasz...?

– Hm... Cóż... chyba mam pomysł.

Trzcina już chciał zapytać, jaki dokładnie, ale gdy uniósł głowę, Erinny już nie było.

– Czy ona właśnie...? – spytał nieco zdezorientowanym tonem.

– TO DZIAŁA! – wykrzyknęła Nerivna, natychmiast zmieniając swój nastrój. Została jednak ocucona przez pełne dezaprobaty spojrzenie natchnionego.

– Uspokój się. Musimy ją jak najszybciej znaleźć.

– Chyba nie myślisz, że zdołamy ją w tej sytuacji dogonić...

– Nie mamy wyjścia. Mam gdzieś czy wasz eliksir działa ani też co Erinna zamierza zrobić. Jestem jednak uzdrowicielem i z całą pewnością mogę powiedzieć, że takie przyspieszanie ma tragiczne i długotrwałe efekty dla ludzkiego organizmu. A nie wybaczyłbym sobie, gdyby moja przyjaciółka zrobiła sobie krzywdę z mojego powodu.

Erinna biegła najszybciej jak tylko potrafiła. Tym razem jednakże nieco bardziej zwracała uwagę na swoje otoczenie. Przebywający na korytarzach ludzie faktycznie poruszali się dziwnie wolno niczym w gęstej zupie. Nie zamierzała jednak tracić czasu na podziwianie tego niecodziennego widoku. Umysł skupiła na celu. Musiała zdążyć, a nie potrafiła nawet powiedzieć, jak wiele energii zgromadziła podczas letargu i na jak długo wystarczy. Bądź co bądź, było to pierwsze użycie podobnego eliksiru w historii.

Ostatecznie daleko przed nią pojawił się w końcu upragniony cel. Gabinet mistrza Nevrina. O ile dobrze się Erinnie wydawało, jeżeli nie chce wyjść z okresu przyspieszenia, nie powinna się w ogóle zatrzymywać. Chociaż kto wie, jak to dokładnie działało.

Dopadła do drzwi, nacisnęła klamkę i prawie natychmiast była w środku. Wykładowca zgodnie z przewidywaniami Trzciny znajdował się wewnątrz, ale w tej chwili szukał chyba czegoś na regale z książkami, więc nie miał szans zobaczyć intruza. Adeptka podbiegła do biurka i spojrzała na leżące na nim dokumenty. Kilka wniosków, notatek i innych nieznanych kobiecie papierów. Ostatecznie jednak odnalazła zgubę. Potwierdzenie plagiatu między natchnionym Trzcina a... Arionem Gaterem? To on skopiował projekt Trzciny?

„Oczywiście!” Erinna stuknęła się w głowę, gdy wszystko wskoczyło na swoje miejsce „Trzcina wspominał, że w piąte dni udziela mu korepetycji. A kłótnictwo jest przecież w szóste. Arion nie mając projektu, pewnie nie mógł się powstrzymać. A to darthan...”

Zabranie dokumentów odpadało. Nevrin z pewnością by zauważył i wypełnił po prostu kolejne. Jeszcze zapewne powstałaby afera, iż ktoś mu się do gabinetu włamał. Na szczęście istniało inne wyjście. Arion z pewnością nie wyniósł wypracowania Trzciny z jego kwatery. Jej przyjaciel by to zauważył. Co oznacza, iż je przepisał w trakcie korepetycji, zapewne na brudno. Kolejnym etapem była więc...

Drobny dźwięk wytrącił ją z rytmu. Mistrz Nevrin się odwracał. Erinna nie namyślając się długo, prawie dosłownie wyskoczyła z gabinetu i prędko zamknęła za sobą drzwi z trzaskiem. Wykładowca zapewne zdziwi się skąd ten hałas, ale do tego czasu kobieta zamierzała już zniknąć z okolicy. Puściła się pędem, nie bacząc na przechodniów.

Zatrzymała się dopiero dwa piętra wyżej i jedynie dlatego, iż jej ciało zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Dyszała ciężko, a bijące szybko serce uparcie informowało, że przesadziła. Potrzebowała przerwy.

„Jeśli chce się dostać do kwatery Ariona, będę potrzebowała jego klucza” pomyślała, siedząc na podłużnej ławce na korytarzu. Marne szanse, aby wpuścił ją do mieszkania dobrowolnie. Pozostawało więc ukraść ów przedmiot. Oczywiście stanowiło to wykroczenie, za które mogłaby zostać wyrzucona z akademii, ale z drugiej strony, działanie Ariona powodowało, że taki los czekał całkowicie niewinną osobę. Jak mógł w ogóle od razu nie przyznać się do winy?

– Muszę go znaleźć – oznajmiła, wstając z miejsca.

Na szczęście doskonale wiedziała, gdzie w tej chwili powinien przebywać. Nic zresztą dziwnego, była przecież w jego grupie. Jakiś czas później stała już przed salą z teorii żywiołów. Zajęcia zaczęły się już dawno, a ona nie mogła użyć przyspieszenia bez wcześniejszego letargu, więc pozostało jej jedynie zwyczajne wejście. Nieco zdenerwowana zapukała, a następnie otworzyła drzwi i przekroczyła próg.

– Panna Fineris – odezwał się bezbarwny głos stojącego przy tablicy natchnionego. Miał czerwoną szatę z czarnymi naszywkami, a dookoła niego lewitowały otwarte książki, otwarcie informując, iż w pobliżu przebywa telekinezysta. Arcymag wydawał się spokojny jak zawsze. Niestety z równym spokojem zdarzało mu się jednym skinieniem przekreślać przyszłość naukową swoich uczniów albo skazywać na niepowodzenie nawet najlepsze ustawy uchwalane w Radzie Zjednoczonych Sektorów. — Przewodnicząca grupy o ile się nie mylę — dodał po chwili ciszy. — Spóźniona. Rozczarowujące. Cóż... jak mawiają lepiej późno niż wcale prawda? Proszę zająć miejsce.

Kobieta skinęła prędko, a następnie usiadła w swoim zwyczajowym miejscu. Arcymag bezceremonialnie wznowił wykład.

– Stało się coś? – usłyszała szept siedzącej obok koleżanki. — Po egzaminie z alchemii uciekaś mi, nic nie wyjaśniając. A teraz się jeszcze spóźniasz. Na pewno się dobrze czujesz? Oczy masz wciąż zaczerwienione...

– Wszystko w porządku – odparła adeptka również szeptem. — Dziękuję za troskę Cirinno. Chociaż w zasadzie, mogę mieć prośbę? – spytała, utkwivszy wzrok w siedzącym kilka ławek dalej Arionie.

– Jasne, w czym rzecz?

– Jeżeli bym się mocno zamyśliła, mogłabyś jakoś zwrócić moją uwagę, powiedzmy... dziesięć minut przed końcem wykładu? Ale nie wcześniej.

– Jasne. Bezproblemowo. Dużo kłopotów na głowie co?

– Mniej więcej...

Głos wykładowcy, tłumaczącego zawite związki między poszczególnymi żywiołami, odbijał się od ścian w prawie idealnej ciszy. Do egzaminu z tego przedmiotu nie pozostało już za wiele czasu, dlatego większość adeptów słuchała z uwagą, usiłując zrozumieć trudną teorię najbardziej widowiskowej magii Voimsisu. Zwłaszcza że duża część osób ten przedmiot oblewała...

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka śmiało wmaszerował młody mężczyzna. Wyglądał mniej więcej na dwudziestolatka, choć w rządzonej przez natchnionych Krainie Sektorów, wygląd bywał zwodniczy. Równie dobrze mógł mieć pięćset. Przybysz w każdym razie miał na twarzy zawieszony technokular, co jednoznacznie wskazywało na jego profesję.

– Hej, Arcymagu, sprawa jest – odezwał się nonszalancko, zbliżając się do wykładowcy.

– Elko... znowu – odparł czarodziej, unosząc w górę brwi. — Jak rozumiem, nie potrafisz dostosować się do zasad mojej akademii i nadal zamierzasz przeszkadzać mi w pracy?

– Pragnę przypomnieć, że jestem tutaj tylko i wyłącznie na twoją prośbę. W każdym razie zmodyfikowałem generator pod twoje potrzeby i powinienś jak najszybciej sprawdzić, czy... – przerwał, zobaczywszy tablicę wypełnioną przeróżnymi symbolami żywiołów. Zwrócił się nagle do adeptów. – Nie no nie mówcie mi, że on nadal wpaja wam do głowy te wszystkie brednie.

– Brednie...? – spytał bezbarwnie Arcymag, ponownie unosząc swoje brwi.

– Co omawiasz? – spojrzał na lewitujące książki. – Dualne oddziaływanie magii lodu na żywioł ognia? Przecież to bzdura.

– Czyżby...?

– Owszem. Mogę udowodnić.

– Nie sądzę...

– No to patrz. – Jednym zamachem zmazał większą część tablicy. Następnie chwycił kredę. – Sprawa jest trywialna.

– Hej... Erinnna. — Lekkie szturchnięcie wyrwało adeptkę z zamyślenia. — Prosiłaś, abym zwróciła twoją uwagę — szepnęła koleżanka. — Wykład się niedługo skończy.

Kobieta otrząsnęła się z zadumy i kiwnęła głową w podziękowaniu. Potem spojrzała ku biurku wykładowcy. Dziesiątki najróżniejszych liczb wypełniały niemalże całą tablicę, wprawiając większość uczniów w dezorientację. Pełnego energii technomaga jednakże zupełnie to nie zniechęcało.

– Ha! – zawołał, dopisując koniec olbrzymiego równania. – W takim przypadku łatwo zauważyć, iż oddziaływanie magii lodu na żywioł ognia jest zerowe. Co należało dowieść.

Zapadła krótka cisza, w której dało się jedynie słyszeć ciche westchnienie Arcymaga. Po akademii chodziła plotka, iż tych dwóch natchnionych konkurowało w podobny sposób od wielu lat. I nie sposób było stwierdzić, dlaczego nikt ich nie nigdy nie powstrzymał.

Ostatecznie czarodziej już miał zabrać głos, kiedy nagle jeden z adeptów na sali odezwał się, podnosząc nieśmiało dłoń.

– Ale panie Elko. Tam jest błąd.

– Błąd? – Technomag natychmiast ponownie odwrócił się do tablicy. – Niemożliwe. Gdzie?

– Mniej więcej w połowie – odparł rozmówca już nieco głośniej. – Korzysta pan z prawa Akhila, a nie założył pan przestrzeni trójmediowej.

Większość przebywających na sali osób wydawała się zdziwiona, że ktoś w ogóle zdołał zrozumieć zapisane na tablicy liczby. A co dopiero znaleźć w nich błąd. Mimo to młodzieniec wydawał się pewny swego.

– Ach... rzeczywiście... – Mężczyzna zacisnął szczękę z niezadowoleniem. – Nie martwcie się, zaraz to uwzględnię...

– Wystarczy Elko – przerwał mu Arcymag, jednym skinieniem zmazując niemal cały wywód technomaga. – Nie mamy czasu dla kogoś, kto popełnia błąd w tak... pozwolę sobie zacytować... „trywialnej sprawie”. Wracaj do pracy.

Tak rzekłszy, spojrzał spokojnie na swoich nieco zdeorientowanych uczniów. Kiedy jednak jego wzrok dotarł do miejsca, zajmowanego zazwyczaj przez ulubienicę mistrza alchemii, nie zobaczył nikogo.

– Interesujące... – rzekł, gładząc się po brodzie z zaciekawieniem.

Drzwi do sali zamknęły się powoli i bez wyraźnej przyczyny.

Erinna otworzyła z wolna oczy i zobaczyła delikatne światło żeńskiej łazienki. Wstała i przeciągnęła się niczym po długim głębokim śnie. Potem wyrzała ostrożnie na korytarz. Nie miała pewności, ile tym razem trwał letarg, ale Arion powinien już być na następnych zajęciach. Co oznaczało, że w najbliższym czasie nie miał jak wrócić do swojej kwatery. Niepewnie wyciągnęła z kieszeni niewielki metalowy klucz, niemalże identyczny, jak jej własny.

– Najlepiej chyba będzie zostawić go u niego w kwaterze – powiedziała cicho, gładząc się po szyi. – Przy odrobinie szczęścia pomyśli, iż zostawił pomieszczenie otwarte i zapomniał klucza. Nie powinien się nad tym dłużej zastanawiać, skoro ma oskarżenie o plagiat na głowie...

Nagle dostrzegła na korytarzu znajomą twarz. Nie namyślając się dłużej, wyszła z łazienki.

– Nie powinnaś być na zajęciach Nerivno?

– Matko nie strasz mnie! – Koleżanka aż podskoczyła z zaskoczenia, a następnie spojrzała na rozmówczynię z dezaprobatą. – Czyli to tutaj się schowałaś. Nijak nie mogliśmy cię znaleźć.

– Znaleźć...?

– Tak. Szukaliśmy cię z Trzcina. W sumie on pewnie nadal szuka.

– Ale po co?

– Aby przekonać cię, byś więcej już nie przyspieszała. Trzcina uważa, iż to niebezpieczne dla zdrowia.

– Kiedy nie mogę – zaprzeczyła kobieta stanowczo. – Dzięki temu jestem chyba w stanie udowodnić, że Trzcina nie brał udziału w plagiacie. A to jedyna opcja, aby nie wyleciał z Akademii.

– Czyli w skrócie postanowiłaś podjąć ryzyko i zostać testerką naszej mikstury – pochwaliła Nerivna entuzjastycznie. – Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Mam nadzieję, że zapisujesz wszystkie spostrzeżenia.

– Em... cieszy mnie twoja postawa, choć z drugiej strony jestem trochę zaniepokojona, iż zupełnie nie przejmujesz się zdrowiem przyjaciółki.

– Wielkie odkrycia bywają okupione wielką ofiarą! Nawet jeśli umrzesz dzisiaj, przyspieszając się na śmierć, zapamiętam cię jako bohaterkę!

– Tak... w takich momentach nieco mnie przerażasz. A tak w ogóle to, gdzie jest Trzcina?

– Nie mam pojęcia. Rozdzieliliśmy się dość niespodziewanie.

– Czemu?

Postawa przyjaciółki błyskawicznie zmieniła się z pełnej naukowego entuzjazmu na nieco zawstydzoną. Dziewczyna złączyła dłonie za sobą i spojrzała na podłogę, przygryzając usta. Było to niesamowite, jak łatwo dało się odczytać jej nastrój.

– No bo wiesz... kiedy cię szukaliśmy, wpadliśmy przypadkiem na Eviliusa i ja...

– Znowu mu zwiąsał? – Erinna westchnęła, a następnie oparła ręce na biodrach, jakby podejmując jakąś decyzję. – Wystarczy tego Nerivna. Staralam się nie wtrącać, ale naprawdę mam już dosyć. Masz mi natychmiast powiedzieć, dlaczego tak właściwie nie lubisz Eviliusa.

– Mmm... – Przyjaciółka przestępowała niepewnie z nogi na nogę. – To nie jest tak, że go nie lubię... Lubię w zasadzie...

– No to o co chodzi na Pana?! Jeżeli nie podoba ci się, jak usiłuje zwrócić twoją uwagę, mogłabyś mu to po prostu powiedzieć. Ale jak tak się właściwie zastanowię, to nie wyglądałaś nigdy na niezadowoloną z tego powodu.

– No nie wiem...

– Nie powiesz mi, że nie cieszyłaś się, że jak gdy byłaś chora, napisał ci notatki z wszystkich zajęć. Albo jak sprawił, że do okna naszej kwatery wspiął się kwitnący bluszcz. Jak on w zasadzie to w ogóle zrobił...?

Nerivna zachichotała.

– Kupił zaklęte nasiona od jakiegoś natchnionego druida. Sam musiał jednakże dowiedzieć się, które okno jest nasze. Może użył magii wiatru?

Erinna usłyszawszy radosną nutę w głosie rozmówczyni, zaatakowała błyskawicznie.

– Widzisz? Wcale ci się to nie nie podoba.

– No... może i faktycznie nie...

– Zatem o co ci u licha chodzi dziewczyno?

– No bo... widzisz... on jest astriadem...

– Nawet mi teraz nie mów, że przeszkadzają ci szpiczaste uszy czy fioletowe oczy.

– Nie. Po prostu... Jest trzy razy starszy od nas i... jakoś mnie to peszy.

– Nerivna, przecież astriadzi żyją nawet do pięćsetki. – Adeptka ukryła twarz w dłoniach załamana. – W przeliczeniu na nasz wiek jest w zasadzie od ciebie młodszy.

– No ale... sama świadomość sprawia, że czuję się podrywana przez sześćdziesięciolatka.

Erinna westchnęła ponownie i zamyśliła się na chwilę. Następnie zapytała stanowczo:

– Gdzie spotkaliście Eviliusa?

– Przy wejściu na balkony. Czytał coś. Czemu pytasz?

– Dobrze. – Chwyciła przyjaciółkę za nadgarstek i poprowadziła żwawo korytarzem. – Idziemy.

– Hę?

– Wiesz, gdy Evilius usłyszał, że nas okradziono, z własnej woli zaproponował pomoc. Moim zdaniem zasługuje na prawdę. Dlatego pójdziesz do niego w tej chwili i jeżeli rzeczywiście nie jesteś nim zainteresowana, otwarcie mu to powiesz.

– Co?! Nigdy w życiu!

– Weź się w garść dziewczyno. Masz osiemnaście lat. Niektórzy w tym wieku mają już dzieci. A ty nie potrafisz powiedzieć znajomemu z roku, aby się odczepił.

– Kiedy ja...

– Jeśli nie dla siebie, pomyśl o swojej przyjaciółce, która przechodzi dzisiaj przez istne piekło. Naprawdę. Pomyśl o mnie i choć raz zrób coś sensownego. Dla dobra nas obojga.

Przeszły kilka korytarzy, dwie klatki schodowe, aż ostatecznie i oczom ukazało się wejście na balkony, gdzie faktycznie siedział szpiczastouchy adept, czytający bliżej nieokreśloną książkę. Na ich widok wstał natychmiast.

– Dziewczyny... – powiedział powoli, ale nie dane mu było dokończyć.

– Evilius – rzekła Erinna, dosłownie wypychając przed siebie przyjaciółkę. – Nerivna chciałaby z tobą poważnie porozmawiać. Masz jej szczerze wysłuchać, ale przede wszystkim nie możesz pozwolić jej uciec, zanim skończy, jasne?

– Hę? – Astriad wyglądał na skonfundowanego, ale ostatecznie kiwnął powoli głową.

– Dobrze. Powodzenia wam – odparła kobieta, a następnie zawróciła na pięcie i ruszyła w swoją stronę. Kiedy kilka chwil później dwójka zniknęła w końcu z jej oczu, oparła się o ścianę korytarza i odetchnęła.

„Takie rzeczy nijak do mnie nie pasują” pomyślała, wzdychając ze zmęczeniem „Ale ktoś w końcu musiał to zrobić, bo inaczej sytuacja przeciągałaby się w nieskończoność. Mam nadzieję, że wyjdzie to Nerivnie na dobre”.

Do kolejnej przerwy w zajęciach wciąż pozostało sporo czasu.

Głośne pukanie przerwało trwającą od kilku godzin ciszę. Niestety, jako że w kwaterze nie było żywej duszy, obeszło się ono bez jakiegokolwiek reakcji. Po chwili dało się więc słyszeć ciche przekręcenie klucza w zamku i w drzwiach pojawiła się sylwetka młodej, atrakcyjnej kobiety.

– Nasze mieszkania są sprawdzane raz na dwa dziesięciodnie – rzekła, rozglądając się niepewnie. – Jeżeli dopisze mi szczęście, to wciąż powinno gdzieś tutaj być.

Wzięła się do roboty. Przeszukała szafki w biurku, książki na półkach i wszystkie inne miejsca, w których można by pozostawić dokumenty. Ostatecznie, nie mając innej opcji, wysypała na podłogę zawartość niewielkiego kosza. Wśród sterty papierów odnalazła poszukiwany obiekt. Kartki były pogniecione, ale dało się spokojnie odczytać niezbyt staranne pismo Ariona, a także treść, pochodzącą prawie na pewno z wypracowania Trzciny. Część zdań oczywiście zmienił, przepisując projekt na czysto, ale dowód wyraźnie wskazywał kto, od kogo czerpał treść.

Erinna prędko przywróciła wszystko w kwaterze do stanu, w jakim ją zastała, a następnie zostawiając klucz na biurku, wyszła z powrotem na korytarz.

„Dobrze. Został już tylko ostatni etap” pomyślała, biegnąc truchtem przez akademię. Powinna się spieszyć, ale bała się biec szybciej, aby przypadkiem nie wpaść ponownie w tryb przyspieszenia, którego przecież musiała użyć na samym końcu. „Jeżeli się nie mylę, mistrz Nevryn zdążył już zanieść dokumenty do gabinetu Arcymaga. Czyli zapewne leżą one w tej chwili na jego biurku, czekając na rozpatrzenie. Arcymag powinien niedługo...”

Zatrzymała się nagle, zupełnym przypadkiem minąwszy wejście na balkony. Wydawało jej się czy...?

Bezszelestnie wykonała kilka kroków w tył i spojrzała przed siebie. Kilkanaście metrów dalej jej przyjaciółka Nerivna była właśnie czule obejmowana przez pewnego Astriada, przed którym uciekała od samego rana. Zdawali się zupełnie nie dostrzegać otaczającego ich świata.

– Zuch dziewczyna – wyszeptała Erinna z uśmiechem, a następnie wycofała się cicho z ich pola widzenia. Nie chciała przeszkadzać.

„Może z tego dnia wynikną jednak jakieś pozytywy...” pomyślała, przemierzając korytarze Akademii pośpiesznym krokiem.

– Wiedziałem, że jeżeli poczekam wystarczająco długo, złapię cię w tym miejscu.

Trzcina stał wyprostowany w wejściu do elitarniej części akademii. Faktycznie, idąc do gabinetu Arcymaga, nie dało się ominąć tego miejsca. Przyjaciółka spoglądała na nią z wyraźnym niezadowoleniem, choć w jego oczach dało się dostrzec głównie troskę. Kobieta westchnęła.

– Trzcina... – zaczęła spokojnie, lecz natchniony nie zamierzał dać jej się wytłumaczyć.

– Wystarczy Erinno. W tej chwili zabieram cię do skrzydła uzdrowicielskiego,

gdzie przeczekasz działanie eliksiru i zostaniesz dokładnie zbadana przez specjalistów. Nie mogę pozwolić ci więcej przyspieszać.

– Kiedy ja muszę. – Zaparła się kobieta stanowczo. – To jedyna metoda, abyś nie wyleciał ze studiów. Zobacz. – Wyjęła z torby pogniecioną kartkę, zapisaną koślawym pismem. – To Arion od ciebie spisał. Widzisz? Wersja na brudno, wyraźnie pisał ją w pośpiechu. Po co miałby to robić, jeśli dobrowolnie dałbyś mu swoją pracę do przepisania? Jeżeli tylko dorzucę ją do dokumentów, które mistrz Nevrin zaniósł Arcymagowi, na pewno zostaniesz oczyszczony z zarzutów. Muszę jeszcze tylko wykonać ten jeden ostatni skok...

– Erinna zrozum wreszcie na bogów! – Przyjaciół położył jej dłonie stanowczo na ramionach. – Jestem natchnionym! Nieśmiertelnym, odradzającym się w kółko, cholernym natchnionym! Jeśli wylecę z akademii, spędzę rok lub dwa na pracach społecznych, a następnie dostanę kolejną szansę na studia. Owszem, stracę sporo czasu, ale co to dla natchnionego? Ty jednakże jesteś człowiekiem! Jak raz sobie zniszczysz zdrowie, to będziesz je miała zniszczone przez całą resztę życia! Skończ więc z tym bezsensownym poświęcaniem się dla mnie!

– Ale jakim poświęcaniem? Nic mi przecież nie jest. Ja po prostu nie chcę, abyś marnował dwa lata na sprzątanie tornhalskiej biblioteki. Bądź co bądź to przeze mnie nie było cię na zajęciach, gdy Nevrin ogłaszał wykrycie plagiatu.

– Już ci przecież mówiłem. Prawdopodobnie moja obecność nic by nie zmieniła. Jak już chcesz kogoś obwiniać, to oczywistym celem jest Arion. Tak więc błagam, zróbmy, jak powiedziałem i chodźmy do skrzydła uzdrowicielskiego...

– Przecież mówię, że nic mi nie jest Trzcina. – Erinna westchnęła przeciągle, przeklinając w duchu upór przyjaciela.

– „*Nic mi nie jest*”, rzekła osoba pijąca kolejną butelkę trucizny, działającej z dwudniowym opóźnieniem. – Pełne dezaprobaty spojrzenie natchnionego zaczynało powoli mrozić krew w żyłach.

– Proszę, zrozum... – Kobieta delikatnie opuściła swoje drobne ramiona. – Pomyśl o tych wszystkich dniach w akademii, które spędziliśmy we trójkę, ty, ja i Nerivna. Pomyśl o tych wszystkich imprezach, egzaminach, zajęciach. Wiem doskonale, jak bardzo podobały ci się te dni. Bo widzisz, dla mnie również był to najszczęśliwszy okres w moim życiu. Mówisz, że spędzisz na pracach społecznych „tylko” dwa lata? Przecież to dokładnie tyle ile trwa elitarny kurs w akademii. Co by oznaczało, że nie spotkamy się już więcej na studiach.

– Mówisz, jakby koniec studiów oznaczał koniec naszej znajomości. Przecież nigdzie się nie wybieramy prawda? Zamierzałaś w końcu razem z Nerivną kontynuować waszą karierę naukową, a nie ma do tego lepszego miejsca niż Tornhal nieprawdaż? Co oznacza, że nikt z nas w najbliższym czasie się nigdzie nie wybiera.

– No ale dwa lata...

– Widzę, że niczego się dzisiaj nie nauczyłaś. – Trzcina westchnął przeciągle, a następnie ku zaskoczeniu przyjaciółki wyrwał jej torbę i wyjął z niej notatnik. – Nawet jeżeli byłoby to pięć lat, to pamiętaj. Maga. Cierpliwość. Cnotą. – Zapisał sentencję

dużymi, wyraźnymi literami.

Erinna zacisnęła pięści, czując wyraźne ukłucie złości.

– Jeszcze raz usłyszę ten tekst – rzekła, kiwając gwałtownie ręką. – A naprawdę wyrzucę kogoś przez okno!

– Jak już masz kogoś wyrzucać, to polecam Trzcinę – odezwał się nagle dość znajomy głos, oznajmiający pojawienie się nowego rozmówcy. – On przynajmniej się odrodzi.

– Faktycznie. Trzcina, chodź no tu na chwilę.

– Hej! – Natchniony cofnął się o krok, a następnie spojrzał na nowo przybyłego z niezadowoleniem. – Naretis. Nie wtrącaj się. To prywatna dyskusja. Wracaj do swojego rozważania ciastek, czy czym tam się zajmowałeś.

– Rozważania wpływu ciasta marchewkowego na rozwój czarodziejstwa w erze światła – doprecyzował adept spokojnie, zupełnie nie przejmując się otrzymanym nakazem. – Ale wiesz? Skończyłem z tym. Widzisz, rozmawiałem na ten temat z Arcymagiem...

– Rozmawiałeś o cieście marchewkowym... z Arcymagiem?

– Owszem. W tak poważnych sprawach należy się udać przecież bezpośrednio do specjalisty. – Naretis głos miał faktycznie wyjątkowo poważny. – W każdym razie powiedział, że w erze światła ciasto jabłkowe było o wiele bardziej popularne od marchewkowego. To drugie nabrało wartości dopiero w erze równowagi, więc na tę erę miało prawdopodobnie największy wpływ. Fascynujące nieprawdą?

Trzcina wyglądał, jakby właśnie patrzył nie na adepta, a na ducha podszywającego się pod adepta. Otrząsnął się jednakże w końcu i rzekł z rezygnacją:

– Dobrało się dwóch dziwaków...

– Nie gonisz jej? – zapytał rozmówca, wskazując na oddalającą się pospiesznym krokiem kobietę.

Natchniony pokręcił przecząco głową.

– Jeżeli mój wywód jej nie przekonał, wątpię, aby cokolwiek innego dało radę. A siłą jej nigdzie nie zaciągnę. – Westchnął ponownie, a potem zapytał prędko. – Widziałeś gdzieś może Nerivne?

– Tak, minąłem ją jakiś czas temu. Była z tym adeptem, który odprowadzał ją wczoraj w nocy.

– Eviliusem? To chyba wiem gdzie ich znajdę. Dzięki.

– Powodzenia...

W przeciwieństwie do podstawowej, elitarna część akademii nie znajdowała się wewnątrz góry. Zbudowano ją na gigantycznych kamiennych słupach i wyglądem przypominała budowle stawiane przez Kaistlanów wiele wieków temu. Dla

wspinającej się po schodach Erinny jednakże architektura była obecnie ostatnią rzeczą zaprzatającą jej umysł. Strasznie dużo się przecież tego dnia wydarzyło.

– Nerivna miała racje. Powinnam zapisywać spostrzeżone efekty eliksiru – szeptała powoli, dysząc coraz ciężiej po pokonaniu kolejnych pięter. – Najpierw jednak muszę zająć się sprawą Trzciny. Czyli powinienam się psychicznie przygotować do starcia z Arcymagiem.

Zastanowiła się chwilę. Niestety w jej głowie pojawiło się jedynie powracające i dość irytujące zdanie:

„Cierpliwość cnotą maga.”

„Cierpliwość maga cnotą.”

„Maga cnotą cierpliwość.”

„Maga cierpliwość cnotą.”

– Nie jest to zbyt pomocne – rzekła z rezygnacją. Najwyraźniej musiała iść na żywioł.

Dotarła ostatecznie na sam szczyt akademii. Przed drzwiami do gabinetu Arcymaga nikogo nie było, co uchodziło w zasadzie za niezwykłą rzadkość. Czyżby bogowie widząc jej sytuację owego dnia, postanowili nieco dopomóc? Nie zamierzała zmarnować danej szansy.

Położyła dłoń na klamce i wciągnęła głęboko powietrze. Ostatnie przyspieszenie. Ten jeden ostatni raz. Potem będzie mogła odpocząć albo upić się, aby zapomnieć o problemach. Zaciśnęła zęby i prędko weszła do środka.

Arcymag zastygł w bezruchu, odwrócony tyłem do wejścia. Otaczały go lewitujące książki, więc zapewne akurat odpoczywał po kilkugodzinnych wykładach w akademii. Kobieta nie czekając ani chwili dopadła do jego biurka i spojrzała na leżące na nim dokumenty. Sterta wyglądała na całkiem sporą. Jeżeli codziennie musiał tyle przeglądać, to zdecydowanie nie zazdrościła mu stanowiska.

Na szczęście szybko odnalazła zgubę. Tak jak przewidywała, mistrz Nevrin zdążył przynieść tutaj oskarżenie o plagiat. Wyciągnęła z torby lekko wygniecioną kartkę z pismem Ariona, a następnie dołączyła ją do dokumentu. Potem śpiesznym krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

I już miała opuścić pomieszczenie, kiedy nagle drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem i bez żadnej sensownej przyczyny. Serce kobiety natychmiast przyspieszyło.

– Panna Fineris. – Rozległ się bezbarwny głos Arcymaga. – Doskonale. Miałem nadzieję, że wkrótce pani przyjdzie.

Erinna przełknęła nerwowo ślinę, a następnie odwróciła się powoli.

– Arcymagu – rzekła, wykonując drobny, choć pełen szacunku ukłon.

Czarodziej wciąż stał odwrócony tyłem do wejścia, jakby w ogóle nie zauważył niezbyt grzecznego wtargnięcia. A może po prostu się nim nie przejmował?

– Hm...? Cóż to? – rzekł w przeciągającej się ciszy. – Nie ma pani czegoś dla mnie?

– Ach... Oczywiście! – Erinna drgnęła, uświadomiwszy sobie ostatecznie, o czym mówił. Szczerze mówiąc z powodu nawału wydarzeń, zupełnie o tym

zapomniała. Wyjęła z torby stertę kartek. – Oto wypracowania naszej grupy z filozofii magii. – Tak rzekłszy, położyła je na biurku obok dokumentów.

– Wszystkie?

– Cóż... wszystkie oprócz mojego...

Arcymag odwrócił się niespodziewanie i spojrzał na adeptkę, unosząc brwi pytająco.

– Ale... jestem pewna, że nie byłoby problemem, gdybym oddała je w nieco późniejszym terminie – dodała kobieta natychmiast, coraz bardziej zestresowana. Fakt, iż przywódca akademii wyglądał jakby był w jej wieku, jeszcze bardziej wytrącał ją z równowagi.

– Ach tak? – Brwi rozmówcy ponownie poszybowały w górę. – Skąd ta pewność?

– No bo... – Biła się z myślami, nie bardzo wiedząc co powiedzieć. Wtem jednakże do głowy wpadło jej pewne znienawidzone zdanie. – No bo cierpliwość jest cnotą maga.

Ciężko było uwierzyć, iż dałoby się jeszcze wyżej unieść brwi. Arcymag jednak jakimś cudem dał radę.

– Rozumiem... – rzekł, gładząc się po brodzie, z dziwnym błyskiem w oku. – Widzi pani, o ile moja cierpliwość faktycznie jest nieskończona, życie adeptów niestety nie. Dlatego więc... – przerwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając. – Dwa dni. Tyle mogę dać. Liczę, iż da pani radę.

– Oczywiście – odparła natychmiast kobieta. Ogarnęła ją niesamowita ulga. – Dziękuję uprzejmie. Teraz, jeśli Arcymag pozwoli...

– W zasadzie, jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z panią porozmawiać – przerwał jej czarodziej, odwracając swój wzrok z powrotem do książek.

– Tak...? – zapytała zaniepokojona. Czyżby jednak zauważył, iż grzebała w jego dokumentach?

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie mogę niczego pani nakazać czy zakazać, jednakże... Osobiście uważam, iż powinno się słuchać rad osób studiujących uzdrowicielstwo. Zwłaszcza w kwestiach zdrowotnych. – Arcymag skinął dłonią, a z szuflady jednej z szafek wyleciała jakaś kartka. Kobieta po chwili rozpoznała opis tematu pracy końcowej jej i Nerivny. – Nie zauważyła pani przypadkiem, że pani serce bije coraz szybciej i mocniej? – Przyjrzał się dokumentowi z uwagą. – Cóż, w każdym razie zgodnie z moimi obliczeniami, w przeciągu następnych czterech skoków, nastąpi całkowite zatrzymanie akcji pani serca. Fascynujące działanie uboczne, nieprawdaż?

Erinna przełknęła ślinę z przerażeniem. Nie wydusiła jednakże ani jednego słowa.

– Oczywiście, robi pani, co uzna za słuszne. – Kontynuował Arcymag. – Proszę jednak mieć na uwadze. – Odwrócił się ponownie i spojrzał jej prosto w oczy. – W przeciwieństwie do niektórych, ja nie mylę się w obliczeniach.

– Ja... Rozumiem — odparła kobieta powoli, dusząc w sobie rosnący niepokój.
— I... dziękuję mistrzu.

– Ależ nie ma za co.

Adeptka podeszła do drzwi i już miała je otworzyć, kiedy czarodziej odezwał się ponownie.

– Właściwie to jest i trzecia sprawa...

Erinnie przeszło przez myśl, że plotki są prawdziwe i Arcymag faktycznie lubi się znęcać psychicznie nad adeptami. Jeżeli naprawdę zamierzał ją ukarać za podrzucenie dokumentów, to powinien to chyba zrobić na początku, a nie dawać jej złudną nadzieję, że dzień ten zakończy się dobrze.

– ...choć tę akurat mógłbym spokojnie pominąć, bo to raczej prywatna opinia. No ale skoro już tu pani jest... – Westchnął przeciągle, uniósłszy oczy w górę. – Mam rzecz jasna świadomość, iż imprezy i spożywanie alkoholu są nieodłącznym aspektem studiów, jednakże szczerze zalecam mieć na uwadze własne granice. Kiedy wczoraj w nocy znaleziono panią na korytarzu, ciężko było stwierdzić czy należy się z problemem zwrócić jeszcze do uzdrowiciela, czy już do nekromanty. Na szczęście po chwili zrobiła się pani niesamowicie gadatliwa. Podobno zasnęła pani dopiero po podaniu pańskich eliksirów uspokajających.

Czarodziej zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając.

– Choć jak wcześniej wspomniałem, to jedynie moja opinia. Żadna z zasad nie zakazuje takiego zachowania w skrzydle mieszkalnym, a pani o dziwo w żaden sposób nie przeszkodziła innym adeptom.

– Rozumiem Arcymagu. Postaram się nie dopuścić do podobnej sytuacji ponownie. A teraz mistrz pozwoli, że się oddalę...

Drzwi zamknęły się z łoskotem, uwalniając jednocześnie kobietę z większości nagromadzonego stresu.

Trzina, Nerivna i Evilius zastali przyjaciółkę stojącą na jednym z mostów łączących elitarną akademię z podstawową jej częścią. Kobieta spoglądała w dal z bezbarwnym wzrokiem, jakby całe napięcie minionego dnia z niej uszło, pozostawiając po sobie jedynie przerażającą pustkę, w której nie sposób się było odnaleźć. Choć niewtajemniczony w sytuację przechodzień zapewne stwierdziłby po prostu, że nad czymś się głęboko zamyśliła.

– Rozumiem, że to koniec sprawy? – zapytał jak zwykle bezceremonialnie natchniony.

– Mhm...

– Czujesz się dobrze? Nie nastąpiło pogorszenie przy ostatnim skoku?

– Mhm...

– Co jest Erinna? Emocje ci całkowicie wyprąło?

– Ach... nie – odparła adeptka, otrząsając się w końcu z zamyślenia. – Po prostu zastanawiam się, jak to jest, że Arcymag podczas jednej rozmowy odpowiedział na wszystkie pytania, z którymi głowiliśmy się przez cały dzień.

– Hę? Co masz na myśli.

– No więc... – rzekła, ale przerwała niemalże natychmiast. – Zresztą nieważne. Mam już dość całej tej sprawy. Chodźmy się napić.

– Jakie znowu „napić”?! – oburzył się Trzcina. – Nie pamiętasz, że to od „napicia” wszystko się zaczęło? Zresztą teraz to grzecznie udasz się ze mną do skrzydła uzdrowicielskiego na badania.

– Czekaj! – Nerivna powstrzymała ciągnącego koleżankę natchnionego. – Najpierw niech nam wszystko wyjaśni. Bądź co sprawa też nas dotyczy.

– Masz trochę racji...

– Nasz projekt jest bezpieczny – odezwała się, nie czekając na dalsze ponaglanie Erinna. – Arcymag widział, że przypadkiem przetestowaliśmy go na mnie, więc jeśli zapiszemy wnioski i spostrzeżenia, z pewnością wszystko potwierdzi. Udało mi się też podrzucić dowód obciążający Ariona do dokumentów, więc Trzcina nie powinien wylecieć ze studiów. Tak więc możemy uznać, iż wszystko kończy się dobrze.

– Czyli nie licząc tego, że filozofię magii będziesz zdawała w terminie poprawkowym, pełen sukces – oznajmił przyjaciel, najwyraźniej doskonale pamiętając wszystkie zdarzenia bieżącego dnia.

– Ach, wyobraź sobie, że i to rozwiązałam. Udało mi się wybłagać dwa dodatkowe dni na wypracowanie – odparła, ignorując cichy okrzyk zdziwienia koleżanki.

– Naprawdę? Toż to cud prawdziwy. Musisz mi zdradzić jakiej metody użyłaś.

– Powiedziałam dokładnie to, czego mnie dzisiaj nauczyłeś. Że cierpliwość jest cnotą maga.

Trzcina dosłownie oniemiał. Przez chwilę nie był w stanie nic z siebie wydusić.

– No co...? – zapytała w końcu Erinna, nie rozumiejąc jego reakcji.

– Powiedziałaś Arcymagowi... – rzekł powoli i dobitnie – że cierpliwość jest cnotą maga?

– No tak.

Wybuch śmiechu Trzciny tak zaskoczył rozmówczynię, że przez chwilę nie miała pojęcia jak zareagować.

– O bogowie... – stwierdził natchniony, usiłując się za wszelką cenę uspokoić. – O bogowie... to się nazywa igranie z ogniem.

– Ale że o co chodzi?

– Zdajesz sobie sprawę, że tekst „cierpliwość cnotą maga” wymyślił Arcymag prawda?

Erinna zbladła.

– Nie...

– Cóż... Chciałbym zobaczyć jego minę, jak to usłyszał. Naprawdę chciałbym. No nic... – dodał, wciąż powstrzymując śmiech. – Skoro sprawa faktycznie rozwiązana, pójdziesz teraz na badania. I nie martw się, wszyscy dotrzemy ci towarzystwa.

– Dzięki... tylko powoli dobrze...? – poprosiła kobieta słabym głosem. – Nie chciałabym, aby moje serce nagle stanęło czy coś...

Ostatecznie dla większości adeptów, ten dzień nie różnił się niczym od setki innych spędzonych w Tornhalskiej Akademii Magii...

Po zakończeniu studiów Nerivna wraz z Eviliusem otworzyli ośrodek badań nad zwierzętami magicznymi, współpracujący z sektoriańską Gildią Magów. Przez kolejne lata zbadali jeszcze kilka innych nieznanych stworzeń.

Erinna otrzymała najwyższy wynik na roku z alchemii i rozpoczęła naukową współpracę z Imperium Lenarioleńskim, dzięki czemu stała się sławną w kraju specjalistką. Niestety incydent ze studiów wywołał u niej powracające problemy zdrowotne, przez co nie żyło jej się zbyt lekko. Na szczęście miała stały kontakt z pewnym świetnym uzdrowicielem.

Trzcina został oczyszczony z zarzutu plagiatu i ukończył akademię w tym samym czasie co pozostała trójka. Do końca życia uważał jednak, że nie było to warte wyniszczenia zdrowia przyjaciółki.

Naretis, po wielu głębokich analizach, doszedł ostatecznie do wniosku, że ciasto marchewkowe miało znikomy wpływ na rozwój czarodziejstwa. Arcymag ostatecznie musiał przyznać mu rację.

Epilog

Tornhal. Zjednoczone Sektory. Rok 1883 od zesłania Pana.

Płomień formułujący cztery niewielkie sylwetki zgasł nagle, równie niespodziewanie, jak się pojawił. Ciemność zapadła jednak jedynie na moment, po chwili bowiem znajdujące się w pomieszczeniu kryształły zajaśniały promiennie, przywracając doskonałą widoczność.

– Jak mogliście zauważyć – odezwał się na powrót Arcymag, podnosząc się jednocześnie z miejsca – czarodzieje są jedną z najbardziej skomplikowanych profesji na świecie. Ich istnienie całkowicie zostało związane z problemami, z którymi borykamy się od wieków. Przynieśli światu zarówno wiele dobrego, jak i wiele złego, i wraz z jego historią ewoluowali. Tak więc... chociaż może być wam ciężko w to uwierzyć, żadna z osób, którą pytaliście o pracę czarodzieja, w pewnym sensie nie kłamała.

– Ale przecież ich odpowiedzi przeczyły sobie nawzajem. – Rodzeństwo wyglądało na skonfundowane.

– Nie przeczę. Zastanówcie się jednak, na przykładzie historii, które wam opowiedziałem... Praca czarodzieja faktycznie może być trudna. Może jednak być również łatwa. Tak samo pożyteczna, niepotrzebna, niebezpieczna, dochodowa... każdy z tych epitetów faktycznie MOŻE stać się prawdą w pewnych warunkach. Ostatecznie więc... – Zbliżył się do nich nagle. – Wszystko zależy od was, młodzi adepci.

Zapadła krótka cisza, w której rodzeństwo spojrzało po sobie z zastanowieniem. I już miało paść kolejne pytanie, kiedy niespodziewanie rozległ się odgłos powolnego klaskania. Dwójka adeptów natychmiast odwróciła się w stronę źródła dźwięku, wyraźnie zaskoczona obecnością kolejnej osoby. Ich oczom ukazała się niewysoka teaderianka, ubrana w ciemnozieloną szatę, odkrywającą nieco zbyt dużo ciała jak na standardy Tornhalskiej Akademii Magii.

– No już – odezwała się, klaszcząc ponownie. – Wystarczy. Zabraliście mu już dość czasu.

– Pani Anastazja! – Adepci zerwali się na równe nogi i natychmiast ukłonili przybyłej.

– Zatem? – odezwała się ponownie kobieta, składając razem ręce. – Czy otrzymaliście upragnioną odpowiedź?

Rodzeństwo ponownie spojrzało po sobie, ale tym razem przyjęło zdeterminowane wyrazy twarzy.

– Tak, mistrzyni. Sądzymy, że tak.

– Świetnie. W takim przypadku wracajcie do siebie. – Machnęła delikatnie ręką. – Dość już mu czasu zajęliście.

Adepci ukłonili się obojgu na pożegnanie i po chwili zniknęli w wyjściu z pomieszczenia. Zapadła krótka, nieco zaskakująca cisza.

Arcymag, który wydawał się w ogóle nie spostrzec krótkiej wymiany zdań, wpatrywał się z zastanowieniem w ilustrację w trzymanej książce. Gładził się po brodzie w namyśle, jakby rozważając niezwykle skomplikowany problem. Być może opowiedziane tego wieczora historie zupełnym przypadkiem przypomniały mu o jakiejś ważnej sprawie z przeszłości i teraz borykał się z nią w myślach. A może po prostu ogarnęła go jakaś nostalgia?

Teaderianka ignorując jego głębokie zamyślenie, podeszła i położyła mu dłonie na ramionach. Przysunęła się również wyjątkowo blisko.

– Aż tak lubisz swój własny głos? – rzekła cicho, spoglądając na otaczające ich książki. – Nie dość, że opowiadasz im na wykładach, to jeszcze teraz wolny czas poświęcasz?

– Ale zadali ważne pytanie. — Arcymag przejechał dłonią po ilustracji przedstawionej w książce. — Profesja magów faktycznie jest niezwykle interesująca, a jej rozwój w historii w znaczny sposób wpłynął na losy świata. Wszelkie wątpliwości w tej sprawie powinny zostać rozwiane...

Kobieta oparła dłonie na biodrach, a następnie westchnęła przeciągle.

– Pracoholik – oznajmiła bezceremonialnie, ruszając w kierunku wyjścia.

Czarodziej przewertował jeszcze kilka stron, ale po chwili również wstał.

– No już idę, idę.

Odłożył książkę na regał i pogładził jej oprawę z zastanowieniem.

– „*Magia w naszej dłoni*” – rzekł na tyle cicho, aby rozmówczyni nie zdołała go usłyszeć. – „*Nieskończona moc, do zmieniania świata.*”

Postłowie

Cześć i czołem ludzie, Jędrzej Stefanowski z tej strony.

Mam szczerą nadzieję, że podobała wam się książka, choć skoro dotarliście aż tutaj, tak czy siak mogę chyba to uznać za sukces.

Co się tyczy samego dzieła. Zbiór powstał, aby przedstawić jeden z moich ulubionych wątków uniwersum – czarodziei. Mam nadzieję, że po jego przeczytaniu macie już w głowach całkiem uporządkowaną wizję magów jako profesji. Jeżeli tak, to opowiadania spełniły swoje zadanie.

Być może jednak popełniłem błąd, wybierając temat swojej pierwszej książki. Zdecydowałem się pisać o tym, co mnie ciekawiło, a nie o tym, co proste. A czarodzieje na Voimsisie to raczej skomplikowana sprawa. Dlatego, jeżeli ktoś z was podczas czytania zagubił się w ilości informacji do przyswojenia – szczerze przepraszam.

Obecnie w planach są 4 kolejne zbiory opowiadań. Będą one powiązane z obecnym, choć nie w sposób ściśle fabularny. Z założenia chciałbym, aby można było je czytać w dowolnej kolejności.

Tymczasem osoby zainteresowane moją twórczością i uniwersum Voimsisu, zachęcam do odwiedzenia mojej strony, na której umieszczam nie tylko opowiadanie, ale również mapy, opisy postaci, muzykę i zdjęcia:

<https://battleforthevoimsis.com/>

Chciałbym też podziękować wszystkim motywującym mnie do pisania i czuwającym nad powstawaniem zbioru.

Tyle ode mnie. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy!

#ChwałaCiemności

#BlameEneriasKazner